

FORGOTTEN REALMS

B. A. Salvatore
przedstawia

WOJNA PAJĘCZEJ KRÓLOWEJ KSIĘGA I

Upadek

RICHARD LEE BYERS



Dla Ann

Podziękowania

Dziękuję Philowi Athansowi, mojemu redaktorowi, i Bohowi Salvatore za nadzór nad tym projektem.

Był to przebłysk jasności w mglistym królestwie mętnego chaosu, gdzie nic nie było tym, czym wydawało się być, a wszystko było w nieunikniony sposób bardziej zdradzieckie i niebezpieczne, niż się wydawało. Ale ono, to nikle pojedyncze jedwabne pasmo światła, przykuło jej wzrok i ukazało jej wszystko, czym było, wszystko, czym wkrótce będzie, a także wszystko, czym była ona i wszystko, czym ona miała się wkrótce stać.

Przebłysk światła w mrocznej Otchłani stanowił obietnicę odnowy i większej chwały, a czynił tę obietnicę jeszcze słodsza poprzez zapowiedź niebezpieczeństwa, śmiertelnego niebezpieczeństwa czyhającego na istotę nieśmiertelną ze swej natury. Na tym również polegał jego urok, na tym, prawdę mówiąc, polegała największa radość wzrostu. Matką chaosu był strach, nie zło, a cieszenie się chaosem oznaczało ustawiczny strach przed nieznanym, świadomość, że każdy zakręt może prowadzić ku katastrofie.

Było to coś, czego drowy nigdy do końca nie pojęły i nie doceniły, a ona wolała utrzymywać je w nieświadomości. Dla drowów chaos był sposobem na osiągnięcie własnych korzyści. W burzliwym życiu drowa nie było prostych drabin, po których można się wspiąć w górę. Ale to nie sama wspinaczka była piękna, wiedziała o tym, nawet jeśli oni o tym nie wiedzieli. Piękna była każda chwila życia, spędzona w kłębowisku nieznanego, w wirze prawdziwego chaosu.

To zatem był ruch naprzód. Ale wiązało się z tym ryzyko, że jej świat pograży się w jeszcze większym chaosie, że przestaną obowiązywać jakiegokolwiek pewniki. Żałowała, że nie może zachować większej świadomości, aby być świadkiem tego wszystkiego i by pławić się w tym wszystkim.

Nieważne. I tak będzie czerpała przyjemność z ich strachu, czuła głód ich ambicji.

Przebłysk jedwabnej krawędzi przecinającej wieczną szarą mgłę wirującego planu, wyznaczył jeden cel tej istocie o zmiennych zachciankach i przypomniał jej, że już czas, najwyższy czas.

Nie odrywając nawet na chwilę wzroku od światła, istota obróciła się powoli, owijając się pojedynczym pasmem. Pierwszym z milionów.

Początek metamorfozy, obietnica.

ROZDZIAŁ 1

Gromph Baenre, arcymag Menzoberranzan, poruszył długim palcem o skórze barwy obsydianu. Drzwi do jego gabinetu - czarny marmurowy prostokąt ponacinany na całej powierzchni liniami drobnych runów - zawarły się bezgłośnie i zamknęły na zamek.

Mając pewność, że nikt go nie widzi, czarodziej wstał od biurka z białej kości, odwrócił się twarzą do tylnej ściany i wykonał dłońmi zawiły gest. W chropawej powierzchni z kalcytu otwarły się drugie drzwi.

Gromph, który będąc drowem, świetnie widział w ciemnościach, wkroczył w mrok panujący za drzwiami. Nie było tam posadzki, która utrzymałaby jego ciężar, i przez moment spadał, ale zaraz przywołał moc lewitacji, na co pozwalała mu brosza z insygniami domu Baenre, z którą nigdy się nie rozstawał. Zaczął się wznosić, szybując w górę niewyraźnego szybu.

Chłodne powietrze jak zwykle łaskotało i kłuło go w skórę, ale niesło też przykry, nieprzyjemny zapach. Najwyraźniej w kanale znajdowała się jedna z istot zamieszkujących ten pseudoplan egzystencji. Coś zagrzecotało mu nad głową. Ohydny zapach przybrał nagle na sile i stał się na tyle intensywny, by sprawić, że szkarłatne oczy zaszczyły mu łzami.

Gromph spojrzał w górę. Z początku niczego nie zobaczył, ale potem dostrzegł w ciemności niewyraźny jajowaty kształt.

Arcymag zastanawiał się, w jaki sposób bestia dostała się do szybu. Nigdy dotąd żadnej się to nie udało. Czyżby wydarła dziurę w ścianie, przeniknęła przez nią jak duch, a może zrobiła coś jeszcze dziwniejszego? Może...

Bestia spadła na niego, przerywając jego rozważania.

Gromph mógł bez żadnego wysiłku rozprawić się z istotą za pomocą jednej ze swych różdżek, ale wolał zachować ich moc na wypadek prawdziwego zagrożenia. Zamiast tego spokojnie przerwał działanie siły lewitacji i opadł w dół szybu. Miało mu to dać czas, by oddalić się od bestii i rzucić czar, a nie musiał się martwić o uderzenie o ziemię. W tej rzeczywistości ziemia nie istniała.

Wśród łopotu zdobnych klejnotami i pieczęciami szat, arcymag wyciągnął z kieszeni fiolkę trucizny, podpalił płomieniem, który wytrysnął mu z czubka palca, i wyrecytował inkantację. Wymawiając ostatnią sylabę, wyciągnął ramię w stronę stwora i plama czarnej, płonącej cieczy wystrzeliła z jego palców.

Gnana magią gorejąca ciecz mknęła prosto w górę szybu, by rozbryznąć się na opadającym drapieźniku. Stwór wydał z siebie przenikliwe bzyczenie, które prawdopodobnie było okrzykiem bólu. Zaszamotał się w powietrzu, objając się w locie o ściany. Jego ciało skwierczało i bulgotało, w miarę jak wgrzyzał się w nie kwas, ale nadal leciał w dół, kontrolując spadanie.

Gromph był pod wrażeniem. Zatruty grom mógł zabić prawie każdą istotę, a już z pewnością większość drobnego robactwa, jakie można było spotkać na pustkowiach pomiędzy światami.

Manipulując pustym kokonem, rzucił następny czar. Ciało bestii zwinęło się, skurczyło w sobie, a potwór na jedno uderzenie serca stał się małą myszką lecącą bezradnie w dół. Potem jednak jego ciało nadęło się i powróciło do swojej normalnej postaci.

Dobrze, pomyślał Gromph, w takim razie cię potnę.

Czarodziej przygotował się do wyczarowania gradu ostrzy, ale w tej samej chwili stwór przyspieszył.

Gromph nie miał pojęcia, że istota jest w stanie spadać jeszcze szybciej niż dotąd, nie był więc przygotowany na to nagle przyspieszenie. Stwór w jednej chwili skrócił dystans pomiędzy nimi i zawisł mu tuż nad twarzą.

Przeciwnik czarodzieja miał rozmyty i niedokończony wygląd, charakterystyczny dla wielu takich istot. Rzędy pozbawionych wyrazu oczu i wijąca się trąba umieszczone były na środku łba, który zlewał się z gumowatym, obłym cielskiem. Potwór nie miał skrzydeł, ale latał - bogini jedna wiedziała, w jaki sposób. Nogi były najbardziej zwinną częścią jego ciała. Sześć cienkich, członowanych odnóży kończyło się haczykowatymi pazurami, którymi bestia raz po raz starała się dosięgnąć Grompha.

Zgodnie z oczekiwaniami czarodzieja, oszalałe drapanie nie wyrządziło mu żadnej krzywdy. Zaklęcia wplecione w piwafwi Grompha - nie wspominając o pierścieniu i amulecie - stanowiły pancerz nie gorszy od zbroi płytowej. Czarodziej był jednak poirytowany faktem, że pozwolił bestii aż tak się zbliżyć, a zdenerwował się jeszcze bardziej, gdy zauważył, że miotający się stwór opryskiwał jego osobę

drobnymi kropelkami wyczarowanego przez niego samego kwasu.

Gromph wymruczał ostatnie zaklęcie i obiema garściami schwycił śmierdzącego drapieznika za zwały sadła na piersi. Magia zadziałała natychmiast. Siła i żywotność stwora spłynęły na czarodzieja, aż krzyknął z rozkoszy.

Wypijał życie ze swojego przeciwnika, tak jak mógłby to uczynić wampir. Latający stwór zabzyczał, targnął się i znieruchomiał. Usechł, popękał i rozpadł się w uścisku. W końcu Gromph, pewien, że wyssał ze stwora życie do cna, odrzucił go w bok.

Koncentrując wolę, czarodziej powstrzymał spadanie i ponownie poszybował w górę. Po kilku minutach wypatrzył otwór u szczytu szybu. Przeleciał przezeń, uchwycił się praktycznej poręczy, podciągnął na podłogę pracowni, po czym pozwolił, żeby jego ciało znów nabrało wagi. Szaty z szelestem ułożyły się wokół niego.

Przestronna, okrągła sala była pod wieloma względami częścią wieży Sorcere szkoły magii, której przewodniczył arcymag - ale Gromph był przekonany, że żaden z mistrzów Sorcere nie podejrzewa jej istnienia, choć parający się czarami byli przyzwyczajeni do tajemnej i magicznej architektury. Komnata ta, podobnie jak gabinet poniżej oświetlona nie gasnącymi nigdy świecami, była niemal niewykrywalna, a jej istnienia niełatwo było się domyślić, jako że jej lokator umieścił ją poza zwykłą przestrzenią i konwencjonalnym czasem. Pod pewnymi względami istniała w odległej przeszłości, w czasach Menzoberry Bez Rodziny, założycielki miasta, a pod innymi w dalekiej i nieznannej przyszłości. Jednak na poziomie zwyczajnej śmiertelnej egzystencji była mocno zakorzeniona w teraźniejszości i Gromph mógł odprawiać w niej najbardziej tajne rytuały magiczne, mając pewność, że będą one miały wpływ na dzisiejsze Menzoberranzan. Była to sprytna sztuczka i czasem żałował, że zamordował siedmiu więźniów - co do jednego mistrzów magii - którzy pomogli mu zbudować to miejsce w zamian za, jak sobie wyobrażali, wolność. Byli prawdziwymi artystami, ale tworzenie sekretnej kryjówki nie miałoby sensu, jeśli nie uzyskałoby się pewności, że rzeczywiście pozostanie tajna.

Otrzeptyjąc dłonie z kilku drobin i plam pozostawionych przez latającego robaka, Gromph przeszedł do części pomieszczenia, w której znajdowała się okazała kolekcja narzędzi czarodzieja. Nućąc pod nosem, wybrał ze stojaka wykonanego ze stopy wywerna pokrytą spiralnym rytem łaskę z kości słoniowej, a z wyłożonego aksamitem pudełka wysadzany onyksami żelazny amulet. Potem zdjął z półki na rytualne noże paskudnie zakrzywiony sztylet athame. Przez chwilę wdychał zapachy różnych kadzideł, unoszące się znad kilku glinianych dzbanków, zanim w końcu wybrał, jak to często czynił, wyciąg z czarnego lotosu.

Mamrocząc inwokację do mocy Otchłani, zapalił w mosiężnej kadzielnicy wątły płomyk, który potrafił wyczarować na życzenie, i zawahał się. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że zastanawia się nad tym, czy rzeczywiście chce kontynuować proces.

Menzoberranzan znalazło się w rozpaczliwej sytuacji, choć większość jego mieszkańców jeszcze sobie tego nie uświadamiała. Na miejscu Grompha wielu innych czarodziejów uznałoby tę sytuację za niezrównaną okazję do wzmocnienia własnej pozycji, ale arcymag wiedział więcej od innych. Miasto doświadczyło w ostatnich latach zbyt wielu wstrząsów i niepowodzeń. Kolejny wstrząs mógłby je okaleczyć, a nawet zniszczyć, a jemu nie uśmiechało się życie w Menzoberranzan będącym jedynie krzywym odbiciem jego dawnej świetności. Nie widział też siebie w roli bezdomnego wędrowca, żebrzącego o azyl i zatrudnienie u jednego z obojętnych władców jakiegoś obcego królestwa. Zdecydował się rozwiązać obecny problem, a nie wykorzystać go.

Tyle że mam zamiar wykorzystać go przynajmniej w ograniczony sposób, nieprawdaż? - pomyślał. - Ulec pokusie i skorzystać z okazji, nawet jeśli wpłynie to jeszcze bardziej destabilizująco na i tak już niepewne status quo.

Gromph prychnął, odsuwając od siebie chwilowe wątpliwości, które zupełnie do niego nie pasowały. Drowy były dziećmi chaosu - paradoksu, sprzeczności, a może nawet perwersji. Chaos był źródłem ich siły. Więc tak, a niech to, dlaczego nie iść jednocześnie w dwóch przeciwnych kierunkach? Kiedy znów trafi mu się kolejna szansa, aby zmienić tak diametralnie swoją sytuację?

Podszedł do jednego z umieszczonych w marmurowej posadzce zawitych pentagramów inkrustowanych złotem i powiódł czubkiem czarnej łaski wzdłuż jego łuków i załamań, zapieczętowując go. To uczyniwszy, zaczął wykonywać sztyletem athame rytualne gesty i nucić melodię, która wracała do swego początku jak żmija połykająca własny ogon. W powietrzu unosił się przeraźliwie słodki zapach czarnego lotosu, a czarodziej czuł, jak narkotyczne opary przenoszą jego świadomość w stan niemal

bolesnej koncentracji i jasności.

Gromph stracił całkowicie poczucie czasu, nie miał pojęcia, czy recytuje od dziesięciu minut, czy od godziny, ale w końcu nadszedł moment, gdy recytował już wystarczająco długo. W środku pentagramu pojawił się duch Beradaxa i od razu poderwał się z podłogi jak ryba na końcu żyłki.

Wieki parania się czarami uczyniły Grompha tak obojętnym na brzydotę i groteskowość przywoływanych postaci, jak to tylko możliwe w przypadku przedstawiciela jego nieczułej rasy, ale nawet on uznał Beradaxa za szkaradę. Stwór przybrał kształty zbliżone do mrocznej elfki czy też ludzkiej kobiety, ale jego ciało składało się z miękkich, wilgotnych, połyskliwych gałek ocznych, przylegających do siebie. Mniej więcej połowa z nich miała purpurowe źrenice, charakterystyczne dla drowów, podczas gdy druga połowa była niebieska, brązowa, zielona lub szara - tęcza kolorów spotykanych zwykle u przedstawicieli ostatnich ras.

Ciało Beradaxa rozplynęło się, a kształty zniekształciły, gdy stwór rzucił się na tego, który go wezwał. Na szczęście nie mógł przekroczyć krawędzi pentagramu. Beradax uderzył w niewidoczną barierę z mokrym plaśnięciem i odbił się od niej.

Niezrażony, skoczył po raz drugi, również bez skutku. Jego nienawiść i wściekłość były tak nieskończone, że pozostawiony sam sobie, skoczyłby jeszcze z milion razy. Gromph złapał go, schwytał w pułapkę, ale potrzeba było czegoś jeszcze, jeśli mieli odbyć rozmowę. Drow wbił sobie rytualny sztylet w brzuch.

Beradax zwinął się. Gałki oczne stanowiące jego brzuch podjechały wyżej i zadrżały. Kilka odpadło od pozostałych, by zblaknąć i rozplynąć się w powietrzu.

- Zabiję! - wrzasnął przenikliwym głosem nienaturalnie głośno, a jego rozdziawione usta pozwoliły dostrzec ciemne wybrzuszenia gałek ocznych wyścielających jego wnętrze. - Zabiję cię, czarodzieju!

- Nie, niewolniku, nie zrobisz tego - odparł Gromph. Drow zdał sobie sprawę, że od recytacji i kadziła zaschło mu w gardle, przełknął więc ślinę. - Będiesz mi służyć. Uspokoisz się i poddasz mi, chyba że chcesz znów posmakować tego ostrza.

- Zabiję!

Beradax znowu skoczył na niego i wciąż skakał, podczas gdy on raz po raz przebijał sobie brzuch sztyletem. W końcu bestia upadła na kolana.

- Poddaję się - warknęła.

- Dobrze. - Gromph wyciągnął athame. Sztylet nie pozostawił rozdarcia w jego szatach ani ran na ciele, co oznaczało, że zaklęcia podziałały dokładnie tak, jak oczekiwał, raniąc demona zamiast niego.

Brzuch Beradaxa przestał unosić się i trząść.

- Czego chcesz, drowie? - zapytał stwór. - Informacji? Powiedz mi, abym mógł wywiązać się z mojego zadania i odejść.

- Nie informacji - odparł ciemny elf. W zeszłym miesiącu wezwał dziesiątki duchów i żaden z nich nie był w stanie powiedzieć mu tego, czego chciał się dowiedzieć. Był pewien, że Beradax nie jest mądrzejszy od pozostałych. - Chcę zabić moją siostrę Quenthel.

Gromph nienawidził Quenthel od dawna. Zawsze traktowała go jak jakiegoś sługę, choć on też był Baenre, szlachcicem z pierwszego domu Menzoberranzan, a oprócz tego najpotężniejszym czarodziejem w mieście. W jej oczach, pomyślał, tylko wysokie kapłanki zasługiwały na szacunek.

Jego antypatia do niej pogłębiła się, gdy oboje starali się doradzać swej matce, matce opiekunce Baenre, niekoronowanej królowej Menzoberranzan. Jak można się było spodziewać, nie zgadzali się w żadnej kwestii, od gospodarki, poprzez wojnę, na górnictwie kończąc, okropnie działając sobie przy tym na nerwy.

Niechęć Grompha wzrosła jeszcze bardziej, gdy Quenthel została mistrzynią Arach-Tinilith, szkoły kapłanek. Mistrzynie zarządzała całą Akademią, również Sorcere, więc Gromph musiał ją znosić a właściwie znosić jej nadzór - także w tej niegdysiejszej spokojnej przystani.

Mógłby ścierpieć arogancję Quenthel i to, że bez przerwy we wszystko się wtrąca, gdyby nie nagła i nieoczekiwana śmierć ich matki.

Doradzanie poprzedniej matce opiekunce było bardziej zaszczytem niż przyjemnością. Zazwyczaj ignorowała rady, a jej zastępcy mieli szczęście, jeśli na tym poprzestała. Bardzo często reagowała na ich propozycje potokiem obelg.

Ale Triel, druga siostra Grompha i nowa głowa domu Baenre, okazała się zwierzchniczką zupełnie innego rodzaju. Niezdecydowana, przytłoczona odpowiedzialnością, jaka spadła na jej barki wraz z

nowym stanowiskiem, polegała bardzo na zdaniu rodzeństwa.

Oznaczało to, że arcymag, choć „tylko mężczyzna”, teoretycznie mógłby rządzić Menzoberranzan z tronu. Ale tylko jeśli pozbyłby się drugiej doradczynie opiekunki, piekielnie przekonującej Quenthel, która wciąż sprzeciwiała mu się dosłownie na każdym kroku. Nad zamordowaniem jej zastanawiał się od dłuższego czasu. Ale dopiero obecna sytuacja stworzyła okazję, której nie sposób było się oprzeć.

- Wysyłasz mnie na pewną śmierć! - zaprotestował Beradax.
- Twoje życie i śmierć nie mają znaczenia - odparł Gromph. - Liczy się wyłącznie moja wola. Możesz jednak przeżyć. W Arach-Tinilith zaszły pewne zmiany, o czym dobrze wiesz.
- Dostęp do Akademii wciąż strzegą stare zaklęcia.
- Rozproszę dla ciebie osłony.
- Nie pójdę.
- Bzdura. Poddajesz się i musisz być posłuszny. Przestań pleść albo stracę cierpliwość. Uniósł athame i z Beradaxa jak gdyby uszło powietrze.
- Doskonale, czarodzieju, poślij mnie i bądź potępiony. Zabiję ją, tak jak któregoś dnia zarżnę ciebie.
- Nie możesz jeszcze odejść. Pomimo całej twojej chełpliwości, jesteś najpośledniejszym rodzajem ducha, larwą pełzającą po posadzce piekła, ale dziś wieczór przybierzesz postać prawdziwego demona, aby zrobić odpowiednie wrażenie na mieszkankach świątyni.
- Nie!

Gromph uniósł oburącz laskę i wykrzyczał słowa mocy. Beradax zawył z bólu, gdy jego gałki oczne rozpląły się i zbiły w coś zupełnie innego.

Potem Gromph wrócił na dół do swojego gabinetu. Miał spotkanie z agentem zupełnie innego rodzaju.

* * *

Pharaun Mizzrym i Ryld Argith przechadzali się po chłodnym, świeżym powietrzu, świeższym niż to uwięzione w Melee-Magthere. Ryld rozejrzał się po Tier Breche, uświadamiając sobie, że już od wielu dni nie chciało mu się wystawić nosa na zewnątrz, i zdziwił się, bo widok był tak spektakularny, jak to tylko możliwe.

Tier Breche, siedziba Akademii od momentu jej założenia, była olbrzymią jaskinią. Wyсіłek niezliczonych czarodziejów, rzemieślników i niewolników przeobraził zapełniając ją ogromne stalagmity i inne formacje skalne w trzy nadzwyczajne cytadele. Na wschodzie wznosiła się piramida Melee-Magthere, gdzie Ryld i jemu podobni robili z nieopierzonych drowów wojowników. Pod zachodnią ścianą stała zwieńczona wieloma iglicami wieża Sorcere, gdzie Pharaun i jego koledzy uczyli czarodziejstwa, zaś na północy przyczała się największa i najbardziej imponująca ze szkół, Arach-Tinilith, świątynia zbudowana na kształt pająka o ośmiu odnóżach. Wewnątrz niej kapłanki Lolth, bogini pajaków, chaosu, skrytobójców i drowów, szkoliły młode drowki, by służyły bogini, gdy nadejdzie ich kolej.

Lecz Tier Breche, choć wspaniała, rozpatrywana we właściwym kontekście stanowiła jedynie szczegół o wiele świetniejszej sceny. Akademia mieściła się w bocznej jaskini, zaledwie wnęce otwierającej się na znacznej wysokości w ścianie naprawdę ogromnej kawerny. Główna jaskinia mierzyła dwie mile szerokości i tysiąc stóp wysokości, a całą tę przestrzeń wypełniało Menzoberranzan.

Na dnie kawerny świeciły wśród ciemności błękitem, zielenią i fioletem pałace wykute, podobnie jak Akademia, z naturalnych formacji kalcytu. Fosforyzujące posiadłości wyznaczały granice płaskowyżu Qu'elllar'orl, gdzie osiedlili się Baenre i inne, niemal równie potężne domy dystryktu Zachodniej Ściany, gdzie pomniejsze, lecz wciąż znaczne rodziny szlacheckie spiskowały, jak zająć miejsce mieszkańców Qu'elllar'orlu; oraz Narbondellynu, gdzie parwienusze knuli plany wygryzienia mieszkańców Zachodniej Ściany. Jeszcze inne pałace, wykute w stalaktytach, zwisały z wyniosłego sklepienia.

Szlachta Menzoberranzan rozświetliła swoje domostwa wewnętrznym blaskiem, aby pochwalić się ich ogromem, pełną wdzięku linią i ornamentami wyrzeźbionymi na ich ścianach. Większość płaskorzeźb przedstawiała pająki i pajęczyny, co zdaniem Rylda nie było specjalnie zaskakujące w krainie, gdzie Lolth była jedynym czczonym bóstwem, a jej kapłanki sprawowały władzę zarówno w

doczesnym, jak i duchowym znaczeniu.

Nie wiedzieć czemu, wszechobecność tego motywu wydała się Ryldowi przytłaczająca, skupił się więc na innych szczegółach. Jeśli drow miał dobry wzrok, był w stanie dostrzec lodowate głębiny jeziora Donigarten w wąskim, wschodnim krańcu jaskini. Na wyspie pośrodku jeziora mieszkały przypominające bydło zwierzęta o nazwie rothe i niewolne gobliny, które je pasły.

Był jeszcze, rzecz jasna, sam Narbondel. Był to jedyny fragment skały na dnie jaskini, który nie został poddany obróbce - gruba, nieregularna kolumna sięgająca aż do samego sklepienia. Na początku każdego dnia arcymag Menzoberranzan rzucał czar na jej podstawę, podgrzewając ją, aż skała zaczynała się żarzyć. Ponieważ blask podążał w górę w stałym tempie, jego postępy pozwalały mieszkańcom miasta stwierdzić, która godzina.

Na swój sposób, jak przypuszczał mistrz Melee-Magthere, on i Pharaun stanowili widok nawet jeśli nie tak wspaniały jak roztaczająca się przed nimi panorama, to przynajmniej osobliwy z racji zachodzących między nimi kontrastów. Mag Mizzrym, ze swoją drobną budową, eleganckim sposobem bycia, fircykowanym, wytwornym odzieniem i wymyślną fryzurą, był uosobieniem tego wszystkiego, czym powinien być wyrobiony szlachcic i mag. Ryld natomiast stanowił swego rodzaju kuriozum. Wielki jak na przedstawiciela swej płci, wyższy niż niejedna kobieta, szeroki w barach. Przy tak potężnej budowie ciała lepiej nadawałby się na nieokrzesanego człowieka niż mrocznego elfa. Jego dziwny wygląd potęgował jeszcze krasnoludzki napierśnik i zarekawia, noszone zamiast lekkiej, giętkiej kolczugi. Zbroja ta ściągała ku niemu czasem kose spojrzenia, ale odkrył, że maksymalizowała jego skuteczność jako wojownika, a to, jak zawsze uważał, było coś, co liczyło się naprawdę.

Ryld i Pharaun dotarli do krawędzi Tier Breche i usiedli tak, że nogi zwisały im ze stromego urwiska. Siedzieli zaledwie kilka jardów od schodów, które łączyły Akademię z rozpościerającym się poniżej miastem, a u których szczytu, obok bliźniaczych kolumn, stało dwóch wartowników - studentów ostatniego roku Melee-Magthere. Ryld pomyślał, że on i Pharaun znajdują się wystarczająco daleko, by mieć trochę prywatności, o ile nie będą podnosić głosu.

Podnosić głosu, ale nie milczeć. Mag, jak zawsze sensualista, siedział w milczeniu, rozkoszując się rozpościerającą się przed nim panoramą. Kontemplował ją już wystarczająco długo, by usta Rylda zaczęły się zaciskać z niecierpliwością, choć wojownik sam zachwycał się widokiem, gdy tu podchodzili.

- My, drowy, nie kochamy się, chyba że w sensie cielesnym - zauważył w końcu Pharaun - ale myślę, że można pokochać samo Menzoberranzan, nie sądzisz? A przynajmniej być z niego bardzo dumnym.

- Skoro tak twierdzisz.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie. Znowu czujesz się podle?

- Czuje się dobrze. A przynajmniej lepiej, widząc cię wciąż wśród żywych.

- Przypuszczałeś, że Gromph mnie stracił? Czyżby mój występki wyglądał aż tak poważnie? Ty nigdy nie uśmierciłeś ani jednego z naszych młodziutkich kadetów?

- To zależy od tego, jak na to spojrzeć - odparł Ryld. - Trenowanie sztuk walki jest z samej swej natury niebezpieczne. Wypadki się zdarzają, ale nikt nigdy nie miał wątpliwości, że są to wypadki mające miejsce podczas normalnej działalności Melee-Magthere. Bogini wie, że nigdy nie straciłem siedmiu uczniów w przeciągu jednej godziny, w tym dwóch należących do domów, które mają miejsca w Radzie. Jak coś takiego może się zdarzyć?

- Potrzebowałem siedmiu asystentów posiadających pewne magiczne kompetencje, aby pomogli mi odprawić rytuał przywołania. Gdybym zwrócił się do pełnoprawnych czarodziejów, wzięliby udział w eksperymencie jako równi mi partnerzy. Z rytuału wynieśliby te same nowe odkryte sekrety co ja, byliby również zdolni przywołać i kontrolować demona Sarthosa. Naturalnie chciałem tego uniknąć, zamiast nich wolałem więc użyć uczniów. - Pharaun wyszczerzył zęby i kontynuował - Z perspektywy czasu widzę, że nie był to najlepszy pomysł. Zmiażdżenie ich wszystkich nie zajęło demonowi nawet siedmiu uderzeń serca.

Obok twarzy Rylda przemknął prąd powietrza, niosąc nieustający szmer rozciągającej się w dole metropolii. Drow wyczuł też jej zapach, złożoną woń składającą się z dymu, kadzideł, perfum, smrodu niedomytych niewolników i tysiąca innych rzeczy.

- Po co w ogóle odprawiać tak niebezpieczny rytuał? - zapytał.

Pharaun uśmiechnął się, jak gdyby pytanie było niemądre. Może było.

- By stać się jeszcze potężniejszym, ma się rozumieć - odrzekł czarodziej. - Obecnie jestem jednym

z trzydziestu najpotężniejszych magów w mieście. Gdyby udało mi się przejąć kontrolę nad Sarthosem, byłbym jednym z pierwszych pięciu. Może nawet pierwszym, potężniejszym nawet od staruszka Grompha.

- Rozumiem.

Ambicja była nieodłączną cechą charakteru drowa, a Ryld czasem zazdrościł Pharaunowi pasji, z jaką ten walczył o swój status. Wojownik przypuszczał, że on sam osiągnął szczyt swoich ambicji, kiedy został jednym z pomniejszych mistrzów Melee-Magthere, bo z pewnością on, plebejusz, nie był w stanie wspiąć się wyżej. Od tego dnia przestał spoglądać łakomie w górę i skupił się na patrzeniu w dół, by mieć się na baczności przed tymi wszystkimi, którzy chcieli go zabić w nadziei na zajęcie jego stanowiska.

Pharaun był mistrzem Sorcere, tak jak Ryld był mistrzem Melee-Magthere, ale może Pharaun, w którego żyłach płynęła błękitna krew, rzeczywiście pragnął zamordować potężnego Grompha Baenre i zająć jego stanowisko. Nawet jeśli nie, czarodzieje, z racji swej skomplikowanej i tajemnej sztuki rywalizowali o coś więcej niż to, kto jest mistrzem, kto jest głównym czarodziejem w znaczącym domu, a kto nie. Obchodziło ich także to, kto zna najbardziej ezoteryczne sekrety, potrafi przywołać najbardziej zabójczą zjawę, albo najwyraźniej widzieć przyszłość. Prawdę powiedziawszy, obchodziło ich to tak bardzo, że od czasu do czasu usiłowali mordować się nawzajem i kraść sobie księgi z zaklęciami, nawet gdy tego typu działania były sprzeczne z interesem ich domów, rozbijały jakiś sojusz albo przerywały negocjacje.

- Teraz - powiedział Pharaun, wsuwając rękę między eleganckie fałdy swojego piwafwi i wyjmując stamtąd srebrną flaszeczkę - będę musiał zostawić na trochę demona Sarthosa. Mam nadzieję, że biedny behemot nie będzie się czuł samotny pod moją nieobecność.

Otworzył butelkę, pociągnął łyk i podał ją Ryldowi.

Ryld miał nadzieję, że flaszeczka nie zawiera wina albo jakiegoś egzotycznego likieru. Pharaun bez przerwy wmuszał w niego takie trunki i upierał się, żeby spróbował rozpoznać wszystkie składniki, które ponoć współgrały ze sobą, tworząc smak, choć Ryld raz po raz udowodniał, że jego podniebienie nie jest zdolne do tak wnikliwej analizy.

Napił się i z zadowoleniem odkrył, że flaszeczka zawiera dla odmiany zwykłą brandy, prawdopodobnie importowaną niemałym kosztem z niegościnnego świata, który otaczał Podmrok niczym łupina, smażąc się w nieznośnym słońcu. Trunek palił go w gardło, ale rozszedł się przyjemnym ciepłem po żołądku.

Ryld oddał brandy Pharaunowi i powiedział

- Przypuszczam, że Gromph kazał ci zostawić tę istotę w spokoju.

- Rzeczywiście. Przydzielił mi inne zadanie, żeby mnie czymś zająć. Jeśli mi się uda, arcymag wybaczy mi moje przewinienia. Jeśli nie... cóż, liczę na przyjemną dekapitację albo garotę, ale nie jestem aż takim optymistą, żeby spodziewać się czegoś równie szybkiego.

- Jakie zadanie?

- Kilku mężczyzn uciekło ze swoich rodzin, i to nie do jakiegoś kupieckiego klanu czy Bregan D'aerthe, ale w jakieś nieznanne miejsce. Mam ich odnaleźć.

Pharaun pociągnął kolejny łyk, po czym wyciągnął flaszkę do fechmistrza.

- Co ukradli? - zapytał Ryld, dziękując gestem.

Pharaun uśmiechnął się.

- Niezły strzał, ale jesteś w błędzie - rzekł. - Z tego, co wiem, nikt nie wyniósł niczego ważnego. Widzisz, to nie jest kilku młodzików z jednego domu. To spora grupa, i to z wielu rodzin, zarówno szlacheckich, jak plebejskich.

- No dobrze, ale co z tego? Dlaczego obchodzi to arcymaga Menzoberranzan?

- Nie wiem. Jakoś mętnie się tłumaczył, ale jest coś, o czym mi nie powiedział.

- To nie ułatwi ci zadania.

- Święta prawda. Stary tyran przyznał, że nie jest jedyną osobą zainteresowaną miejscem pobytu uciekinierów. Kapłanki są równie zaniepokojone, ale to wcale nie skłoniło ich do połączenia sił z Gromphem. Sama matka opiekunka Baenre rozkazała mu porzucić tę sprawę.

- Opiekunka Baenre - rzekł Ryld. - Z każdym słowem coraz mniej mi się to podoba.

- O, nie wiem. Tylko dlatego, że Triel Baenre rządzi całym Menzoberranzan, a ja mam zamiar sprzeciwić się wyraźnemu życzeniu... W każdym razie arcymag twierdzi, że sam nie może już zajmować się tymi zniknięciami. Wygląda na to, że panie mają go na oku, ale ja mam to szczęście, że nie jestem w

ten sposób obciążony.

- To nie znaczy, że odnajdziesz zaginionych mężczyzn. Jeśli uciekli z miasta, mogą już być w każdym zakątku Podmroku.

- Proszę - powiedział Pharaun, szczerząc zęby - nie musisz mnie pocieszać. Faktycznie, mam zamiar rozpocząć poszukiwania w Eastmyrze i Braerynie. Wygląda na to, że kilku uciekinierów widziano ostatni raz w tych podrzędnych dzielnicach i możliwe, że wciąż tam są. Nawet jeśli rzeczywiście zamierzają opuścić Menzoberranzan, możliwe, że wciąż przygotowują się do podróży.

- Jeśli już wyruszyli - powiedział Ryld - mógłbyś przynajmniej znaleźć świadka, który powie ci, który tunel wybrali. To sensowny plan, ale jestem w stanie wymyślić inny. Brawurą jest ryzykowanie życiem, jeśli nawet nie znasz reguł gry. Sam mógłbyś uciec z Menzoberranzan. Jako czarodziej jesteś jednym z niewielu ludzi zdolnych do odbycia tak niebezpiecznej podróży w pojedynkę.

- Mógłbym spróbować - rzekł Pharaun - ale podejrzewam, że Gromph by mnie wyśledził. Nawet gdyby mu się to nie udało, straciłbym mój dom i zaprzepaścił stanowisko, na którą pracowałem całe życie. Czy zrezygnowałbyś z bycia mistrzem tylko po to, żeby uniknąć niewielkiego niebezpieczeństwa?

- Nie.

- Więc rozumiesz moje położenie. Przypuszczam, że domyśliłeś się też, po co cię dziś wezwałem.

- Chyba tak.

- Oczywiście. Jedno jest pewne - moje szanse przetrwania zwiększą się, jeśli będę miał towarzysza, który będzie mnie osłaniał.

Ryld skrzywił się.

- Masz na myśli towarzysza, który ma ochotę sprzeciwić się wyraźnemu życzeniu matki opiekunki Baenre i ryzykować narażeniem się arcymagowi Menzoberranzan.

- Właśnie, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyglądasz na drowa, który potrzebuje zerwać z codzienną rutyną. Wiesz, że umierasz z nudów. Słuchanie, jak zrzędzisz przez cały dzień, sprawia mi ból.

Ryld zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział

- Dobrze. Może dowiemy się czegoś, co uda nam się obrócić na naszą korzyść.

- Dziękuję, mój przyjacielu. Jestem twoim dłużnikiem. - Pharaun pociągnął łyk i znów wyciągnął flaszkę do towarzysza. - Wypij resztę. Został jeszcze tylko jeden łyk. Wygląda na to, że wyłopaliśmy całą pintę w kilka minut, choć to zgoła nieprawdopodobne - tacy wytworni, dystyngowani chłopcy jak my...

Coś strzeliło i zaskwierczało nad ich głowami. Poczuli napierające na nich fale ciśnienia. Ryld spojrział w górę, zaklął, zerwał się na równe nogi i dobył sztyletu, żałując, że przed opuszczeniem Melee-Magthere nie wziął ze sobą broni.

Pharaun wstał w spokojniejszy sposób.

- Bardzo interesujące - rzekł.

ROZDZIAŁ 2

Z wijącym się zmijowym biczem w dłoni, wśród szelestu miękkiej, cienkiej sukni, Quenthel Baenre, mistrzyni Arach-Tinilith, chodziła w tę i z powrotem niespokojnym krokiem, mierząc wściekłym spojrzeniem młodsze kobiety, które zebrały się na środku oświetlonej świecami, wyłożonej marmurem sali. Zawsze potrafiła zasiał strach w sercach tych, którzy ją zawiedli, a te uczennice nie należały do wyjątków. Niektóre trzęsły się albo wyglądały tak, jakby starały się powstrzymać od płaczu, a nawet te nachmurzone i marudne nie chciały spojrzeć jej w oczy.

Rozkoszując się ich niepokojem, Quenthel kontynuowała swą niemą inspekcję, co w końcu stało się niemal nie do wytrzymania, po czym strzeliła z bicza. Niektóre zaskoczone uczennice jęknęły i podskoczyły.

Piątka długich, pokrytych czarnymi i purpurowymi pasami żmij, stanowiących rzemienie bicza, uniosła się badawczo, wijąc się na diamentowej ręczce. Quenthel odezwała się.

- Przez całe życie wasze matki powtarzały wam, że gdy studentka dostaje się do Tier Breche, pozostaje tu przez 10 lat, odizolowana od miasta na dole. W dniu, w którym wstąpiłyście do Akademii, powiedziałam wam to samo.

Podeszła do jednej z uczennic uwięzionej z przodu grupy, Gaussry Kenafin, nieco pulchnej elfki o okrągłej twarzy i zębach równie czarnych jak jej skóra. W odpowiedzi na niewypowiedziane życzenie Quenthel żmije zaczęły badać ciało nowicjuszek, unosząc się nad jego zarysami i wysuwając języki. Mistrzyni Arach-Tinilith widziała, że Gaussra bardzo się stara nie odsunąć, żeby nie sprowokować gadów do rzucenia się na nią.

- A zatem wiedziałyście o tym, czy tak? - zapytała miękko Quenthel.

- Tak - wydyszała Gaussra. - Przepraszam. Proszę, zabierz węże!

- Cóż za impertynencja. Straciłyście prawo do proszenia mnie o cokolwiek. Możecie ją pocałować.

Ostatnie zdanie było skierowane do żmij, które zareagowały natychmiast, wbijając swoje długie kły w policzek, gardło, ramię i pierś dziewczyny Gaussra runęła na ziemię - całkowicie przygotowana na to, że zaraz dostanie ataku i zacznie się ślinić, przygryzając zębami fioletowy język.

Trzęsąc się z bólu wywołanego ukąszeniami, Gaussra usiadła na podłodze. Była jak najbardziej żywa, ale widać było, że jest przerażona i że została całkowicie upokorzona.

- Powrócisz do swojego domu - rzekła Quenthel, rozkoszując się wyrazem twarzy Gaussry, do której docierało prawdziwe znaczenie tego stwierdzenia. - A jeśli ponownie znajdziesz się w zasięgu mojego bicza, żmije pozwolą popłynąć jadowi.

Quenthel odstąpiła od Gaussry, która podniosła się z trudem i wybiegła z komnaty.

- Wszystkie wiedziałyście, czego się od was oczekuje - zwróciła się do pozostałych nowicjuszek przełożona - ale próbowałyście wymknąć się do domu. To afront dla Akademii, waszych własnych rodzin, Menzoberranzan i samej Lolth.

- Chciałyśmy się oddalić tylko na trochę - odezwała się Halavin Symryvvin, która wydawała się nosić na sobie połowę bogactw swego nieznacznego domu, w postaci krzykliwych, złotych ozdób. - Wróciłybyśmy z powrotem.

- Kłamiesz! - wrzasnęła Quenthel, a dziewczyna wzdrygnęła się.

Stając dęba, żmije powtórzyły okrzyk jak echo.

- Kłamiesz!

- Kłamiesz!

- Kłamiesz!

W innych okolicznościach Quenthel mogłaby się uśmiechnąć, była bowiem dumna ze swej broni. Wiele kapłanek posiadało zmijowe bicze, ale jej był niezwykły. Węże były jadowite, a także obdarzone inteligencją i zdolnością mówienia. Było to ostanie magiczne narzędzie, które stworzyła, zanim wszystkiego nie trafił szlag.

- O tak, wróciłybyście - ciągnęła - ale tylko dlatego, że wasze matki odesłałyby was z powrotem albo zabiły za to, że je zhańbiłyście. Są na tyle rozsądne, by pielęgnować święte tradycje Menzoberranzan, nawet jeśli nie dotyczy to ich zdegenerowanych pociech. Gdybym was zarznęła, wasze matki też nie miałyby mi tego za złe. Dziękowałyby mi za to, że zmyłam piętno ciążyące na ich domach. Ale Lolth pragnie nowych kapłanek i wbrew pozorom istnieje niewielka możliwość, że jedna czy dwie z was są godne tego, by jej służyć. Dlatego dam wam jeszcze jedną szansę. Nie umrzecie dzisiaj. Zamiast

tego odrąbiecie sobie po jednym palcu z każdej dłoni i spalicie je przed ołtarzem bogini, aby błagać ją o przebaczenie. Zadzwonię po topór i pieniek.

Quenthel wodziła wzrokiem po wstrząśniętych twarzach, rozkoszując się chorobliwym, obezwładniającym przerażeniem, które się na nich malowało. Będzie ją bawiło obserwowanie samych aktów okaleczania się. Najbardziej zabawny powinien być moment, gdy nowicjuszka, okaleczywszy już sobie jedną dłoń, będzie musiała jej użyć do okaleczenia drugiej...

- Nie!

Zaskoczona tym wybuchem, Quenthel poszukała wzrokiem uczennicy, która się odezwała. Grupa niedoszłych wagarowiczek ułatwiła jej zadanie, rozstępując się na boki i tworząc przejście prowadzące do wiotkiej elfki stojącej z tyłu. Była to Drisnil Barrison Del'Armgo, posiadaczka szpiczastego nosa i zielonych oczu, którą Quenthel od samego początku podejrzewała o namawianie koleżanek do grupowej ucieczki. Długonogiej nowicjuszce udało się w jakiś sposób przemycić na sesję dyscyplinarną spory sztylet, właściwie krótki miecz. Trzymała go nisko, zasłaniając się nim.

Quenthel zareagowała tak, jak zareagowałby każdy inny mroczny elf na jej miejscu. Pragnęła przyjąć wyzwanie i zabić kobietę. Odczuwała żądzę mordu jak zmysłowe napięcie domagające się gwałtownego zaspokojenia. Żmije, w odpowiedzi na ten przyływ emocji, czy też rozdrażnione arogancją Drisnil, stanęły dęba i zasyczały.

Problem polegał na tym, że pomimo zapewnień Quenthel uczennice nie były całkowicie pozbawione znaczenia. Były surową, acz cenną rudą wysyłąną do Akademii, aby została uszlachetniona i przekuta na użyteczne narzędzia. Nikt nie przejąłby się kilkoma amputowanymi paluszkami, ale matki opiekunki oczekiwały, że ich dzieci, a w każdym razie ich większość, przeżyje edukację. Tymczasem ten zidiociały renegat Mizzrym postarał się, by przestało to być takie pewne. To prawda, Pharaun uśmiercił tylko mężczyzn, ale i tak według jakichkolwiek rozsądnych rachub wyczerpał już limit dopuszczalnych zgonów uczniów na kilka nadchodzących lat.

W tej sytuacji zabicie przez Quenthel jednej ze studentek, a zwłaszcza studentki należącej do potężnej rodziny Barrison Del'Armgo, nie było najlepszym pomysłem. Quenthel nie chciała doprowadzić do nieporozumień pomiędzy Akademią a szlachetnymi domami, gdy Menzoberranzan i tak groził już upadek. Poza tym obawiała się nieco, że niedoszłym uciekinierkom mogłoby przyjść do głowy, żeby przyłączyć się do walki po stronie prowodyrki.

Quenthel uciszyła żmije myślą, wbiła w Drisnil najsurowsze ze swych spojrzeń i powiedziała

- Zastanów się.

- Zastanawiałam się już dość - odparła Drisnil. - Zastanawiałam się, dlaczego mamy spędzać dziesięć lat swojego życia uwięzione w Tier Breche, jeśli nic nam z tego nie przyjdzie?

- Wręcz przeciwnie - odrzekła Quenthel, nie przestając świdrować wzrokiem uczennicy. - Tutaj uczycie się tego wszystkiego, co musi wiedzieć dama z Menzoberranzan.

- Czego? Czego się uczyć?

- W tej chwili cierpliwości i posłuszeństwa.

- Nie po to tu jestem.

- Najwyraźniej. A więc rozważ to. Wszystkie kapłanki Menzoberranzan prowadzą teraz grę, której celem jest przekonanie innych, że wszystko jest w porządku. Jeśli studentka opuści przedwcześnie Arach-Tinilith, czego jeszcze żadna nie zrobiła od założenia miasta, wyda się to podejrzanym i będzie sugerowało, że coś jest nie w porządku.

- Może nie obchodzi mnie ta gra.

- Obchodzi twoją matkę, która gra w nią z takim samym zaangażowaniem jak pozostałe z nas. Myślisz, że przyjmie cię z otwartymi ramionami, jeśli zagroziś naszym staraniom?

Drisnil mrugnęła - był to pierwszy znak, że spojrzenie Quenthel zaczynało wyprowadzać ją z równowagi.

- Ja... tak, oczywiście, że tak!

- Ciebie, zdraczynię własnego domu, własnego miasta, własnej płci i samej bogini?

- Bogini...

- Nie mów tego! - warknęła Quenthel. - Albo twoje życie się skończy, a twoja dusza zostanie skazana na wieczne męczarnie. Przemawiam nie tylko jako mistrzyni Arach-Tinilith, ale jako Baenre. Pamiętasz Baenre, Barrison Del'Armgo? Jesteśmy pierwszym domem, a ty należysz tylko do drugiego. Nawet jeśli uda ci się opuścić Arach-Tinilith, nawet jeśli twoja grubiańska i nieokrzesana matka okaże się

na tyle niemądra, żeby przyjąć cię z powrotem do tej nory, którą wy, Barrison Del'Armgo, nazywacie domem, nie przeżyjesz nawet miesiąca. Moja siostra Triel, matka opiekunka Baenre, osobiście dopilnuje, żebyś została zgładzona.

Była to prawda. Obie siostry Baenre szczerze się nienawidziły, ale kiedy chodziło o utrzymanie supremacji ich domu, udzielały sobie bezwarunkowego poparcia.

Drisnil przełknęła ślinę i opuściła odrobinę wzrok.

- Pani, nie chciałam cię urazić. Nie chcę tylko się okaleczyć.

- Ale to zrobisz, nowicjuszko, i to niezwłocznie. Naprawdę nie masz żadnego wyboru... i świetnie się składa, że masz już nóż w ręku.

Drisnil znów przełknęła ślinę i trzęsącą się nieco ręką przysunęła ostrze do miejsca, w którym miała zamiar uciąć mały palec. Quenthel uważała, że nowicjuszce byłoby łatwiej, gdyby przeszła kilka kroków i położyła palec na pobliskim stole, ale ta najwyraźniej rozumiała zwrot „niezwłocznie” całkiem dosłownie. Wysoka kapłanka nie miała nic przeciwko temu. W wyobraźni rozkoszowała się już pierwszym cięciem, gdy powietrze rozdarł ryk brzmiały niczym ostry dźwięk stu rogów glaur.

Quenthel zawahała się przez chwilę. Nie była przerażona, lecz dezorientowana. Powiedziano jej, co oznacza ten paskudny dźwięk, ale nie spodziewała się, że go kiedykolwiek usłyszy. Z tego, co wiedziała, jak dotąd nikt go jeszcze nie słyszał.

Kapłanki Menzoberranzan łączyły z mieszkańcami Otchłani zawile stosunki. Niektóre piekielne istoty były rycerzami i służebnymi Lolth i podczas modłów były czczone jako takie, ale przy innych okazjach kleryczki nie miały żadnych skrupułów, żeby usidlać duchy zaklęciami przyzywającymi i zmuszać je do wypełniania rozkazów. Czasami stwory te nawiedzały fizyczny plan z własnej woli, mordując każdego śmiertelnika, który stanął im na drodze, nie wyłączając drowów, które według niektórych relacji były ponoć z nimi spokrewnione.

Założyciele Akademii osłonili Tier Breche w ogólności, a Arach-Tinilith w szczególności, zaklęciami, które miały za zadanie powstrzymać przed wtargnięciem do środka wszystkie duchy oprócz tych, których obecności życzyli sobie sami mieszkańcy. Niezliczone pokolenia kapłanek uważały owe zabezpieczenia za niezawodne, ale jeśli ogłuszający alarm nie był fałszywy, bariery padały jedna za drugą.

Ryk wydawał się dochodzić z południa. Zapomniawszy o wymierzeniu kary, Quenthel pobiegła w tym kierunku, mijając niezliczone kaplice, ołtarze i ikony przedstawiające Lolth zarówno w jej pajęczej, jak i elfiej postaci. Drowka mijala klasy, gdzie wykładowcy nauczali dogmatów, rytuałów, magii objawień, zadawania tortur, składania ofiar i wszystkich innych umiejętności, które musiały posiadać nowicjuszki. Zapomniawszy o książkach, tablicach i skamlących niewolnikach, na których przeprowadzano sekcje, niektóre nauczycielki i uczennice wydawały się bliskie wyruszenia na poszukiwanie przyczyny alarmu, podczas gdy inne wciąż wyglądały na zaskoczone i dezorientowane.

Ryk umilkł. Albo demon zrezygnował z prób dostania się do środka, albo sforsował wszystkie osłony. Quenthel podejrzewała, że w grę wchodzi raczej ta druga możliwość, i kiedy rozległy się wrzaski, wiedziała już, że miała rację.

- Wiesz, co próbuje się tu dostać? - wysapała.

- Nie - syknął Yngoth, chyba najmądrzejszy z węży. - Intruz osłonił się przed Wzrokiem.

- Cudownie.

Rozbrzmiewające echem krzyki zaprowadziły Quenthel do przestronnej, oświetlonej świecami sali, wypełnionej wykonanymi z czarnego marmuru wielkimi posągami pajaków, które ustawiono tu, aby wejście do świątyni robiło jak największe wrażenie. Strzaskane skrzydła ogromnych, adamantytowych wrót były rozwarłe i zwisały krzywo z na wpół wyłamanych zawiasów, pozwalając dostrzec rozpościerający się przed świątynią płaskowyż. Kilka kapłanek, poturbowanych i nieprzytomnych, leżało na podłodze. Przez chwilę Quenthel nie była w stanie stwierdzić, kto był sprawcą tego bałaganu, ale zaraz potem winowajca przebiegł przez jej pole widzenia, śpiesząc w stronę kolejnej nieszczęsnej służki Lolth. Intruz był gigantycznym pajakiem bardzo podobnym do połyskujących czarnych posągów dookoła. Na jego widok twarz Quenthel wykrzywił grymas niezadowolenia. Kapłanka poczuła nieznaną jej dotąd nieprzyjemne ukłucie zwątpienia.

Z jednej strony demon, jeśli istota rzeczywiście nim była, atakował jej uczennice i służbę, ale z drugiej był rodzajem pajaka, świętego stworzenia Lolth. Być może był to nawet jej emisariusz, wysłany, aby ukarać słabych i heretyków. Może Quenthel powinna się usunąć i pozwolić mu kontynuować dzieło

zniszczenia.

Wyczuł ją w jakiś sposób, odwrócił się i rzucił w jej stronę, jak gdyby to właśnie jej przez cały czas szukał.

Choć wiele pajaków posiadało kilka par oczu, ten, jak zauważyła Quenthel, był pod tym względem wyjątkowy, wręcz zdeformowany. Głowa, z której wyrastały wyszczerbione szczękoczułki, składała się niemal całkowicie z masy wybałuszonych oczu, a kolejne otwierały się tu i ówdzie na całym lśniącym, czarnym, obłym odwłoku.

Pomimo jego dziwnego wyglądu wyraźnie wrogie zamiary pająka błyskawicznie rozwiały wątpliwości Quenthel. Zabije dziwną istotę.

Pytanie brzmiało: jak? Nie czuła się słaba - nigdy dotąd sobie na to nie pozwoliła i nie miała zamiaru sobie na to pozwolić ale wiedziała, że nie była to najodpowiedniejsza chwila na stoczenie walki. Na domiar złego nawet nie miała na sobie kolczugi ani piwafwi. Rzadko nosiła je w murach Arach-Tinilith. Głównie dlatego, że jej podwładne bały się jej za bardzo, żeby próbować skrytobójstwa, a ona zawsze była pewna, że pancerz nie będzie jej potrzebny, żeby rozczarować kogoś, kto by się jej nie bał.

Cofając się przed atakującym pajakiem, otworzyła szczupłymi dłońmi barwy obsydianu sakwę przy pasie, wyjęła z niej zwój pergaminu i rozprostowała go, by mu się dokładniej przyjrzeć. Robiła to wszystko z wyćwiczoną swobodą, ale również z pewnym rozdrażnieniem, ponieważ magiczny zwój był skarbem, a ona miała go właśnie zużyć. Ale było to konieczne, a pergamin nie był jedynym magicznym narzędziem, które zgromadzono w tych murach.

Pospiesznie, ale zachowując idealny rytm i wymowę, odczytała wersy, a w miarę jak wypowiadała słowa, złote litery znikaly z karty. Mroczny, pozbawiony ciepła płomień zeskokczył z pergaminu na podłogę i wystrzelił po wypolerowanej powierzchni szybciej niż ogień pochłaniający martwe, suche grzyby, znacząc ścieżkę prowadzącą od niej do demona.

Czarna pożoga omyła drobne końce odnóży bestii. Powinna była też zmusić wielooką istotę do bezradnej ucieczki, ale tak się nie stało. Pająk wciąż zbliżał się równie zwinnie jak wcześniej, czyli innymi słowy znacznie szybciej niż przy najlepszych chęciach byłby w stanie poruszać się drow.

- Demon ma osłony przed magią! - krzyknął K'Sothra, chyba najmniej inteligentny z węży i zdecydowanie ten o największych skłonnościach do stwierdzania tego, co oczywiste.

Quenthel nie miała czasu, żeby rzucić kolejne zaklęcie, zanim pająk do niej dotrze, nie była też w stanie mu uciec. Musiała go jakoś wyprowadzić w pole. Upuściwszy bezużyteczny pergamin, odwróciła się i zanurkowała pod brzuchem jednego z posągów. O ile intruz nie potrafi się kurczyć albo zmieniać postaci, nie będzie w stanie zmieścić się pod czymś tak niskim.

Drowka czołgała się po podłodze, czując, jak płoną jej otarte łokcie. Jeden z węży zaklął plugawo, uderzając pokrytą łuską, klinowatą głową o kamień. Przetoczyła się na plecy i zobaczyła, że zyskała zaledwie chwilę. Nie, demon nie był w stanie wśliznąć się pod posąg, ale wspinał się właśnie na jego szczyt, łypiąc wściekle oczyma. Z bliska roztaczał ohydny smród padliny.

Quenthel wiedziała, że jeśli pozwoli pajakowi skoczyć na siebie z wysoka, potwór przygwoździ ją do ziemi i rozerwie na strzępy szczękoczułkami. Zerwała się na równe nogi i świsnęła biczem.

Żmije zwinęły się w locie, aby trafić w cel. Ich jadowite kły zatopiły się głęboko i szarpnęły w dół, rozcinając niektóre z wybałuszonych oczu demona. Z organów wypłynęła jakaś ciecz, oczy zapadły się, a żmije rzuciły się z radości.

Quenthel czuła ich uniesienie poprzez psioniczną więź, którą dzieliły, ale wiedziała, że ich radość jest przedwczesna. Pająk miał całą masę oczu, a cios powstrzymał go tylko na chwilę. Wciąż miał zamiar skoczyć.

Choć przyłapana bez swych magicznych przedmiotów, Quenthel miała przynajmniej na sobie naszyjnik z czarnych, matowych pereł. Uniosła rękę, zsunęła jeden z zaczarowanych koralików ze specjalnie w tym celu sporządzonego złotego łańcuszka i rzuciła nim w pająka.

Białe światło rozbłysło wokół niej, emanując jednocześnie ze wszystkich stron. Lolth niech będą dzięki, tym razem jej magia poskutkowała. Pająk pośliznął się i zatrzymał. Zamknięty w niewidzialnej kuli magicznej siły rzucał się panicznie. Na skutek eksplozji na ciele stwora otworzyły się straszliwe rany. Niestety, najwyraźniej był w stanie zignorować ból, jaki mu sprawiały, i wciąż drapał ograniczającą go kulę. Niebiesko-białe iskry zamigotały u koniuszków jego odnóży - Quenthel wiedziała, że nie tylko brutalna siła i panika pomagają mu się wydostać.

Przemów do mnie, pomyślała Quenthel, pewna, że pająk usłyszy te słowa w swoim umyśle.

Wyczuwała połączenie z nim, ale słabe, być może osłabione przez kulę mocy.

Kula rozplynęła się, gdy Quenthel ponownie machnęła biczem, próbując strzaskać odrażającą fizjonomię stwora oraz mózg, który przypuszczalnie się za nią krył.

Pająk odskoczył tak gwałtownie, jak jeden z jego maleńkich skocznych kuzynów, zataczając wysoki łuk i lądując w przeciwnym końcu sali, za szeregiem posągów. Duch przemknął w cieniu i choć Quenthel obserwowała go uważnie, w następnej sekundzie straciła go z oczu.

Gdzie jesteś? - spytała w myśli.

Odpowiedzią był wybuch gniewu, którego słowa nie były w stanie oddać. Quenthel zrezygnowała z prób komunikacji, choć gdyby istota była służką Lolth, powinna była odpowiedzieć.

- Mogłabyś się teraz wydostać, mistrzyni - odezwał się Hsiv, pierwszy imp, którego Quenthel uwięziła w ciele żmii. - Dobiegłabyś do drzwi, zanim byłby w stanie cię dosięgnąć.

- Bzdura! - odwarknęła. - Ta bestia zakłóciła spokój mojej Akademii, zagroziła mojej osobie, a ja chcę się zemścić.

Pasiaste żmije, którym udzieliła się jej wściekłość, unosiły się i syczały, aż musiała uciszyć je mentalnym rozkazem.

Jedna z kapłanek leżących na podłodze jęczała z bólu. Quenthel podeszła szybkim krokiem do ofiary pająka i kopnęła ją w głowę, natychmiast ją uciszając.

Wysoka kapłanka wyeliminowała wszelkie odgłosy zewnętrzne, ale nie pomogło jej to w zlokalizowaniu pająka. Jeśli nie liczyć cichego świstu jej własnego oddechu, w sali panowała całkowita cisza.

Odwracając się powoli, z bijącym sercem przyjrzała się otaczającym ją ze wszystkich stron podobiznom pajęczaków. Czy tamto członowane, pałakowate odnóże nie drgnęło właśnie? Czy tamta głowa, odwrócona z fałszywą skromnością pod takim kątem, że nie mogła się jej dokładniej przyjrzeć, nie miała zbyt wielu oczu? Czy posąg po prawej nie przysunął się odrobiną bliżej, gdy nie patrzyła w jego stronę?

Nie, nie, i jeszcze raz nie. To tylko jej wyobraźnia, usiłująca dostarczyć jej tego, czego nie była w stanie dostarczyć obserwacja.

Pociągnęła kilka razy nosem, ale to też nie pomogło. Smród pająka wisiał w powietrzu, ale nie sposób było ustalić, z którego kierunku dochodził najintensywniejszy.

A niech to, ten demon musi gdzieś tu być!

Tak, uzmysłowiła sobie, ale nie musi być wciąż na podłodze. Może potrafić biegać po pionowych powierzchniach jak jego mniejsi krewniacy.

Jeśli demon przyłgał do którejś ze ścian lub sklepienia, otrząśnięcie się z szoku wywołanego pożarem i paskudnymi ranami mogło zająć mu chwilę, ale z pewnością skradał się już, aby zająć dogodną pozycję do skoku na swą przeciwniczkę.

Quenthel spojrzała w górę. Artyści ozdobili również najdalsze, mroczne zakątki sali. Sklepienie przedstawiało ośmiokątną pajęczyną, na której roiło się od namalowanych pajaków, stanowiących doskonały kamuflaż dla stwora. Jeśli rzeczywiście skradał się między nimi, nie była w stanie go zobaczyć.

Wciąż obserwując sufit żmije również wypatrywały stwora wycofała się do jednego ze ściennych kinkietów i odczytała frazę-wyzwalacz z kolejnego zwoju. Wzburzony płomień świecy skoczył wyżej i przybrał czarną barwę. Włożyła ramię w ten mroczny ogień, a jej powłóczysty, cienki jak babie lato rękaw natychmiast się nim zajął.

Choć znajdowały się na końcu ramienia, które jak na razie nie płonęło, żmije syczały i zwijały się zaniepokojone. Quenthel brutalnie przywołała je do porządku siłą woli. Czując wyłącznie przyjemne ciepło, bezgłośnie wydawała rozkazy mrocznemu ogniowi. Część magicznej substancji spłynęła jej po ramieniu i skrzepła, tworząc w jej dłoni na wpół płynną kulę. Cisnęła nią, a jej magia wystrzeliła ją w górę jak kamień z procy. Magiczny pocisk wyrzynał we fresk na suficie, gdzie rozprysnął się, tworząc ogromny pióropusz mrocznego płomienia.

Quenthel słała kulę za kulą. W miejscach, w których dotknął go mroczny ogień, fresk zajmował się zwykłym żółtym płomieniem, wypełniając powietrze szczypiącym w oczy dymem i odrażającym smrodem, który zostawiał mdlący posmak ściskający za gardło.

Miotła pociskami na oślep, ale pożoga rozprzestrzeniła się po sklepieniu, nie miało to więc znaczenia. Pająk nie mógł przecież siedzieć w miejscu i pozwolić, żeby ogień go spalił. Pożar powinien

skłonić go do ruchu, a tym samym stwór powinien stać się widoczny.

Chyba że pająka nie było na suficie, co było całkiem możliwe. Może w rzeczywistości schował się gdzieś indziej. Możliwe, że nawet właśnie się do niej podkładał, podczas gdy ona wpatrywała się w płonące malowidło, a zdenerwowane żmije bardziej przejmowały się bliskością mrocznego ognia niż zachowaniem czujności.

Nie, intuicja jej nie zawiodła. Dostrzegła pająka, gdy ten gotował się do skoku, a wykurzywszy go z kryjówki, musiała już tylko odeprzeć jego ponowny atak.

Uskoczyła z drogi spadającej gwałtownie postaci i przetoczyła się w bok, zostawiając na podłodze czarne, płonące strzępki materiału. Istota o poszarpanych, broczących posoką oczach wyłądownała z głuchym odgłosem, uginając osiem odnóży, by zamortyzować siłę uderzenia.

Quenthel podniosła się z podłogi i odbiegła. Cała jej suknia stała w płomieniach, niemal całe jej ciało było spowite mrocznym ogniem. Cisnęła kolejną kulę, która rozprysła się na odwłoku demona i spłynęła mu po bokach. Ku jej zadowoleniu, jej magia znów go dosięgła. Pająka również okryła powłoka mrocznego płomienia, aż dało się zauważyć, jak od gorąca faluje nad nim powietrze.

To oznaczało, że powinien paść, a przynajmniej slaniać się w bezradnej agonii. Ogień co prawda mu szkodził - Quenthel nawet mimo wszechobecnego smrodu palącej się farby czuła zapach przypalanego mięsa - ale demon odwrócił się i pomknął w jej stronę.

Wycelowwała następny płonący pocisk w skupisko oczu, które w jakiś nieokreślony sposób wydawało się stanowić jądro ciała stwora. Pająk targnął się i zachwiał, gdy płonąca ciemność zalała mu oczy, ale tylko na sekundę, i zaraz znów się do niej zbliżał.

Nie mogąc mu uciec, w nadziei, że przynajmniej go nieco osłabiła, Quenthel wykrzyczała imię swej bogini i skoczyła mu na spotkanie. Całe jej ciało, otoczone mrocznym ogniem, stanowiło oręż mogący oparzyć pająka, gdyby go dotknął. Czarne płomienie na odnóżach potwora stały się żółte, a więc pająk też mógł ją oparzyć. Musiałaby mu jednak na to pozwolić. Żmije, których naturalna dzikość wzięła górę nad obawą przed ogniem, śmignęły i uderzyły ogarnięte żądzą krwi.

Najpierw, chłoszcząc biczem, uchylając się i robiąc uniki, wymykała się szczękoczułkom pająka. Potem przesunęła się w lewo, zamiast uskoczyć w prawo, i ostre jak brzytwy szczypce zamknęły się wokół niej.

Niewiele brakowało, a przebiłyby jej ciało. Nie chcąc zacisnąć kleszczy na jej płonącym ciele, żeby się nie oparzyć, pająk zawahał się na chwilę. Zanim zdobył na się na coś więcej, Quenthel zadała mu ostateczny cios.

Wężowe rzemienie przebiły się przez zwęgloną i postrzępioną fizjonomię demona i wgryzły się w to, co pod spodem. Pająk rzucił się, zastygł, dwie z jego nóg zadrgały w bezsensowny sposób, a płonący odwłok powoli osunął się na podłogę w tym samym momencie, w którym zakłęcie Quenthel przestało działać i cały mroczny ogień zniknął z komnaty.

Krzyknęła w uniesieniu. Żmije, tylko odrobinę osmalone, tańczyły w ekstazie na końcu bicza. Dobry nastrój trwał jednak tylko tyle, ile zajęło kapłance Baenre, odzianej głównie w dym i popiół, odwrócenie się w stronę drzwi.

Choć była zbyt zajęta, żeby je wcześniej zauważyć, w którymś momencie kilka nauczycielek i uczennic najwyraźniej zakradło się do sali, aby obserwować bitwę. Obserwowały Quenthel w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma i niepewnym wyrazem twarzy.

- To była profanacja - powiedziała Quenthel. - Kpina.

Wpatrywała się w nie z wyniosłym wyczekiwaniem.

Patrzyły na nią przez chwilę, a potem złożyły ręce i pokłoniły się nisko.

ROZDZIAŁ 3

Wysoka i gibka, z lewą stroną skądinąd ładnej twarzy oszpeconą starą blizną, z której, co sama przyznawała, była dumna, Greyanna Mizzrym stanęła przed obliczem matki brudna, spocona i wciąż odziana w koszulkę kolczą. Greyanna wiedziała, że opiekunka nie lubi, kiedy jej córki czy inni podwładni przychodzą na spotkanie z nią w pełnym rynsztunku, ale miała wymówkę. Właśnie wróciła z inspekcji operacji prowadzonych przez dom Mizzrym w Bauthwafie - „otoczce”, jak nazywano tę niebezpieczną sieć tuneli otaczających Menzoberranzan kiedy usłyszała od rozgorączkowanego funkcyjnego, noszącego na ciele świeże ślady węzowego bicza, że matka opiekunka życzy sobie natychmiast się z nią widzieć.

Prawdę powiedziawszy, nawet wiedząc, że przedmioty te nie ocala jej, gdyby sprawy przybrały wyjątkowo niepomyślny obrót, Greyanna wołała mieć usprawiedliwienie dla odwiedzania rodzicielki z buzdyanem w dłoni i tarczą na ramieniu. Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dla którego matka mogłaby zdecydować się zabić ją właśnie teraz, ale nigdy nie można było mieć całkowitej pewności, nieprawdaz?

Na pewno nie w przypadku Miz’ri Mizzrym, kobiety uznawanej nawet przez inne mroczne elfy za nadmiernie i chimerycznie okrutną. Matka opiekunka siedziała na tronie w swej świątyni, z całym swym orężem i zabezpieczeniami w zasięgu ręki sześciogłowym biczem i purpurowym drągiem zakończonym mackami - a na jej palcach lśniły magiczne pierścienie. Można by uznać ją za urodziwą nawet według rygorystycznych standardów obowiązujących wśród jej pięknej rasy, gdyby nie to, że jej twarz niemal zawsze wykrzywiał paskudny grymas. Matriarchini przyjrzała się zimno wojskowemu ekwipunkowi córki, ale nie raczyła go skomentować.

Greyanna pochyliła głowę, rozpostarła ramiona, okazując należyty szacunek, i powiedziała

- Matko opiekunko. Chciałaś mnie widzieć?
 - Chciałam zobaczyć się z tobą wczoraj.
 - Załatwiałam ważne sprawy rodzinne. - Matka wiedziała o tym oczywiście równie dobrze jak ona sama. - Nawet teraz musimy wywiązywać się z naszych obowiązków. Zwłaszcza teraz, jak sama parę razy zauważyłaś.
 - Trzymaj swój bezczelny język na wodzy!
- Greyanna westchnęła.
- Tak, matko. Przepraszam. Nie chciałam odezwać się nie w porę.
 - Postaraj się, żeby to się więcej nie powtórzyło.

Miz’ri umilkła, może chcąc zebrać myśli, a może po prostu po to, by zszargać córce nerwy. Takie małostkowe, bezcelowe próby zastraszenia rozmówcy były u niej niemal odruchowe.

Greyanna zastanawiała się, czy służąca została poinstruowana, żeby przynieść jej krzesło. Nie wyglądało na to. To również było typowe dla jej matki.

- Twój brat Pharaun... - odezwała się w końcu Miz’ri.
- Oczy Greyanny rozwarły się szeroko.
- Tak?
 - Myślę, że może wreszcie nadszedł czas, aby wasza dwójka ponownie się spotkała.

Pokieszowana twarz młodszej kobiety pozostała spokojna i opanowana. Okazywanie silnych uczuć wobec kogokolwiek, a zwłaszcza matki, rzadko było dobrym pomysłem. Jeśli pokazało się jej, że coś cię obchodzi, znajdowała sposób, aby cię zranić. Mimo to Greyanna nie była w stanie zapanować nad dreszczykiem podniecenia.

Ona i jej siostra Sabal nienawidziły się od kołyski. Oczywiście w szlacheckich domach Menzoberranzan oczekiwano, by siostry rywalizowały ze sobą i zachęcano je do tego. Z pewnością zachęcała do tego swe córki Miz’ri, możliwe że po prostu dla własnej rozrywki. Ale z jakiegoś powodu - może miało to coś wspólnego z faktem, że wyglądały niemal identycznie - wrogość, jaka zapanowała między jej córkami, znacznie przerosła nawet jej oczekiwania. Była bardziej zażarta i osobista. Każda pragnęła zranić tę drugą i pokrzyżować jej plany dla samej przyjemności zaszkodzenia rywalce, a nie tylko po to, by polepszyć swoją własną pozycję w rodzinie.

Niemal dławiąc się wzajemną nienawiścią, siostry toczyły pojedynek, który ciągnął się przez dziesiątki lat i obejmował każdy aspekt ich życia, ale stopniowo, na każdym polu bitwy, zaczęła wygrywać Greyanna. Sabotowała wiele planów Sabal mających na celu polepszenie sytuacji domu Mizzrym i znalazła sposoby przypisania sobie zasług za te, które zostały uwieńczone sukcesem.

Potajemnie kalając niektóre święte przedmioty w tym przybytku, w którym się właśnie znajdowały, dopilnowała, by rytuały odprawiane przez jej siostrę bliźniaczkę niczym nie wskazywały na to, że Pajęcza Królowa uznaje oddawaną jej przez Sabal cześć. Zasiała wątpliwości co do kompetencji Sabal i jej lojalności u wszystkich, którzy chcieli słuchać.

Z czasem Greyanna została najbardziej cenną pomocnicą swej matki, podczas gdy Sabal postrzegano jako nieudacznicę, zdolną do wykonywania wyłącznie najprostszych zadań. Zakazano jej używania potężniejszych rodzinnych artefaktów w obawie, że je zepsuje albo wykorzysta w jakimś nieprzemyślanym celu. Od krewnych do niewolnych wojowników, każdy domownik, który mógł kiedyś popierać jej aspiracje, unikał jej, jak gdyby była zapowietrzona. Na tym etapie Greyanna mogła ją z łatwością zabić i przypuszczała, że w końcu jej się to uda, ale cierpienia Sabal dostarczały jej tyle satysfakcji, że wciąż odkładała tę decyzję.

Odkładała dopóty, dopóki Pharaun nie wrócił do domu z Sorcere.

Zanim jej młodszy braciszek znalazł się w Tier Breche, Greyanna prawie go nie zauważała. Oczywiście elfki nie zwracały uwagi na młodych mężczyzn, chyba że miały pecha i powierzono im nadzór nad nimi. Mężczyźni byli tylko milczącymi, niepozornymi cieniami przemykającymi po pałacu, sprzątającymi, zawsze sprzątającymi, usiłującymi w pocie czoła opanować magiczne zdolności i przyzwyczajającymi się do swojego podrzędnego miejsca na świecie. Wszystko to pod niecierpliwym okiem - i batem - swych nadzorczyń. Z tego, co pamiętała, Pharaun był tak samo zastraszony i żalony jak pozostali.

Akademia zmieniła go jednak w kogoś o wiele bardziej interesującego, nie mówiąc już o tym, że niebezpiecznego. Może miało to coś wspólnego z opanowaniem potężnych czarodziejskich mocy, a wiązało się to z faktem, że Pharaun żył w enklawie złożonej wyłącznie z mężczyzn, ale ze szkoły wyszedł jako osoba wytworna, sprytna i śmiała, charakteryzująca się ciętym dowcipem i obrotnym językiem - przez co często ściągał na siebie gromy, ale zawsze potrafił wymigać się przed karą.

Ku zaskoczeniu Greyanny, Pharaun poparł Sabal, która porzuciła już niemal nadzieję na uzyskanie wyższej pozycji. Aż do dziś Greyanna potrafiła znaleźć tylko jedno wytłumaczenie dla jego decyzji i zakładała, że między jej rodzeństwem powstała perwersyjna i nienaturalna więź. Bez względu jednak na to, co powodowało Pharaunem, jego pomysły, wstawiennictwo i magia sprawiły, że Sabal podjęła nowe przedsięwzięcia, odniosła oszałamiające sukcesy i raz jeszcze zaczęła się wspinać w ogólnej hierarchii. Robiła to o wiele szybciej, niż Greyanna mogłaby sobie wyobrazić, a rodzina ponownie zaczęła postrzegać siostrę jako równą sobie, zarówno pod względem zasług, jak i rokowanych przez nie nadziei. Ich prywatna wojna rozgorzała na nowo, ba, stała się nawet bardziej zajadła i mordercza niż przedtem, ale tym razem Sabal - a raczej Pharaun okazała się godnym przeciwnikiem.

Greyanna próbowała przełamać impas, przekonując Pharauna do zmiany stron. Spodziewała się, że jej się to uda, bo w końcu ona i Sabal wyglądały dokładnie tak samo i miały dokładnie takie same perspektywy. Dlaczego więc czarodziej nie miałby stanąć po stronie silniejszej, sprytniejszej siostry, która dotarła na szczyt domu Mizzrym bez jego pomocy? Wystarczyłoby pomyśleć o triumfach, jakie mogliby razem święcić! Choć w środku mdliło ją na myśl o tym, to uśmiechając się lubieżnie, obiecała mu to, co, jak wierzyła, dała mu Sabal.

Brat roześmiał się jej w twarz. Właśnie w tej chwili Greyanna zaczęła go nienawidzić tak wściekle, jak nienawidziła siostrę.

Była mu coś dłużna za to, że tak okrutnie z niej zadrwił. Niewykluczone, że właśnie dzięki temu wspięła się na wyżyny pomysłowości, bo niedługo potem przyszła jej do głowy strategia, która miała zniszczyć Sabal.

Od jakiegoś czasu banda szarych krasnoludów napadała na tunele położone na południowy wschód od miasta, a Sabal dowodziła siłami, które usiłowały pochwytać bandytów. Podejmując niezwykle kroki, bezlitośnie wykorzystując swoich agentów, zarówno śmiertelników, jak żywiołaki i demony, Greyanna zlokalizowała duergarów, zanim udało się to jej siostrze. Potem zaczęły się trudności. Ona i jej pomocnicy musieli uprowadzić jednego z człowieczków o szarej skórze tak, by nie zauważyli tego jego towarzysze, wyposażyć go w platynowy amulet, który w zadziwiająco krótkim czasie stworzyli podlegający Greyannie klerycy, magowie i jej osobisty jubiler, związać marudera zaklęciami zapomnienia i perswazji, a potem odstawić go z powrotem do jego przyjaciół.

Sabal znalazła duergarów dwa dni później. Jej oddziały zlikwidowały grasantów, a potem obrabowały ciała i znalazły broszkę, która była cenna, piękna i, co odkryli wkrótce obecni przy całym

zajściu czarodziej, obdarzała właściciela kilkoma użytecznymi magicznymi umiejętnościami. Sabal nigdy nie przyszło do głowy, że skarb zrabowany martwemu krasnoludowi może stanowić pułapkę zastawioną przez elfią siostrę, i szczęśliwa zgłosiła pretensje do tej części łupów.

Od tego dnia Sabal powoli, stopniowo, zaczęła niedomagać na ciele, umyśle i duchu, jednocześnie w żalospny sposób usiłując ukryć oznaki słabości przed wszystkimi, którzy mogliby je dostrzec i chcieć wykorzystać, aby ją zabić, torturować lub pozbawić stanowiska. Czyli, ma się rozumieć, prawie wszystkimi mieszkańcami Menzoberranzan.

Pharaun prawdopodobnie widział, że jej stan się pogarsza, ale nie potrafił temu zapobiec. Może nawet nie wiedział, że elfka nie rozstaje się z nowym, niezwykłym magicznym przedmiotem. Klątwa, która ją zatruwała, która została podstępnie wpleciona pomiędzy wszystkie dobroczynne zaklęcia, sprawiała, że Sabal uczepliła się amuletu z obsesyjną wręcz fascynacją, w obawie, że inni ukradną go, jeśli nie będzie trzymać go w ukryciu.

Przez te kilka miesięcy choroby Sabal Greyanna zastanawiała się, czy Pharaun sprzymierzyłby się z nią, gdyby znów go o to poprosiła. Nie zrobiła tego. Obserwowała tylko sytuację i czekała na szansę wykończenia Sabal. Dostała już nauczkę. Bez względu na to, jak nieprawdopodobna wydawała się taka możliwość, nie zamierzała pozostawić siostry przy życiu, żeby los znów nie zaczął jej sprzyjać.

Pewnej nocy Pharaun opuścił pałac, albo w jakiejś konkretnej sprawie, albo po prostu dlatego, że uważał panującą w nim atmosferę za przytłaczającą. Nieco później podejrzliwa, cierpiąca na bezsenność Sabal zdołała wymknąć się swoim strażnikom i sługom i sama zaczęła się włóczyć bez celu po cytadeli.

Greyanna i pół tuzina jej podwładnych stanęło przed Sabal w ogrodzie grzybowym, gdzie ogrodnik przyciął fosforyzujące porosty w wymyślne kształty, które nawożono w niektórych przypadkach poszatkowanymi szczątkami zmarłych niewolników. Ostatnie chwile Sabal mogłyby budzić litość, gdyby Greyanna była podatna na to uczucie. Jej niedomagająca na umyśle, zrozpaczona siostra bliźniaczka usiłowała użyć platynowego amuletu przeciwko jego twórczyni, ale Greyanna rozproszyła jego moc jedną myślą. Potem Sabal próbowała rzucić czar, ale nie potrafiła wyrecytować wersów z odpowiednią intonacją ani wykonać gestów z konieczną precyzją.

Śmiejąc się, Greyanna i pozostali napastnicy zbliżyli się do swej ofiary, ale nie musieli nawet zadać ciosu. Sama ich bliskość sprawiła, że Sabal jęknęła, złapała się za serce i padła na ziemię martwa jak kłoda. Słaba do ostatniej chwili.

Przez sekundę Greyanna czuła się trochę oszukana, ale odepchnęła od siebie to uczucie. Sabal nie żyła, to było najważniejsze, a przy odrobinie szczęścia wciąż jeszcze mogła poddać torturom Pharauna.

Recytując słowa, które sprawiły, że w ogrodzie zerwał się z jękiem chłodny, grobowy powiew, Greyanna ożywiła trupa Sabal. Chciała go użyć najpierw jako przynęty, a potem jako narzędzie poniżenia. Miała nadzieję, że jej brat, zanim go zlikwiduje, da się nakłonić do spędzenia z trupem siostry jeszcze jednego czulego interludium.

Gdy Pharaun wrócił do domu godzinę później, jego włosy i strój były jak zwykle w nienagannym stanie, ale śmierdział winem i poruszał się nieco kołyszącym i nadmiernie ostrożnym krokiem. Najwyraźniej starał się utopić smutki w alkoholu. Wspaniale.

Tak jak zostało poinstruowane, zombi przeszło przez drzwi na drugim końcu korytarza i rozłożyło ramiona w zapraszającym geście.

Pharaun zrobił kilka kroków w jego kierunku i zawahał się. Pomimo że był pijany, w końcu zauważył, że pomimo wysiłków Greyanny zombi porusza się sztywno i niezgrabnie, czego nie można było powiedzieć o Sabal nawet wtedy, gdy zmagiła się z chorobą. Ale zauważył tę anomalię zbyt późno. Już znalazł się w samym środku pułapki.

Greyanna wyszeptwała zaklęcie wywołujące paraliż. Pharaun zachwiał się, gdy wszystkie jego mięśnie napięły się jednocześnie. Zbrojni wypadli hurmem ze swoich kryjówek, otoczyli go, zadali mu kilka ciosów pałkami i rzucili się na niego, przygważdżając do ziemi.

Roześmiała się z rozkoszą. A potem jej pachołkowie, tworzący na ziemi bezładną kupę, krzyknęli z zaskoczenia i konsternacji. Gdy zaczęli wstawać, zobaczyła, że Pharaun wcale nie leży pobity, zakrwawiony i bezradny. Choć wydawało się to niemożliwe, jakimś sposobem oparł się paraliżowi, a potem użył swoich czarów, żeby wypłatać się spomiędzy napastników.

Wiedząc, że Sabal nie żyje, Pharaun musiał zakładać, że bez wstawiennictwa wysokiej kapłanki nie przeżyje w domu Mizzrym ani dnia dłużej. Z pewnością nie mógł liczyć na to, że jego bezwzględna matka, która nawet nie kiwnęła palcem, aby ocalić jedną córkę przed drugą, uczyni coś więcej dla

nędznego syna. Z pewnością uciekał w kierunku wyjścia.

- Tędy! Szybko! - krzyknęła Greyanna, wskazując palcem i ponaglając swoich agentów do działania.

Gdy wybiegli z za rogu, zobaczyli daleko przed sobą wzdymające się piwafwi Pharauna. Mężczyzna uciekał co sił w nogach. Nie chwiał się ani nie potykał - najwyraźniej desperacja wyleczyła go ze stanu upojenia - ale trzymał się za głowę i zostawiał za sobą na wypolerowanej posadzce ślad krwawych kropli. Bicie wyraźnie na coś się jednak przydało.

Słudzy Greyanny wystrzelili z ręcznych kusz, ale bełty odbiły się od płaszcza czarodzieja, który najwidoczniej był magiczny i służył jako zbroja. Greyanna wyczarowała wybuch ognia pod stopami Pharauna. Jej zabójcy wrzasnęli i zasłonili oczy przed oślepiającym blaskiem. Choć z pewnością poparzony, jej brat utrzymał się na nogach i wciąż uciekał. Płomienie zniknęły za nim równie niespodziewanie, jak się pojawiły.

Pogoń wypadła z za następnego węgła. Przed Pharaunem pojawiły się podwójne adamantytowe drzwi, które otwarły się jak gdyby same z siebie. Greyanna wiedziała, że w rzeczywistości czarodziej użył do ich otwarcia zrobionego ze srebra i gagatu symbolu domu Mizzrym. Drowka próbowała użyć własnych insygniów, aby je zatrzasnąć, ale znajdowała się tuż poza zasięgiem ich działania.

Pharaun wypadł na zewnątrz. Znalazł się na podeście, swego rodzaju balkonie, z którego mieszkańcy stalaktytowego pałacu, będącego siedzibą domu Mizzrym, mogli spoglądać w dół na miasto. Tak jak zazwyczaj pełnił tam wartę oddział strażników. Greyanna krzyknęła, żeby żołnierze powstrzymali maga.

Bez wątplenia mieli zamiar wykonać rozkaz. Była wysoką kapłanką, a mag tylko mężczyzną, który na dodatek wyraźnie starał się uciec. Niestety, ich podstawowym obowiązkiem było wyglądanie łotrów, którzy mogli starać się dostać do zamku. Pharaun wziął ich więc z zaskoczenia. Miał dość czasu, by rzucić jakieś zaklęcie powstrzymujące i pomknąć dalej.

Gdy Greyanna dobiegła do drzwi, zrozumiała, w jaki sposób uciekinier postanowił unieszkodliwić strażników. Wszyscy byli oszołomieni, niektórzy stali ogłupiali lub kręcili się bez celu jak baki, kilku walczyło ze sobą.

Brzęk, a ułamek sekundy później jęki i okrzyki bólu sprawiły, że gwałtownie odwróciła głowę w prawo. Następny oddział strażników na dalekim końcu podestu także wyglądał na chwilowo unieszkodliwiony. Pharaun obrzucił ich wyczarowaną salwą lodu. Sam zniknął, korzystając ze strzeżonej przez nich drogi ucieczki - wijących się kryształowych schodów, jaśniejących wspaniałym magicznym blaskiem, które łączyły dom Mizzrym z dnem jaskini.

Greyannę ogarnęło lekkie rozdrażnienie, ale nic poza tym. Najwidoczniej straciła szansę poddania Pharauna torturom, ale jej brat musiał umrzeć. Nędznik naprawdę nie miał dokąd uciec i gdyby nie był ogarnięty ślełą paniką, wiedziałby o tym.

Mogła przynajmniej zadać ostateczny cios, który przypieczętuje jego zgubę. Pospieszyła do krawędzi podestu i zobaczyła, że poparzony głupiec z zakrwawioną głową jest w połowie lśniących diamentowych schodów. Drowka zaczęła wymawiać tak szybko, jak tylko potrafiła, długie tajemne słowo, które miało sprawić, że schody znikną. Samo ich zniknięcie nie mogłoby go zabić, chyba że straciłby głowę. Wiedziała, że przed upadkiem uchroni go zdolność lewitacji, którą dawała mu ta sama brosza, dzięki której otworzył drzwi domu. Jednak ograniczony do poruszania się wyłącznie w pionie, powinien stanowić łatwy cel dla zaklęć i strzał.

Wymówiła ostatnią sylabę. W tej samej chwili, w której schody przysły jak bańka mydlana, Pharaun skoczył. Jego długie, rozkraczone nogi wyglądały jak maksymalnie szeroko rozwarte nożyce. Ledwo udało mu się doskoczyć na spłaszczony czubek gigantycznego stalagmitu, który stanowił niższy koniec schodów.

Greyanna była pod wrażeniem. Jak na pobitego uczonego o hedonistycznych upodobaniach ten skok stanowił imponujący wyczyn atletyczny. Nie żeby na coś mu się to zdało. Wyścig trwał. Wychyliła się i wrzasnęła na skrzydłonie, żeby go zabiły. Bez tchu, wciąż nie mogąc złapać równowagi po skoku, Pharaun nie był w stanie jednocześnie odpierać ataków obu stworów.

Skrzydłonie, groteskowe skrzydlate drapieżniki, których żrący oddech zwykle cuchnął amoniakiem, świadczyły o potędze i magicznych zdolnościach domu Mizzrym, a także nadawały cytaдели pewien styl. Były też przerażającymi strażnikami. Jednym machnięciem pazurzystych, nietoperzych skrzydeł obróciły swe cielska o długich szyjach, by zawisnąć nad Pharaunem, w czym w żaden sposób

nie przeszkadzał im brak nóg. Rozwidlone pyski o uzbrojonych w kły szczękach opuściły się łakomie w dół. Z miejsca, w którym stała, Greyanna przypatrywała się im z pazernością nie mniej intensywnej, była to jednak pazerność duszy.

Pharaun wykrzyczał coś. Greyanna nie dosłyszała dokładnie słów, ale nie wyglądało to na magiczne słowo, raczej okrzyk strachu lub rozpaczliwe błaganie o litość - błaganie, którego olbrzymie bestie nie miały prawa wysłuchać.

A jednak wysłuchały. Zawahały się, a on uniósł dłonie. Ich zabójcze szczęki dotknęły delikatnie jego palców, a ich nozdrza wciągnęły jego zapach.

Znów ponagliła je krzykiem do zabicia maga. Odwróciły łby, żeby na nią spojrzeć, ale on przemówił do nich raz jeszcze i zignorowały jej rozkaz.

Greyanna wpatrywała się w nie ze zdumieniem. Pharaun miał z pewnością pewien ograniczony kontakt ze skrzydłoniami, bo w końcu mieszkał z nimi w tym samym pałacu, ale wiedziała, że nigdy żadnego nie dosiadał. Przywilej ten przysługiwał wyłącznie kobietom domu Mizzrym, a tylko poprzez dosiadanie stworów można było całkowicie nad nimi zapanować. Jak więc mógł być z nimi w bardziej zażyłych stosunkach niż ona?

Pharaun wgramolił się na grzbiet skrzydłonia i oba stwory wzbiły się w powietrze. Jej brat w oczywisty sposób rozproszył zaklęcie, które nakazywało potworom siedzieć z zadowoleniem na posterunku.

Czarodziej powodował swym wierzchowcem bez użycia siodła, uzdy i ościenia sprawniej, niż potrafiłaby sama Greyanna. Zawracając, aby uciec, posłał jej szyderczy uśmiech. Drugi, nie dosiadany przez nikogo skrzydłoń, wznosił się, a potem pikował bez celu, ciesząc się wolnością.

Greyanna otrząsnęła się z szoku i niedowierzania. Wciąż rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się, w jaki sposób Pharaun nauczył się jeździć na tych bestiach - prawdopodobnie nauczyła go Sabal, ale jak udało im się ukryć to przed wszystkimi? - nie zamierzała jednak stać beczynną, zastanawiając się nad tym. Odpowiedź była mniej ważna niż mord.

Odwróciła się i rozejrzała wokół siebie. Ci strażnicy, których Pharaun otępił, byli wciąż zdezorientowani, ale wydawało się, że część żołnierzy, których poturbował gradem, odzyskała już panowanie nad sobą.

- Zastrzelić go! - wrzasnęła, wskazując oddalający się szybko cel. - Zastrzelić!

Z godnym pochwały pośpiechem wykonali rozkaz. Podnieśli kusze, wycelowali i bełty wystrzeliły ze szczękiem naprzód.

Skrzydłoń Pharauna targnął się, a potem runął w dół, zderzając się z ziemią gdzieś pomiędzy wydrążonymi w stalagmitach budowlach miejskich.

- Trafiony - powiedział kapitan straży.

Greyanna, większa i silniejsza od mężczyzny, nie miała żadnych problemów z powaleniem go na ziemię.

- Trafieś skrzydłonia - powiedziała. - Nie wiemy, czy w ogóle trafiłeś Pharauna. Nie wiemy, czy nie użył czaru lewitacji, aby złagodzić upadek. Nie wiemy, czy nie nabija się z nas tam na dole. Muszę zobaczyć jego ciało i, chcesz czy nie, przyniesiesz mi je. Skacz!

Skoczył. Był to ostatni moment, w którym dane jej było zakosztować satysfakcji.

Jej agenci zalali ulice, podczas gdy ona pozostała w swoim osobistym sanktuarium w domu Mizzrym, wzywając duchy i rzucając zaklęcia jasnowidzenia, aby pomóc w poszukiwaniach. Ku jej zaskoczeniu i irytacji, wszystko na próżno. Gdy światło zakwitło w podstawie Narbondelu, sygnalizując nadejście nowego dnia, była zmuszona przyznać, że przynajmniej na razie Pharaunowi udało się jej wymknąć.

Miesiąc później dowiedziała się, że jej brat zdołał się dostać aż do Tier Breche i poprosić samego arcymaga Menzoberranzan o miejsce w Sorcere, a Gromph, mając w pamięci czarodziejskie talenty, jakie młodzieniec objawił podczas szkolenia, uznał za stosowne przyjąć go.

Wiadomość tę przyjęła z pewną ulgą. Obawiała się, że brat uciekł z Menzoberranzan i już na stałe znalazł się poza jej zasięgiem. Zamiast tego wskoczył na półkę ponad miastem. W końcu musiał z niej zeskoczyć, a wtedy go dostanie.

Tak przynajmniej myślała dopóty, dopóki nie posłała po nią matka. Mając te same informacje na temat miejsca pobytu syna-uciekiniara, Miz'ri miała zupełnie inne zdanie na temat tego, co należało uczynić - nic.

Choć mistrzowie Sorcere byli tylko mężczyznami, cieszyli się ograniczoną autonomią i posiadali wiele mistycznych mocy, więc matka opiekunka, nie przestając snuć planów mających na celu podniesienie statusu domu Mizzrym, zdecydowała, że nie będzie bez potrzeby prowokować czarodziejów. Co oznaczało, że skoro Pharaun otrzymał miejsce w ich odosobnionej wieży o wielu iglicach, znaczył na wygnaniu o wiele więcej niż kiedykolwiek przedtem we własnym domu, a Greyanna musiała pozostawić go przy życiu. Osiągnęła to, co powinno być jej głównym celem, czyli pierwszeństwo pośród sióstr i kuzynek, ale jej zemsta miała pozostać niepełna.

Drażniło ją to przez wszystkie następne dziesięciolecia. Setki razy planowała sprzeciwić się rozkazom matki i zabić Pharauna, tylko po to, żeby zaniechać planów tuż przed wprowadzeniem ich w życie. Choć pałała do brata zjadłą nienawiścią, jeszcze bardziej obawiała się niezadowolenia Miz'ri.

Czy to możliwe, że matka opiekunka wreszcie zmieniła zdanie? Czy też może było to jakieś nowe okrucieństwo? Może Miz'ri miała zamiar zmusić Greyannę do przebywania we wstrętnej bliskości brata, który był wciąż nietykalny?

- Może być całkiem miło, zobaczyć się znowu z Pharaunem - powiedziała młodsza kobieta najbardziej bezbarwnym tonem, na jaki była się w stanie zdobyć.

Miz'ri roześmiała się.

- O, z pewnością, zobaczyć się z nim i zabić go, czyż nie tak?

- Skoro tak twierdzisz. Znasz naszą historię. Rozegraliśmy całą partię savy pod twoim nosem. - Przypuszczam, że bawiła cię każda sekunda, pomyślała.

- Tak, to prawda, stąd wiem, że cię to zainteresuje. Niestety pojawił się problem, który jest ważniejszy nawet od mojego pragnienia ułożenia sobie dobrych stosunków z magami z Akademii. Pod twoją nieobecność mężczyźni wciąż uciekali...

- Pharaun uciekł z Sorcere? - przerwała jej Greyanna, a jej oczy zwęziły się. - Postanowili go wreszcie ukarać za zabicie tych nowicjuszy?

- Nie, i jeszcze raz nie! Zamknij się, pozwól mi dokończyć, a za chwilę przejdziemy do tej twojej obsesji.

- Tak, matko.

- Mężczyźni wciąż uciekają i pomimo naszych ostrzeżeń Gromph zamierza zająć się tą sprawą. W nadziei, że umknie to naszej uwadze i zapobiegnie niezadowoleniu, postanowił zrobić to per procura i wezwał do swojego gabinetu odpowiedniego agenta, aby omówić z nim tę sprawę. Na szczęście my, członkinie Rady, posiadamy kryształową kulę, dzięki której udało nam się ostatnio przeniknąć przez zaklęcia zaciemniające to pomieszczenie. A przynajmniej przez niektóre z nich. Wciąż nie potrafimy tam zajrzeć, ale słyszymy to, co się tam dzieje, a to wystarczyło, żeby poznać plan maga, jak również tożsamość jego sługi. Teraz, jeśli musisz, możesz w podekscytowaniu wypaplać imię swojego brata.

- Przypuszczam, iż Gromph powiedział mu, że to jego wielka szansa, żeby się zrehabilitować.

- Otóż to. Pytanie brzmi, jak my, kapłanki, powinniśmy się zachować?

- Rozumiem, że jest jakiś powód, dla którego nie powiecie po prostu Gromphowi, że przejrzałyście jego plan.

- Oczywiście, nawet kilka. Po pierwsze, nasza pierwsza konfrontacja przebiegła w uprzejmej i łagodnej atmosferze, ale druga może już taka nie być. W obecnej sytuacji nie chcemy za bardzo na niego naciskać. Po drugie, nie chcemy, żeby wiedział, że możemy go podsłuchiwać. Albo by nam to uniemożliwił, albo zaczął spiskować gdzieś indziej. O wiele lepiej jest po prostu zdjąć jego pionka z planszy. Zważywszy na to, że Pharaun jest tajnym agentem, to cokolwiek mu się przydarzy, Gromph nie będzie mógł protestować. Problem w tym, że poradzenie sobie z twoim bratem to poważne przedsięwzięcie, może nie w każdych okolicznościach, ale na pewno teraz.

Greyanna skinęła głową.

- Ponieważ jest czarodziejem, a my tym... czym jesteśmy.

- Gdzie w takim razie, zastanawiała się Rada, znajdziemy kapłankę na tyle odważną, na tyle zdeterminowaną, by chciała zapolować na mężczyznę, gdy ten znajdzie się w mieście? Powiedziałam pozostałym, że wydaje mi się, że znam odpowiednią kandydatkę.

- Miałaś rację.

- Całe piękno tego planu polega na tym, że masz z nim osobiste porachunki do wyrównania. Jeśli ludzie zobaczą, że zrobiłaś Pharaunowi coś nieprzyjemnego, nie będą się musieli zastanawiać nad powodem.

- Tak, rozumiem. Czy będę mogła korzystać do woli ze wszystkich zasobów naszego domu?
- Mogę dać ci tylko kilku pomocników. Gdyby ludzie zobaczyli, że pojawiaasz się w mieście z całą armią domu Mizzrym, nie uznaliby tego za osobiste porachunki. Możesz wybrać sobie kilka rodzajów magicznej broni ze zbrojowni. Ale nie marnuj jej. Wykorzystaj tylko to, co będzie ci potrzebne.
Greyanna pochyliła głowę.
- Natychmiast przystąpię do przygotowań.
Miz'ri wreszcie się uśmiechnęła, co w jakiś sposób, wbrew wszelkim rozsądnym przypuszczeniom, uczyniło jej twarz jeszcze bardziej przerażającą.

ROZDZIAŁ 4

Koło nie było, jak zakładali czasem przyjezdni, warsztatem kołodzieja. Formalnie rzecz biorąc, był to salon masażu, ale tylko prostak nazwałby go w ten sposób. Był to raczej pałac rozkoszy, gdzie najlepiej wyszkoleni masażyści Podmroku dostarczali doznań, które wiele mrocznych elfów uważało za najwyższą rozkosz.

Waerva Baenre podzielała tę opinię. Nasączyła już swoje obfite, lubieżne kształty ciepłym, pachnącym olejkiem i niczego nie pragnęła bardziej, niż zatracić się całkowicie w dotyku masażysty.

Niestety, było to niemożliwe. Przybyła do tej świątyni zmysłów w interesach, interesach, które tutaj można było załatwić o wiele bezpieczniej i dyskretniej niż w cytadeli Baenre czy rezydencji ambasador w Zachodniej Ścianie. Dlatego właśnie elfka, z natury towarzyska, wynajęła przytulną prywatną komnatę mieszczącą tylko dwie wyprofilowane sofy i dwóch ociężałych, głuchoniemych ludzkich masażystów, zamiast swojego wybitnie uzdolnionego Tlutha.

Na szczęście pozbawiony języka niewolnik, którego wybrała dla siebie, był również wysoko wykwalifikowany. Ugniatał mięśnie jej karku w sposób, który był jednocześnie bolesny i rozkoszny, wyrывая z jej piersi jęk słodkiej ulgi. Oczywiście właśnie w tym nieco kompromitującym momencie do środka weszła Umrae.

Nie żeby chwilowe zakłopotanie Waerwy skłoniło Umrae do uśmiechu. Baenre nie wyobrażała sobie, co mogłoby ją do tego skłonić. Umrae - chuderlawa, nieatrakcyjna elfka, mająca cerę o niezdrowym, matowym, szarawym odcieniu węgla, odziana w szaty o kroju odstającym nieco od mody panującej w Menzoberranzan - zawsze pojawiała się na ich potajemnych spotkaniach sztywna i podenerwowana. Waerva była zdania, że właśnie na tym polega różnica między gminem a szlachtą. Arystokrata bez względu na sytuację zawsze zachowuje pewien wdzięk.

- Ogląda mapy! - oświadczyła Umrae. Jej głos pasował do wyglądu. Nie było w nim muzyki.
- Wcale mnie to nie dziwi - odparła Waerva. - Twoja pani nie jest taka głupia. Nigdy nie uważałam, że już na zawsze pozostanie beczynna. - Masażysta wbił czubki palców w górną część jej pleców i Waerva zadrżała. - Porozmawiamy o tym, ale najpierw uspokój mnie. Powiedz, że nikt, kto się liczy, nie widział, jak wchodzisz do tego pokoju.

Umrae skrzywiła się, najwyraźniej rozdrażniona podobną sugestią.

- Nie, oczywiście, że nie.
- Więc, na litość boską, zdejmij z siebie te ubrania. Podobno przyszedłeś tu na masaż i kiedy wrócisz do domu, musisz wyglądać tak, jak gdybyś rzeczywiście go wzięła. Poza tym ci dwaj są warci swojej ceny.

Wciąż, nachmurzona, jak gdyby podejrzewała, że Waerva chce się zabawić jej kosztem, Umrae skinęła szorstko na człowieka, którego Baenre pozostawiła do jej dyspozycji, nieco niższego i mniej muskularnego niż jego pobratymiec. Starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, niewolnik zaczął ją rozbierać i wieszać jej odzienie na kołkach wystających ze ściany.

- Więc co zamierzamy zrobić? - spytała plebejuszka. - Jest strzeżona. Nawet przy środkach, jakie mi zapewniłaś, nie jestem pewna, czy udałoby mi się ją zabić i uciec, ale ty z pewnością masz do swej dyspozycji wyszkolonych skrytobójców.

- Oczywiście. - Waerva musiała zamknąć skośne, rubinowe oczy, gdyż masażysta rozmasowywał i rozcierał kolejny napięty mięsień. To niezwykle, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że są napięte, dopóki masażysta nie dostał ich w swoje ręce. - Morderstwo miałoby swoje zalety. Znikłaby z planszy savy to już na dobre.

- A więc zgadzamy się? - zapytała Umrae, kładąc się na sofie. Jej masażysta delikatnie odsunął grzywę sztywnych, białych włosów, aby odsłonić ciało.

Waerva wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Wydajesz się bardzo chętna.
- Przyznaję, że za nią nie przepadam. - Człowiek Umrae otworzył białą porcelanową buteleczkę z jakąś maścią i w powietrzu rozszedł się słodki zapach. - Nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby osłonić nas wszystkich tak długo, jak będzie to konieczne.

- Zgadzam się - rzekła Waerva - i martwię, że skrytobójstwo mogłoby mieć skutek odwrotny od zamierzonego. Czy nie zwróciłoby uwagi na podejrzenia twojej pani? Czy nie potwierdziłoby ich? Czy nie ma ona zastępczyni o podobnych poglądach, która zastąpi ją w przypadku jej śmierci?

Umrae skrzywiła się, rozmyślając nad odpowiedziami, i to wyraźnie bez specjalnego zachwytu. Jej niewolnik pokrył jej plecy cienką warstwą olejku bursztynowego.

Z innej części budynku dobiegło słabe, zniekształcone echo krzyków, śmiechu i plusku wody. Waerva zgadywała, że to mężczyźni zabawiają się w jednym z basenów. Kobiety w tym mieście rzadko bywały w nastroju do hałaśliwych harców.

- Dobrze, więc co chcesz zrobić? - odezwała się w końcu Umrae.

- Zażegnać niebezpieczeństwo w subtelniejszy sposób. Nie będzie mogła nam zaszkodzić, jeśli nigdy nie będzie miała szansy potwierdzić swoich podejrzeń.

- Jak tego dopilnujesz? - Głos Umrae zadrżał, gdy niewolnik zaczął lekko ugniatać jej lśniące plecy pięściami.

Powodzenia w rozluźnieniu tych skamieniałych członków, pomyślała Waerva.

- Jestem kapłanką Baenre, czyż nie?

- Najniższą z nich.

- Co za bezczelność. - Waerva zeszywniała z oburzenia, czekając, aż dłonie masażysty udzielą jej kojącej nagany.

- Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Wiem, co chciałaś powiedzieć, i nie zaprzeczam. W końcu dlatego tu jestem. Ale weź pod uwagę to, że moja ciotka Triel zawsze polegała na radach dwojga ludzi - Grompha i Quenthel. Teraz nie może już właściwie rozmawiać z Gromphem, bo musi go utrzymywać w nieświadomości tak jak pozostałych mężczyzn. Wątpię, czy w najbliższym czasie będzie się widziała z Quenthel. Ta mała diablica będzie zajęta własnymi problemami. Przeżyła jakiś niefortunny wypadek w Tier Breche.

Umrae przekręciła głowę, aby spojrzeć na drugą konspiratorkę.

- Słyszałam o tym jakieś plotki. Co się właściwie wydarzyło?

- Nie wiem... - ... choć przysięgam na boginię, że bym chciała, pomyślała w duchu - ale cokolwiek to było, działa na naszą korzyść. Chcemy, żeby Triel cierpiała na brak doradców.

- A co z jej nowym magicznym synem? Powiadają, że wszędzie jej towarzyszy.

Waerva uśmiechnęła się.

- Jeggred się nie liczy. To wspaniały okaz, ale nie formatu mędrca-doradcy. Zapewniam cię, że biedna, niepewna Triel z chęcią wysłucha spostrzeżeń innych kapłanek Baenre, nawet tych niższych jak ja. Kupię naszym przyjaciółom czas, którego potrzebują, aby uwolnić się spod zewnętrznych wpływów.

- Jeśli Triel ci zaufa.

- W tym wypadku na pewno. My, Baenre, jesteśmy dumni. Triel nie będzie w stanie pojąć, że jedna z naszych kobiet chciałaby opuścić pierwszy dom, aby rozpocząć gdzieś nowe życie. Oczywiście nie urodziła się na samym dole wewnętrznej hierarchii, a tuziny jej sióstr i kuzynek nie mają przed nią pierwszeństwa i nie sprawują wszystkich ważnych urzędów. Nawet gdybym zaczęła je zabijać, kiedy choć na chwilę zmniejszą czujność, wciąż potrzebowałabym wieków, żeby osiągnąć naprawdę znaczącą pozycję w rodzinie.

- W porządku, to brzmi sensownie. Co jej powiesz?

- To, co oczywiste. - Waerva wydała z siebie urywane westchnienie, gdyż mężczyzna zajął się jej krzyżem. - Z tego, co wiemy, to może być prawda.

- Tak sędzę.

Umrae pogrążyła się w ponurym milczeniu. Dłonie masażysty, pracujące nad jej śliskimi, wilgotnymi, kościstymi plecami, wydawały plaskające i ssące dźwięki.

- Na sześćset sześćdziesiąt sześć poziomów Otchłani - rozgniewała się Waerva - co ci jest? Jeśli masz jakieś wątpliwości, już od dawna jest na nie za późno.

- Nie mam. Chcę być czymś więcej niż skrybą wielkiej damy. Chcę mieć nazwisko. Chcę być wysoką kapłanką i szlachcianką.

- I będziesz nią. Kiedy twoje stowarzyszenie zburzy obowiązujący porządek, nagrodzi mnie za moją pomoc, czyniąc mnie matką opiekunką nowego, acz wysoko postawionego domu, a ja adoptuję cię jako moją córkę. Czemu więc wydajesz się taka posępna?

- Po prostu się zastanawiam. Ta cisza... czy to rzeczywiście dobrodziejstwo, czy katastrofa? Czy korzystamy ze wspaniałej okazji, czy też pędzimy na łeb na szyję ku zagładzie?

O ileż łatwiej by mi się odpoczywało, gdybym to wiedziała, pomyślała Waerva.

- Pozwól, że zadam ci pytanie - powiedziała kapłanka Baenre. - W głębi serca służyłaś z szacunku

czy ze strachu?

- Służyłam dla władzy.

- Jeśli się nad tym zastanowić - powiedziała Waerva - ja również. Więc sięgnijmy po władzę, która wciąż jest w naszym zasięgu.

- Ja... - jęknęła Umrae i podwinęła palce u nóg, gdy jej człowiekowi udało się wreszcie sprawić, że przez jej nerwy przebiegł dreszcz rozkoszy.

Waerva pomyślała, że to dobry znak.

* * *

Pharaun chłonał spektakl bazaru. Urodzony i wychowany w Menzoberranzan, oczywiście odwiedzał to tętniące życiem miejsce już niezliczoną ilość razy, ale po kilkudziesięciu dniach aresztu domowego, spędzonych na zastanawianiu się, czy jego życie właśnie nie dobiega końca, wydawał mu się on czymś cudownym.

Wiele kramów było oświetlonych, czy to przez fosforyzujące grzyby umieszczone tak, by schlebiać towarom kramarza, przez magiczną iluminację służącą temu samemu celowi, czy też po prostu na skutek przypadkowego efektu ubocznego jakiegoś innego zaklęcia. Blask nie był jednak nigdy na tyle intensywny, by razić oczy. Mieszkańcy miasta przechadzali się między kramami w kojącym mroku, który stanowił ich naturalne środowisko, a była to bardzo interesująca zbieranina.

Wysoka kapłanka - z domu Fey-Branche, wnosząc z barw jej służby - opuściła swą osłoniętą lektykę, by zbadać wierzchove jaszczury okiem znawcy i ręką równie pewną jak ręka stajennego. Jakiś chłopak o nieco zaniedbanej powierzchowności, być może syn jednego z pomniejszych domów, który popadł w niełaskę, zajął rozmową szewca, podczas gdy jego wspólnik rozchylił poły swej sutej opończy, aby ukryć w nich parę drogich butów z wężowej skóry. Mężczyźni z gminu, zobowiązani do spuszczenia wzroku ilekroć przechodziła obok elfka i ustępowania z drogi każdemu szlachcicowi lub szlachciance, rekompensowali to sobie szyderczymi grymasami i przepychaniem się pomiędzy istotami postawionymi niżej od drowów. Te ostatnie - szare krasnoludy, ludzie-ryby o wylupiastych oczach zwani kuo-toa, a nawet wielki rogaty ogr, mag ze Świata Ponad - stanowiły istną menażerię stworów na tyle odważnych, by handlować, czy nawet mieszkać w mieście mrocznych elfów. Poniżej nich - przynajmniej równie liczni jak wolne istoty, lecz przy swoim całkowitym braku znaczenia łatwi do przeoczenia - znajdowali się niewolnicy. Wojownicy - orki, gnolle i niedźwieżuki strzegli swoich panów i pań. Udręczone, zagłodzone gobliny nosiły towary kupcom, a małe, podobne gadom koboldy zbierały odpadki i wywoziły je z targowiska.

Pharaun, który odbywał od czasu do czasu wyprawy do krain oglądających niebo, wiedział, że gdyby to centrum handlowe istniało w którejś z nich, panowałby w nim nieopisany harmider. Ale menzoberranzańczycy, chcąc uchronić swoją jaskinię przed nieustannym zgiełkiem odbijającym się echem od jej ścian, obłożyli jej gładkie kamienne dno misternymi zaklęciami. Dźwięki rozlegające się w pobliżu słyhać było równie dobrze jak normalnie, ale te bardziej oddalone cichły i przechodziły w słaby szum, jaki on i Ryld słyszeli, siedząc na krawędzi Tier Breche.

Na bazarze kilka magicznych buforów działało blisko siebie. Nowo przybyłym efekt mógł się wydać nieco irytujący, gdyż jeden krok wystarczył, aby ciche szepty zmieniły się w ogłuszający hałas - głos wrzeszczącego na całe gardło licytatora lub piskliwy dźwięk fujarki.

Na szczęście żadne zaklęcia tego typu nie tłumili zapachów targowiska, cudownego olfaktorycznego arrasu woniejącego przyprawami, egzotycznymi produktami importowanymi z powierzchniowego świata i, niestety, mającymi już za sobą czasy świetności, grzanym winem, skórą, olejem do smażenia, odchodami rothe, przelaną niedawno krwią i tysiącem innych rzeczy. Pharaun zamknął i oczy i wciągnął ten zapach w nozdrza.

- Zawsze jest wspaniały, nie uważasz?

- Chyba tak - odparł Ryld.

Na czas wycieczki poza Tier Breche Ryld zarzucił na swoje krzepkie ramiona piwafwi. Płaszcz przykrywał zbroją krasnoludzkiej roboty i krótki miecz, a kaptur osłaniał twarz, ale żaden strój nie był w stanie ukryć ogromnego oręża, który drow nosił w pochwie na plecach. Ryld nazwał wielki miecz Rozpruwaczem, a choć Pharaun nie znosił tej nazwy, uważając ją za paskudną i prozaiczną, musiał przyznać, że pasowała. W zręcznych rękach jego przyjaciela zaczarowana broń mogła jednym ciosem

rozciąć na dwoje niemal wszystko.

Ryld sprawiał wrażenie całkowicie zrelaksowanego, ale czarodziej wiedział, że pozory te są pod jednym względem mylące. Mistrz Melee-Magthere odruchowo analizował otoczenie, szukając oznak niebezpieczeństwa z łatwością, której nawet Pharaun, który uważał się za bardziej spostrzegawczego niż większość elfów, nie mógł dorównać.

- Chyba tak - powtórzył Pharaun. - Czy przemawia przez ciebie twoje zwykle ponuractwo, czy też czegoś ci brakuje?

- Owszem - odpowiedział Ryld. Szerokim gestem objął ciżbę, kramy, a także labirynt wijących się pomiędzy nimi ścieżek. - Myślę, że na bazarze przydałoby się zaprowadzić trochę porządku.

Pharaun uśmiechnął się krzywo i powiedział

- Ostrożniej, albo będę musiał donieść o tym bluźnierstwie. To chaos nas stworzył i uczynił tym, czym jesteśmy.

- Racja. Chaos to życie. Chaos to kreatywność. Chaos czyni nas silnymi. Pamiętam credo, ale spójrz na to z praktycznego punktu widzenia nie widzisz, że całe to zamieszanie może służyć za przykrywkę wrogom miasta? Mogą je wykorzystać, aby przemycić tu swoich szpiegów i skrytobójców, a stąd wykraść sekrety i skarby.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Z pewnością właśnie w taki sposób działają nasi agenci na targowiskach w innych częściach Podmroku.

Jakaś orczyca śpiesznie przeciskała się przez tłum z opuszczoną głową, ściskając w dłoni kawałek pergaminu. Może jej pan zagroził jej, że ją wybatoży, jeśli szybko nie dostarczy wiadomości. Orczyca spróbowała przemknąć przez wąską przerwę pomiędzy Pharaunem i jakimś innym przechodniem, zmyliła krok i wpadła na czarodzieja.

Niewolnica o świńskiej twarzy podniosła wzrok i spostrzegła, że właśnie potrafiła elegancko i bogato odzianego mrocznego elfa. Z przerażenia opadła jej dolna szczęka o wielkich kłach. Pharaun odprawił ją strzepnięciem palców. Odwróciła się i uciekła.

- Rada powinna zatem kontrolować bazar - rzekł Ryld. - Nie tylko wysyłać od czasu do czasu patrol, żeby odstraszać złodziei. Przyznać koncesje kupcom. Przeprowadzać rutynowe rewizje ich zwierząt jucznych, namiotów i kramów.

- Z tego, co wiem - powiedział Pharaun - próbowano już to robić i za każdym razem bazar przynosił mniejsze zyski, co prowadziło do tego, że do szkatuł matek opiekunek zaczynało wpływać mniej pieniędzy. Śmiem twierdzić, że to samo stałoby się dzisiaj. Regulacje prawne przysporzyłyby też kłopotów wszystkim domom, które same prowadzą tu nielegalne interesy. Zapewniam cię, że wiele z nich to robi.

Pharaun wiedział coś na ten temat. Zanim został wygnany z własnej rodziny, on i Sabal odgrywali znaczącą rolę w prowadzonym przez dom Mizzrym tajnym nielegalnym handlu z podziemnymi gnomami, inaczej svirfheblinami, możliwe że najbardziej zajadłymi z wielu wrogów, jakie miały mroczne elfy.

- Skoro tak twierdzisz - powiedział Ryld. - Nie jestem szlachcicem, skąd miałbym wiedzieć o takich rzeczach.

Czarodziej westchnął. To prawda, jego przyjaciel był tak nisko urodzony, jak to tylko możliwe w przypadku mrocznego elfa, ale podczas wspinaczki, dzięki której osiągnął swoją obecną pozycję, chcąc nie chcąc dowiedział się wszystkiego o arystokracji. Po prostu czasami czerpał niejasną satysfakcję z udawania ignorancji przystającej wieśniakowi.

- Cieszę się, że nie zapominasz o swoich korzeniach - rzekł Pharaun. - Liczę na to, że twoja znajomość dzielnic nędzy pozwoli mi bezpiecznie spotykać się z niższymi warstwami.

- Zastanawiałem się, kiedy to będzie. Czy nie powinniśmy byli udać się prosto do Eastmyru albo Braerynu?

- Nie ma sensu błądzić tam po omacku, skoro najpierw możemy tu zdobyć jakieś informacje.

Pharaun uważał, że właściwie powinni się z tym pospieszyć, a szkoda. Ryld chętnie spędziłby trochę czasu w takich sklepach jak na przykład Karafka Daeleina Shimmerdarka. W jego ofercie znajdowała się kolekcja win i mocniejszych alkoholi, a dla tych, którzy wiedzieli, jak poprosić, również eliksirów i trucizn z całego świata. Może dzięki temu rozjaśniłoby mu się w głowie.

A może miałby jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania, bo choć na bazarze wciąż można było nabyć wiele towarów, wydawało mu się, że w gruncie rzeczy ich wybór jest mniejszy niż zwykle.

Dlaczego? Czy mogło to mieć coś wspólnego z uciekinierami?

A co z demonem, który zmaterializował się pod postacią pająka na płaskowyżu powyżej miejsca, gdzie siedział z Ryldem, po czym włamał się do Arach-Tinilith? Czy to też miało z nimi jakiś związek, czy też był to po prostu gambit w jednej z niezliczonych sekretnych waśni pomiędzy menzoberranzańczykami, który nie miał zupełnie nic wspólnego z jego zmartwieniami?

Nie zdołał opanować grymasu. Wiedział tak niewiele, a to, co udało mu się ustalić, raczej nie było zbyt pokrzepiające.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Ryld.

- Rzeczywiście.

Wyrzeźbiona w długim, stosunkowo niskim występie skalnym Szkatułka leżała zaledwie kilka cali poza zwyczajowymi granicami bazaru, gdzie wszyscy kupcy musieli się co sześćdziesiąt sześć dni przemieszczać ze swoimi kramami w inne miejsce. Pomimo braku szyldu czy innych zewnętrznych reklam, przybytek ów zawsze przyciągał stały strumyczek kupujących i kupców, a gdy dwaj mistrzowie zeszli po schodach prowadzących z poziomu ulicy do wapiennych drzwi, Pharaun zauważył, że odgłosy biesiadowania są nawet nieco głośniejsze niż zwykle. Słyszał śmiechy, ożywione rozmowy, a długi róg, yarting i bębenek ręczny wygrywały skoczną melodię. Trzecia struna yartingu brzmiała nieco za nisko.

Ryld zastukał mosiężną kołatką i w środku drzwi odsunęła się mała klapka. Na zewnątrz wyjrzała para oczu, po czym znikła. Drzwi rozwarły się na oścież.

Pharaun wyszczerzył zęby. Podczas żadnej ze swoich wizyt nie zauważył, żeby kogoś odprawiono, i podejrzewał, że cała ta heca z wizjerem była tylko niegroźną bzdurą, mającą na celu nadanie wizyty w Szkatułce charakteru pikantnego występu. Być może odzwierciedlała próbowałby zniechęcić elfkę, gdyby ta chciała wejść do środka.

Niskie pomieszczenie pachniało potem i lekko otępiającym kadzidłem. Trzej muzycy stłoczyli się na maleńkim podeście pod zachodnią ścianą. Kilku klientów słuchało ich występu, ale większość wolała skupić się na innych przyjemnościach. Przy jednym ze stołów kilku rozmamłanych mężczyzn jednocześnie wychyliło kielichy, co wyglądało na konkurs picia. Inni mężczyźni rzucali sztyletami do umieszczonego na ścianie celu, niefrasobliwie lekceważąc osoby stojące w jego pobliżu. Kości stukotały, karty szeleściły i trzaskały, a monety skrobały o blaty stołów, gdy bardziej fartowni hazardziści zgarniali wygrane.

Ryld przyglądał się otoczeniu ze zwykłą sobie dyskretną czujnością, ukradkiem zapamiętując każde potencjalne zagrożenie. Pharauna rozbawił jednak fakt, że wzrok przyjaciela zatrzymał się na chwilę na przypominających kształtem pajęczynę planszach do savy, co prawdopodobnie wystarczyło mu do przeanalizowania czterech rozgrywanych partii.

Sava była zawilą grą przedstawiającą wojnę pomiędzy dwoma szlacheckimi domami - przynajmniej obecnie. Pharaun widział kiedyś bardzo stary zestaw, który odwzorowywał w miniaturze odwieczną walkę drowów z inną rasą, ale takie zestawy wyszły z mody na długo przed jego urodzeniem, może dlatego, że żaden z graczy nie chciał grać krasnoludami.

Z planszą przypominającą siatkę, która regulowała ruch, pionkami o różnych właściwościach, sava przypominała gry wymyślone przez inne kultury, ale na cześć chaosu rządzącego ich życiem drowy znalazły sposób, aby wprowadzić element losowy do gry, która inaczej toczyłaby się z mechaniczną precyzją. Jeden raz podczas partii każdy gracz mógł zrezygnować z normalnego ruchu, aby rzucić kostkami. Jeśli na każdej wypadł pająk, mógł ruszyć się jedną z figur przeciwnika, aby wyeliminować którąkolwiek z figur tego samego koloru w jej normalnym zasięgu, która to zasada odzwierciedlała skłonność mrocznych elfów do mordowania własnych krewnych nawet w obliczu poważnego zewnętrznego zagrożenia.

Pharaun, który prywatnie uważał się za sprytniejszego od Rylda, zawsze był nieco rozgoryczony faktem, że nie potrafił wygrać z fechmistrzem w savy, lecz niestety jego przyjaciel władał opiekunką, kapłanką, czarodziejem, wojownikiem, niewolnym żołnierzem-orkiem i kostkami równie znakomicie jak mieczem. Twierdził nawet, że walka i sava to to samo, choć Pharaun nigdy nie rozumiał, co miał na myśli.

Czarodziej klepnął Rylda w ramię i powiedział

- Zagraj. Rozerwij się. Wygraj ich złoto. Pamiętaj, żeby pociągnąć ich przy tym za język. Sprawdź, czego się możesz dowiedzieć. Ja tymczasem spróbuję szczęścia w piwnicy.

Ryld skinął głową.

Lawirując, Pharaun przedostał się przez zatłoczone pomieszczenie do szynkwasu. Za nim siedział na stołku pomarszczony, jednonogi Nym, starszy elf, który pod względem opryskliwej, niezachwianej mizantropii mógł rywalizować z każdym demonem, którego kiedykolwiek przywołał mistrz Sorcere. Stary emerytowany mag-wojownik był zajęty rzucaniem gróźb, sprośnych uwag i rozkazów niewolnym goblinom, które rozlewały alkohol, i z wyraźną niechęcią przestał je na chwilę sztorcować, aby przyjąć garść złota. W zamian przekazał Pharaunowi wyświechtany, opatrzony numerem skórzany breloczek, przy którym wisiało kilka kluczy.

Tak wyposażony, Pharaun przeszedł pod łukiem obok kontuaru i zszedł na dół kolejnymi schodami. Na dole czekał prawdziwy interes prowadzony w Szkatułce i powód, dla którego Nym nie uznał za stosowne wywiesić szyldu.

W Menzoberranzan, gdzie rządziły niepodzielnie bogini i kapłanki, tylko nieliczne mroczne elfki uznawały za konieczne sprzedawanie własnych ciał. Wyłącznie garstka chorych i zniedołężniałych, które znalazły się w skrajnej potrzebie, godziła się na takie poniżenie. W związku z tym można było założyć, że każdy elf, który zapragnął kupić intymne towarzystwo, miał wybór ograniczony do tych niepociągających kobiet lub przedstawicielek jednej z niższych ras.

Sprawy wyglądały jednak nieco inaczej, jeśli elf miał ciężką sakiewkę. Działo się tak dlatego, że choć miasta drowów koncentrowały swe militarne wysiłki na walce z płaszczowcami, svirfheblinami i innymi rywalizującymi ze sobą cywilizacjami Podmroku, przy rzadkich okazjach wypowiadały wojnę jedne drugim. Od czasu do czasu w wyniku takiego konfliktu pojawiały się branki.

Rzeczą rozsądną i zasadną w przypadku takich potencjalnie niebezpiecznych jeńców byłoby ich przesłuchać, poddać torturom i zabić. Mimo to Nymowi udało się kilka razy przekupić oficerów, aby przekazali mu więźniarki, które później przesmuglował do Menzoberranzan, a potem do piwnic Szkatułki.

Nym zadał sobie tyle trudu, opierając się na przenikliwym i uzasadnionym założeniu, że spora grupa mężczyzn mieszkających w Menzoberranzan zapłaci przyzwicie za przywilej dominowania nad elfką, a w jego przybytku można było z więźniarką zrobić wszystko, na co tylko miało się ochotę. Nym dostarczał nawet klientom pałkę do bastinado, kosz z węglami, śruby... pod jednym tylko warunkiem, a mianowicie wymagał dodatkowej opłaty, jeśli klient pozostawił na ciele więźniarki trwałe ślady.

Ponieważ działalność burdelu była tajemnicą poliszynela, Pharaun nie był pewny, dlaczego matki opiekunki jeszcze go nie zamknęły. Na pierwszy rzut oka z pewnością wydawał się odzierać z szacunku rządzącą pleć. Może elfki uważały, że jeśli mężczyzna ma możliwość wyładować niezadowolone, będzie się odnosił z jeszcze większym szacunkiem do kobiet w swoim domu. Bardziej prawdopodobne było to, że Nym oddawał im znaczną część dochodów.

W każdym razie Szkatułka wydawała się sensownym miejscem do poszukania informacji o zbiegach, zwłaszcza jeśli miało się na miejscu szpiega. Pharaun nie był pewny, czy wciąż go ma, ale nigdy nic nie wiadomo.

Schody kończyły się w korytarzu o ponumerowanych drzwiach. Zza niektórych dobiegały słabo jęki namiętności i bólu. Panował tu większy ruch niż zwykle.

Mag ruszył w dół holu, aż znalazł się przy numerze czternaście. Zawahał się przez chwilę, a potem skrzywił i przekręcił w zamku największy z kluczy. Drzwi otwarły się.

Siedząca na łóżku Pellanistra, skuta łańcuchami w nadgarstkach i kostkach nóg, wyglądała tak, jak ją zapamiętał - miała te same kształtne kończyny i twarz w kształcie serca. W miejscach, gdzie odwiedzający przycisnęli zbyt mocno, szpeciło ją kilka nowych blizn, miała też rozbitą wargę i zapuchnięte oko, w które uderzył ją niedawno jeden z gości.

Podniosła głowę, zobaczyła go i rzuciła się nań z rozcapierzonymi palcami o długich paznokciach. Zaraz potem zatoczyła się, gdyż jedno z kontrolujących ją zakłęb przeszło jej ciało bólem, a w chwilę później dobiegła do końca łańcuchów, którymi była przykuta do ściany. Straciła równowagę i upadła na siedzenie.

- Cześć, Pellanistro - odezwał się Pharaun.

Strzyknęła w niego śliną, ale twarz skurczyła jej się z bólu, gdy znów została ukarana. Ślina upadła daleko od wysokich, miękkich butów czarodzieja.

- Choć bardzo nie lubię stwierdzać tego, co oczywiste - rzekł Pharaun - czuję się zmuszony zauważyć, że tylko sama siebie krzywdzisz. - Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę. - No dalej, usiądźmy i

porozmawiajmy, tak jak za starych, dobrych czasów. Nawet usunę kajdany, jeśli sobie tego życzysz.

- Zawarliśmy umowę! - zawołała.

- Odmawiam prowadzenia dłuższej rozmowy z kimś, kto siedzi na ziemi. Urąga to mej godności, podobnie jak twojej. No, bądź rozsądna. Podaj mi rękę.

Nie zrobiła tego, ale brzęcząc łańcuchami, zdołała bez niczyjej pomocy stanąć na bosych stopach. Zaleciało od niej jakimś kwiatowym zapachem, do używania którego zmusił ją Nym.

- Czy tak nie jest lepiej? - zapytał. - Chcesz, żebym zdjął kajdany?

- Zawarliśmy umowę i ja dotrzymałam mojej części.

- Mogłabyś poprosić, żebym usiadł.

- Opuściłeś mnie!

Pharaun rozłożył szczupłe ręce o długich palcach i odparł

- W porządku, kapłanko. Skoro uważasz, że to konieczne, jeszcze przez chwilę poroztrząsamy sprawy oczywiste. Owszem, zwerbowałem cię. Owszem, doskonale ci szło na tyle dobrze, aby zapracować na wyzwolenie - ale moja sytuacja uległa zmianie. Z pewnością coś o tym słyszałaś.

- Tak. Poparłeś niewłaściwą siostrę i Greyanna zrobiła z ciebie głupca. Zabiła siostrę bliźniaczkę, a ty nie mogłeś zrobić nic, żeby temu zapobiec. Gdybyś nie wziął nóg za pas i nie uciekł do Sorcere, ciebie również by zamordowała.

Pharaun uśmiechnął się krzywo.

- Raczej nie będę zachęcał bardów, żeby ujęli to w ten sposób, gdy będą układać epicką historię mojego życia.

- Ale kiedy już ugruntowałaś swoją pozycję w Tier Breche, kiedy mogłeś swobodnie opuszczać to miejsce, mogłeś wrócić.

- Wracalem, od czasu do czasu, tyle że nie wpadałem do ciebie. Uznałem, że mogłoby to być nieco niezręczne.

- Mogłam ci pomóc tak jak poprzednio.

- Niestety nie. Po usunięciu się z domu Mizzrym nie brałem już udziału w walce o władzę pomiędzy członkami mojej rodziny ani szlachetnymi domami. Nie potrzebowałem już informacji o podobnych sprawach. Jediną rywalizacją, jaka mnie obchodziła, była rywalizacja pomiędzy magami, a nawet jeśli zaliczasz do swych gości czołowe autorytety w tej dziedzinie, wątpię, czy szepczą ci do ucha wymyślone właśnie zaklęcia. Kiedy chodzi o nasze odkrycia, my czarodzieje jesteśmy dyskretni.

- Nie wiesz, przez co przesłama... przez co przechodzę, maltretowana i poniżana przez istoty niższe od siebie, upośledzona na ciele, umyśle i duszy, niezdolna do komunikowania się z Lolth...

Pharaun podniósł dłoń.

- Proszę, sama sobie przynosisz wstyd. Brzmisz jak skamlący człowiek albo jeden z naszych pośledniejszych kuzynów ze Świata Ponad. Skończ z tą tyradą, weź oddech i zastanów się, a uzmysłowisz sobie, nieprzyjaciółko Menzoberranzan, że moja troska o ciebie zawsze była, w najlepszym wypadku, ograniczona. Jak mogłoby być inaczej? Sentyment, jakim cię darzę, nie był na tyle silny, żebym wydał fortunę na wykupienie cię od Nyma, albo, gdybyśmy nie mogli się dogadać, aby cię stąd wykraść. Nie w wypadku, gdy nie dotrzymałaś warunków umowy. Jak bez wątplenia pamiętasz, miałaś dostarczać mi użyteczne informacje przez dwadzieścia lat. Przyznaję, że to nie twoja wina, że nie byłaś w stanie tego zrobić, ale tak się sprawy potoczyły.

- Świetnie - zgrzytnęła zębami. - Masz rację, jestem śmieszna. Opuszczając mnie, zachowałeś się jak każdy rozsądny drow. Czego, w imię pajęczyny demonów, chcesz?

Ruchem głowy wskazał drugą część pomieszczenia i zapytał

- Czy możemy...?

Skinęła krótko głową i usiedli. Ona na materacu swego szerokiego, ośmiokątne łóżka, on na wyściełanym granitowym krześle.

- Tak jest o wiele przyjemniej - powiedział. - Czy chcesz, żebym posłał po wino?

- Przejdź do rzeczy.

- Bardzo dobrze. Przypuszczam, że moje położenie cię rozbawi. Po bogini jedna wie ilu latach spędzonych na oddychaniu rozrzedzonym i obojętnym powietrzem nauki, przekazywaniu wiedzy żadnym jej młodym umysłem, przesuwając granice sztuk mistycznych...

- Mordowaniu innych czarodziejów dla ich talizmanów i grimuarów.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- To, rzecz jasna, rozumie się samo przez się. W każdym razie, po tych wszystkich latach znów zostałem wplątany w bardziej przyziemne aspekty życia w naszej szlachetnej metropolii. Muszę rozwiązać pewną zagadkę, inaczej arcymag będzie wielce niezadowolony. Zasłużysz na moją dozą wdzięczność, jeśli pomożesz mi ją rozwiązać.

- W jaki sposób?

- Nie bądź nieszczera. To do ciebie nie pasuje. Tak jak zwykle. Zakładam, że głupi chłopcy czasem plotkują i chwalą się przed wynajętymi przez siebie kobietami, choć gdyby się nad tym zastanowili, pamiętaliby, jak ich nienawidzicie i że życzyście im wszystkiego, co najgorsze. Przypuszczam też, że wciąż musisz czasem dostarczać rozrywki podczas spotkań, gdzie tacy idioci, niepomni na twoją obecność, omawiają swoje najbardziej tajne sprawy.

- Innymi słowy, chcesz wznowić naszą dawną umowę, która kończy się dopiero za cztery lata. Jeśli pomogę rozwiązać ci twoje obecne problemy, czy nadal będą cię obchodziły „przyziemne” sprawy, czy też po raz kolejny zamkniesz się w swojej wieży?

Brał pod uwagę kłamstwo, ale instynkt podpowiedział mu, że przejrzała go na wylot.

- Nie mam całkowitej pewności, co się ze mną będzie działo - odpowiedział. - Z tego, co wiem, jeśli mi się uda, powinienem skończyć z powrotem w Sorcere, a wszystkie moje wykroczenia zostaną wybaczone, ale z jakiejś niejasnej przyczyny mam co do tego wątpliwości. Wplątałem się w coś, czego jeszcze nie rozumiem i tylko moce ciemności wiedzą, jak to się skończy.

- W takim razie, jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz mnie uwolnić... dzisiaj.

- Niemożliwe, nie mam przy sobie odpowiednich funduszy ani czasu, żeby targować się z Nymem, jeśli już o to chodzi. Wiesz, że z czystej złośliwości przeciągałby negocjacje całymi dniami. Nie mam też czasu na zorganizowanie ucieczki.

Wpatrywała się w niego tylko, ale zrozumiał.

- Ach - rzekł.

- Umowa stoi?

- Jeśli rzeczywiście mi pomożesz. Mam następujący problem. Niespotykana dotąd liczba młodych mężczyzn uciekła ostatnio z domów.

- To twoje zadanie? Znaleźć kilku zbiegów? Dlaczego jest na tyle ważne, żeby wysłać mistrza Sorcere?

Uśmiechnął się.

- Nie mam pojęcia. Wiesz coś o tym?

Potrząsnęła głową.

- Niewiele.

- Szczerze mówiąc, każdy strzępek informacji pozwoli mi posunąć się naprzód.

- Cóż, słyszałam tylko bardzo niejasne wzmianki, ale wynika z nich, że to nie jest wyłącznie przypadek niespotykanej liczby młodych mężczyzn, którzy zdecydowali się zbiec. Wszyscy uciekli w to samo miejsce z tego samego powodu.

- Do tego sam już doszedłem - powiedział Pharaun. - W przeciwnym razie dlaczego interesowałoby to Grompha? To dla mnie ulga, że twój giętki umysł doszedł do tych samych wniosków.

Parsknęła szyderczo.

Pharaun machinalnie powiodł palcem wzdłuż jednego z zawijasów na swej szacie.

- Wątpię, czy jakieś groźby wystarczyłyby, żeby wyciągnąć tylu chłopców z domu - powiedział. - Niektórzy mieliby dość odwagi, aby przeciwstawić się grożącemu, albo rozsądku, żeby zwrócić się o pomoc do rodziny. Zaklęcie hipnotyzujące nie wchodzi w rachubę. Oprócz naturalnej odporności na takie efekty, jaką my mroczne elfy wszystkie posiadamy, niektórzy młodzieńcy z pewnością nosili osłony w postaci amuletów i innych talizmanów. Nie, myślę, że musimy zakładać, iż zbiegowie wymknęli się z własnej woli, aby osiągnąć jakiś cel. Tylko jaki?

- Organizują nowy klan kupiecki?

- Pomyślałem o tym, ale Gromph twierdzi, że nie, a ja jestem pewny, że ma rację. Bo gdyby było tak w istocie, po co cała ta tajemniczość? Ponieważ handel jest ważny dla całego Menzoberranzan, nikt raczej nie protestuje, gdy mężczyzna zostaje kupcem. To jeden z dwóch czy trzech sposobów wymknięcia się spod twardej i arbitralnej ręki matki. - Wyszczrzył zęby. - Bez urazy. Jestem pewien, że w lepszych czasach podlegający ci mężczyźni nie mieli powodów, żeby na ciebie narzekać.

- Możesz iść o zakład, że teraz bym im je dała.

- Zważywszy na twoje ostatnie doświadczenia, jest to zrozumiałe. Więc jeśli uciekinierzy nie tworzą karawany, co w takim razie robią? Przygotowują się, by raz na zawsze opuścić Menzoberranzan? Czy też, bogini uchowaj, już się wymknęli?
- Nie sądzę. Nie potrafię powiedzieć, gdzie dokładnie się znajdują, ale uważam, że wciąż przebywają w mieście, w Otoczce, możliwe że w Bauthwafie.
- To ci dopiero wspaniałe wieści. Nie uśmiechała mi się pogoń przez pustkowia Podmroku. Nie dość, że brakuje tam wszelkich udogodnień, to za kilkanaście dni kupcy winni odkorkowują nowe roczniki.
Pellanistra pokręciła głową.
- Nic się nie zmieniło.
- Dziękuję, uznam to za komplement. A teraz zabierzmy się za konkrety, dobrze? Potrzebuję nazwisk. Który z twoich gości uraczył cię tymi „niejasnymi wzmiankami”, które tak roztropnie zinterpretowałaś?
Obdarzyła go mściwym uśmiechem.
- Alton Vandree i Vuzlyn Freth.
- Którzy sami zniknęli zaraz potem, w związku z czym nie można ich przesłuchać. Brzmi sensownie, ale i tak masz pecha.
- Dałam ci wszystko, co miałam - powiedziała. - A teraz wypełnij swoją część umowy.
Czarodziej zmarszczył brwi.
- Moja droga współniczko, byłbym zdruzgotany, musząc cię rozczarować. Jednak zastrzegłem, że będziesz musiała dostarczyć mi ważnych informacji, a szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy wywiązałaś się z zadania. Naprawdę wiem niewiele więcej niż na początku.
- Zrób to albo powiem każdej żywej duszy, która przyjdzie do tej celi, że szukasz zbiegów. Może to okaże się „ważne” dla twojej misji. Zakładam, że ma to być tajemnica. Zwykle tak bywa, gdy jesteś w coś zamieszany, a nie wspomniałeś o legionie pomocników deptających ci po piętach.
Pharaun roześmiał się.
- Dobrze rozegrane. Poddaję się. Jak mam się do tego zabrać?
- Nie obchodzi mnie to. Spal mnie swoją magią. Wbij we mnie sztylet. Skręć mi kark tymi długimi, zwinnymi palcami.
- Interesujące sugestie, wszystkie co do jednej, ale wolałbym, że Nym nie wystawił mi rachunku za twój zgon. Jeśli uda nam się sprawie, żeby wyglądało na to, że po prostu serce stanęło ci samo z siebie jakiś czas po moim wyjściu, będę miał szansę.
Rozejrzał się dokoła, spostrzegł na łożku grubą, puszystą poduszkę, podniósł i na próbę chwycił za oba końce. Dobrze leżała w ręku.
- Powinno zadziałać - rzekł. - Czy byłabyś tak dobra i położyła się?

ROZDZIAŁ 5

Ryld sączył schłodzone, cierpkie wino z poczuciem satysfakcji, pewny, że gra, choć formalnie rzecz biorąc wciąż się toczyła, została już rozstrzygnięta. W trzech kolejnych ruchach jego onyksowy czarodziej i ork schwytają w pułapkę i dadzą mata krwawnikowej matce jego przeciwnika.

Jak zwykle zwyciężył bez uciekania się do kostek. Prawdę mówiąc, te grzechoczące sześciany z kości słoniowej, na ściankach których wyryto magicznym sposobem podobizny pajaków, stanowiły ten aspekt savy, którego nie lubił. Wprowadzały element ślepego losu do gry, w której wygrana powinna zależeć wyłącznie od przebiegłości.

Przeciwnik Rylda - młody, wychudzony członek kupieckiego klanu, któremu w trakcie picia krople alkoholu spływały z kącików ust - rzucił kośćmi na wczesnym etapie gry i triumfował, gdy los pozwolił mu wyeliminować jedną z kapłanek starszego mężczyzny.

Teraz zgarbiony, ze spoconym czołem, wpatrywał się w planszę, jak gdyby decydowały się na niej losy jego duszy. Naprawdę dobry gracz niemal natychmiast zauważyłby, że może wykonać tylko jeden ruch. W istocie przewidziałby nieuniknione go mata w trzech ruchach i poddałby się.

Pamiętając o prawdziwym celu ich wizyty w Szkatułce, Ryld, starając się nie zdradzać zbyt wielkiego zainteresowania tematem, ponownie podjął rozmowę prowadzoną z podchmielonym kupcem.

- Czy twój kuzyn uprzedził cię o swojej ucieczce?

- Nie - odparł krótko młodzieniec. - Po co miałby to robić? Nie znosiliśmy się. A teraz mordą w kubek! Nie pozwalasz mi się skoncentrować!

Ryld westchnął i odchylił się na oparcie chwiejnego, rachitycznego wapiennego krzesła. Kątem oka dostrzegł coś, co sprawiło, że wyprostował się, ponownie sprawdził dokładną pozycję opartego o ścianę Rozpruwacza i ukradkiem poluzował w naoliwionej pochwie krótki miecz.

Sam nie był do końca pewny, co postawiło go w stan pogotowia. Nie po raz pierwszy widział grupę hulaków, która wstaje od stołu i dobywa broni, aby pobawić się w fechtowanie albo rozstrzygnąć kłótnię. I nie miało to zupełnie nic wspólnego z zakapturzonym osobnikiem wygrywającym ze wszystkimi nowo przybyłymi w savy. Wewnątrz Szkatułki klingi regularnie wyskakiwały ze zgrzytem z pochew. Pozornie ta nowa czwórka niczym się nie różniła od pozostałych, ale Ryld w jakiś sposób wiedział, że jest inaczej. Mężczyźni ruszyli wśród wonnych oparów kadzidła prosto ku niemu i jego niczego nieświadomemu przeciwnikowi. Inni bywalcy, również wyczuwając zamiary szermierzy, z pośpiechem schodzili im z drogi.

Adamantytowa klinga żarząca się czerwienią - możliwe, że był to uwięziony duch - śmignęła, mierząc w blat stołu. Ryld chwycił broń i odepchnął ją, zanim rozrzuciła pionki savy albo jego równo ułożone pieniądze pochodzące z wygranych. Długi miecz był tak ostry, jak tylko zakłeta broń potrafi, ale fehmistrzowi udało się nie skaleczyć dłoni. Chuderlawy chłopak, wyrwany wreszcie z zadumy, potoczył wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- W czym możemy pomóc? - zapytał Ryld.

- Przysłuchiwaliśmy się waszej rozmowie - odparł właściciel długiego miecza.

Choć nie tak potężnie zbudowany jak Ryld, był mimo to krzepki i wysoki jak na drowa, a czubki wydatnych uszu wydawały się wystawać mu ponad czubek głowy niczym u nietoperza. Był najlepiej ubrany z całej czwórki i najwyraźniej był przywódcą, choć jego szeroką, posępną twarz znaczyły plamy siniaków. Fehmistrz przypuszczał, że jakaś szlachetnie urodzona kobieta uznała za stosowne wygarbować mu skórę. W niczym nie umniejszało to szacunku, jakim darzyli go towarzysze.

Zwłaszcza że, jak zauważył Ryld, dwaj z nich również byli ranni, poruszali się trochę sztywno albo utykali na jedną nogę. Być może wszyscy byli krewniakami, a jedna z kapłanek ich domu spuściła im łomot.

- Zadawałeś wiele pytań o zbiegów - ciągnął szermierz, groźnie przeciągając sylaby.

- Naprawdę? - odpowiedział Ryld.

Uświadomił sobie, że jak na złość trzej muzykanci przed kilkoma minutami opuścili scenę. Wątpił, by ktokolwiek był w stanie podsłuchać ich rozmowę, gdy długi róg wciąż pisał przeraźliwie.

- Dlaczego?

- Podtrzymywałem konwersację. Wiecie coś na temat tych rzezimieszków?

- Nie, ale wiem, że w Szkatułce nie lubimy ciekawskich. Nie lubimy, gdy ściga się zbiegów. Nie lubimy, gdy podsłuchuje się nasze prywatne rozmowy i zdaje z nich raport opiekunkom.

- Nie jestem szpiegiem.
Może i był szpiegiem, ale nie miał najmniejszego zamiaru przyznawać się do tego temu głupcowi.
- Ha! - zakpił szermierz. - Nawet gdybyś nim był, nie przyznałbyś się do tego.
- Tak czy owak, proponuję, żebyś ty i twoi przyjaciele wrócili do swojego stołu i pozwolili mnie i temu chłopcu skończyć grę.

Mężczyzna z czerwonym mieczem nadał się jak pęcherz, który ma zaraz pęknąć.

- Próbujesz mnie odprawić jak jakiegoś sługę? Czy wiesz, kim jestem?
- Oczywiście, Tathlynie Godeepie. Byłem twoim nauczycielem. Pamiętasz mnie?
Ryld odrzucił do tyłu kaptur, odsłaniając pozostającą dotąd w cieniu twarz.
Tathlyn i jego przyjaciele wybałuszili oczy na widok swojego dawnego nauczyciela, jak gdyby właśnie okazał się jakimś pradawnym i legendarnym smokiem.

- Widzę, że tak. Życzę więc miłego dnia.
Tathlyn wyglądał tak, jak gdyby rozpaczliwie starał się znaleźć odpowiedź, która pozwoliłaby mu zakończyć tę konfrontację z godnością, ale gapię zaczęli się śmiać. Duma wzięła górę nad strachem, mężczyzna przywołał z powrotem na twarz szyderczy uśmiech.

- Tak - powiedział, podnosząc głos, by nie zagłuszyły go śmiechy. - Znam cię, mistrzu Argith, ale ty nie znasz mnie, nie osoby, którą się stałem. Dziś jestem fehmistrzem domu Godeep.

Dom Godeep był jednym z pomniejszych domów Narbondellynu, a jego szaleńcza szamotanina na samym dole drabiny statusu niemal umykała uwadze szlachty zajmującej wyższe szczeble. Ryld wątpił, by dom Godeep mógł spotkać jakiś awans, jeśli Tathlyn dowodził jego wojownikami. Podczas szkolenia chłopak nauczył się wymachiwać mieczem z pewną wprawą, ale gdy przyszło mu dowodzić oddziałem, zawsze wykazywał się nadzwyczajną lekkomyślnością i na ogół słabą oceną sytuacji.

- Gratulacje - rzekł Ryld.
- Może gdybyś wiedział, że zdobędę taką pozycję, nie znajdowałbyś tak wielkiej przyjemności w miażdżeniu mi knycki i biciu mnie po plecach.
- Nie robiłem tego dla zabawy. Miało cię to nauczyć wyrównywania szeregu i trzymania się prosto. Próbowałem ci to powiedzieć, ale nie zwracałeś na mnie uwagi. A więc - ciągnął Ryld - wyjaśniłem, że nie mam zamiaru wypaplać opiekunkom niczego, czego mogłem się tu dowiedzieć. Czy moje słowo wam wystarczy? Jeśli tak, rozejdziemy się w zgodzie.

- To ty tak twierdzisz.
- Chłopcze... przepraszam - fehmistrzu, zamilknij, weź oddech i zastanów się. Wyczuwam, że jesteś wściekły z powodu bólu i siniaków. Może chcesz wyładować na kimś swój gniew, ale to nie ja wymierzałem ci karę.

Tathlyn milczał przez chwilę, po czym powiedział

- Nie, nie ty, i przypuszczam, że wszystkie kary podczas szkolenia wymierzono mi dla mojego własnego dobra. Nie żywię urazy, fehmistrzu. Miłej gry.
Zaczął się odwracać, a potem błyskawicznie odwinął się z powrotem. Sztych czerwonego miecza pomknął w stronę szyi Rylda.

Jeszcze zanim czterej towarzysze zdążyli dopaść do stolika do savy, Ryld dyskretnie przeniósł ciężar ciała na środek krzesła i wparł się nogami w podłogę w sposób, który pozwalał mu szybko wstać. Jednocześnie poderwał się w górę i machnięciem ramienia odbił ostrze w bok, ale uderzył w nie pod złym kątem. Ostra krawędź czerwonego miecza zraniło go lekko.

Ryld uświadomił sobie, że jest to jego pierwsza prawdziwa walka od niemalże roku. Zamierzał dołączyć do jednej z kompanii patrolujących Bauthwaf i zarżnąć kilka drapieźników, które zawsze przywędrowywały tam z położonych głębiej jaskiń, ale jakoś nigdy nie udało mu się zmobilizować.

To nie był problem. Nie obawiał się, że zapomniał, jak się walczy. Po prostu, patrząc wstecz, był zaskoczony własnym brakiem motywacji.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w jednej chwili, nawet w najmniejszym stopniu nie opóźniając jego reakcji.

Tathlyn odskoczył w tył i znalazł się poza zasięgiem Rylda, ale jeden z jego towarzyszy rzucił się na wojownika. Wyglądało na to, że wszyscy zamierzali walczyć, co prawdopodobnie oznaczało, że wszyscy byli krewnymi lub podwładnymi fehmistrza. W przeciwnym wypadku jeden lub kilku mogłoby nie wziąć udziału w sporze.

Ryld wymknął się spod dzikiego ciosu znad głowy zadanego przez przeciwnika, wyciągnął krótki

miecz o klindze w kształcie liścia i pchnął. Pęd atakującego Godeepa, siła i umiejętności Rylda, a także magiczna ostrość sztychu pozwoliły ostrzu zatopić się głęboko w zgięciu prawej ręki napastnika. Krótki miecz, obłożony zaklęciem, które pozwalało ranić nawet bezcielesne duchy, choć nie był ulubioną bronią Rylda, był porządnym ostrzem. Z rany trysnęła krew i Godeep, chwając się, upuścił tasak. W zasadzie łatwiej byłoby zabić idiotę, niż go unieszkodliwić, ale Ryld był tu z tajną misją, a jawne zabójstwo rzucało się w oczy o wiele bardziej niż zwykła karczemna burda.

Tathlyn i jego dwaj pozostali przyjaciele dostrzegli swoją szansę i rzucili się. Ryld wiedział, że nie ma czasu na wydobywanie miecza z ciała ofiary. Gdyby spróbował, wrogowie dostaliby go. Spowił rannego Godeepa postrzępioną plamą ciemności i pchnął go na pozostałych.

Ryld nie widział poprzez zaciemniające pole ani trochę lepiej niż jego przeciwnicy, ale wyglądając zza jego krawędzi zobaczył, jak ranny Godeep wpada na swoich towarzyszy, wytrącając ich z równowagi, a także zaskakując nagłym, niespodziewanym pogorszeniem się widoczności. To dało fehmistrzowi czas, którego potrzebował, żeby odwrócić się, ogarnąć wzrokiem zagradzające mu drogę meble oraz gapiących się na niego graczy w savy i wskoczyć na stół, gdzie czekała rozgrywana przez niego partia. Przebierając stopami, zrujnował sidła, które tak przebiegle zastawił na kupca, a rozrzucone pionki z grzechotem potoczyły się po podłodze.

Zeskoczył po drugiej stronie, chwycił Rozpruwacza i odwrócił się, aby stawić czoła wrogom. Jednym płynnym, rozmazującym się w oczach ruchem wyrwał z pochwy swój najbardziej zaufany oręż i zastawił się. Pomimo swego ogromu wielki miecz był tak dobrze wyważony, że wydawał mu się lekki jak sztylet.

Zauważył, że klienci nie biorący udziału w walce zaczęli wznosić okrzyki zachęty i rzucać obelgi pod adresem walczących. Kilku bystrzejszych hazardzistów robiło zakłady.

Trzej pozostali przeciwnicy Rylda zepchnęli z drogi spowitego cieniem towarzysza i ruszyli naprzód, najwyraźniej chcąc przyprzeć nauczyciela szermierki do ściany. Ten z lewej trzymał się nieco z tyłu, podchodząc bez specjalnego entuzjazmu, ale nie wyglądał, jakby miał odwrócić się i uciec, chyba że sam Tathlyn by mu kazał, albo zobaczyłby, jak fehmistrz ginie od ostrej jak brzytwa klingi Rozpruwacza.

Ryld nie miał zamiaru dać się złapać w pułapkę. Odsunął się od ściany w ten sam sposób, w jaki się pod nią znalazł - wskoczył na stół i zaatakował.

Kiedy dobiegł do końca stołu, odkrył przed sobą sterczący rapier, który groził mu wypruciem flaków, gdyby zeskoczył. Godeep na drugim końcu ostrza - śmielszy z dwóch krewniaków Tathlyna - był szybki i obrał dobrą taktykę. Ryld rozpędził się tak bardzo, że prawdopodobnie nie był w stanie zapobiec nabiciu się prosto na sztych Godeepa.

Ale mógł zawiązać Rozpruwaczem w niskiej, zamaszystej paradzie. Wielki miecz rąbnął w lżejsze ostrze, odłamując końcowe sześć cali.

Ryld zeskoczył niemal prosto na właściciela rapiera, tak blisko, że potrzebowałby chwili, aby zadać cios klingą Rozpruwacza, chwili, którą pozostali członkowie domu Godeepa mogli dobrze wykorzystać. Fehmistrz wyrznął ciężką, kulistą główicą wielkiego miecza w sam środek czoła drowa dzierżącego rapier. Łupnęło, a mężczyzna przewrócił się do tyłu.

Coś uderzyło mocno w napierśnik Rylda, nie czyniąc mu jednak żadnej krzywdy. Fehmistrz zerknął w dół i zobaczył, że jeden z gapiów, może ktoś, kto postawił na jego przeciwników, strzelił do niego z ręcznej kuszy, ale Ryld nie miał czasu, żeby rozejrzeć się za winowajcą. Musiał się odwrócić, by odeprzeć atak drugiego szermierza.

Jak można się było spodziewać, Tathlyn prowadził. Ryld ciął, mierząc w głowę fehmistrza, a jego dawny uczeń natychmiast wycofał się, ale tylko tyle, by uniknąć ciosu. Nauczył się dobrej pracy nogami. Poczynił postępy, jak zauważył Ryld.

To wydłużając, to skracając dystans, Tathlyn zwodził i zapraszał do zwarcia, odgrywając całe przedstawienie. Tymczasem drugi Godeep, ten ostrożny, okrążał ich, starając się zająć Rylda od tyłu.

Fehmistrz pozwolił skradającemu się chłopcu podejść do siebie z boku, a potem skoczył na Tathlyna i ciął dziko, wydawałoby się, że tracąc przy tym równowagę i koncentrując się całkowicie na ataku.

Drugi Godeep miał przed sobą odsłonięte plecy Rylda, gdy ten wydawał się całkowicie niezdolny do wykonania zwrotu i obrony. Chętnie czy nie, chłopiec nie mógł przepuścić takiej okazji. Zaatakował. Ryld odwrócił się błyskawicznie, wykonując Rozpruwaczem zamaszyste, poziome cięcie. Wielki miecz,

przewyższający długością miecz przeciwnika, ciął sekundę wcześniej, niż zaatakował Godeep. Dzięki zręczności Rylda ogromna, nadnaturalnie ostra klinga zaledwie zraniła nadgarstek chłopaka, zamiast odrąbać mu dłoń. Drobny szlachcic upuścił pałasz, a potem, źle oceniwszy sytuację, dobył sztyletu. Fechmistrz rozplątał mu nogę, powalając go na podłogę.

Ryld wiedział, że atakując z obrotu jednego Godeepa, odsłonił plecy przed Tathlynem, który z pewnością przymierzał się już do zabójczego ciosu. Nauczyciel odwrócił się z powrotem. Rzeczywiście, Tathlyn skrócił dystans i ciął, mierząc w głowę. Ryld sparował krawędzią Rozpruwacza w nadziei, że uda mu się złamać długi miecz fehmistrza domu Godeep tak, jak wcześniej rapier. Karmazynowa klinga uderzyła w forte wielkiego miecza, tuż powyżej wąsów, zadzwoniła i odbiła się, wciąż w jednym kawałku. Została wykonana z dobrego metalu, pomyślał Ryld, dobrze wykuta, były w nią wplecione wzmacniające zaklęcia.

Ale jej właściciela nie mogły ocalić wyłącznie jej zalety. Ryld zamarkował niski cios, by ściągnąć czerwony miecz w dół, po czym ciął wysoko. Rozpruwacz rozplątał Tathlynowi czoło i fehmistrzowi domu Godeep krew zalała oczy. Runął do tyłu.

Ryld widział, że żaden z jego przeciwników nie pali się już do walki. Odwrócił się raz jeszcze, omiatając wzrokiem pomieszczenie. Ktokolwiek do niego strzelał, przezornie ukrył ręczną kuszę.

- Dobra robota - powiedział Pharaun, który opierał się o szynkwias z pucharem w dłoni.
- Od jak dawna tam stoisz? - odpowiedział pytaniem Ryld, podnosząc swój krótki miecz. Jego ofiara wyrwała go z nogi i zostawiła na podłodze. - Mogłeś mi pomóc.
- Byłem zbyt zajęty stawianiem na ciebie. - Czarodziej wyciągnął mieszek i ci, którzy przegrali zakład, gderając, wrzucili do niego monety. - Wiedziałem, że nie będziesz potrzebował pomocy, żeby poradzić sobie z kilkoma opcjami.

Ryld mruknął, wytarł broń w ścierkę, która nawinęła mu się pod rękę i zapytał

- Chcesz ten czerwony miecz? To dobra broń. Może to pamiątka rodzinna domu Godeep.
- Pharaun wyszczerzył zęby.
- Co oznacza, że zdobyli go kiedy, w zeszłym tygodniu? Nie, dziękuję, zresztą na co przydałby się czarodziejowi? Poza tym nie chciałbym, żeby rozciągnęły i wytarły mi się od niego szaty.
- Jak chcesz.
- Mistrz Sorcere podszedł nieśpiesznie do Rylda i odezwał się o wiele ciszej
- Jesteś gotowy? Wolałbym ulotnić się stąd, zanim Nym zejdzie na dół.
- Ryld był ciekawy, jaką niegodziwość popełnił jego przyjaciel.
- Prawie - odparł. - Daj Nymowi coś, czym zapłaci za zniszczenia.
- Wojownik podszedł do stolików do savy, zabrał pochwę Rozpruwacza i wygrane przez siebie pieniądze, po czym rozejrzał się za kupcem. Chłopiec odsunął się śpiesznie od stolika w chwili, w której zaczęła się bijatyka, ale nie odszedł daleko. Niemal każdy drow lubił przelew krwi.
- Ryld rzucił mu złotą monetą z wybitym symbolem domu Baenre.
- Twoja wygrana.
- Młody kupiec wyglądał na zaskoczonego. Być może winny był alkohol.
- Jeśli gracz rozrzuci pionki po planszy, przegrywa - wyjaśnił Ryld. - Takie są zasady.

* * *

- Po powrocie na górę przyjemnie było popatrzeć, jak prowadzisz nasze tajne dochodzenie ze zwykłą sobie finezją- odezwał się Pharaun.

Drow zatrzymał się, by przepuścić szybujący w poprzek uliczki kufer, eskortowany przez kupców i sześć wielkich, niewolnych niedźwieżuków. Kamienna skrzynia przypominała sarkofag. Może nim była. Na bazarze kupujący mógł nabyć niemal wszystko, włączając w to ciała i mumie zabalsamowane niegdyś przy użyciu dziwnych przypraw i złożone na spoczynek podczas mistycznych rytuałów. Podobne towary były dostępne albo w całości, albo w wysuszonych częściach.

- To nie była moja wina - odparł Ryld. - W żaden sposób nie sprowokowałem tej bójki. - Zawahał się. - Może byłem zbyt szorstki, kiedy Godeepowie podeszli do stolika.
- Ty? Niemożliwe!
- Oszczędź mi swoich żartów. Po co w ogóle całe to dochodzenie? - Mistrz Melee-Magthere zanurkował pod wiszącym nisko daszkiem ze skóry rothe i dodał - Powinieneś być w stanie zajrzeć w

sadzawką jasnowidzenia i znaleźć zbiegów.

Pharaun uśmiechnął się.

- A co by to była za zabawa? A teraz poważnie, dlaczego w ogóle Godeepowie poczuli się dotknięci twoimi bez wątplenia delikatnymi pytaniami? Działali w porozumieniu z opryszkami?

- Nie sądzę, żeby cokolwiek wiedzieli. Myślę, że po prostu byli życzliwie nastawieni do pomysłu ucieczki i mieli ogólnie podły nastrój. Wyglądało na to, że któraś kobieta z domu Godeep obla ich pięścią albo pałką i potrzebowali tylko pretekstu, żeby wyładować na kimś złość.

- Ta hipotetyczna kapłanka pobiła fechmistrza domu, jak gdyby był niewolnikiem albo w najlepszym przypadku najbardziej bezużytecznym z jej męskich krewnych? Czy nie wydaje ci się to podejrzanym?

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, owszem.

- Poza tym w Szkatułce było dziś wyjątkowo tłoczno.

Pharaun dostrzegł orka, który z zawiązanymi oczami żonglował sztyletami ku uciechu gawiedzi, i zatrzymał się na chwilę, aby przyjrzeć się przedstawieniu. Ryld westchnął ciężko, zniecierpliwiony przerwą w rozmowie.

Czarodziej zliczył pięć ostrych noży, które pobliźnione ręce niewolnika łapały i wyrzucały w powietrze z bezbłędną precyzją. Przedstawienie było godne pochwały, nawet jeśli brakło mu pewnego rozmachu. Pharaun rzucił monetę właścicielowi orka i ruszył dalej, a Ryld za nim.

- A więc - powiedział fechmistrz - Tathlyn dostał baty, w burdelu roi się od klientów, a ty widzisz jakiś związek. Jaki?

- Co, jeśli wszyscy ci chłopcy zostali pobici, a przynajmniej ukarani w jakiś równie nieprzyjemny sposób przez swoje krewniaczki? Co, jeśli z tego właśnie powodu zaszyli się w jakiejś kryjówce, żeby lizać rany, a potem skopać jedną z więźniarek Nyma?

Ryld zmarszczył brwi, zastanawiając się nad słowami towarzysza.

- Zgadujesz, że kapłanki różnych domów stały się bardziej surowe i nierozsądne. Oczywiście mogło to spowodować falę ucieczek, ale co jednocześnie zwarzyło nastroje wszystkim tym kapłankom?

- Mam przecucie, że kiedy się tego dowiemy, wreszcie do czegoś dojdziemy.

Dwaj mistrzowie okrążyli kolosalnego ślimaka ciągnącego dwunastokołowy wózek. Otwór gębowy stworzył literę „O” i Pharaun, który kiedyś o mały włos nie przypłacił życiem spotkania z takim ogromnym mięczakiem, niemal się wzdrygnął, choć wiedział, że ten okaz bez wątpienia został pozbawiony zdolności plucia żrącą mazią. Rzeczywiście, z pyska zwierzęcia pociągowego nie wyleciało nic oprócz kilku przejrzystych, nieszkodliwych kropelek. Woźnica smagnął wrogo nastawionego stworza batem na długiej rączce.

- Czego się dowiedziałeś na dole? - zapytał Ryld.

- Właściwie niczego - odparł Pharaun - niczego, czego byśmy się wcześniej nie domyślali. Mogłem jednak wyświadczyć przysługę dawnej towarzysze. Na swój sposób było to przyjemne.

- Skoro żaden z nas nie dowiedział się niczego istotnego, nasza wizyta w Szkatułce była stratą czasu.

- Czy ja wiem? Ten rozlew krwi dobrze ci zrobił, nieprawdaż? Od tamtej pory cały czas się uśmiechasz.

- Nie bądź śmieszny. Przyznaję, że była to interesująca potyczka...

Ryld zaczął opisywać bójkę, akcja za akcją, poddając szczegółowej analizie alternatywne rozwiązania i ogólną strategię. Pharaun kiwał głową i starał się wyglądać na zainteresowanego.

* * *

Triel, matka opiekunka domu Baenre, drowka przypominająca małą hebanową lalczkę, maszerowała żwawo korytarzem, pomimo drobnych kroczków szybko pokonując odległość. Mierzący osiem stóp Jeggred, na swoich kozich nogach, które były bardziej zwinne niż kończyny większości drowów, bez trudu dotrzymywał kroku matce. Jednak zdyszana, drepcząca obok drowka piastująca funkcję sekretarki wyglądała tak, jak gdyby zaraz miała upuścić stos niesionych pergaminów.

Usłyszawszy głosy rozmawiających kilka jardów dalej osób, Triel chciała jeszcze przyspieszyć kroku. Wyłącznie przeświadczenie, że drowka na jej stanowisku nie powinna bieganiem narażać na szwank swej godności, pozwoliło jej zapanować nad tym pragnieniem.

- Myślę, że to próba - powiedział cichy żeński głos.
- Obawiam się, że to znak nielaski - odparł drugi, trochę głębszy i nieco nosowy. - Być może czymś obraziłyśmy...

Triel i jej towarzysze minęli zakręt. Przed nimi stały dwie kuzynki opiekunki. Na jej widok otwały szeroko usta.

Triel spojrzała synowi w twarz, która z powodu nieco wydłużonego pyska, długich, ostrych kłów, skośnych oczu i spiczastych uszu, była czymś pomiędzy fizjonomią drowa i wilka. To nieme spojrzenie wystarczyło, żeby oznajmić mu swoją wolę.

Jeggregd skoczył, a długa zmięzwiona grzywa rozwiała się za nim. Obiema wielkimi, pazurzastymi łapami przeznaczonymi do walki chwycił każdą z kuzynek za gardło, uniósł i przygwoździł do kalcytowej ściany. Dwie mniejsze ręce drowa kurczyły się i rozkurczały, jak gdyby i one chciały wziąć udział w akcie przemocy.

Może rzeczywiście chciały.

Triel poczęła dziecko podczas rytualnego spółkowania z demonem glabrezu o imieniu Belshazu. W rezultacie na świat przyszedł Jeggregd, półdemon zwany draeglothem, cenny dar Pajęczej Królowej. Jego matka była gotowa uwierzyć, że okrucieństwo i żądza krwi płonęły w każdej cząsteczce jego jestestwa. Tylko odruchowe posłuszeństwo, okazywane Triel nie dlatego, że go urodziła, ale ponieważ była pierwszą spośród kapłanek Lolth, powstrzymywało go przed mordowaniem więźniów, a raczej każdego, z kim się zetknął.

Czasami niski wzrost Triel był zaletą. Nie czuła się niezręcznie czy klaustrofobicznie, wchodząc pomiędzy dwa dłuższe ramiona Jeggregda, aby stanąć przed kuzynkami. Z bliska wyczuwała w ich pocie strach z taką samą łatwością, z jaką słyszała krztuszące odgłosy, które z siebie wydawały, czy głucho dzwęki, z jakimi uderzały piętami w rzeźbioną powierzchnię za sobą.

- Zabroniłam wam publicznie rozmawiać o zaistniałej sytuacji - warknęła.

Z gardła kuzynki po lewej zaczęło wydobywać się udręczone gulgotanie. Być może próbowała powiedzieć, że ona i ta druga były same.

- Ta część pałacu oddana jest do użytku publicznego - rzekła Triel. - Każdy, każdy mężczyzna mógł podejść i was usłyszeć.

Machnęła biczem, mierząc nisko, aby przypadkiem nie smagnąć Jeggregda przez ręce czy ramiona. Pięć wijących się żmij zraniło ofiary, ale nie na tyle, by usatysfakcjonować swoją panią. Uderzyła ponownie, a potem jeszcze raz. Jej gniew narastał, aż w końcu stał się swego rodzaju zachwytem, słodką prostotą, w której nie istniało nic prócz chłostania kuzynek, zapachu ich krwi opryskującej jej twarz i przyjemnego zmęczenia ramienia.

Nie wiedziała, co wytrąciło ją z tego radosnego stanu. Może po prostu zabrakło jej tchu, ale kiedy opamiętała się, obie papple zwisały bezwładnie i cicho w objęciach Jeggregda.

Draegloth i skryba uśmiechali się. Z ogromną przyjemnością obserwowali straszliwe tortury, jakim poddała swoje kuzynki, ale należało działać, a ona, tracąc panowanie nad sobą, zmarnowała już dość czasu.

Bardzo niedobrze. Matka opiekunka Baenre, de facto władczyni całego Menzoberranzan, powinna potrafić zapanować nad sobą.

Triel zrobiła się wybuchowa stosunkowo niedawno. Przez cały ten czas gdy służyła jako mistrzyni Arach-Tinilith, była spokojna i kompetentna. Stanowisko to, ustępujące prestiżem wyłącznie stanowisku jej matki, odpowiadało jej i nigdy nie miała większych ambicji.

Nigdy też tak naprawdę nie wierzyła, że może aspirować do czegoś więcej. Jej matka wydawała się nieśmiertelna. Niezniszczalna. A potem nagle jej zabrakło i ambicja, która od czasu do czasu budziła się w każdym mrocznym elfie, obudziła się w sercu Triel. Jak mogła nie spróbować sięgnąć po tron matki? Jak mogła pozwolić, żeby Quenthel czy któraś z jej krewniaczek miała już zawsze nią dyrgować?

Udało jej się zdobyć tytuł matki opiekunki i choć wkrótce poczuła się nieco przytłoczona zakresem i złożonością piastowanego stanowiska, z początku nie było tak źle. Wszystko toczyło się ustalonym rytmem i żadna dramatyczna interwencja z góry nie była konieczna.

Poza tym doradzali jej Quenthel i Gromph. To prawda, jej siostra i brat zawsze byli odmiennego zdania, ale Triel mogła ocenić ich konkurencyjne propozycje i wybrać tę, która bardziej jej odpowiadała. Było to znacznie łatwiejsze niż wychodzenie z własnymi.

Ale teraz musiała opanować kryzys, być może najpoważniejszy kryzys w historii mrocznych elfów, i najwyraźniej musiała poradzić sobie sama. W żadnym wypadku nie mogła zwierzyć się Gromphowi, a bezczelna Quenthel twierdziła, że musi zająć się bezpieczeństwem Tier Breche, zanim będzie mogła się skupić na czymkolwiek innym.

Triel potrząsnęła głową, usiłując odepchnąć od siebie wątpliwości i troski.

- Opuść je.

Jeggred posłuchał, a ona zwróciła się do sekretarki.

- Jeśli będziesz miała okazję - powiedziała, unosząc głos, aby nie zagłuszyły jej krztuszące się kuzynki - każ komuś odstawić je do Arach-Tinilith, żeby doprowadzić je do stanu używalności. I niech ktoś zmyje krew. A teraz lepiej ruszajmy. Chyba jesteśmy spóźnieni.

Cała trójka ruszyła w dalszą drogę. Za ostatnim zakrętem kryły się drzwi. Za nimi znajdowało się podwyższenie górujące nad największą salą audiencyjną domu Baenre. Dwóch strażników strzegło wejścia, żeby nikt nie zakradł się, aby ugodzić matkę opiekunkę nożem w plecy. Na jej widok natychmiast stanęli na baczność.

Triel wkroczyła do środka, a za nią Jeggred i sekretarka. Sala jarzyła się magicznym blaskiem, ułatwiającym badanie dokumentów. W powietrzu unosił się słodki zapach perfum, strop zdobił fresk przedstawiający Lolth. Strażnicy stojący pod ścianami - mroczne elfy w pobliżu podwyższenia, ogry i minotaury dalej - zaszalutowali, podczas gdy suplikanci i petenci złożyli ukłony w sposób odpowiedni dla swojego stanowiska, od pełnego godności skinienia głowy do służalczego padnięcia plackiem na ziemię. Spoglądając na nich z podwyższenia, Triel pomyślała, że to niesamowite, ilu interesantów pojawia się każdego dziesięciodnia. Myślała, że gdy rządziła Akademią, ludzie bez przerwy czegoś od niej chcieli, ale nie miała pojęcia, jakie hordy idiotów bez przerwy pragną zostać wysłuchane przez opiekunkę Baenre, często po to, by rozwiązać trywialne, jeśli nie zupełnie nonsensowne problemy.

Usiadła na tronie matki, prawdziwym cacku ze złota o oparciu rozszerzonym na kształt łuku pajęczej sieci. Jej poprzedniczka była stosunkowo dużą kobietą i jej następczyni zawsze czuła się na jej krześle trochę jak zagubione dziecko. Miała na tyle autoironii, by rozumieć ten przypadkowy symbolizm. Rozejrzała się wśród oczekujących i spostrzegła na samym przedzie Faeryl Zuavirr, trzymającą pod pachą długie, opasłe zwoje. Matka opiekunka uśmiechnęła się, bo przynajmniej w tym wypadku wiedziała, jak poradzić sobie z petentką. Waerva, jedna z mniej znaczących kobiet jej domu, przydała się wreszcie na coś. Zdobyła ważne informacje i miała sensowny pomysł, jak je wykorzystać.

Triel zdecydowała, że równie dobrze może zacząć od poczucia się dominującą i przenikliwą. Może w ten sposób nada ton reszcie sesji. Zaczekała, aż herold skończy z ceremoniałem, a tłum wstanie. Potem, wciąż spryskana krwią, czując za plecami pogrzipiającą obecność Jeggreda, skinieniem poleciła Faeryl podejść.

ROZDZIAŁ 6

Faeryl była zadowolona, że została wybrana jako pierwsza. Z perspektywy czasu uznała, że byłoby tak samo, nawet gdyby nie zapewniła sobie miejsca tuż przed podwyższeniem. Wyniosłe Menzoberranzan często udawało brak zainteresowania swoim satelickim miastem, ale wiedziała, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia Ched Nasad.

Trudno było się nie śpieszyć, ale zmusiła się, żeby podejść do tronu statecznym krokiem licującym z godnością jej stanowiska, pozycją jej domu i wspaniałością jej ojczyzny. Miała też trudności ze złożeniem po raz drugi wdzięcznego ukłonu, nie upuszczając przy tym trzymany pod pachą map, ale to również jej się udało.

- Pani ambasador - powiedziała Triel chłodnym głosem. Być może uważała obecność Faeryl za niestosowną.

- Matko opiekunko - odparła Faeryl. Wysoka, za szeroka w ramionach i talii jak na standardy swej smukłej rasy, górowałaby znacznie wzrostem nad Baenre, gdyby stanęły obok siebie. - Wiem, że czasem spotykamy się prywatnie, ale po kilku dziesięciodniach rozmyślań doszłam do pewnego wniosku i postanowiłam naradzić się z tobą przy pierwszej możliwej okazji.

- Jakiego wniosku? - zapytała Triel.

Wciąż sprawiała wrażenie obojętnej, jeśli nie całkowicie oziębłej. Być może była pochłonięta własną przypadłością.

Oczywiście Faeryl padła ofiarą tej samej niemocy, ale ku własnemu zaskoczeniu odkryła, że jest przynajmniej równie mocno zaniepokojona czymś innym - dobrobytem domu Zuavirr i wspaniałego miasta, w którym pomnażał on swoje bogactwa, staczał potajemne bitwy i parał się magią.

- Śledzę losy karawan przybywających z Chad Nasad - powiedziała ambasador. - Przez sześć ostatnich dziesięciodni nie dotarła tu ani jedna. Ani jedna. Jak matka opiekunka z pewnością wie, kilka głównych szlaków handlowych zbiega się w Mieście Połyskliwych Pajęczyn, aby później skierować kupców do Menzoberranzan. Przynajmniej połowa towarów, które docierają do waszej pieczary, przechodzi przez nasze miasto. Tyle, że teraz przestały docierać. Stały dopływ wysechł. Jest to rzecz nie mająca precedensu, chyba że w czasie wojny.

- To rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności, że wszystkie klany kupieckie wybrały inne miasta, ale jestem pewna, że teraz z pewnością wybiorą się do Menzoberranzan, a już na pewno następnym razem.

Faeryl z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy. W przeciwnym wypadku wykrzywiłby ją grymas. Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, uznałaby, że Triel specjalnie udaje głupią.

- Przypuszczam, że to coś więcej niż zbieg okoliczności - powiedziała ambasador. - W Podmroku czyha tysiące niebezpieczeństw, a filozofowie mówią nam, że nowe wciąż się lęgną. A co, jeśli coś zatamowało szlak łączący Menzoberranzan z Ched Nasad? Co, jeśli zabija wszystkich, którzy próbują dostać się na drugą stronę?

- Miasta łączy więcej niż jeden tunel - zagrzmiał niespodziewanie draegloth, a choć w powietrzu unosił się zapach perfum, Faeryl wyczuła w nim wstrętny oddech stwora. - Czyż nie tak?

- Otóż to! - Triel sięgnęła ręką za oparcie złotego krzesła, by z aprobatą poklepać półdemona po nodze. - Twoja teoria jest bezpodstawną, pani ambasador.

Nie po raz pierwszy Faeryl żałowała, że matka Triel nie przewodzi już domowi Baenre. Z chciwą, nikkzemną autokratką trudno było walczyć, ale choć widziałaby w draeglocie znak aprobaty Lolth i byłaby zachwycona łatwością, z jaką zabijał, nie pozwoliłaby mu odzywać się nieproszonym podczas oficjalnej konferencji, podobnie jak nie zniosłaby podobnego uchybienia ze strony kogokolwiek innego.

- Jeśli to coś więcej niż jeden stwór - rzekła wysłanniczka - albo więcej niż jedno zjawisko, mogło zostać odcięte więcej niż jedno przejście.

Triel wzruszyła ramionami.

- Skoro tak twierdzisz.

- Waham się, czy o tym wspomnieć - podjęła Faeryl - żeby nie posądzono mnie o wpadanie w panikę, ale możliwe jest nawet to, że jakieś nieszczęście spadło na samo Ched Nasad.

- Nieszczęście tak nagłe i wszechogarniające, że twój lud nie miał nawet szansy wysłać posłańca do Menzoberranzan? - odparła Triel. - Nonsens. Nawet Golothaer, siedziba naszych przodków, nie upadła w przeciągu godziny. Poza tym wiem, że w przeciągu kilku ostatnich dni dotarło tu z Ched Nasad parę

wiadomości.

- Sama otrzymałam kilka raportów, matko opiekunko, i uważam te usprawiedliwienia za w najlepszym wypadku podejrzanę. W każdym razie ustanie ruchu z Ched Nasad wymaga zbadania, a ponieważ jestem reprezentantką mojego miasta w Menzoberranzan, zadanie to uważam za swój obowiązek.

- Nikt cię nim nie obarczył.

- Sama więc biorę go na siebie. Nie chciałabym jednak wędrować po Podmroku wyłącznie pod opieką mojej nielicznej eskorty. Kupcy bardzo dobrze strzegą swoich karawan. Coś, co było w stanie rozbić te wszystkie kupieckie konwoje, z wielkim prawdopodobieństwem szybko poradzi sobie ze mną, a wtedy, matko opiekunko, kapłanki Menzoberranzan nie dowiedzą się niczego więcej o tym nowym zagrożeniu. Dlatego też proszę o przydzielenie mi licznej eskorty. Przemaszuję wraz z nią do Ched Nasad i z powrotem, aby sprawdzić, co przytrafi mi się po drodze.

- Jesteś przedsiębiorcza - rzekła Triel. - Doceniam to. Niestety, Menzoberranzan nie może zrezygnować z części swoich oddziałów. Nie teraz. Nasze siły biorą właśnie udział w szkoleniach.

Faeryl wydawało się, że zna prawdziwą przyczynę, dla której Baenre nie chce się rozstać z choćby częścią swych sił. Jej ostrożność była ze wszech miar uzasadniona, ale potwierdzała też słuszność podejrzeń emisariuszki!

- Matko opiekunko, jeśli handel z Ched Nasad nie zostanie wznowiony, mieszkańcy Menzoberranzan zostaną pozbawieni niezliczonych towarów. Części waszych rzemieślników zabraknie surowców, które potrzebne im są do pracy. Wasi kupcy spróbują wysłać do mojego miasta karawany, które prawdopodobnie nie powrócą.

- Przypuszczam, że jakiś sprytny mężczyzna zacznie importować te same towary inną trasą, o ile tylko będzie mógł z tego czerpać zyski.

Faeryl zaczynała się czuć tak, jak gdyby ugrzęzła w jakimś szalonym śnie.

- Matko, nie mówisz chyba poważnie. Ched Nasad jest największym źródłem bogactw, jakie posiada twój lud.

Na demony pajęczyny, w rzeczywistości mieszkało w nim o połowę więcej elfów niż w Menzoberranzan. Obie krainy przez długi czas miały równy status i dopiero stosunkowo niedawno czysty zbieg okoliczności sprawił, że Miasto Połyskliwych Pajęczyn zostało zredukowane do roli wasala.

Triel rozłożyła drobne ręce barwy obsydianu w geście bezradnej rezygnacji.

- Bogactw, które należą do nas bez względu na to, czy znajdują się w składach Ched Nasad, czy w naszych własnych skarbcach.

Faeryl nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Żaden argument, bez względu na to, jak przekonujący, nie był w stanie przebić tarczy obojętnego, niemal drwiącego samozadowolenia matki opiekunki.

- Bardzo dobrze - wycodziła ambasador przez zaciśnięte zęby, usiłując nie stracić panowania nad sobą. - Skoro nie można inaczej, poradzę sobie bez waszej pomocy. Uszczupli to moje zasoby finansowe, ale może uda mi się wynająć kilku Bregan D'aerthe.

Triel uśmiechnęła się.

- Nie, moja droga, to nie będzie konieczne.

- Nie rozumiem.

- Nie mogą dać ci pozwolenia na tak nagły wyjazd. Kto przemawiałby wówczas w imieniu twojego ludu? Co ważniejsze, uważam, że możesz mieć rację. W Podmroku może czyhać jakieś nowe niebezpieczeństwo, masakrujące drowy. Nie chcę, żebyś i ty padła jego ofiarą. Za bardzo cię cenią, a już na pewno nie chciałabym, żeby inni szlachetnie urodzeni mieszkańcy Ched Nasad pomyśleli, że niefrasobliwie posłałam cię na śmierć. Mogliby uznać, że nie darzę należnym szacunkiem nawet najwyższych urzędników waszego wspaniałego miasta, podczas gdy nic nie mogłoby być dalsze od prawdy.

- Zaszczycasz mnie. Jednak biorąc pod uwagę stawkę, o jaką toczy się...

- Nic nie jest ważniejsze od twojego bezpieczeństwa. Wszystko mogłoby się wydarzyć, gdybyś w tych niespokojnych czasach spróbowała przemierzyć tunele. Mogłoby ci się nawet nie udać wyjechać poza Bauthwaf. Jeden z miejskich patroli, znużony nadmiarem obowiązków, wyobrażający sobie, że za każdym stalagmitem czai się krasnolud, mógłby wziąć twój oddział za wrogie siły i razić go gradem zatrutych strzał. Mogłabyś zginąć straszliwą śmiercią z rąk własnych przyjaciół, czego nigdy bym sobie

nie wybaczyła.

Faeryl ciarki przeszły wzdłuż kręgosłupa, bo zrozumiała, co naprawdę chciała powiedzieć Triel. Matka opiekunka zabroniła jej właśnie opuszczać miasto pod karą śmierci.

Ale dlaczego? Co spowodowało nagłą wrogość opiekunki Baenre? Faeryl nie miała pojęcia, dopóki nie zerknęła na twarz draeglotha. Jakimś sposobem chytre spojrzenie półdemonia podsunęło jej wyjaśnienie.

Triel uznała, że Faeryl jest nie tyle dyplomata, co szpiegiem, agentką jakiejś potęgi nieprzychylniej Menzoberranzan, która uknuła cały ten plan ze znikającymi kupcami, aby mieć wymówkę do opuszczenia miasta i zdania raportu swoim przełożonym.

Matka Baenre nie mogła do tego dopuścić, nie mogła pozwolić, żeby szpieg rozpowszechnił wieści o nowej słabości Menzoberranzan. Nie śmiała tego zrobić, było bowiem całkiem możliwe, że nieszczęście nie spadło na wszystkie enklawy mrocznych elfów, a gdyby nawet, być może nie ucierpiały krasnoludy, duergarowie, podziemne gnomy i illithidowie.

Niejasny był tylko powód, dla którego Triel tak myślała. Kto podsunął jej ten pomysł i co miała do zyskania ta osoba, zatrzymując Faeryl w mieście?

Zaciskając zęby, emisariuszka stłumiła impuls każący jej zapytać Triel o prawdziwe motywy jej postępowania. Wiedziała, że nie jest w stanie skłonić Baenre do dokładnego rozważenia wymierzonych przeciwko niej zarzutów. Czerpiąc przewrotną przyjemność z udawania, Triel po prostu udałaby zszokowaną tym, że Faeryl wątpi w jej dobrą wolę.

Jeśli Faeryl chciała uniknąć dalszego poniżenia, pozostawało jej tylko ciągnąć tę szopkę dalej. Uśmiechnęła się i powiedziała

- Jak już mówiłam, matko opiekunko, twoja troska zaszczyca mnie i oczywiście zastosuje się do twojego polecenia. Pozostanę w Mieście Pająków, oddając się jego licznym rozkoszom.
- To dobrze - powiedziała Triel, a Faeryl dopowiedziała w myśli słowa, które nie zostały wypowiedziane - Będziemy wiedzieć, gdzie cię szukać, kiedy przyjdzie czas cię aresztować.
- Czy pozwolisz mi teraz odejść? Widzę, że wiele innych osób chce, abyś podzieliła się z nimi swą mądrością.
- Odejdź z moim błogosławieństwem.

Faeryl ukloniła się, opuściła salę i ruszyła przez wielki kopiec stanowiący cytadelę Baenre, aż znalazła się w krótkim przejściu, sama i przez nikogo nie widziana. Wyjęła spod pachy zwinięte mapy Podmroku, plany, które miała obejrzeć razem z Triel, i obnażywszy zęby w krzywym grymasie, zaczęła nimi walić w ścianę, dopóki sztywny rulon pergaminu nie zwisał bezwładnie w jej ręce.

* * *

Gromph i Quenthel przechadzali się po płaskowyżu, przyglądając się uczniom i mistrzom Sorcere odprawiającym rytuały. Powietrze wypełniały monotonne śpiewy i ostry zapach kadzidła, a także najprzeróżniejsze wyczarowane zjawiska: rozbłyski światła, tańczące cienie, demoniczne twarze pojawiające się i znikające, jęki i trzaski. Wszystko po to, by obłożyć Tier Breche nowymi osłonami.

Gromph był pod wrażeniem. Ogólnie rzecz biorąc, jego słudzy świetnie sobie radzili, choć nie rzucali żadnych zaklęć, których nie byłby w stanie przebić. Prawdę mówiąc, ponieważ nadzorował ich pracę, sforsowanie ich osłon powinno być łatwe.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście uda im się nas ochronić - odezwała się Quenthel ze skrzywioną miną, a jej długa spódnica zafalowała na wietrze wywołanym czyjąś inkantacją.

Gromph był zaskoczony, że nawet po ataku Beradaxa nie przywdziała kolczugi. Być może uważała, że przestraszone nowicjuszeki i kapłanki potrzebowały kogoś emanującego pewnością siebie.

- Wcześniej nas nie uchroniły - syknął jeden z obdarzonych głosem węży, z których składał się bicz wiszący przy jej pasie.

Cztery z nich wily się na wszystkie strony, wypatrując niebezpieczeństwa. Piąty wpatrywał się zimnym wzrokiem w Grompha, ale nie dlatego, o czym arcymag był przekonany, że jego siostra podejrzewała go o próbę zamordowania jej. A raczej podejrzewała, ale nie tylko jego. Podejrzewała zbyt wiele osób. Swoje podwładne, aspirujące do stanowiska mistrzyni Arach-Tinilith, a także tysiące nieprzyjaciół domu Baenre. Może to nawet Triel starała się uprzędzić ten niemal nieunikniony dzień, w którym Quenthel zagrozi jej pozycji.

- Działanie zaklęć może osłabnąć wraz z upływem czasu - przyznał szczerze Gromph. - Nowe będą silniejsze. Na tyle silne, by zapewnić ci bezpieczeństwo w Arach-Tinilith.

- Nie tylko świątynia jest zagrożona - warknęła Quenthel. - Następnym razem demon może zaatakować Sorcere albo Melee-Magthere.

Nie licz na to, pomyślał Gromph, a na głos powiedział

- Rozumiem.

Już się napatrzyłam - powiedziała mistrzyni, krzywiąc się jeszcze bardziej. - Niech twoi mężczyźni się nie ociągają. Chcę, żeby osłony były gotowe, zanim rzucisz czar na Narbondel.

- Zrobione.

Quenthel odwróciła się i odeszła w kierunku Arach-Tinilith. Główne wejście do imponującej świątyni w kształcie pająka przypominało teraz dziwną dziurę. Rzemieślnicy nie skończyli jeszcze naprawiać zgruchotanych adamantytowych skrzydeł bramy. Gromph uśmiechnął się na myśl, jak bardzo musiało to irytować jego siostrę. Znał ją dobrze i był prawie pewny, że nieszczęśliwi rzemieślnicy odczuli już ogrom jej niezadowolenia.

Cóż, może nie będą musieli go znosić dużo dłużej. Palcami odnalazł niewielką ozdobę - czarny kamień ujęty srebrnymi szponami wiszącą mu na sercu.

Quenthel nie pytała o tę błyskotkę, a Gromph nie spodziewał się tego z jej strony. Zawsze nosił swój amulet wiecznej młodości i broszkę, która pomagała mu napędzić Narbondel promiennym ciepłem. Oprócz tych dwóch stałych ozdób przystrajał szaty arcymaga stale zmieniającymi się amuletami i talizmanami, w zależności od kaprysu i konkretnego magicznego zadania, które miał wypełnić danego dnia. Jego siostra nie miała powodów podejrzewać, że akurat ta błyskotka miała jakiegokolwiek znaczenie, a już na pewno nie dla niej.

Gdyby w ogóle ją zauważyła, prawdopodobnie uznałaby, że jest z onyksu, hebanu lub gagatu. W rzeczywistości była to wypolerowana kość wycięta z rogu jednorożca po tym, jak Gromph zabił magiczne zwierzę - uznawane za święte przez nikczemne elfy zamieszkujące Świat Ponad - w nekromantycznym rytuale. Gałka była czarna wyłącznie z powodu istoty, którą umieścił w jej wnętrzu dwie godziny wcześniej.

- To była ona - wymamrotał, zbyt cicho, aby mógł go usłyszeć któryś z czarodziejów uwijających się wokół niego. - Zwiتریłeś jej zapach?

- *Tak*, - odpowiedział demon w umyśle Grompha, co brzmiało jak skrobanie gwoździem. - *Chociaż nie było to konieczne. Może i nie posiadam wzroku, ale nigdy nie przeszkodziło mi to w odszukaniu ofiary.*

- Chciałem się tylko upewnić. Czy uda ci się wykonać zadanie, którego nie udało się wykonać Beradaxowi?

- *Oczywiście. Nikt z twego świata jeszcze nigdy mi nie uciekł. Potem będę się zajął duszą Quenthel, smakując ją kawaleczek po kawaleczku.*

Duch miał najpewniej spełnić tę obietnicę, a gdyby mu się nie udało, Gromph miał jeszcze sześć innych, z których któremuś powinno udać się dokończyć zadanie. Mogło nawet do tego nie dojść. W końcu pokierował wydarzeniami w taki sposób, aby do akcji wkroczyli zwykli zabójcy.

Student trzeciego roku spieszył w jego stronę z pękatą różdżką z chalcedonu w dłoni. Zmuszony do zajęcia się bardziej pilnymi sprawami, Gromph westchnął i przygotował się do nauczania młodzieńca, jak działa magiczne narzędzie.

* * *

Udając zainteresowanie stosem wykutych tanim kosztem i źle wyważonych sztyletów należących do wędrownego przekupnia, Ryld odwrócił się i ukradkiem przyjrzał się skrzyżowaniu.

Elf o nogach pokrytych ranami, które, jak przypuszczał fechmistrz, sam sobie zadał, monotonnym głosem prosił o datki, potrząsając glinianą miseczką. Ponieważ rzadko który mroczny elf, chyba że chory na umyśle, kiedykolwiek odczuwał litość, żebrak siedział w pobliżu wejścia do podłego zajazdu przeznaczonego dla nie drowów.

Obok przebiegła elfka z zakrzywionym, ostro zakończonym kijem - w zasadzie dzidą, jeśli by się mu dokładniej przyjrzeć - na ramieniu i wielką łasicą na smyczy. Najwyraźniej zajmowała się tępieniem szkodników i właśnie zmierzała w tym celu do jakiegoś domostwa.

Przeklinając, szlachcic z domu Hunzrin dobył rapiera i smagnął płazem elfa z gminu, najwyraźniej

dlatego, że ten zbyt wolno usuwał mu się z drogi. Hunzrinowie byli znani ze swojej napastliwej arogancji. Być może wynikała ona z tego, że kontrolowali większą część rolnictwa Menzoberranzan. A może próbowali w ten sposób odbić sobie to, że pomimo całego swojego bogactwa, utknęli na „zapadłym Wschodzie”.

Cała masa nijakich i wyglądających na wygłodniałe istot przemykała obok, zajmując się swoimi sprawami.

- Odżyły wspomnienia z dzieciństwa? - zapytał czarodziej.
- Zapominasz - odparł Ryld - że urodziłem się w Braerynie. Musiałem się nieźle natrudzić, żeby trafić do Eastmyru.
- Śmiem twierdzić, że wystarczył ci jeden rzut oka, żeby zacząć się wspinać.
- Masz rację. Teraz sprawdzałem, czy nikt nas nie śledzi. Nikogo nie zauważyłem.
- Szkoda. Miałem nadzieję, że jeśli zadamy wystarczającą ilość pytań w męskim gronie, jacyś przyjaciele uciekinierów spróbują nas zamordować, a przynajmniej dowiedzieć się, o co nam chodzi. Być może zbiegowie są na to za sprytni.
- Co teraz?
- Chyba pójdziemy do kolejnej podłej karczmy. - Ruszyli, a Pharaun ciągnął - Powiedz, czy opowiadałem ci, jak w dwa dni po rozpoczęciu mojej pierwszej misji do Świata Ponad musiałem śledzić ludzkiego maga, podczas gdy na niebie świeciło prażące słońce? Niemal oślepiłem od jego blasku...
- Dość - przerwał mu Ryld. - Opowiadałeś to już setki razy.
- To świetna opowieść. Wiem, że chętnie znów jej wysłuchasz. A więc, niemal oślepiony jego blaskiem...

Idąc dalej, dwaj mistrzowie minęli drzwi przesłonięte zasłoną pajęczyny. Ponieważ uświęcone prawo zabraniało niszczyć jedwabną pułapkę, dopóki jej budowniczy jej nie opuści, pechowy mieszkaniec budynku umieścił pod frontowym oknem skrzynkę służącą jako prowizoryczny stopień.

Po drugiej stronie ulicy obdarta dziewczynka, której wygląd świadczył o mieszanej krwi elfiej i ludzkiej, przeszła obok pijanego robotnika, ocierając się przy tym o niego, po czym przyspieszyła nieco kroku. Ryld nie widział, jak zwędziła moczymordzie sakiewkę, ale był prawie pewny, że to zrobiła.

Pharaun zatrzymał się gwałtownie.

- Spójrz na to - powiedział.
- Ryld odwrócił się, a Rozpruwacz, spoczywający wygodnie na jego plecach, przesunął się nieznacznie. Na murze u wylotu uliczki ktoś niezdarnie nagryzmolił szponiastą dłoń otoczoną płomieniami. Choć prymitywny rysunek był mały i wymalowany farbą, która ledwo ledwo odcinała się od kamienia, na którym został umieszczony, Ryld był nieco rozgoryczony tym, że to Pharaun, a nie on sam, go zauważył, ale najwidoczniej czarodziej miał nosa do glifów.
- Wiesz co to? - zapytał Pharaun.
- Symbol hordy Osmalonych Szponów, jednego z największych plemion orków. Raz czy dwa byłem w Krainach Oglądających Słońce, pamiętasz?
- Dobrze, cieszę się, że potwierdziłeś moje przypuszczenia. A teraz powiedz mi, co to tutaj robi? Ryld rozejrzał się odruchowo dokoła, szukając potencjalnych niebezpieczeństw.
- Przypuszczam, że narysował to jakiś ork.
- Też bym tak sobie pomyślał, ale widziałeś kiedyś niewolnika, który zrobiłby coś podobnego?
- Nie.
- To oczywiste. Który niewolnik ośmieliłby się oszpecić miasto, wiedząc, że każdy drow szczeni się jego perfekcyjnym pięknem?
- Szalony. Wszyscy wiemy, że wariują pod batem.
- I wówczas atakują swoich oprawców. Nie skradają się po mieście, bazgrząc po murach. Chciałbym zadać kilka pytań okolicznym mieszkańcom. Może któryś z nich rzuci jakieś światło na tę zagadkę.
- Przejawiasz zainteresowanie przedziwnymi sprawami - powiedział Ryld, potrząsając głową. - Czasem odnoszę wrażenie, że sam jesteś trochę szalony.
- Geniusze często bywają niezrozumiani.
- Słuchaj, wiem, że ta zagadka nie da ci spokoju, ale właśnie staramy się znaleźć zbiegów i ocalić ci życie. Trzymajmy się tego.
- Wysoki, szczupły czarodziej uśmiechnął się.

- Oczywiście.
Ruszyli w dalszą drogę.
- Ale kiedy już - podjął po chwili Pharaun - namierzemy uciekinierów i okryjemy się chwałą - a przynajmniej przekonamy Grompha, żeby pozwolił mi dalej żyć zajmę się tą sprawą.
Minęli kolejną przecznicę i wtedy z nieba spadł słup ryczącego, żółtego ognia, pochłaniając ciało Pharauna. W powietrzu rozległ się łopot skrzydeł, a w stronę Rylda pomknęła strzała.

* * *

Duch nie widział nowych zaklęć otaczających Tier Breche, lecz gdy najbardziej rozrzedzona odnoga jego substancji musnęła je, wyczuł ich obecność.

Metaforycznie rzecz biorąc, osłony przypominały nieco fortecę. Była tam fosa i strome zbocza spowalniające natarcie nieprzyjaciela, dając obrońcom możliwość obsypania wrogów gradem pocisków. Na szczycie wzniesienia majaczyły grube, wysokie mury, których w zasadzie nie można było sforsować ani się na nie wdrapać. Na środku mieściła się we wnęce brama, której broniono włóczniami i strzałami wypuszczanymi z trzech stron. W samym tunelu ziały w stropie otwory, przez które wylewano na głowy wroga płonący olej, zaś za nim wznosiła się zwieńczona blankami wieża bramna, kolejna bariera zamykająca pierwszy odcinek podwórca i mogąca go w razie potrzeby zmienić w zabójczą zasadzkę.

Kontrzaklęcia użyte przez Grompha za pierwszym razem, które pozwoliły nieżyjącemu i nie oplakiwanemu Beradaxowi wtargnąć do świątyni, zaatakowały fortecę niczym rozszalała armia wyposażona w katapulty, tarany i wieże oblężnicze. Druga próba arcymaga przypominała podkop wykonany przez saperów, aby przedostać się chyłkiem pod murami. Tylko że teraz tunel prowadził przez pozawymiarową przestrzeń.

Z tego, co zrozumiał duch, ta metoda dostania się do środka została pomyślana przez starszego członka domu Baenre w taki sposób, aby mieszkanki Arach-Tinilith doświadczyły przerażenia innego rodzaju. Odkryły już strach, który poprzedzały sygnały alarmowe, a teraz miały poznać, co znaczy trwoga, kiedy śmierć zakradnie się w sam ich środek bez żadnego ostrzeżenia.

Wciągając do środka dłuższe macki swej ektoplazmicznej substancji, istota - ona i jej podobne nie miały imion, dzięki czemu większość czarodziejów nie potrafiła ich wezwać wlała swój bezkształtny kształt do tunelu, choć nie bez pewnego niepokoju. Jeśli magia Grompha nie była w stanie zneutralizować zaklęć jego własnych sług, właśnie tutaj duch miał się o tym przekonać w dość nieprzyjemny sposób.

Skradając się tunelem, stwór wyczuwał osłony umieszczone nad nim i wokół niego, zaklęcia przypominające topory zawieszane w chwiejnej równowadze i gotowe spaść w każdej chwili, lub naprężone druty przyczepione do kusz, o które można się było potknąć, czy też rozrzucone po ziemi kolczatki. Wytwory magicznej siły drżały lekko jak żywe istoty ogarnięte żądzą mordy, ale żaden z nich nie wykrył intruza.

Wylot tunelu, niewidoczny dla śmiertelnych oczu, chyba że magicznie wzmocnionych, otwierał się na korytarz. Duch wydostał się z niego i ustalił swoje położenie. Znajdował się w jednej z pajęczych odnóży Arach-Tinilith, w pewnej odległości od komnat Quenthel, ale to w niczym nie przeszkadzało. Był pewien, że nic nie jest mu w stanie zagrozić drogi do ofiary.

Intruz skulił się, unosząc się w powietrzu minął załom korytarza i dostrzegł stojącą na straży nowicjuszkę. Na szczęście mroczna elfka nie zauważyła go, choć nie było w tym nic dziwnego. Z jakiegoś powodu, którego do końca nie rozumiał, Gromph nadał mu wygląd demona ciemności, przez co nie dało się go odróżnić od zwykłego, pustego mroku, jaki panował za nim.

Duch pragnął zabić śmiertelniczkę, ale Gromph zabronił mu krzywdzić którąkolwiek z kobiet oprócz Quenthel, chyba że któraś z nich byłaby na tyle głupia, żeby stanąć pomiędzy nim a jego ofiarą. Czując ukłucie żalu, duch prześliznął się obok strażniczki i ruszył dalej korytarzem. Wkrótce dotarł do rzędu cel. Wewnątrz małych kwadratowych pokojów uczennice recytowały modlitwy.

Istota była do tego stopnia ogarnięta żądzą mordy, że korytarz wydawał jej się nie mieć końca. Jednak wkrótce dotarła do głowotułowia pająka. Było to okrągłe, oświetlone ogniem serce świątyni, gdzie mieściły się najwspanialsze kaplice, najświętsze ołtarze, oraz kwatery starszych rangą kapłanek.

Intruz wpłynął do przestronnej i niemal pustej ośmiokątnej komnaty, gdzie powietrze było wyczuwalnie chłodniejsze niż w otaczających ją pomieszczeniach i korytarzach. Pomiędzy ośmioma prostokątnymi otworami wejściowymi stały posągi Lolth, a złote linie i zawijasy, którymi inkrustowana

była posadzka, tworzyły zawiły magiczny znak, pentagram skupiony wokół węzła mocy w samym środku pomieszczenia. Ten sam znak ozdabiał wysoki sufit, wzmacniając czar.

Duch nie miał większej ochoty przekonać się, jakie to zaklęcie. Zaczął pełznąć wzdłuż ścian, starając się nie dotknąć krawędzi wzoru.

Z wnętrza znaku zaczęły się rozchodzić fale mocy, w środku komnaty coś obudziło się lub stało się bardziej realne. Coś ostrego przeszło górną część przypominającego opar ciała istoty, paraliżując ją na chwilę nieoczekiwanym spazmem bólu.

Coś szarpnięciem pociągnęło żywą ciemność ku środkowi komnaty. Istota uświadomiła sobie, że choć jej ciało nie jest stałe, coś złapało ją na odpowiednik haczyka i żyłki. Zrozumiała też, że nie wystarczyło tylko ominąć pentagram. Najwidoczniej, wchodząc do pokoju, należało wypowiedzieć jakieś hasło.

Ciągnięcie skończyło się nagle, ból zelżał. Otrząsając się z szoku i dezorientacji, duch rozejrzał się i dostrzegł pochylającego się nad nim napastnika. Był niemal równie amorficzny jak on sam, ale jego istota była trwałą, twardą masą guzów i kątów.

Napastnik wyrzucił do przodu dodatkowe ramiona, aby unieruchomić ducha. Ukłucia paliły, duch zaczął drżeć w niekontrolowany sposób i wydawał się tracić siły.

Było to, jak wysłannik Grompha uświadomił sobie z niejakim podziwem, zimno, które unicestwiłoby śmiertelne życie w jedno uderzenie serca. Intruz nigdy wcześniej nie doświadczył podobnego uczucia - nie w bolesny sposób - i wcale nie powinien był go czuć, ale więzień pentagramu nie był po prostu zimny. Był samą istotą zimną, czystą ideą zimną obdarzoną życiem, tak jak duch do pewnego stopnia ucieleśniał ideę ciemności.

Fragmenty skrytobójcy zaczęły krzepnąć i twardnieć, stając się sztywne i kruche, a potem odpadać. Nie był jeszcze naprawdę ranny, ale jeśli chciał, by tak pozostało, musiał odpowiedzieć atakiem na atak.

Omiótł wysuniętą do przodu odnogę ducha zimna, odnajdując punkty napięcia, szczeliny wąskie jak włos, niedoskonałe spojenia. To było oczywiste - więzień przypominał strukturą bryłę lodu.

Wysłannik Grompha zmaterializował członki w kształcie młotów, którymi zaczął walić w słabe punkty. Wsunął cienkie płaszczyzny samego siebie w szczeliny, a potem pogrubił je, rozszerzając szpary. Duch zimna wypuścił wroga ze swoich lodowatych szponów. Jego umysł wybełkotał psioniczny komunikat o kapitulacji. Chmura ciemności zignorowała to i kontynuowała atak.

Mroźny więzień pieczęci eksplodował drobkami szronu, które obsypały ducha ciemności, po czym zniknęły.

Zadowolony z siebie zwycięzca odwrócił się i przyjrzał uważnie wszystkim wejściom po kolei, sprawdzając, czy walka nie zwróciła czyjejś uwagi. Wyglądało na to, że nie, i było to całkiem zrozumiałe. Zmagania były stosunkowo ciche, jako że toczyły się głównie na innym planie egzystencji.

Już bez dalszych przeszkód ciemność dotarła do wejścia do komnat Quenthel. Czekala tam kolejna wartowniczką z najeżonym kolcami buzdyganem w dłoni, który niemal trzeszczał od magicznej siły. Zostawiona samej sobie, mogła usłyszeć krzyki swojej pani i próbować interweniować, więc duch postanowił jej to uniemożliwić. Otoczył kapłankę, oslepiając ją, pogrubił jedno ze swoich odgałęzień, po czym zacisnął je wokół jej gardła.

Elfka rzuciła się przez chwilę, po czym omdlała z braku powietrza. Napastnik położył ją na ziemi i prześliznął się pod drzwiami.

Prywatne komnaty Quenthel ozdobione były tyłoma kosztownymi obrazami, że same przypominały świątynię Lolth. Jeśli jednak nie liczyć obrazów, apartament był skąpo umeblowany, aczkolwiek sprzętami kunsztownej roboty, jak gdyby mistrzyni Arach-Tinilith praktykowała ascetyzm klócający się z przyzwyczajeniami przeciętnego sybaryckiego menzoberranzańczyka.

Ciemność wysłała przodem niematerialną falę samej siebie, która natychmiast wykryła element osobistych osłon Quenthel. Nie była to, jak mógł się spodziewać duch, ukryta pułapka utkana z potężnej magii objawień, ale zwykłe kryształowe dzwoneczki wietrzne, niewidzialne i zawieszane w takim miejscu, żeby każdy intruz nieświadomy ich obecności musiał potrącić je głową. Najwyraźniej kapłanka Baenre wierzyła, że jeśli tylko napastnik da jej choć sekundę, sama będzie w stanie sobie z nim poradzić. Może rzeczywiście tak było. Duch nie miał się o tym nigdy przekonać, ponieważ nie miał zamiaru powiadamiać jej o swoim nadejściu. Z lekkim rozbawieniem przesunął swoje przypominające dym kształty przez wiszące kryształy, nie wprawiając ich nawet w najsłabsze drżenie.

Z zamkniętymi oczami, bez wątpienia pogrążona w Zadumie, Quenthel siedziała ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku. Fale magicznej energii pulsowały znad dwóch żelaznych skrzyń stojących pod tylną ścianą i spoza teoretycznie sekretnych drzwi. Wysoka kapłanka przywołała jakąś potężną magię, aby strzegła jej drogocennych przedmiotów. Szkoda, że nie zatroszczyła się w podobny sposób o własne życie.

Wysłannik Grompha podpłynął do przodu, gdy wtem coś podniosło się z sykiem z blatu małego stolika. Było to pięć żmij tworzących magiczny bicz. Zająty siłą płonąca na tyłach komnaty, duch nie zwrócił uwagi na słabsze emanacje żmij.

Na szczęście nie miało to żadnego znaczenia. Ożywiona ciemność podkradła się zbyt blisko ofiary, by cokolwiek mogło udaremnić jej zamiary. Zmaterializowała wijące się pasmo samej siebie i przewróciła stół, wyrzucając bat w powietrze. W tej samej chwili rzuciła się do przodu, rozciągając się, by skoczyć na Quenthel.

Skośne oczy kapłanki otwarły się, ale zobaczyły, rzecz jasna, wyłącznie ciemność. Quenthel otworzyła usta do krzyku, a demon wsunął do jej środka jedną ze swoich macek.

ROZDZIAŁ 7

Na chwilę świat stanął w płomieniach, osmalając Pharaunowi skórę. Jednak gdy płomienie zniknęły, pozostało po nich jedynie wspomnienie bólu. Dysząc, czarodziej ocenił sytuację. Jeśli nie liczyć kilku pęcherzy, nic mu się nie stało. Kombinacja ochronnych zaklęć wplecionych w jego kamizelę i piwafwi, wrodzona drowia odporność na wrogą magię i srebrny pierścień z insygniami Sorcere uchroniły go przed śmiertelnymi poparzeniami.

Ryld dobył Rozpruwacza. Z dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy śmignęła ze świstem strzała, którą rosły fehmistrz odbił w powietrzu. Wielki latający wierzchowiec zatoczył nad ich głowami koło, znikając im z oczu, zanim Pharaun zdążył mu się dobrze przyjrzeć.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ryld.
- Trochę mnie tylko osmałiło.
- Masz swoich uciekinierów, którzy w końcu nie okazali się wcale tacy sprytni. Albo będziemy musieli wznieść się za nimi w powietrze, albo będziemy musieli ściągnąć ich na ziemię.
- Ani jedno, ani drugie. Za mną.
- Uciekamy? - spytał fehmistrz, odbijając kolejną strzałę. - Myślałem, że chcemy złapać jednego z nich.

Po prostu chodź za mną.

Pharaun ruszył ulicą, cały czas spoglądając w górę i szukając napastników. Ryld skrzywił się, ale poszedł za nim.

Mistrz Sorcere kątem oka dostrzegł jakieś zawirowanie. Błyskawicznie odwrócił się na pięcie. Czarodziej przyczajony na krawędzi dachu wykonywał dłońmi płynne magiczne gesty.

Gestykułując, Pharaun zaczął skandować szybko własną inkantację. Ścigał się z obcym magiem i pierwszy dokończył zaklęcie. Pięć strzał lazuruowego światła wystrzeliło z koniuszków jego palców prosto w czarownika i zagłębiło się w jego piersi. Z tej odległości Pharaun nie potrafił powiedzieć, jak poważnie zranił kolegę po fachu, ale przynajmniej zauważył, że ten zamachał rękami z bólu. Atak Mizzryma zniweczył jego zaklęcie.

Ryld odbił kolejną strzałę i dopiero teraz Pharaun zauważył, że ta była przeznaczona dla niego. W chwilę później nabijany kolcami buzdygan, który wyglądał tak, jak gdyby był zrobiony z cienia, pojawił się znikąd w powietrzu i zamachnął się, mierząc w jego głowę. Przerzucony do drugiej ręki Rozpruwacz stuknął lekko w manifestację. Podobnie jak inne przyzywane przedmioty buzdygan zniknął pod dotknięciem wielkiego miecza.

- Tam - polecił Pharaun.

Obaj mistrzowie pobiegli w stronę zwieńczonych łukiem wapiennych drzwi należących do jednego ze skromnych domostw przy tej ulicy. Pharaun podejrzewał, że jego mieszkańcy zamknęli je, gdy tylko zwietrzyli kłopoty, a Ryld najwyraźniej był tego samego zdania, bo nawet nie zadał sobie trudu naciśnięcia klamki. Po prostu otworzył drzwi kopniakiem, wyłamując zasuwę. Fehmistrz wgramolił się do środka.

W pomieszczeniu było nadzwyczaj tłoczno. Pharaun powinien był się tego spodziewać. Liczba mieszkańców miasta wzrosła znacząco od czasu jego założenia, ale liczba wydrażonych w stalagmitach mieszkań była z konieczności stała. Biedacy musieli się gnieździć gdzie popadło.

Dlatego w norze mieszkało tylu nędzarzy, a spora ich grupa zebrała się we wspólnym pomieszczeniu, odpoczywając i wyjadając gulasz z rothe z żelaznego kotła stojącego na składanym stole. O dziwo, ten prosty posiłek pachniał całkiem apetycznie. Jego aromat sprawił, że Pharaunowi napłynęła do ust ślina, przypominając mu, że od kilku godzin nic nie jadł.

Ryld zawinął w powietrzu Rozpruwaczem z efekciarską łatwością, chcąc stłumić wśród mieszkańców domu jakiegokolwiek agresywne impulsy.

- Przepraszamy za wtargnięcie - odezwał się Pharaun.
- Fehmistrz rzucił mu gniewne spojrzenie.
- Dlaczego uciekamy?
- Ten słup ognia powstał za sprawą magii objawień, nie wtajemniczeń. - Pharaun uniósł dłoń, pokazując przyjacielowi srebrny pierścień Sorcere i przypominając mu, że przedmiot ten potrafił rozpoznawać rodzaj czaru, a nie tylko osłaniać przed nim. - Zaatakowały nas kapłanki. Zabijając je, zwróciłibyśmy na siebie uwagę, przez co Rada byłaby jeszcze bardziej skłonna zakończyć nasze

dochodzenie. Mogłaby nawet chcieć naszej śmierci bez względu na to, jak zakończy się nasza misja i co postanowi Gromph. - Pharaun wyszczerzył zęby i dodał - Wiem, że obiecałem ci niezłą rozróbę, ale to będzie musiało poczekać.

- Trudno wymknąć się wrogom, którzy unoszą się w powietrzu - odparł Ryld.

- Mam na podporządku niewyczerpany zapas sztuczek, nie zauważyłeś? - Pharaun z promiennym uśmiechem zwrócił się do zgromadzonych w pomieszczeniu biedaków - Czy chcielibyście pomóc dwóm mistrzom Akademii zaangażowanym w misję najwyższej wagi? Zapewniam was, że sam arcymag Baenre będzie wam dozgonnie wdzięczny, gdy poinformuję go o waszej pomocy.

Słuchacze wpatrywali się w niego ze strachem w oczach. Jedna z plebejuszek wyciągnęła skądś granitowy młotek o kościanej ręczce i cisnęła nim. Ryld złapał go i odrzucił. Prowizoryczna broń z głuchym odgłosem wbiła się w środek czoła robotnicy, obalając ją na ziemię.

- Czy ktoś jeszcze ma ochotę zgłosić jakieś zastrzeżenia? - zapytał Pharaun. Odczekał moment. - Wspaniale, a więc sprawa załatwiona. Zapewniam was, że to nie będzie bolało.

Mistrz Sorcere wyciągnął z kieszeni pasmo owczego runa i wyrecytował inkantację. Z cichym sykiem fala magicznej mocy wprawiła w drganie powietrze w całym pomieszczeniu. Gdy dotarła do nędzarzy, zmieniła każdego z osobna w sobowtóra Rylda albo Pharauna. Tylko jedno dziecko zachowało własną postać.

- Doskonale - rzekł Pharaun. - Teraz musicie tylko wyjść na zewnątrz, a wtedy radzę wam się rozproszyć. Przy odrobinie szczęścia wielu z was, jeśli nie wszystkim, uda się przeżyć.

- Nie! - krzyknął jeden z sobowtórów Rylda wysokim, zacietrzewionym głosem. - Nie możecie nas zmusić...

- Ależ owszem - powiedział Pharaun. - Mogę wypełnić budynek trującymi oparami, mój przyjaciel może porąbać was na plasterki... Więc, proszę, bądźcie rozsądni, wyjdźcie od razu. Jeśli wrogowie wtargną do środka, będziecie mieli znacznie mniejsze szanse.

Patrzyli na niego w milczeniu. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a Ryld uniósł Rozpruwacz. Plebejusze rzucili się ku drzwiom.

Dwaj mistrzowie zostali w tyle, gotowi popędzić biedaków do wyjścia, gdyby okazało się to konieczne.

- Na cienie Otchłani - wymamrotał Pharaun. - Wcale nie byłem pewny, czy to zrobią. Jestem piekielnie przekonujący, co? To chyba ta moja szczerą twarz.

- Odciągnięcie od nas uwagi nie było złym pomysłem - stwierdził Ryld - ale jak się nad tym zastanowić, dlaczego po prostu nie uczyniłeś nas niewidzialnymi?

Pharaun prychnął.

- Czy ja cię pouczam, za który koniec trzymać miecz? Niewidzialność to zbyt powszechna sztuczka. Jestem pewny, że nasi wrogowie są na to przygotowani. A iluzja może zadziałać. To jeden z moich osobistych, prywatnych czarów, a my, Mizzrymowie, słyniemy z wprawy w tworzeniu fantazmatów. Kiedy wyjdziemy na zewnątrz, nie zgub mnie. Nie chcesz chyba pójść za fałszywym Pharaunem.

Większość plebejuszy opuściła budynek. Pharaun wziął głęboki oddech, uspokoił się i wraz z Ryldem wypadli na otwartą przestrzeń.

Biedacy rozbiegli się na wszystkie strony, jak im kazano. Pharaun nie zauważył, żeby którykolwiek z nich został jak na razie zaatakowany. Być może, na co miał nadzieję, nieprzyjaciel był całkowicie skołowany.

Mistrzowie, uciekając jak pozostali, skręcili raz, potem drugi. Pharaun zaczynał już odczuwać zadowolenie z siebie, jak to zwykle bywało, gdy udało mu się przechytrzyć przeciwnika, gdy coś zagrzechotało i świsnęło mu nad głową. Spojrzał w górę i w tej samej chwili to coś uderzyło go w twarz i obaliło na ziemię. Zrzucone z dużej wysokości grube, szorstkie liny tworzące sieć uderzyły z siłą maczugi.

Ryld, który również wpadł w pułapkę, zaklął tak plugawo, że nawet mieszkani Braerynu byłby z niego dumny.

Pharaun potrzebował sekundy na otrząśnięcie się z szoku wywołanego uderzeniem. Uświadomił sobie, że jego obecne położenie jest jeszcze gorsze, niż początkowo myślał. Sieć, utkana na podobieństwo pajęczyny, była ożywiona. Ocierając mu skórę, usiłując całkowicie go unieruchomić, zaciskała się wokół niego.

Na ulicy wylądował skrzydłoń. W siodle siedziała kapłanka, która byłaby całkiem ładna, gdyby nie blizny szpeczące jej twarz twarz Mizzrymów - szczupłą, inteligentną i sardoniczną. Nosiła, rzecz dziwna, maskę we wzór domina, a Pharaun domyślał się dlaczego.

Szczerząc zęby, elfka odezwała się

- Wiedziała, że będziesz próbował wywieść mnie w pole za pomocą iluzji, Pharaunie. Dlatego kupiłam talizman prawdziwego widzenia.

Choć nie miał pewności, że będzie w stanie to dostrzec, Pharaun postarał się odwzajemnić uśmiech, gdy odparł

- I miałaś rację. Cześć, Greyanno.

* * *

Quenthel była odporna na strach. Nie wpadła w panikę, nie mogła sobie na to pozwolić. A przynajmniej zawsze w to wierzyła i teraz rzeczywiście nie panikowała, ale była tak zrozpaczona i oszołomiona, jak tylko ktoś źle jej życzący mógłby pragnąć.

Nie była pewna, ale wydawało jej się, że syk żmij a także hałas i brzęk wyrwały ją z przypominającego trans stanu odprężenia. Otworzyła oczy i niczego nie zobaczyła. Najwyraźniej ktoś wyczarował wokół niej plamę ciemności albo, co gorsza, rzucił na nią czar powodujący ślepotę. Otworzyła usta, by przemówić do węży, i wtedy coś zimnego i grubego wdarło się do jej środka.

Miała zatkane gardło, dusiła się. Jednocześnie coś innego, coś, co dotykiem przypominało chłodny, zwiczny koniuszek macki demona, zaczęło oplatać jej nadgarstek.

Wyszarpnęła rękę, zanim niewidoczna kończyzna zdołała się wokół niej owinąć i zaczęła się szamotać, żeby pozostałym mackom, które właśnie zaczęły szukać jej rąk i nóg, nie udało się ich unieruchomić. W żaden sposób nie pomogło jej to w oddychaniu.

Wściekle młóciła rękami powietrze wokół siebie. Logika podpowiadała jej, że napastnik musi tam być, ale jej pięści napotykały wyłącznie pustą przestrzeń. Bolały ją złaknione powietrza płuca, powoli zaczynała tracić świadomość.

Zrobiła jedyną rzecz, jaka jej pozostała. Ugryzła.

Z początku nie była w stanie przebić dławiącej ją masy, ale krztusząc się, uczyniła jeszcze jeden wysiłek i zatopiła zęby w czymś skórzastym i oleistym.

W jednej chwili to coś zniknęło. Nie wyrwało się na zewnątrz, po prostu rozpląnęło się.

Zęby Quenthel zwały się ze stuknięciem.

Podnosząc się na kolana, wzięła kilka głębokich wdechów, po czym zawołała

- Bicz!

- Tutaj! - rozległ się gdzieś z posadzki krzyk Yngotha. - Zobaczyliśmy demona dopiero w ostatniej chwili. Jest ciemnością.

- Rozumiem.

Przynajmniej nie była ślepa. Słyszała o demonach składających się z samej ciemności, choć nigdy nie miała okazji takiego wezwać. Podobno trudno je było schwytać i jeszcze trudniej związać.

- Straż! - wrzasnęła.

Tym razem nie otrzymała odpowiedzi i wcale nie była tym zaskoczona. Obecność intruza wskazywała na to, że wartowniczką albo była zdrajczynią, albo już nie żyła.

Quenthel wyczuła, że coś mknie w jej stronę. Rzuciła się w bok i coś wyrznęło w ścianę tuż obok miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stała. Przez przewiewną koszulę nocną poczuła zimno bijące od posadzki.

Tak jak planowała, wylądowała przy pulpicie, na którym trzymała niektóre ze swoich drobnych regaliów. Poderwała się z ziemi i zaczęła po omacku przeszukiwać prostokątny kamienny blat. Ku jej rozgoryczeniu kilka przedmiotów z grzechotem spadło na posadzkę, ale zaraz potem jej palce zacisnęły się na medalionie z przepięknie rżniętego szkła.

Mrużąc oczy, przywołała moc błyskotki. Pokój rozbliśnieł oślepiającym światłem. Quenthel musiała osłonić oczy, ale miała nadzieję, że straszliwa jasność zniszczy całkowicie żywą ciemność.

Magiczne światło i tak samo nadnaturalna ciemność sprawiły, że przez ułamek sekundy w pokoju było tak jasno jak przed wtargnięciem stwora. Quenthel mogła przynajmniej otworzyć oczy.

Napastnik, na którym światło najwyraźniej nie zrobiło żadnego wrażenia, był nieregularną plamą

o długich, poszarpanych ramionach sunących przez pokój niczym węże, wszechobecnych jak dym. Wchłaniał cały blask, nie odbijając go, był czarny jak smoła i wydawał się zupełnie płaski. Wyrzucił długą, cienką mackę w stronę medalionu Quenthel. Kapłanka szybko przesunęła przedmiot w bok, ale snop czerni zmienił raptownie kierunek i uderzył medalion wystarczająco silnie, by wybić go jej z ręki. Światło zgasło w tej samej chwili, w której szklana ozdoba roztrzaskała się na podłodze.

Na szczęście iluminacja trwała wystarczająco długo, żeby Quenthel zdążyła zauważyć rozmieszczenie kilku przedmiotów na blacie. Instynktownie kucnęła, gdy macka przemknęła jej tuż nad głową, mierzwiąc włosy, i chwyciła zwój. Podobnie jak poprzednio żal jej było zużyć którekolwiek z zawartych w nim zaklęć, ale jeszcze bardziej żal jej było umierać.

Doskonale знаła zawartość pergaminu, nie musiała więc widzieć frazy-wyzwalacza, żeby ją „odczytać”. Wyrecytowała słowa i z sufitu runął z rykiem słup żółtego płomienia, prosto w miejsce, gdzie unosiło się jądro demona. W świetle ognia widać było, że stwór wciąż tam jest. Blask przeszył go na wylot, a wszystkie jego ramiona i odnogi drgnęły konwulsyjnie.

Płomienna kolumna znikła po chwili, ale przed oczyma, choć starannie je osłoniła, wciąż miała jasność powidoku. Dopiero po chwili zorientowała się, że ten zamglony, drżący pas był jedyną rzeczą, jaką widzi. Ciemność przetrwała. Zwarła wokół niej swą istotę, aby raz jeszcze ją oślepić.

Twardy jesteś, pomyślała, wysyłając niewypowiedziane słowa do umysłu demona tak, jak ją, wysłanniczkę Lolth, nauczono. Nie otrzymała odpowiedzi, nie poczuła też żadnego połączenia między własnym umysłem a świadomością demona. To nie był sługa Lolth.

Żywy demon, któremu nie mogła rozkazywać, musiał ją schwytać lub uderzyć, ale tym razem intuicja ją zawiodła. Nie miała pojęcia, skąd nadejdzie atak, nie wiedziała więc, w którą stronę uskoczyć, żeby go uniknąć. Musiała zgadywać, uchylić się i nie pozwolić, by ślepotą i niezdecydowanie wpłynęły na szybkość jej reakcji. Odwróciła się gwałtownie i coś uderzyło ją w ramię.

Najpierw był to po prostu zaskakujący wstrząs, potem poczuła piekący ból i z miejsca, na które spadł cios, popłynęła krew. Albo ciemność potrafiła zmieniać swe członki w twarde szpony, albo złapała gdzieś w komnacie jakiś oręż.

Quenthel cieszyła się, że nauczyciele nauczyli ją po odniesieniu rany nie wpadać w szok, który byłby ją zmroził i nie pozwolił odeprzeć kolejnego ataku napastnika. Wciąż się poruszała, aby nie stać się łatwym łupem.

Coś syknęło. Źródło dźwięku znajdowało się tuż u jej stóp. Najwidoczniej żmije, wlekąc za sobą trzonek bata, sunęły po podłodze, usiłując odnaleźć ją w ciemnościach. Pochyliła się, po omacku przesunęła dłonią wzdłuż ich chłodnych, krętych zwojów, chwyciła broń we właściwy sposób i uniosła. Żmije stanęły dęba, zasyczały i wbiły wzrok w mrok, każda w innym kierunku. Quenthel uświadomiła sobie, że widzą to, czego ona nie jest w stanie dostrzec. Ciemność gotowała się do ataku.

Kapłanka pogłębiła psioniczną więź ze służącymi jej węzami-demonami. Wciąż nie widziała macek przeciwnika, ale wyczuwała ich położenie. To musiało wystarczyć.

Ciemność sięgnęła po nią, a ona, nie przestając się obracać, zaczęła raz po raz smagać ją biczem. Nie do końca celnie, ale żmije zwijały się w powietrzu, by to naprawić.

Pod koniec oddychała ciężko, a jej ruchy stawały się coraz bardziej niezgrabne, coraz wolniejsze i coraz bardziej rozpaczliwe, tak jak u każdego walczącego, który nie ma nawet chwili wytchnienia. Nagle coś długiego i ostro zakończonego wbiło jej się od tyłu w udo.

Po przejmującym bólu i strumieniu krwi, który trysnął z nowej rany, od razu poznała, że jest ona znacznie poważniejsza od rozcięcia na ramieniu. Kuśtykając, zrobiła jeden krok i noga ugięła się pod nią. Zaniepokojone żmije zasyczały.

Krzyknęła, aby skoncentrować wolę i zagłuszyć ból, aby zmusić kończynę do posłuszeństwa. Pulsując, noga wyprostowała się.

Quenthel obróciła się i zaczęła z takim zapamiętaniem chłostać mackę, która przebiła jej udo, że ta rozpadła się na kawałki, nim zdążyła ponownie zaatakować. W tej samej chwili żmijowe chowańce wyczuły dłonie sięgające ku szyi ich pani. Drowka obróciła się, unieszkodliwiła je i w końcu cień przestał atakować.

Czując, że spływająca jej po nodze krew tworzy na posadzce kałużę, Quenthel gorączkowo zastanowiła się nad swoim położeniem. Musiała zadać demonowi ból - w przeciwnym wypadku atakowałby niezmordowanie dopóty, dopóki nie padłaby trupem - ale to nie musiało oznaczać, że jest bliska zabicia go. Z tego, co wiedziała o takich istotach, niewykluczone, że żeby go zabić, musi uszkodzić

jądro znajdujące się na końcu macek. Zakładając, że w tych nieprzeniknionych ciemnościach jest w stanie go dosięgnąć czy choćby zlokalizować.

Zastanawiała się, czy nie lepiej by było zrezygnować, skorzystać z chwilowej przewagi i uciec, ale wiedziała, że jeśli zacznie biec, demon ruszy za nią, a to oznaczało, że drowka wciąż będzie uciekać po omacku. W jej apartamencie nie stanowiło to większego problemu - знаła każdy jego cal na pamięć - ale na zewnątrz mogła się z łatwością przewrócić, co uczyniłoby ją niezdolną do dalszej walki. Gdyby do tego doszło, albo gdyby noga odmówiła jej posłuszeństwa, zanim znajdzie pomoc, nieprzyjaciół z łatwością by ją wykończył.

Nie, musiała zabić tę przeklętą istotę sama, i to szybko, póki jeszcze może się utrzymać na nogach. Pytanie brzmiało - jak?

Broń trzymana w ukrytej szafce mogłaby się nadać, ale nie miała jak się do niej dostać. Demon zabiłby ją, kiedy manipulowałaby po omacku przy ukrytym zamku. Musiała poradzić sobie z tym, co miała przy sobie, co oznaczało, że musiała wykorzystać kolejny czar ze zwoju i podjąć duże ryzyko.

Demon ponowił atak. Quenthel uderzyła i odbiła mackę, której krawędź najeżona była zębami ostrymi niczym zęby piły. Kolejne ramię kończyło się wypustką przypominającą głowicę buzdyganu i gotowało się do wgniecenia jej czaszki. Ono też się nie nadawało. Umknęła przed ciosem, zmije rozorały mackę, a żywa ciemność wyszarpnęła ją do tyłu.

W jej stronę sunęła zwykła macka, z której końca nie wyrastały żadne ostrza ani pałki. Wyglądało na to, że ma zamiar złapać i przytrzymać rękę, w której drowka trzymała bicz. Quenthel udała, że tego nie widzi.

Pasmo cienia spadło na podłogę, owinęło się wokół kostki zdrowej nogi Quenthel i szarpnęło. Zmiana celu zaskoczyła ją i upadła ciężko na plecy, uderzając się w głowę, a ranne kończyny przeszły dojmujący ból.

Gdy otrząsnęła się z szoku, co zajęło jej sekundę, wyczuła pozostałe członki demona, gotowe siec i bić. Niemal zabrakło jej czasu na wyrecytowanie frazy-wyzwalacza.

Niemal.

Wyrzuciła z siebie te trzy słowa i mrowiąca moc zakipiała w jej ciele. Wyrzuciła ją z siebie prosto w żywą ciemność, co nie było trudne, skoro demon ją trzymał. Wstrzymała oddech, czekając na to, co się stanie.

Podobnie jak pozwolenie przeciwnikowi się schwytać, to też było częścią ryzykownego podstępu. Magia, którą właśnie uwolniła, osłabiłaby mrocznego elfa i prawie każdą inną śmiertelną istotę, doprowadzając ją niemal do śmierci. Jednak w zależności od swej natury demon - czy cokolwiek to było - mógł ją po prostu zlekceważyć. Mógł nawet pożywić się wybuchem mocy i stać się jeszcze silniejszy.

Fortel zadziałał. Demon okazał się podatny na działanie czaru, przynajmniej do pewnego stopnia. Dotarło to do niej, gdy istota zaczęła spazmatycznie młócić powietrze odnogami, a macka owinięta wokół jej kostki rozluźniła chwyt, wijąc się i uderzając ciężko o posadzkę. Spowijająca ją ciemność zniknęła na sekundę, gdy istota straciła kontrolę nad swoim otoczeniem.

Ta sekunda wystarczyła, żeby Quenthel dostrzegła, gdzie unosi się poszarpane jądro jej wroga. Drowka podniosła się z trudem i rzuciła się w jego kierunku, kuśtykając i przy każdym kroku czując przeszywający ból. Nie pozwoliła sobie jednak na zwolnienie tempa.

Stwór ciemności dochodził do siebie. Dwa wąsy, wijąc się, pomknęły w stronę Quenthel. Kobieta uchyliła się przed jednym i chlasnęła batem drugi, aż odskoczył w tył.

Po kolejnych dwóch krokach uznała - miała taką nadzieję - że zdoła dosięgnąć bezkształtnego serca istoty. Machnęła biczem i krzyknęła z zadowoleniem, gdy poczuła, że kły zmij rozdarły coś stawiającego większy opór niż puste powietrze.

Uderzała tak mocno i szybko, jak tylko potrafiła, stękając przy każdym smagnięciu. Węże ostrzegły ją przed mackami, które zaczynały ją oplatać, ale zignorowała ostrzeżenie. Jeśli przestanie atakować środek ciemności, może już nie mieć kolejnej szansy.

Mrok zalegający komnatę zaczął gwałtownie oscylować pomiędzy obecnością a nieobecnością, przez co ruchy Quenthel wydawały się dziwnie nerwowe.

Macki chwyciły ją i odciągnęły do tyłu. Wrzasnęła z wściekłości i frustracji. Jak gdyby w odpowiedzi na jej krzyk ramiona rozpląły się, upuszczając ją na podłogę.

Quenthel podniosła głowę i rozejrzała się wokół. Już nic nie przesłaniało jej pola widzenia. Mordercza ciemność zniknęła. Ostatni cios musiał być śmiertelny. Istota walczyła jeszcze przez kilka

sekund, a potem poddała się.

- Nie żyje! - syknął Hsiv. - Co teraz, mistrzyni?

- Najpierw... zamierzam usiąść... i opatrzyć rany, a potem... poszukamy... mojej wartowniczkę - wydyszała Quenthel, osłabiając więź łączącą ją ze zmijami. - Jeśli ma szczęście, już nie żyje.

Żałowała, że nie jest tak pewna siebie, jak powinna, jednak wyglądało na to, że demoniczni skrytobójcy nie zostawią jej w spokoju. Miała nadzieję, że pojawienie się demona-pajaka było pojedynczym incydem. Myślała, że jeśli pojawi się więcej podobnych mu stworów, powstrzymają je odnowione osłony. Najwyraźniej była zbyt wielką optymistką.

Arach-Tinilith było ośrodkiem jej władzy. Tu mogła wykorzystać we własnej obronie niewielką armię sług i całą masę magicznych przedmiotów, tylko że to nie pomogło jej wcale w walce z ciemnością. Drowkę nurtowało pytanie, ile takich wrogich najść zdoła jeszcze przeżyć.

ROZDZIAŁ 8

Podwładni Greyanny wylądowali obok niej. Dwóch z nich było wojownikami, jeden czarodziejem, a czwartą osobą była jeszcze jedna kapłanka. Wszyscy nosili przesłaniające połowę twarzy maski prawdziwego widzenia, nadające im pozornie niemądry wygląd aktorów występujących w pantomimie.

Pharaun spróbował lewitować, ale sieć była zbyt ciężka. Siłą woli rozkazał swojemu ożywionemu rapierowi pojawić się. z palca czarodzieja zniknął stalowy pierścień, a poza siecią zmaterializował się długi, wąski miecz. Ostrze zaczęło przecinać grube liny, ale z miernym efektem. Rapier był bronią przeznaczoną do zadawania ran klutych, a nie do piłowania. Wobec tego mroczny elf, napinając mięśnie pod naciskiem zaciskającej się bezlitośnie sieci, obrócił unoszący się w powietrzu miecz, żeby zagrozić pozostałym członkom domu Mizzrym.

Greyanna wybuchła śmiechem.

- Czy ten jeden szpikulec ma utrzymać nas wszystkich na dystans?
- Raczej nie - odparł Pharaun, usiłując przesunąć palce w stronę jednej z kieszeni. - Dlatego rozkazałem mu w pierwszej kolejności zabić ciebie.
- Czyżby?

Jego siostra gestem poleciła wojownikom podejść bliżej. Bracia bliźniacy, mający nieco żółtawe włosy i głębokie dołki w podbródkach, nosili przewieszane przez plecy długie łuki z bladej kości, które najwyraźniej przedkładali nad bardziej powszechne kusze.

Sama Greyanna pozostała na grzbiecie wierzchowca i wyjęła z fałd piwafwi jakiś zwój. Dzięki pierścieniowi, który mu jeszcze został, Pharaun widział poprzez skomplikowaną koronę magicznej siły otaczającej zwinięty pergamin, że zawiera on między innymi zaklęcie niweczące czary przeciwnika. Być może jego siostra zamierzała wykorzystać czar, aby unieszkodliwić tańczący rapier na wystarczająco długo, żeby jej słudzy zdążyli go złamać lub unieruchomić.

Przeklęte sznury wpijały się czarodziejowi w ciało jak noże. Nie byłby wcale zaskoczony, gdyby przecięły skórę do krwi. Z całą pewnością odcinały krążenie w kończynach, w których powoli tracił czucie. Trzęsąc się z wysiłku, przesunął palce o kolejny cal.

- Mój towarzysz to Ryld Argith - powiedział. - Mistrz Melee-Magthere. Nigdy nie zrobił ci nic złego i zabijając go, staniesz się wrogiem wojowników piramidy.

Opleciony ciasno sznurami Pharaun nie był nawet w stanie odwrócić głowy, żeby spojrzeć na przyjaciela, ale słyszał stękanie i przekleństwa Rylda, a także czuł, że fehmistrz trzęsie siecią. Mężczyzna wyraźnie starał się uwolnić, ale wydawało się rzeczą mało prawdopodobną, żeby nawet jego niezwykła siła mogła mu w tym pomóc, jeśli nie był w stanie użyć jednego ze swoich ostrzy.

- Miałam was na oku przez te wszystkie lata - oznajmiła Greyanna. - Wiem, że mistrz Argith jest twoim najwierniejszym towarzyszem. Nie chcę, żeby próbował cię uwolnić albo pomścić. Nasza matka poradzi sobie z Melee-Magthere.

Pharaun zauważył, że niższa rangą kapłanka również przygotowała zwój. Uznał, że to dość dziwne, ale nie miał czasu na zastanawianie się, co to mogło oznaczać.

Wojownicy wciąż się zbliżali, choć zachowywali ostrożność i to nie tylko, jak przypuszczał, z powodu wiszącego w powietrzu rapiera. Greyanna mogła zneutralizować broń, ale obawiali się, że Pharaun rzuci na nich jakiś straszliwy czar, który nie wymagałby wykonywania żadnych gestów ani obecności kondensatora. Było mu przykro, że będzie musiał ich rozczarować. Pamiętał kilka takich czarów, ale żaden z nich nie był w stanie uśmiercić całej piątki tych niesympatycznych elfów za jednym zamachem, a wiedział, że gdy tylko rzuci jakieś groźne zaklęcie, porzucą zamiar wzięcia go żywcem, aby potem poddać torturom. Odpowiedzą atakiem tak szybkim i morderczym, jak to tylko możliwe, a ponieważ sznury krępowały mu ruchy, raczej nie uda mu się go odeprzeć.

- Powinnaś dobrze się zastanowić, zanim skrzywdzisz kogoś z nas - rzekł w nadziei, że dalszą rozmową uda mu się zyskać na czasie, nawet jeśli miałyby to być tylko sekunda.

Greyanna zachichotała.

- Bądź pewny, że przemyślałam to już setki tysięcy razy.
- Arcymag nie będzie zachwycony.
- Działam z polecenia Rady. Wątpię, by uznał odwet za dyplomatyczne posunięcie... podobnie jak Melee-Magthere.

- Cóż, Gromph nie podpisze swoim imieniem twojego trupa, ale któregoś dnia...

Palce Pharauna wreszcie wśliznęły się do kieszeni i zamknęły na niewielkiej, acz solidnej skórzanej rękawicy. Jako że sieć z każdą sekundą zaciskała się coraz mocniej, wyciągnięcie przedmiotu było równie trudne jak osiągnięcie go. Pharaun spróbował poruszyć ręką, aby sprawdzić, czy uda mu się wykonać magiczny gest w prawidłowy sposób.

Wykonanie tak nieznacznego ruchu nie było proste, a drow nie był do tego przyzwyczajony. Przywykł do czarowania z pewnym rozmachem, przy użyciu zamasztych, dramatycznych gestów. Jednak w przeszłości od czasu do czasu praktykował wykonywanie jak najmniejszych znaków. Dobrze mu to robiło na panowanie nad własnym ciałem i kilka razy pozwoliło rzucić czar tak, że jego przeciwnik nawet się nie zorientował, co zamierza zrobić. Istniała więc nadzieja, że uda mu się poruszyć rękawicą w odpowiedni sposób. Gdyby tylko sieć nie była tak ciasna, albo jego dłoń tak pozbawiona czucia i sztywna.

- Przepraszam - powiedziała Greyanna, przerywając rozmowę, aby odczytać zaklęcie ze zwoju.

Był to oczywiście czar objawień, nie wtajemniczeń, więc Pharaun nie rozpoznał wszystkich słów. Jego efekt był jednak całkowicie jednoznaczny. Rapier targnął się i upadł z brzękiem na ziemię. Czarodziej w masce zrobił krok naprzód i podniósł go. Pharaun cieszył się przynajmniej z tego, że zaklęcie, którym obłożony był miecz, uniemożliwiało słudze Greyanny wykorzystanie go przeciwko niemu - przynajmniej nie przez najbliższą godzinę.

Pharaun rozpoznał maga, którego nie sposób było pomylić z nikim innym z racji wysokiego, szerokiego czoła i małego, spiczastego podbródka. Pharaun zawsze uważał, że nadają one głowie maga wygląd jaja. Był to Relonor Vrinn, zdolny czarodziej od dawna służący Mizzrymom. Mężczyzna wciąż nosił jedwabny pas spięty złotą broszą o ośmiu szpicach, za który zatknięte były kondensatory czarów. Wojownicy zbliżali się do sieci z sejmitarami w rękach. Sądząc po ich uśmiechach, uznali, że nie ma się czego obawiać, i już nie mogli się doczekać pobicia obu więźniów do nieprzytomności.

Pharaun nie był jeszcze zadowolony ze sposobu, w jaki radzi sobie z rękawicą, ale nie miał już więcej czasu. Musiał sprawdzić, czy się uda. Poruszył po raz kolejny kondensatorem, jednocześnie recytując pod nosem inkantację.

Wewnątrz sieci pojawiła się gigantyczna dłoń, promienna i przezroczysta. Dodatkowy obiekt w środku sprawił, że siatka zacisnęła się jeszcze mocniej. Pharaun spodziewał się tego, ale i tak krzyknął.

Ból stał się jeszcze bardziej intensywny, gdy w odpowiedzi na niemy rozkaz czarodzieja dłoń wzniosła się na dwadzieścia pięć stóp w powietrze, unosząc ze sobą sieć i jej więźniów. Przez chwilę Pharaun obawiał się, że straci przytomność, ale nacisk zelżał. Zgodnie z oczekiwaniami i pomimo usilnych starań naprężającej się sieci, jego własny ciężar ściągał go w dół. Rzucił się i miotał, aby stało się to jak najszybciej.

Kiedy odzyskał pewną swobodę ruchów, spojrział na Rylda. Potężny wojownik również mocował się z siecią, choć w trakcie zmagania upuścił swój miecz. Rozpruwacz spadł sztychem w dół, o mały włos nie przeszywając jednego ze sług Mizzrymów, i wbił się głowicą do góry w gładką kamienną powierzchnię ulicy.

- Musimy spać - powiedział Ryld. - Jeśli będziemy się tak unosić, naszpikują nas strzałami i magią.

- No to już - odparł Pharaun.

Mistrzowie puścili sieć i runęli w dół. Jeden z żołnierzy trafił Rylda strzałą, ale pocisk nie zdołał przebić zbroi. W powietrzu wybuchła ognista kula, ale Relonor celował zbyt wysoko, więc wybuch sprawił, że niedoszłe ofiary tylko się wzdrygnęły. Pharaun użył insygniów swojego domu, aby opóźnić upadek. Obawiał się, że w przeciwnym wypadku połamie nogi.

W rezultacie zobaczył, jak Ryld, który posiadał podobny talizman umożliwiający lewitację, tyle że noszący pieczęć Melee-Magthere, ląduje na ziemi sekundę przed nim. Mistrz Melee-Magthere zwinął się w kłębek, przetoczył, poderwał na nogi z krótkim mieczem w dłoni i runął na żołnierza, który wypuścił strzałę. Zamaskowany mężczyzna odskoczył w tył, upuścił łuk i raz jeszcze dobył sejmitara. Tymczasem Ryld wyrwał z ziemi Rozpruwacz.

Pharaun wylądował. Choć próbował złagodzić impet uderzenia, nogi ugięły się pod nim i poleciał do przodu. Usiłując odzyskać równowagę, zauważył, że Relonor wymachuje rękami, tworząc wzór przypominający kształtem gwiazdę.

Gdy mistrz Sorcere zdołał się wyprostować, drugi mag zakończył inkantację. Długa, kanciasta

istota przypominająca wyglądem gada wyskoczyła z wyciągniętych do przodu dłoni starszego drowa, jak gdyby tworzyły one bramę do innego świata. Okolony powłóczytym, błękitnym płomieniem potwór rzucił się na Pharauna.

Relonor był utalentowanym magiem, ale niezbyt dobrym taktykiem. W podnieceniu odruchowo rzucił swój ulubiony czar, który, rzecz typowa dla sług Mizzrymów, był iluzją. Zapomniał, że jego wróg, urodzony w tym samym domu, może rozpoznać sekwencję magicznych gestów. Oczywiście nawet gdyby Pharaunowi się to nie udało, jego srebrny pierścień pokazałby mu, jaki rodzaj magii tworzy jego przeciwnik.

Pharaun zlekceważył złudzenie i sięgnąwszy do kieszeni po maleńki kryształ, rozpoczął zaklęcie. Zignorował zjawę nawet wtedy, gdy znalazła się na tyle blisko, że poczuł urojony, choć palący żar jej płomiennej aureoli.

Z dłoni Pharauna wydostało się przejmujące zimno, widoczne w wachlarzu dryfujących kryształków lodu, które natychmiast utworzyły się w powietrzu. Zimno przeszło na wylot gada, przy okazji rozpraszając iluzję, i spłynęło na Relonora. Pokryty szronem mag przewrócił się na wznak.

Pharaun wyszczerzył zęby w uśmiechu. Greyanna wykazała się głupotą, atakując go z tak nielicznym oddziałem. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że dwóch mistrzów Tier Breche poradzi sobie ze wszystkim, na co stać ją i tych czterech półgłówków?

Skrzydło machnął nietoperzowymi skrzydłami i podskoczył w stronę walczących. Gdy jego beznogie ciało uderzyło ciężko o ziemię, Greyanna otworzyła skórzaną torbę i wyrzuciła garść jej zawartości w powietrze.

W chwili, w której spadające okruchy dotknęły ziemi, rozbłysły zielonkawym światłem. Wśród snopów iskier każdy z nich skoczył z sykiem w górę niczym zarodnik zamieniający się w grzyb. W jednej chwili na ulicy pojawiło się kilka ożywionych szkieletów. Różniły się rodzajem noszonej broni i tarczami, ale miały wspólny cel. Jak jeden mąż zlokalizowały mistrzów i ruszyły naprzód.

Na zmianę nacierając i cofając się, Ryld obalał na ziemię nieumarłe stwory. Pharaun schronił się na chwilę za plecami przyjaciela, ale nagle fechmistrz krzyknął, zachwiał się i opuścił miecz. Szkielety rzuciły się do przodu, a bliźniacy, którzy trzymali się dotąd na uboczu, przyłączyli się do walki.

Zaskoczonemu Pharaunowi wystarczyło czasu jedynie na wyczarowanie oślepiającego zygzaka błyskawicy. Jego moc odparła na chwilę atak wroga, dzięki czemu Ryld zdołał dojść do siebie.

- Nic ci nie jest? - zapytał mistrz Sorcere.
- Nie. - Ryld odrąbał nogę szkieletowi trzymającemu włócznię. - Coś usiłowało wpłynąć na mój umysł, ale już zniknęło.
- Nie zniknie, jeśli nie zmierzę się z czarownikami.

Pharaun uniósł się w powietrze, aby znaleźć się poza zasięgiem szkieletów i mieć pewność, że z łatwością trafi Greyannę i pozostałych. Pod jego nieobecność stwory mogły otoczyć Rylda, ale nie mógł na to nic poradzić.

Omiótlszy wzrokiem scenę walki, zobaczył, że Relonor wciąż leży nieruchomo na plecach. Greyanna i druga kapłanka, nie biorące bezpośredniego udziału w potyczce, czytały ze zwojów.

Na chwilę myśli Pharauna eksplodowały przerażającym szaleństwem, ale rozsądek szybko powrócił. Mężczyzna wziął głęboki oddech, usiłując zapanować nad strachem, i wtedy jego ciałem wstrząsnął następny atak. Krzyknął i ból minął. Jakimś cudem udało mu się przetrzymać oba zaklęcia.

Pharaun cisnął w Greyannę wrzącą kulą światła, ale ta zniknęła w połowie drogi, unicestwiona przez osłony kapłanki. Ona i druga kleryczka znów sięgnęły po zwoje.

Oślepiający, parzący promień światła wystrzelił z dłoni Greyanny i przejechał Pharaunowi po twarzy mag zamknął oczy w samą porę, unikając oślepienia. Zabolało mimo to, ale osobiste osłony ochroniły mu twarz przed poparzeniem.

Druga kapłanka smagneła go skwierczącym gromem. Ponieważ była to jedna z sił, którymi władał najchętniej, wydało mu się to niesprawiedliwe. Pod wpływem szoku zeszytniał na kilka chwil, ale magia przestała zaraz działać.

Obawiał się, że przez ten spazm stracił drogocenny czas. Był przekonany, że nim minął paraliż, kapłanki z pewnością zaczęły już rzucać nowe czary, ale kiedy spojrzał na tę niższą rangą, spostrzegł, że nie tka ona żadnego zaklęcia. Kobieta przetrząsała skórzaną sakwę, przypuszczalnie w poszukiwaniu kolejnego środka umożliwiającego magiczny atak.

Zaciskając w dłoni bryłkę węgla i fiolkę z maleńką, zasuszoną gałką oczną, Pharaun wywołał

magiczny efekt. Powietrze zaszumiało i zafalowało i wokół głowy elfki pojawił się kłęb ciemności, oślepiając ją.

Myśli czarodzieja po raz kolejny rozsypały się, po czym znów ułożyły. Pharaun obrócił się w stronę Greyanny, która nadal ścisnęła zwój, najwidoczniej wciąż rzucając z niego jakieś zaklęcie. Pharaun zaczął czarować, a ona, wyraźnie niepewna, czy moc pergaminu zdoła ją ochronić, szarpnięciem otworzyła torbę.

Pharaunowi przyszło do głowy, że torba może zawierać więcej zarodników, ale zakładał, że powstaną z nich kolejne szkielety. Jednak tym razem skrzące się drobinki wybuchły w powietrzu i pęczniąc, zmieniły się w paskudne bestie przypominające krzyżówkę nietoperza z komarem.

Żądłaki zawirowały wokół niego, dżgając go trąbkami i usiłując napić się jego krwi. Ich pojawienie zakłóciło ruchy jego rąk i tym samym zepsuło rzucany czar. Pharaun powrócił do normalnej wagi i zaczął opadać z powrotem na ziemię, gdzie Ryld, otoczony ze wszystkich stron grzechoczącymi szkieletami, właśnie skrócił jednego z nich o głowę nagłym ciosem. Jeden z bliźniaków przesunął się ku niemu, ale stanął jak wryty, gdy potężny mężczyzna odwrócił się w jego kierunku.

Pharaun spadł z impetem na ziemię. Ścigany przez skrzeczące żądłaki, pobiegł co sił w nogach w stronę powalonego Relonora. Kilka szkieletów odwróciło się, usiłując dosięgnąć go mieczami, ale większość była zbyt zajęta próbami zabicia Rylda, by go zauważyć. Z bliska stwory śmierdziały. Pharaun pomyślał, że muszą mieć jeszcze na sobie jakieś strzępy gnijącego mięsa.

W momencie, w którym Pharaun dopadł nieprzytomnego czarodzieja, skrzydłoń Greyanny wylądował z drugiej strony ciała z łoskotem, od którego zatrzęsała się ziemia. Pharaun wydał z siebie świrdujący w uszach magiczny okrzyk i bestia odskoczyła do tyłu, unosząc ze sobą dosiadającą go elfkę. Pharaun pochylał się, zerwał broszę spinającą pas Relonora, odwrócił się i puścił biegiem. Greyanna wrzasnęła z wściekłości. Skrzydłoń wzniósł swój przedziwny podwójny okrzyk - dwie pary szczęk zwarły się z trzaskiem za uciekającym mężczyzną.

Trąbka żądłaka dźgnęła czarodzieja w plecy i ten zachwiał się, ale bestii nie udało się przebić jego piwafwi. Kolejne zaklęcie zatrzęsało jego umysłem, ale nie wywołało żadnych trwale szkodliwych efektów. Jeden ze szkieletów zaszedł go z boku, mierząc wyszczerbionym, zardzewiałym toporem w jego głowę. Błysnął opadający łukiem Rozpruwacz, rozwalając nieumarłego na drobne kawałki.

Pharaun chwycił brzeg piwafwi Rylda i obejrzał się na Greyannę.

Z twarzą wykrzywioną wściekłością, kobieta odrzuciła zwój, który prawdopodobnie był pusty, i wyciągnęła w górę rękę, aby złapać materializującą się w powietrzu długą laskę, która pochodziła z jakiegoś pozawymiarowego składu. Pharaun rozumiał, do czego jest jej potrzebna. Laska płonęła magiczną mocą, ale też stawała się namacalna bardzo powoli. Jakaś przypadkowa interakcja magicznych energii na polu bitwy opóźniła jej przejście na materialny plan.

Dlaczego więc Greyanna nie przerwała wzywania jej i nie zaatakowała w jakiś inny sposób? Dlaczego...

Odpowiedź pojawiła się w przebłysku natchnienia i była zaskakująca.

Ale miejsce, w którym się znajdował, zdecydowanie nie sprzyjało rozmyśleniom nad tym odkryciem i czas był już najwyższy, żeby temu zaradzić. Czarodziej wbił wzrok w broszę zabraną Relonorowi, odnalazł słowo-wyzwalacz wpisane w przesuwający się jak w kalejdoskopie wzór i wymówił je.

* * *

Greyanna przyglądała się pustej przestrzeni wewnątrz pierścienia utworzonego przez kłębiące się bez celu szkielety i kołujące nad nimi żądłaki. Jeszcze przed chwilą stali tam Pharaun i jego zwalisty wspólnik, ale teraz już ich nie było. Jeśli wzrok nie płatał jej figli, brat, znikając, posłał jej drwiący uśmiech.

Jak on śmiał tak z niej szydzić, z niej, która wygnała go z domu Mizzrym.

Spojrzała na żelazną laskę, wyższą od siebie, kwadratową w przekroju, pokrytą setkami drobnych run i w dotyku ciepłą jak krew. Broń zawiodła ją. Dygotała z chęci uniesienia jej nad głowę i grzmocenia nią o kamienie pod stopami, aż zostanie uszkodzona, zdeformowana, stanie się bezużyteczna.

Nie zrobiła tego, bo wiedziała, że tak naprawdę to ona, a nie laska, była winna ucieczki Pharauna. Powinna była wezwać oręż wcześniej. Powinna była korzystać z zawartości torby w bardziej agresywny

sposób. Niech będzie przeklęta ta poniżająca i niewytłumaczalna pora! Zmienne koleje losu sprawiły, że matka kazała jej oszczędzać wszystkie osobiste środki, choć walczyła o dobrobyt domu Mizzrym i całego Menzoberranzan.

Następnym razem nie popełni tego samego błędu. Teraz miała obowiązek zająć się swoimi żołnierzami i zaprowadzić ich z powrotem na zamek. Zsiadła z wierzchowca, wyprostowała się, przybrała spokojny, władczy wyraz twarzy i zajęła się bieżącymi sprawami.

Żaden z bliźniaków nie był ranny, a jej kuzynka Aunrae wymagała tylko rozproszenia kuli ciemności otaczającej jej głowę. Greyanna najbardziej martwiła się o Relonora, ale na szczęście mag wciąż żył. Elixir leczący wystarczył, żeby mag stanął na nogi, ściskając swój pas, aby się nie zsunął, i otrząsając się z lodu pokrywającego skorupą jego płaszcz.

Podczas gdy bliźniacy pomagali Relonorowi kuśtykać, aby wróciło mu krążenie w nogach, Aunrae podeszła do Greyanny. Przepelnionej złością kapłance wydawało się, że u Aunrae charakterystyczna dla Mizzrymów szczupłość przybrała ekstremalną formę. Młodsza elfka przypominała patyczaka.

- Wyrazy współczucia z powodu porażki - odezwała się Aunrae.

Miała poważny wyraz twarzy, ale tak naprawdę nie próbowała ukryć czającego się pod nim uśmiešku.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak potężny stał się Pharaun - przyznała Greyanna. - Przed wygnaniem był dość dobrym magiem, ale nikim nadzwyczajnym. To jego spryt uczynił go tak niebezpiecznym. Widzę teraz, że te wszystkie dziesięciolecia spędzone w Tier Breche uczyniły zeń jednego z najpotężniejszych czarodziejów w mieście. To nieco komplikuje sprawy, ale dam sobie radę.

- Mam nadzieję, że opiekunka wybaczy ci twoją niewiedzę - rzekła Aunrae. - Zmarnowałaś tyle magii.

Wyczarowane szkielety i żądłaki zaczynały znikać, pozostawiając po sobie ślad w postaci magicznej energii. Powietrze wydawało się drzeć i brzęczeć, choć gdyby zatrzymać się i wsłuchać uważnie, nic nie było słychać.

- Tak to widzisz? - spytała Greyanna.

Aunrae wzruszyła ramionami.

- Obawiam się tylko, że uzna, iż pokpiłaś sprawę, bo twoja nienawiść do Pharauna uczyniła cię ślepa i niezdarną. Może nawet zdecydować, że ktoś inny bardziej zasługuje na pozycję, jaką obecnie zajmujesz. Oczywiście mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! Wiesz, że dobrze ci życzę. Osobiście zawsze widziałam się w roli twojej pomocnicy, popierającej cię i czerpiącej z tego tytułu korzyści.

- Kuzynko, twoje słowa mnie wzruszają - powiedziała Greyanna, unosząc łaskę.

Nikt nie byłby w stanie dźwignąć tak długiego i ciężkiego przedmiotu, aby przyjąć pozycję do walki, nie zdradzając przy tym przeciwnikowi swoich zamiarów, więc Aunrae miała czas się zasłonić. Nie miało to znaczenia. Nie zadawszy sobie trudu uwolnienia magicznej mocy drzemiącej w orężu, trzymając go jak zwykły drąg, Greyanna wytrąciła z palców młodszej kapłanki buzdygan, rąbnęła ją w okryte pancerzem ramię, aż zadzwoniło, obaliła na ziemię i wbiła jej czubek kija w gardło.

- Chciałabym naradzić się z tobą w kilku sprawach - rzekła Greyanna. - Masz wolną chwilę?

Aunrae wydała z siebie zduszony dźwięk.

- Doskonale. Posłuchaj i zmądrzej trochę. Dzisiejsza potyczka nie poszła na marne. Dowiodła, że Relonor potrafi odnaleźć Pharauna dzięki swoim czarom wieszczącym. Co ważniejsze, walka pozwoliła mi wziąć namiary na naszego brata. Kiedy znów go wytropimy, zmiażdżymy go. Czy teraz widzisz, że panuję nad wszystkim?

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, Aunrae kiwnęła entuzjastycznie głową, uderzając podbródkiem w koniec łaski.

- Rozsądna dziewczyna. Musisz też zapamiętać, że nie polujemy na Pharauna dla mojej własnej, prywatnej satysfakcji. Robię to dla dobra nas wszystkich, ciebie nie wyłączając. Dlatego nie jest to najlepsza pora na próby zdyskredytowania i zastąpienia lepszych od siebie. Czas przelknąć wzajemną niechęć i współpracować, dopóki zagrożenie nie minie. Myślisz, że uda ci się to zapamiętać?

Aunrae nie przestawała kiwać głową. Trzęsła się także, a oczy miała wytrzeszczone z przerażenia. Nic dziwnego - musiało jej brakować powietrza. Miała jednak na tyle oleju w głowie, że nie próbowała schwytać łaski i odsunąć jej w bok. Wiedziała, co by się stało, gdyby spróbowała.

Greyanna odczuwała pokusę, by i tak to zrobić. Uległość Aunrae stanowiła niewielką

przyjemność w porównaniu z dziką satysfakcją, jaką dałoby jej zgruchotanie laską tchawicy bezbronnej elfki. Pragnienie to było tak przemożne, że aż świerzbiły ją ręce.

Ale potrzebowała sług, aby schwytać brata, którego naprawdę nienawidziła, a choć Aunrae działała jej na nerwy, była odważna i posługiwała się magią z pewną wprawą. Korzystniej było zamordować ją innym razem. Greyanna była pewna, że zdoła to zrobić, kiedy tylko zechce. Pomimo swych ambicji, Aunrae nie stanowiła dla niej zagrożenia. Brakowało jej inteligencji.

Czując ukłucie nostalgii na myśl o Sabal, która była przynajmniej rywalką godną uśmiercenia, Greyanna odsunęła laskę od gardła kuzynki.

- Nie będziesz sączyć jadu w uszy matki - rzekła pierwsza córka domu Mizzrym. - Na razie przestaniesz spiskować przeciwko mnie czy komukolwiek innemu. Poświęcisz każdą myśl znalezieniu naszego brata. W przeciwnym wypadku zabiję cię.

* * *

Ryld nigdy dotąd nie przeżył teleportacji. Ku swemu zaskoczeniu zachował przez ten ułamek sekundy świadomość i było to raczej nieprzyjemne uczucie. Nie czuł się tak, jak gdyby mknął przez świat, tylko jak gdyby świat pędził na niego i przez niego, choć było to bezbolesne.

A potem było już po wszystkim. Nieświadomie napiął mięśnie, przygotowując się na nagłe zatrzymanie, które nie nastąpiło, przez co stracił równowagę.

Kiedy już ją odzyskał, wiedział, gdzie mniej więcej się znalazł. Poznał to po zapachu nawozu. Jedno spojrzenie potwierdziło jego podejrzenia.

Pharaun upuścił ich na opuszczone stanowisko wartownicze na naturalnym tarasie. Z półki rozpościerał się widok na Donigarten - pola mchu, gaje gigantycznych grzybów i farmy nawożone nieczystościami zebranymi przez noc w mieście. Stada niewolników - orków i goblinów - zajmowały się cuchnącymi uprawami albo polowały na ryby z tratw pływających po jeziorze. Z wyspy na jego środku dochodziły ryki rothe. Nadzorcy i uzbrojone patrole chodzili po polach, żeby utrzymywać niewolników w ryzach. Dodatkowi strażnicy spoglądali w dół z półek podobnych do tej, na której wylądowali dwaj towarzysze, umieszczonych wysoko na ścianach jaskini.

Ryld wiedział, że Pharaun przeniósł ich najdalej, jak mógł. W Krainach Oglądających Słońce dzięki teleportacji ludzie mogli podróżować dookoła świata, ale w Podmroku destrukcyjne promieniowanie niektórych pierwiastków obecnych w skałach ograniczało zasięg teleportacji do pół mili - wystarczająco dużej odległości, by Greyanna i jej psy gończe zgubili trop.

Pharaun podniósł do góry skradzioną ozdobę, aby się jej uważnie przyjrzeć.

- Pozwala teleportować się tylko jeden raz - stwierdził po chwili. Nawet po całym wysiłku, do jakiego został zmuszony, nie dyszał tak ciężko, jak można by się spodziewać nieźle jak na takiego sybarytę, pomyślał Ryld, kładąc na ziemi swój zakrwawiony miecz. - Jest bezużyteczna, a ja, niech to licho, straciłem mój tańczący rapier, ale nie jestem aż tak zrozpa...

Ryld złapał Pharauna za ramię i potrząsnął nim, rzucając go z impetem na ziemię.

Czarodziej zamrugnął, usiadł, i odgarnął pasmo ufryzowanych włosów na swoje miejsce.

- Gdybyś powiedział mi, że masz ochotę dalej walczyć - powiedział Pharaun - zostawiłbym cię z moimi krewniakami.

- Chciałeś powiedzieć myśliwymi - warknął Ryld - którym znalezienie nas nie zajęło zbyt wiele czasu.

- Zadawaliśmy wiele pytań w wielu miejscach. Nawet chcieliśmy, żeby ktoś nas znalazł, tyle że nie oni. - Pharaun podniósł się i poprawił odzienie, dodając - A teraz mam ci coś niezwykłego do powiedzenia.

- Daruj sobie - odparł Ryld. - Kiedy tkwiliśmy w sieci, a ty i Greyanna gawędziliście sobie w najlepsze, odniosłem wrażenie, że kapłanki nie szukają bynajmniej jakiegoś bezimiennego agenta. Od samego początku wiedziały, że ty jesteś celem, a ty wiedziałeś, że one o tym wiedzą.

Pharaun westchnął.

- Nie wiedziałem, że matki opiekunki wybiorą Greyannę, aby pokrzyżowała nam plany. To była dość nieprzyjemna niespodzianka. Ale o reszcie - tak.

- Jak to?

- Gromph ma na ścianach gabinetu niewidzialne glify. W każdym razie niewidzialne dla większości

ludzi. Ochraniają go na różne sposoby. Jeden z nich, czarny sigil w kształcie pająka, ma zadanie uniemożliwić wieszczom i czarownikom podsłuchiwanie jego prywatnych rozmów, ale kiedy rozmawiał ze mną, glif był narysowany niedokładnie. I tak uniemożliwiłby podsłuchiwanie niejednemu szpiegowi, ale nie komuś dysponującemu takimi środkami i wiedzą jak jego siostry... czy Rada.

Ryld zasępił się.

- Gromph dał płamę?

- Oczywiście, że nie - prychnął Pharaun. - Zarzucasz arcymagowi Menzoberranzan niekompetencję? Narysował glif dokładnie tak, jak chciał. Wiedział, że wysokie kapłanki próbują go śledzić - z pewnością zawsze to robiły i bez wątpienia zawsze będą - i chciał, żeby nas podsłuchały.

- Chciał cię zrobić.

- Nareszcie zrozumiałeś. Podczas gdy kleryczki są zajęte szukaniem mnie, przynęty, mój znakomity szef spokojnie przeprowadzi inne, bardziej dyskretne dochodzenie, prawdopodobnie wieszcząc i przesłuchując demony.

- Wiedziałeś o tym, a jednak podjąłeś się tej misji.

- Bo wiedza ta w niczym nie zmienia mojego położenia. Jeśli chcę zachować pozycję i, co niewykluczone, życie, i tak muszę wykonać zadanie powierzone mi przez arcymaga, chociaż wystrychnął mnie na dudka, a Greyanna będzie usiłowała mi w tym przeszkodzić. - Pharaun wyszczerzył zęby i dodał - Poza tym gdzie podziali się ci zbiegowie i dlaczego obchodzi to najważniejsze osobistości w Menzoberranzan? To fascynująca zagadka, tym bardziej, że częściowo domyślam się już odpowiedzi. Gdybym zostawił ją nierozwiązaną, nigdy nie przestałaby mnie dręczyć.

- Zrobiłeś ze mnie durnia - powiedział Ryld. - Zgoda, ostrzegłeś mnie, że kapłanki mogą nam przeszkadzać, ale zbagatelizowałeś niebezpieczeństwo. Nie powiedziałeś mi, że zostałeś namierzony, jeszcze zanim opuściliśmy Tier Breche. Dlaczego? Myślałeś, że nie zechcę ci towarzyszyć?

Wygadany czarodziej zawahał się, co było zupełnie nie w jego stylu. Nisko pod półką rozległo się trzaśnięcie bicia i wrzask goblina.

- Nie - powiedział w końcu Pharaun. - Właściwie nie. Po prostu mroczne elfy strzegą zazdrośnie swych sekretów. Podobnie jak szlachetnie urodzeni. I czarodzieje. A jestem jednym, drugim i trzecim! Wybaczysz mi? Tobie też zdarzyło się przecież zataić coś przede mną.

- Kiedy?

- Przez pierwsze trzy lata naszej znajomości, za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, miałeś przy sobie zaklęty sztylet przeznaczony specjalnie do zabijania magów. Podejrzewałeś, że szukam twojego towarzystwa tylko dlatego, iż jeden z twoich rywali z Melee-Magthere wynajął mnie, żebym zamordował cię przy pierwszej lepszej okazji.

- Jak to odkryłeś? Nieważne, to pewnie ten twój srebrny pierścień. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, do czego służy. W każdym razie był to sekret zupełnie innego rodzaju.

- Masz rację i żałuję swojej powściągliwości, ale wynagrodzę ci to, dzieląc się z tobą najbardziej zaskakującym sekretem, jaki kiedykolwiek słyszałeś.

Ryld spojrział Pharaunowi prosto w oczy.

- Wybaczę ci. Ale ostrzegam, że jeśli znów ukryjesz przede mną jakieś istotne informacje, rąbnę cię w głowę i sam dostarczę tej dziwce, twojej siostrze.

- Zrozumiałem. Usiądziemy? - Pharaun wskazał ławeczkę wyciętą w wapieniu w głębi półki. - Opowieść może potrwać, a śmiem twierdzić, że po takim wysiłku przydałaby się nam chwila wytchnienia.

Odwracając się od skalnego wału, Ryld zauważył, że ucichło trzaskanie z bata. Gdy spojrział w dół, zobaczył, jak dwa gobliny wleką gdzieś ciało trzeciego, aby porąbać je i wykorzystać w jakiś pożyteczny sposób. Prawdopodobnie by przerobić je na karmę dla pozostałych niewolników.

Nauczyciel szermierki usiadł i wyjął z kieszeni szmatkę, osełkę i buteleczkę oleju. Odpiął od pasa krótki miecz, pociągnął za rękojęść i parsknął z niezadowoleniem, gdyż ostrze, którego nie miał czasu otrzeć z krwi, utknęło w pochwie. Pociągnął mocniej i klinga wyskoczyła na zewnątrz.

Popatrzył na Pharauna, który przyglądał mu się z dziwnym rozdrażnieniem.

- Mów - powiedział wojownik. - Mogę jednocześnie zajmować się ekwipunkiem i słuchać.

- Czy zawsze podchodzisz w ten sposób do zadziwiających rewelacji? Mam szczęście, że nie musisz skorzystać z wychodka. No dobrze, słuchaj... Lolth zniknęła. No, może nie zniknęła, ale jest nieosiągalna przynajmniej w tym sensie, że kleryczki z Menzoberranzan nie mogą już otrzymywać od

niej zaklęć.

Przez chwilę Ryld myślał, że się przesłyszał.

- To chyba jakiś żart? - zapytał. - Cieszę się, że nie opowiedziałeś go, kiedy byliśmy wśród ludzi. Nie ma sensu dodawać bluźnierstwa do listy naszych wykroczeń.

- Bluźnierstwo czy nie, to prawda.

Ryld ścierał lepką krew z klingi krótkiego miecza.

- Co sugerujesz? - zapytał fechtmistrz. - Kolejny Czas Kłopotów? Czy mogą mieć miejsce dwa takie wstrząsy?

Pharaun wyszczerzył zęby.

- Być może, ale nie sądzę. Gdy bogowie zostali zmuszeni do zamieszkania w śmiertelnym świecie, nastąpiły nieprzewidywalne fluktuacje magii wtajemniczeń, którą władamy my, czarodzieje. Jednego dnia mogliśmy kształtować świat jak glinę. Następnego nie byliśmy w stanie zmienić lodu w wodę. Teraz nic takiego się nie dzieje. Mam cały czas taką samą moc, więc ostrożnie wnoszę, że nie nastąpi ponownie Czas Kłopotów, tylko ma miejsce jakieś inne zjawisko.

- Jakiego rodzaju?

- Skąd miałbym to wiedzieć już teraz? Myślałem, że dobrze się spisałem, w ogóle to odkrywając.

- Tylko jeśli rzeczywiście masz rację.

Ryld przyjrzał się uważnie sztychowi krótkiej klingi przeznaczonej do pchnięć, po czym wziął do ręki osetkę. Rozbawiony teorią Pharauna, zachodził w głowę, jak jego sprytny przyjaciel wpadł na równie niedorzeczny pomysł.

- Chcę, żebyś przeanalizował starcie, w którym przed chwilą braliśmy udział - rzekł mistrz Sorcere.

- Czy choć raz zauważyłeś, żeby Greyanna lub ta druga kapłanka rzucały czary objawień z pamięci i dzięki wewnętrznej sile, zamiast korzystać ze zwojów i jakichś innych przedmiotów?

- Walczyłem ze szkieletami.

- Śledzisz poczynania każdego wroga na polu walki. Wiem o tym. Czy zauważyłeś, żeby rzucały czary, korzystając z własnej wewnętrznej mocy?

Ryld pomyślał, że owszem... po czym zdał sobie sprawę, że nie przypomina sobie niczego takiego.

- O czym to świadczy? - zapytał mag. - W głowach nie zostały im żadne zaklęcia, no, może kilka, które oszczędzają rozpaczliwie, bo nie mogą wyprosić nowych od swojej bogini. Menzoberranzan popadło w niełaskę Lolth... albo coś w tym rodzaju.

- Dlaczego bogini miałyby zrobić coś takiego?

- A czy musi mieć jakiś powód? A w każdym razie taki, który jest w stanie zrozumieć jedno z jej śmiertelnych dzieci? Jest bóstwem chaosu. Może poddaje nas jakiejś próbie, a może jest rozgniewana i uważa nas za niegodnych jej opieki. Albo, co sugerowałem wcześniej, przyczyną jej milczenia - jeśli rzeczywiście nie odpowiada, kiedy jej kleryczki modlą się do niej, a nie tylko nie chce współpracować - jest zupełnie coś innego. Być może jakiś zbieg okoliczności dotyczący wszystkich bogów. Ponieważ mamy w Menzoberranzan tylko jedną wiarę i duchowieństwo, trudno ocenić.

- Zaczekaj - powiedział Ryld. Odkorkował buteleczkę z olejem. Ostry zapach kontrastował w przyjemny sposób z wilgotnym smrodem nawożonych pól. - Przyznaję, nie zauważyłem, żeby Greyanna czy któraś z niższych rangą kapłanek czarowała, ale czy sam nie mówiłeś mi kiedyś, że w wirze walki czasem łatwiej i pewniej rzucać czary za pomocą różdżki lub zwoju?

- Chyba tak. Jednak w normalnych okolicznościach spodziewałbyś się, że dwójka czarowników będzie rzucać w ten sposób każde zaklęcie? Tuż przed naszym zniknięciem widziałem, jak Greyanna chwyciła broń, a ta materializowała się bardzo powoli. Siostra, którą pamiętam, powiedziała „Do diabła z tym!”, i rzuciła w nas jakimś innym czarem. Chyba że coś ograniczałoby jej wybór.

- Rozumiem, co masz na myśli - przyznał Ryld. - Ale kiedy klerycy stracili moc w Czasie Kłopotów, równowaga sił pomiędzy domami została zachwiana. Ci, którzy uznali, że zmiany uczyniły ich silniejszymi, uderzyli z całą mocą, aby zająć miejsce rywali. Z tego, co zdążyłem zauważyć, nic podobnego się teraz nie dzieje - mamy do czynienia ze zwykłym poziomem kontrolowanej wrogości.

Odłożył krótki miecz na bok i podniósł Rozpruwacz. Pharaun skinął głową.

- Pamiętaj, że żaden z domów, które usiłowały wyciągnąć jakieś korzyści z Czasu Kłopotów, na dłuższą metę nie odniósł żadnych sukcesów. Wręcz przeciwnie - Baenre i pozostali ukarali je za zuchwalstwo. Być może matki opiekunki wzięły sobie te nauczki do serca.

- Więc zamiast spiskować, jak by tu doprowadzić do upadku konkurentek... co zrobiły? Pozyskały wszystkie bez wyjątku kapłanki dla wielkiego spisku, aby ukryć fakt, że popadły w niełaszkę? Jeśli twoja szalona teoria jest prawdziwa, właśnie tak musiały postąpić.
- Dlaczego uważasz, że to niemożliwe? Wyobraź sobie dzień kilka dziesięć dni temu? - w którym straciły umiejętność czerpania mocy od bogini. Kapłanki Lolth stale biorą udział we wspólnych magicznych rytuałach, więc odkryły dość szybko, że wszystkie cierpią na podobną przypadłość. Powiadomiona o ogromie katastrofy, Triel Baenre, prawdopodobnie po pośpiesznym naradzeniu się z naszą szanowną mistrzynią Quenthel i opiekunkami z Rady, mogła zdecydować, że ukryją prawdę i zawnazą powiadomią wszystkie kobiety, żeby trzymały język za zębami.
- Musiały się z tym bardzo spieszyć - zauważył Ryld, badając krawędź Rozpruwacza. Tak jak się spodziewał, pomimo ilości kości, przez jakie się przegryzła, klinga nadal była nadnaturalnie ostra i ani trochę się nie wyszczerbiła.
- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział czarodziej. - Gdybyś stracił siłę w ramionach, czy chętnie byś to ogłaszał, wiedząc, że wieść o tym dotrze do każdego, kto kiedykolwiek poczuł do ciebie niechęć? Zresztą skoro dowiedzieliśmy się o problemie dopiero teraz, musiały zorganizować się na czas.
- Albo wszystko jest jak po starym, a spisek istnieje wyłącznie w twojej wyobraźni.
- O, istnieje naprawdę. Jestem pewny, że Triel uznała podstęp za konieczny, żeby mieć pewność, że żaden gość nie dostrzeże nagłej słabości Menzoberranzan. - Wyszczrzył zęby i dodał - I żebyśmy my, biedni mężczyźni, nie zasłabli z przerażenia na wieść o tym, że nasze przełożone straciły do pewnego stopnia umiejętność prowadzenia i ochrania nas.
- Zabawne przypuszczenie.
- Na ogień i pożogę, trudno cię przekonać i niech będą przeklęty, jeśli wiem dlaczego. Przeżyłeś już Czas Kłopotów, śmierć poprzedniej matki Baenre i zdobycie Menzoberranzan przez stado nędznych krasnoludów. Dlaczego zakładasz, że nasz świat nie mógł ulec jakiejś fundamentalnej zmianie, skoro widziałeś to już tyle razy wcześniej? Otwórz swój umysł, a zobaczysz, że dzięki mojej hipotezie wszystkie pytania, które nas nurtują, nabierają sensu.
- Co masz na myśli?
- Cokolwiek kobiety knują, jak to się stało, że przez kilka ostatnich miesięcy niespotykana liczba młodych mężczyzn odważyła się uciec ze swoich rodzin? Ponieważ w jakiś sposób odkryli, że teraz gniew kapłanki nie stanowi już tak dużego zagrożenia.
- Podczas gdy kapłankom - podjął wywód Ryld - bardzo zależy na tym, żeby ich złapać, bo chcą się dowiedzieć, jak mężczyźni dowiedzieli się o Milczeniu, jeśli tak to nazwiemy. A niech mnie, jeśli ci wszyscy mężczyźni zdobyli się na odwagę, żeby uciec, może nawet wiedzą o problemie kapłanek więcej niż one same.
- Możliwe - rzekł Pharaun. - Kapłanki nie będą mogły wykluczyć tej ewentualności, dopóki nie przywiążą kilku z nich do narzędzi tortur, nieprawdaż? - Ale nie chcą, żeby Gromph włączył się w łapanie zbiegów, bo...
- Nie chcą, żeby odkrył to, o czym wiedzą uciekinierzy.
- Bardzo dobrze, uczniu. Jeszcze zrobimy z ciebie logika.
- Myślisz, że arcymag wie już, że kapłanki straciły swoją magię?
- Postawiłbym na to twoje lewe oko, ale Gromph jedzie na tym samym wózku, co wysokie kapłanki. Zakłada, że uciekinierzy mogą wiedzieć coś więcej.
- Ryld kiwnął głową.
- W czasie wojny lub kryzysu trzeba uwzględnić każdą ewentualność.
- Hipoteza Milczenia tłumaczy nawet to, dlaczego Szkatułka była tak zatłoczona i dlaczego niektórzy goście byli w tak wojowniczym nastroju, a nawet posiniaczeni i poobijani. Kobiety pozbawione swojej magii mogą się czuć słabe i bezbronne. Świadomie lub nie, martwią się, że tracą kontrolę nad swoim domem i nadrabiają to utrzymywaniem jeszcze surowszej dyscypliny niż zwykle.
- Rozumiem - przyznał Ryld.
- Oczywiście. Jak powiedziałem, ta hipoteza tłumaczy wszystkie anomalie. Właśnie dlatego możemy mieć pewność, że jest słuszna.
- A jak twoja hipoteza tłumaczy niedobór towarów na bazarze?
- Pharaun zamrugał, zmrużył oczy w zadumie i w końcu roześmiał się.
- Wiesz, geniuszowi trudno szybować w obliczu tych wszystkich nieistotnych błahostek. Masz

rację. Na pierwszy rzut oka Milczenie nie ma związku z targowiskiem, ale tłumaczy tyle innych spraw, że wciąż wierzę, że pomysł jest słuszny. Czy przekonałem cię?

- Ja... może. Ma to jakiś pokrętny sens. Trudno jednak się z tym pogodzić. Jedną z prawd, jakiej nasz lud nigdy nie poddawał w wątpliwość, jest to, że Menzoberranzan należy do Lolth. Wszystko w jaskini wygląda tak, jak wygląda, bo ona tego chciała, a potęga kapłanek jest główną siłą utrzymującą wszystko to, co mamy, i czym jesteśmy. Jeśli odwróciła oblicze od całego miasta, albo straciliśmy ją w jakiś inny sposób... - Ryld rozłożył ręce.

- To niepokojące, ale być może, tylko być może, otwiera to też przed nami pewne możliwości.

Ryld rozłożył teleskopową metalową sondę, przyczepił szmatkę do haczyka na jej końcu i zaczął wycierać od środka zabrudzoną krwią pochwę.

- Co masz na myśli? - zapytał wojownik.

- Dla zabawy uwierzmy w to, w co uwierzyli Gromph i Rada być może pod wpływem strachu. Załóżmy, że zbiegli mężczyźni znają powód, dla którego skończyła się wspaniałomyślność Lolth. Załóżmy, że uda nam się ich znaleźć i wydobyć z nich tę informację. Wreszcie załóżmy, że uda nam się ją jakoś wykorzystać, aby przywrócić status quo.

- Dużo tych założeń.

- Zgoda. Popuszczam wodze wyobraźni. Mam jednak przecucie - tylko przecucie, ale jednak - że gdyby dwóm mistrzom Akademii udało się odnieść podobny triumf, staliby się tak potężni, że mój przyjaciel, demon Sarthos, byłby przy nich pestką. Chciałeś usłyszeć coś, co przemawiałoby na naszą korzyść, o ile dobrze sobie przypominam.

- Twoja siostra może nas przedtem znaleźć. Już raz nas wytropiła. Wciąż uważasz, że nie powinniśmy jej zabić?

- To dobre pytanie - westchnął Pharaun. - Atakują nas potężną magią. Przypuszczam, że skórzana torba kryje w sobie dziewięć grup istot służebnych, każdą bardziej zabójczą od poprzedniej.

- W takim razie dlaczego nie rzuciła przeciwko nam wszystkich naraz?

- Możliwe, że ponieważ jej wewnętrzna moc zniknęła, usiłowała oszczędzać inne środki. Niestety. Następnym razem może już nie być taka skąpa.

- Co w takim razie robimy?

- Wiesz, ja naprawdę bardzo chcę zabić Greyannę. Zawsze tego chciałem, ale przypuszczam, że rozsądniej będzie unikać w miarę możliwości naszych prześladowców. Jeśli nie, zrobimy wszystko, co konieczne, aby przeżyć. Mogę przynajmniej pozbyć się Relonora. Przypuszczam, że zlokalizował nas przy pomocy magii wieszczącej. Zawsze był w tym dobry.

- Potrafisz nas osłonić?

- Może. Zamierzam spróbować. Zostań tam, gdzie jesteś i nic nie mów.

Pharaun wstał i sięgnął do jednej z kieszeni. Z jeziora wyskoczyło coś dużego. Zauważywszy falowanie wody, jeden z orków stojących na tratwie mruknął coś do towarzyszy i wszyscy przygotowali włącznie o żelźcach najeżonych haczykami.

ROZDZIAŁ 9

Drisnil złapała za klamkę u drzwi, czując rwanie w owiniętym bandażem kikucie małego palca. Nowicjuszka wciąż nie mogła uwierzyć, że po stoczeniu walki na śmierć i życie z demonem-pajakiem mistrzyni Quenthel natychmiast powróciła do sprawy niedoszłych wagarowiczek i kary, którą miały sobie same wymierzyć. Świadczyło to o jej opanowaniu i skrupulatności. Drisnil podziwiała te cechy, ale nie nienawidziła przez to osoby będącej ich wzorem ani trochę mniej.

Po raz ostatni rozejrzała się po pustym korytarzu. Nikogo nie było w pobliżu i nikogo nie powinno być, nie na tym odcinku tego konkretnego skrzydła Arach-Tinilith o tej godzinie w nocy.

Prześliznęła się przez drzwi z piaskowca i zamknęła je za sobą. Inaczej niż w pozostałych częściach świątyni, w pomieszczeniu za drzwiami nie paliły się żadne lampy, pochodnie ani świece. Zrobiono to celowo, aby żaden zdradziecki blask nie sączył się przez szparę pod drzwiami.

Siostrzane konspiratorki Drisnil czekały na nią. Część z nich stanowiły nowicjuszki z obandażowanymi dłońmi. Część nauczycielki. Te wysokie kapłanki, które chciały zachować godność, miały trudności z wygodnym ułożeniem się pomiędzy stertami skrzynek i mebli, wypełniających na poły zapomniany skład. Nie ułatwiał im tego fakt, iż wahały się zerwać wiszące wszędzie zasłony brudnych pajęczyn w obawie, że na którejś z nich mógł pozostać żywy pająk.

Drisnil zastanawiała się, czy akurat ten zakaz ma jeszcze jakikolwiek sens. Być może pająki nie są już święte.

Zaraz jednak, zła na samą siebie, odepchnęła od siebie tę bluźnierczą myśl. Lolth trwała ponad wszelką wątpliwość, i mogła ukarać tych, którzy choć przez moment w to zwątpili.

Gdy wróciła myślami do pilniejszych spraw, przez chwilę była kompletnie zaskoczona tym, że wszystkie elfki patrzą na nią wyczekująco. Czyżby oczekiwały, że poprowadzi spotkanie?

Ale z drugiej strony, dlaczego nie? Może i była nowicjuską, ale była też Barrison Del'Armgo, a urodzenie liczyło się, może nawet bardziej teraz niż kiedykolwiek wcześniej, skoro nawet najpotężniejszym kapłankom zaczynało brakować magii. Poza tym potajemne spotkanie było jej pomysłem.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Dziękuję wam wszystkim za przybycie - uśmiechnęła się kwaśno - i nie doniesienie na mnie Quenthel Baenre.

- Wciąż możemy to zrobić - powiedziała Vlondril Tuin'Tarl z dziwnym uśmiechem na pomarszczonych ustach. - Musisz przekonać nas, że nie powinniśmy.

Nauczycielka była tak stara, że zaczynała być zaszuszone jak ludzka staruszka. Większość nowicjuszek uważała, że kobieta wskutek mistycznej kontemplacji ostatecznego chaosu stała się trochę szalona. Nikt, nawet inna nauczycielka, nie zdecydował się usiąść w jej pobliżu.

- Z całym szacunkiem, świętobliwa matko - powiedziała Drisnil - ale czy nie jest to oczywiste? Bogini, która hołubiła nasze miasto i troszczyła się o nie od czasu jego założenia, odwróciła się od nas.

Po raz kolejny Drisnil przyszedł do głowy inne ewentualności, ale nawet gdyby widziała sens we wspomnianiu o nich, nie śmiałyby tego zrobić. Nikt by nie śmiał, nie w tym towarzystwie.

- A Quenthel ponosi za to winę - dodała Molvayas Barrison Del'Armgo.

Choć potężniej zbudowana i niższa od Drisnil, jej ciotka miała taki sam ostry nos i niezwykle zielone oczy. Bogato odziana, starsza córka domu nosiła duszę wroga uwięzioną w jadeitowym pierścieniu i w chwilach ciszy słyhać było czasem, jak duch skamle i błaga o uwolnienie. Niższa rangą od Quenthel, tak jak Barrison Del'Armgo była zawsze niższa rangą od Baenre, Molvayas pomogła siostrzenicy zawiadomić kapłanki o spotkaniu, a jej poparcie dodało mu pewnej wiarygodności.

- Skąd wiesz? - zapytała T'risstree T'orgh.

Zwodniczo smukła, posiadająca kwalifikacje zarówno wojowniczką, jak i kapłanki, T'risstree była znana z tego, że zamiast zwyczajowego buzdyganu lub biczka zawsze nosiła przy sobie tasak i szybkim, acz precyzyjnym cięciem w twarz karała każdą studentkę, która ją rozgniewała. Krótkie, zakrzywione ostrze leżało teraz na jej kolanach.

Drisnil odczekała jedno uderzenie serca, aby upewnić się, że Molvayas chce, żeby to ona odpowiedziała na pytanie. Najwyraźniej chciała, i słusznie, ponieważ to właśnie młodsza kobieta znalazła argumenty przemawiające za tą teorią.

- Gdy Triel była tu mistrzynią - powiedziała nowicjuszka - wszystko było w porządku. Wkrótce po tym, jak Quenthel objęła jej stanowisko, Lolth nas odrzuciła.

- „Wkrótce” to dość względne określenie - odezwał się jakiś sardoniczny głos z końca pomieszczenia.
- Nie trzeba było długo czekać - odparła Drisnil. - Być może bogini dała nam czas na naprawienie błędu. Nie zrobiliśmy tego, więc teraz nas karze.
- Nieszczęście dotknęło całe Menzoberranzan - rzekła T'risstree T'orgh - nie tylko Tier Breche.
- Chyba nie oczekiwałaś - odezwała się Drisnil - że Lolth będzie sprawiedliwa. Myślałam, że kapłanka powinna znać się lepiej na zwyczajach bogini. Jej gniew nie ma granic, tak jak jej moc. Poza tym Arach-Tinilith jest skarbnicą najgłębszych tajemnic i tym samym sercem Menzoberranzan. Nic dziwnego, że to, co przydarza nam się tutaj, dotyka również całe miasto. W każdym razie - ciągnęła nowicjuszka - Lolth odkryła przed nami swe zamiary. Pomimo zastosowanych środków bezpieczeństwa dwa duchy wdarły się do świątyni: pierwszy pod postacią pająka, drugi - żywej ciemności. Pająk i ciemność, odbicia istoty bogini. Demony poraniły te z nas, które znalazły się na ich drodze. Poraniły, ale nie starały się zabić żadnej z nas, prawda? Wyraźnie szukały Quenthel i tylko ją chciały zabić.
- Niektóre kapłanki zmarszczyły brwi i skinęły głowami w zadumie.
- Na to wyglądało - powiedziała Vlondril - ale co, twoim zdaniem, jest nie do przyjęcia w osobie Quenthel? Czy nie robi tego samego, co kiedyś Triel?
- Nie wiemy o wszystkim, co robi - powiedziała Drisnil. - I nie wiemy, o czym myśli. Lolth wie.
- Ale nie wiesz, czy to Lolth wysłała demony - powiedziała T'risstree. Kobieta pochodziła z gminu, ale posiadała taką władzę i prestiż, że wyzbyła się unizoności w stosunku do arystokracji. - Być może demony nasłał jeden ze śmiertelnych wrogów Quenthel.
- Jaki śmiertelnik włada magią tak potężną i jest na tyle przebiegły, żeby sforsować osłony świątyni? - odparła Drisnil.
- Arcymag? - podsunęła Vlondril, skubiąc skórę na wierzchu dłoni. Powiedziała to lekkim tonem, jak gdyby tylko żartowała.
- Nawet jeśli - rzekła Drisnil - Gromph jest również Baenre, a Quenthel na stanowisku mistrzyni umacnia jego dom. Nie ma powodów, żeby chcieć ją zabić, ale jeśli to nie on, to kto? Kto, jeśli nie bogini?
- Quentel wciąż żyje - powiedziała kapłanka z domu Xorlarrin. Kobieta przyszła na tajne zebranie w długim woalu, najwyraźniej po to, żeby każdy, kto zauważy ją na korytarzu, uznał, iż jest właśnie zajęta nekromantyczną medytacją. - Uważamy, że Lolth usiłowała ją zabić i nie udało jej się?
- Być może - powiedziała Drisnil. Część jej słuchaczek skrzywiła się lub zeszywniała, słysząc słowa, które można było odebrać jako bluźnierstwo. - Jest wszechmocna, ale jej wysłannicy nie są. Uważam jednak, że Lolth chciała, by dwaj pierwsi zabójcy zawiedli. Daje swoim kapłankom szansę zastanowienia się nad tym, co się dzieje. Zrozumienia jej woli, wykonania wyznaczonego nam zadania i ponownego odzyskania jej względów.
- Vlondril uśmiechnęła się.
- I mamy to zrobić, mordując własnoręcznie Quenthel? Świetnie, dziecko, naprawdę świetnie.
- Zabijemy ją same - zgodziła się Drisnil - a jeśli będzie to niewykonalne, przynajmniej zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc kolejnemu demonicznemu skrytobójcy.
- T'risstree potrząsnęła głową.
- To czysta spekulacja. Nie wiesz, czy śmierć mistrzyni sprowadzi z powrotem Lolth.
- Warto zaryzykować - odparła Drisnil. - W najgorszym wypadku, jeśli damy demonom to, czego chcą, przestaną nawiedzać Arach-Tinilith. Nie zabiły jeszcze żadnej z nas, ale jeśli im nie pomożemy, a Quenthel pozostanie przy życiu, mogą chcieć wyeliminować także nas, bo koniec końców, zabijanie leży w naturze demonów.
- Dom Baenre może być bardziej niebezpieczny od demonów - zauważyła T'risstree.
- Baenre nie będą wiedzieli, kto przyczynił się do zguby Quenthel - odrzekła Drisnil. - Więc co zrobią, wywrą zemstę na każdej kapłance z Arach-Tinilith? Nie mogą tego zrobić. Potrzebują nas, abyśmy uczyły ich córki i odprawiały tajemne rytuały.
- Jeśli Quenthel zginie - powiedziała jakaś kapłanka opierająca się o ścianę - Molvayas ma spore szanse zostania mistrzynią Arach-Tinilith. Ale co zyska na tym reszta z nas?
- Moja siostrzenica wyjaśniła wam - rzekła Molvayas - że wszystkie odnowimy więź łączącą nas z boginią oraz zasoby naszej magii. Poza tym obiecuję, że jeśli zostanę mistrzynią, zapamiętam te, które mnie wyniosły na to stanowisko. Wysokie kapłanki, będziecie moimi pomocnikami, liczącymi się

bardziej niż wszystkie pozostałe nauczycielki. Nowicjuszki, czas w Arach-Tinilith będziecie spędzać w o wiele przyjemniejszy sposób, niż ma to z reguły miejsce. Wy również będziecie sprawować władzę nad swoimi koleżankami. Będziecie opływać w luksusy. Zwolnię was z bardziej uciążliwych prób i nauczę sekretów, których większość uczennic nigdy nie poznaje.

- Trzymamy cię za słowo - odezwał się kolejny głos z końca pokoju - i wydamy, jeśli je złamiesz.
- Otóż to - rzekła Molvayas. - Zawsze będziecie mogły poinformować dom Baenre o mojej winie. Jest was zbyt wiele, żebym mogła zamordować was wszystkie, co daje wam pewność, że dotrzymam obietnicy. Nawet gdyby było inaczej, zdradzenie was byłoby głupotą z mojej strony, bo zawsze będę potrzebowała lojalnych stronnicek.

- Kusząca propozycja - odezwała się zawołowana Xorlarrin. - Zaryzykowałabym niemal wszystko, aby odzyskać moją magię. Mówimy jednak o Baenre.

- Niech będą przeklęci! - warknęła Drisnil. - Być może zabicie Quenthel będzie pierwszym pomrukiem lawiny, która zasypie cały klan.

- Jakiej lawiny? - spytała T'risstree.

- Właściwie nie wiem - przyznała Drisnil. - Ale zastanów się. Domy dochodzą do władzy i upadają. Tak to wygląda w Menzoberranzan i taka jest wola Lolth. Jak dotąd dom Baenre był wyjątkiem i od wieków pozostawał na samym szczycie. Być może po śmierci starej matki opiekunki rodzina utraciła wreszcie względy bogini. Dlaczego nie... wszyscy wiedzą, że Triel jest kompletnie zagubiona. Może w końcu nadszedł czas, aby dom Baenre uległ uniwersalnemu prawu. A jeśli tak, czyż nie byłoby wspaniale, przyczynić się do jego upadku tu, teraz, w tej minucie, w tym pokoju?

- Tak - oznajmiła T'risstree.

Zaskoczona Drisnil zwróciła twarz w jej stronę.

- Zgadzasz się?

Odkładając na bok swój ostry jak brzytwa tasak, T'risstree wstała i powiedziała

- Miałam wątpliwości, ale przekonałaś mnie. - Na chwilę wyszczerzyła zęby. - I tak nie lubię Quenthel. A więc tak, wyślemy ją do grobu, odzyskamy przychyłność bogini i pokierujemy szkołą tak, jak uznamy za stosowne.

Wyciągnęła ręce do nowicjuszki. Drisnil uśmiechnęła się i uściśnęła je, choć uścisk sprawił, że obie jej dłonie przeszył ból, a potem odwróciła się do pozostałych kobiet i zapytała

- A reszta? Jesteście z nami?

Chóralnie wyraziły zgodę. Zgadywała, że te, które nie wierzyły, że udało jej się znaleźć sposób prześlągnięcia Lolth, pragnęły awansować w świątynnej hierarchii, a przynajmniej nie lubiły Quenthel. Może po prostu dawały upust upodobaniu drowów do przelewu krwi i zdrady.

Sama Drisnil rzeczywiście wierzyła, że wymyśliła odpowiednie metafizyczne lekarstwo na ich bóle, ale w głębi serca była jeszcze bardziej podekscytowana perspektywą zemścić się na swej dręczycielce. Jak mogłoby być inaczej? Przez resztę życia okaleczone przez nią same dłonie miały oznajmiać każdemu, kto na nią spojrzy, że kiedyś ktoś pokonał ją i poniżył.

- Dziękuję wam - zwróciła się do pozostałych kleryczek. - A teraz zastanówmy się. Mamy sporo do zaplanowania i niewiele czasu, zanim pozostałe zauważą naszą nieobecność.

Zabrały się więc za planowanie, szepcząc, sprzecząc się i od czasu do czasu uśmiechając złośliwie, gdy któraś wysunęła jakąś szczególnie pomysłową i wredną propozycję. Drisnil wiedziała, że z części, jeśli nie wszystkich ich planów nie będzie żadnego pożytku - w zbyt dużym stopniu opierały się na założeniu, że Quenthel zrobi dokładnie to, czego chciały konspiratorki, dokładnie wtedy i tam, gdzie chciały, by to zrobiła - ale spiskowanie służyło scementowaniu ich oddania spiskowi i nakreślenie przynajmniej z grubsza zarysów strategii.

W końcu zebranie dobiegło końca. Kapłanki zaczęły się wymykać drogą, którą przyszły, pojedynczo lub parami. Te bardziej niespokojne zbiły się w gromadkę pod drzwiami, czekając na swą kolej. Była wśród nich T'risstree.

Drisnil przeszła przez pokój w tak niedbały i odprężony sposób, jaki była w stanie udać. Nie chciała, by którakolwiek z kobiet odkryła, co zamierza i, zaskoczona, zareagowała w jakiś słyszalny sposób.

Żadna nic nie zauważyła. Wszystkie mroczne elfy były aktorami pod tym względem, że potrafiły kłamać, a ona była w tym prawdopodobnie lepsza od innych. Wolnym krokiem podszła do T'risstree tak, by tamta znalazła się w zasięgu jej ramienia, chwyciła sztylet ukryty w zwojach długiego, obszytego

frędzlą szala, i wbiła ostrze w kręgosłup wysokiej kapłanki. Tym razem, nie wiedzieć czemu, kikuty odciętych palców nie zabołały ani trochę.

W śmiertelnym spazmie T'risstree wygięła plecy w łuk i, ku zaskoczeniu Drisnil, próbowała odwrócić się do niej przodem. Trzęsącą się ręką uniosła tasak.

Drisnil odwróciła się wraz z wysoką kapłanką, trzymając się za jej plecami. Złapała T'risstree za włosy, gwałtownym szarpnięciem odchyliła jej głowę do tyłu i rozplatała gardło. Nauczycielka zwała się na ziemię. Miecz wyśliznął jej się z palców i z brzękiem upadł na podłogę.

Przyglądające się tej scenie kapłanki wytrzeszczyły oczy.

- T'risstree T'orgh zamierzała nas zdradzić - powiedziała Drisnil. - Zobaczyłam to w jej oczach, kiedy uścisnęłyśmy sobie dłonie. Trupa możemy na razie zostawić tutaj. Jeśli dopisze nam szczęście, aż do śmierci Quenthel nikt go nie odkryje.

Pozostałe konspiratorki albo uwierzyły w jej wyjaśnienia, albo, co było bardziej prawdopodobne, śmierć nauczycielki niewiele je obeszała. Kilka pogratulowało jej finezji, z jaką ją uśmierciła i, zupełnie nie zwracając uwagi na rozciągnięte na podłodze ciało, znów zaczęły opuszczać pomieszczenie.

Drisnil podniosła i obejrzała upuszczony tasak. Kiedy Quenthel zginie, będzie dobrze wyglądał na jej ścianie.

* * *

Faeryl krążyła po zaokrąglonych, zdradzieckich powierzchniach dachu ambasadorskiej rezydencji. Kobieta starała się obserwować wszystkie cztery strony swojej siedziby, co wymagało poruszania się z pewną szybkością. Jednak jednocześnie starała się ukryć przed wszystkimi, którzy mogli wyglądać przez okno sąsiedniej rezydencji lub spoglądać w górę z jednego ze spokojnych bulwarów bogatej Zachodniej Ściany. A im szybciej się poruszała, tym trudniej jej było pozostać niezauważoną. Przekradła się na dach dwie godziny temu, kiedy wszyscy myśleli, że pakuje albo pali dokumenty. Wciąż nie była pewna, czy znalazła złoty środek między tymi dwiema koniecznościami.

Żałowała, że nie mogła rozkazać kilku sługom, żeby pomogli jej czuwać, ale byłoby to błędem, gdyż każdy z jej służących mógł być celem jej polowania.

Żałowała też, że prawie nie ma się gdzie ukryć. Oprócz kilku symbolicznych ganków i blanek tak małych, że w zasadzie służących jedynie jako ozdoba, szczyt stalagmitowej twierdzy był pozbawiony fortyfikacji, czy nawet płaskich powierzchni, na których można by stanąć. Gdyby Faeryl przyjrzała się uważnie, dostrzegłaby drobne znaki świadczące o tym, że kiedyś, gdy twierdza służyła innym celom, podobnych umocnień było więcej, ale później jakiś czarodziej wtopił szaniec z powrotem w kalcyt. Miało to sens. Mieszkańcy Menzoberranzan nie widzieli powodu, żeby dawać komuś z zewnątrz możliwość odparcia oblężenia.

Faeryl usadowiła się na północno-wschodniej stronie dachu. Wszędzie wokół niej jarzyły się światła domów jej zamożniejszych sąsiadów, otoczone zieloną lub fioletową poświatą. Gdyby spojrzała z pewnej odległości, zauważyłaby, że jej własna rezydencja świeci w taki sam sposób. Na szczęście blask wydobywał z mroku tylko niewyraźny zarys wieży i kilka płaskorzeźb pajaków. Jak długo trzymała się od nich z dala, siedziała cicho i miała choć odrobinę szczęścia, nikt nie powinien jej zauważyć.

Z północnego zachodu dobiegł ją cichy, nieokreślony dźwięk. Wdzięczna za to, że wciąż ma przy sobie broszę, która w razie czego pozbawi ją wagi, pobiegła cicho wzdłuż pochyłości dachu, nie czując strachu, wiedziała bowiem, że jeśli straci grunt pod nogami, nie spadnie w dół.

W kilka sekund dotarła na północno-zachodnią stronę budynku. Wyrzała poza krawędź i odkryła, że źródło dźwięku znajduje się na placu w dole.

Dwóch mężczyzn, nagich do pasa, z rapierami w jednej ręce i sztyletami służącymi do parowania ciosów w drugiej, okrążało się nawzajem. Trzymali się prosto i stąpali lekko, niczym dobrze wyszkoleni szermierze. Odrzucone piwafwi, kolczugi i koszule leżały na ziemi, obok kilku pustych bukłaków po winie. Trzeci mężczyzna przyglądał im się z wychodzącego na plac balkonu, położonego w pewnej odległości, tak że walczący prawdopodobnie nawet go nie zauważyli.

Faeryl westchnęła. Ten żywy obrazek był dość intrygujący, ale wyraźnie nie miał nic wspólnego z jej sytuacją.

Po frustrującej rozmowie z matką opiekunką Baenre uświadomiła sobie, że ma przeciwnika. Kogoś, kto ją znielawiał, być może po to, aby zapobiec jej wyjazdowi z Menzoberranzan, choć nie

potrafiła zrozumieć dlaczego. Od tego założenia niedaleko już było do podejrzenia, że nieprzyjaciel miał swojego agenta w jej domostwie. Każdy inteligentny wróg próbowałby tak to załatwić, wyjaśniałoby to też w przekonujący sposób fakt, że jej zamiar powrotu do domu został zauważony i udaremniony poprzez podszepty sączone w uszy Triel.

Trawiona żądzą przechytrzenia tych, którzy wystrychnęli ją na dudka, Faeryl wymyśliła fortel mający na celu zdemaskowanie szpiega. Zaskoczyła swoich służących rozkazem pakowania się. Zasugerowała, że będą uciekać z Menzoberranzan jeszcze tej samej nocy. Pomyślała, że lojalni wasale wykonają rozkaz, ale zdrajca spróbuje się wymknąć chyłkiem, aby donieść o planowanej ucieczce mieszkańców ambasady. Skulona na dachu zauważy go, gdy to zrobi.

Tak to w każdym razie wyglądało w teorii. Ambasador przychodziło do głowy kilka powodów, dla których plan mógł się nie powieść. Rezydencja miała wyjścia ze wszystkich czterech stron, ale ona nie była w stanie obserwować wszystkich czterech naraz, chyba że unosiłaby się wysoko nad dachem, ale to rozwiązanie było również problematyczne. Większość butów mrocznych elfów tłumiła odgłos kroków, a drowie płaszcze ukrywały właściciela. Zdrajca mógł też posiadać jakiś potężniejszy środek umożliwiający ukrycie się przed jej wzrokiem, na przykład talizman niewidzialności. Gdyby znajdowała się jeszcze wyżej nad ziemią, mogłaby w ogóle nie zauważyć ukradkowego wyjścia szpiega.

Oczywiście zdrajca mógł porozumiewać się ze swoimi współnikami poprzez jasnosłuszenie lub zakłęcie teleportacji, w którym to przypadku intryga emisariuszki byłaby z góry skazana na niepowodzenie. Siedziałaby wtedy przyklejona do dachu, dopóki nie pojawiłby się ktoś, może kompania straży Baenre, mający prawo aresztować ją i jej świętę, ale musiała podjąć próbę.

Pełzła dalej. Poniżej jeden z pojedynkujących się jęknął, gdy ostrze przeciwnika zagłębiło się w jego piersi. Niemal w tej samej chwili zamigotała i zaskwierczała magia i zwycięzca również padł na ziemię. Czarodziej, który przyglądał im się z daleka, wolnym krokiem ruszył w stronę dymiących trupów. Faeryl była ciekawa, czy ci trzej nie byli rodzeństwem, a czarodziej okazał się najmądrzejszym z nich. Kiedyś miała takiego brata, dopóki jakiś jeszcze bardziej przebiegły elf nie zmienił go w proch i nie uciekł, zabierając mu różdżki i grimuary. Niewielka strata dla domu, ale przyglądanie się zmaganiom braci było całkiem interesujące.

Nad jej głową coś trzasnęło. Spojrzała w górę. Czterech czy pięciu jeźdźców dosiadających wywerny leciało na wschód. Nad nimi wystające ze sklepienia jaskini stalaktytowe zamki świeciły własnymi zakłęciami, co jej zdaniem stanowiło o wiele bardziej uroczy widok niż maciupkie, monochromatyczne gwiazdy, którymi nakrapiane było w nocy niebo tak zwanych Krain Światła.

I wtedy, tak słabo, że nie była pewna, czy sobie tego nie wyobraziła, coś otarło się o coś. Dźwięk dobiegł z południowego zachodu.

Faeryl pospieszyła na tamtą stronę dachu i spojrzała w dół. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy była tu ostatnim razem. Być może nerwy pętały jej figle, ale wciąż patrzyła.

Okrągłe okna wycięte w murze poniżej były osłonięte ośmiokątnymi stalowymi kratami, ale jeśli drow wiedział jak, mógł odemknąć jedną z nich, aby dostać się lub wydostać z budynku drogą lewitacji. Najwyraźniej ktoś właśnie zrobił coś takiego, bo po kilku chwilach Faeryl zauważyła, że jedna z krat wykutych na podobieństwo pajęczyn jest lekko uchylona. Kierując się tym znakiem, zauważyła owiniętą płaszczem postać czmychającą ku wylotowi uliczki.

Szlachcianka z Ched Nasad była niezłą łuczniczką. Może byłaby w stanie trafić zdrajcę w plecy, ale w ten sposób nie uzyskałaby odpowiedzi na żadne z pytań. Nie miała zwoju zawierającego czar pozwalający przesłuchiwać umarłych. Musiała dogonić szpiega i wziąć kreaturę żywcem.

Odczytała zakłęcie ze zwoju, który miała, po czym zrobiła krok w pustą przestrzeń.

Tyle że dla niej nie była ona pusta. Powietrze pod jej stopami było twarde jak kamień. Zrobiła dwa kroki po równej powierzchni i, ponieważ tego chciała, niewidoczna platforma przeszła w równie niewidoczną rampę. Elfka biegiem puściła się w dół, ani przez chwilę nie obawiając się, że znajdzie się poza jej krawędzią. Gdziekolwiek postawiła stopę, pochyłość wychodziła jej na spotkanie, ponieważ właśnie tak działał ten czar.

Poruszając się zupełnie bezszelestnie, przemknęła zdrajcy nad głową, po czym myślą rozproszyła oparcie dla nóg. Z kuszą w pogotowiu spadła z wysokości kilka stóp na ziemię i wylądowała przed szpiegiem.

Zaskoczony zdrajca podskoczył. Faeryl również poczuła ukłucie zdumienia, bo choć chciała

myśleć, że nikt nie umknął jej podejrzaniom, w rzeczywistości nigdy nie przysłoby jej do głowy, że ta ściągnięta, skwaszona twarz, którą ledwo było widać spod naciągniętego głęboko kaptura, mogła być twarzą szpiega.

- Umrae - powiedziała ambasador, mierząc w elfkę z ręcznej kuszy.
- Moja pani - odparła sekretarka, składając ukłon ze zwykłą sobie sztywnością.
- Wiem wszystko, Zdrajczyni. Wcale nie zamierzam dziś wyjeżdżać. To był podstęp, chciałam tylko sprawdzić, kto się wymknie, żeby zabawić się w informatora.
- Nie wiem, o czym mówisz, pani. Chciałam tylko kupić kilka rzeczy na podróż. Myślałam, że jeśli pobiegnę szybko na bazar, znajdę jednego z kupców, którzy mają otwarte do późna, i wrócę, zanim ktoś dostrzeże moją nieobecność.

- Myślisz, że nie zdawałam sobie sprawy, że mam w Menzoberranzan wroga - kogoś, kto ma dostęp do opiekunki Baenre? Jeszcze dwie dziesiątki dni temu Triel uważała, że jestem jej wierna. Akceptowała mnie. Zgodziła się na wiele rzeczy, o które prosiłam ją w imieniu naszego ludu. Teraz nie dowierza mi. Co zaproponował ci mój wróg, żeby przeciągnąć cię na swoją stronę? Czy zdajesz sobie sprawę, że zdradzając mnie, zdradzasz samo Ched Nasad?

Skryba zastanowiła się, po czym odpowiedziała

- Ludzie matki Baenre obserwują rezydencję. Ktoś obserwuje nas w tej chwili.

- Być może - odparła Faeryl.

Umrae przełknęła ślinę.

- Więc nie możesz mnie skrzywdzić. Albo oni skrzywdzą cię.

Faeryl wybuchła śmiechem.

- Bzdura. Agenci Triel nie ujawnią się tylko po to, żeby przeszkodzić mi w ukaraniu mojej własnej służącej. Nie dostrzegą w tym niczego dziwnego czy szkodliwego dla interesów Menzoberranzan. A teraz bądź rozsądna i poddaj się.

Po kolejnej chwili milczenia Umrae powiedziała

- Daj mi słowo, że mnie nie skrzywdzisz. Że uwolnisz mnie i pozwolisz mi uciec z miasta.

- Gwarantuję ci tylko to, że twoja bezczelność z każdą chwilą coraz bardziej mnie rozwściecza i że szybka kapitulacja jest twoją jedyną nadzieją. Powiedz mi, kto cię przekabacił i dlaczego? Kto może coś zyskać, prześladowając posła, który nie bierze udziału w waśniach i rywalizacji między domami Menzoberranzan?

- Musisz mnie zrozumieć, obawiam się zdradzić ich i pozostać tutaj. Zabiją mnie, jeśli to zrobię.

- Nie będą mieli okazji. To ja celuję w ciebie zatrutą strzałą. Kto jest twoim chlebodawcą?

- Nie powiem, dopóki nie otrzymam od ciebie obietnicy.

- Twój przyjaciel obsmarował mnie przed Triel dopiero wtedy, kiedy zaczęłam się zastanawiać nad powrotem do Ched Nasad. Czy temu miało służyć to kłamstwo? Uniemożliwić mi podróż przez Podmrok? Dlaczego?

Umrae potrząsnęła głową.

- Jesteś szalona - stwierdziła Faeryl. - Po co miałabyś skazywać siebie, żeby ktoś inny mógł cieszyć się życiem? Ach, najwyraźniej nie zasługujesz na to, żeby żyć, więc chyba tak będzie najlepiej.

Demonstracyjnie wymierzyła do niej z kuszy.

- Nie! - krzyknęła Umrae. - Nie rób tego! Masz rację, po co miałabym ginąć?

- Jeśli odpowiesz na moje pytania, może nie zginiesz.

- Tak.

Trzęsąc się lekko, straciwszy zimną krew, urzędniczka uniosła dłonie do twarzy, może chcąc potrzeć czoło. Nie - aby unieść do ust małą buteleczkę!

Faeryl zwolniła mechanizm spustowy - strzał był celny, ale nim belt zdążył przesyć żołądek Umrae, ta zaczęła już zmieniać postać. Zrobiła się jeszcze chudsza, jeszcze bardziej wysuszona, ale również wyższa. Jej ciało ostygło, roztaczając wokół smród rozkładu, z łopatek wyrosły jej skórzaste skrzydła, a oczy zapadły się w głąb czaszki. Nawet jej ubrania uległy przeobrażeniu, rozmywając się i zmieniając w podarte, gnijące szmaty. Rana po zatrutym bełcie nie broczyła krwią ani nie przeszkadzała jej w najmniejszym stopniu. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby wyrwać z niej pocisk.

Faeryl była na siebie wściekła, że pozwoliła Umrae wywieść się w pole. Następnym razem będzie pamiętała, że nawet mroczna elfka pozbawiona urody, wdzięku i bystrości umysłu, pozornie sparaliżowana strachem, pozostaje wciąż drowką, czyli istotą stworzoną do tego, by zwodzić i oszukiwać.

Eliksir chwilowo zmienił Umrae w rodzaj nieumarłej istoty, pod postacią której skryba z pewnością nie była tak niezdarna jak zwykle. Gdyby Lolth nie opuściła swoich kapłanek, Faeryl mogłaby zapanować nad truchłopodobnym stworem dzięki swojej mocy, ale takie rozwiązanie nie wchodziło już w rachubę. Było też mało prawdopodobne, że któryś z jej sług zauważy, że znalazła się w opałach, i pospieszy jej z pomocą. Byli zbyt zajęci pakowaniem.

Był to bardzo niefortunny zbieg okoliczności, gdyż Umrae pod postacią skrzydlatego ghula, podobnie jak większość nieumarłych - z wyjątkiem ostatnich trupów i szkieletów ożywianych przez czarodziejów i służących im za bezmyślnych niewolników - mogła ją ciężko ranić nawet lekkim draśnięciem, a Faeryl nie miała nawet tarczy, która mogłaby się przed nią osłonić. Skąd mogła wiedzieć, że spiegi będzie posiadał tak potężny oręż?

Powłócząc nogami, Umrae zrobiła krok, po czym machnąwszy skrzydłami, skoczyła do przodu. Faeryl cofnęła się pospiesznie, upuściła bezużyteczną kuszę i rozpięła zapinkę płaszcza. Zdzierając opończę z ramion jedną ręką, drugą wyciągnęła mały adamantytowy pręt. Strzepnęła nadgarstkiem i przedmiot przeobraził się w Pocałunek Matki - osadzony na długim stylisku młot bojowy o bazaltowym bijaku, jakim kobiety z domu Zuavirr walczyły od założenia rodu. Zaczarowana broń mogła się okazać skuteczna tam, gdzie zawiódł zatruty bełt.

Faeryl musiała w to wierzyć. Nawet gdyby chciała potulnie usunąć się w bok i pozwolić Zdrajczynie odlecieć, Umrae, której myśli znalazły się zapewne pod wpływem drapieżnej postaci, którą przybrała, wyraźnie chciała walczyć, a emisariuszka nie wiedziała, jak mogłaby się jej wymknąć. Głupotą byłoby przywołanie ciemności i próba ucieczki. Pod postacią nieumarłej istoty Umrae prawdopodobnie widziałaby w mroku lepiej niż osoba, który ten mrok stworzyła. Jeszcze mniej sensu miała próba lewitacji lub wzniesienia się w górę za pomocą czaru pozwalającego chodzić w powietrzu, gdyż wystarczyło, żeby zmiennokształtna po prostu rozpostarła skrzydła i poleciała za nią.

Faeryl wymachiwała przed sobą trzymanym w wyciągniętej ręce piwafwi, aby zmylić Umrae i wykorzystać okrycie jako prowizoryczną tarczę. Nikt nigdy nie uczył Faeryl walczyć w ten sposób, ale ambasador przyglądała się wojownikom używającym tej techniki i starała się wierzyć, że jeśli potrafili to zwykli mężczyźni, wysoka kapłanka z pewnością nie będzie z tym miała żadnych problemów.

Umrae skoczyła, a Faeryl zawiązała płaszczem po płaskim łuku. Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom okrycie skrępowało Umrae ręce. Jej pazury utknęły w fałdach opończy.

Zaskoczona Umrae zawahała się, usiłując oswobodzić ręce. Faeryl zbliżyła się i wyrzuciła ostro zakończonym bijakiem młota w sam środek zmurszałego czoła służącej. Kości skruszyły się, głowa Umrae odskoczyła do tyłu. Spory kawałek lewej strony jej twarzy odpadł od czaszki.

Pewna, że już po walce, Faeryl rozluźniła się i o mały włos nie straciła przez to życia. Po transformacji Umrae była najwidoczniej w stanie znieść o wiele poważniejsze obrażenia niż normalna, żywa istota. Otworzyła pysk, ukazując długie, cienkie kły, i to, co zostało z jej głowy, wystrzeliło do przodu ponad płaszczem. Ambasador ledwo zdążyła się uchylić.

Piwafwi naprężyło się pomiędzy dwiema walczącymi elfkami, jak gdyby kobiety bawiły się w przeciąganie liny. Obie szarpnęły jednocześnie, ale Faeryl miała więcej szczęścia. Wydarła Umrae płaszcz, ale pomimo wzmacniających je zaklęć, okrycie wróciło do ambasador z długimi rozdarciemi pozostawionymi przez szpony ghula. Jeszcze kilka takich rozdarć, a stanie się bezużyteczne.

Nagłe wypuszczenie płaszcza przez ghula sprawiło też, że Faeryl zatoczyła się do tyłu. Jednym uderzeniem jątrzących się skrzydeł Umrae przyskoczyła do niej, skracając dystans. Jej szponiaste dłonie wystrzeliły do przodu.

Krzycząc z rozpacz, Faeryl zdołała zaprzeć się nogami i uchronić przed upadkiem. Zamachnęła się młotem i wyrzuciła nim w jedną z dłoni Umrae. Imitacja ghula błyskawicznie cofnęła rękę i zrezygnowała z ataku. Zamiast tego zaczęła okręgać przeciwnika. Zupełnie jak żyjąca istota potrząsnęła kilka razy poturbowaną kończyną, jak gdyby chciała uśmierzyć ból, po czym znów się nią zasłoniła.

Faeryl odwróciła się, aby cały czas mieć przed oczyma zmiażdżoną, na wpół obdartą ze skóry głowę. Jak mam powstrzymać tę istotę? - zastanawiała się ambasador. Czy mi się uda?

A niech mnie, tak!

Kiedy była dzieckiem, jej kuzyn Mernid, fechmistrz domu Zuavirr, nieżyjący już od lat, odkąd jej matka się nim znudziła, powiedział jej, że każdego przeciwnika można pokonać. Była to tylko kwestia znalezienia jego słabego punktu.

Umrae skoczyła. Ambasador po raz kolejny machnęła połamami nadwerężonej, łopoczącej tarczy.

Jedna z rąk służącej uwięzła w płaszczu. Druga przejechała ze zgrzytem po wspaniałej adamantytowej koszulce kolczej Faeryl. Dotyk skrzydlatego ghula wywołał ściskające żołądek uczucie mdłości, ale szponom nie udało się przedrzeć solidnej kolczugi.

Faeryl zamachnęła się, mierząc w pomarszczoną pierś Umrae, okrytą brudnymi, rozpadającymi się szmatami. Jeśli nie mogła zabić ghulopodobnej istoty ciosem w głowę, w takim razie jej słabym punktem musiało być serce, tak jak u wampirów. A przynajmniej miała taką nadzieję.

Ku jej zaskoczeniu Umrae nie pozwoliła jej się o tym przekonać. Wyglądało na to, że Zdrajczyni jest tak pochłonięta atakiem, że nie będzie w stanie obronić się przed ripostą. A jednak wysunęła pomarszczone ramię, przyjmując na nie uderzenie młota bojowego, po czym pochyliła się, by rozorać pazurami odsłonięte kolano Faeryl.

Cofając się szybko, emisariuszka umknęła przed potencjalnie obezwładniającym ciosem, jednocześnie wrywając płaszcz cuchnącej przeciwniczce. Okrycie zaczynało bardziej przypominać garść wstążek niż płachtę jedwabiu.

Walczące drowki znów zaczęły się okrążyć, czekając na moment, w którym przeciwniczka się odsłoni. Faeryl co jakiś czas pozwalała swojemu piwafwi opaść lub zawisnąć zapraszająco, ale Umrae okazała się za sprytna na to, żeby zaatakować wtedy i tak, jak życzyła sobie jej przeciwniczka.

Faeryl uświadomiła sobie, że dyszy ciężko i postarała się uspokoić oddech. Nie bała się - nie bała się - ale była pod wrażeniem wywołanej eliksirem waleczności swojej służącej. Potężna od chwili, w której go zażyła, w miarę upływu czasu Umrae nabierała coraz większej wprawy w korzystaniu z zapożyczonych umiejętności.

Wciąż manewrując i nie spuszczać Umrae z oczu, Faeryl wpadła w lekki trans. Zmysłem, który nie był wzrokiem, słuchem ani żadną inną zdolnością zrozumiała dla tych, którzy nigdy nie przysięgali służyć bogini, sięgnęła do bezkształtnego, a jednak nieco postrzępionego miejsca, w którym kiedyś zwykła dotykać cienia bogini.

Lolth opuściła miejsce spotkań, pozostawiając po sobie pustkę, która rwała niczym bolący ząb. Mimo to wydawało się ono odpowiednią dziedziną do pomodlenia się.

Straszliwa Królowo Pajaków, zaczęła w myślach Faeryl, błagam cię, ukaż mi się. Zwróć mi moją moc, nawet jeśli tylko na chwilę. Czy Menzoberranzan w czymś ci uchybiło? Niech i tak będzie, ale ja nie jestem jedną z jego cór. Pochodzę z Ched Nasad. Uczynь mnie taką, jaką byłem, a ja ofiaruję ci wiele żywotów niewolnika każdego dnia roku.

Nic się nie wydarzyło.

Umrae skoczyła na nią, usiłując chlasnąć ją pazurami. Faeryl odwołała z powrotem do ciała tę część swojego ducha, która szukała czegoś w próżni. Cofając się, zablokowała pazury nieumarłego stwora płaszczem i zadała kilka ciosów młotem. Nie odsunęła się wystarczająco szybko, żeby znaleźć się poza zasięgiem potwora, nie przybrała też pewnej postawy ani nie uderzyła tak mocno, jak by mogła. Chciała, żeby ghul poczuł, że zaraz złamie przeciwniczkę. Chciała, żeby Umrae natarła zbyt skwapliwie i otworzyła drogę skutecznemu kontratakowi.

Szpony Umrae świsnęły w powietrzu, odrywając strzęp płaszcza, który przypominał teraz postrzępiony ręcznik. Niespodziewanie Umrae machnęła podziurawionymi jak rzeszoto skrzydłami, przyskoczyła bliżej i uderzyła Faeryl w twarz. Szlachcianka rzuciła się w tył, a szpony przemknęły jej ułamek cala przed oczami, tak blisko, że kryjąca się w nich złośliwość odezwała się pulsującym bólem głowy.

Wszystko było jednak w porządku, a Faeryl pomyślała, że Umrae wreszcie się odsłoniła. Zrobiła krok w bok i zamachnęła się młotem o kamiennym bijaku, mierząc w żebra ghula - lecz na próżno, choć miała rację, że Umrae nie będzie w stanie zablokować ciosu rękami. Zamiast tego skryba zrobiła jeszcze krok i trzepnęła ambasador skrzydłem, odrzucając ją w bok.

Faeryl zadzwoniło w głowie, świat rozmył się we mgle. Gdy usiłowała oprzytomnieć po ogłuszającym ciosie, przez myśl przemknęło jej, jakie to niesprawiedliwe, że Umrae, która już dawno zrezygnowała z ćwiczeń, jako że nie przynosiły one żadnych efektów, rozgramia właśnie elfkę, która co każde dziesięć dni meldowała się u swojego kapitana gwardii.

Po pewnym czasie, który wydał jej się dość długi, rozjaśniło jej się w głowie. Odwróciła się, pewna, że Umrae ma właśnie zamiar zaatakować ją od tyłu. Nie miała. Ożywionego trupa nie było nigdzie widać.

Najwyraźniej Umrae wzbila się w powietrze. Czyżby wreszcie wykazała się rozsądkiem i uciekła?

Faeryl nie mogła w to uwierzyć. Umrae nienawidziła jej. Emisariuszka nie wiedziała dlaczego, ale dostrzegła to w oczach Zdrajczyni. Skoro tak, nie czmychnęłaby w momencie, w którym miała wszystkie powody uważać, że jest górą i że zaraz zada śmiertelny cios. Żaden drow by tego nie zrobił, a to oznaczało, że Umrae wciąż musi unosić się gdzieś nad głową swojej pani, gotowa runąć w dół, zaskoczyć ją i przygnieść do ziemi.

Z bijącym sercem Faeryl spojrzała w górę, ale niczego nie dostrzegła. Starła się pochwycić uchem łopot skrzydeł stwora, ale słyszała tylko nieustający przytłumiony szum miasta. Nie była tym wcale zaskoczona. Nieumarli słynęli z tego, że potrafili podkraść się chyłkiem do swoich ofiar.

Czarny pasek na mgnienie oka przeciął smugę fioletowej jasności zdobiącą wieżycę domu Vandree. Musiał to być koniuszek jednego ze skrzydeł Umrae.

Faeryl jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niebo, a potem podskoczyła, dostrzegając wreszcie Umrae. Z poszarpanym płaszczem łopoczącym między skrzydłami, przeobrażona sekretarka mknęła w dół niczym drapieźny ptak ze Świata Ponad, który nurkuje, aby wbić szpony w gryzonia.

W nadziei że Umrae nie zauważyła jej reakcji na swój widok, Faeryl nadal odwracała się na wszystkie strony, spoglądając w niebo. Kiedy poczuła poruszenie w powietrzu, a może po prostu ostrzeżenie własnego instynktu, odskoczyła w bok, odwróciła się gwałtownie i rąbnęła na odlew młotem. W tych okolicznościach miała niewielkie szanse na roztrzaskanie serca istoty, ale wiedziała, że Umrae może odczuwać ból. Być może pierwsze uderzenie było w stanie sparaliżować na sekundę nieumarłą, dając Faeryl możliwość zadania ciosu, który, o co się modliła, okazałby się śmiertelny.

Ambasador dobrze wybrała moment - bazaltowy bijak wyrzynał Umrae w bok. Pozbawiony ofiary, uderzony zniecka għul grzmotnął w gładką kamienną powierzchnię ulicy z satysfakcjonującym łomotem. Strzępy ciała odpadły od jego poturbowanego ciała, znów roztaczając w powietrzu woń zgnilizny.

Faeryl wymierzyła, wybierając miejsce na piersi Umrae, pod którym musiało znajdować się jej serce, i zadała Pocałunkiem Matki kolejny cios. Zdrajczyni przetoczyła się i podniosła na kolana. Faeryl uderzyła, a Umrae machnęła szponiastą dłonią.

Għul trafił młot bojowy w połowie zamachu, wybił go ambasador z ręki i wyrzucił w powietrze młot przekoziółkował i upadł na ziemię dziesięć stóp dalej.

Faeryl poczuła szalony impuls nakazujący jej odwrócić się i pobiec za bronią, ale wiedziała, że Umrae rozerwałaby ją na strzępy. Zamiast tego zrobiła kilka kroków do tyłu. Nieludzko wychudzona Zdrajczyni zerwała się z ziemi - wyglądała jak stos patyków samorzutnie przybierających prymitywną ludzką postać - i skoczyła na nią.

Cofając się, Faeryl zaczęła zataczać łuk, po którym planowała dojść do miejsca, w którym leżał młot. Mierząc ją wściekłym spojrzeniem, Umrae również ruszyła w bok w sposób, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że dokładnie wie, co zamierza jej pani, i nigdy na to nie pozwoli.

Arystokratka miała wciąż jeszcze jedną broń żałośnie nieodpowiednią w zaistniałej sytuacji - nóż ukryty w pasie zbierającym w talii lekką, giętą kolczugę. Złota sprzączka stanowiła rękojeść, a kiedy się za nią pociągnęło, grube adamantytowe ostrze wysuwało się na zewnątrz. Sięgnęła po niego, ale zawahała się.

Przeciwko szponom Umrae, jej zasięgowi i odporności na zadawane rany, sztylet był w gruncie rzeczy bezużyteczny - chyba że Faeryl udałoby się podejść wystarczająco blisko, by go użyć i zaatakować z zaskoczenia.

Ale jak, na pajęczynę demonów, miała to zrobić? Umrae zbliżała się bardzo szybko, bijąc skrzydłami co kilka kroków, aby je wydłużyć, i przez trzy wytrącające z równowagi kroki do tyłu Faeryl miała kompletną pustkę w głowie.

Wtedy przypomniała sobie o płaszczu, a raczej jego szczątkach, które wciąż ścisnęła w lewej ręce. Może mogłaby zasłonić się nim i dobyć noża. Piwafwi stanowiło teraz żalonną masę strzępów, a ona nie była żonglerem wprawnym w wykonywaniu zręcznościowych sztuczek, ale, do licha, jeśli niezdarna Umrae schowała w dłoni buteleczkę eliksiru tak, że jej pani tego nie dostrzegła, dopóki nie było już za późno, jej pani też mogła sobie poradzić.

Faeryl przez cały czas odruchowo wymachiwała płaszczem, żeby nie wzbudzić podejrzeń għula, kiedy już przesłoni nim talię. Jednocześnie zahaczyła palcami prawej dłoni o owalny otwór w środku sprzączki i pociągnęła. Nigdy wcześniej nie miała okazji skorzystać z tego ostatecznego środka obrony, ale przez te szesnaście lat, które upłynęły od chwili, w której pewien rzemieślnik wykonał sztylet zgodnie

z jej zaleceniami, nóż i pochwa były zawsze naoliwione, więc ostrze z łatwością wysunęło się ze środka. Przyjrzała się uważnie Umrae. Z tego, co widziała, imitacja ghula nie zauważyła, jak dobyteła sztyletu, ale wątpiła, by udało jej się go ukryć dłużej niż przez kilka sekund. Musiała szybko stworzyć sobie jakąś okazję, jeśli w ogóle miała jakąś mieć.

Udała, że się potyka. Miała nadzieję, że wypadło to naturalnie. Umrae dotknęła jej przecież, więc to, że traciła siły, mogło się wydać wiarygodne.

Ghul połknął przynętę. Skoczył do przodu i chwycił Faeryl za przedramiona. Tym razem pazury przebiły warstwę kolczugi i ich koniuszki zagłębiły się w ciele emisariuszki. Faeryl natychmiast ogarnęła fala mdłości, później następna. Dławiąc się, nie była już wcale pewna, czy uda jej się użyć noża w odpowiedni sposób. Być może właśnie podała się swemu wrogowi na tacy.

Umrae wyszczerzyła zęby na widok pozornej - lub autentycznej - bezradności Faeryl. Ambasador poczuła, jak palce urzędniczki sztywnieją, gotowe oderwać ciało od kości. Jednocześnie Umrae przyciągnęła szlachciankę jeszcze bliżej do siebie i otworzyła paszczę, by odgryźć jej głowę.

Walcząc z mdłościami i słabością, Faeryl spróbowała pchnąć ghula sztyletem. Wysiłek ten nadwerżył rękę wciąż trzymaną przez ghula i sprawił, że rany powiększyły się, a ją samą sparaliżował ból - ale zaraz potem udało jej się oswobodzić ramię. Ostrze wbiło się w wyschniętą pierś Umrae, przechodząc czysto między dwoma żebrami, i zagłębiło się aż po knykcie Faeryl.

Umrae drgnęła konwulsyjnie i odrzuciła głowę do tyłu w niemym krzyku. Ręce drgały jej spazmatycznie, grożąc rozdarciem Faeryl na strzępy, choć Zdrajczynie nie była tego świadoma. Umrae zastygła i przewróciła się na wznak, pociągając za sobą drugą drowkę.

Inaczej niż we wszystkich opowieściach, jakie Faeryl kiedykolwiek słyszała, zmiennokształtna istota nie powróciła po śmierci do swej pierwotnej postaci. Wciąż targana potwornymi mdłościami, emisariuszka leżała przez jakiś czas w cuchnących objęciach ghula. W końcu zebrała się jednak w sobie i uwolniła od szponów wbitych w jej krwawiące kończyny, po czym odczołgała się kilka stóp od skrzydlatego trupa.

Stopniowo, pomimo piekącego bólu wywołanego ranami i siniakami, poczuła się nieco lepiej. W każdym razie fizycznie. W głębi duszy rugała samą siebie za rozwiązanie, które wcale nie było zwycięstwem.

Zważywszy na to, że miała się dowiedzieć, co wie Umrae, a nie zabić ją, pokpiła sprawę już na samym początku ich spotkania. Powinna była zgodzić się na warunki Zdrajczynie, ale była zbyt rozgniewana i zbyt dumna. Powinna też była zauważyć buteleczkę i walczyć bardziej umiejętnie. Gdyby nie łut szczęścia, to ona, a nie jej eks-skrzyba, leżałaby teraz martwa na kamieniach.

Zastanawiała się, czy pobyt w Menzoberranzan nie uspił jej czujności. W Ched Nasad miała wrogów wewnątrz domu Zuavirr i poza nim, dzięki czemu pozostawała silna i bystra, ale w Mieście Pająków nikt źle jej nie życzył. Czyżby wyzbyła się przyzwyczajęń, które chroniły ją przez pierwsze sto lat jej życia? Jeśli tak, wiedziała, że będzie dla niej lepiej, jeśli szybko je sobie przypomni.

Wróg jeszcze z nią nie skończył. Jej spryt nie stępsiał i nie zaśnieźniał do tego stopnia, by zapomniawszy, jak rozwijają się te potajemne wojny przypominające partię savy - posuwały się naprzód drobnymi kroczkami, stopniowo nabierając tempa. Pierwszym ruchem jej nieznanego przeciwnika, choć jeszcze wtedy o tym nie wiedziała, było zwrócenie Umrae przeciwko Faeryl i okłamanie Triel. Ruch Faeryl polegał na schwytaniu Zdrajczynie i usunięciu jej z planszy. Gdy tylko Umrae nie stawi się na umówione spotkanie, nieprzyjaciel będzie wiedział, że pionek został zbity i przesunie następną figurę. Być może matkę. Możliwe, że wróg zasugeruje matce Baenre, że czas już wtrącić Faeryl do lochu.

Tyle że życie nie było tak naprawdę partią savy. Faeryl mogła oszukać i wykonać dwa ruchy pod rząd, co w tym wypadku oznaczało, że musi naprawdę uciec z Menzoberranzan, i to jak najszybciej, zanim wróg dowie się o śmierci swojego agenta.

Czując wywołane wysiłkiem zawroty głowy i kwaśny smak w ustach, Faeryl z trudem wstała i ociężale ruszyła rozejrzeć się za Pocałunkiem Matki. Zastanawiała się, jak dokona tego drobnego cudu.

ROZDZIAŁ 10

Ukryty pod postacią przysadzistego, ogorzałego orka o koślawej nodze, która wyraźnie czyniła go niezdolnym do służby w szlacheckim czy choćby kupieckim domu, Pharaun ugryzł na próbę swoją bułkę z kiełbaską. Nie dające się zidentyfikować mielone mięso wewnątrz bułki smakowało obrzydliwie i było zylaste, jak również zimne w środku.

- Na pajęczynę demonów! - zawołał.

- Co takiego? - zapytał Ryld.

Fechmistrz także wyglądał jak nikczemny, zabiedzony ork w brudnych łachmanach. Nie do wiary pożerał swój ohydny posiłek, nie zdradzając przy tym żadnych oznak obrzydzenia.

- Co takiego? - Mistrz Sorcere potrząsał swoją kiełbaską. - To kpina! To ohydzstwo!

Drow ruszył w kierunku kiosku winowajcy - małej, smutnej konstrukcji z kościanych pali i zwierzęcych skór - uważając na to, by nie iść za szybko. Spowijający go woal iluzji sprawiał, że wyglądał, jakby utykał, ale nie był w stanie ukryć takiej anomalii jak kulawy ork idący tak szybko jak ork o dwóch zdrowych nogach.

Właściciel, goblin o długich ramionach i płaskiej twarzy, wyjął spod kontuaru pałkę. Możliwe, że był przyzwyczajony do zażaleń. Pharaun podniósł dłoń.

- Nie mam złych zamiarów. Właściwie chciałbym pomóc.

Oczy goblina zwęziły się.

- Pomóc?

- Tak. Nawet zapłacę jeszcze jednego miedziaka za ten przywilej - powiedział, wyciągając z sakiewki miedzianą monetę. - Chcę ci tylko coś pokazać.

Kucharz zawahał się, ale zaraz wyciągnął ku niemu dłoń o brudnych paznokciach i powiedział

- Daj. Tylko żadnych sztuczek.

- Żadnych sztuczek.

Pharaun oddał goblinowi monety i ku zaskoczeniu sprzedawcy precisnął się obok kontuaru do miniaturowej kuchni. Owinął rękę połą płaszczą, wysunął rozgrzany żelazny ruszt wraz z leżącym na nim mięsem z piecyka i odłożył na bok.

- Po pierwsze - powiedział Pharaun - rozłóż węgle równomiernie na dnie piecyka. - Wziął do ręki pogrzebacz i zademonstrował jak. - Potem, choć nie mamy czasu, żeby zaczynać teraz od zera, pozwól im palić się, aż staną się szare. Dopiero wtedy zacznij piec, ale kratkę wsuń tutaj.

Umieścił ruszt nieco wyżej niż poprzednio.

- Kiełbaski pieką się dłużej - zauważył goblin.

- Spiesz ci się gdzieś? Zakładam, że kupujesz te wątpliwej jakości smakołyki gdzieś indziej i nie możesz nic poradzić na to, jak smakują, ale możesz przynajmniej rozmiękczyć je tłuczkiem, zrobić w nich kilka dziurek widelcem, żeby upiekły się od środka, a także posypać je trochę tymi przyprawami. - Pharaun wyszczerzył zęby. - Nigdy wcześniej się tym nie zajmowałeś, co? Jak to się stało zamordowałeś poprzedniego właściciela i przejąłeś interes?

Mniejszy stwór uśmiechnął się znacząco.

- Teraz nie ma to już chyba znaczenia, co?

- Chyba nie. I jeszcze jedno. Piecz kiełbaski, kiedy klient je zamawia, a nie kilka godzin wcześniej. Wcale nie są smaczne, jeśli się je upiecze, wystudzi, a potem znów podgrzeje. Życzę powodzenia.

Klepnął goblina w ramię, po czym wyszedł z budki.

- Jaki miałeś w tym cel? - zapytał Ryld, który w pewnej chwili podszedł, aby przyjrzeć się lekcji.

- Działalem w interesie publicznym - odparł czarodziej. - Staralem się uchronić Braeryn przed plagą niestrawności.

Pharaun zrównał się z przyjacielem i dwa mroczne elfy ruszyły w dalszą drogę.

- Zabawiałeś się, co było idiotyczne. Zadajesz sobie trud zmienienia nam wyglądu, po czym udajesz smakosza, ryzykując ujawnieniem swojej prawdziwej tożsamości.

- Wątpię, czy jedno małe potknięcie może nam zaszkodzić. To mało prawdopodobne, by osoby, które źle nam życzą, przesłuchały w najbliższym czasie właśnie tego przekupnia, albo zadały mu właściwe pytanie, gdyby nawet do tego doszło. Pamiętaj, jesteśmy dobrze zamaskowani. Kto mógłby przypuszczać, że ten kaleki, pokraczny stwór może być przystojnym, eleganckim czarodziejem? Choć muszę przyznać, że z twoją metamorfozą nie miałem większych problemów.

Ryld spojrział na towarzysza spode łba, po czym przełknął ostatni kęs chleba z kiełbasą.

- Dlaczego nie przeobraziłeś nas w chwili, w której opuściliśmy Tier-Breche? - zapytał. - Nieważne, chyba wiem. Szermierz nie zdradza wszystkich swoich umiejętności na samym początku pojedynku.

- Coś w tym rodzaju. Greyanna i jej słudzy widzieli nas w naszej zwykłej postaci, więc jeśli dopisze nam szczęście, nie będą się spodziewać, że wyglądamy zupełnie inaczej. Tą sztuczką nie uda nam się ich zwodzić wiecznie, ale może wystarczająco długo, żeby załatwić nasze sprawy i powrócić do spokojnego życia z dala od wielkich wydarzeń tego świata.

- Czy to oznacza, że masz jakiś nowy pomysł?

- Jeszcze nie, ale wiesz, że zdarza mi się często nagły przypływ natchnienia.

Mistrzowie znaleźli się na zatłoczonym odcinku ulicy przed czymś, co najwyraźniej było popularną karczmą, której kalcytowe ściany trzęsły się od szczekliwego zawrozenia gnolli. Pharaun nigdy dotąd nie miał okazji spacerować incognito pośród niższych warstw społecznych. Czuł się dziwnie, klucząc, zatrzymując się i lawirując, aby uniknąć zderzenia z innymi przechodniami. Gdyby znali jego prawdziwą tożsamość, usuwaliby mu się pospiesznie z drogi.

Gdy dwa drowy wyszły już prawie z tłumu, Ryld odwrócił się na pięcie i zadał szybki cios pięścią. Garbaty, łysy jak kolano stwór - możliwe, że efekt sparzenia się goblina z orkiem - zatoczył się w tył i usiadł na ziemi.

- Kieszonkowiec - wyjaśnił wojownik. - Nienawidzę tego miejsca.

- Nie czujesz nostalgii?

Ryld rzucił mu gniewne spojrzenie.

- To nie jest zabawne.

- Nie? W takim razie proszę o wybaczenie - powiedział Pharaun z drwiącym uśmiechem. - Ciekaw jestem, dlaczego ta dzielnica zawsze robi tak obskurne wrażenie, nawet w tych rzadkich przypadkach, gdy trafia się na plac albo bulwar. Cóż, to oczywiście kwestia zapachu. Nie nazywamy ich Smrodliwymi Ulicami bez powodu, ale budynki, choć w zasadzie skromniejsze niż w innych częściach miasta, wciąż zachowały te wdzięczne kształty, które nasi przodkowie wycięli z żywej skały.

Nauczyciele zatrzymali się, aby pozwolić przejść przez ulicę pająkowi o odnóżach długich jak miecze. Braeryn udzielał schronienia całym stadom tych świętych stworzeń. Święte czy nie, Pharaun przebiegł w myślach czary gotowe do rzucenia, ale stwór zlekceważył zamaskowane drowy.

- To głupie pytanie - powiedział Ryld. - Dlaczego Braeryn wydaje się plugawy? Z powodu swoich mieszkańców!

- Ale czy to wyrzutkowie naszego społeczeństwa wytworzyli atmosferę dzielnicy, czy też jej zły duch istniał tu od samego początku i zwiabił tych nędzników w swoje włości?

- Nie znam się na metafizyce - rzekł Ryld. - Wiem tylko, że ktoś powinien zrobić porządek z tymi padlinożercami.

Pharaun zachichotał.

- A co, gdybym powiedział ci, że porządki powinny mieć miejsce, kiedy ty byłeś jeszcze prostakiem?

- Nie chodzi mi o ich eksterminację - nie licząc beznadziejnych przypadków - ale dlaczego pozwalamy im gnieździć się tu we własnych brudach jak ropiejący wrzód zbierający się na powierzchni miasta? Dlaczego nie znaleźć im czegoś pożytecznego do roboty?

- Ależ oni już są pożyteczni. Status jest wszystkim, nieprawdaż? Czy nie wynika z tego, że żadna mieszkanka Menzoberranzan nie będzie zadowolona, jeśli nie będzie miała kogoś, na kogo będzie mogła spoglądać z góry?

- Mamy niewolników.

- To nie wystarczy. Opierając swoje pretensje do szacunku dla samego siebie na ich istnieniu, wyrażasz milczącą zgodę na to, że sam jesteś niewiele lepszy od niewolnika. Na szczęście tutaj, na Smrodliwych Ulicach, mieszkańcy miasta głodują, są brudni, schorowani, nie mają pieniędzy, żyją po dwadzieścia, trzydzieści osób w jednym pomieszczeniu, a jednak oficjalnie są wolni. Najskromniejszy plebejusz z Manyfolk czy nawet z Eastmyru może przy nich zdrzeć nos do góry i poczuć się dumnym.

- Naprawdę myślisz, że to dlatego opiekunka Baenre nie zarządziła oczyszczenia dzielnicy z tych szumowin?

- Jeśli to przypuszczenie wydaje ci się mało prawdopodobne, oto inne. Krążą pogłoski, że od czasu

do czasu ktoś spotyka w Braerynie samą boginię. Podobno lubi odwiedzać dzielnicę w postaci śmiertelniczki. Opiekunki mogą sądzić, że ta okolica znajduje się, w pewnym sensie, pod jej ochroną. - Czarodziej zawahał się. - Chociaż jeśli Lolth odeszła na dobre, może już nie muszą się o to martwić.

Ryld pokręcił głową.

- Wciąż trudno mi w to uwie...

Pharaun wskazał coś palcem.

- Spójrz.

Ryld odwrócił się.

Na zaokrąglonej ścianie, poniżej poziomu oczu mrocznego elfa, widniał szkic, tym razem namazany błękitną farbą. Przedstawiał trzy nakładające się na siebie owale, prawdopodobnie reprezentujące ogniwa łańcucha.

- To inny znak - zauważył Ryld. - Może hobgoblinów, ale nie potrafią podać ci nazwy plemienia.

- Nie udawaj tępaka. To to samo charakterystyczne, zuchwałe, bezcelowe przestępstwo.

- Całkiem możliwe, ale nie ma żadnego związku z naszymi poszukiwaniami.

- Tylko ograniczony umysł nigdy nie wykracza poza pragmatyzm. Dwa znaki, reprezentujące dwie rasy, wskazujące na dwóch przedstawicieli niższych ras obłąkanych w dokładnie ten sam sposób? Mało prawdopodobne, ale dlaczego jakiś artysta miałby rysować cudzy symbol?

- Zbieg okoliczności?

- Wątpię, ale na razie nie potrafię udzielić ci lepszej odpowiedzi.

- To zagadka na później, pamiętasz?

- Oczywiście.

Mistrzowie ruszyli dalej.

- Nie jesteś ciekawy - naciskał Pharaun - ile takich nabazgranych znaków minęliśmy, nawet ich nie zauważając, i co dokładnie przedstawiały?

Ignorując pytanie, Ryld wyciągnął rękę.

- Jesteśmy na miejscu.

* * *

Prowadzące do wnętrza domu drzwi z piaskowca były otwarte na oścież, najprawdopodobniej dla ochłody, bo ze środka było odczuwalne ciepło, będące efektem stłoczenia w jednym miejscu dużej ilości mieszkańców. Wydobywał się z niego również szmer wielu głosów, a także smród znacznie ohydniejszy od nieprzyjemnej woni, która wisiała nad całym Braerynem.

Ryld urodził się w podobnej norze, walczył jak demon, żeby się z niej wydostać, i czuł dziwną niechęć na myśl o wejściu do środka, jak gdyby nędza miała mu nie pozwolić uciec po raz drugi. Nie chcąc uchodzić w oczach przyjaciela za osobę bojaźliwą i niemądrą, ukrył to uczucie pod niewzruszonym wyrazem twarzy wojownika.

Za to Pharaun nie starał się ukryć niesmaku. Świńskie oczka w jego iluzorycznej twarzy łzawiły, a on sam przelatywał ślinę, bez wątpienia starając się zapanować nad atakiem nudności.

- Lepiej się do tego przyzwyczaj.

- Nic mi nie jest. Wystarczająco często odwiedzałem Braeryn, żeby mieć jakieś pojęcie o tych piekielkach, choć muszę przyznać, że nigdy nie wchodziłem do środka.

- Więc trzymaj się blisko i zostaw gadanie mnie. Nie gap się na nikogo ani nie patrz nikomu w oczy. Gotowi są wziąć to za obrazę albo wyzwanie. Jeśli to możliwe, nie dotykaj nikogo ani niczego. Połowa mieszkańców jest chora i to prawdopodobnie na coś zaraźliwego.

- Naprawdę? A w ich pałacu panuje taki zdrowy klimat! W takim razie prowadź.

Ryld zastosował się do prośby przyjaciela. Za progiem czekał zapamiętany przez niego klaustrofobiczny koszmar. Koboldy, gobliny, orki, gnolle, niedźwiedziki, hobgobliny i kilku przedstawicieli mniej pospolitych ras zajmowały każdy skrawek wolnej przestrzeni. Niektóre z tych stworzeń, o czym wojownik wiedział, były zbiegłymi niewolnikami. Inne poszły na służbę do menzoberranzańskich podróżników, którzy znaleźli je na krańcach świata, zabrali ze sobą do miasta, po czym zwolnili, nie zapewniając środków, które pozwoliłyby im wrócić do domu. Reszta była potomkami nieszczęśników należących do dwóch pierwszych kategorii.

Skądkolwiek by pochodzili, nędzarze utknęli w Braerynie, gdzie żebrali, kradli, grzebali w

śmieciami, żerowali na sobie nawzajem - często w jak najbardziej dosłownym sensie tego słowa - i najmowali się do każdej niebezpiecznej, brudnej roboty, którą ktoś chciał im zaproponować. Był to jedyny sposób, w jaki mogli przetrwać.

Ta konkretna grupa również nauczyła się żyć ściśnięta we wspólnym pomieszczeniu, które nie pozwalało im na zachowanie żadnej prywatności. Podistoty paplały, gotowały, jadły, piły, pędziły bimber, kłóciły się, drżały i jęczały trawione chorobą, niańczyły i karciły płaczące niemowlęta, grały w kości, spółkowały, wypróżniały się i, o dziwo, spały - wszystko to w zasięgu wzroku każdego, kto miał pecha spojrzeć w ich stronę.

Tak jak przypuszczał Ryld, w chwili, w której znaleźli się w środku, para twardzieli - w tym wypadku niedźwieżuków - ruszyła niemrawo w ich stronę. Obdarzone szorstkimi, zmierzwionymi grzywami i kwadratowymi, wydatnymi szczękami niedźwieżuki były największymi i najsilniejszymi goblinoidami, przewyższającymi wzrostem pozostałe stwory a także drowy. Ta para była stosunkowo dobrze odżywiona i porządnie odziana jak na standardy tego nędznego domostwa. Prawdopodobnie siłą wymuszała na pozostałych haracz.

- Nie mieszkanie tu - huknął wyższy z dwójki.

Z jego grubego karku zwisało coś, co wyglądało jak odrąbana goblinia ręka. Drowy gustowały niekiedy w podobnych ozdobach, zazwyczaj pamiątkach po znieawidzonych wrogach, ale najpierw wysyłały je do wypchania. Szkoda, że niedźwieżuk tego nie zrobił. Uniknąłby zgnilizny i smrodu padliny.

- Nie - odpowiedział Ryld, rzucając niedźwieżukowi okrojoną monetę, aby uiścić opłatę za wejście i wyjście z domu. - Przyszliśmy się zobaczyć ze Smyllą Nathos.

Zwaliste goblinoidy tylko się w niego wpatrywały, podobnie jak kilka innych stworów. Mały kobold, pokryty łuską, a poza tym nagi, zachichotał opętańczo.

Coś było nie tak, a mistrz Melee-Magthere nie wiedział co. Poczł nagłe napięcie, więc odetchnął głęboko. Nie chciał wyglądać na zdenerwowanego.

- To nie jest dom Smylli? - zapytał.

Niższy niedźwieżuk, który wciąż był niemal tak wielki jak ogr, roześmiał się.

- Nie, już nie, ale ona wciąż mieszka tu... w pewnym sensie.

- Możemy się z nią zobaczyć? - spytał Ryld.

- Po co? - zapytał niedźwieżuk z odrąbaną goblinią ręką na szyi.

Fechmistrz zawahał się. Miał zamiar powiedzieć, że on i Pharaun chcieli zasięgnąć profesjonalnej opinii Smylli, która trudniła się handlem informacjami. W zasadzie była to prawda, choć nie miało to znaczenia. Znaczenie miał fakt, że nie spodziewał się wrogiej reakcji.

Pharaun stanął obok niego.

- Smylla sprzedała naszej siostrze Iggrze sekretny sposób na włamanie się do kupieckiego skarbcza - powiedział czarodziej, wiarygodnie naśladując chrapliwy głos orka. - Na minięcie wszystkich pułapek... - Tyle że o jednej nie wspomniała, rozumiecie? Siostrzyczkę opryskał kwas, paląc ją żywcem. Powoli. Mało brakowało, a byłoby i po nas. To wina Smylli i przyszliśmy tu, żeby z nią o tym pomówić.

Niższy niedźwieżuk kiwnął głową.

- Nie tylko wy chcecie z nią odbyć podobną pogawędkę. My też, ale nie możemy suki dostać.

Pharaun przekrzywił głowę w bok.

- Jak to?

- Kilka dziesięcioleci temu - wyjaśnił niedźwieżuk z naszyjnikami z odciętej ręki - zdecydowaliśmy, że mamy dość tego, że rozstawia nas po kątach i razi nasze oczy swoimi lampami. Rzuciliśmy się na nią i pobiliśmy, ale ona cisnęła w nas jednym z tych kamieni, które powodują rozbłysk światła. Oślepił nas, a ona pobiegła na górę do swojego pokoju. - Skinął głową w stronę szczytu krętych schodów. - Nie możemy sforsować drzwi. Zamknęła je w jakiś magiczny sposób albo co.

Pharaun prychnął.

- Nie ma takich drzwi, których mój brat i ja nie potrafilibyśmy wyważyć.

Niedźwieżuki wymieniły spojrzenia. Ten mniejszy, któremu, jak zauważył Ryld, brakowało kilku dolnych zębów, wrzucił ramionami.

- Możecie spróbować - orzekł ten większy. - Ale Smylla należy też do nas. Bijcie ją, upuście jej krwi, odkrójcie z niej kawałek i zjedzcie go, ale nie możecie zatrzymać jej tylko dla siebie.

- Umowa stoi - zgodził się Pharaun.

- No to chodźcie.

Niedźwiewki przeprowadziły ich przez zatłoczone pomieszczenie i na schody, gdzie wciąż musieli kluczyć między nędzarzami, którzy się na nich rozsiedli. Po drodze na górę bydlak noszący na szyi rozkładającą się rękę włożył ją sobie do pyska i zaczął ją ssać, ciamkając przy tym głośno.

Schody kończyły się niewielkim podestem i drzwiami z piaskowca o zaokrąglonej górnej futrynie. Dwaj strażnicy - ork i gnoll o owrzodzonej psiej twarzy - siedzieli na ziemi i wyglądali na znudzonych. Zamaskowani nauczyciele ostentacyjnie zademonstrowali, że oglądają drzwi.

- Dasz radę je wyważyć? - szepnął Pharaun.

- Chociaż niedźwiewki nie były w stanie? Nie licz na to. Potrafisz otworzyć je za pomocą magii?

- Prawdopodobnie. Są magicznie zabezpieczone, więc kontrzakęcie powinno wystarczyć, ale nie chcę, żeby nasi przyjaciele widzieli, jak je rzucam. To dopiero naraziłoby na szwank wiarygodność mojego kamuflażu. Stań tak, żeby mnie zasłaniać, i spróbuj odwrócić ich uwagę.

- Dobra. - Ryld stanął w odpowiednim miejscu i spojrzął spode łba na dwa niedźwiewki. - Damy radę. Co jest w środku?

Większy niedźwiewek skrzywił się, po czym odpowiedział nieco niewyraźnie, ponieważ ohydny przedmiot trzymany w pysku zniekształcał jego słowa.

- Zawarliśmy umowę. Nie było mowy o żadnych łupach.

- Smylla zabrała skarb siostrzyczki - odparł Ryld. - Chcemy go odzyskać, a także coś ekstra, jako napiwkę.

- A niech cię diabli.

Niedźwiewek z brakami w uzębieniu sięgnął po nóż zatknięty za pas. Ryld zauważył, że to rzeźnicze narzędzie, a nie klinga przeznaczona do walki, ale do tego ostatniego celu bez wątpienia również się nadawała.

Ryld oparł dłoń na rękojeści krótkiego miecza, którym wygodniej było się posługiwać w takim ścisku.

- Chcecie walczyć, będziemy walczyć. Oderżnę ci twarz od czaszki i będę nosił jako przepaskę biodrową, ale ja i mój brat przyszlizamy tu zabić Smyllę, nie was. Porozmawiajmy. Jeśli nigdy nie otworzycie...

- Otwórzcie się - rzekł Pharaun.

Biały blask oświetlił plecy Rylda, porażone nim niedźwiewki skrzywiły się. Mrużąc oczy, wojownik odwrócił się i rzucił w stronę otwartych drzwi.

- Hej! - ryknął mniejszy niedźwiewek.

Ryld poczuł na ramieniu wielką dłoń, usiłującą go chwycić, ale była o sekundę spóźniona. Przeskoczył próg za Pharaunem i z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi.

- Musisz je przytrzymać - rozkazał czarodziej.

- Długo nie dam rady.

Pochylając się do przodu, Ryld zapał się rękami o płytę z piaskowca i napiął mięśnie.

Drzwi uchyliły się do wewnątrz. Przez ułamek sekundy stopy mrocznego elfa ślizgały się po kalcytowej posadzce, ale zaraz znalazły oparcie i Ryldowi udało się przytrzymać drzwi. Ledwo ledwo.

Tymczasem Pharaun rozejrzał się dookoła. Wydał z siebie cichy okrzyk radości, podniósł z ziemi niewielką żelazną sztabkę i założył ją na drzwi w połowie ich wysokości, tak że zachodziła na framugę. Kiedy odjął od niej rękę, zakłęcie znów działało.

- Sprytne urządzenie - rzekł czarodziej. - Możesz już puścić.

* * *

Pharaun zamknął drzwi na mechaniczne zamki, które otworzył jego czar, zatrzaskując kolejno każdy z nich. W zasadzie to zaczarowany żelazny pręt nie pozwalał goblinoidom dostać się do środka, ale czarodziej uważał, że ostrożności nigdy nie za wiele. Poza tym wydawało mu się, że wymaga tego uprzejmość.

Jednak pani domu najwyraźniej nie doceniła tego gestu.

- Wynoście się! - zaskrzeczała. - Wynoście się albo zabiję was moimi czarami!

Mistrzowie odwrócili się. Smylla Nathos oświetliła swój skąpo umeblowany pokój dwoma cienkimi mosiężnymi prętami, których końcówki żarzyły się równomiernie magicznym blaskiem. Pręty

wystawały z szyjek pokrytych skorupą wosku butelek niczym świece zatknięte w kandelabrach, które być może miały przypominać. Niewykluczone, że Smylli brakowało tradycyjnego oświetlenia stosowanego przez czarodziejów, ale nie mogła go już uzyskać.

Ona sama leżała na granicy światła - na pryczy w cieniu zalegającym daleki koniec pomieszczenia. Pharaun ledwo ją widział.

- Dzień dobry, moja pani - zaczął czarodziej, kłaniając się. - Niemożność zastosowania się do twej prośby zawstydzia mnie niezmiernie. Jednak jeśli ten dżentelmen i ja po raz drugi przejdziemy przez te drzwi, niedźwiedziki i inne istoty ich pokroju wpadną do środka, co, jak sądzę, jest właśnie tą ewentualnością, której starałaś się zapobiec.

- Kim jesteś? Nie mówisz jak ork.

- Szlachetna pani jest uosobieniem przenikliwości. W rzeczywistości jesteśmy wysoko urodzonymi drowami i przybyliśmy tu, by zasięgnąć twej rady w ważnej kwestii.

- Dlaczego przybraliście postać orków?

- Z tego samego powodu, co zwykle - by wprowadzić w błąd naszych wrogów. Czy możemy podejść bliżej? Prowadzenie konwersacji przez całą długość pokoju jest nieco uciążliwe.

Smylla zawahała się, po czym powiedziała

- Podejdźcie.

Pharaun i Ryld ruszyli w jej stronę. Za ich plecami niedźwiedziki przeklinały, pytały o coś podniesionymi głosami i waliły w drzwi.

Po zrobieniu czterech kroków czarodzieja zemdlił odór - był to wilgotny smród gangreny. Poniekąd spodziewał się czegoś takiego, ale to w żaden sposób nie czyniło zapachu łatwiejszym do zniesienia. Nawet flegmatyczny Ryld przez chwilę sprawiał wrażenie skonsternowanego.

- Wystarczy - powiedziała Smylla, a Pharaun zgodził się z nią w duchu.

Nie miał najmniejszej ochoty podchodzić bliżej do tej wyniszczonej postaci pokrytej czyrakami i nabiegłymi ropą krostami, choć zaklęcia wplecione w jego opończę oraz płaszcz i krasnoludzką zbroję Rylda prawdopodobnie potrafiły uchronić ich przed zarażeniem.

- Czy możesz nam pomóc? - zapytał Ryld.

Chora kobieta uśmiechnęła się krzywo.

- Zapłacisz mi tym wspaniałym wielkim mieczem, który nosisz przewieszony przez plecy?

Pharaun był pod wrażeniem. Iluzja nadająca jego przyjacielowi wygląd orka o świńskim ryju sprawiała, że Rozpruwacz wyglądał jak topór bojowy, ale zapadniętym, kaprawym oczom Smylli udało się przeniknąć ten aspekt kamuflażu.

Ryld pokręcił głową, kiedy otrząsnął się ze zdumienia.

- Nie, nie oddam ci miecza. Zbyt ciężko pracowałem, żeby go zdobyć, a muszę pozostać przy życiu, ale jeśli chcesz, mogę go użyć, żeby pozbyć się goblinoidów czekających za drzwiami. Mój towarzysz i ja mamy też przy sobie sporo złota.

Smylla leżała oparta o stertę poplamionych, zatęchłych poduszek, z włosami rozrzuconymi wokół głowy. Spróbowała usiąść prosto, ale zaraz zrezygnowała. Najwyraźniej był to wysiłek ponad jej siły.

- Sporo złota? - zapytała. - Czy wiesz, kim jestem, szermierzu? Czy znasz moją historię?

- Ja znam - odezwał się Pharaun. - Przynajmniej z grubsza. Działo się to wtedy, gdy wycofałem się z udziału w rozgrywkach pomiędzy wielkimi domami.

- Co wiesz? - spytała.

- Wyprawa domu Faen Tlabbar - odparł czarodziej - do Krain Światła. Polowanie na niewolników i rabunek. Kiedy - wrócili, towarzyszyła im uroczą ludzką czarodziejka i jasnowidzka - nie jako nowa branka, lecz jako gość. Dlaczego chciałaś tu przybyć? Może uciekałaś przed jakimś nieprzejednanym wrogiem, a może zafascynował cię wdzięk i wyrafinowanie mojego ludu, a także pomysł zamieszkania w egzotycznym Podmroku. Mam przecucie, że chciałaś nauczyć się magii drowów, ale to tylko spekulacja. Nikt nigdy się tego nie dowiedział. Skoro już o tym mowa, dlaczego Faen Tlabbar wyświadczyli ci tę przysługę? To jeszcze większa tajemnica. Przypuszczalnie nie byłaś komuś obojętna, albo ty też znałaś sekrety, którymi mogłaś się podzielić.

- Znalazłam sposób, by ich przekonać - rzekła Smylla.

- To oczywiste. Kiedy dotarłaś do Menzoberranzan, stałaś się użyteczna dla domu Faen Tlabbar, podobnie jak przed tobą nieprzeliczone rzesze sług niższych ras. Różnica polegała na tym, że przyznano ci pewien status, a nawet, do pewnego stopnia, spoufalono się z tobą. Opiekunka Ghenni pozwalała ci

spożywać posiłki wraz z rodziną i brać udział w przyjęciach, gdzie podobno nauczyłaś się zachowywać z wdziękiem i pewnością siebie godną drowa.

- Byłam ich maskotką - odezwała się Smylla, uśmiechając się szyderczo na to wspomnienie. - Pieskiem ubranym w sukienkę i nauczonym tańczyć na tylnych nogach. Tylko że wtedy o tym nie wiedziałam.

- Jestem pewny, że wielu postrzegało cię w ten sposób. Ale może niektórzy widzieli coś innego. Z tego, co wiem, opiekunka Ghenni zachowywała się tak, jak gdyby uważała cię za swoją podopieczną, niewiele gorszą od własnej córki, a skoro pani czwartego domu spełniała twoje zachcianki, niewiele śmiałoby poddawać w wątpliwość twoje prawo do zachowywania się jak menzoberranzańska szlachcianka. I rzeczywiście, nikt nie śmiał, dopóki Ghenni nie zwróciła się przeciwko tobie.

- Dopóki nie zachorowałam - powiedziała czarodziejka.

- Otóż to. Czy była to zwykła choroba, spowodowana może brakiem słońca, którego obecność jest czymś normalnym dla twojego rodzaju? Czy też może jakiś wróg zaraził cię za pomocą trucizny lub czarów? Jeśli tak, czy sprawcą był ktoś z domu Faen Tlabbar, kto widział w tobie rywalkę, czy też agent wrogiej rodziny, pozbawiający nieprzyjaciela cennych zasobów?

- Nigdy nie udało mi się do tego dojść. Musi to zabawnie brzmieć w moich ustach, nieprawdaż?

- Jest w tym może pewna ironia losu. W każdym razie kilka kapłanek próbowało cię uzdrowić, ale z niewiadomego powodu ich magia zawiodła, po czym Ghenni w trybie natychmiastowym wygnała cię ze swojej cytadeli.

- Prawdę mówiąc - wtrąciła Smylla - nasłała na mnie kilka trolli, niewolnych żołnierzy, którzy mieli mnie zamordować. Uciekłam przed nimi z zamku. Potem próbowałam zaproponować moje usługi innym domom, zarówno szlacheckim, jak i kupieckim, ale żadne drzwi nie chciały się otworzyć przed ludzką kobietą, która popadła w niełaskę Faen Tlabbar.

- Moja pani - rzekł Pharaun - jeśli pocieszy cię to w jakikolwiek sposób, zostałam potraktowana dokładnie tak samo jak członek naszej rasy. Żaden mroczny elf nie zniósłby obecności kogokolwiek cierpiącego na nieuleczalną chorobę. Pajęcza Królowa nauczyła nas, że słabi muszą umrzeć, a poza tym, co by było, gdyby choroba okazała się zaraźliwa?

- To żadne pocieszenie.

- Zgoda. Kontynuując. Ponieważ wszędzie indziej byłaś niemile widziana, przeniosłaś się do Braerynu. Pomimo choroby wciąż dysponowałaś pewnymi magicznymi umiejętnościami, które wykorzystywałam, aby przez zastraszenie zmusić mieszkańców tej nory, żeby oddali ci do dyspozycji jakiś kąt, gdzie mogłabyś zamieszkać i mieć trochę prywatności. Śmiem twierdzić, że nie było to proste. Potem, robiąc użytek z wieszczych rytuałów, własnych talentów psionicznych i sekretów, które odkryłaś podczas pobytu wśród Faen Tlabbar, otworzyłaś interes jako pośredniczka w handlu informacjami. Z początku tylko niższe stany korzystały z twoich usług, ale później, w miarę jak zyskiwałaś coraz większą renomę, nawet niektórzy arystokraci zaczęli zasięgać twojej rady. Nie pozwoliliśmy ci mieszkać wśród nas, ale niektórzy gotowi byli zaryzykować krótki kontakt z tobą, jeśli spodziewali się z tego tytułu jakichś znacznie większych korzyści.

- Nigdy o tobie nie słyszałem - odezwał się Ryld - ale w tej dzielnicy jesteś dość dobrze znana. Przez cały dzień zadawaliśmy pytania i więcej niż jedna osoba poleciła nam odszukać ciebie.

Drzwi huknęły wyjątkowo głośno, Ryld zerknął więc przez ramię, żeby upewnić się, czy niedźwiedziki nie dostały się do środka.

- To wszystko, co o tobie wiem - zakończył Pharaun. - Ale z gościnności twych współmieszkańców wnoszę, że rozpoczął się nowy rozdział twojego życia.

- I tak nie mogłam ich wiecznie wodzić za nos - stwierdziła Smylla. - Moje moce, zarówno magiczne, jak i psioniczne, niemal mnie już opuściły, strawione przez chorobę. Kiedyś zdobywałam informacje głównie poprzez jasnowidzenie, wieszczenie i tak dalej. W ostatnich latach wyłudzałam moje sekrety od sieci informatorów, których potem zdradzałam.

Zasuszone istota uśmiechnęła się drwiąco.

- Cóż - odezwał się Ryld - mam nadzieję, że wydobyłaś z nich ten, który chcemy poznać.

Kaszlnęła. Nie, to był śmiech.

- Nawet gdyby tak rzeczywiście było, dlaczego miałabym się nim z wami podzielić, mroczny elfie?

- Mówiłem ci już - powiedział wojownik - możemy ochronić cię przed niedźwiedzukami i i goblinami.

- Podobnie jak mój żelazny drobiazg.
- Ale jeśli tu zostaniesz, w końcu umrzesz z głodu i pragnienia.
- I tak umieram. Nie widzisz? Nie jestem starą kobietą - według waszej elfiej rachuby czasu jestem jeszcze dzieckiem! - ale wyglądam jak wiekowa wiedźma. Nie chcę tylko zginąć z rąk tych nędznych podistów. Rządziłam tu przez piętnaście lat, więc jeśli umrę poza ich zasięgiem, wygram. Rozumiesz?
- W takim razie, pani - odezwał się Pharaun - twoje życzenie samo nasuwa warunki umowy. Wyświadczyć nam tę przysługę, a my nie wpuścimy tu niedźwiedzików.
- Parsknęła z pogardą i odrzekła
- Więc wpuście ich, jeśli musicie. Nie znoszę tych bydlaków, ale was, mrocznych elfów, nienawidzę jeszcze bardziej. To wy uczyniliście mnie taką, jaką jestem. Wymieniałam z wami informacje tak długo, jak mogłam na tym coś zyskać, ale teraz, kiedy choroba wreszcie mnie zabija, możecie wszyscy iść do Otchłani, gdzie mieszka wasza bogini, i usmażyć się tam.
- Pharaun mógł odpowiedzieć, że o ile mu wiadomo, Smylla podpisała na siebie wyrok w dniu, w którym zdecydowała się zstąpić do Podmroku, ale wątpił, by przełamało to jej upór.
- Nie winię cię - powiedział, udając współczucie. Żadnego drowa nie udałoby mu się zwieść, ale choć kobieta przebywała wśród jego rasy od dziesięcioleci, wciąż mogły tlić się w niej ludzkie instynkty.
- Czasem sam nienawidzę innych mrocznych elfów. A z pewnością gardziłbym nimi, gdyby potraktowały mnie tak jak ciebie.
- Przyglądała mu się sceptycznie.
- Ale ty jeden różnisz się od pozostałych?
- Nie sądzę. Jestem dzieckiem bogini. Postępuję zgodnie z jej zasadami. Ale podróżowałem po Krainach Oglądających Słońce, gdzie dowiedziałem się, że inne rasy żyją i myślą inaczej. Rozumiem, że według standardów twojego ludu potraktowaliśm cię w odrażający sposób.
- Przez chwilę wpatrywała się w niego tak, jak gdyby nikt nie współczuł jej z żadnego powodu od czasu utraconego dawno sezonu towarzyskiego, kiedy była królową - a przynajmniej ciekawostką - przyjęć i balów.
- Myślisz, że kilka miłych słówek sprawi, że zechcę wam pomóc? - zapytała.
- Oczywiście, że nie. Nie chcę tylko, żeby zgorzknienie odebrało ci zdrowy rozsądek. Szkoda by było, gdybyś odwróciła się plecami do swego zbawienia.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Mogę cię uzdrowić.
- Kłamiesz. Jak możesz zrobić coś, czego nie potrafiły zrobić kapłanki?
- Ponieważ jestem czarodziejem. - Pharaun pstryknął palcami i rozproszył otaczającą go iluzję. - Nazywam się Pharaun Mizzrym. Może o mnie słyszałaś. Jeśli nie, z pewnością słyszałaś o mistrzach Sorcere.
- Jego słowa zrobiły na niej wrażenie, choć starała się tego nie okazać.
- Którzy nie są uzdrowicielami - powiedziała.
- Którzy są mistrzami transmutacji. Mogą zmienić cię w drowkę albo, jeśli wolisz, przedstawicielkę innej rasy. Cokolwiek wybierzemy, transformacja oczyści twoje nowe ciało z choroby.
- Skoro to prawda - zapytała - dlaczego w takim razie twój lud obawia się choroby?
- Ponieważ to lekarstwo jest dla niego nieodpowiednie. Dla drowa, członka ludu wybranego przez boginię, nie do pomyślenia jest przyjęcie na stałe postaci niższej istoty, chyba że w charakterze kary. Poza tym większość czarodziejów nie potrafi rzucić czaru wystarczająco zrećnie, by usunąć chorobę. Wymaga to pewnych umiejętności, które, na szczęście, posiadam.
- Wyszczrzył zęby.
- I wykorzystasz je, żeby mi pomóc?
- Tak naprawdę, to chcę pomóc samemu sobie.
- Wieszczka skrzywiła się, rozważając tę propozycję.
- Co mam do stracenia? - powiedziała w końcu.
- Otóż to.
- Ale najpierw musisz mnie przeobrazić.
- Nie, najpierw musimy ustalić, czy rzeczywiście posiadasz informacje, które potrzebne są mnie i mojemu towarzyszowi. Szukamy kilku zbiegłych mężczyzn pochodzących zarówno ze szlacheckich, jak i skromniejszych domów.

- Garstka drowów ukrywa się w Braerynie. Niektórzy są chorzy tak jak ja. Niektórzy zostali wypędzeni za jakiś inny występki. Kilku zrobiło sobie długi nielegalny urlop od obowiązków i krewniaczkę. Mogę ci powiedzieć, gdzie znaleźć większość z nich.
- Jestem tego pewny - rzekł Pharaun - ale przypuszczam, że mieszkają tu już od pewnego czasu, prawda? Szukamy zbiegów świeższej daty. W ostatnim czasie Menzoberranzan doświadczyło masowej migracji.
- Smylla zachmurzyła się. Po subtelnej zmianie w wyrazie jej twarzy mag poznał, że zastanawia się, czy skłamać.
- Ostatnio Braeryn odwiedza więcej elfów niż zwykle - rzekła. - Uznałam, że dają upust swoim najohydniejszym impulsom, ale z tego, co wiem, nie zatrzymali się tutaj. Jeśli nawet, nie wiem gdzie.
- Ryld westchnął. Pharaun wiedział, jak czuje się jego towarzysz. Ogólnie rzecz biorąc, czarodzieja bawiła intrygująca, tajemnicza zagadka, ale i jego zaczynał już niecierpliwić brak postępów.
- Z braku jakichkolwiek sensownych poszlak zdecydował się zaufać intuicji. Wciąż udając współczucie, ośmielił się podejść do pryczy i poklepać Smyllę po kościstym ramieniu. Kobieta jęknęła. Najprawdopodobniej od dawna nikt jej nie dotykał.
- Nie trać nadziei - rzekł Pharaun. - Może jeszcze uda nam się ubić interes. Na szczęście interesują nas też inne sprawy. Czy w Braerynie nie wydarzyło się ostatnio nic niezwykłego?
- Wieszczka po raz kolejny wybuchła chrapliwym śmiechem, który musiał sprawiać jej ból.
- To znaczy oprócz tego, że kilka dni temu te bestie zbuntowały się przeciwko mnie?
- Uważam, że to bardzo interesujące. Jak sama przyznałaś, straciłaś swoje magiczne talenty jakiś czas temu. Od tego czasu wymuszałaś na goblinach posłuch podstępem i siłą swojej osobowości, co przestało skutkować dopiero kilka dni temu. Co się zmieniło? Jak to się stało, że podistoty zdobyły się na odwagę, żeby ci się sprzeciwić? Czy zauważyłaś coś, co mogłoby to tłumaczyć?
- Hm - zaczęła Smylla - może zauważyły, że coraz bardziej podupadam na zdrowiu, ale... - Jej spękane wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. - Niezły jesteś, mistrzu Mizzrym. Uśmiechasz się do mnie, prowadzisz przyjacielską pogawędkę, poklepujesz po ramieniu, a ja zaczynam mleć ozorem. Proszę bardzo, to jest właśnie samotność. Ale dostanę lekarstwo, zanim zdradzę ci cokolwiek ważnego.
- Bardzo rozsądnie. - Pharaun wyjął z jednej ze swoich kieszeni pusty kokon. - Kim chcesz zostać?
- Jedną z was - odparła, uśmiechając się poządlawie. - Kiedyś słyszałam, jak jakiś filozof mówił, że każdy staje się tym, czego nienawidzi.
- Przebywanie w towarzystwie kogoś równie pogodnego musiało być nader przyjemne. A teraz przygotuj się. To zajmie tylko chwilę, ale może trochę boleć.
- Z większą niż zwykle starannością wyrecytował inkantację i użył pożałdowanej jedwabnej osłonki, by nakreślić w powietrzu symbol.
- Magia zatrzeszczała w powietrzu, temperatura gwałtownie spadła. Przez chwilę cały pokój falował i drżał, a potem deformacja skupiła się na pomarszczonym ciele Smylli. Ściągnęła na jej karku napięły się, kobieta wrzasnęła.
- My też chcemy się odegrać! - krzyknął zza drzwi jeden z niedźwiedzików. - Zawarliśmy umowę!
- Wrzody pokrywające ciało Smylli rozpląły się, a jej wychudzona postać wypełniła się, nabierając zdrowej smukłości. Ziemista cera ściemniała, uzyskując lśniącą czarną barwę, oczy stały się czerwone, a uszy spiczaste. Rysy jej twarzy stały się delikatniejsze. Śnieżnobiałe włosy zrobiły się grubsze, zmieniając się z kruchych i matowych w faliste i błyszczące.
- Przestało boleć - wydyszała. - Czuję się silniejsza.
- Oczywiście - rzekł Pharaun.
- Kobieta spojrzała na swoje dłonie, a potem usiadła, wstała z pryczy i spróbowała przejść kilka kroków. Początkowo poruszała się ostrożnie jak inwalidka, ale stopniowo, kiedy udowodniła już samej sobie, że nie upadnie, wahanie minęło. Po kilku sekundach chodziła, skakała i wirowała wśród łopotu swej brudnej nocnej koszuli niczym tryskająca energią dziewczynka, poddająca próbie swoje siły.
- Udało ci się! - zawołała, a szczerą, nieklamana wdzięczność w jej karmazynowych oczach świadczyła o tym, że nawet w ciele mrocznej elfki w głębi duszy jest wciąż ludzką kobietą.
- Choć było to obce jego naturze, Pharaun odczuwał satysfakcję z powodu jej uznania. Nie przetransformował jej jednak, aby pławić się w jej naiwnym sentymentalizmie, ale by uzyskać kilka odpowiedzi.
- A teraz - rzekł - odpowiedz nam, proszę.

- Oczywiście. - Wzięła oddech, aby się uspokoić i powiedziała - Uważam, że coś ośmieliło podistoty w tym domu. Co więcej, uważam, że ma wpływ na goblinoidy w całym Braerynie.
- Co to takiego? - spytał Ryld.
- Nie wiem.
- Wojownik skrzywił się.
- Jak doszłaś do tego wniosku? - zapytał Pharaun. - Zakładam, że nawet zanim zabarykadowałaś się w tym pokoju, nie mogłaś wychodzić z domu.
- Dostrzegłam zmianę w zachowaniu tych bydlaków, które tu mieszkają. Stały się pewne siebie, beczelne, wpadły w podły nastrój i gotowe są okaleczyć lub zabić z byle powodu.
- Ryld poruszył ramionami - albo zeszytywniały mu mięśnie, albo chciał ułożyć Rozpruwacza wygodniej na plecach.
- Czym takie zachowanie różni się od normalnego? - chciał wiedzieć fehmistrz.
- Smylla spojrzała na niego spoode łba.
- Wszystko jest względne. Stwory wykazywały te cechy w większym stopniu niż wcześniej, a wieści docierające do mnie spoza tych murów za każdym razem wskazywały na to, że cała dzielnica jest w równie buńczucznym nastroju.
- Pharaun skinął głową.
- Czy słyszałaś o plemiennych symbolach pojawiających się na ulicach?
- Tak - odparła. - To świadczy o jakimś szaleństwie, nie sądzisz?
- Może kilku niewolników - stwierdził Ryld. - I co z tego? Obiecałaś mojemu przyjacielowi informacje. Powiedz nam o czymś, czego jeszcze nie wiemy, i mam na myśli fakty, a nie twoje wrażenia.
- Jasnowidzka uśmiechnęła się.
- W porządku. Właśnie miałam do tego dojść. Co kilka nocy gdzieś w Braerynie odzywa się bicie w bęben, wzywające niższe warstwy na jakieś spotkanie. Znika wtedy wielu mieszkańców tego domu. Dzięki temu, co pozostało mi jeszcze z daru jasnowidzenia, wyczułam, że wielu przekrada się wówczas ulicami, by spotkać się w jednym miejscu.
- Bzdura - oświadczył Ryld. - Dlaczego żaden drowi patrol nie usłyszał sygnału i nie zbadał sprawy?
- Ponieważ - rzekł Pharaun - w mieście działają zakłęcia tłumiące dźwięki.
- Być może. - Ryld odwrócił się do Smylli. - Dokąd idą te stwory i po co?
- Nie wiem - odparła - ale skoro wróciłam do zdrowia i odzyskałam okultystyczne talenty, może mogłabym się tego dowiedzieć. - Uśmiechnęła się promiennie do Pharauna. - Będę szczęśliwa, mogąc spróbować. Wypełniłam warunki umowy, ale zdaję sobie sprawę, że nie ofiarowałam wam wiele w zamian za ten bezcenny dar, którym mnie obdarzyliście.
- Ta uwaga dotyka kwestii twojej przyszłości - rzekł czarodziej. - Nie miałabyś trudności z odzyskaniem dawnej pozycji na Smrodliwych Ulicach, ale po co żyć tak nędznie? Przydałby mi się doradca twojego kalibru. Albo, jeśli wolisz, mogę zorganizować ci bezpieczny powrót do Świata Ponad.
- Mówiąc to, ukradkiem zgiął palec lewej dłoni, wypowiadając się w niemym języku mrocznych elfów, systemie gestów równie skutecznym i wyczerpującym jak słowo mówione.
- Myślę... - zaczęła Smylla, ale urwała, wybałuszając oczy.
- Zakwiliła. Ryld wyciągnął jej z pleców krótki miecz, a ona zwała się na podłogę.
- Pomimo swoich poprzednich doświadczeń - oznajmił chudy czarodziej - nie potrafiła przestać ufać drowom. Chyba świadczy to o tym, że można zabrać człowieka ze słońca, ale nie można zabrać słońca z człowieka. - Pokręcił głową. - To już druga kobieta, którą zamordowałem sam albo przez pośrednika przez ten krótki czas, jaki upłynął od początku naszej przygody, i na zabicu żadnej z nich wcale mi jakoś szczególnie nie zależało. Czy uważasz, że kryje się za tym jakiś metafizyczny sens?
- Skąd mam wiedzieć? Rozumiem, że kazałeś mi zabić tę donosicielkę, bo karmiła nas kłamstwami.
- O nie. Jestem przekonany, że mówiła prawdę. Problem polegał na tym, że ją oszukałem. Metamorfoza tak naprawdę jej nie uleczyła. Już stłumienie objawów choroby tylko na kilka minut było dość trudne.
- Pharaun cofnął się znowu, żeby powiększająca się kałuża krwi nie zabrudziła mu butów, a Ryld wytarł krótki miecz o posłanie martwej kobiety.
- Nie chciałeś, żeby pozostała przy życiu i ze wściekłości doniosła o wszystkim Greyannie - odgadł fehmistrz.

- To mało prawdopodobne, żeby się odnalazły, ale po co ryzykować?
- Zapytałeś też Smyllę o znaki na ścianach. Ciekawość tak cię zżera, że nie mogłeś sobie odpuścić? Pharaun wyszczerzył zęby.
- Nie bądź niemądry. Jestem wzorem zdeterminowanego uporu, a pytałem, żeby posunąć naszą misję do przodu.
Ryld zerknął na drzwi i żelazną sztabę. Wciąż trzymała.
- Co ma wspólnego dziwne zachowanie goblinów z uciekinierami?
- Jeszcze nie wiem - odparł Pharaun - ale mamy do czynienia z dwiema osobliwościami mającymi miejsce w tym samym czasie i w tej samej dzielnicy. Czy dopatrywanie się związku między nimi nie ma sensu?
- Niekoniecznie. W Menzoberranzan przez cały czas zawiązywane są spiski i snute intrygi. Nie wszystkie są ze sobą powiązane.
- Zgoda. Jeśli jednak te dwie sytuacje są ze sobą związane, badając jedną, jednocześnie badamy drugą. Nie osiągnęliśmy oszałamiających sukcesów, próbując odnaleźć ślad zbiegów. Dlatego przeprowadzimy dochodzenie wśród gminu i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.
- Jak to zrobimy?
- Podążymy za biciem w bęben, ma się rozumieć.
Coś huknęło w drzwi.
- Najpierw - zauważył Ryld - musimy się stąd wydostać.
- Nic prostszego. Usunę z drzwi blokujący talizman, po czym użyję iluzji, dzięki której wtopimy się w ściany. Za kilka minut mieszkańcy wyważą drzwi. Kiedy będą zajęci maltretowaniem trupa Smylli i plądrowaniem jej dobytku, zmienimy się w goblina i wysłizniemy wśród ogólnego zamieszania.

ROZDZIAŁ 11

Patrol Quenthel już od wielu godzin przemierzał mroczne, oświetlone blaskiem świec korytarze Arach-Tinilith, aż miejsca, które dobrze znała, zaczęły wydawać się dziwne i nieco nierealne, a jej podwładnym, znużonym oczekiwaniem, zaczęły puszczać nerwy. Matka opiekunka zarządziła postój, żeby jej podkomendne odpoczęły i uspokoiły się. Zatrzymały się w małej kaplicy o ścianach pokrytych płaskorzeźbami przedstawiającymi czaszki, sztylety i pająki, gdzie pod podłogą pochowane były zmarłe dawno temu kapłanki. Po świątyni krążyły plotki, że jakaś kleryczka poderżnęła sobie w tym sanktuarium gardło, a jej duch czasem je nawiedzał, ale Baenre nigdy nie widziała zjawy, a i teraz nie było jej nigdzie widać.

Kapłanki i nowicjuszkki usiadły w ławkach. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu odezwała się Jyslin, studentka drugiego roku o twarzy w kształcie serca i srebrnymi ćwiekami w uszach.

- Może nic się nie wydarzy.

Quenthel wbiła w nowicjuszkę lodowate spojrzenie. Z buzdyganem, tarczą i w kolczudze młodsza kobieta, podobnie jak reszta grupy, wyglądała wojowniczo, ale jej zmartwione, kasztanowe oczy i lśniące, spocone czoło świadczyły o tym, że się boi.

- Dziś w nocy stawimy czoła kolejnemu demonowi - powiedziała Quenthel. - Czuję to, więc łudzenie się nadzieją, że będzie inaczej, nie ma sensu. Sugeruję, żebyś zamiast tego skupiła się na zachowaniu czujności i przypomniała sobie to, czego się nauczyłaś.

Jyslin spuściła wzrok i wyszeptwała

- Tak, mistrzyni.

- Pobożne życzenia są dobre dla tchórzy - rzekła Quenthel. - Jeśli zaczęłyście się im oddawać, to znaczy, że zabawiłyśmy tu zbyt długo. Wstawać.

Sługi Quenthel podniosły się niechętnie, kóleciska czyjejs giętkiej kolczugi zabrzączały cichutko. Mistrzyni poprowadziła swoje podopieczne dalej.

W świetle dwóch poprzednich najść i jawnej bezużyteczności osłon stworzonych przez magów z Sorcere, Quenthel postawiła Arach-Tinilith w stan pogotowia i podzieliła nauczycielki oraz studentki na ośmioosobowe oddziały. Większość z nich stała na straży w wybranych miejscach, ale kilka miało patrolować cały budynek. Kapłanka Baenre postanowiła stanąć na czele jednego z tych ostatnich.

Kazała też stworzyć magazyny oraz zbrojownię i rozdać wszystkie potężne magiczne narzędzia i całą broń, które tam wciąż składowano. Nawet studentki pierwszego roku otrzymały magiczny oręż i talizmany godne wysokiej kapłanki.

Nie żeby ten ekwipunek pomógł podnieść morale Jyslin czy innych nowicjuszek. Gdyby samą Quenthel nie targał starannie maskowany niepokój, mogłaby uznać ich posępność za zabawną. Te dziewczęta widywały demony przez całe swoje dzieciństwo. W Arach-Tinilith nawiązały z nimi nawet dość zażyłe stosunki, ale teraz po raz pierwszy podobna istota zagroziła ich bezpieczeństwu i uświadomiły sobie, że tak naprawdę nie znają wcale tych dzikich stworów.

Bez wątpienia część tych drowek była też na tyle spostrzegawcza, aby zdawać sobie sprawę, że im samym groziło stosunkowo niewielkie niebezpieczeństwo, dopóki Quenthel nie zorganizowała ich w coś na kształt swojej osobistej ochrony. Ich niezadowolenie, podobnie jak niepokój, było nieistotne. Były jej podwładnymi i miały obowiązek jej służyć.

- To gniew samej Lolth - szepnęła Minolin Fey-Branche, studentka piątego roku, nosząca włosy zaplecione w trzy długie warkoczki. Z pewnością nie chciała, żeby jej głos usłyszano na początku pochodu. - Najpierw pozbawiła nas naszej magii, a teraz nasyla na nas swoje potwory.

Quenthel okręciła się na pięcie. Wyczuwając jej wściekłość, zmije przy bacie uniosły się, wijąc się i sycząc.

- Zamknij się! - warknęła. - Możliwe, że Pajęcza Królowa poddaje nas próbie, eliminując osoby niegodne służenia jej, ale nie potępiła jeszcze całej świątyni. Nie zrobiłaby tego.

Minolin spuściła wzrok.

- Tak, mistrzyni - powiedziała bezbarwnym głosem.

Quenthel zauważyła, że pozostałe dziewczęta też nie wyglądają na uspokojone.

- Napawacie mnie wstrętem - powiedziała Baenre. - Wszystkie.

- Przepraszamy, mistrzyni - odpowiedziała Jyslin.

- Pamiętam moje własne szkolenie - rzekła Quenthel. - Jeśli któraś nowicjuszka okazała choć cień tchórzostwa czy nieposłuszeństwa, moja siostra Triel kazała jej pościć przez dziesięć dni i jeść zjełczałe odpadki przez dziesięć następnych. Powinnam zrobić to samo, ale niestety, Arach-Tinilith jest obłązione i moi ludzie muszą być silni. A więc dobrze, choć powinnym się tego wstydzić, pozwałam na kolejny odpoczynek. Napelnijcie żołądki, i lepiej, żeby dodało wam to odwagi. W przeciwnym wypadku przekonamy się, ile z was będę musiała wychłostać, zanim reszta przestanie się płaszczyć i skamleć. Chodźcie.

Poprowadziła ich do sali, gdzie kuchenne zastawiły stół. Kazała im przygotować zimną kolację i zostawić ją w różnych punktach na terenie świątyni, aby znużone strażniczki mogły pokrzepić się jedzeniem. Kucharki dobrze się spisały. Na srebrnej tacy leżały różowe i brązowe plastry steku z rothe w płowej marynacie, których aromat mógł śmiało konkurować z wszechobecnym w Arach-Tinilith zapachem kadzidła. Pozostałe tace i miseczki zawierały surowe pieczarki podane w gęstym sosie i sałatkę z pokrojonych w drobną kostkę czarnych, białych i czerwonych grzybów, podczas gdy w dzbankach podano zapewne rozcieńczone wodą wino. Quenthel miała nadzieję, że alkohol podniesie na duchu te mieszkanki świątyni, które przeraziła nieobecność Lolth i zajścia mające miejsce w ciągu dwóch ostatnich nocy. Nie chciała jednak, żeby którakolwiek z obrończyń świątyni stała się niezdarna i niesprawna.

Niektóre ze sług Quenthel rzuciły się na jedzenie, jak gdyby był to ostatni posiłek w ich życiu. Inne, prawdopodobnie równie pewne czekającego je losu, wydawały się zbyt spięte, żeby zjeść coś więcej niż odrobinę mięsa.

Mistrzynie Akademii zauważyła, że choć zamierza przeżyć tę noc, w pewnym sensie należy do tej drugiej grupy. Trochę ją mdlilo, a długie godziny irytującego oczekiwania pozbawiły ją apetytu.

No chodź, demonie, pomyślała, miejmy to już za sobą...

Istota nie odpowiedziała na jej niemą prośbę.

Uznała, że zaschło jej trochę w gardle, złowiła spojrzenie Jyslin i poleciła

- Nalej mi wina.

- Tak, mistrzyni.

Studentka drugiego roku wykonała polecenie z godną pochwałą skwapliwością. Nalała do srebrnego pucharu więcej trunku, niż nakazywałoby dobre wychowanie, ale Quenthel nie spodziewała się niczego lepszego po dziewczynie z gminu. Baenre przyjęła kielich ze skinieniem głowy i uniosła go do ust.

Wężowy bicz zwisał jej z nadgarstka przełożonego przez pętlę ze skóry wywerna, którą przesyta była rączka. Poczula dreszcz trwogi przebiegający przez psioniczną więź łączącą ją ze żmijami. W tej samej chwili węże stanęły dęba i wytrąciły jej kielich z ręki. Spojrzała na nie ze zdumieniem.

- Trucizna - powiedział Yngoth, a oczy o pionowych źrenicach błysnęły mu w łuskowych oczodołach. - Wyczuliśmy ją węchem.

Quenthel rozejrzała się wokół siebie. Jej podkomendne usłyszały oświadczenie żmii i teraz wpatrywały się z konsternacją w nią i w gady. Wydawało się, że nic im nie dolega, ale ufała żmijom i wiedziała, że długo to nie potrwa.

- Oczyszćcie się - rozkazała. - Natychmiast!

Nie zdążyły. Niemal jednocześnie poddały się działaniu toksyny - zachwiały się, zatoczyły i upadły na ziemię. Niektóre mimowolnie zwymiotowały, ale na nic się to nie zdało. Straciły przytomność tak jak pozostałe.

Quenthel z powrotem złapała za bat i rozejrzała się na wszystkie strony, każąc żmijom zrobić to samo. Zdawała sobie sprawę, że napastujące ją demony miały przywołać na myśl domeny bogini, więc prędzej czy później musiał się pojawić jakiś skrytobójca. Jednak w swej głupocie zakładała, że istota zaatakuje w jakiś oczywisty sposób, podobnie jak „pająk” i „ciemność”. Nie podejrzewała, że spróbuje ją otruć, choć w sumie ta taktyka była jak najbardziej sensowna.

Pytanie brzmiało, czy demon zrealizował już swój plan, czy też, skoro jego pierwsza sztuczka zawiodła, uderzy w jakiś inny sposób?

Gdzieś w zachodniej części świątyni rozległ się krzyk, który echo poniosło kamiennymi korytarzami. Quenthel otrzymała odpowiedź, i to taką, jakiej się spodziewała.

Serce zabiło jej szybciej, w ustach zaschło jeszcze bardziej, a ona uświadomiła sobie, że nie ma ochoty na konfrontację z tym nowym intruzem, a już na pewno nie bez wsparcia swoich osobistych

strażniczek. Była jednak panią tych sal i nie do pomyslenia było, że weźmie nogi za pas i pozwoli agresorowi panoszyć się w jej królestwie.

Poza tym gdyby uciekła, przeklęta istota prawdopodobnie i tak by ją wyśledziła.

Zostawiając swoich poległych podopiecznych rozciągniętych na ziemi wśród rozrzuconych magicznych skarbów, teraz już bezużytecznych, ruszyła w kierunku źródła dźwięku. Krzyknęła na pozostałe podwładne, by do niej dołączyły, ale nikt nie odpowiedział.

Po jakiejś minucie wkroczyła do długiej galerii, gdzie płaskorzeźby na ścianach przedstawiały historię Lolth, tak jak miała miejsce i jak została przepowiedziana: uwiedzenie Corellona Larethiana, głównego bóstwa godnych pogardy elfów ze Świata Ponad, ich zjednoczenie i jej pierwszą próbę obalenia go, odkrycie przez nią swej pajęczej postaci i zejście do Otchłani, podbój pajęczyny demonów i uznanie drowów za swój lud wybrany, oraz jej przyszły triumf nad wszystkimi bogami i zapanowanie nad całym stworzeniem.

W zwieńczonym łukiem wejściu na końcu sali pojawiła się jakaś istota. Zmieniała kolor i postać - humanoid, czworonóg, plama, czerw, pęk kolców - z sekundy na sekundę. Dojrawszy w jakiś sposób Quenthel, wydała z siebie krzyk. Brzmiał on jak drgająca, bezładna kakofonia wszelkich hałasów, jakie drowka kiedykolwiek słyszała i kilku, których nie słyszała. W pierwszym nieharmonijnym wyciu wychwyciła piskliwą melodię fletu, chrząkanie rothe, płacz dziecka, plusk wody i trzaskanie płomieni.

Quenthel zdawała sobie sprawę, jak ogromne zagrożenie stanowił ten demon, ale przez chwilę była bardziej zaskoczona niż przejęta własnym bezpieczeństwem. Trucizna wskazywała na skrytobójcę, ale demon przed nią był najwyraźniej uosobieniem chaosu.

Duch ruszył przez galerię, a ściany wokół niego wybrzuszały się, falowały i zmieniały kolor. Quenthel sięgnęła do skórzanej sakwy u pasa, wyjęła z niej zwój i wtedy coś uderzyło ją mocno w kark.

* * *

Ryld rozglądał się po pomieszczeniu. Sądząc po wpuszczonej w środek podłogi arenie, rudera służyła w innej erze jako mordownia - jeden z tych ordynarnych przybytków, gdzie chodziły mroczne elfy ze wszystkich warstw społecznych, aby na parę godzin zapomnieć o kaściei godności, żłopać spirytus i patrzeć, jak podistoty zarzynają się nawzajem w zawodach, które często ustawiano tak, by nadać im komiczny wymiar.

Innymi słowy byłoby to prymitywne miejsce według standardów eleganckiego menzoberranzańczyka, ale stało się jeszcze prymitywniejsze, gdy przejęły je goblinoidy. Ich dziesiątki, jeśli nie setki, tłoczyły się w tej ciasnocie, a smród roztaczany przez ich niedomyte ciała - każda rasa cuchnęła na swój własny charakterystyczny sposób - przyprawiał o mdłości. Głośna gadanina w ich twardych i gardłowych językach była niemal równie nieprzyjemna. Prawie zagłuszała rytmiczny łomot przenikający przez sufit, ale przecież kudłaty gnoll bijący w bęben na dachu nie grał dla tych, którzy już byli w środku, tylko po to, żeby naprowadzić pozostałych, którzy dopiero się schodzili.

Ku zaskoczeniu Rylda spora liczba zbierających się stworów przybyła spoza Braerynu. Drow zauważył proste, acz stosunkowo czyste i nieuszkodzone ubrania sugerujące Eastmyr, a nawet liberie, stalowe obroże, kajdany, ślady po uderzeniach batem i przypalaniu - stygmaty niewolników, którzy wymknęli się z zasobnych domostw swoich pań. Oczywiście ci, którzy przybyli spoza dzielnicy, nie mogli usłyszeć bębna poprzez magiczne bufory. Jakiś posłaniec musiał ich zawiadomić o zebraniu.

Wciąż w postaci orków, choć nie tych samych, które przechytrzyły niedźwieżuki, mistrzowie Tier Breche wcisnęli się w kąt, aby obserwować, co się wydarzy.

Pewny, że nikt nie usłyszy go w tym zgiełku, Ryld zbliżył głowę do głowy Pharauna i stwierdził

- Moim zdaniem to tylko zabawa.

- Zauważyłeś, żeby się bawili? - odparł Pharaun. Jego nowy świński pysk miał złamany nos i kiel. - Raczej nie. Zachowywaliby się w bardziej hałaśliwy sposób. Czekają na coś i niecierpliwą się. Przyjrzyj się tym goblinom, paplającym i pociągającym na zmianę z butelki. - Pharaun wskazał ruchem głowy trójkę brudnych, krzywonogich stworów o płaskich twarzach i niskich czołach. - Aż drżą z niecierpliwości. Jeśli po zebraniu będą wciąż wstawione, możemy poszukać pocieszenia w ich włochatych, pokracznych ramionach.

Pewny, że przyjaciel żartuje, Ryld prychnął... po czym zdał sobie sprawę, że wcale nie jest tego taki pewny.

- Mógłbyś się spoufalić z goblina?
- Prawdziwy uczony zawsze szuka nowych doświadczeń. Poza tym, jaki ma się pożytek z bycia mrocznym elfem, panem Podmroku, skoro nie wykorzystuje się w pełni niewolniczych ras?
- Hmm. Przyznaję, że mogą być nie gorsze niż kapłanki, które każą ci się przed sobą czołgać i robić dokładnie to, co...

- Cicho!

Bicie w bęben ucichło.

- Coś się dzieje - dodał Pharaun.

Ryld stwierdził, że jego towarzysz ma rację. Wśród tłumu dało się odczuć jakieś poruszenie, a wszyscy zaczęli krzyczeć

- Prorok! Prorok! Prorok!

Mistrz Melee-Magthere nie wiedział, co spodziewał się zobaczyć, ale na pewno nie postać w nijakim płaszczu i kapturze, której górna połowa ciała ukazała się nad głowami tłumu. Być może nowo przybyły wdrapał się na ławkę albo stół, a może po prostu lewitował, do czego jak najbardziej był zdolny, jako że ukochany przez niższe warstwy społeczne prorok okazał się być przystojnym drowem.

Prorok pozwolił swoim wyznawcom śpiewać i krzyczeć przez kilka minut, po czym uniosł szczupłe ręce, stopniowo uciszając wrzawę. Pharaun przysunął się bliżej Rylda.

- Możliwe, że nie jest jednym z nas - powiedział czarodziej. - Spowija go uluda podobna do naszej, ale jego zaklęcie sprawia, że każdy postrzega go w przychylnym świetle. Podejrzewam, że gobliny widzą go jako goblina, gnolle jako jednego ze swoich, i tak dalej.

- A co znajduje się pod iluzją?

- Nie wiem. To przedziwne zaklęcie. Nigdy nie spotkałem się z czymś takim. Nie potrafię go przejrzeć, ale przypuszczam, że zaraz dowiemy się, co zamierza.

- Moi bracia i siostry - odezwał się prorok.

Jego głos wywołał kolejną owację, mężczyzna odczekał więc, aż umilknie.

- Moi bracia i siostry - powtórzył. - Od momentu założenia miasta menzoberranzańscy trzymali nasze ludy w niewoli i w poniżających warunkach. Drowy zmuszają nas do pracy, dopóki nie umrzemy z wyczerpania. Torturują i zabijają nas dla kaprysu. Skazują nas na głód, chorobę i nędzę.

Słuchacze pomrukiem przyznali mu rację.

- Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie rzuca się w oczy nasza mizéria - ciągnął zakapturzony orator. - Wczoraj szedłem przez Manyfolk. Widziałem, jak mała hobgoblinica, nie licząca sobie więcej niż pięć czy sześć lat, próbowała podnieść z ulicy kawałek grzyba. Zębami! Nie mogła tego zrobić przy pomocy rąk. Jakiś drow związał je magią za jej plecami, żeby żyła i umarła jako kaleka.

Tłum warknął z oburzenia, choć inne rasy powszechnie stosowały tortury równie okrutne, acz nie tak różnorodne i pomysłowe.

- Szedłem przez Narbondellyn - podjął prorok. - Widziałem leżącego na ziemi orka, który został w jakiś sposób sparalizowany. Mroczny elf rozplatał mu pierś, odgarnął płaty skóry na bok, wyciął kilka żeber piłą i gwizdnięciem przywołał swojego wierzchowego jaszczura, aby ten pożywił się organami niewolnika, który wciąż żył. Drow powiedział swojemu towarzyszowi, że co dziesięć dni karmi w ten sposób swojego gada, żeby szybciej biegał.

Słuchacze zawyli z wściekłości. Jedna orczyca w ataku furii rozorała sobie policzki i czoło odłamkiem szkła.

Litania zbrodni wydawała się ciągnąć w nieskończoność, a Ryld zdał sobie sprawę, że stopniowo ogarnia go przedziwne uczucie. Wiedział, że nie może to być poczucie winy - żaden mroczny elf nigdy nie doświadczył tego niedorzecznego uczucia - ale może było to swego rodzaju zawstydzenie, niesmak wywołany marnotrawstwem i dziecinnością znamionującymi maltretowanie podstępem przez menzoberranzańczyków, a także chęć naprawienia tego stanu rzeczy.

Uczucie to było oczywiście zupełnie irracjonalne. Gobliny i ich pobratymcy istnieli wyłącznie po to, by służyć przyjemności drowów, a gdy doprowadziło się któregoś z nich do śmierci, łapało się lub kupowało nowego. Fehmistrz potrząsnął głową, aby odpędzić niedorzeczne myśli, po czym odwrócił się do Pharauna.

Nawet poprzez maskę orka widać było rozbawienie czarodzieja.

- Postanowiłeś naprawić swoje niegodziwe postęпки?

- Rozumiem, że ty też czujesz jego wpływ - powiedział Ryld. - Co się dzieje?

- Oracja proroka jest magicznie wzmocniona, znów w sposób, którego nie do końca rozumiem.
 - Zgoda, ale jaki cel ma to całe wyrzekanie?
 - Zakładam, że zaraz nam to powie.
- Mówca ciągnął w tym samym tonie jeszcze przez jakiś czas, doprowadzając tłum na granicę hysterii. W końcu krzyknął
- Ale tak nie musi być!
- Podistoty zawyły i przez chwilę, nim zdołał odepchnąć od siebie te uczucia, Ryld poczuł, jak jego magicznie wywołane obrzydzenie przeradza się w niepoahamowaną żądzę krwi.
- Możemy się zemścić. Odpłacić po tysiackroć za każdą krzywdę! Obalić drowy, aby były naszymi niewolnikami! Przywdziejemy jedwabie i złotogłowie, a im każemy biegać nago, będziemy spożywać soczyste mięsiwa, a ich nakarmimy odpadkami! Splądrujemy Menzoberranzan, a potem ci, którzy będą chcieli, wrócą do własnych plemion obładowani kosztownościami, a reszta będzie rządzić jaskinią!
- Mało prawdopodobne, pomyślał Ryld. Odwrócił się, żeby powiedzieć to Pharaunowi i zamrugał ze zdziwieniem. Czarodziej wyglądał tak, jak gdyby traktował tę diatribę poważnie.
- Dają upust swej nienawiści do nas poprzez fantazjowanie - wyszeptał wojownik. - Nigdy by się nie ośmielili, a nawet gdyby, zmiażdżylibyśmy ich w kilka minut.
 - Prawdopodobnie - odparł Pharaun. - Chodź, chcę mu się bliżej przyjrzeć.
- Zaczęli przeciskać się przez podnieconą ciżbę. Części słuchaczy wyraźnie nie podobało się to, że się przepychają. Ryld musiał zrzucić jednego z hobgoblinów na dno zapadniętej areny, ale nikt nie dziwił się, że chcą znaleźć się bliżej charyzmatycznego przywódcy. Pozostali robili to samo.
- Prorok kontynuował swą przemowę.
- Dziękuję wam za waszą pracę i cierpliwość, która wkrótce zostanie nagrodzona. Wieści o naszej rewolcie dotarły na każdą ulicę i uliczkę. Nasi wojownicy są wszędzie, a każdy z nich wie, co ma robić, kiedy usłyszy wezwanie. Tymczasem drowy niczego się nie spodziewają. Arogancja czyni je zbyt pewnymi siebie. Nie będą się niczego domyślać, dopóki nie będzie już za późno, dopóki nie rozlegnie się wezwanie i nie powstaniemy jak jeden mąż - dopóki ich nie spalimy.
- Ryld i Pharaun przepchali się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, jak prorok bierze do ręki pręt z piaskowca i zamacza jego koniec w oleju z glinianej butelki. Pręt stanął w żółtych, trzaskających płomieniach, jak gdyby był zrobiony z drewna, tego egzotycznego palnego materiału pochodzącego ze Świata Ponad. Mistrz Melee-Magthere zmrużył oczy, oślepiiony nagłym rozbłyskiem światła.
- Na oko bogini! - zawołał Pharaun.
 - Niczego sobie sztuczka - stwierdził Ryld - ale według twoich standardów to z pewnością nic specjalnego.
 - Nie ogień, te dwa niedźwiedziki stojące za prorokiem.
 - Jego ochroniarze, jak mniemam. Co z nimi?
 - To Tluth Melarn i pewien szewc o imieniu Alton - dwaj z naszych zbiegów. Też byli okryci iluzją, ale prostszego rodzaju. Jestem w stanie ją przejrzeć.
 - Mówisz poważnie? Dlaczego drowy, nawet zbiegowie, miałyby pomagać komuś podżegającemu do niewolniczej rewolty?
 - Może dowiemy się, jeśli pójdziemy za prorokiem i jego ludźmi, gdy stąd wyjdą.
 - Nauczyłem was, jak używać pocisków zapalających - ciągnął orator - a ja i moi przyjaciele przynieśliśmy ich całe mnóstwo. - Wskazał gestem kilka unoszących się w powietrzu skrzyń. - Weźcie je i ukryjcie aż do dnia porachunków.
- W powietrzu rozległ się przenikliwy dźwięk mosiężnego glauru. Przez chwilę zdezorientowany Ryld myślał, że to wezwanie czymkolwiek ono było - lecz zaraz dreszcz strachu, a przynajmniej jego wspomnienie, przypomniało mu, co naprawdę oznaczało granie rogu. Sądząc z zachowania goblinów, które bełkotały i rozglądały się z przerażeniem, one też to wiedziały.
- Co to? - spytał Pharaun.
 - Jesteś szlachetnie urodzony - odpowiedział Ryld, słysząc we własnym głosie nutkę rozgoryczenia.
 - Nigdy nie jeździłeś do Braerynu na polowanie, żeby masakrować każdego nieszczęśnika, który ci się akurat nawinie pod rękę?
- Czarodziej uśmiechnął się.
- Teraz, gdy o tym wspomniałeś, przypomniałem sobie, ale było to dawno temu. Coś mi mówi, że to robota Greyanny. Niezła taktyka, choć wywołała niepotrzebne zamieszanie. Kiedy osłoniłem nas iluzją,

nasi prześladowcy nie potrafili nas zlokalizować, ale wiedzieli, że nasza misja sprowadzi nas do Braerynu, więc zorganizowali polowanie. Chodzi o to, żeby cały ten zamęt wypłoszył nas z kryjóWKi i zmusił do gorączkowej ucieczki ulicami, żeby łatwiej im było nas namierzyć.

- Co więcej - dodał Ryld, upewniając się, że jego miecze łatwo wychodzą z pochew - twoja siostra daje nam wybór zachowania spowijającej nas iluzji i bycia ściganym przez naszych własnych pobratymców, albo odrzucenia jej i stawienia czoła gniewowi podistot. Tak czy inaczej, ktoś może ją wyręczyć w zabiciu nas.

Prorok wznosił ręce, prosząc o spokój i istoty uciszyły się nieco.

- Moi przyjaciele, zmuszeni koniecznością rozproszymy się za chwilę na trochę dłużej, ale zanim odejdziecie, weźcie ze sobą pociski zapalające. Gdy niebezpieczeństwo minie, podzielcie się tą bronią i wieścią o naszym spotkaniu z tymi wszystkimi, którzy nie mogli dzisiaj przybyć. Pamiętajcie o roli, jaką odgrywacie w planie, i czekajcie na wezwanie. A teraz idźcie!

Część rebeliantów, nie zwlekając dłużej, dała drapak, ale przynajmniej połowa została, aby wyjąć dzban lub dwa z unoszących się w powietrzu skrzyń.

Jeden z orków stracił w tłoku grunt pod nogami i wrzasnął, tratowany przez pozostałe goblinoidy, którym bardzo się spieszyło. Tymczasem prorok i jego ochroniarze wymknęli się drzwiami w tylnej ścianie.

- Idziemy? - zapytał Pharaun, ruszając za nimi.

- A co z Greyanną i jej myśliwymi? - zapytał Ryld.

- Zmierzymy się z nimi, jeśli będzie to konieczne, ale niech będę przeklęty, jeśli schowam się w jakiejś dziurze, pozwalając dwóm chłopcom, których odnaleźliśmy z takim trudem, zniknąć w ciemnościach.

Nauczyciele śledzili proroka i uciekinierów przez pewien czas. Trójka drowów szła szybkim krokiem, ale nie zdradzała oznak paniki. Najwidoczniej byli pewni, że uda im się uciec przed myśliwymi. Ryld był ciekaw dlaczego.

A potem noc zmusiła go do skupienia się na czymś zupełnie innym.

On i Pharaun przyczaili się koło domu, do którego granitowych drzwi frontowych dobijało się kilka wrzeszczących goblinów. Mieszkańcy, jak zwykle podczas polowań, nie chcieli ich wpuścić do środka. Nie wpuszczali nikogo oprócz stałych mieszkańców. W przeciwnym wypadku fala przerażonych uciekinierów zalewających już i tak przepelnione pomieszczenie mogła stratować lub zmiażdżyć niektórych domowników - tłum mógł też uczynić dom pociągającym celem. W przeszłości już się to zdarzało.

W końcu Ryld usłyszał, jak niewielkie stwory o długich ramionach dają za wygraną. Gobliny krzyknęły, po czym puściły się pędem. Od ich szybkich kroków zadudniła ziemia.

Ryld nie miał pojęcia, dlaczego gobliny ich atakują. Być może stwory wzięły ich za mieszkańców budynku, którzy odmówili im wstępu, a zatem odpowiednie ofiary zemsty. Może po prostu chciały się na kimś wyładować.

Nie miało to żadnego znaczenia. Bydlaki nie mogły się równać z mistrzami Tier Breche. Zabicie ich było bułką z masłem.

Ryld dobył Rozpruwacza i zastawił się, jednocześnie rejestrując zenującą, prowizoryczną broń napastników i brak pancerzy. To było tak żałosne, że następne sekundy wydawały się niemal nudne.

Dwa gobliny rozdzieliły się, próbując zająć go z boków. Zrobił krok, siekąc Rozpruwaczem w lewo, a potem w prawo. Podistoty przewróciły się. Jedna upuściła łom, który potoczył się brzękiem po ziemi, druga młot.

Dwa następne stwory o nietoperzych uszach zawahały się. Powinny były odwrócić się i uciec, bo Ryld nie mógł stać i czekać, aż zdecydują się, czy dalej walczyć. Prorok i dwaj zbiegowie z każdą chwilą oddalali się coraz bardziej.

Ciął z dołu. Goblin, tym razem posiadający krótki miecz - prawdziwą broń, a do tego pewne wyszkolenie wojskowe - uniósł go w paradzie. Nie miało to znaczenia. Rozpruwacz przeszedł przez klingę i zatopił się w torsie stwora.

Czwarty goblin, z nożem w ręku, zaszedł Rylda od tyłu. Wyczuwając jego położenie, Ryld kopnął za siebie. Potężne uderzenie butem zgruchotało kości. Kiedy mistrz się odwrócił, stwór leżał już nieruchomo na ziemi, prawdopodobnie z przetrąconym kręgosłupem.

Kiedy Ryld ogarnął wzrokiem pole walki, wytrzeszczył oczy ze zgrozy i zdumienia.

Pharaun również leżał na ziemi. Trzy gobliny pochylały się nad nim na swoich pałkowatych nogach. Jeden parchaty stwór miał krew na żelaznym kolcu, który służył mu za sztylet.

Ryld wzniósł okrzyk bojowy, skoczył ku nim i wymordował, zanim zdołały cokolwiek zrobić. Ukląkł przy przyjacielu. Pod eleganckim piwafwi olśniewająca szata Pharauna, nakłuta w dwóch miejscach, była ciemna i mokra od krwi od mostka po uda.

- Usłyszałem ich moment później niż ty - wydyszał czarodziej. - Odwróciłem się zbyt wolno.
- Nie przejmuj się - powiedział Ryld. - Wszystko będzie dobrze.
W rzeczywistości wcale nie był tego taki pewny.
- Goblin pchnął mnie między połami płaszcza. Ten mały drań zranił mnie, choć Greyanna i jej słudzy nie byli w stanie. Czy to nie głupie?

ROZDZIAŁ 12

Kiedy Quenthel zdecydowała, że przywdzieje zbroję, wykonała to z taką samą metodycznością, z jaką robiła wszystko inne. Założyła pod kolczugą i piwafwi zmyślnie wykuty adamantytowy obojczyk, pamiątkę rodową rodu Baenre, i to właśnie ten ochronny kołnierz ocalił jej życie.

Mimo to niespodziewane uderzenie w kark pchnęło ją do przodu, zmuszając do uklęknienia na jedno kolano, aż krawędź magicznego puklerza brzęknęła o posadzkę.

Przez chwilę nie mogła wyjść z szoku. Żmije syczały i hałasowały, chcąc zmusić ją do wstania, a czyniony przez nie harmider ścierał się z pomieszaniem wyciem zbliżającego się demona chaosu.

Poczuła, że coś zwisa jej z pleców, i kazała żmijom to ściągnąć. Hsiv nachylił się nad jej ramieniem, wyciągnął to coś z kółeczek kolczugi i materiału, po czym pozwolił jej przyjrzeć się rzeczy z bliska. Przedmiot pochodził z jej zbrojowni. Był to zaczarowany bełt do dwuręcznej arbalety i gdyby choć drasnął skórę mrocznej elfki, niemal na pewno by ją uśmiercił.

Quenthel pomyślała, że napastniczka miała już dość czasu, żeby ponownie załadować arbaletę. Jeśli tak, Baenre nie mogła liczyć na to, że płaszcz i kolczuga ją uratują - pierwszy bełt przebił je z łatwością.

Choć oznaczało to odwrócenie się plecami do demona, wciąż oparta jednym kolaniem o ziemię, aby stanowić mniejszy cel, obróciła się z wysiłkiem, usiłując osłonić się małą tarczą.

W samą porę. Drugi bełt uderzył z trzaskiem w puklerz. Niewyraźna, ale z pewnością kobieca postać schowała się w sklepionym przejściu, bez wątplenia po to, żeby znów załadować broń.

Wzięta w dwa ognie Quenthel pomyślała, że jeśli nie wyeliminuje szybko jednego z wrogów, zginie. Uznawszy, że drowka stanowi łatwiejszy cel, wyciągnęła w jej kierunku długi, cienki pręt.

W powietrzu przed nią zmaterializowała się kula wrzącego, zielonego witriolu, po czym pomknęła w kierunku wroga. Quenthel ledwo widziała zarys ciała schowanej we wnęce przeciwniczki, ale to wystarczyło. Nawet gdyby chybiła, magia powinna uśmiercić zabójczynię.

Zielona masa otarła się o ramię nieprzyjaciółki. Ekspłodowała, a ciemna postać podskoczyła. Kamienie wokół niej pokryła lepka substancja przypominająca klej. Quenthel uśmiechnęła się, ale przeciwniczka, najwyraźniej niezrażona otaczającą ją magią, ponownie zajęła się naciąganiem arbalety. Coś ją osłoniło, być może wrodzona drowia odporność na wrogą magię.

Wsuwając pręt za pasek, Quenthel obejrzała się przez ramię. Choć posuwał się wolnym krokiem, demon chaosu przebył już ponad połowę długości galerii, a prędkość, z jaką się poruszał, mogła w każdej chwili ulec zmianie. W końcu każdy aspekt jego istoty zmieniał się w nieprzewidywalny sposób z sekundy na sekundę.

Lecz jeśli Pajęcza Królowa była przychylna Quenthel, i skoro istota jeszcze nie przyspieszyła, Quenthel miała szansę zdążyć zadać kolejny cios wrogowi z krwi i kości. Milcząco rozkazując żmijom obserwować demona, matka opiekunka odwróciła się i odczytała zawartość cennego zwoju.

Gdy Quenthel wymówiła ostatnią sylabę, zwój znikł w kłębie pyłu, a komnatę wypełniło oślepiająco jasne światło. Mroczna elfka schowana we wnęce zatoczyła się i złapała po omacku za framugę drzwi. Dotknęła ściekającej powoli ze ściany kleistej mazi, więc szybko cofnęła palce, obdzierając je ze skóry.

Kiedy Quenthel zaczęła odczytywać kolejny zwój, powietrze wokół niej poruszyło się - powiało raz z jednej, raz z drugiej strony. W jednej sekundzie gorące, w następnej zimne podmuchy poniosły niezliczone zapachy, zarówno przyjemne, jak i odrażające. Uznała to za znak, że demon jest już bardzo blisko, a ostrzeżenie żmij potwierdziło jej obawy.

Chciała jednak skończyć z mniej groźnym wrogiem, zanim dziewczyna odzyska wzrok. Dokończyła zakłęcie i staranie wykaligrafowane litery na pergaminie zaczęły się żarzyć jak płonące węgle.

Od łokcia w dół lewa ręka nieprzyjaciółki falowała i puchła, stając się ogromnym czarnym pajakiem z zielonymi plamkami na szpeciniastym odwłoku. Wciąż połączony z resztą ciała kobiety, pajak skoczył jej do gardła i wepchnął do niego swoje szczękoczułki.

Quenthel okrzyknęła się. Demon - fiołkowo-różowy w złote kropki, a zaraz potem czerwono-błękitny pochylał się nad nią. Przez większość czasu wydawał się płaski, niczym dziura w jakimś innym, świecącym i wzburzonym wszechświecie, i tylko jego zmienny zarys pozwalał domyślać się jego kształtu. W przeciągu zaledwie kilku sekund przeistoczył się w ogromne szczypce kraba, wóz z woźnicą i

wirującą burzę pyłową. Galeria za nim przypominała tunel wyciosany w topniejącej, mieniącej się wszystkimi kolorami tęczy brei - wyjątkiem był krótki odcinek, który wydawał się nie zmieniony, dopóki Quenthel nie zauważyła, że ozdabiające go rzeźby są odwrócone do góry nogami.

Wysoka kapłanka podniosła się z trudem na nogi i zaczęła grzebać w sakwie, szukając kolejnego zwoju. Żmije wyrastające ze zwisającego jej z nadgarstka bicza wiły się i skręcały.

Demon chaosu, jeszcze przed sekundą koloru ochry, pokrył się biało-czarnymi paskami i ze zwykłego równoramiennego trójkąta przeistoczył się w ogra. Z krzykiem stanowiącym coś pośredniego między rykiem a krakaniem machnął pałką, którą właśnie otrzymał.

Quenthel przyjęła cios na puklerz. Ku swemu zaskoczeniu nie poczuła nawet najłagodszego uderzenia, ale tarcza zrobiła się niebieska, z okrągłej zmieniła się w prostokątną i stała się kilka razy cięższa niż przedtem.

Nieoczekiwany ciężar ściągnął ją z powrotem na podłogę. Przypominający załamującą się falę intruz płynął w jej stronę. Szarpnęła, ale ramię utknęło i nie mogła go uwolnić pomiędzy pasków tarczy. Zmieniając kolor z karmazynowego na brązowy nakrapiany szkarłatem, demon znalazł się w odległości kilku cali od jej stopy. But Quenthel wyparował, kapłanka poczuła w nodze kłujący ból.

Wreszcie udało jej się wyszarpnąć rękę - rzuciła się w tył i przetoczyła z chrzęstem kolczugi.

Kiedy znalazła się wystarczająco daleko od wroga, podniosła się, ale zaraz zakręciło jej się w głowie. Przez chwilę nie była w stanie zlokalizować demona, a jej umysł starał się nadać sens temu, co dzieje się wokół niej. Przybrawszy kształt klepsydry i zielononiebieski kolor, demon szybował pod sufitem, nie nad podłogą. Wciąż ją ścigał. Przeklęta istota była zmienna pod każdym względem z wyjątkiem swych uparcie morderczych zamiarów.

Wycie istoty ucichło na chwilę, po czym rozległo się znów salwą dziecięcego śmiechu. Quenthel chwyciła i rozwinęła zwój, który natychmiast zmienił się w zuchwę rothe. W powietrzu dało się wyczuć drobinki sadzy, a następny wdech, jaki zrobiła, sprawił, że zaczęły jej płonąć płuca.

Krzusząc się i potykając, wydostała się z obłoku sadzy. Mogła oddychać, choć w gardle i piersi wciąż czuła piekący żar. Przypuszczała, że gdyby wciągnęła w płuca więcej trucizny, już byłaby martwa. Trujący opar sprawił, że żmije zwisły nieruchomo z końca bicza.

Odrzuciła zuchwę, chwyciła kolejny zwój i zaczęła odczytywać potężne zaklęcie, które zawierał. Demon, przypominający teraz hybrydę smoka i wilka, wrócił na podłogę. Zbliżał się, nie poruszając nogami. Choć błękitny i złoty jak płomień, ciągnęło od niego dojmującym zimnem, które mogło odmrozić jej skórę na twarzy i sprawić, że jękając się, zepsuje recytację.

Quenthel podziękowała bogini, że jej własne studia w Arach-Tinilith nauczyły ją znosić wszelkie niewygody. Z wysiłkiem wymówiła słowa we właściwy sposób i pojawiła się przed nią czarna klinga wyglądająca jak wielki miecz pozbawiony krzyża, rękojeści i trzpienia.

Uśmiechnęła się. Unoszący się w powietrzu oręż był druzgocącym czarem znanym tylko kapłankom Lolth. Quenthel jeszcze nigdy nie widziała, żeby jakaś istota mu się oparła. Choć kamienna podłoga pod jej bosymi stopami wciąż wydawała się chłodna, koszmarny ziąb minął, a ona wciąż stała przed swoim prześladowcą, oddzielona od niego magiczną klingą.

- Wiesz, co to jest? - zapytała. - Może cię zabić. Może zabić wszystko.

Pewna, że demon słyszy jej myśli, wysłała słowa

- *Poddaj się i powiedz mi, kto cię przysłał, inaczej posiekam cię na plasterki.*

Wydzielając słodki zapach, z którym nigdy wcześniej się nie spotkała, demon chaosu wyglądający teraz jak gigantyczna żaba ruszył naprzód, telepiąc się na boki.

Świetnie, pomyślała Baenre, bądź głupi.

Kontrolując czarne ostrze myślami, kazała mu zaatakować. Ostrze rąbnęło żabę w czubek głowy, zostawiając w niej długie pionowe rozcięcie. Demon rozplaszczyl się na ziemi, brzegi rany płonęły szkarłatnym ogniem.

Intruz stał się atramentowoczarny, jednocześnie przybierając kształt kilkudziesięciu rąk rosnących na długich, liściastych łodygach, które wyciągały się i skręcały, sięgając po miecz.

Quenthel pozwoliła dłoniom uchwycić klingę i, tak jak przypuszczała, magicznie ostry obosieczny brzeszczot pociął je na kawałki, które spadły na posadzkę. Demon wydał z siebie wyjątkowo głośny wrzask, który brzmiał trochę jak rytmiczne dzwonienie młota kującego w kuźni metal. Kapłanka wzdrygnęła się, nie wiedząc, czy natężenie dźwięku było równoznaczne z okrzykiem bólu, ale miała taką nadzieję.

Demon przedzierzgnął się w miniaturową zieloną wieżę zbudowaną zgodnie z prostackim pojęciem o architekturze jakiejś pośredniej rasy. Otaczająca ją siła pociągnęła za miecz tak, jak gdyby stop był magnezem, a wyczarowana broń została wykuta z metalu. Quenthel bez trudu poradziła sobie z tym szarpnięciem, odrąbując przy okazji fragment blanku.

Wieża otworzyła się wzdłuż niczym sarkofag. Rzuciła się do przodu, połknęła miecz i znów odskoczyła w tył.

Istota zaskoczyła Quenthel, ale kapłanka była pewna, że nie ma to żadnego znaczenia. Cięcie i dźganie wroga od środka mogło się okazać jeszcze skuteczniejsze. Nakazała ostrzu zadać cios i poczuła, jak sztych wgryza się w coś, po czym psioniczna wież łącząca ją z bronią zerwała się.

Choć zaskoczyło ją to, odruchowo sięgnęła po kolejny zwój. Demon rozwinął się w niską, wijącą się czerwono-żółtą masę. W jej środku otworzyła się dziura, przez którą wypadł miecz. Broń zachowała dawny kształt, ale zmieniała kolory tak jak intruz. Quenthel wciąż nie mogła jej wyczuć umysłem.

Drowka wycofała się, klinga ruszyła za nią, a demon poszedł w jej ślady, grzechocząc i rycząc. Miecz zadawał cios za ciosem, wznosił się i opadał, podczas gdy elfka umykała przed nim w unikach. Jak na razie udawało jej się uchylać, ale miecz przeszkadzał jej i ranił ją przez samą swoją bliskość. Jej kolczuga zmieniała się w mech i rozsypała. Ciało, które moc demona usiłowała przetransformować, rwało od nagłych spazmów bólu. Na sekundę straciła czucie w jednej nodze, przez co nieomal się przewróciła. Skóra pokryła się swędzącą łuską, która zaraz znikła. Bolały ją oczy, świat rozmazywał się, stając się czarny, biały, potem szary, a później eksplodował na powrót wszystkimi kolorami. Jej własna tożsamość podlegała ciągłym zmianom. Przez jedną chwilę była ludzką szwaczką mieszkającą gdzieś w Świecie Ponad.

Pomimo wszystkich tych niepokojących zjawisk jakimś sposobem udało jej się odczytać zaklęcie ze zwoju, jednocześnie uchylając się przed promiennym ostrzem.

Nie była pewna, jak ów pergamin znalazł się w Arach-Tinilith. Wątpiła, by został zapisany przez mroczną elfkę, ponieważ zawierał czar rzadko rzucany przez drowy. Niektóre kapłanki uznałyby, że rzucenie go ubliża ich godności, ponieważ przywoływał siłę obłożoną anatimą przez ich wiarę. Quenthel wiedziała jednak, że bogini chce, aby pokonała wroga bez względu na rodzaj używanej broni, a istniało pewne prawdopodobieństwo, że to zaklęcie zadziała tam, gdzie zawiodła nawet rzekomo niepokonana klinga.

W powietrzu rozległa się czysta, harmonijna muzyka. Kapłankę otoczyło pole błękitnawej poświaty. Wewnątrz niej widziała nieuchwytnie geometryczne figury, które obracały się wokół siebie, tworząc zawile symetryczne wzory.

Chłodny blask wyrażał potęgę porządku i prawa, antytezą chaosu. Miecz, który stał się przedłużeniem woli demona, zastygł wewnątrz niego niczym owad w bursztynie - demon również zmarł. Przynajmniej na chwilę. Stwór zaczął się bardzo powoli przesuwac do przodu, usiłując wyzwolić się spod władzy unieruchamiającego go czaru.

Mistrzynie Arach-Tinilith w zasadzie była również istotą chaosu, ale istotą śmiertelną i pochodzącą z planu materialnego, więc zaklęcie nie miało nad nią władzy. Okręciła się na pięcie i co sił w nogach pobiegła do leżącego w drzwiach ciała. Poruszała się jeszcze tylko jego pajęczna część, przezuwająca z mlaskaniem resztę.

Martwą dziewczyną okazała się być Halavin Symryvvin, która, o dziwo, miała na tyle rozsądku, żeby przed atakiem zdjąć swą krzykliwą, pobrzękującą biżuterię. Zważywszy na obolałe, okaleczone dłonie Quenthel, nowicjuszka całkiem nieźle poradziła sobie z arbaletą.

Wyższa kapłanka pochyliła się, żeby podnieść broń i kołczan, w którym została reszta zaczarowanych bełtów. Poruszała się ostrożnie, a pożywiający się pajęczak nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Odwróciła się, nałożyła bełt i strzeliła. Trafiony demon, choć niemal całkowicie unieruchomiony, zadrżał, ale nie zginął.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby mu uciec, kiedy tak tkwił w pułapce, zwołać lojalne podkomendne, które nie brały udziału w spisku i podjąć walkę z demonem na czele drużyny, tak jak pierwotnie zamierzała. Po wstrząsających wydarzeniach kilku ostatnich minut pomysł ten wydawał się atrakcyjny.

Ale po tym, co przeszła, chciała sama nauczyć tego robaka, czym kończy się molestowanie duchownych Lolth. Poza tym musiała zachować pozory siły. Strzelała więc tak szybko, jak pozwalał na

to mechanizm spustowy arbalety. Demon zbliżał się do niej cal za cal, jak gdyby był zrobiony z na wpół wystudzonej magmy.

Zostały jeszcze cztery bełty, potem trzy. Nacisnęła spust, bełt trafił demona w sam środek rogatego, trójkątnego czoła i istota znikła.

Wciąż słyszała głos demona, ale wiedziała, że to dlatego, iż krzyczał długo i głośno. Potrząsnęła głową, starając się uciszyć fantomowy dźwięk, i dostrzegła kolejny cień przyglądający się jej z pewnej odległości.

- Ty! - krzyknęła, naciągając arbaletę, aby nałożyć przedostatni bełt. - Chodź tutaj!

Elfka czmychnęła. Quenthel rzuciła się za nią w pogoń, ale brakło jej tchu po walce z demonem, więc ścigana zdołała oddalić się i zniknąć.

Baenre szła przez przypominające labirynt komnaty i korytarze, aż wreszcie za którymś zakrętem wpadła prosto na trzy swoje podwładne. Bogini jedna wiedziała, jakie były ich prawdziwe uczucia, ale w konfrontacji z gotową do strzału arbaletą i oczywistym faktem, że choć jej ekwipunek uległ zniszczeniu, ona sama wyszła z pojedynku bez szwanku, pospiesznie zaszalutowały.

- Zabiłam intruza, który wdarł się dziś w nocy do świątyni - powiedziała - a także wroga pochodzącego ze świątyni. Co wiecie o naszej sytuacji? Czy ktoś jeszcze zginął?

- Nie, mistrzyni - odparła jednak z kapłanek. - Opuszczona zasłona hełmu zwieńczonego pająkiem całkowicie ukrywała jej twarz, ale po głosie Quenthel poznała Quave, jedną ze starszych nauczycielek. - Większość tych, które zjadły skażony posiłek, właśnie się budzi. Myślę, że trucicielka nie chciała nas zabić, a tylko sprawić, żebyśmy na jakiś czas straciły przytomność.

- Najwyraźniej - stwierdziła Quenthel - chciała pozwolić demonowi zadać mi ostateczny cios. Co z tymi, które spotkały tę istotę przede mną?

Quave zawahała się.

- Kiedy starały się go powstrzymać, zranił je, ale nie uśmiercił. Również powinny wrócić do siebie.

- Dobrze - powiedziała Quenthel, choć świadomość, że była jedynym celem nieznanego wroga, nie uradowała jej bynajmniej.

- Co rozkażesz, mistrzyni? - spytała Quave.

- Musimy oddzielić żywych od umarłych, a potem zająć się jak należy jednymi i drugimi. Poszukamy też miejsca, przez które dostał się tu demon, i zabezpieczymy je.

Wykonanie tych zadań bez wątpienia zajmie jej resztę nocy, ale wiedziała, że musi w jakiś sposób zapobiec najściom, a także zażegnać jeszcze jeden kryzys.

Zapowiadał się pracowity dzień, którego wynik był na tyle niepewny, że świadomość tego zdołała przygnębić nawet wysoką kapłankę. Jednak humor poprawił się jej nieco, gdy żmije zaczęły się poruszać.

* * *

- Mam eliksir uzdrawiający - powiedział Ryld. Drow wydobyl z sakwy mały cynowy flakonik, odkorkował go i przyłożył Pharaunowi do ust. Czarodziej wypił całą jego zawartość.

- Czuję się nieco lepiej - powiedział po chwili Pharaun. - Ale wciąż jest niedobrze. Wciąż krwawię. Chyba też wewnętrznie. Masz go jeszcze trochę?

- Nie.

- Szkoda. Mały, paskudny goblin mi to zrobił. Nie mogę w to uwierzyć.

- Możesz chodzić? - spytał Ryld.

Pharaun musiał się stąd ruszyć albo trzeba będzie jakoś go stąd zabrać. Nie mógł tak sobie leżeć na ulicy, nie w Braerynie, nie w noc polowania. Było to zbyt niebezpieczne.

- Może. - Mag spróbował podnieść się na rękach, ale zaraz osunął się z powrotem na ziemię. - Ale raczej nie.

- Poniosę cię - zaproponował Ryld.

Wziął maga na ręce i prosząc, żeby mag uczynił to samo, przywołał moc insygniów swojego domu. Powoli unieśli się w powietrze, a potem opadli na jeden z dachów.

Roztaczający się z dachu widok nie był pokrzepiający. Ulicami i uliczkami Braerynu biegały wrzeszczące podistoty, ścigane przez pokrzykujących jeźdźców. Mroczne elfy mordowały gobliny pchnięciem lancy, ciosem miecza albo po prostu tratowały je pazurastymi łapami swoich jaszczurów. Masakrowanie ofiar najwidoczniej bardzo je bawiło. Jednak niektóre nie miały oporów przed

wypuszczeniem bełtu z kuszy lub wyczarowaniem magicznego wybuchu.

Jeszcze inne drowy krążyły nad dzielnicą na skrzydłoniach, wyvernach i innych skrzydlatych wierzchowcach. Ryld widział, że z każdej strony zagraża im niebezpieczeństwo.

Wojownik oparł Pharauna o coś w rodzaju fasady, w nadziei, że osłoni go przed wzrokiem latających myśliwych.

- Jest źle - orzekł szermierz. - W polowaniu uczestniczy wiele drowów. Nie ma jak się wydostać z dzielnicy.

Czarodziej nie odpowiedział.

- Pharaun!

- Tak - westchnął przyjaciel. - Wciąż jestem przytomny. Ledwo ledwo.

- Przyczaimy się tutaj, dopóki polowanie się nie skończy. Ukryję nas pod plamą mroku.

- Może...

Pharaun stęknął i zachwiał się. Ryld przytrzymał go w obawie, że stoczy się z dachu. Kiedy atak minął, twarz Mizzryma wydawała się wychudzona i ściągnięta jak nigdy przedtem. Ze zranionego żołądka sączyła się obficie krew.

- To na nic - stwierdził Ryld. - Musimy wymyślić coś innego. Jeśli nie dostaniesz więcej eliksiru, umrzesz.

- To byłaby... straszliwa tragedia... ale...

- W Braerynie pełno dziś mrocznych elfów. Któryś z nich z pewnością ma przy sobie jakąś magię uzdrawiającą. Muszę mu ją, albo jej, tylko odebrać. Oto mrok.

Ryld dotknął dachu i wyczarował cień, który przykrył mistrza Sorcere i niewiele więcej. Efekt był na tyle miejscowy, że istniała szansa, iż przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy ciemniejszego miejsca. Fehmistrz wstał i puścił się biegiem. Gdy tylko było to możliwe, biegł po dachach, skacząc z jednego na drugi. Jednak dość często domy były od siebie sporo oddalone, więc musiał zeskakiwać na dół i przemykać się ulicami, gdzie trwała rzeź.

W takiej właśnie chwili dostrzegł kolejną grupę myśliwych. Niestety była zbyt liczna, żeby mógł stawić jej czoła. Musiał się ukryć. Skulony przy ziemi patrzył, jak dosiadający jaszczura mag wrzuca do okna jednego z domów żółtą iskrę. Pomieszczenie za oknem eksplodowało z hukiem żółtymi płomieniami. W chwilę po tym, jak ogień zgasł, zaczęły się wrzaski. Ryld wzdrygnął się. W wieku sześciu lat przeżył identyczną masakrę i poważnie poparzony przeleżał wiele godzin przygnieciony zwęglonymi, cuchnącymi ciałami - martwymi, należącymi do szczęściarzy, i żywymi, wciąż skamlącymi i drgającymi w bezradnej agonii.

Ale to nie on został tej nocy poparzony albo przygnieciony. Splunął, odpychając od siebie nieprzyjemne wspomnienia. Rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nikt na niego nie patrzy, po czym opuścił schronienie i uniósł się w powietrze.

Popędził stromym dachem pokrytym rytami w kształcie pajęczyn, a także, jak zauważył, oszpeconym kolejnym symbolem jakiejś rasy. Nagle wyczuł coś z tyłu nad sobą, więc obrócił się. Pośliznął się i przez chwilę lewitował, zanim nie znalazł oparcia dla stóp pomiędzy płaskorzeźbami.

Gdy spojrział w górę, dostrzegł wielkiego czarnego konia galopującego przez przestworza z taką samą łatwością, z jaką zwykłe konie ze Świata Ponad potrafiły biec przez pole. Ogień trząskał wierzchowcowi wokół kopyt i bił z nozdrzy. Dosiadający go mroczny elf trzymał w dłoni sejmitar, ale nie próbował złożyć się do ciosu. Najwyraźniej liczył na swojego demonicznego wierzchowca, ale czemu nie? Jaki goblinoid mógł się oprzeć widmu?

Ryld zamarł, jak gdyby rzeczywiście był nieszczęsną istotą sparaliżowaną strachem. Oszacował prędkość, z jaką zbliżał się potwór. W ostatniej chwili, chcąc zaskoczyć widmowego konia i jego pana, błyskawicznym ruchem dobył Rozpruwacza i ciął.

I chybił. Jakimś cudem demon wyhamował i ostrze go nie dosięgło.

Widmo, drobiaz ognistymi kopytami osiemnaście cali nad dachem, parsknęło. Z jego nozdrzy buchnął gęsty, gorący, cuchnący siarką dym, który otoczył Rylda, kłując go w oczy i niemal oślepiając. Wojownik bardziej usłyszał, niż zobaczył, jak czarny stwór rzuca się na niego, kłapiąc gadzimi kłami, i zrobił krok w tył. Ten ruch ocalił mu życie, ale kiedy sam zaatakował, widmo również było już poza jego zasięgiem.

Przez śmierzdzący opar udało mu się dostrzec, że piekielny koń zawraca. Wierzchowiec znów skoczył na wojownika, tym razem stając dęba, aby stratować go przednimi kopytami. Ryld kucnął i

uniósł Rozpruwacz. Trafiał wierzchowca w pierś i przez chwilę myślał, że się go pozbył, ale stwór, wierząc jak szalony, podfrunął w górę, zanim ostrze zdołało wejść głębiej.

Następne kilka sekund było trudne. Ryld ledwie widział przeciwnika, podczas gdy widmo widziało go zupełnie wyraźnie. Fechmistrz obracał się chwiejnie na kalenicy dachu, co w każdej chwili groziło utratą równowagi, podczas gdy latający koń mógł manewrować bez żadnych ograniczeń. Aby uczynić życie jeszcze ciekawszym, jeździec zaczął wymachiwać swoją zakrzywioną szablą. Na szczęście podobnie jak większość mieszkańców Podmroku nie miał pojęcia, jak walczyć konno. Jednak wciąż stanowił pewne zagrożenie.

Ryld chciał zakończyć starcie, zanim ktoś odkryje kryjówkę Pharauna. Niestety, w obecnej sytuacji fehmistrz widział tylko jedno rozwiązanie, a to było ryzykowne. Kiedy demon ponownie stanął dęba, pozwolił, by jedno z gorejących kopyt uderzyło go w pierś.

Krasnoludzki napierśnik zadzwonił, ale wytrzymał. Cios był wyjątkowo bolesny, ale ani nie połamał mu żeber, ani go nie obezwładnił. Ryld poleciał do tyłu, spadł z hukiem na wschodni spad dachu i zaczął się staczać w dół. Kopiąc i drapiąc, negując własny ciężar, zdołał uchwycić się czegoś i odwróciwszy się, przybrał niską postawę bojową.

Widmo pędziło na niego, by z nim skończyć. Ryld zawinął Rozpruwaczem i tym razem demon był zbyt pochłonięty atakiem, żeby wyhamować w pełnym biegu. Rozpruwacz ciął go przez szyję, niemal odrabując mu łeb o błyszczących, szkarłatnych ślepiach. Rumak przewrócił się na bok i stoczył w dół, zostawiając za sobą ślad z rozżarzonych węgli. Jeździec usiłował zeskoczyć, ale był zbyt wolny. Widmo zmiażdżyło go, zsuwając się na ziemię.

Ryld rozerwał sakwę martwego drowa, a potem opuścił się na ziemię, wylądował obok demonicznego konia i sprawdził juki. Nie było w nich żadnych eliksirów ani innych środków, które pozwoliłyby uleczyć ranę.

Dlaczego, pomyślał, spodziewał się znaleźć coś takiego wśród czarów szlachcica? Szlachcic przybył do Braerynu, żeby się rozerwać. Nie wierzył, że gobliny mogłyby go zranić lub że zagraża mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, po co więc miałby brać ze sobą lekarstwo leczące ciężkie obrażenia, nawet jeśli miał szczęście takowe posiadać?

Tylko pięciu myśliwych przybyło do Braerynu ze śmiertelnie poważnymi zamiarami i było gotowych skrzyżować miecze z potężnymi przeciwnikami: Greyanna i jej ludzie. Prawdopodobieństwo, że będą mieli przy sobie magię uzdrawiającą, było o wiele większe niż w przypadku jakiegokolwiek innego drowa, na którego Ryld mógł się zasadzić.

Niestety, wspomniana piątka mogła się też okazać o wiele bardziej kłopotliwa, ale jeśli chciał ocalić Pharauna, musiał sobie jakoś poradzić. Pharaun był użytecznym sojusznikiem i Ryld nie chciał, żeby ten starannie pielęgnowany związek tak łatwo się zakończył. Skradał się dalej, ignorując myśliwych w dole, którzy mijali go niczego nieświadomi, dopóki na dachu tuż przed sobą nie dostrzegł znajomej postaci.

Wciąż w masce, jeden z bliźniaków-wojowników Greyanny szedł wzdłuż gzymsu, spoglądając w dół na ulicę. Miał strzałę nałożoną na cięciwę łuku.

Ryld rzucił się za mały, pękaty minaret na swoim dachu. Wyrzał zza niego, szukając reszty niedoszłych zabójców.

Nie widział ich. Może grupa rozdzieliła się, żeby łatwiej im było znaleźć uciekinierów. Było to konieczne, jeśli chcieli przeszukać całą dzielnicę.

Schował się z powrotem, naciągnął ręczną kuszę i nałożył zatruty bełt. On i Pharaun nie chcieli zabijać swoich prześladowców, ale skoro czarodziej był umierający, Ryld przestał się przejmować życiem jakiegoś pomniejszego sługi.

Z palcem na spuście znów wychylił się zza minaretu... ale miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał łucznicz, było puste. Ryld rozejrzał się i po chwili wypatrzył mężczyznę na płaskim dachu okrągłej wieży przylegającej do głównego budynku.

To oznaczało dwa problemy. Po pierwsze, wojownik znajdował się teraz dalej i do tego dziesięć stóp wyżej, na granicy zasięgu małej kuszy albo nawet poza nim. Po drugie akurat spoglądał w kierunku Rylda i wytrzeszczał oczy, zauważając ściąganie.

Ryld strzelił, ale jego bełt nie doleciał do wieży. Ułamek sekundy później bliźniak jednym płynnym ruchem zwolnił cięciwę, wypuszczając strzałę. Grot wyglądał jak powiększająca się stopniowo kropka, co oznaczało, że mknął prosto do celu.

Ryld odchylił się do tyłu. Strzała ze świstem przemknęła obok niego, zaś łucznik wrzasnął

- Tutaj! Mam go!

Fechmistrz skrzywił się, jeszcze dotkliwiej odczuwając presję upływającego czasu. Nie chciał tu być, kiedy pojawi się reszta nieprzyjaciół, a jedynym sposobem uniknięcia tego było niezwłoczne pozbycie się obecnego przeciwnika. Jego długi łuk miał zbyt wielką przewagę nad jego własną kuszą. Musiał się do niego zbliżyć.

Dobry Rozpruwacz, wyskoczył z ukrycia i ruszył w kierunku wroga. Łucznik posyłał strzałę za strzałą, ale wojownik odbijał je w powietrzu. Było mu znacznie trudniej bronić się, idąc po nierównej powierzchni dachu, niż gdyby stał nieruchomo na ziemi.

Ryld zaczął się pocić, serce biło mu szybciej, ale dawał radę. Nadleciał kolejny grot, tym razem skrzący się od jakiegoś zaklęcia, ale udało mu się go odbić. Grzechocząc, strzała zsunęła się po spadzie dachu.

Zrobił kolejny krok, odbił następny pocisk, a potem coś usłyszał - nie wiedział co. Przypomniał sobie, że niektórzy czarodzieje tworzą magiczny oręż, który potrafi coś więcej, niż tylko trafić celniej i uderzać mocniej.

Obrócił się. Strzała wzbijała się z powrotem w powietrze i wykonała za jego plecami zwrot. Mknęła w jego stronę i dzieliła ją od niego już tylko kilka stóp.

Ryld zastawił się Rozpruwaczem w rozpaczliwej paradzie. Krawędź miecza zahaczyła o strzałę i przecięła ją na pół. Koziółkując w powietrzu, połówka zakończona grotem uderzyła drowa w ramię, ale dzięki zbroi nie wyrządziła mu żadnej krzywdy.

Ryld odwrócił się w samą porę, by odbić następną strzałę, po czym ruszył dalej. Jeszcze cztery kroki i znalazł się na krawędzi dachu.

Odległość między domem na dachu którego stał a następnym wynosiła około pięciu jardów. Wziął rozbieg, pozbawił się niemal całkowicie ciężaru i skoczył. Bliźniak spróbował go trafić, gdy był w powietrzu, ale tym razem chybił. Ryld z głuchym łomotem spadł na dach tego samego budynku, na którym znajdował się jego przeciwnik. Dostanie się tu dłużyło mu się w nieskończoność, choć wiedział, że w rzeczywistości trwało mniej niż minutę.

Nie żeby łucznik przestał strzelać. Ryld wciąż musiał uchylać się przed strzałami, w tym taką, która wydała z siebie niesamowity krzyk, przepelniając go nienaturalnym strachem, dopóki go w sobie nie stłumił, i kolejną, która zmieniła się w locie w miniaturową harpię. Następna spadła dwa kroki przed nim i eksplodowała ścianą ognia. Mrużąc oczy od żaru, owinął się szczelnie piwafwi i zanurkował na drugą stronę, gdzie wynurzył się osmalony, ale w zasadzie cały i zdrowy.

Znalazł się już wystarczająco blisko wieży, żeby pozbawić się prawie całkowicie ciężaru i dać susa na sam jej szczyt. Wyprysnął w powietrze niczym skaczący pajak i wylądował na platformie. Bliźniak pospiesznie odrzucił łuk i dobył sejmitar.

- Masz jakieś czary leczące? - zapytał Ryld. - Jeśli tak, daj mi je, a pozwolę ci odejść.

Wojownik uśmiechnął się paskudnie i odparł

- Moi towarzysze pojawią się lada chwila. Poddaj się teraz, powiedz mi, gdzie jest Pharaun, a możliwe, że księżniczka Greyanna daruje ci życie.

- Nie.

Ryld zaatakował, mierząc w głowę wojownika. Mężczyzna umknął przed ciosem, odskakując w tył, zrobił krok w bok i ciał, celując w ramię fehmistrza. Ryld sparował atak, odbijając sejmitar w bok, i walka potoczyła się dalej.

Przez kilka następnych sekund wojownik Mizzrymów konsekwentnie pozostawał w defensywie. Dwa razy niemal wypadł poza skraj płaskiej, okrągłej platformy stanowiącej szczyt wieży, ale za każdym razem udawało mu się odwrócić w samą porę. Był dobrym szermierzem i walczył defensywnie, licząc na przybycie posiłków. Ugodzenie go było trudne. Trudne, ale nie niemożliwe.

Naciskając, Ryld wyprowadził wysoką fintę, żeby przeciwnik sparował, po czym zawiął mieczem w dół, tnąc nisko od zewnętrznej. Rozpruwacz rozplątał tors Mizzryma tuż poniżej żeber. Trysnęła krew, bliźniak zwałił się na ziemię.

Powietrze zawibrowało i zamigotało od magii. Gdy Ryld obrócił się, na dachu poniżej pojawił się drugi bliźniak oraz Relonor. Najwidoczniej mag domu Mizzrym potrafił teleportować się sam, nie używając do tego broszy, którą skradł mu Pharaun.

Obszerne rękawy zsunęły się Relonorowi do łokci, gdy mężczyzna uniósł ręce i zaczął rzucać

zakłęcie. Nowo przybyły bliźniak nałożył strzałę na cięciwę i naciągnął łuk z bladej kości.

Ryld padł plackiem na dach. Znajdował się dziesięć stóp nad swoimi przeciwnikami i miał nadzieję, że go nie zauważą. W każdym razie w jego kierunku nie poleciał żaden czar ani strzała. Przebiegł przez platformę - zakłęcia wplecione w kolczugę tłumiły odgłos jego kroków - chwycił łuk i kołczan swojego poprzedniego przeciwnika i podniósł się na kolana.

Bliźniak i czarodziej unosili się nad platformą, pierwszy lewitując, drugi szybując łukiem, który świadczył o magicznych zdolnościach umożliwiających prawdziwy lot. Łuczniczka zwolniła cięciwę, a z koniuszków palców Relonora wystrzeliła magiczna energia.

Jako pierwszy trafił w cel czar Relonora. Potępieńczy wrzask przeszył uszy Rylda, wnikając mu do mózgu. Drow wrzasnął i targnął się z bólu. Wtedy strzała wojownika wbiła mu się w udo. Jej ostry jak brzytwa grot wyszedł drugą stroną.

Po chwili krzyk umilkł. Ryld czuł, że wrzask go zranił, może nawet bardziej niż strzała, ale nie miał ani czasu, ani zamiaru się tym przejmować. Z szybkością osiągalną dla niewielu osób oprócz mistrza Melee-Magthere sam wypuścił dwie strzały.

Pierwsza ugodziła Relonora w pierś, a druga trafiła wojownika w brzuch. Obaj spadli w dół, znikając drowowi z oczu.

Ryld spojrzał na bliźniaka z rozplatanym bokiem. Mężczyzna wydawał się nieprzytomny, co ułatwiało przeszukanie go.

Ryld przykuśtykał do niego, żeby przetrząsnąć mu kieszenie i skórzaną torbę przy pasie.

Na szczęście znalazł w niej cztery srebrne flakoniki, każdy oznaczony runą uzdrawiania. Greyanna faktycznie zadbała o odpowiednie wyekwipowanie swoich agentów na wojenną wyprawę. Bliźniak miał pecha, że nie zdążył skorzystać z jej szczodrości, zanim stracił przytomność.

Jego brat i Relonor bez wątpienia też mieli przy sobie uzdrawiające eliksiry, a Ryld nie miał żadnej gwarancji, że nie będą w stanie ich użyć. Mogli znów go dopaść, a on wolał uniknąć drugiej rundy. Musiał jak najszybciej wziąć nogi za...

W powietrzu rozległ się łopot ogromnych skrzydeł. Nad głową przeleciała mu długoszyja, beznoga bestia, niosąca na grzbiecie Greyannę i tę drugą, chuderławą kapłankę. Mierząc Rylda wściekłym spojrzeniem, siostra Pharauna pociągnęła za sznurki, którymi ściągnięta była jej torba z potworami.

Ryld wyrzucił z kołczana pozostałe strzały, żeby lepiej im się przyjrzeć. Jedna opierzona była czerwonymi lotkami, podczas gdy pozostałe opierzone były czarnymi.

Widział już, jak jego pierwszy wróg wystrzelił ognistą strzałę. Modląc się w duchu, by ta czerwono opierzona okazała się następną tego typu, napiął cięciwę i posłał pocisk w powietrze.

Strzała wbiła się w torbę i stanęła w płomieniach. Wysoka kapłanka o oszpeconej bliznami twarzy odruchowo upuściła worek, który spadł, płonąc w locie. Magiczne sploty palące się w środku zmieniły kolor na ogniste zielony, potem błękitny, a w końcu fioletowy.

Greyanna wrzasnęła z wściekłości i kazała skrzydłoniowi obniżyć lot. Ryld poszukał wzrokiem kolejnej magicznej strzały i odkrył, że żadne mu już nie zostały. Kiedy nałożył na cięciwę zwykły szyp, zaczęły mu się trząść ręce. Był to zapewne efekt uboczny odniesionej rany.

Przez chwilę wydawało mu się, że już po nim. Jeśli nie mógł celnie strzelać, nie mógł trafić w jeden ze słabych punktów skrzydłonia ani dosiadających go jeźdźców. Stan, w jakim się znajdował, uniemożliwiał mu też bezpośrednie starcie z nimi.

A potem uświadomił sobie, że wciąż ma szansę. Otoczył strzałę obłokiem mroku, po czym wypuścił ją w górę.

Obniżająca lot ogromna bestia była łatwym celem. Nawet strzelając na oślep trzęsącymi się rękami, miał wciąż spore szanse trafienia jej. Podwójny skrzek skrzydłonia powiedział mu, że strzał był celny.

Patrzył, jak stworzony przez niego kłęb ciemności spada zygżakiem w dół, jak gdyby był pijany. Skrzydlaty wierzchowiec, ukłuty i nagle, w niewytłumaczalny sposób, oślepiiony, wpadł w panikę, a Greyanna najwidoczniej nie potrafiła nad nim zapanować. Może mogła rozproszyć ciemności za pomocą jakiegoś zwoju lub talizmanu, ale ona też nic nie widziała, a pikujący w dół, rzucający się pod nią skrzydłoń utrudniał jej dostęp do ekwipunku.

Ryld odłamał grot wystającej mu z nogi strzały i wyciągnął z uda drzewce. Zebrał eliksiry leczące, uaktywnił magię swojego talizmanu najszybciej, jak potrafił, sfrunął z dachu i kuśtykając, oddalił się.

ROZDZIAŁ 13

Idącej korytarzem Quenthel przyszło do głowy, że w tym samym czasie Gromph rzuca promienny żar na podstawie Narbondelu. Nawet hulacy i nekromanci udawali się na spoczynek. Ona była jednak zbyt zajęta. Miała szansę odpocząć dopiero późno wieczorem, chyba że chciała odpoczywać przez całą wieczność.

Na szczęście jeden z alchemików Baenre warzył środek pobudzający, który opóźniał takie efekty braku odpoczynku jak pieczenie oczu, mętlik w głowie i kończyny jak z ołowiu. Quenthel wyjęła z jednej z sakw przy pasie srebrny flakonik zawierający ową substancję i pociągnęła łyceczek. Na chwilę zaparło jej dech w piersi, a mięśnie ramion naprężyły się. Odzyskawszy trzeźwość umysłu, ruszyła dalej.

Minutę później stanęła przed drzwiami prowadzącymi do komnat Drisnil. Przez wzgląd na status jej rodziny nowicjuszka zajmowała jedną z najwygodniejszych kwater studenckich w Arach-Tinilith. Quenthel żałowała, że nie umieściła jej w jakiejś zimnej, wilgotnej norze. Może wtedy dziewczyna nauczyłaby się, gdzie jej miejsce.

Wysoka kapłanka zbadała łukowatą wapienną płytę drzwi. Nie zauważyła żadnych magicznych osłon.

- Czy to bezpieczne? - zapytała szeptem żmije.
- Tak nam się wydaje - odparł Yngoth.

Quenthel pomyślała, że nie zabrzmiało to szczególnie pokrzepiająco, ale miała do wyboru albo zaufać im, albo użyć kolejnego cennego, niezastąpionego zwoju, aby zmieść osłony, które prawdopodobnie nie istnieją.

Aktywowała moc swojej broszy. Kiedy nowicjuszka przybywała do Arach-Tinilith, zakłęcia na drzwiach dostosowywano w taki sposób, aby na podstawie unikalnego, magicznego znaku insygniów swojego domu mogła wchodzić tylko do tych pomieszczeń, do których dostęp wysokie kapłanki uznały za konieczny. Tylko brosza Quenthel mogła otworzyć wszystkie drzwi.

Matka opiekunka otworzyła zamek i uchyliła ostrożnie drzwi. Nie błysnęło żadne zakłęcie, żadna mechaniczna pułapka nie wbiła w nią swojego ostrza. Najciszej jak potrafiła, Quenthel wśliznęła się dalej. Wyczuwając, że ich pani pragnie zachować ciszę, węże zwiesiły się bezwładnie z rączki bata.

Drisnil siedziała nieruchomo na krześle, trzymając na kolanach zabandażowane, okaleczone dłonie. Quenthel pomyślała, że dziewczyna musi odznaczać się nieustraszoną odwagą, skoro w tak niebezpiecznej chwili odważyła się pograć w Zadumie, i na chwilę poczuła dla niej podziw - a potem wyczuła zapach brandy i zauważyła butelkę leżącą na podłodze w kałuży trunku.

Quenthel podeszła do nowicjuszki. Przyszło jej do głowy, że robi Drisnil to samo, co zrobiła jej wcześniej żywa ciemność. Myśl ta lekko ją rozbawiła, może po prostu dlatego, że wreszcie była drapieżnikiem, nie ofiarą. Uśmiechając się, delikatnie położyła żmije na twarzy i górnej połowie tułowia drowki. Żmije zasyczały i zaczęły się wić.

Drisnil poderwała się z krzykiem ze snu. Chciała wstać, ale Quenthel pchnęła ją z powrotem na krzesło.

- Siedź! - warknęła Baenre. - Albo żmije zaczną kasać.
- Z wytrzeszczonymi oczyma otoczonymi teraz przez chłodne, pokryte łuską zwoje żmij, Drisnil przestała się wrywać.
- Mistrzynie, co się stało?
- Quenthel uśmiechnęła się.
- Bardzo dobrze, dziecko. Zabrzmiało to nawet szczerze. Po tym, jak twoja pierwsza intryga zawiodła, powinnaś była przynajmniej udać się na spoczynek w innym miejscu.
- Nie wiem, o czym mówisz.

Drisnil przesunęła ukradkiem rękę, z pewnością sięgając po ukrytą broń lub zakłęcie. Żmije skoczyły jej do twarzy, ich kły chybiły o ułamek cala. Studentka zastygła w bezruchu.

- Proszę - powiedziała Quenthel. - Pójdzie nam łatwiej, jeśli nie będziesz obrażać mojej inteligencji. Masz charakter, uważasz, że ukarałam cię zbyt surowo, i jesteś Barrison Del'Armgo. Nie możesz się doczekać upadku jedyne domu, który stoi pomiędzy twoją rodziną a zwierzchnictwem nad wszystkimi innymi domami. Oczywiście bierzesz udział w spisku przeciwko mnie. Jesteś też idiotką, jeśli uważałaś, że nie dojdę do tego.
- Spisku?

Quenthel westchnęła.

- Halavin próbowała mnie zabić i nie działała w pojedynkę. Jedna Zdrajczyni nie zdołałaby zatruć całego jedzenia i picia rozstawionego w różnych punktach świątyni. Musiałyby opuścić swój posterunek na czas wystarczająco długi, żeby ktoś zauważył jej nieobecność.

- Halavin mogła skazać posiłek, kiedy wciąż jeszcze był w kuchni.

- Nie było jej tam.

- Może więc to demon zatruł mięsa swoją magią.

- Nie. Jak na pewno zdążyłaś zauważyć, każdy duch reprezentuje jeden aspekt rzeczywistości, nad którym bogini sprawuje władzę. Trucizna jest bronią skrytobójcy, podczas gdy wczorajszy napastnik, którego postać bez przerwy ulegała zmianom, był wyraźnie uosobieniem chaosu. Konspiratorki - ciągnęła Quenthel - musiały zatruć całe jedzenie, ponieważ nie wiedziały, gdzie się zatrzymam, żeby coś zjeść. Wiele kapłanek straciło przytomność, ale ty i pozostałe intrygantki wiedziałyście, że nie należy kosztować posiłku.

- Nie brałam w tym udziału - oświadczyła Drisnil.

- Nowicjuszko, zaczynasz działać mi na nerwy. Przyznaj się do winy, albo oddam cię żmijom i przesłucham kogoś innego. - Żmije zasyczały, wysuwając języki.

- W porządku - powiedziała w końcu Drisnil. - Byłam w to wmieszana. Ale nie z własnej woli. Pozostałe mnie do tego namówiły. Nie zabijaj mnie.

- Wiem, na czym polegała wasza mierna intryga, ale nie pojmuję, jak śmiałyście to zrobić?

Drisnil przełknęła ślinę.

- Sama... sama to powiedziałaś. Każdy z demonów chciał zabić wyłącznie ciebie i każdy, na swój własny sposób, odzwierciedlał boski majestat Lolth. Myślałyśmy, że to ona je wysyła. Myślałyśmy, że wypełniamy wolę bogini.

- Bo jesteście idiotkami. Czy nikt nie nauczył was, że pozory mylą? Gdyby Lolth chciała mnie widzieć martwą, nie przeżyłabym nawet jednego uderzenia serca, nie mówiąc już o trzech nocach. Ataki wyglądają na jej dzieło, bo jakaś bluźniercza śmiertelniczka tak to zaaranżowała, żeby wmanipulować was w zabicie mnie. Miałam nadzieję, że wy, intrygantki, znacie tożsamość tej oszustki, ale widzę, że się myliłam.

- Tak.

- Bądźcie przekłete! - wybuchła Quenthel. - Bogini sprzyja mnie! Jak mogłyście w to zwątpić? Jestem Baenre, mistrzyni Arach-Tinilith, i osiągnęłam rangę wysokiej kapłanki szybciej niż jakakolwiek inna mieszkanka Menzoberranzan!

- Wiem o tym... - Nowicjuszka zawahała się, po czym dodała - Matka Żądz musiała mieć jakiś powód, żeby odsunąć się od miasta, a my... spekulowałyśmy.

- Niektóre z was na pewno. Innym po prostu spodobał się pomysł wyeliminowania mnie. Przypuszczam, że twoja ciotka Molvayas byłaby zachwycona, widząc mnie martwą. Miałaby wielką szansę sama zostać mistrzynią. My, Baenre, nie mamy kolejnej księżniczki z doświadczeniem, które pozwoliłoby jej objąć to stanowisko.

- To była moja ciotka! - zawołała Drisnil. - To ona wpadła na pomysł, żeby pomóc demonom cię zabić. Nawet nie chciałam pomóc. Uważałam, że to głupi pomysł, ale w naszej rodzinie to ona ma większy autorytet ode mnie.

Quenthel uśmiechnęła się.

- Szkoda, że mój autorytet nie zrobił na tobie większego wrażenia.

- Przykro mi.

- Nie wątpię. A teraz podaj mi imiona wszystkich konspiratorek.

Drisnil zawahała się przez chwilę.

- Moja ciotka, Vlondril Tuin'Tarl...

Quenthel jak zwykle zachowała spokojny, wszechwiedzący wyraz twarzy, ale w duchu była zaskoczona liczbą intrygantek. Ósma część świątyni! Podobne wydarzenie nie miało precedensu, ale żyła przecież w bezprecedensowych czasach.

Kiedy Drisnil skończyła, Baenre odezwała się

- Dziękuję. Gdzie się zbierałyście, aby snuć swoje intrygi?

- W jednym z nieużywanych składów w piątym odnózu - odparła Drisnil.

Quenthel potrząsnęła głową.

- Niedobrze. Jest zbyt mały. Zbierz grupę w dawnej klasie Lirdnolu. Od czasu, kiedy podejrzyli jej gardło, nikt jej nie używał, więc wyda się bezpiecznym miejscem na spotkanie.

Drisnil zamrugła.

- Zbierz...?

- Tak. Wczorajsza intryga zawiodła, więc musicie obmyślić nową. Wybrałaś na miejsce spotkania nową komnatę, bo przypuszczasz, że skład nie jest już bezpieczny. Powiedz swoim intrygantkom wszystko, co będzie konieczne, żeby zebrać je tam za cztery godziny.

- Jeśli to zrobię, oszczędzisz mnie?

- Czemu nie? Jak wyjaśniłaś, niechętnie brałaś udział w spisku. Ale wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że mamy pewien problem. Jeśli wyślę cię z tym zadaniem, skąd mam mieć pewność, że nie uciekniesz z Tier-Breche i nie schronisz się w zamku swojej matki?

- Mistrzynie, sama już tłumaczyłaś, że podobne zachowanie prowadziłyby wyłącznie do mojej śmierci.

- Ale czy mi uwierzyłaś? Czy wciąż mi wierzysz? Skąd mam mieć pewność?

- Mistrzynie... ja...

- Gdybym miała moją magię, mogłabym zmusić cię do wykonania polecenia, ale w zaistniałej sytuacji muszę przedsięwziąć inne środki.

Quenthel uniosła bicz, zsuwając źmije z twarzy Drisnil, i uderzyła ją jego metalowym trzonkiem w środek czoła. Potem wyjęła srebrny flakonik. Palcami zacisnęła nos oszołomionej, broniącej się słabo dziewczynie, wlała środek pobudzający w jej otwarte usta i zmusiła ją do przełknięcia.

Efekt był natychmiastowy. Dziewczyna zaczęła się szarpać i szamotać, w końcu otworzyła oczy.

Wysoka kapłanka zeskoczyła na podłogę.

- Jak się czujesz? Przypuszczam, że serce bije ci jak oszalałe.

Drisnil trzęsła się jak wibrująca struna skrzypiec. Pot sącył się przez jej pory.

- Co mi zrobiłaś?

- Dla tak znakomitej trucicielki jak ty powinno to być oczywiste.

- Otrułaś mnie?

- To wolno działająca toksyna. Zrób, jak kazałam, a podam ci antidotum.

- W takim stanie nie uda mi się oszukać pozostałych. Zauważą, że coś jest nie tak.

- Zewnętrzne objawy powinny ustać za kilka minut, choć wciąż będziesz odczuwać przyspieszone bicie serca i rozdrażnienie. Będziesz musiała to jakoś znieść.

- Dobrze - powiedziała Drisnil. - Tylko weź ze sobą antidotum, kiedy przyjdiesz do klasy Lirdnolu. - Mistrzynie uniosła brew, a Drisnil dodała - Proszę.

Quenthel uśmiechnęła się. Wyczuwając jej nastrój, źmije westchnęły z zadowolenia.

* * *

- Skąd wiedziałeś, że mrok doprowadzi bestię do szału? - zapytał Pharaun, namydlając swą wąską klatkę piersiową.

Poprzedniej nocy, kiedy Ryld wrócił do Pharauna, odkryli, że mają dość uzdrawiających eliksirów, żeby wyleczyć wszystkie rany, jakie obaj odnieśli. Jednak kilka następnych godzin, choć odzyskali w pełni siły, okazało się bardzo wyczerpujących, gdyż starali się przeżyć polowanie i jednocześnie uważać na Greyannę. W końcu udało im się uciec z Braerynu.

Twierdząc, że podczas gdy Greyanna szuka ich na Smrodliwych Ulicach, będą bezpieczni w zamożnym Narbondellynie, Pharaun nalegał, żeby pozbyli się kamuflażu i uczcili swe dotychczasowe odkrycia oraz udaną ucieczkę wizytą w jednej z najlepszych łaźni publicznych w Menzoberranzan. Wojownik sprzeciwiał się pomysłowi, który uważał za lekkomyślną brawurę, ale niezbyt stanowczo. Ryld był zdania, że wkrótce on i Pharaun znajdą się poza zasięgiem nieprzyjaciół i tęskno mu już było do tej chwili.

Przez ostatnie kilka minut rozkoszował się luksusem zmywania z siebie potu i brudu, które zebrały się na jego osobie. Powinien był się domyślić, że ten spokój i cisza nie mogą potrwać długo. Pharaun nie był w stanie wytrzymać dłużej bez rozmowy.

- Skąd wiedziałeś, że skrzydłoń nie będzie wciąż leciał w twoją stronę, kierując się innymi zmysłami? - nalegał czarodziej.

Wojownik wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. To przecież zwierzę, prawda? Pharaun wyszczerzył zęby.
- Nie do końca. To stwór z innego planu. Jednak przecucie cię nie myliło.

Ryld wzruszył ramionami i odparł

- Miałem szczęście, że udało mi się ujsć stamtąd z życiem. Dużo szczęścia.
- Na ogień i pożogę, jesteś mistrzem Tier Breche. Nie powinieneś być taki skromny. Gotowy?

Skończywszy się myć, wyszli z ośmiokątnego brodzika wpuszczonego w podłogę z czarnego marmuru i ruszyli w stronę większego basenu, gdzie mogli pływać się w parującej, wonnej wodzie źródlanej. W późniejszej części dnia basen byłby zapchany, ale odwiedzanie łaźni o tak wczesnej porze uchodziło za niemodne. Mieli więc cały basen do swojej dyspozycji, co bardzo im odpowiadało. Mogli rozmawiać swobodnie, nie obawiając się, że ktoś ich podsłucha.

Ryld od razu zszedł po schodach i usiadł na umieszczonej pod wodą półce. Westchnął z zadowolenia, gdyż ciepło robiło dobrze jego nodze, która zagoiła się, ale wciąż była nieco obolała. Pharaun zanurzał się stopniowo, cal za cal, jak gdyby gorąco było niemal nie do zniesienia.

- Rozmyślałem o twojej apatii - powiedział czarodziej, kiedy zanurzył się już po szyję. - Znalazłem rozwiązanie.

- Co masz na myśli?

- Wystąp z Melee-Magthere i zostań fechmistrzem jakiegoś szlacheckiego domu. Oczywiście musi to być któryś z tych pomniejszych, ponieważ pochodzisz z gminu, ale to nic nie szkodzi. Może w ten sposób życie stanie się bardziej ekscytujące.

- Po co miałbym to robić? To żaden awans. Może i nie wiązałyby się to z utratą statusu, to zależy od domu, ale jaki miałbym w tym cel?

- Jesteś znudzony, a to byłaby pewna odmiana.

- Która zmusiłaby mnie do siedzenia pod pantoflem iluś tam wysokich kapłanek. Miałbym jeszcze mniejszą autonomię niż jako nauczyciel.

- Udawało mi się realizować własne cele, choć znajdowałem się pod nadzorem matki. Ale to słuszna uwaga. Chodzenie u nich na pasku mogłoby ci szybko zbrzydnąć. Jak więc brzmi odpowiedź?

- A kto mówi, że w ogóle istnieje? Chyba że dalszy ciąg obłąkańczych wakacji z tobą. Przyznaję, że przerwały monotonię.

Małeńka gnomka wniosła przez drzwi stos świeżo wypranych i złożonych ręczników. Ryld był ciekawy, czy jest jedną ze zwolenniczek proroka, i czy nie ukrywa gdzieś w łaźni pocisków zapalających. Czuł się dziwnie, myśląc w ten sposób o skromnej podistocie - że mogłaby cisnąć spalające kamień bomby w lepszych od siebie.

- Mówisz o naszym zadaniu w czasie przeszłym - zauważył czarodziej.

- Kiedy powiesz arcymagowi, że uciekinierzy są w Braerynie, gdzie wzniesają żalose powstanie goblinów, będzie po wszystkim, nieprawdaż? Gromph wybaczy ci twoje przewinienia. Rada, której nie udało się powstrzymać naszego dochodzenia, nie będzie, mam nadzieję, widziała sensu w dalszych próbach zabicia nas. Odniosą większe korzyści, pozwalając nam dalej szkolić czarodziejów i żołnierzy, żeby im służyli.

- Jesteś bardzo pewny tego, że nie należy przejmować się powstaniem. Czy dlatego, że Greyanna i jej słudzy eksterminowali wczoraj tyle podistot?

Ryld nabrał w dłoń gorącej wody i ochlapał sobie nią kark, który trochę mu zdrętwiał z powodu minionych ekscesów.

- Nie - odpowiedział. - Myśliwi zabili wiele goblinów, ale był to tylko ułamek ułamka istot stłoczonych w każdym zakątku dzielnicy - widziałeś wewnątrz domu Smylli. Wierz mi, wciąż tego nie rozumiesz.

- Rozumiem, że wiele podobnych istot zamieszkuje również pozostałe części miasta. Dlaczego więc nie wierzysz, że są w stanie wyrządzić jakieś poważniejsze szkody? Na pewno nie brakuje im odwagi. Rozochoczone oracjami proroka podistoty są w doskonałym humorze, malują tu i tam symbole rasowe i mordują potencjalnych informatorów oraz niedowiarków.

- Wciąż brakuje im wojskowego przeszkolenia i prawdziwej broni.

- Niektóre były wojownikami, zanim schwyтали je łowcy niewolników. Niektóre są wciąż niewolnymi żołnierzami. A co do broni, cóż, czy odwiedzając Świat Ponad, widziałeś kiedykolwiek

płonące miasto? Ja tak. Sam musiałem jedno podpalić, żeby wypełnić powierzoną mi misję. Zniszczenia i liczba ofiar były imponujące, choć mieszkańcy wiedzieli, że ich budynki mogą się zapalić i znali metody radzenia sobie z pożarem.

- Podczas gdy my ich nie znamy? Chyba wy, czarodzieje...?
Pharaun wzruszył ramionami.
- Raczej nie. Jak mielibyśmy na to wpaść? Może moglibyśmy coś zaimprovizować, ale gdyby nie udało się opanować pożaru na wczesnym etapie, nasze próby mogłyby się okazać nieskuteczne.
- Ależ opanowalibyście go na wczesnym etapie. Podistoty nie zbuntują się wszystkie naraz, więc można będzie stłumić każdą pojedynczą rebelię, gdy tylko wybuchnie.
- Zakładasz, że wezwanie, czymkolwiek jest, będzie przechodzić z ust do ust, a w każdym razie nie rozniesie się szybko. Możesz mieć rację. Bufory tłumiące dźwięk mogą je powstrzymać, ale co, jeśli prorok zna jakiś tajemny sposób zaalarmowania wszystkich w tej samej chwili?
- Znasz taką magię?
- Nie.
- A jesteś mistrzem Sorcere. Rozsądek każe więc zakładać, że taka moc nie istnieje.
Pharaun uniósł brew.
- Naprawdę? Dziękuję za profesjonalną opinię.
Ryld prychnął.
- Posłuchaj. Uważasz, że powstańcy mogą coś zdziałać. Ja jestem innego zdania, ale powiedzmy, że masz rację. Czy tym bardziej nie powinieneś jak najszybciej powiadomić Grompha?
Czarodziej skinął na przechodzącego obok goblina.
- Trudność polega na tym, że muszę jeszcze wykonać zadanie.
- Co takiego?
- Polecono mi znaleźć uciekinierów. Przez kilka minut widziałem dwóch z nich, a potem ich zgubiłem. Uważasz, że Baenre będzie tym usatysfakcjonowany?
- Zważywszy na to, że odkryliśmy coś interesującego... - odpowiedział Ryld, marszcząc brwi.
- Pamiętaj, nasz wielki i wspaniały arcymag nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania. Wysłał mnie jako przynętę, obiekt napastowania kapłanek. Znam go dobrze i jestem pewny, że jeśli wypełnię warunki naszej umowy, przełknie niechęć do mnie i dotrzyma swojej części porozumienia, ale jeśli czegoś nie dopatrzę, sprawy będą wyglądały zupełnie inaczej.
- Możesz mu przynajmniej powiedzieć, że zbiegowie są w Braerynie.
- Doprawdy? Przeszukaliśmy Smrodliwe Ulice, tak jak mógłby to zrobić ktokolwiek z zewnątrz. Nie znaleźliśmy domu, w którym zbiegowie wieszają swoje płaszcze. W dodatku mamy bardzo kruche podstawy, by zakładać, że mieści się on w ogóle w Braerynie.
- Masz chyba rację.
- Oczywiście. A kiedy jej nie mam? Oto co zamierzam zrobić. Znajdziemy kryjówkę uciekinierów. Dowiemy się, kim jest prorok i jak działa jego magia - czy cokolwiek to jest. Dowiemy się, skąd pochodzą pociski zapalające i gdzie są ukrywane. Chcę także poznać plan powstania. A przede wszystkim ustalić, co uciekinierzy wiedzą na temat utraty magii przez kapłanki.
- Aby wyjść z całej tej awantury potężniejszym niż kiedykolwiek przedtem.
Pharaun wyszczerzył zęby.
- Potężniejszymi niż kiedykolwiek przedtem. Może to raz na zawsze uleczy cię z apatii.
- I to są prawdziwe powody, dla których nie jesteś gotowy na powrót do Tier Breche.
- Wszystkie co do jednego, w tym także nieufność w stosunku do Grompha. Rozumiem, że ty nie możesz się już doczekać powrotu.
Ryld westchnął.
- Nigdzie mi się nie spieszy. Nasza wycieczka była jak dotąd interesująca, a ja lubię kończyć to, co zaczynam, ale co będzie, jeśli orki zbuntują się, zanim zdążymy ostrzec inne drowy?
- Wtedy nie powiemy nikomu, że się tego spodziewaliśmy. - Czarodziej wyszczerzył zęby i dodał - Świadomość, że ścigamy się z czasem, aby zapobiec katastrofie, uczyni nasze starania jeszcze bardziej podniecającymi.
- A jeśli nawet przegramy wyścig z czasem, być może w powstaniu nie zginie nikt, kto ma jakies znaczenie dla nas obu. Chyba się zgadzam. Będziemy kontynuować poszukiwania.
- Doskonale!

Do krawędzi basenu zbliżył się pospiesznie goblin niosący srebrną tacę. Uginając kolana pałkowatych, szczeniastych nóg, obniżył ją, aby drowy mogły z niej zdjąć kielichy.

Pharaun uśmiechnął się do niewolnika i odprawił go skinieniem dłoni, po czym uniósł puchar.

- Za tajemnicę i chwałę!

Ryld pociągnął ze swojego kielicha, przyłączając się do toastu. Napojem był czerwony sok morelowy, słodki i bardzo zimny, pozostający w miłym kontraście do gorącej wody.

- A więc znów będziemy wyglądać jak orki - powiedział fechmistrz.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale nie czas już na taki kamuflaż.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jeśli nie będziemy wyglądać jak podistoty, jak dostaniemy się na kolejne tajne zebranie?

- Nie wiemy, czy prorok zwoła następne zebranie. Wyjaśnił już swoją strategię i rozdał tajną broń. Nawet jeśli, może to zrobić dopiero za kilka dni, a tymczasem Greyanna nie przestaje nas szukać. Jak dotąd udawało nam się jej wymykać, ale musimy liczyć się z tym, że w końcu przestanie nam dopisywać szczęście.

- Tu masz rację.

- Dlatego też musimy szybko znaleźć zbiegów, co oznacza zmianę taktyki. Dlaczego ci chłopcy próbują wznieść powstanie goblinów?

- Nie wiem.

- Ja też nie, prawdą mówiąc. To nie ma sensu. Ale zgodzisz się, że zamiar ten, podobnie jak sam akt ucieczki, jest wyrazem antypatii do ustalonego porządku?

- Możliwe.

- A więc założmy, że prorok albo jakiś inny prowodyr skłonił mężczyzn do ucieczki z domu, bo wiedział, że nie podoba im się ich miejsce w świecie.

- To możliwe. Co z tego wynika?

Czarodziej wyszczerzył zęby.

- Jeśli udowodnimy, że podzielamy ich niezadowolenie, uciekinierzy mogą zwerbować także nas.

- Jak chcesz to zrobić? Może i nie jesteśmy kapłankami, ale jesteśmy mistrzami Akademii. Jesteśmy filarami całej hierarchii, a poza tym powodzi nam się lepiej niż innym i mamy o wiele mniej powodów do narzekań.

- Tobie jakoś to nie przeszkadza.

- Nawet jeśli.

- Przeoczyłeś kilka faktów. Dzięki nieszczęsnej przygodzie z demonem Sarthosem jestem skompromitowanym mistrzem, którego niechybnie czeka jakaś straszna kara. Ty, z tym swoim ponurym sposobem bycia i krasnoludzką zbroją, musisz być ikonoklastą i malkontentem. Ponadto pytaliśmy wszędzie o zbiegów. Muszą o tym wiedzieć, nawet jeśli nie uznali za stosowne skontaktować się z nami. W tym samym czasie wysoka kapłanka z domu Mizzrym próbowała nas zamordować. Z pewnością musieli się o tym dowiedzieć.

- A jednak nie zwrócili się do nas. Dlaczego teraz mieliby to zrobić?

Pharaun uśmiechnął się.

- Ponieważ udowodnimy im, że rzeczywiście podzielamy ich punkt widzenia.

- Jak?

- Kapłanki regularnie patrolują bazar. Rozbijemy jeden z patroli, uciekniemy do Braerynu, pochwalimy się tym wyczynem i poczekamy na rozwój sytuacji. Uciekinierzy odszukają nas. Jak mogłoby być inaczej? Bez względu na ich ostateczny cel, z pewnością przyda im się pomoc dwóch tak utalentowanych elfów jak my.

- Z pewnością, ale cofnij się. Chcesz zamordować członków patrolu?

- I to w jak najbardziej prowokacyjny sposób. Powinno to być dość proste. Patrol nie będzie tak liczny jak myśliwi Greyanny, a jego członkowie nie będą się spodziewać tego rodzaju problemów.

- A co z naszym postanowieniem nie zabijania nikogo, zwłaszcza kapłanek, chyba że będzie to absolutnie konieczne?

- To jest absolutnie konieczne. Ścigamy się z czasem, pamiętaj, a to najszybszy sposób na osiągnięcie celu.

- Możliwe, ale co potem? Czy ktoś nie będzie chciał nas ukarać za podobne zuchwalstwo?

- Nie przyznamy się, że byliśmy w to wmieszani, tym, którzy raczej nie wykazaliby zrozumienia.

- Kapłanki domyślą się, że to my.
- Ale bezpieczni w kryjówce naszego przyjaciela proroka będziemy to mieli w nosie. Poza tym Rada zezwoliła już na uśmiercenie nas, więc naprawdę nie mamy niczego do stracenia.
- Może to przestępstwo nie pogorszy naszej obecnej sytuacji, ale na dłuższą metę?
- Na dłuższą metę - rzekł Pharaun - nie będzie miało znaczenia. Jak sam zauważyłeś przed chwilą, my, menzoberranzańczycy jesteśmy pragmatyczni. Ludzie zapominają o wszystkich zbrodniach, jakie popełniłem wczoraj, jeśli tylko jestem przydatny dzisiaj.
- Greyanna nie zapomniała.
Czarodziej roześmiał się.
- Tak, oczywiście, jesteśmy również skłonni do chowania urazy, wendet i rodowych waśni. To jeden z paradoksów naszej natury. Przy odrobinie szczęścia nikt ważny nie weźmie naszej nic nie znaczącej masakry do siebie. Wątpię, żebyśmy zamordowali jakąś księżniczką albo inną elfkę mającą istotne znaczenie dla swojej rodziny.
- Uważam, że to szaleństwo - powiedział Ryld, potrząsając głową. - Nie masz pewności, czy uciekinierzy się z nami skontaktują, a nawet jeśli to zrobią, czy spodoba im się to, co zobaczą.
- Wtedy po prostu obmyślimy inny plan.
Ryld skrzywił się i znów pokręcił głową.
- Jesteś szalony - stwierdził fehmistrz - ale jestem z tobą.
- Wspaniale! Musimy wznieść toast za nasze samobójcze zamiary czymś mocniejszym niż sok. - Pharaun rozejrzał się dokoła i dostrzegł goblina. - Czy możemy obejrzeć listą win?
- Jest dopiero wczesny ranek - zaprotestował Ryld.
- Nie daj się zwieść pozorom - odparł Pharaun. - Ponieważ żaden z nas nawet nie zmrużył oka, musi być jeszcze noc. Myślisz, że mają jeszcze wino Barrison Del' Armgo, rocznik pięćdziesiąty trzeci?

ROZDZIAŁ 14

Dopóki ktoś jej nie zamordował, Lirdnolu uczyła swoje klasy w swego rodzaju wewnętrznym amfiteatrze, jednej z architektonicznych osobliwości Arach-Tinilith. Schodzące się chyłkiem konspiratorki siadały w rzędach w kształcie litery C.

Drisnil zastanawiała się, co im powiedzieć, jak grać na zwłokę aż do pojawienia się Quenthel. Nowicjuszka miała pustkę w głowie, ale wiedziała, że musi coś wymyślić. W ustach czuła suchość i metaliczny posmak. Pachy miała spocone, a w kikutach odciętych palców czuła przyspieszone bicie pulsu. Trucizna zabijała ją - musiała udobruchać Quenthel Baenre, żeby zasłużyć na antidotum.

Stara, pomarszczona Vlondril Tuin'Tarl spoglądała złośliwie na Drisnil, jak gdyby wiedziała o cierpieniach studentki, ale powiedziała tylko

- Chyba wszyscy już są. Skończmy z tym szybko, zanim nasze koleżanki zorientują się, że nas nie ma.

- Tak - potwierdziła Drisnil, spoglądając na rzędy twarzy patrzących na nią z góry. - Matki, siostry, wszystkie wiemy, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Żmije z bicia mistrzyni wykryły truciznę...

- W rzeczy samej - powiedziała Quenthel.

Zaskoczona Drisnil obróciła się. Siedząca w pierwszym rzędzie otulona piwafwi zakapturzona postać uniosła głowę i odrzuciła do tyłu kaptur, zdradzając, że jest mistrzynią Arach-Tinilith. Jakimś cudem udało jej się wejść do amfiteatru tak, że jej wrogowie nie odkryli jej tożsamości.

Quenthel odepchnęła do tyłu połę płaszcza, uwalniając rękę, w której dzierżyła bicz. Wolnym krokiem wyszła na środek sali. Drisnil przyszło do głowy, że w tej chwili intrygantki mogłyby rzucić się całą grupą na swoją ofiarę, ale nie zrobiły tego. Mistrzynie zastraszyła je swoim niespodziewanym pojawianiem się i swoim pogardliwym zachowaniem. Poza tym była księżniczką Baenre.

Mistrzynie uśmiechnęła się do Drisnil.

- Dobrze się spisałaś, nowicjuszko, ale zapomniałaś o jednym szczególe. Zgodnie z tradycją kapłanki załatwiają swoje sprawy przy świetle świec. Nic nie szkodzi, zadbałam o to. - Odwróciła się w kierunku drzwi. - Wejdźcie.

Do sali wmaszerowały dwie nauczycielki, niosąc srebrne kandelabry. Po chwili, mrużąc oczy, Drisnil zauważyła, że nie były same. Zaraz za nimi pojawiło się wiele mieszkanek Arach-Tinilith, a wszystkie były dobrze uzbrojone i miały na sobie kolczugi.

Quenthel skinęła na intrygantki.

- Zajmijcie niższe miejsca, proszę. Spóźnialskie nie będą miały nic przeciwko wspinaniu się na górę. - Odczekała sekundę, po czym dodała - To nie była prośba.

Konspiratorki wahały się jeszcze przez chwilę, ale ta demonstracja siły przekonała je do wykonania rozkazu.

- Dziękuję - powiedziała Quenthel, po czym odczekała, aż wszyscy zajmą miejsca i intrygantki będą miały za plecami uzbrojone lojalistki. - A teraz przedyskutujmy kwestię, która tak was martwi.

- Nie wiem, co moja siostrzenica powiedziała ci o tym spotkaniu - odezwała się ciotka Drisnil, Molvayas, odziana w ciemnozieloną, mieniącą się suknię, podkreślającą kolor jej oczu - ale zapewniam cię, że jego cel jest całkowicie niewinny.

- Jego celem jest znalezienie sposobu zabicia cię, mistrzyni - zawołała Vlondril. - Wiem o tym. Biorę w tym udział od samego początku.

Quenthel skinęła głową szalonej kapłance.

- Dziękuję ci, świętobliwa matko. Twoja szczerość pomoże nam zaoszczędzić na czasie. - Baenre omiotła wzrokiem przeciwniczki. - Jak rozumiem, waszym usprawiedliwieniem dla prób pozbycia się mnie było przypuszczenie, że chce tego sama bogini. Sugerujecie, że moje rządy w Arach-Tinilith są jej tak wstrętne, że porzuciła całe Menzoberranzan.

Molvayas wzięła głęboki oddech, najwyraźniej zbierając się na odwagę.

- Tak. Czy twierdzisz, że to niemożliwe?

- Oczywiście - odparła Quenthel. - To niedorzeczny pomysł, nie poparty żadnymi dowodami... choć z pewnością wydaje się prawdopodobny mojej zastępczyni, której zależy na moim stanowisku.

Drisnil zauważyła, że podczas gdy Baenre wyglądała jak uosobienie spokoju, wijące się żmije bacznie obserwowały, co się dzieje wokół.

- A co z demonami? Odzwierciedlają atrybuty Lolth...

- I chcą mnie. Ponieważ jeden z moich śmiertelnych wrogów przysłał ją w postaci, która ma stanowić pożywkę dla waszej wyobraźni.
- Jaki wróg? - chciała wiedzieć Molvayas.
- To się dopiero okaże.
- Innymi słowy - stwierdziła zastępczyni Quenthel - podobnie jak my nie wiesz, co się dzieje.
- Przynajmniej wiem, co się nie dzieje.
- Doprawdy? Co czyni twoją opinię lepszą od opinii nas wszystkich?
- Odpowiedź na to pytanie jest oczywista dla tych wszystkich, które mają choć trochę oleju w głowie.
- Obelgi nie rozwiążą sprawy, mistrzyni, ale przychodzi mi do głowy pewna próba, która mogłaby w tym pomóc. Ustąp na rok, a zobaczymy, co się stanie.
Quenthel roześmiała się.
- Potulnie przekazując Akademię tobie, Barrison Del'Armgo? Raczej nie skorzystam. Ale przypadkiem ja również wymyśliłam pewną próbę, która pozwoli ustalić, kto cieszy się łaską Lolth - wasza żalosa klika, czy ja.
- Co masz na myśli? - zapytała Molvayas, a z jej oczu wyrzwał niepokój.
- Moja próba to najprostsza rzecz na świecie. Po prostu zapytamy Lolth, kogo woli, i zaczekamy na odpowiedź.
- To szaleństwo. Pajęcza Królowa nie przemawia już do nas.
- Może jeśli poprosimy, przynajmniej zgodzi się dać nam jakiś znak. Chcecie spróbować?
- Może - odrzekła Molvayas, z pewnością świadoma tego, że klingi za plecami nie pozostawiają jej zbyt wielkiego wyboru. - Czy proponujesz odprawić jakiś rytuał?
- Skoro straciłyśmy naszą magię, co osiągnęłybyśmy w ten sposób? Mam lepszy pomysł. Wszystkie pozostaniemy w tej komnacie, wznosząc w milczeniu modły i medytując, dopóki Mroczna Matka nie odkryje przed nami swojej woli.
Vlondril prychnęła.
- A jeśli nas zlekceważy?
Quenthel wzruszyła ramionami.
- Nie wierzę, że naprawdę opuściła swój lud wybrany. Moja wiara jest zbyt silna, żebym mogła uwierzyć w podobną katastrofę. Jak silna jest twoja wiara, Barrison Del'Armgo?
- Wystarczająco silna, żebym nie musiała się obawiać, iż bogini woli ciebie ode mnie - odburknęła Molvayas. - Nie rozumiem tylko, jaki sens ma twój plan. Lolth przemówi, kiedy zechce, nie kiedy my tego zapagniemy.
- Mogłam kazać moim lojalnym zwolennikom zabić cię w momencie, w którym weszły do sali. Zamiast tego proponuję uczciwe dochodzenie, dla dobra całej świątyni. Czy w tych okolicznościach mogłabym okazać większą wspaniałość?
- W porządku - zgodziła się Molvayas. - Zostaniemy tu przez jakiś czas, ale jeśli nic się nie wydarzy, moje towarzyszyki i ja wyjdziemy stąd wolne. Nie będziesz mogła nas ukarać, jeśli próba nie przyniesie rozstrzygnięcia. To nie byłoby uczciwe dochodzenie.
- Zgoda - powiedziała mistrzyni.
Drisnil była oszołomiona i oburzona. Wyglądało na to, że ta dziwna, bierna procedura może trwać godzinami. Potrzebowała antidotum, zanim serce walące jej w piersi samo rozerwie się na strzępy, ale nie mogła nic zrobić, żeby przyspieszyć bieg wypadków.
Pozostałe kapłanki posłusznie umilkły, choć wyraźnie były równie zaskoczone jak ona. Medytacja była praktyką znaną im wszystkim, choć frustrującą i jałową, odkąd Lolth je opuściła.
Przez chwilę, która wydawała się bardzo długa, nic się nie działo - tylko mięsień pod okiem Drisnil drgał w niekontrolowany sposób, a kilka z kapłanek, które zdradziła, ukradkiem rzucało jej mordercze spojrzenia, milcząc przysięgając zemstę. Coś maleńkiego przemknęło po podłodze. A może tylko jej się wydawało. Znikło, zanim zdążyła mu się bliżej przyjrzeć.
Minęło następnych kilka minut, które wlokły się w nieskończoność. Zaszleścił materiał, gdy któraś z kapłanek zmieniła pozycję. Później któraś stłumiła kichnięcie. Drisnil uświadomiła sobie, że w powietrzu unosi się ledwo wyczuwalny zapach pogrzebowego kadzidła, które Lirdnolu paliła podczas lekcji nekromancji.
Obok przemknęła następna drobinka. Drisnil tym razem zauważyła, że był to pająk. Nie było w

tym nic niezwykłego. W Arach-Tinilith pełno było tych świętych stworzeń. A jednak coś ją tknęło na widok tego konkretnego pajęczaka. Przyglądała mu się, dopóki nie zauważyła, że ma błękitny odwłok w czerwone plamki.

To było trochę dziwne. Ten gatunek na ogół spędzał czas, czając się w pajęczynach, a nie wałęsając się po świątyni. Nie rozumiała jednak, dlaczego ta anomalia tak ją zaniepokoiła. To pewnie trucizna zszargała jej nerwy.

Czas włókł się niemiłosiernie. Kapłanka siedząca w najniższym rzędzie nuciła pod nosem jakiś hymn. Fałszowała. Kolejna nowicjuszka o okaleczonych dłoniach ukradkiem dotknęła schowanego w rękawie noża, upewniając się, czy łatwo wychodzi z pochwy. Drisnil zauważyła, że na ścianach i podłodze pojawiło się jeszcze więcej czarnych kropek. Więcej, niż byłoby to normalne w nieużywanej części świątyni. Dziewczyna zerknęła więc w stronę Quenthel, szukając w zachowaniu mistrzyni jakichś oznak, które potwierdziłyby jej niesprecyzowane przypuszczenia. Baenre, stojąca z opuszczoną głową, stanowiła żywy obraz mistyczki zatopionej w modlitwie.

Nowicjuszka ze złotym kolczykiem w uchu krzyknęła z bólu. Szarpnęła za koszulę, obnażając nagie ramię i odkryła pajaka, który ją ugryzł. Jej rozpaczliwe próby usunięcia pajęczaka tak, by go nie skrzywdzić, powinny się wydać komiczne, ale Drisnil nie było do śmiechu. Wycieńczona, otumaniona trucizną, była w stanie jedynie patrzeć na ciemne plamki napływające ze wszystkich stron. Niektóre konspiratorki również je zauważyły. Zaczęły szeptać między sobą, a oczy zrobiły im się wielkie jak spodki.

Coś otarło się o ramię Drisnil. Dziewczyna krzyknęła i obróciła się. To dotknęła ją jedna ze żmij Quenthel.

- Trzymaj się blisko mnie - poleciła mistrzyni.

Liczba pajaków znów się zwiększyła. Całe ich hordy Oblazły ciała konspiratorek, kłusząc, wpełzając pod odzienie, pokrywając ich skórę ranami niczym jakaś ohydna zaraza. Wrzeszcząc, nie dbając już o to, że stworzenia są nietykalne, ich ofiary usiłowały strącać je z siebie i miażdżyć, ale pajaków było zbyt wiele. Kilka zdrajczyń zachowało dość przytomności umysłu, by aktywować ochronne talizmany, ale okazało się, że magia też nic nie działała.

Jedynym miejscem wolnym od pajaków były górne rzędy. Lojalistki, kiedy zdały sobie sprawę, że pajaki nie wespną się wyżej i nie zaatakują ich, zaczęły szydzić i drwić z losu zdrajczyń. Za każdym razem, gdy któraś z intrygantek próbowała dostać się w bezpieczne miejsce, któraś z lojalistek spychała ją w dół uderzeniem buzdyganu lub bicia. Niektóre strzelały nawet z kusz do tych konspiratorek, które usiłowały wydostać się za drzwi.

Drisnil została przy boku Quenthel. Pajaki łąziły jej po stopach, ale oprócz tego nie zwracały na nią uwagi. Nie unikały jednak Baenre. Chodziły po całym jej ciele, ale jej nie gryzły. Śmiejąc się, mistrzyni pochyliła się, podniosła z ziemi całą garść pajaków i posypała sobie nimi głowę, tak że stworzenia dosłownie ją oblepiły. Błyszczące czerwone oczy Quenthel lśniły spod guzowatej, falującej maski.

W końcu wrzaski umilkły. Słysząc już było tylko właśnie uśmiercaną przez pajaki Vlondril, która ekstatycznie recytowała jedną z litanii. Po chwili i ten dźwięk ucichł. Drisnil dostrzegła trupa swojej ciotki, choć rozpoznała go wyłącznie po sukni barwy jadeitu. Twarz Molvayas była opuchnięta i skrwawiona do tego stopnia, że nie dało się jej rozpoznać.

Quenthel spojrzała na żywe kapłanki i zawołała

- Prosiłyśmy Lolth o znak, a ona nam go dała. Moi wrogowie zginęli, a ja żyję, odziana w święte pajaki bogini. Jestem mistrzynią Arach-Tinilith, a moje podwładne nie będą już poddawać w wątpliwość mojego przywództwa, w przeciwnym wypadku zginą w męczarniach.

Pozostałe przy życiu kapłanki i nowicjuszki pokłoniły się jej pospiesznie.

- Dobrze - powiedziała Baenre. - Jesteście mądre, więc składam wam przysięgę. Położymy kres tym nocnym atakom. Odzyskamy naszą magię. Znów usłyszymy głos Lolth. Uczynimy nasz zakon i świątynię wspanialszymi niż kiedykolwiek przedtem. A teraz uprzątńcie ten bałagan.

Pajaki zaczęły znikać, zarówno z pomieszczenia, jak i z ciała Quenthel. Drisnil nie była w stanie powiedzieć, czy po prostu uciekały, czy też teleportowały się.

- To dzięki mnie - odezwała się studentka. - To ja sprowadziłam tu wszystkie zdrajczynie. A teraz daj mi, proszę, antidotum.

Quenthel uśmiechnęła się.

- Nie mam.
- Co takiego?
- Nie otrułam cię. Płyn był po prostu środkiem pobudzającym pomagającym walczyć z sennością. Dałam ci go tyle, żeby efekty działania były niepokojące, ale wkrótce ustaną.
- Kłamiesz! Bawisz się ze mną!
- Użyłabym wolno działającej trucizny, gdybym miała ją przy sobie, ale że nie miałam, musiałam improwizować.
- Rozgoryczona, ponizona Drisnil poczuła chęć udowodnienia, że nie jest skończoną idiotką.
- W takim razie - palnęła - udało ci się oszukać wszystkich. Wiem, że to nie Lolth kontrolowała te pająki, tylko ty. Odczytałaś zwój albo użyłaś zaklęcia przed wejściem do sali.
- Nawet jeśli, jakie to ma znaczenie? - Żółty pajęczak wypełził ze śnieżnobiałych włosów Quenthel i zlął jej na ramię. Kobieta nie zwracała na niego uwagi. - Lolth uczy, że sprytni i silni muszą panować nad głupimi i słabymi. Jak by na to nie patrzeć, wszystko odbyło się zgodnie z jej wolą. A teraz pomówmy o twojej przyszłości.
- Drisnil przelknęła ślinę.
- Obiecałaś mnie oszczędzić.
- Tak, to prawda - przyznała z uśmiechem Quenthel. - W przeciwieństwie do co poniektórych, my, Baenre, na ogół dotrzymujemy słowa. Opinia sprawiedliwej ułatwia pewne transakcje. Nie obiecywałam jednak, że cię nie ukarzę.
- Rozumiem. Oczywiście przyjmę chłostę czy jakąkolwiek inną karę, którą uznasz za stosowną.
- Jak to miło z twojej strony. Co więc powiesz na to? Odrąbiemy ci pozostałe osiem palców i jeszcze obetniemy język.
- Przez chwilę Drisnil myślała, że się przesłyszała.
- Żartujesz.
- O nie. Jestem głęboko przekonana, że to ty uknułaś spisek przeciwko mnie, i zamierzam dopilnować, żebyś już nigdy więcej nic nie zbroiła. Nigdy więcej. Jeśli nie będziesz w stanie się porozumiewać, rzucać czarów ani dzierżyć broni, powinno wystarczyć. Oczywiście nie będziesz mogła kontynuować nauki w Arach-Tinilith, nie liczyłabym też na gorące powitanie po powrocie do domu. Wątpię, czy Mez'Barris Armgo będzie zainteresowana całkowicie bezużyteczną córką. Może nawet uzna, że przynosisz jej wstyd i lepiej będzie zabić cię albo zamknąć.
- Rozwścieczona, spanikowana Drisnil skoczyła, ale nie udało jej się zadać ciosu. Silne ręce chwyciły ją od tyłu, odciągnęły, a coś twardego i ciężkiego uderzyło ją w głowę. Nogi ugięły się pod nią. Upadłaby, gdyby nie to, że ktoś ją podtrzymał.
- Znad jej ramienia rozległ się głos Quave
- Mamy ją, mistrzyni.
- Dziękuję - odparła Quenthel. - Zabierzcie ją do komnaty pokuty i zabezpieczcie.
- Tak, mistrzyni - powiedziała Quave. - Zakładam, że sama ją okaleczysz.
- Chciałabym - powiedziała Baenre - ale muszę się zająć inną sprawą. Ty możesz to zrobić. Tylko uważaj, żeby przy tym nie umarła. Może się uduśić własną krwią, kiedy wytniesz jej język.

* * *

Pharaun rozparł się na krześle, rozkoszując się dotykiem palców balwierza, który wcierał mu tonik w skórę głowy. Nie było to tak relaksujące jak masaż całego ciała, ale i tak uspakajało.

Balwierz o czymś rozprawił, a czarodziej od czasu do czasu odpowiadał niezobowiązującym chrząknięciem. Tak naprawdę, to nie słuchał, podobnie jak klienci fryzjerów wszystkich ras w całej historii świata.

Kram balwierza - niewielka budka pachnąca maściami i pomadami - był z przodu otwarty. Od rozmowy o wiele bardziej interesujące było przyglądanie się bazarowi. Właśnie obok przeszedł plebejusz niosący pudełko z gdaczącym kurczakiem przywiezionym z Krain Światła. Jakiś kupiec obiecał mu pewnie, że ptak będzie się niósł jeszcze przez wiele lat, choć w rzeczywistości drób rzadko miał się dobrze w Podmroku. Portrecista malował kogoś, dzięki zaklęciom w pędzlu zapełniając płótno z zadziwiającą szybkością. Płatnerz przebił rapierem związanego, zakneblowanego kobolda, aby zademonstrować ostrość sztychu.

Z kapturem naciągniętym na głowę, otulony ciasno płaszczem, z Rozpruwaczem schowanym zakłębieniem ukrywanym przez Pharauna, Ryld wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do namiotu, którego boczne płachty były podwinięte do góry. W środku wystawiono na sprzedaż wszelkiego rodzaju gry. Zwalisty szermierz stanął zamyślony nad planszą savy, którą zastawił pionkami z onyksu i krwawnika.

Scena za drzwiami uległa nagle zmianie, wszyscy spojrzeli na północ. Niektórzy zaczęli przyciskać się do straganów, usuwając się ze środka alejki. Obszarpany, podejrzanie wyglądający plebejusz pospieszył w przeciwną stronę.

Ryld podszedł do ściany namiotu, popatrzył w kierunku, w którym spoglądali wszyscy, po czym skinął nieznacznie głową Pharaunowi, potwierdzając to, co czarodziej zdążył już zgadnąć. Zbliżał się patrol.

Pharaun żałował, że strażnicy nie mogli poczekać jeszcze choć pięciu minut, ale niestety musiał wziąć się do roboty, zanim balwierz skończy zabieg. Tragedia, ale nie mógł na to nic poradzić.

Chwilę później, rzucając na boki groźne spojrzenia, ulicą przemaszzerował patrol. Przemarsz zbrojnych całkowicie wyciszały magiczne buty. Dowodziła, przynajmniej nominalnie, kapłanka Arach-Tinilith, uzbrojona w różdżkę z polerowanego drewna. Towarzyszyli jej: nauczyciel z Melee-Magthere i Gelroos Zaphresz, jeden z młodszych kolegów Pharauna z Sorcere. Był to niefortunny zbieg okoliczności. Gelroos, sypiący jak z rękawa żartami i komicznymi przyśpiewkami, był świetnym kompanem. Ale jeśli Pharaun zamorduje go dzisiaj, przynajmniej nie będzie musiał się martwić, że Gelroos spróbuje go zabić jutro.

Oprócz oficerów w skład patrolu wchodziło kilku odbywających szkolenie wojowników, których Ryld niemal na pewno kiedyś uczył. Pharaun nie przejmował się nimi zbyt. To nauczyciele stanowili prawdziwe zagrożenie.

Mistrz Sorcere zaczekał, aż strażnicy ich miną, po czym, zaskakując balwierza, odrzucił obsypaną włosami pelerynę, która przykrywała mu pierś i podał mężczyźnie złotą monetę, co było książeńcem wynagrodzeniem za jego usługi. Potem dotknął palcem ust w niemym wyjaśnieniu tego, co naprawdę chciał kupić, chwycił swoje piwafwi, którego szyk przyćmił jakąś pomniejszą iluzją, zarzucił je sobie na ramiona, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Patrol oddalił się o jakieś dwadzieścia jardów. W każdej chwili mógł zniknąć za rogiem, więc Pharaun nie mógł już dłużej czekać. Czarodziej osłonił dolną połowę twarzy jedwabną połą, po czym wyszedł na ulicę i, dzierżąc w dłoni szklaną kulkę i szczyptę rdzy, wyrecytował inkantację. Ufryzowane do połowy włosy stanęły mu dęba, w powietrzu zapachniało ozonem. Przed magiem pojawiła się skwiercząca błękitno-biała iskra, która pomknęła w dół uliczki.

Gdy mrugający punkt dotarł do patrolu, eksplodował, wystrzeliwując na wszystkie strony ogniste błyskawice. Kilku młodych żołnierzy stanęło w płomieniach i runęło na ziemię, gdyż nie posiadali ani siły ducha, ani ochronnych talizmanów, które zminimalizowałyby obrażenia i pozwoliły im utrzymać się na nogach. Skwierzące, skaczące łuki mocy trafiły też w kilku kupujących i przekupniów. Pharaun nie miał zamiaru zranić osób postronnych, ale uliczka była po prostu zbyt zatłoczona.

Reszta patrolu zaczęła się odwracać. Kapitan z Melee-Magthere dymił się, był osmalony i pokryty pęcherzami, ale jeśli choć trochę przypominał Rylda, oparzenia raczej nie mogły go unieszkodliwić. Gelroos i kapłanka wyglądali tak, jak gdyby błyskawice nie wyrządziły im żadnej krzywdy. Kobieta odwróciła się odrobinę szybciej niż pozostali i uniosła paleczkę. Dzięki srebrnemu pierścieniowi Pharaun wiedział, że była to pajęczka różdżka, broń mogąca omotać lepką siecią.

Nie miał najmniejszego zamiaru znosić takiego upokorzenia. Bluznął potokiem magicznych słów i wyrzucił przed siebie ramię. Pięć okruchów tajemnej mocy wyskoczyło mu z koniuszków palców, przemknęło przez dzielącą go od kleryczki przestrzeń i uderzyło kobietę w pierś. Kapłanka zatoczyła się do tyłu i zwała na ziemię.

Gelroos, żyłasty, nieco przygarbiony ślęczeniem nad księgami elf o głęboko osadzonych oczach, spojrzął w górę ulicy i zawołał

- Mistrzu Mizzrym!

- I na tyle zdała się moja umiejętność stosowania niemagicznego kamuflażu - odparł Pharaun, szczerząc zęby. - Ale z drugiej strony znamy się dość dobrze.

- Masz prawo próbować zabić innego mistrza Sorcere - powiedział Gelroos. - Nie ma w tym nic niewłaściwego. Jednak przeciągnąłeś strunę, zabijając tych chłopców. Była to bezcelowa robota, a ich

matki nie będą zachwycone tą stratą. Nagrodzą mnie za usunięcie twojej osoby.

- Czy pomoże w czymś wyjaśnienie, że wszystko co robię, robię dla ocalenia Menzoberranzan przed katastrofą? - zapytał Pharaun.

Gelroos uniósł ramiona, przygotowując się do rzucenia czaru, a pozostali przy życiu wojownicy rzucili się do ataku.

- Aha. Tak myślałem.

Zaczął rzucać zaklęcie. Tkanie czaru ukończył tuż przed Pharaunem. Krusząc się z łoskotem, powierzchnia alejki wypłuła w powietrze kamienie. Przypominało to wybuch gejzeru, z tym tylko, że kawałki skały nie spadały z powrotem na ziemię. Zamiast tego zaczęły się obracać wokół siebie i dopasowywać, tworząc wielką, masywną postać przypominającą nieco drowa. Zjawisko wyglądało trochę jak posąg bohatera porzucony przez rzeźbiarza, zanim praca nad nim na dobre się zaczęła. Stwór popędził przejściem między kramami, a od jego kroków zatrzęsała się ziemia.

Pharaun był pod wrażeniem. Niełatwo było wezwać i kontrolować ducha ziemi - niełatwo też było odeprzeć jego atak - ale pojawienie się żywiołaka nie zdekoncentrowało go. Nie przerywając recytacji, czarodziej uniósł się w powietrze, aby uciec, nawet jeśli tylko na chwilę, przed mieczami nacierających nań wojowników.

Wymówił ostatnią sylabę zaklęcia. Z jego ręki wyleciał lodowy sztylet. Gelroos uchylił się przed nim, ale przyzwane ostrze wybuchło, obsypując swoją ofiarę okruciami lodu. Jeden z nich drasnął maga w policzek. Gelroos zachwiał się, ale Pharaun wiedział, że nie został poważnie ranny.

Tymczasem część wojowników naciągała kusze. Pozostali zaczęli lewitować. Byli teraz na wysokości namiotu handlarza gramy, i właśnie spod niego wyprysnął Ryld. Pół godziny wcześniej wojownik nabył sejmitar, chcąc użyć go w tej walce, ale teraz ścisnął w rękę Rozpruwacz. Musiał uznać, że skoro Gelroos i tak zawołał Pharauna po imieniu, próba zatajenia własnej tożsamości nie ma sensu.

Wielki miecz wznosił się i opadał, każdym ciosem powalając kogoś z wrogów na ziemię. Nauczyciel szermierki, rykiem nakazując swoim podkomendnym stawić czoła nowemu zagrożeniu, usiłował przepchnąć się w stronę Rylda.

Płynny jak magma kamień wytrysnął z ziemi i połączył się z ciałem żywiołaka. Stwór zrobił się jeszcze wyższy i większy, a część skały skupiła się w jego dłoni, tworząc kolczastą kulę, którą bez wątpienia zamierzał cisnąć w Pharauna.

Czarodziej wyciągnął z jednej z kieszeni maleńki flakonik i, trzymając go w dłoni, rozpoczął recytację. Po chwili poczuł, jak ściany kosmosu rozrzedzają się i przez chwilę wyczuwał nieskończoną liczbę Pharaunów czarujących w przyległych światach, którzy oddalali się od niego jak odbicia w lustrze, z każdym krokiem robiąc się coraz mniej do niego podobni.

Impuls szkarłatnego światła trafił go w pierś. To musiała być robota Gelroosa. Pharaun poczuł dojmujący ból, ale postarał się wymówić ostatnie słowo mocy i wykonać bezbłędnie ostatni gest.

Czarodziej nie miał pewności, że mu się udało, dopóki pod stopami żywiołaka nie otworzyła się wyrwa, luka nie w materii, lecz w medium stanowiącym dla niej podłoże. Stwór odwiódł ramię do rzutu, ale ożywiająca go siła opuściła ciało, które dla siebie utworzyła, i runęła w dziurę. Rana w materii świata skurczyła się i zasklepiła. Wielka kamienna postać rozpadła się z rumorem i łoskotem.

Pharaun ocenił odniesione obrażenia. Wyglądało na to, że czerwone światło jedynie podrapało i pokłuło mu skórę. Wyszczrzył zęby do stojącego w dole Gelroosa.

- Pudło, kolego.

- Tym razem cię dostanę - wycedził młodszy czarodziej przez zaciśnięte zęby.

Rozpoczął następne zaklęcie, Pharaun zrobił to samo.

Moc zatrzęszczała wokół Mizzryma, ale nie udało jej się wgryźć w ciało. Jego własna magia, wystrzelona z tego samego okrągłego lusterka, w którym się przeglądał, sprawiła, że powietrze wokół Gelroosa zadźwięczało jak dzwoniące kryształki. Młodszy czarodziej wrzasnął i w mgnieniu oka zmienił się w nieruchomy posąg wykonany z chłodnego, gładkiego szkła.

Pod stopami Pharauna dzwoniło żelazo. Mag spojrział w dół. Wyglądało na to, że Ryld ma kłopoty. Grad lodu, który spadł w sam środek pozostałych przy życiu studentów, sprawił, że los się odwrócił. Ryld powalił mistrza Melee-Magthere, okręcił się, by rozsieć młodego włócznika, i było po walce.

Pharaun omiół wzrokiem pole bitwy. Choć poparzeni i obezwładnieni, niektórzy wojownicy odbywający szkolenie wciąż żyli, ale to nie stanowiło problemu. Najważniejsze było zabicie

instruktorów. To miało zrobić wrażenie na zbiegach.

Czarodziej spłynął z powrotem na ziemię.

- To było całkiem proste. Teraz żałuję, że nie zabiliśmy Greyanny i jej sojuszników w ten sam sposób.

Ryld chrząknął, podciągnął do góry połę płaszczka poległego zbrojnego i wytarł o nią klingę Rozpruwacza.

- Czy mógłbyś roztrzaskać Gelroosa, zanim się ulotnimy? - zapytał Pharaun. - W przeciwnym wypadku powróci do swojej normalnej postaci z krwi i kości.

- Jeśli chcesz.

Ryld uniósł miecz.

ROZDZIAŁ 15

Owinięta zwykłym ciemnym piwafwi, z kapturem zarzuconym na głowę, Quenthel szła przez miasto, kierując się na południe. Było to dla niej doświadczenie dziwne i jedyne w swoim rodzaju. Szła pieszo, nie dosiadała jaszczura ani nie siedziała na unoszącym się w powietrzu kamiennym dysku. Była sama, nie towarzyszyła jej kolumna strażników oraz służących i, co najdziwniejsze, nikt tak naprawdę nie zwracał na nią uwagi.

O tak, niewolnicy pospiesznie usuwali jej się z drogi, a mężczyźni okazywali szacunek, ale nikt się jej nie bał ani nie płaszczył przed nią z podziwem. Mało tego, sama musiała kłaniać się szlachetnym elfkom, które mijalała po drodze, żeby ich żołnierze nie ukarali jej za zuchwalstwo.

Było to irytujące, niepokojące, ale również kuszące. W najskrytszych myślach wyobraziła sobie, że po prostu ucieka przed nieprzejednanym wrogiem, który z uporem stara się ją zabić. Mógł to być jedyny sposób na ocalenie życia. Gdyby zdecydowała się uciec w tej chwili, byłaby już na najlepszej drodze do wydostania się z miasta. Udało jej się już niepostrzeżenie - przynajmniej miała taką nadzieję - wymknąć z Tier Breche.

Ucieczka była jednak pomysłem godnym tchórza, a nie Baenre, i rozzłościło ją to, że coś podobnego przyszło jej w ogóle do głowy. Przed atakami nigdy jej się to nie zdarzało. Minęła zakręt i jej oczom ukazał się Qu'ellarz'orl. Cel jej wyprawy był już blisko, skoncentrowała się więc na czekającym ją zadaniu.

Wymknięcie się z Akademii było dość kłopotliwe. Po pierwsze musiała po kryjomu zdobyć jakieś nie rzucające się w oczy okrycie wierzchnie, które pozwoliłoby jej udawać kobietę z gminu. Na pewno nie miała takiego piwafwi wśród swoich strojów, które, wszystkie bez wyjątku, były wyszywane klejnotami, ale znalazła je wśród ubiorów jednej z kucharek. Po zabiciu kuchty - na wypadek gdyby ta zgłosiła zaginięcie okrycia musiała wydostać się z Arach-Tinilith tak, by nikt, włączając w to jej czujne strażniczki, nie zorientował się, że to ona. W końcu musiała się przekraść na krawędź urwiska i opuścić się w dół na dno jaskini tak, by nie zauważyli jej strażnicy stojący u szczytu schodów.

Udało jej się jednak i była pewna, że uda jej się wrócić chyłkiem do Akademii nawet po tym, jak na płaskowyżu zostaną zaostrome środki bezpieczeństwa.

Droga prowadziła na wzniesienie zwane Qu'ellarz'orl, gdzie mieściły się pałace najpotężniejszych rodów Menzoberranzan. Była otwarta dla osób z gminu. Kupcy i petenci korzystali z niej przez cały czas, ale patrole domu Baenre przesłuchiwały ich i przeszukiwały.

Quenthel zaczęła się wspinać krętą drogą i przebyła już ponad połowę, gdy usłyszała charakterystyczne pochrząkiwanie i syczenie wierzchowego jaszczura. Pospiesznie opuściła ścieżkę i wbiegła w las gigantycznych, fosforyzujących grzybów, gdzie ukryła się za wyjątkowo potężnym okazem.

Patrol - dosiadający jaszczura oficer i tuzin pieszych żołnierzy - minął ją, nawet nie spoglądając w jej stronę. Chowanie się przed własnymi oddziałami było kolejnym dziwnym, niemal surrealistycznym doświadczeniem.

Kiedy wojownicy oddalili się, szybkim krokiem ruszyła do góry. Minutę później dotarła na szczyt wzgórze. Przed nią wznosiły się najwspanialsze fortece miasta. Na najwyższym i najbardziej wysuniętym na wschód terenie wznosił się dom Baenre, górujący nad wszystkimi pozostałymi budowlami.

Skierowała swe kroki ku wysokiej, smukłej wieży zwanej Wieżą Zakłęt, będącej siedzibą piątego domu. Żelazne mury pokrywały pasma migoczących ogników.

Obserwowana bacznie przez stojących na blankach strażników wspięła się po stromych stopniach do bramy. Gdyby nie wiedziała o tym wcześniej, ich czujność uświadomiłaby jej, że nie może już dłużej zachować całkowitej anonimowości. Mogła jednak postarać się nie zdradzić swej tożsamości.

Kiedy podszedł do niej strażnik uzbrojony we włócznię i długi miecz, żeby zapytać, co ją tu sprowadza, odparła

- Pokażę ci coś niezwykłego. Nie daj po sobie poznać, że jesteś zaskoczony.
Przyglądał się jej sceptycznie. Bądź co bądź, mieszkał w Wieży Zakłęt i zdążył się już napatrzeć na różne cuda.
- Dobrze, pani. Pokaż mi, jeśli sobie tego życzysz.

Rozchyliła na chwilę piwafwi, pozwalając mu ujrzeć w przelocie wiszące na jej szyi insygnia domu Baenre. Wytrzeszczył oczy, ale oprócz tego udało mu się spełnić jej prośbę.

- W czym mogę ci służyć? - zapytał cicho lekko drżącym głosem.
- Chcę dostać się do wieży tak, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi, i chcę porozmawiać na osobności z twoją matką opiekunką.
- Pójdź, proszę, za mną.

Strażnik przeprowadził ją przez bramę, a potem charakterystyczną dla każdego zamku płataniną korytarzy dla służby. Doszli nimi w końcu do przyjemnie urządzonego pokoju, gdzie stały wygodne krzesła z piaskowca, zestaw do gry w szachy z figurkami z krwawnika i obsydianu, a na ścianach widniały freski przedstawiające niektóre demony Lolth.

Eskortujący Quenthel strażnik odszedł, aby poszukać swej pani, a mistrzyni zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Wreszcie drzwi otwarły się i do środka wśliznęła się Zeerith Q'Zorlarrin. Kobieta miała pospolitą i nijaką twarz, ale przykuwała uwagę godną postawą i opanowaniem, które nie zawodziło jej nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach. Jak na opiekunkę odziana była dość prosto i skromnie. Obie księżniczki skłoniły się sobie, po czym Zeerith poprosiła gościa o zajęcie miejsca.

- Gdy Antatlab powiedział mi, że przybyłaś bez eskorty, myślałam, że oszalał - zauważyła opiekunka.

- Czy mogę mieć pewność, że nikomu nie powie o mojej wizycie?

- Jest wystarczająco dyskretny. A teraz czy mogę zapytać, dlaczego tak niespodziewanie zaszczyliłaś mnie swoim towarzystwem?

Quenthel opisała jej wydarzenia ostatnich trzech nocy.

- Gdybym wciąż posiadała moją magię - zakończyła - poradziłabym sobie z łatwością, ale w obecnej sytuacji... potrzebuję pomocy.

Słowa te drażniły ją, ale musiała je wypowiedzieć.

- Dlaczego szukasz jej tutaj? - zapytała Zeerith.

- Xorlarrinowie zawsze popierali Baenre i czerpali z tego zyski. Choćbym nie wiem jak się starała, nie przychodzi mi do głowy żaden rozsądny powód, dla którego mogłabyś pragnąć mojej śmierci, a twój dom może się pochwalić wieloma z najlepszych czarodziejów Menzoberranzan. Więc jeśli muszę już komuś zaufać, bądź to ty. Czy pomożesz mi, matko?

Zeerith nie spieszyła się z odpowiedzią. Quenthel wiedziała, że elfka z zimną krwią kalkuluje, czy pomóc, odmówić pomocy, czy też ją zdradzić. Co jest najbardziej korzystne?

- Sytuacja, w jakiej się znalazłaś, to skandal - odezwała się w końcu Xorlarrin - policzek dla wszystkich kapłanek. Oczywiście, że ci pomogę. Za dziesięć tysięcy talentów w złocie i twoje poparcie, kiedy wszyscy dowiedzą się o sporze mojego klanu z domem Agrach Dyrr.

- Jakim sporze?

- Tym, który wywołałam za kilkanaście dni. Umowa stoi?

Quenthel zacisnęła usta. Gdyby przybyła do Wieży Zaklęć z całym przepychem księżniczki Baenre, Zeerith zastanowiłaby się dwa razy, zanim zaczęłaby stawiać warunki, ale zjawiając się tu incognito, mistrzyni zdradziła, jak bardzo jest zrozpaczona i tym samym przeniosła negocjacje na inny poziom.

- Tak - wyburczała. - Zgadzam się.

- Dziękuję ci za twą hojność. Czego ci potrzeba?

- Co noc - rzekła Quenthel - nowy demon usiłuje mnie zabić, a ja robię wszystko, żeby się przed nim obronić. Jeśli to potrwa dłużej, przyjdzie noc, kiedy to ja zostanę zabita. Muszę zrobić coś więcej. Muszę to zakończyć i mam nadzieję, że twoi magowie wiedzą jak. Przyznaję, że ja nie wiem. Przetrzęsłam skarbiec, każdą skrzynię i szufladę w Arach-Tinilith, ale nie znalazłam niczego, co mogłoby mi w tym pomóc.

- Więc to dlatego przybyłaś w tajemnicy. Chcesz otrzymać oręż, a nie chcesz, żeby twój wróg się o tym dowiedział. W przeciwnym wypadku mógłby przedsięwziąć jakieś środki zaradcze.

- Zgadza się.

Zeerith wstała.

- Zapytamy Horroodissomotha. Jeśli ktokolwiek to potrafi, to tylko on, a po sprawie będzie trzymał gębę na kłódkę.

Kobieta otworzyła drzwi i poleciła Antalabowi, który stał na zewnątrz na straży, sprowadzić opiekuna i czarodzieja domu.

Wkrótce pojawił się Horroodissomoth. Quenthel poczuła na jego widok lekkie obrzydzenie,

ponieważ mag stanowił zaprzeczenie typowego, żywotnego elfa. Miał pobrużdżoną zmarszczkami twarz i przygarbioną postać. Krążyły plotki, że jego zniedołężniały wygląd nie wynikał z podeszłego wieku, lecz był wynikiem jakichś niebezpiecznych magicznych eksperymentów.

Poruszając się sztywno, niemal słyszalnie skrzypiąc, Horroodissomoth uklonił się, po czym, poproszony przez Zeerith, usadowił się na krześle, aby wysłuchać historii Quenthel. Początkowo jego zachowanie zdradzało obojętność, może nawet całkowity brak zainteresowania, ale w jego kaprawych oczkach pojawił się błysk, kiedy dotarło do niego, że jest proszony o rozwiązanie magicznego problemu.

- Hmm - mruknął. - Hmm. Myślę, że mam coś, co ci się przyda. Trochę szkoda mi ci ją oddawać, bo z tego, co wiem, jest unikalna. Nawet my, Xorlarrinowie, nie wiemy, jak wykonać taką samą. Ale z drugiej strony zawsze byłem ciekawy, czy rzeczywiście działa.

* * *

Krążyły plotki, że w odległej przeszłości kobiety z domu Ousstyl skrzyżowały się z ludźmi. Oczywiście elfki z tego domu teraz temu zaprzeczają i zrobiłyby wszystko, co w ich wątłej mocy, żeby ukarać każdego, kto podobne pogłoski rozpowszechnia. Faeryl, spoglądająca na siedzącą naprzeciw niej Talindrę Ousstyl, matkę opiekunkę pięćdziesiątego drugiego domu, gotowa była we wspomniane pogłoski uwierzyć. Talindra była wysoka i wyjątkowo grubokoścista jak na mroczną elfkę. Miała zbyt kwadratową szczękę i nie dość spiczaste uszy. Ale najbardziej wymowne były puste talerze porozrzucone przed nią na stole. Talindra pochłonęła do ostatniego kęska kolację składającą się z siedmiu dań z żarłocznością niższej istoty.

Talindra zakończyła posiłek soczystym beknięciem.

- Przepraszam.

- Ależ nic nie szkodzi - zapewniła Faeryl. Kobiecie wydało się, że usłyszała jakiś łoskot dochodzący z innej części swojej siedziby. Skurczyła się w sobie, ale Talindra wydawała się niczego nie zauważać.

- Cóż - powiedziała opiekunka. - Bardzo smaczne, ale jestem pewna, że zaprosiłaś moją gromadkę na obiad i zabrałaś mnie do swojego prywatnego apartamentu, aby porozmawiać o czymś ważniejszym niż kuchnia.

Faeryl uśmiechnęła się.

- Przejrzałaś mnie. Muszę ci coś wyznać. Nie zawsze poświęcam całą swoją energię interesom Ched Nasad. Od czasu do czasu pracuję wyłącznie nad awansem domu Zuavirr.

- Jak mogłoby być inaczej? - powiedziała Talindra, wznosząc swój złoty kielich. - Zawsze rodzina. Rodzina ponad wszystko.

Faeryl przyłączyła się do toastu. Słodkie deserowe wino zawsze jej smakowało, ale teraz wydało jej się zbyt słodkie, niemal mdłe. Przypuszczała, że winne jest temu jej podenerwowanie.

Emisariuszka odstawiła puchar i powiedziała

- Porozmawiajmy, w jaki sposób nasze rodziny mogłyby stać się dla siebie użyteczne. W Ched Nasad my, Zuavirrowie, jesteśmy sprzymierzeni z domem Mylyl. W najbliższej przyszłości nie może się to zmienić. Ale czas już, by Mylylowie zaczęli podupadać, by ich bogactwa i wpływy przeszły w nasze ręce. Rozumiesz, w czym problem.

Talindra wyszczerzyła zęby.

- Chcesz zaatakować Mylyłów tak, żeby nie zorientowali się, kto jest winny.

- Dlaczego więc nie posłużyć się pośrednikiem?

Gdzieś ktoś wydał z siebie cieniutkie, ciche zawroźwienie. Faeryl stężała, ale Talindra znów nie zareagowała. Na szczęście odgłosy wyrażania bólu były dość częste w siedzibach mrocznych elfów.

- Chcesz, żebym wypożyczyła ci kilku moich mężczyzn - odgadła opiekunka - którzy mieliby odbyć długą, niebezpieczną podróż do Ched Nasad i tam plądrować i zabijać dla ciebie. Ma to sens. Mylylowie nie będą mieli pojęcia, kim są napastnicy, ani że pracują dla ciebie. Ale co ja będę z tego miała? Dlaczego...

Drzwi rozwarły się na oścież. Wojownik, który je otworzył, podszedł do Talindry i wznosił stalową pałkę.

Opiekunka była dla niego zbyt szybka. Wstając gwałtownie z krzesła, obezwładniła go ciosem pięści w szczękę, wyciągnęła zza pasa długi nóż i odwróciła się w stronę Faeryl.

Ambasador chwyciła Pocałunek Matki, który przez cały czas leżał pod stołem. Poderwała się do góry, zawięła młotem bojowym o bazaltowym bijaku i na chwilę zablokowała nacierającą Talindrę.

Przez kilka następnych sekund obie szlachcianki walczyły i żadna nie była w stanie zdobyć przewagi. Nagle Talindra zacisnęła wolną dłoń na okrągłym medalionie przypiętym do stanika sukni. Spomiędzy jej palców rozblęskło czerwone światło.

Gdyby opiekunka zdołała rzucić czar, zmieniłoby to diametralnie przebieg walki. Faeryl musiała zakończyć ją jak najszybciej, może nawet zanim zostanie rzucony pierwszy czar. Natarła na przeciwniczkę, mierząc w głowę i stawiając wszystko na jedną kartę.

Było to lekkomyślne posunięcie i poniosła jego konsekwencje. Sztych sztyletu dźgnął ją boleśnie w zębra, na szczęście nie przebijając kolczugi, którą nosiła pod jedwabną suknią. Pocałunek Matki grzmotnął menzoberranzankę w głowę, obalając ją na ziemię. Jej dłoń ześliznęła się z amuletu, blask zgasł.

W chwilę później do pokoju wpadł następny strażnik.

- Obezwładniliśmy wszystkich, pani.

Wojownik był mężczyzną o surowym wyglądzie, wyszczerbionym siekaczu i złamanym nosie. Faeryl od czasu do czasu wzywała go do swego łóża.

- Świetnie - odparła Faeryl. - Ilu musieliście zabić?

- Tylko jednego, ale moglibyśmy zarznąć pozostałych. Jeśli wolno mi coś powiedzieć, wydaje się to bardziej rozsądnym i mniej kłopotliwym rozwiązaniem niż ich krępowanie.

- To prawda, ale przybyłam tu, aby działać na rzecz dobrych stosunków między Menzoberranzan i Ched Nasad. Chociaż jakiś intrygant udaremnił moje wysiłki, nie zamierzam pogarszać sytuacji, popełniając więcej aktów przemocy niż to konieczne. Twoi żołnierze postąpią tak, jak poleciłam. Rozbierz Ousstylów, zaknebluj ich i zwiąż.

Talindra jęknęła i sięgnęła niezdarnie po swój nóż. Zdumiona, że po ciosie, jaki otrzymała, opiekunka wciąż zdradza oznaki przytomności, Faeryl kopnięciem posłała nóż poza jej zasięg.

- Nie możesz tego zrobić - zaskrzeczała Talindra. - Nie domowi Ousstyl. Jesteśmy potężni i nigdy nie puszczaamy w niepamięć zniewag.

Choć spięta, Faeryl uśmiechnęła się. Arogancja opiekunki była nie na miejscu. Ousstylowie byli na tyle nieznacznym rodem, że nie wiedzieli nawet, iż Faeryl popadła w niełaskę Triel Baenre. W przeciwnym wypadku nigdy nie przyjęliby zaproszenia na ucztę wydawaną przez takiego pariasa.

Faeryl znów zdzieliła Talindrę w głowę, tym razem całkowicie ją ogluszając, po czym ruszyła przez zamek, poganiając swoich podwładnych. Wkrótce wszyscy mieli już na sobie stroje Ousstylów. Po raz pierwszy Faeryl była wdzięczna losowi za to, że ma stosunkowo niewielu ludzi. W przeciwnym wypadku nie udałoby im się zdobyć wystarczającej ilości ubrań.

Ona i jej porucznicy mieli na sobie wytworne stroje dygnitarzy, zaś zwykli żołnierze przywdziali piwafwi i kolczugi ochroniarzy Talindry.

Cudzoziemcy schowali prowiant pod płaszczami. Było go za mało, ale więcej nie dałoby się ukryć. Przy odrobinie szczęścia będą mogli polować i szukać pożywienia na szlaku. Skierowali się do zamkniętej stajni, gdzie Talindra zostawiła swój dryfdysk.

Faeryl zauważyła, że część jej podkomendnych jest bardzo niespokojna. Choć starała się nie dać tego po sobie poznać, sama też była pełna obaw. Czy oszalała, lekceważąc wyraźny rozkaz Triel Baenre, zwłaszcza że jej i jej kapłankom nie zostały już prawie żadne magiczne narzędzia?

Nie. Obłędem byłoby beczynne siedzenie na czterech literach, skoro wiedziała, że Triel prędzej czy później każe ją aresztować. Nawet gdyby Faeryl nie troszczyła się o swój własny los, z każdą godziną coraz bardziej chciała się dowiedzieć, co wstrzymało cały ruch z Ched Nasad, i to nie tylko dlatego, że handel był ważny sam w sobie. Choć wydawało się to absurdem, nie mogła pozbyć się irracjonalnej obawy, że coś złego przytrafiło się samemu Miastu Połyskliwych Pajęczyn.

Musiała się tego dowiedzieć. Każde doniesłe wydarzenie mające wpływ na Ched Nasad mogło poważnie zaszkodzić domowi Zuavirr i osłabić jej własną pozycję. Poza tym, choć nigdy by się do tego nikomu nie przyznała, troszczyła się o swoją ojczyznę przez wzgląd na nią samą. Nie z powodu, jak zapewniała samą siebie, miłości, wierności czy jakiegoś innego miękkiego uczucia niegodnego drowa. Jednak Ched Nasad ukształtowało jej osobowość. Było jej częścią i cokolwiek szkodziło miastu, ją również niepokoiło.

W każdym razie po napaści na swoich gości i ograbieniu ich nie mogła się już wycofać.

Juczne i wierzchowe jaszczury zaczęły syczeć i chrząkać, gdy grupa weszła do stajni. Faeryl gorzko żałowała, że nie może zabrać ze sobą kilku gadów, ale ponieważ Talindra nie wzięła ze sobą żadnych zwierząt, nie wchodziło to w rachubę.

Dryfdysk matki opiekunki był okrągłym, płaskim kamieniem unoszącym się jakąś stopę nad ziemią, do którego przymocowany był tron z kości słoniowej. Urządzenie żarzyło się miękkim białym światłem zabarwionym bardzo słabo zielenią.

Ponieważ to Faeryl przywdziała strój Talindry, to ona wskoczyła na dysk, usiadła na zdobionym, wyściełanym krześle i mentalnie poleciała aparatowi unieść się na odpowiednią wysokość. Przeżyła moment grozy, gdy przez jakiś czas nic się nie działo, i pomyślała, że Ousstyl ustawiła pojazd tak, by nikt prócz niej nie mógł z niego korzystać. Chwilę potem jednak kolidująca platforma uniosła się. Była po prostu powolna. Czego innego można się było spodziewać po wyposażeniu pięćdziesiątego piątego domu.

Dwaj żołnierze Faeryl otwarli na oścież bramę i drużyna wyszła na otwartą przestrzeń. Gdy tylko pozwolili im na to miejsce, podwładni ambasador utworzyli wokół niej należytą kolumnę.

Marszem oddalili się od świecącej fortecy, która przez ostatnie czternaście lat była ich domem, minęli uliczkę, gdzie zginęła Umrae, i poszli dalej. Faeryl nie widziała nigdzie obserwatorów Triel, ale czuła na sobie ich wzrok. Była niemal pewna, że ją rozpoznają.

A może nie. Większość ludzi widziała to, co spodziewała się zobaczyć. Szpiegowie widzieli, jak Ousstylowie wchodzi do rezydencji i teraz widzą, jak drobna szlachta opuszcza ambasadę. Dlaczego komuś miałoby się chcieć przyglądać się im uważniej?

Tak to w każdym razie wyglądało w teorii. W tej chwili założenie to wydawało się Faeryl zbyt wątpliwe, by chciała ryzykować dla niego życiem.

Jej orszak opuścił rezydencję nie niepokoiony przez nikogo, jednak to o niczym nie świadczyło. Obserwatorzy nie wyskoczyliby nagle z ukrycia, żeby samemu zmierzyć się z uciekinierami. Czmychnęliby stąd, aby zebrać grupę wojowników, którzy zatrzymaliby córki i synów Ched Nasad na ulicy.

Dlatego, choć na jej twarzy malowała się odpowiednia mieszanina spokoju i wyniosłości, mięśnie miała sztywne, a w ustach czuła suchość. Na razie zmierzała w kierunku Narbondellynu, gdzie mieściła się skromna cytadela Ousstylów. Właśnie tam powinna się udać zgodnie z oczekiwaniami szpiegów.

Drowy robiły, co mogły, żeby schodzić z drogi matce opiekunce nawet pomniejszego domu. Była im za to wdzięczna. Jednak obciążonych wózków i innych pojazdów tego typu nie dało się tak szybko odciągnąć na bok. Tempo, z jakim oszuści posuwali się naprzód, było z konieczności bardzo powolne, co doprowadzało ją do rozpacz.

W końcu udało im się jednak minąć sam Narbondel, gdzie magiczny żar zdążył się już wspiąć do trzech czwartych wysokości ogromnej kamiennej kolumny. Faeryl dostrzegła fortecę Talindry i poleciała swoim ludziom skręcić. Gdyby rzeczywiście zbliżyli się do cytadeli Ousstylów, jakiś wartownik spoglądający z murów z pewnością przejrzałby ich.

Maszerowali na południe, wciąż przez nikogo nie niepokojeni. Ambasador była pewna, że gdyby ktoś ich ścigał, już by o tym wiedziała. Faeryl wzięła głęboki oddech i powiedziała sobie, że jej fortel się udał. Spróbowała się rozluźnić. Nie była w stanie. Może kiedy dotrze już do Bauthwafu albo, jeszcze lepiej, ucieknie poza terytorium Menzoberranzan...

Trasa cudzoziemców prowadziła na zachodni kraniec wzniesienia Qu'ellarz'orl, którego stoki porastały gęsto ogromne grzyby. W końcu dotarli do jednej ze stu bram, które prowadziły do rozciągających się za miastem tuneli. Menzoberranzan broniło wszystkich, ale to było jakieś pomniejsze wyjście. Strzegło go mniej wartowników niż w przypadku większości pozostałych.

Uciekinierzy zbliżyli się śmiało, jak gdyby mieli prawo oczekiwać, że wartownicy ich przepuszczą. Strażnicy musieli się zastanawiać, dlaczego wysoka kapłanka zakłada elegancki płaszcz oraz suknię i odświętnym środkiem transportu udaje się na wycieczkę do brudnych, niebezpiecznych jaskiń poza miastem, ale kaprys matki opiekunki był w Menzoberranzan prawem. Ukłonili się jej, po czym zabrali za odsuwanie nieporęcznych rygli z granitu i adamantytu - a przynajmniej większość z nich. Jeden z oficerów przyglądał się Faeryl w zamyśleniu. Miał lisią twarz zdradzającą poczucie humoru i był niższy niż większość elfów, co najwidoczniej nie przeszkadzało mu we władaniu ciężkim mieczem, który zwisał mu z pendentu. Chociaż nosił broń wojownika, wymienił kolczugę - która mogła przeszkadzać w rzucaniu czarów wtajemniczeń na płaszcz i kaftan posiadające niezliczone kieszenie, które świadczyły o tym, że jest czarodziejem. Najwidoczniej był zarówno czarodziejem, jak i wojownikiem. Kiedy spojrziała

mu prosto w twarz, uklonił się z szacunkiem, ale gdy tylko odwróciła głowę, znów zaczął się jej przyglądać.

Odwróciła się i zapytała

- Kapitanie, czy tak?

Niski mężczyzna zsalutował żwawo.

- Kapitan Filifar, pani, do usług.

- Podejdz, proszę.

Filifar wykonał rozkaz. Jeśli jego zachowanie zdradzało rezerwę, to widać ją było tylko w jego oczach. Dwa gigantyczne pająki wyryte na skrzydłach bramy poruszyły się niemal niezauważalnie. Faeryl uświadomiła sobie, że wyjdą z rzeźby i będą za niego walczyć, jeśli im rozkaże.

- Wyglądasz na inteligentnego mężczyznę - powiedziała, spoglądając na niego z wysokości swojego dysku.

- Dziękuję ci, pani.

- Być może otrzymałeś rozkazy - ciągnęła - zatrzymania delegacji z Ched Nasad.

- Nie, pani.

Ręka Filifara drgnęła nieznacznie. Mężczyzna chciał sięgnąć po rękojeść miecza albo po jeden z komponentów trzymany w kieszeniach.

- Twoi podkomendni wysłuchali poleceń i na tym poprzestali, ale nie taki sprytny młodzieniec jak ty. W jakiś sposób udało ci się dowiedzieć, jak wygląda ambasador, aby mieć pewność, że ją rozpoznasz, jeśli się tu pojawi.

Filifar zacisnął usta.

- Pani - powiedział. - Moi ludzie są dobrze uzbrojeni i dobrze wyszkoleni. Musiałaś też zauważyć pająki wykute...

Uniosła dłoń.

- Nie denerwuj się, kapitanie. Nie chcę twojej krzywdy. Jesteśmy tylko dwojgiem menzoberranzańczyków prowadzących niezobowiązującą rozmowę dla zabicia czasu, jaki zajmie twoim ludziom otwarcie bramy.

- Przykro mi, pani, ale teraz, kiedy zobaczyłem cię z bliska, nie mogę na to pozwolić.

Zrobił dwa ostrożne kroki do tyłu, cofając się poza jej zasięg, po czym zaczął się odwracać, żeby wykrzyczeć rozkazy.

Znieruchomiał na widok pokazanej mu przez Faeryl krzykliwej rubinowej broszy, będącej niegdyś własnością Talindry.

- Mówiłam, że jesteś inteligentnym młodzieńcem, kapitanie Filifar, ale nie wierzę, żebyś był bogaty. Nie nosisz klejnotów, a twoje ubranie wykonane jest ze zwyczajnego materiału.

- Masz rację, pani. Fortuna nie sprzyjała mi do tej pory.

- Może zacznie.

Faeryl zaczęła wyciągać ozdobę za ozdobą, które jej ludzie ukradli Ousstylom, a także własne klejnoty. Ułożyła je sobie na kolanach, a nadliczbowe położyła na bladym, świejącym brzegu dysku.

- To dość klejnotów, żeby poprawić los twój i twoich podkomendnych.

Filifar zawahał się, zanim odpowiedział.

- Pani, powiedziano mi, że sama opiekunka Triel życzy sobie, żeby cię zatrzymano. Sprzeciwianie się Baenre to nie przelewki.

- Powiedz po prostu, że Zuavirrowie nie przeszli przez tę bramę, a nawet jeśli, nie rozpoznałeś ich. Nikt nie dowie się, że było inaczej.

Kiwnął głową.

- Dobrze. Do licha, dlaczego nie?

Zdjął piwafwi, żeby zrobić z niego prowizoryczną torbę. Do środka wrzucił klejnoty. Niektórzy żołnierze zauważyli, co robi ich kapitan, i podbiegli, aby zbadać sprawę.

Kiedy Faeryl znalazła się już za bramą, zeszła z dysku. Majestatyczny pojazd był zbyt powolny. Ona i jej drużyna szybkim krokiem przebyli w większości nie poddane obróbce korytarze na obrzeżach terytorium Menzoberranzan i minęli stanowiska myśliwych oraz kopalnie adamantytu, kierując się ku naprawdę dzikim terenom.

Faeryl uzmysłowiła sobie, że uśmiecha się od ucha do ucha. To było absurdalne. Właśnie zapłaciła królewski okup w klejnotach, Triel miała wysłać za nią wojsko, a ona sama była przekonana, że

czyha na nią jakieś groźne niebezpieczeństwo, ale przez chwilę żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Faeryl przechytryła swoich wrogów i w końcu, po czternastu latach, wracała do domu.

Uciekinierzy wyszli zza zakrętu i ze ścian tunelu tuż przed nimi wyłoniły się ciemne postacie. Zuavirr odwróciła się, chcąc rzucić się do ucieczki. Cienie były również za nimi.

* * *

Na obrzeżach terytorium Menzoberranzan Valas Hune wyczuwał prawdziwą dziczą, która rozciągała się dalej. Czuł jej rozległe, przypominające labirynt przestrzenie i słyszał jej wymowne milczenie. Czuł zapach i smak różnych odmian skał i wyobrażał sobie, jak wymyka się do tego świata bez granic.

Jeśli chodzi o mrzonki, ta nie była całkowicie niedorzeczna. Większość mrocznych elfów obawiała się podróżować po Podmroku, chyba że miała ku temu dobry powód i towarzyszyła im zbrojna eskorta. Brakowało im jednak umiejętności, które on zdobywał przez dziesięciolecia i które uczyniły go jednym z najlepszych zwiadowców Menzoberranzan.

Niski, żyłasty mężczyzna w obszarpanym stroju wędrowca lubił przemierzać podziemny świat samotnie. Rozkoszował się jego cudami, spokojem i wolnością. Czasem, kiedy zmitrężył w obozie zbyt wiele czasu, czuł, że pomimo luksusów Menzoberranzan woli takie życie od pełnej zmagania i knowań egzystencji innych drowów. Pragnął wyruszyć na wyprawę, która pozwoliłaby mu przemierzać odludne pustkowia. Rozważał możliwość ucieczki.

Usłyszał, że nadchodzą Zuavirrowie i odsunął od siebie to marzenie. Czy mu się to podobało, czy nie, dziś jego misja nie polegała na wędrowaniu po dzikich ostępach. Miał za zadanie pokierować swoimi ludźmi, najemnikami Bregan D'aerthe, przy pojmaniu Faeryl Zuavirr i jej podwładnych.

Tak to w każdym razie wyglądało w teorii. Prawdę powiedziawszy, nie musiał wydawać żadnych rozkazów. Wojownicy z Ched Nasad byli bez wątpienia wyszkoleni w walce, ale najemnicy, którzy wypadli tłumnie z ukrycia, wzięli ich z całkowitego zaskoczenia, po czym przeszli do zarzynania ich z morderczą skutecznością.

Kiedy Valas miał już pewność, że jego oddział zwycięży, zaczął szukać samej Faeryl. Niski wzrost i wrodzona zwinność pozwalały mu się bezpiecznie przemykać wśród walczących.

Spostrzegł kapłankę, gdy właśnie zabiła jednego z jego podkomendnych. Mózg i włosy martwego mężczyzny oblepiły bazaltowy bijak jej bojowego młota.

- Pani ambasador - zawołał Valas. - Mam rozkaz wziąć cię żywcem, jeśli to możliwe.

Kobieta odpowiedziała mu przekleństwem. Nie winił jej za to. Na jej miejscu też nie chciałby zostać dostarczony żywcem matce opiekunce Baenre.

Zważył w dłoni jeden z bliźniaczych kukri - zakrzywionych paskudnie sztyletów - i obrócił w palcach mały mosiężny owal - jedną z błyskotek ozdabiających jego płaszcz i tunikę.

Zbierał amulety i brosze różnych ras i cywilizacji zamieszkujących Podmrok. Większość ozdób wykonanych zgodnie z zasadami obcej estetyki mogła się wydawać drowowi brzydka i prymitywna, ale nie nabył ich dla ich wyglądu, nie były to też zwykłe pamiątki. Każda ozdoba zawierała inne zaklęcie.

Trzy odbicia, trzy jego dokładne kopie, pojawiły się wokół niego. Zbliżył się do Faeryl, a fantomy ruszyły wraz z nim.

Ambasador wpatrywała się w nie dzikim wzrokiem, starając się odróżnić prawdziwego Valasa od fałszywego. Kiedy zadała cios, trafiła fantom znajdujący się z lewej strony maga.

Iluzja znikła pod dotknięciem i w tej samej chwili zwiadowca skoczył. Faeryl nie była w stanie osłonić się na czas. Mężczyzna podciął jej nogi, powalając ją na ziemię, a potem kopnął ją kilka razy w głowę. Drowka zwiotczała.

ROZDZIAŁ 16

Śmiech niósł się echem przez oświetlone świecami korytarze Arach-Tinilith. Quenthel zmarszczyła brwi. Spodziewała się, że coś się wydarzy. Prawdę mówiąc, nie mogła się tego doczekać. Nie spodziewała się jednak wybuchu wesołości i nie potrafiła odgadnąć, co to mogło oznaczać.

Ruszyła naprzód, a jej patrol za nią. Kapłanki wydawały się spięte, ale nie tak niechętnie jak zeszłej nocy. Los Drisnil, Molvayas i pozostałych intrygantek przekonał pozostałe przy życiu elfki, że Quenthel wciąż cieszy się przychylnością Lolth, a przynajmniej do tego samego wątpliwego stopnia, co reszta porażonych niemocą kapłanek.

Śmiech wciąż rozbrzmiewał, aż w końcu ekipa poszukiwawcza odnalazła jego źródło. Przed jednym z mniejszych ołtarzy bogini klęczała pochylona jedna z nowicjuszek. Pomimo parkosyzmów wesołości dziewczyna palcem wskazującym pewnie kaligrafowała na podłodze wdzięczne linie. Quenthel nie potrafiła powiedzieć, czego dziewczyna używała jako barwnika, dopóki ta nie podniosła dłoni do twarzy jak malarz maczający pędzel w kubku z farbą. Nowicjuszka wykuła sobie oczy, ale to wcale nie przeszkadzało jej w pisaniu.

Mistrzynie podeszła bliżej, aby przyjrzeć się smugom krwi. Pomimo całej swej erudycji nie potrafiła odczytać znaków, czuła jednak zawartą w nich moc. Jednocześnie przyciągały ją i odpychały, jak gdyby mogły wyrwać z ciała elfki jej ducha albo jego część.

Oderwała oczy od symboli i machnęła biczem. Żmije wgrzyły się w plecy bezokiej dziewczyny, zatapiając w nich swe jadowite kły. Nowicjuszka zwała się na podłogę, martwa lub po prostu nieprzytomna. Quenthel specjalnie to nie obchodziło.

- Mistrzynie, co ona pisała? - zapytała Jyslin.

- Nie wiem - przyznała Quenthel, rozmazując glify palcem u nogi. - Coś w tajemnym języku Otchłani. Mogła w ten sposób rzucić zaklęcie, dopilnowałam więc, żeby nie skończyła.

- Co jej się stało? - zapytała Minolin.

Quenthel wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że Fey-Branche nie okazała się, czego można się było spodziewać, jedną ze zdrajczyń.

- Tego też nie wiem - odparła mistrzyni Arach-Tinilith. Tak naprawdę domyślała się, ale jeszcze nie miała pewności. - Idziemy dalej.

Piętnaście minut później goniec wysłany przez oddział stacjonujący w trzecim odnózu pająka doniósł Quenthel, że jedna z członkiń patrolu oszalała. Quenthel sama chciała ją zobaczyć. Oczekiwała wykłutych oczu i krwawego pisma.

Ale ten nowy obłęd przejawiał się w nieco inny sposób. Ofiara schroniła się, jeśli można to było tak określić, w małej bibliotece zawierającej głównie stęchłe rozprawy traktujące o sztuce wojennej i wszelkich jej aspektach. Siedziała na podłodze w kącie, pomiędzy dwoma wysokimi regałami z piaskowca, kiwając się i pojękując.

Quenthel pochyliliła się, wepchnęła pięść pod brodę dziewczyny i zmusiła ją do podniesienia głowy.

- Rilrae Zoland! Co ci jest? Co się stało?

Twarz Rilrae była pozbawiona wyrazu i nic nie wskazywało na to, że dziewczyna rozumie, co się do niej mówi. Po policzkach spływały jej łzy. Pachniała smarkami i kiedy oddychała, słychać było, że ma zatkany nos. Nie odpowiedziała na pytanie Quenthel, podjęła tylko słabą, nieskuteczną próbę odwrócenia twarzy.

Mistrzynie westchnęła i puściła ją. Widziała już przypadki takie jak Rilrae, na ogół w lochach albo w sali tortur. Młodsza kapłanka przeżyła coś na tyle nieprzyjemnego, że wycofała się w głąb własnego umysłu. Gdyby Quenthel wciąż posiadała moc darowaną jej przez Lolth, albo miała przy sobie odpowiednie wyposażenie, może byłaby w stanie wyrwać Rilrae z delirium, ale w obecnej sytuacji beużyteczna istota nie mogła jej udzielić żadnych informacji. Rozdrażniona Quenthel niemal wyładowała swoją frustrację na Rilrae, częstując ją smagnięciem bicza, ale nie chciała uchodzić w oczach swoich podwładnych za roztrzęsioną lub zaniepokojoną.

Poprowadziła patrol dalej, aż w końcu w jednym z korytarzy znalazła rozciągniętą na ziemi samobójczynię z pianą na ustach. Drowka wciąż ścisnęła w dłoni pustą buteleczkę po truciznie.

Zza drzwi kilka jardów dalej wypadła jedna ze studentek drugiego roku. Tocząc wściekłym wzrokiem i drżąc, rozwinęła jakiś zwój możliwe, że jeden z tych, które Quenthel sama wydała ze

świętynnej zbrojowni - i zaczęła wykrzykiwać zapisane na nim słowa. Baenre rozpoznała frazę-wyzwalacz zaklęcia przyzywającego pewien rodzaj demona zarazy. Sięgnęła więc po kuszę ręczną i nacisnęła spust. Pozostałe elfki zrobiły to samo. Grad zatrutych strzał podziurawił zwój i nowicjuszkę. Ta przewróciła się na wznak, roztrzaskując sobie głowę o posadzkę z kalcytu. Zaklęcie, któremu do aktywacji brakowało jeszcze kilku sylab, rozproszyło swoją moc w niegroźnym rozbłysku czerwonego światła.

Quenthel zaczęła dostrzegać w tych wydarzeniach pewną prawidłowość. Jakaś moc atakowała elfki i doprowadzała je, mniej lub bardziej, do szaleństwa. Opętane drowki oddalały się od swoich towarzyszek, aby móc dać wyraz swemu szaleństwu w jakiś przedziwny sposób.

Dziwne było to, że towarzyszki ofiary nigdy nie zauważały samego ataku, a także to, że demon atakował tylko jedną członkinię grupy, a nie wszystkie - czy może raczej to, że w ogóle atakował którąkolwiek z nich, zważywszy na fakt, że poprzedni intruzi atakowali tylko te niższe rangą kapłanki, które starały mu się przeszkodzić.

Wzorzec, według którego niewidzialny demon wyszukiwał swoje ofiary, był równie kuriozalny. Miejsce i kolejność ataków wydawała się świadczyć o tym, że istota przenosi się na chybił trafił z jednego końca świątyni na drugi.

- Mistrzynie - odezwał się Yngoth. - Wiem, co się dzieje.

Podobnie jak ja - odpowiedziała Quenthel. - Chciałam się tylko upewnić. - Odwróciła się do Minolin. - Fey-Branche.

- Tak? - spytała Minolin.

- Powierzam ci dowództwo nad resztą kapłanek. Ewakuujesz świątynię. Zabierz stąd wszystkie, które są przy zdrowych zmysłach, a także te szalone, ale tylko jeśli da się to zrobić sprawnie.

Księżniczka Fey-Branche zamruwała.

- Mistrzynie, wierzymy w twój autorytet - powiedziała. - Nie boimy się zostać przy tobie.

- Jestem wzruszona - zadrwiła Quenthel - ale to nie jest żadna próba. Chcę, żebyście odeszły.

- Wielebna matko - wtrąciła się Jyslin. - Co się dzieje? Jaki demon nawiedził świątynię dzisiejszej nocy? Skrytobójca? Czy otruł nasze siostry, żeby postradały zmysły?

- Nie - odparła Baenre. - Nie w taki sposób, jaki masz na myśli.

- W takim razie...

- Idźcie! - wściekła się Quenthel. - Minolin, mówiłam ci, żebyś je stąd zabrała.

- Tak, mistrzyni.

Fey-Branche szybko uformowała szyk i odprowadziła nowicjuszki. Kiedy znikły, korytarz wydał się nagle bardzo cichy.

- Mistrzynie - odezwał się Hsiv. - Czy to rozsądne je odsyłać?

- Poddajesz w wątpliwość moją ocenę sytuacji?

Żmija drgnęła.

- Nie!

- Chciałeś mnie chronić, więc ci daruję. Tym razem. Oddaliłam dziewczęta, bo nie mogę mi pomóc, a chciałabym mieć jakieś podwładne, gdy cała ta idiotyczna historia się skończy.

- Mogły ochronić cię przed kolejną niedoszłą skrytobójczynią.

- Miejmy nadzieję, że jeśli Minolin ewakuuje wszystkich, więcej ich się nie pojawi. Poza tym po co, na pajęczynę demonów, stworzyłam ciebie?

Yngoth, któremu w zielonkawym świetle świec lśniły łuski, uniósł się i skręcił, aby spojrzeć Quenthel w twarz.

- Pani - zasyczała żmija. - Czujemy się skarceni. Będziemy cię strzec. Co chcesz zrobić?

- Zaczekać i przygotować się.

Znalazła klasę, gdzie stał dość wygodny fotel nauczycielski, którego wysokie wapienne oparcie wycięte było na kształt stylizowanego pająka o krótkich i grubych odnóżach. Usiadła, złożyła bicz u swoich stóp, wyjęła z sakwy cienką różdżkę z wypolerowanej białej kości i położyła ją sobie na kolanach, trzymając za oba jej końce.

Zamknawszy oczy, zaczęła wykonywać ćwiczenie oddechowe. Po kilku uderzeniach serca zapadła w medytacyjny trans. Uważała, że będzie jej potrzebna maksymalna jasność umysłu, aby zmierzyć się z dzisiejszym demonem, bowiem domysły Jyslin były błędne. Intruz nie uosabiał sztuki skrytobójstwa ani ducha drowiej rasy. Ucieleśniał pojęcia zła.

Zdradzieckie elfy ze Świata Ponad utrzymywały, że nienawidzą zła. Zdaniem Quenthel w rzeczywistości bały się tego, czego nie rozumiały. Dzięki naukom Lolth drowy rozumiały zło, a rozumiejąc, opowiadały się za nim.

Bowiem zło, podobnie jak chaos, było jedną z podstawowych sił stworzenia, obecną zarówno w makrokosmosie wielkiego świata, jak i mikrokosmosie pojedynczej duszy. Tak jak chaos stanowił źródło możliwości i wyobraźni, tak zło rodziło siłę i wolę. Sprawiało, że czujące istoty dążyły do zdobycia bogactw i władzy. Pozwalało im ujarzmić, zabijać, grabić i oszukiwać. Pozwalało im robić wszystko, co konieczne, żeby poprawić własną pozycję bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zło było tym samym odpowiedzialne za istnienie cywilizacji i każdy wielki czyn dokonany kiedykolwiek przez jakiegokolwiek bohatera. Bez niego ludy świata żyłyby jak zwierzęta. To niesamowite, że tyle ras, zaślepionych fałszywymi religiami i filozofiami, straciło z oczu tą oczywistą prawdę. W przeciwieństwie do nich mroczne elfy oparły na niej prawa swojego społeczeństwa i była to jedna z przyczyn, dla których górowały nad wszystkimi innymi rasami.

Paradoksalnie, dotyk czystego, czarnego serca tej najmroczniejszej ze wszystkich sił mógł być zabójczy, podobnie jak najwyższym wyrazem pokrzepiającego ciepła był spopielający ogień. Nawet ci, którzy spędzili życie na czczeniu zła, na ogół tak naprawdę nie pojmowali jego bezgranicznego, płonącego morza, szalejącego poza granicami materialnego świata. I bardzo dobrze. Nawet przelotne spojrzenie mogło wyjawiać sekrety zbyt wielkie i przerażające dla przeciętnego umysłu. Jego dotyk mógł unicestwić zdrowie psychiczne, a nawet tożsamość. Zagrożenie było na tyle poważne, że większość czarodziejów obawiała się bezpośredniej konfrontacji. Woleli obcować ze złem z pewnej odległości, poprzez kontakty z diabłami i nieumarłymi, którzy je ucieleśniali.

Wszystko wskazywało jednak na to, że nieznaną wróg Quenthel był wyjątkiem. Sięgnął do samego źródła i zaczerpnął z niego moc, która się w nim kryła.

Demon był obecnie istotą niematerialną, czystym umysłem. Właśnie dlatego wydawał się działać w tak chaotyczny sposób - nie poruszał się w przestrzeni fizycznej, medium, w którym nie istniał, lecz ze świadomości do świadomości, z głowy do głowy. I przez ten intymny kontakt zatrąwał swych gospodarzy, nawet jeśli nieszczególnie mu na tym zależało. Przepędzał ich mrokiem zbyt wielkim i potężnym, by mogli go objąć swymi małymi umysłami.

Przez cały czas szukał Quenthel, żeby pokazać jej największe możliwe zło.

Modliła się, żeby udało jej się wytrzymać jego jad choć przez sekundę, zanim rzuci czar Xorlarrinów. Musiała. Ponieważ demon był niewidzialny i niematerialny, wiedziała, że dopiero wtedy, gdy ją zaatakuje, będzie mogła być pewna, iż jest już wystarczająco blisko, żeby talizman zadziałał.

Aby mieć pewność, że rzeczywiście wykryje jego obecność, zapadła w jeszcze głębszy trans. Zaczęła być świadoma rytmu wznoszenia się i opadania własnej klatki piersiowej i syku, z jakim powietrze wydostawało się z jej płuc. Była świadoma rytmicznego bicia serca i szumu krwi płynącej arteriami. Zdawała sobie sprawę z nacisku pośladków i kręgosłupa na krzesło. Wyczuwała powiew chłodzący lewą stronę jej twarzy. Dotyk zmij wyczuwała nawet przez buty. Magiczne istoty poruszały się niespokojnie, ocierając się o jej stopy i kostki.

Jednak żadne z tych doznań nie miało szczególnego znaczenia. Były tak jaskrawe tylko dlatego, że weszła w stan całkowicie beznamiętnego spokoju i tym samym była otwarta na wszelkie bodźce. W tym stanie będzie również świadoma wydarzeń dziejących się w umyśle i duszy.

Pamiętała, jak zdobyła tę umiejętność podczas własnego nowicjatu w Arach-Tinilith. Wszystkich sztuk objawionych uczyła się bardzo szybko. Był to jeden ze znaków, że Lolth przeznaczyła ją do wielkości. Ale opanowanie tej konkretnej umiejętności przyszło jej stosunkowo trudno. Zdaniem Vlondril, która nie miała jeszcze wtedy zmarszczek, ale już wykazywała oznaki obłądu, Quenthel miała zbyt dynamiczny charakter. Nie miała wrodzonej skłonności do bycia bierną.

Baenre uświadomiła sobie nagle, że te myśli wybijają ją z pożądanego stanu. Vlondril powtarzała, że zawsze tak jest. Umysł nie chce się wyciszyć. Chce paplać. Quenthel po raz kolejny wzięła powoli głęboki wdech, wypuściła powietrze przez usta, a wraz z nim ten natrętny wewnętrzny głos.

Czas płynął. Pograżona w medytacji nie wiedziała, ile czasu minęło, ale też ją to nie obchodziło. W świątyni panowała grobowa cisza, co musiało oznaczać, że prawie wszyscy ją opuścili, a może, w kilku przypadkach, zginęli.

Stopniowo do Quenthel docierało, że jej trans nie jest doskonały. Martwa cisza, dowód na to, że wszelkie nauki, modlitwy i rytuały ustały, lekko ją drażniła i kobieta wątpiła, by była w stanie wyzbyć się

tej ostatniej krztyny uczucia. Za bardzo zależało jej na roli mistrzyni Arach-Tinilith. Przybyła do Akademii z niezłomnym zamiarem uczynienia jej wspanialszą i bardziej skuteczną niż kiedykolwiek w przeszłości. W ten sposób chciała uhonorować Lolth i udowodnić, że nadaje się, by któregoś dnia objąć rządy nad całym miastem. Zamiast tego kierowała instytucją, która przestała funkcjonować. Straciła również wiele podwładnych.

Na myśl o tym, ile jej szlachetnie urodzonych siostr będzie ją za to winić, zalewała ją żółć, ale wiedziała, że to nie jej wina. Była to w dużej mierze wina samych nauczycielek i studentek. Większość tych, które zginęły, zasłużyła sobie na śmierć swym idiotycznym buntem, i tak właśnie powinno być. Zdrajczynie złamały nakazy Lolth.

Kiedy zastanowiła się nad tym, przyszło jej do głowy, że prawdziwe nieszczęście polegało na tym, iż takie słabeuszki jak Jyslin i Minolin przeżyły. Kobiety były tchórzliwe i marudne, a przeżyły tylko dlatego, że wcielenie zła nie zbliżyło się do nich, a ona sama wysłała je w bezpieczne miejsce. Możliwe, że był to błąd.

Quenthel uświadomiła sobie, że znów rozmyśla. Siłą woli przerwała wewnętrzny monolog. Na kilka sekund.

Ale, tak jak uczyła ją Vlondril, piekielnie trudno było stać się biernym, jeśli starało się to osiągnąć. Poza tym Quenthel rozważała ważne kwestie, nowe spostrzeżenia, które miały pokierować jej krokami w nadchodzących dniach.

Jeśli zachowanie przy życiu nawet najbardziej beużytecznych owieczek z jej trzódki było błędem, to przynajmniej takim, który mogła naprawić. Już zamordowała buntowniczkę. Jakże proste byłoby zaszlachtowanie tych, którym nawet nie starczyło odwagi, żeby się zbuntować. Wyobraziła sobie, jak przechadza się między swoimi podwładnymi, spogląda im w oczy i chłoszcze biczem za każdym razem, gdy dostrzeże w nich niedoskonałość. Stan transu ułatwiał wizualizację, a wyobrażenie było niemal równie żywe jak rzeczywistość. Czula zapach krwi obryzgującej jej twarz. Mięśnie ręki dzierżącej bicz napinały się i rozluźniały.

Może zabić każdego, jeśli okaże się to konieczne. Sprawi jej to przyjemność, a kiedy duchowieństwo będzie już oczyszczone i silne, może Lolth zgodzi się przemówić.

Jeśli nie, może to oznaczać, że oczyszczenia wymaga całe Menzoberranzan, zaczynając od pierwszego domu. Quenthel odbierze tron Triel - nie za sto lat, ale teraz, i niech szlag trafi przygotowania. Potem, zaraz następnego dnia, ona i jej krewne rozpoczną wojnę, której celem będzie eksterminacja tych wszystkich, którzy z fałszem w sercu lub niewystarczająco gorliwie służyli bogini i jej wybranej prorokini.

Byłoby to wspaniałe, a mogło zacząć się już teraz, gdy tylko odnajdzie pierwszego słabeusza. Jej palce zacisnęły się na rączce bata, a raczej spróbowały, przypominając jej, że w rzeczywistości trzyma cienką kościaną różdżkę.

Zupełnie zapomniała o tym magicznym artefakcie, a także o demonie. Do głowy przychodziło jej tylko jedno wytłumaczenie. Pomimo jej czujności demon zdołał osiągnąć ją bez jej wiedzy.

Gdyby nie demon podobne myśli nigdy nie przyszłyby jej do głowy. Zabić własne podwładne? Spróbować zamordować Triel, nie obmyśliwszy uprzednio żadnej strategii? Walczyć ze wszystkimi domami w mieście naraz?

To nie perspektywa masowej zagłady ją przerażała - wojna i tortury były prawem przysługującym jej od urodzenia, a często i rozkoszą. To było zło pozbawione sensu, szaleństwo, które musiało zniszczyć ją, a niewykluczone, że wraz z nią nawet dom Baenre.

Ale czy miało to jakieś znaczenie? Wyczuwała ekstazę ukrytą w wyzbyciu się wszelkich hamulców. Gdyby na to pozwoliła, demon uczyniłby ją wielką, a gdyby nawet zginęła godzinę później, co za różnica? Ten krótki okres czasu mógł jej dać więcej radości niż wieki monotonnego życia.

Przez dłuższą chwilę wahała się, niepewna, czy użyć różdżki, czy też odrzucić ją, podnieść bicz i udać się na łowy. W końcu jedna okoliczność pozwoliła jej wybrać tę pierwszą możliwość. Bez względu na to jak słodka wydawała się pokusa stania się czystą i transcendentną istotą, podobna decyzja oznaczała poddanie się woli jej widmowego wroga, zgodę na to, by jakiś bezimienny czarodziej zdominował ją, przetransformował, a w końcu unicestwił. Quenthel Baenre nie mogła się pogodzić z porażką.

Zamiast tego złamała kościaną różdżkę na pół.

Chwilę później poczuła niezwykłą lekkość i jasność umysłu, znak, że demon ją opuścił, co rzeczywiście potwierdziły jej oczy. Istota, wreszcie słabo dostrzegalna - zdeformowany cień nie

posiadający źródła - przez sekundę unosiła się przed nią, po czym, nie odwracając się ani nie poruszając żadną z amorficznych kończyn, oddaliła się z szybkością strzały wypuszczonej z łuku. Zrobiła się maleńka jak kropka i znikła.

Quenthel poczuła ukłucie żalu, ale tylko przez chwilę. Potem uśmiechnęła się.

* * *

Gromph siedział przed jednym z zaklętych okien swojej ukrytej komnaty. Stopy skrzyżował na podnóżku, a w dłoni trzymał kryształowy puchar z winem. Otworzył na oścież przedziwnie rzeźbione okiennice z kości słoniowej. Przypuszczał, że musi wyglądać jak uosobienie spokoju oczekujące przyjemnej rozrywki.

Taką miał nadzieję, ale wbrew sobie arcymag Menzoberranzan zaczynał się już przyzwyczajać do rozczarowań.

Poszukiwania zbiegłych mężczyzn nie posunęły się ani o krok do przodu. Jego widzenia były tak niejasne i sprzeczne, że aż bezużyteczne. Najwyraźniej ubiegł go jakiś zdolny czarodziej. Jego prawdziwi szpiedzy nie tylko nic nie zdziałali, ale dali się udusić w Eastmyrze nieznanym sprawcom. Jediną pociechą, jeśli można to było tak nazwać, była dla niego świadomość, że jego przynęta jest wciąż na wolności, zaprzatając uwagę kapłanek. Jednak powód, dla którego Pharaun Mizzrym uznał za stosowne zmasakrować patrol Akademii, przerastał zdolność pojmwania Grompha.

Czarodziejowi Baenre nie udało się też zabić Quenthel. Przez kilka ostatnich nocy wysyłał przeciwko niej przyzwane przez siebie sługi, po czym siadał przed oknem, aby przyglądać się, jak wykonują jego rozkazy. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, jego siostra, nawet pozbawiona swej magii, unieszkodliwiła pierwsze trzy duchy, a także zdrajczynię, które sam podburzył. Jak jakiś nieudacznik w farsie zdołał usunąć tylko kilka mniej znaczących kleryczek, przeciwko którym nic nie miał i które, gdyby żyły, przyczyniłyby się do wzmocnienia Menzoberranzan i domu, który je kontrolował. To był jakiś obłąd.

Tej nocy, modlił się w duchu, wszystko będzie inaczej. Quenthel, jak się okazało, potrafiła unieszkodliwiać duchy, które miały choć pozór materialnej postaci, ale musiała ulec napastnikowi, który wślizgnął się niepostrzeżenie w jej umysł.

Zaczarowane okno pozwalało Gromphowi widzieć wewnątrz Arach-Tinilith tak, jak gdyby znajdowało się w odległości zaledwie kilku stóp. Mag patrzył, jak jego siostra wraz z oddziałem napotyka nieszczęsne kapłanki, które duch zdążył już natchnąć złem potężniejszym niż jakikolwiek śmiertelnik, nawet mroczny elf, był w stanie znieść. Szukał jakichś oznak, które świadczyłyby o tym, że Quenthel zaczyna się bać. Nawet gdyby dała to po sobie poznać w ledwie zauważalny sposób, brat byłby w stanie to dostrzec.

Nie udało mu się, zaś Quenthel kazała w końcu swoim podwładnym ewakuować świątynię, a sama usiadła i pogłężyła się w medytacji.

Arcymag zasępił się. Najwyraźniej ta władca dziwka odgadła, co się dzieje, i w pewnym sensie zareagowała prawidłowo. Ale to nie powinno mieć żadnego znaczenia. On wytrzymał kontakt z ostateczną istotą zła, ale on był największym czarodziejem na świecie i przedsięwziął pewne środki ostrożności. Quenthel nie mogła powiedzieć tego o sobie.

Po pewnym czasie jej rysy wykrzywił wyraz najdzikszego okrucieństwa. Gromph krzyknął triumfalnie, bowiem duch wyraźnie nią zawładnął. Nie zanosilo się na to, by padła trupem wskutek wylewu lub popełniła samobójstwo, ale nie miało to znaczenia - była skazana. Wyzbywszy się własnej osobowości, trawiona żądzą poniżania i niszczenia, musiała sprowokować kogoś, żeby ją zabił.

Nagle przelamała na pół cieniutką białą różdżkę, wyzwalając magię, która wyrzuciła z niej ducha. Gromph, pomimo całej swojej wiedzy, nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego. Przybierając zaledwie cień namacalnej postaci, jego wysłannik uciekł.

Czarodziej Baenre zerwał się z krzesła i roztrzaskał puchar o ścianę. Zaklął plugawo, a złość w jego słowach, wprawiająca w drganie powietrze przesycone zapachem czarnego lotosu, sprawiła, że zielonkawe płomyki nigdy nie gasnących świec zamigotały.

Usiłując odzyskać panowanie nad sobą, przekonywał sam siebie, że nie ma to znaczenia. W końcu ją dostanie. Będzie wysyłał przeciwko niej istotę za istotą, dopóki...

Ale co się stało z duchem? Związany rozkazem Grompha powinien był atakować raz za razem,

dopóki nie obali filarów, na jakich opierał się rozsądek Quenthel, albo dopóki ona go nie zniszczy. Zamiast tego uciekł.

Nieznana mu magia mistrzyni zerwała więź - to było jasne - ale gdzie podział się stwór? Wrócił do swojego świata? Możliwe, ale coś - lekko przyspieszone tętno, a może leciutkie mrowienie karku - sprawiło, że Gromph zapragnął to sprawdzić.

Okno spełniło jego wolę. Otoczony jego prostokątną ramą duch, wciąż widzialny, może równie namacalny jak dym, na wpół leciał, na wpół sadił jednym z labiryntowych korytarzy Sorcere. Intruz uaktywnił jedną z osłon ochronnych, która przeszła go krzyżującymi się snopami żółtego światła, ale wyrwał się i popędził dalej. Mistrz wyjrzał zza drzwi swojego sanktuarium, spostrzegł upiora, zaczął rzucać zaklęcie, ale intruz powstrzymał go machnięciem ciemnej łapy. Cios nie rzucił czarodziejem w tył, nie zostawił żadnych śladów, ale mężczyzna zwałił się na ziemię jak kłoda.

Gromph domyślał się, że jego były agent przybył po niego. Albo był rozjuszony wymuszonym posłuszeństwem, albo Quenthel zrobiła coś więcej, niż tylko zerwała kontrolującą go więź. Może zawładnęła nim i zmieniła w podległego sobie zabójcę.

Tak czy owak, duch stanowił zagrożenie, a sam Gromph nie znał, niestety, jego pełnych możliwości. Mag wciąż jednak nie miał powodów do obaw. Jego magia była znacznie potężniejsza od takiej istoty, zwłaszcza że był w swojej twierdzy.

Czarodziej przyglądał się, jak duch przepływa niczym woda przez sito przez prowadzące do jego gabinetu drzwi z czarnego marmuru. Stwór przegramolił się przez biurko z białej kości i ruszył prosto do tajemnego przejścia do sanktuarium Grompha. Magia zamigotała wokół niego purpurą i błękitem, ale udało mu się przedrzeć na drugą stronę. Pomknął w górę szybu.

Gromph uśmiechnął się. Istota znalazła się dokładnie tam, gdzie chciał, gdyż stworzył tunel w celach obronnych. Unicestwił go samą siłą woli.

Szyb nie był wykonany z materii. Jednak z dziury w środku podłogi dobiegł go metaliczny chrzęst i zgrzyt, gdy sztuczna przestrzeń zapadła się sama w sobie. Jeśli buntowniczy duch wrzasnął, jego głos utonął w hałasie.

Gromph z przyjemnością posłuchałby, jak demon wyje z bólu, ale najważniejsze było to, że miał go z głowy. Najprawdopodobniej kolaps całkowicie go unicestwił, ale nawet jeśli stało się inaczej, z pewnością wyrzucił go, okaleczonego i zdezorientowanego, w jakimś odległym półświecie. Kryzys minął, a arcymag odczuwał już wyłącznie rozdrażnienie wywołane świadomością, że będzie musiał dostawać się do swej kryjówki za pomocą zaklęć, dopóki nie znajdzie sześciu godzin, żeby zrekonstruować tunel.

Jednak powodowany nawykiem ostrożności, który pokrzyżował już plany tysiącowi wrogów, odwrócił się do okna. I się skrzywił.

Rama wciąż otaczała ducha, a z tego, co widział Gromph, ciemna istota nie odniosła żadnego uszczerbku. Śmigając wśród zasłon bladej poświaty, szukała czegoś w zakrzywionych przestrzeniach otaczających twierdzę.

Gromph nie rozumiał, w jaki sposób stwór mógłby go odnaleźć. Nic nie było w stanie zlokalizować schronienia ukrytego we mgle splątanego czasu, nie bez pomocy mieszkańca, który wskazałby drogę. Niemniej jednak czarodziej pospiesznie stanął wewnątrz jednego z ochronnych złotych pentagramów ozdabiających marmurową posadzkę.

Chwilę później następne okno otworzyło się z takim impetem, że aż okiennice wypadły z zawiasów. Duch wleciał do środka, jednocześnie powracając do postaci, którą nosił, zanim Gromph nadał mu wygląd konkretnego demona. Teraz przypominał bezskrzydłego smoka z długimi, byczymi rogami na głowie, w której tkwiło też pojedyncze, kuliste oko. Czarodziej tak naprawdę go nie widział - zlewało się z atramentowoczanym cieniem ciała ducha - ale czuł na sobie jego złowrogie spojrzenie.

Lekko zaniepokojony i niepewny, przez co jeszcze bardziej wściekły, Gromph krzyknął

- K'rarza'qu! Nazwałem cię, wezwałem i związałem, i to ja jestem twoim panem. Na księcia, który śni w sercu próżni i na słowo Naratyra, rozkazuję ci uklęknąć.

Duch wypuścił z siebie wilgotny smród, który wyrażał istotę szyderczego śmiechu, po czym skoczył do przodu.

Bardzo dobrze, pomyślał Gromph, jak sobie chcesz.

Mag wbił zakrzywione ostrze rytualnego sztyletu w brzuch stwora.

Tak jak się spodziewał, stwór targnął się w agonii, ale trwało to tylko chwilę. Ból wybuchł w

zołądku arcymaga. Wyrwał athame z ciała stwora, zanim zranił go naprawdę.

K'rarza'q skoczył. Lekceważąc ból, Gromph wyrecytował krótką inkantację i wyrzucił przed siebie ramię. Powietrze zadzwoniło jak dzwon, a z dłoni maga wystrzeliła niewielka czerwona kula ognia. Uderzyła w istotę... i nic. Pocisk zniknął.

Stwór dotarł do krawędzi pentagramu. Bariera lazurowego światła pojawiła się, ale zaraz znikła z jękiem, gdy duch przebił się przez nią. Stwór pochylił głowę, po czym podniósł ją gwałtownym szarpnięciem, uderzając koniuszkiem jednego rogu w pierś Grompha.

Duch był całkowicie materialny. Gdyby nie szaty arcymaga i inne osłony, długie ostrze ciemnej substancji z pewnością przebiłoby Grompha. A tak tylko uniosło go i rzuciło na drugą stronę komnaty. Lecąc, mag spróbował otrząsnąć się z obezwładniającego szoku i aktywować moc lewitacji w insygniach swojego domu.

Moc obudziła się, wprowadzając go o mdlący skurcz, ale się obudziła. Sfrunął w dół lekki jak pajęczyna, unikając upadku, który mógł zgruchotać mu kości.

Gdy tylko poczuł ziemię pod stopami, wyciągnął z pochwy na lewym biodrze wypolerowaną drewnianą różdżkę, wycelował i wymamrotał słowo-wyzwalacz. Na końcu magicznego narzędzia utworzyła się bańka gryzącego brązowego kwasu, która pomknęła w stronę ducha. Substancja zatopiła się w jego cyklopowej masce, ale najwyraźniej nie wyrządziła mu żadnej krzywdy.

Duch zaatakował. Gromph stał w miejscu tak długo, że wróg już prawie na niego wpadł, po czym wymówił pojedyncze słowo. Mała teleportacja przeniosła go w przeciwległy koniec okrągłego pomieszczenia. Znalazł się za plecami napastnika.

K'rarza'q zahamował gwałtownie i zdezorientowany rozejrzał się na boki. Gromph kupił sobie sekundę, nie więcej. Szybko upuścił różdżkę, wyjął ze stojaka z czarodziejskimi przyborami spiralną laskę z wypolerowanego krwawnika, uniosł ją nad głowę i zaczął recytować. Pręt posiadał specjalne właściwości przydatne w walce z istotami z innych poziomów rzeczywistości. Czarodziej miał nadzieję, że dzięki niemu uda mu się wreszcie sforsować osłony nieprzyjaciela.

Duch usłyszał jego głos, odwrócił się i rzucił w jego kierunku. Tym razem szarżował, nie poruszając kończynami. Po prostu pokonywał dzielący ich dystans z przerażającą szybkością.

Zachowując kadencję i intonację tak, jak tylko mistrz sztuki czarodziejskiej potrafi, Gromph zwiększył tempo inkantacji. Bardzo zależało mu na tym, żeby skończyć, zanim stwór znów się z nim zetrze.

Udało mu się, ale niewiele brakowało. K'rarza'q zbliżył się już niemal na odległość wyciągniętego ramienia, kiedy zaklęcie zadziało. Lanca oślepiającego blasku wbiła się w oko ducha.

Śmierdzący stwór padł na posadzkę, a jego substancja rozpadła się na bezkształtne grudki i strzępy. Gromph uśmiechnął się i z tuzin pasm stanęło dęba niczym żmije w bacie jego przeklętej siostry. Arcymag chwycił szkarłatną laskę obiema dłońmi tak, jak wieki temu nauczył go mistrz Melee-Magthere podczas sześciu miesięcy, które każdy studiujący mag musiał spędzić w piramidzie wojowników. Trzymając narzędzie jak zwykłą włócznię, wbił jeden z jego końców w to, co wydawało się być poszarpanym, wijącym się jądrem K'rarza'qa.

Duch rozpękł się na nieruchome drobinki czarnego śluzu. Zaklęcia ochronne Grompha zapobiegły ochlapaniu jego osoby plugastwem.

Mag poczuł pewną satysfakcję ze zwycięstwa, ale ta szybko go opuściła, ponieważ nie zabił obiektu swej nienawiści, a jedynie wyszedł cało z rezultatu kolejnej nieudanej próby, odkrywając przy tym, że całkowicie zlekceważył możliwości Quenthel.

Czym była ta kościana różdżka? Skąd się wzięła i jak działała? Czy tylko pozbawiła go panowania nad istotą, czy też w trybie przyspieszonym umieściła jego sługę we władzy jego przeciwniczki?

Ponuro uznał, że dopóki nie dowie się czegoś więcej, głupotą będzie dalsze atakowanie wroga, który, jak się wydawało, potrafi wykorzystać przeciwko niemu jego własną potężną armię.

Musiał zatem zaprzestać działań wojennych.

I, pomyślał z nagłym ukłuciem niepokoju, mieć nadzieję, że jego siostra nie odgadła, kto naraził ją ostatnio na tyle niebezpieczeństw.

ROZDZIAŁ 17

Wszystkie podistoty wybałuszyły ślepie, gdy Ryld i Pharaun wkroczyli do piwnicy, ale dlaczego by nie? Mag wątpił, by tą ohydną mordownią zaszczycił kiedykolwiek ktoś równie elegancki jak on - arystokrata o wdzięcznej postawie, wyszukanych ozdobach, stroju i fryzurze... cóż, miał nadzieję, że po pewnych poprawkach jego uczesanie można uznać za znośne.

W każdym razie było rzeczą jasną, że gobliny, orki i inne stwory nie były zainteresowane estetycznymi doznaniem. Szeptały, patrzyły na drowy wilkiem i dotykały broni, gdy tylko wydawało im się, że dwa mroczne elfy nie patrzą w ich stronę, a strach i nienawiść wypełniające to duszne, niskie pomieszczenie, były niemal namacalne. Zważywszy na to, czego Greyanna i jej myśliwi dopuścili się wczorajszej nocy w Braerynie, zdaniem Pharauna pewna gburowatość, jeśli nawet nie na miejscu, była przynajmniej zrozumiała.

Zastanawiał się, jak by zareagowały, gdyby odkryły, że jego siostra zamordowała dziesiątki ich towarzyszy tylko po to, żeby mieć możliwość zabicia go. Być może było to pytanie, które powinno pozostać hipotetyczne.

Wiedząc, że Ryld osłania go z tyłu, mistrz Sorcere podszedł do kontuaru i zamasztył ruchem rozsypał na nim brzęczące monety. Waluty należały do zwykle spotykanych w Menzoberranzan - były wśród nich koła, kwadraty, trójkąty, pierścienie, pająki i ośmiokąty. Połowa z nich była bita przez tuzin największych domów szlacheckich, a pozostałe pochodziły z innych krain Podmroku albo nawet ze Świata Ponad. Wszystkie były jednak srebrne, platynowe lub złote, a więc ze szlachetniejszego kruszcu niż widziano w tej brudnej dziurze od ponad dekady.

- Dziś wieczorem - ogłosił Pharaun - ta kompania serdecznych towarzyszy pije na mój koszt.
Karczmarz, przysadzisty ork z wykrzywionym pyskiem, z którego ciekła ślina, i wyliniętym czerepem, gapił się na niego przez kilka sekund, a potem zgarnął monety i zaczął nalewać cuchnącej cieczy z brudnej kadzi. Przeklinając i wygrażając sobie nawzajem, podistoty zaczęły się przepychać do baru. Czarodziej zauważył, że nikt mu nie podziękował.

Rozglądając się przez chwilę dookoła, Pharaun wypatrzył w kącie mrocznego elfa, najwidoczniej nieszczęśnika, który upadł tak nisko, że goblinoidy uznały go za jednego ze swoich.

- Podejdź tu, przyjacielu - skinął na niego czarodziej.
Wygnaniec wzdrygnął się.
- Ja?
- Tak. Jak się nazywasz?
Elf zawahał się.
- Bruherd, kiedyś z domu Duskrzyn.
- Zanim twoja szlachetna rodzina cię stamtąd nie wykopała. Mamy wiele wspólnego, Bruherdzie, bo ja sam jestem po dwakroć wygnańcem. A teraz podejdź, aby doradzić mi w sprawie najwyższej wagi.
- Hm, tu jest mi całkiem wygodnie.
- Wiem, że nie chciałeś być nietowarzyski - rzekł Pharaun, a na koniuszkach jego palców zatańczyły niebieskie iskierki.

Duskrzyn westchnął i kulejąc w sposób, który świadczył o chronicznym bólu, zastosował się do polecenia Pharauna. Był wychudzony, a jego szyja i szczeka upstrzone były kilkoma czyrakami. Na którymś etapie swojego upadku musiał rozstać się z piwafwi, ale wciąż miał na sobie brudną szatę, która, co Mizzrym odnotował z pewnym zaskoczeniem, należała kiedyś do czarodzieja. Dzięki srebrnemu pierścieniowi Pharaun jednak wiedział, że dziesiątki kieszeni Bruherda nie kryły już najmniejszego śladu magii.

- Mogą mnie za to zabić - powiedział Bruherd, wskazując nieznacznie na gobliny. - Toleruję mnie tylko dlatego, że wierzą, iż odciąłem się od mojej rasy.
- Będę się modlił o twój dobrobyt - rzekł Pharaun. - A tymczasem muszę się dowiedzieć, który z trunków składowanych w bez wątpienia rozległej i dobrze zaopatrzonej piwniczce naszego gospodarza jest najmniej obrzydliwy?
- Obrzydliwy? - Bruherdowi zadrgały usta. - Przyzwyczaisz się.
- Miejmy nadzieję, że nie.
Pharaun podał drowowi złotą monetę w kształcie młota, bitą w jakiejś krasnoludzkiej enklawie.
- Powiedz karczmarzowi, że chcesz dostać bąbelki - poradził Bruherd.

- Bąbelki. Czarujące. Najwyraźniej trafiłem na koneserów.
- Może być - odezwał się Ryld, wciąż dyskretnie obserwując tłum. - Ważne, żebyśmy mieli czym uczcić nasze zwycięstwo.
Pharaun odczekał chwilę, a potem zachichotał.
- Powinieneś zapytać go, o czym mówi - zwrócił się do Bruherda - dając nam w ten sposób wdzięczną sposobność pochwalenia się naszym triumfem.
Warga znów drgnęła.
- Nie rozmyślał już o triumfach i zwycięstwach.
Pharaun pokręcił głową.
- Tyle jest zgorzknienia na tym świecie! Aż się serce kraje. Czy rozweseliłaby cię wiadomość, że pomściłem nas w pewnym stopniu?
- Nas? - mruknął Bruherd.
Po drugiej stronie pomieszczenia wybuchła bójka pomiędzy kudłatym hobgoblinem i gnollem o wilczym pysku. Kiedy walczący tarzali się po podłodze, ktoś podrzucił im nóż, najwyraźniej chcąc się przekonać, który zdoła schwycić go pierwszy.
- Wysłuchaj dobrej nowiny - oznajmił mistrz Sorcere. - Jestem Pharaun Mizzrym, wypędzony najpierw z siódmego domu, a teraz z Tier Breche, i to w obu przypadkach bez żadnego racjonalnego powodu. Postanowiłem zemścić się na Akademii. Z pomocą mojego przyjaciela mistrza Argitha, który podziela moje rozczarowanie, dziś rano rozbiłem patrol na bazarze. Może coś o tym słyszałeś.
Bruherd wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczyma. Koboldy i gobliny znajdujące się w zasięgu głosu również.
- To prawda - potwierdził Ryld.
- To wy? - zapytał Bruherd. - I chwalicie się tym? Oszaleliście? Wytropią was!
- I tak już próbowali. - Cała piwnica zamilkła. - Doszły mnie słuchy, że istnieje agencja, która umożliwi drowowi ucieczkę, jeśli jest naprawdę niezadowolony ze swojego życia, co ja i Ryld chyba zdołaliśmy udowodnić.
- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Bruherd.
- Cóż - rzekł Pharaun - zapewne uważają, że możesz być dla nich użyteczny, i jeśli mi wybaczysz...
Kątem oka uchwycił jakieś poruszenie i odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak karczmarz pada na ziemię w dwóch kawałkach. Ork musiał się wspinać po cichu nad kontuarem z krótkim mieczem w rękę i Ryld, wyczuwając go, odwinął się i rozplatał go na dwoje. Wojownik odwrócił się płynnie z powrotem, trzymając Rozpruwacz w pogotowiu.
Pharaun również obrócił się w samą porę, żeby zobaczyć nacierającą na niego masę podistot. Wyciągnął z kieszeni trzy gładkie szare kamienie i zaczął recytować zaklęcie. Wielki miecz Rylda przemknął mu przed oczyma, zabijając dwa gnolle, które chciały na niego napaść, i pozwalając mu tym samym dokończyć inkantację.
Przed nim pojawił się obłok oparu. Te orki i gobliny, które się w nim znalazły, zwały się na ziemię. Inne odsunęły się, żeby ich nie dotykać.
Mgła znikła sekundę później.
- Obawiam się, że nie mogę pozwolić wam nas zabić i sprzedać trupy władzom - zwrócił się do tłumy Pharaun. - I jestem zaszokowany, zaszokowany! że w ogóle próbowaliście zrobić coś podobnego. Czy nie cieszycie się, że zmasakrowaliśmy patrol?
- Nie chcę, żeby kapłanki was tu znalazły - wyjaśnił Bruherd. Drow w czasie potyczki nie wykonał żadnego ruchu. Może zmarł ze strachu, a może uważał, że największe szanse przetrwania daje mu bierność. - Ja też tego nie chcę. Gotowe są zabić również nas.
- Cóż za rozczarowanie - stwierdził Pharaun. - A ja myślałem, że Ryld i ja znaleźliśmy cichą przystań pełną pokrewnych dusz. Ale oczywiście nie będziemy się narzucać tym, którym brakuje wrażliwości, by to docenić. Jednak nie odejdziemy stąd, dopóki nie ugasimy pragnienia. Gobliny i reszta będą się musiały usunąć. Dobranoc.
Podistoty patrzyły na nich wilkiem. Mag domyślał się, co im chodziło po głowie. Było ich wiele, a intruzów tylko dwóch. Widziały jednak, co ta dwójka potrafi, i po kilku sekundach zaczęły się oddalać, zostawiając nieprzytomnych towarzyszy rozciągniętych na podłodze.
- Jesteście szaleni - orzekł Bruherd. - Nie będziecie mogli się wychylać przez kilka najbliższych lat. Musicie dać opiekunkom i Akademii czas, żeby o was zapomniały.

- Niestety obawiam się, że mnie nie da się zapomnieć - powiedział Pharaun. - Ty też możesz się już oddalić, jeśli zdołasz znieść rozłąkę ze mną.
 - Szaleni - powtórzył wypędek i kuśtykając, dotarł do schodów. Za chwilę zniknął w ślad za resztą. Pharaun wszedł za szynkwas.
 - A teraz - oznajmił - drow wyrusza na odwieczne poszukiwania „bąbelków”.
- Ryld przyglądał się uśpionym goblinom tak, jak gdyby zastanawiał się, czy nie wbić w nie miecza.
- Wciąż uważam, że to zły pomysł - oświadczył.
- Starając się nie pobrudzić sobie butów, Pharaun ominął dwie zakrwawione połowy karczmarza i przejrzał stojak z dzbanami i butelkami.
- Zawsze to mówisz i zawsze jesteś w błędzie. Goblinoidy roztrąbią wszędzie, gdzie można nas znaleźć. Uciekinierzy muszą to usłyszeć.
 - Podobnie jak twoja siostra i wszyscy, którym zdążyliśmy zaleźć za skórę.
- Pharaun odkorkował dzban. Cierpka ciecz w środku nie pienila się, więc wziął następny.
- Chcesz się założyć, kto pojawi się pierwszy?
 - Tak czy owak, skończymy martwi - prychnął Ryld.
 - Gdybym życzył sobie wysłuchiwać posępnego głosu pesymisty, zatrzymałbym naszego przyjaciela Bruherda - rzekł czarodziej, oglądając słoje pełen mętnej cieczy. - Jeśli masz ochotę coś przekąsić, mam tu słoik piklowanych kiełbasek, ale nie rączę za składniki. Wydaje mi się, że widzę w tej brei róg kobolda.
- Czarodziej otworzył szklaną butelkę o długiej, podwójnie wygiętej szyjce. Jej zawartość zasyczała.
- Aha! Znalazłem trunek rekomendowany przez Duskryna.
 - Ktoś przyszedł - oznajmił Ryld.
- Mag odwrócił się. Po schodach schodziły dwie postacie. Wyglądały jak orki o zmierzwionych, skołtunionych grzywach i wilczych uszach, ale srebrny pierścień Pharauna wyjawiał mu, że była to jedynie iluzja ukrywająca dwa drowy. Czarodziej widział ich maski jako przezroczystą zasłonę leżącą na rzeczywistości.
- Przekazał to Ryldowi, gwałtownie zginając i kureząc palce.
- Panowie - powiedział mag. - Co za miłe spotkanie! Ja i mój towarzysz wszędzie was szukaliśmy.
 - Wiemy o tym - powiedział wyższy z przybyszów, najwidoczniej wcale nie zdziwiony tym, że mistrz Sorcere natychmiast rozszyfrował jego kamuflaż. Był to Houndaer Tuin'Tarl, jeden z najwyższych rangą uciekinierów, jeden z tych, którzy uciekli jako pierwsi, a więc niemal na pewno jeden z prowodyrów. Bez wątplenia wyglądał na przywódcę. Świadczyło o tym bogate odzienie z jedwabi i aksamitów, magiczna aura otaczająca wiele należących do niego przedmiotów i dumne zachowanie. W grubych, opadających na ramiona włosach nosił kryształ, co dawało niebrzydki efekt, miał oczy osadzone blisko siebie i wydatną szczękę, wiedział też na pewno, jak posługiwać się noszonym u boku sejmitarem. Wyglądał na nieco spiętego.
 - Wiemy to od pewnego czasu - dodał drugi przybysz, którego Pharaun nie rozpoznawał.
- Na pierwszy rzut oka drow wyglądał jak zwykły plebejusz. Miał zeza i drobne ręce rzemieślnika wprawnego w wykonywaniu precyzyjnej roboty, jednak sztylet, który nosił zatknięty za pas, płonął potężnymi zakłęciami, podobnie jak jakiś przedmiot ukryty w kaftanie. Widocznie nałożył jeden kamuflaż na drugi.
- Nie spieszyliście się ze skontaktowaniem się z nami. To chyba jednak zrozumiacie.
 - Tak sędzę - powiedział Houndaer, podchodząc wraz z towarzyszem. Jeden z goblinów jęknął, więc szlachcic uciszył go kopniakiem. - Dlaczego nas szukaliście?
 - Zrozumieliśmy - powiedział Pharaun, wychodząc zza kontuaru - że oferujecie bezpieczną przystań elfom, które uznały egzystencję pod pantoflem swoich krewniaczek za nieprzyjemną i które, bez względu na powody, nie pragną wstąpić do Akademii, klanu kupieckiego, ani Bregan D'aerthe. Jeśli tak, chcielibyśmy przyłączyć się do was.
 - Ale wy dwaj wstąpiliście już do Akademii - zauważył arystokrata. - Zajmowaliście w niej wysokie stanowiska. Ktoś mógłby powiedzieć, że ja i moi towarzysze możemy mieć powody do niepokoju.
- Maska orka perfekcyjnie skopiowała ruchy jego prawdziwych warg. Sam Pharaun nie potrafiłby

stworzyć lepszej iluzji.

- Mówisz o zamierchłej przeszłości - rzekł Pharaun. - Z pewnością słyszałeś, że popadłem w niełaskę, zaś mistrz Argith uważa Melee-Magthere z miejsce zatechłe i nużące. - Ciemne moce wiedziały, że jego niezadowolony przyjaciel nie powinien mieć trudności z przekonaniem ich o tym. - Chcemy żyć w inny sposób.

Houndaer kiwnął głową.

- Miło mi to słyszeć, ale jaką możecie dać nam gwarancję, że nie jesteście agentami opiekunek, które wysłały was, aby nas odszukać?

Pharaun wyszczerzył zęby.

- Moją uroczystą przysięgę?

Wszyscy zarechotali, nawet Ryld i chłopak ze sztyletem, którzy obserwowali w milczącej zadumie szermierkę słowną swoich bardziej elokwentnych towarzyszy.

- Prawdę mówiąc - ciągnął czarodziej - jeśli nasz wyskok na bazarze nie przekonał was o naszej wiarygodności, nie mam pojęcia, jak was przekonać. Ale przekonał was, prawda? W przeciwnym wypadku nie byłoby was tutaj. Więc jeśli nie dostrzegacie w naszym zachowaniu czegoś, co pachniałoby szpiegostwem...

Fałszywy plebejusz uśmiechnął się.

- Masz rację. - Odwrócił się do Houndaera i dodał - Jak dla mnie są w porządku, a jeśli jest inaczej, wątpię, by odpytywanie ich w tej śmierdzącej gobliniej norze mogło coś dać. Zabierzmy ich do domu, zanim jakiś sługa kapłanek zacznie za nimi węszyć i nas znajdzie. Tak czy owak, w końcu i tak wszystko się wyjaśni.

Na chwilę moc srebrnego pierścienia Pharauna osłabła i łagodny, kulturalny głos drowa stał się chrapliwym głosem orka. Drow nawet śmierdział jak brudna podistota.

Tuin'Tarl zacisnął usta. Pharaun domyślał się, że nie przepada za przyjmowaniem rad od innych, w tym także od swojego towarzysza.

- Po prostu jestem ostrożny - ty też powinieneś - ale tym razem masz rację. - Odwrócił się z powrotem do mistrzów i rzekł - Jeśli zabierzemy was do naszej twierdzy, nie będzie już dla was odwrotu. Pomożecie naszej sprawie lub zginiecie.

Pharaun wyszczerzył zęby.

- Dobrze powiedziane, i to w duchu tysięcy konspiracji przed wami. Prowadź.

- Z przyjemnością - powiedział szlachcic ze złośliwym uśmiechem. - Jak tylko obaj oddacie nam broń i ten płaszcz z kieszeniami.

Czarodziej uniósł brew.

- Myślałem, że postanowiliście nam zaufać.

- Pora, żebyście wy okazali nam trochę zaufania - odparł Houndaer.

Pharaun oddał swoje piwafwi, ręczną kuszę i sztylet. Martwił się trochę, czy Ryld równie chętnie zrobi to samo. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić, że wojownik decyduje, iż zamiast wkraczać do jaskini smoka nieuzbrojonym, pokona Houndaera i jego towarzysza tu i teraz, żeby wyciągnąć z nich tyle informacji, ile się da.

Kłopot z tego typu strategią polegał na tym, że Tuin'Tarl i jego bezimienny towarzysz mogli nie być wtajemniczeni we wszystkie sekrety całego stowarzyszenia, a ci, którzy byli, mogli uciec, gdyby dwaj wysłannicy nie wrócili. Tak więc, choć mistrzom prawdopodobnie udało się zapobiec gobliniej rewolcie, nie staliby się niezwykle potężni, na czym im zależało.

Poza tym rozwalenie spisku od wewnątrz było o wiele bardziej zabawne.

Ryld najwyraźniej podzielał punkt widzenia Pharauna, albo po prostu był zadowolony, mogąc pójść za przykładem czarodzieja, gdyż bez szemrania oddał Houndaerowi swoją broń.

Tuin'Tarl sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kamień i rzucił nim. Kamień eksplodował w dziwny, koślawy sposób, wydzierając ranę w powietrzu - rozcięcie rozmiarów i kształtu ustawionego na sztorc sarkofagu i koloru światła widzianego przez zamknięte powieki. Mężczyzna wskazał gestem portal i rzekł

- Najpierw wy.

Pharaun uśmiechnął się.

- Dziękujemy.

Tak łatwo? pomyślał Pharaun. Odczuwał swego rodzaju zawód, co było dość absurdalne. Dotarcie aż tutaj było nadzwyczaj trudne.

Wszedł w portal i nie doświadczył żadnych zawrotów głowy, które występowały podczas zwykłej teleportacji. Jeśli nie liczyć ułamka sekundy, przez który nic nie widział, przypominało to przejście z jednego pokoju do drugiego. Jedynym problemem był drider czekający po drugiej stronie.

Czarodziej starał się zachowywać jak najciszej. Mimo to wielki stwór - pół pająk, pół drow - z łukiem w rękę i kołczanem strzał przewieszonym przez nagie plecy, odwrócił się w jego stronę. Pharaun nie obawiał się pojedynczego wynaturzenia tego rodzaju, ale bogini jedna wiedziała, jak wymyślna była w rzeczywistości ta pułapka. Obrócił się w stronę magicznego przejścia w momencie, w którym Ryld właśnie przez nie przeszedł.

* * *

Ryld, który zabijał już dridery w jaskiniach otaczających Menzoberranzan, wiedział, że ten osobnik - hybryda o głowie, ramionach i torsie drowa, ożenionymi z ciałem i członowanymi odnóżami kolosalnego pająka - był większym niż przeciętnie, zdrowym i silnym przedstawicielem swojego gatunku, o ile gatunek był odpowiednim słowem. Dridery nie były tworamami natury, tylko magii. Czasami, gdy bogini uznała, że któryś z jej wyznawców jest niewystarczająco pobożny, karą była transformacja, której dokonywał krąg kapłanek z pomocą demona zwanego yochlol.

Mistrz Melee-Magthere skoncentrował się oczywiście na jadowitym wynaturzeniu, gdy tylko wyszedł z portalu, ale jak każdy dobry wojownik - i w przeciwieństwie do Pharauna - ogarnął wzrokiem całe otoczenie.

Portal wyrzucił ich w wielkiej, nie umeblowanej sali, której ściany podziurawione były licznymi otworami. Był to swego rodzaju centralny hol, łączący w zamkach różne skrzydła. Obok przeszło kilka drowów, a choć żaden z nich nie zbliżał się do dridera, nie miały też zamiaru go atakować ani przed nim uciekać. Sam stwór również nie wyglądał tak, jakby miał zaraz na kogoś napaść, choć przyglądał się nowo przybyłym z gniewną miną.

Zadowolony, że choć raz wykazał się większą bystrością umysłu od sprytnego przyjaciela, Ryld złapał Pharauna za ramię.

- Spokojnie - powiedział fechmistrz. - Nie ośmieszaj się.
- Czarodziej rozejrzał się wokół, po czym wyszczerzył zęby.
- Racja. Nasi przyjaciele nie zastawili na nas pułapki. Drider jest magicznie skrepowany.
- Mylisz się.

Ryld odwrócił się i zobaczył, jak dwa fałszywe orki wychodzą z portalu, który natychmiast skurczył się za ich plecami. Przemówił ten większy i bardziej gadatliwy z dwójki.

- Dridery pomagają nam z własnej nieprzymuszonej woli.
- Interesujące - skwitował Pharaun.

Goblinoidy zmieniły się w mgnieniu oka w arystokratę-wojownika - a konkretnie Houndaera Tuin'Tarla, ucznia Rylda i rzemieślnika. Książę zamknął portal machnięciem ręki.

- Czy wciąż stosujesz ten pośredni atak? - zapytał Ryld. - To było dobre posunięcie.

Na twarzy Houndaera po raz pierwszy pojawił się uśmiech, w którym nie było złości ani podejrzliwości.

- Pamiętasz, mistrzu? Upłynęło już tyle czasu. Dziwię się, że w ogóle mnie pamiętasz.
- Zawsze pamiętam tych, którzy naprawdę się uczą.
- Dziękuję. Cieszę się, że jesteście z nami, a i wy nie będziecie żałować. Czekają nas wielkie rzeczy - powiedział szlachcic. Drider podbiegł w ich stronę. - A to Tsabrak. Sami zobaczycie, że jego umysł nie jest ociężały ani upośledzony w żaden inny sposób, niemniej jednak jest po naszej stronie.

Szczerze mówiąc, drider nie wyglądał na specjalnie sympatycznego. Z powodu długich odnóży miał głowę dużo wyżej niż pozostałe cztery elfy, mierzył ich więc z góry spojrzeniem pełnym wściekłości i nienawiści. Ryld domyślał się, że Tsabrak zawarł sojusz typowy dla Menzoberranzan. Przysłał do zbiegów dla jakichś doraźnych korzyści, wciąż jednak nienawidził wszystkich drowów, które zdeformowały go i odrzuciły.

- Co to ma znaczyć? - warknął drider, obnażając kły, które wydawały się przeszkadzać mu nieco w mówieniu. - Syrzan się nie zgodził!

Syrzan nie było typowym imieniem dla drowa, ale Ryld nie miał pojęcia, do jakiej innej rasy mogło należeć. Drow zerknął na Pharauna, który lekkim wzruszeniem ramion przekazał mu, że też nie

wie.

- Syrzan to mój sojusznik, nie przełożony - wyjaśnił Houndaer, odwzajemniając nieprzyjazne spojrzenie pająkowatego stwora. - Sam podejmuję decyzje, i zdecydowałem, że ci panowie mogą nam pomóc. Są mistrzami Tier Breche...

- Wiem, kim są! - wrzasnął Tsabrak, plując pianą, być może zmieszaną z jadem. - Masz mnie za bezmyślne zwierzę? Studiowałem w Tier Breche tak jak wszyscy!

- Więc wiesz, jak użyteczne mogą się okazać ich umiejętności - odezwał się rzemieślnik. - I jak małe jest prawdopodobieństwo, że nam zaszkodzą, zwłaszcza że księżę ich rozbroił.

- Po prostu skieruj nas do Syrzana - powiedział Houndaer. - To rozwieje twoje obawy.

- To? - zdziwił się Ryld.

- Nie mogę - odparł drider. - Gdzieś sobie poszło.

- Dokąd? - zapytał Houndaer.

- Agitować niewolników? Zdobywać jeszcze więcej magicznego ognia ze swojego sekretnego źródła? Będziecie musieli pilnować tych dwóch, dopóki nie wróci.

- Nic nie szkodzi - zapewnił szlachcic. - Mistrz Argith i ja możemy powspominać stare dobre czasy. Wszyscy zaczekamy w komnacie, w której Syrzan przesłuchiwał pozostałych rekrutów.

- Może chcesz pójść z nami - zaproponował rzemieślnik - żeby mieć całkowitą pewność, że mistrzowie nie sprawią żadnych kłopotów.

Pharaun uśmiechnął się promiennie do krwiożerczego wynaturzenia.

- Proszę? Mam z pół tuzina pytań dotyczących życia driderów, które nie dają mi spokoju od lat.

Tsabrak zignorował go. Patrzył spode łba na Houndaera i rzemieślnika, jak gdyby podejrzewał, że chcą mu spleść jakieś figla.

- Dobrze, pójdę - powiedział w końcu. - Musi być z wami ktoś, kto ma trochę oleju w głowie.

- Świetnie. - Houndaer skinął głową na Rylda i Pharauna. - Tędy.

Mistrzowie i ich gospodarze, czy też porywacze, ruszyli przez labirynt korytarzy. Pharaun zgodnie z obietnicą zasypał Tsabraka pytaniami, a kiedy drider nie chciał odpowiadać, radośnie odpowiedział sam sobie, snując uczone domysły.

Ryld nie zwracał na nich uwagi. Był zbyt zajęty badaniem cytadeli zbiegów wymarłego i zakurzonego miejsca, gdzie monolog Pharauna niósł się echem w ciszy. Nigdzie nie było ani śladu służby, wyłącznie zbiegowie i driderzy, które często rozpoznawały swoich dawnych nauczycieli i odprowadzały ich zaciekawionymi spojrzeniami. Ściany pokryte były śladami magicznych ataków, pęknięciami spowodowanymi uderzeniami gromów i rozbryzgami kwasu.

Wszystko wskazywało na to, że konspiratorzy schronili się w siedzibie domu zrujnowanego przez wrogów. Nikomu nie wolno było zająć takiej fortecy bez pozwolenia Baenre i tylko nieliczni odważyliby się na to. Opuszczone pałace były podobno przeklętymi i nawiedzanymi miejscami, wylęgarniami choroby, szaleństwa i pecha. Jak gdyby chcąc jeszcze zwiększyć potencjał niepomyślności, dzicy lokatorzy zerwali strzępy pajęczych sieci wszędzie tam, gdzie utrudniały poruszanie się, a nawet w kątach, gdzie nie było o tym mowy.

W pewnym momencie mistrzowie i ich strażnicy minęli rząd małych ośmiokątnych okien. Szklane szybki zostały wybite, ale kalcytowe szczeliny pozostały. Ryld wyrzął na zewnątrz i zobaczył daleko w dole posiadłości lśniące zielenią i fioletem. Zbiegowie zajęli zamek w stalaktycie, zwisający ze stropu kawerny. Bez wątplenia zwabiło ich tu jego odosobnienie.

Minutę później niewielka procesja dotarła na miejsce do świątyni zastawionej rządami ławek, między którymi biegło zygzakiem do niesymetrycznego bazaltowego ołtarza nierówne przejście. Ściany i sufit pokrywały płaskorzeźby świecące srebrzystą poświatą. Ku zaskoczeniu Rylda te ostatnie nie przedstawiały pajęczyny demonów, tylko inne piekła całkowicie pozbawione pajaków, yochloli, czy samej bogini Lolth. Najwidoczniej dom, który miał tu kiedyś siedzibą, czcił zakazane bóstwa. Być może właśnie ten występek przyczynił się do jego upadku.

Mroczone elfy usiadły w ławkach. Choć Houndaer i plebejusz sprawiali wrażenie przekonanych o poróżnieniu się mistrzów z Tier-Breche, zatrzymali ekwipunek nowo przybyłych. Tsabrak przycupnął tuż za drzwiami, tak że odnóża miał rozstawione po obu stronach wejścia.

- Podziwiam wystrój - odezwał się Pharaun. - Bez najmniejszego wysiłku udało mi się dostrzec podobizny Cyrika, Orkusa, Ghaundaura i Vhaerauna. Całkiem przyjemny wybór bóstw opiekuńczych dla wyrobionego wyznawcy.

- Nie szukamy nowego boga - burknął Houndaer.
- Z pewnością - przytaknął czarodziej. - Może bylibyście tak mili i powiedzieli nam, na czym polega wasz wielki i wspaniały plan. I dlaczego właśnie teraz?
- Dlaczego teraz? - zapytał szlachcic.
- Nasze braterstwo istnieje od kilkudziesięciu lat - wtrącił się rzemieślnik - choć dopiero niedawno wszyscy uciekliśmy i zamieszkaliśmy tu na stałe. Wcześniej zbieraliśmy się tu tylko co jakieś dwa tygodnie na godzinę czy dwie.
- Jeśli jesteś mężczyzną - powiedział Houndaer - i do tego całkowicie niezadowolonym ze swojej pozycji w Menzoberranzan, potrzebujesz jakiejś kryjówki, prawda?
- Jak najbardziej - zgodził się czarodziej. - Oczywiście inni wybrali kupiecki dom, Akademię albo Bregan D'aerthe.
- Houndaer wydał z siebie odgłos, jak gdyby chciał splunąć.
- To tylko miejsca, w których można się ukryć przed opiekunkami. To jest forteca mężczyzn, którzy chcą przewrócić Menzoberranzan do góry nogami i umieścić samych siebie na szczycie. Czemu nie? Czy nasi magowie i wojownicy nie są równie potężni jak kapłanki?
- Pharaun uśmiechnął się szeroko.
- Teraz, gdy kapłanki zapodziały gdzieś swoją magię, z pewnością.
- Houndaer zamrugał.
- Wiesz o tym?
- Domyśliłem się tego. Wy oczywiście również o tym wiecie. W przeciwnym wypadku nie zrywalibyście pajęczyn dla zabawy, nie mówiąc już o wprowadzeniu w czyn waszego planu generalnego. Ciekaw jestem, jak do tego doszliście, i czy wiecie, dlaczego tak się stało.
- Nie wiemy dlaczego - odparł Houndaer, potrząsając głową. - Zaczęliśmy się domyślać, kiedy kilku z nas zobaczyło kapłanki umierające w walce z grikami w Bauthwafie. Dziwki powinny były użyć czarów, a my odgadliśmy, że po prostu nie mogły. Potem mieliśmy już oczy szeroko otwarte i zasadziliśmy się na kilka kleryczek, żeby zobaczyć, jak się będą bronić. Wszystko, czego się dowiedzieliśmy, potwierdzało naszą teorię.
- Pharaun westchnął.
- A więc nie macie kontaktu z jakimś rozmownym informatorem z boskiej dziedziny. Tak jak ja tylko obserwowaliście i wyciągaliście wnioski. Cóż za szkoda. Czy w swej arogancji nie obawiacie się, że Lolth zwróci kapłankom magię w najmniej odpowiednim momencie?
- Może bogini odwróciła się od kapłanek, bo nadeszła nasza kolej, żeby rządzić - powiedział plebejusz. - Kto to wie? W każdym razie to szansa dla nas, a my ją wykorzystamy.
- Szansa na co? - zapytał Ryld. - Chcecie się zbuntować, a zamiast tego podżegacie do buntu niewolników.
- Houndaer zaklął.
- To też wiecie?
- Dowiedzieliśmy się przypadkiem, kiedy szukaliśmy was - wyjaśnił Pharaun. Odgarnął pojedyncze pasmo włosów z czoła. W miękkiej poświacie płaskorzeźb jego białe włosy świeciły jak ciało ducha. - Jak zauważył mistrz Argith, zrobienie z podistot krwawej miazgi wydaje się nie mieć żadnego związku z waszą sprawą.
- Zastanów się - powiedział szlachcic. - Jesteśmy wystarczająco bystrzy, żeby wiedzieć, że nie uda nam się obalić matriarchatu od razu. Nawet pozbawione zaklęć, nasze matki i siostry są zbyt potężne. Mają zbyt wiele talizmanów, fortec i, co najważniejsze, oddziałów i wasali służących im ze strachu.
- Zaczynam rozumieć i przepraszam, że was nie doceniłem - rzekł Pharaun. - To tylko gambit otwierający partię savy, która potrwa kilka lat.
- Kiedy walki ogarną całe Menzoberranzan - podjął Houndaer - a kleryczki nie będą rzucać czarów, żeby stłumić powstanie, ich słabość stanie się oczywista dla wszystkich. A tymczasem nasze braterstwo skorzysta z ogólnego zamieszania, żeby zamordować te elfki, które stanowią największą przeszkodę dla naszych ambicji. Przy odrobinie szczęścia orki zabiją kilka innych. Pod koniec dnia pozycja naszej płci znacznie się umocni, a mężczyźni w mieście zaczną dążyć do przejęcia władzy. W nadchodzących latach nasze stowarzyszenie zrobi wszystko co w jego mocy, żeby osłabić elfki i zająć ich miejsce. Któregoś dnia w niedalekiej przyszłości zobaczymy szlachecki dom rządzony przez mężczyznę, a w końcu pana w każdym domu. - Uśmiechnął się i dodał - Nie trzeba dodawać, że będzie to pan należący do naszego

braterstwa. Z przyjemnością obejmę rządy nad domem Tuin'Tarl, i myślę, że ty, bracie z Sorcere, nie powiedziałbyś „nie” objęciu zwierzchnictwa nad własną rodziną.

Pharaun kiwnął głową.

- Jesteście zbyt bystrzy, żeby zapominać, że wszyscy jesteśmy zbiegami...

- Nasze rodziny powitają nas z otwartymi ramionami, kiedy osłabimy je do tego stopnia, że będą rozpaczliwie potrzebować posiłków. Wymyślimy opowieści o podróżach na dalekie krańce Podmroku, czy coś w tym rodzaju. Jeśli będą wystarczająco zdesperowane, będzie to dla nich bez znaczenia.

- Rzeczywiście, zaplanowaliście wszystko tak sprytnie, że widzę tylko jedną ewentualną pułapkę - powiedział Pharaun. - Co, jeśli goblinom i gnollom rzeczywiście uda się nas zaszlachtować, a przynajmniej zrujnują nasze miasto do tego stopnia, że zniszczenia złamią nam serce?

Houndaer wpatrywał się przez chwilę w maga, a potem wybuchnął śmiechem.

- Przez chwilę byłem prawie pewny, że mówisz poważnie.

Pharaun wyszczerzył zęby.

- Wybacz mi. Znajduję perwersyjną przyjemność w żartowaniu w najmniej odpowiednich momentach, co może potwierdzić mistrz Argith.

Houndaer uśmiechnął się do Rylda.

- Wolałbym usłyszeć, jak potwierdza, że opanowałem wszystkie lekcje strategii, które wbijał mi do głowy.

- Opanowałeś - przyznał Ryld, i może było to prawdą. Instynkt podpowiadał mu, że ten plan, choć wydawał się cudaczny, może zadziałać, i nagle uświadomił sobie, że nie wie, co myśleć o takiej ewentualności.

On i Pharaun przeniknęli do organizacji uciekinierów, żeby ich zdradzić, żeby udobruchać arcymaga, a także dlatego, że czarodziej Mizzrym miał niejasne przeczucie, że w ten sposób zdobędą lepszą pozycję, więcej władzy, a tym samym trwale ulecą Rylda z ogólnego niezadowolenia z życia. Teraz jednak konspiratorzy proponowali wysokie stanowiska i rolę do odegrania we wspaniałej przygodzie. Być może nauczyciele powinni rzeczywiście stać się rebeliantami, których udawali.

Wojownik zerknął na Pharauna. Strzepnięciem palców tak nieznacznym, żeby nikt inny nie zauważył, czarodziej pokazał jedno słowo w niemych języku

- Wytrywaj.

Ryld uznał, że przyjaciel, ze zwykłą sobie przenikliwością, odgadł, o czym myślał, i nalegał, by trzymał się ich pierwotnych zamiarów. Wyraził zgodę niemal niezauważalnym skinieniem głowy. Nie wiedział, czy Pharaun dokonał trafnego wyboru, ale zdawał sobie sprawę, że nie słuchałby teraz tych apokaliptycznych przemów, gdyby przyjaciel nie poprosił go o pomoc. Cokolwiek można było powiedzieć, Ryld opuścił Melee-Magthere, żeby pomóc czarodziejowi w realizacji jego celów i właśnie to miał zamiar zrobić.

Pharaun odwrócił się do Tsabraka.

- Zakładam, że dridery sprzymierzyły się z konspiratorami, bo chłopcy obiecali wam zaszczytne miejsce w przyszłym Menzoberranzan. Może nawet obiecali wam znaleźć sposób zmienienia was z powrotem w drowy.

- Coś w tym rodzaju - zadrwił Tsabrak. - Jednak ci z nas, którzy przyłączyli się do spisku, zrobili to głównie po to, żeby móc zabić masę kapłanek.

- Nie mogę powiedzieć, że mam wam to za złe - zapewnił Pharaun. - Cóż, panowie, wasze plany są co najmniej inspirujące. Cieszę się, że was odszukaliśmy.

- Ja również - dodał Ryld.

- Jedyną sprawą, o której mam nadal mgliste pojęcie - ciągnął mag - to Syrzan i prorok. To jedna i ta sama osoba? Wyraz twojej twarzy mówi mi, że tak. Kim... czym on jest naprawdę i z jakiej mocy korzysta, aby zniewolić gobliny?

- Myślę, że wkrótce się dowiesz - powiedział Houndaer.

Chwilę później w powietrzu rozległo się jakieś buczenie, niemal hałas, ale nie do końca. Tak naprawdę wrażenie to istniało wyłącznie w umyśle. Pharaun odwrócił się, a Tsabrak odsunął się na bok, odsłaniając zakutaną w szaty postać stojącą w drzwiach. Rylda ogarnęło przerażenie. Obawiając się, że jest już za późno, zerwał się z ławki.

ROZDZIAŁ 18

Po lewej stronie Faeryl stała żelazna dziewica odlana na kształt brzuchatego błazna w czapce z dzwonekami. Dzwonki wyglądały na prawdziwe i miały najwyraźniej dzwonić, gdy ofiara wiała się w środku. Urządzenie było lekko uchylone, ale szpara była zbyt wąska, żeby widać było kolce w jego wnętrzu.

Tuż przed nią zwisała z bloczka zakończona hakiem lina, łowiąca więźnia, który mógłby z niej zawisnąć, czekało również koło, gotowe go połamać. Z lewej stał kosz pełen węgla, od którego bił nieznośny żar, a na kołkach wisiała cała kolekcja noży, cęgów, kleszczy i gruszek. Jej nemezis, mały człowieczek obwieszony paskudnymi ozdobami, rozparł się wygodnie na żelaznym krześle z kajdanami przymocowanymi do oparcia na ręce.

Tyle była w stanie zobaczyć emisariuszka przywiązana nago do kalcytowego słupa.

Była głodna, spragniona i obolała od stania przez wiele godzin w jednej pozycji. Uwierały ją więzy i bolała głowa. Nie zaznała jednak jeszcze prawdziwego bólu, jaki zadawano w tej dusznej piwnicy, i wydawało jej się, że wie dlaczego. Jakiś goniec polecił oprawcom zaczekać z rozpoczęciem zabawy do przybycia Triel.

Faeryl próbowała już nawiązać rozmowę z niskim mężczyzną i strażnikami, ale bezskutecznie. Spróbowała zebrać myśli, gdyż nic innego nie pozostało jej do roboty. Nie chciała wyobrażać sobie wszystkich rzeczy, jakie Baenre może jej zrobić, ale sama nadzorowała tortury tyle razy, że nie miała problemów z przewidzeniem możliwości. Nie chciała się też skupiać na masakrze swoich ludzi, ale wspomnienia o niej wciąż powracały.

Otoczeni przez liczniejszego przeciwnika, córki i synowie Ched Nasad ginęli jedno po drugim. Obserwującą rzeź Faeryl oczy bolały od łez, których nie chciała uronić. Oczywiście nie kochała swoich podwładnych, ale przywykła do nich, niektórych nawet darzyła sympatią, wiedziała też, że bez nich była nikim, upadłą kapłanką w krainie wroga, pozbawioną bogini i domu.

Niziutki mężczyzna podszedł do niej i za pomocą swojej magii wybił ją ze snu. Obudziła się przywiązana do kamiennego pala.

Skrzypnęły drzwi, rozległ się szmer głosów. Instykt ostrzegł Faeryl, że wreszcie przybyła Triel. Ambasador zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech, po czym wolno wypuściła powietrze z płuc, aby się uspokoić. Nie okaże strachu. Godność była jedyną rzeczą, jaka jej pozostała - przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, zanim oprawcy nie wybiją jej z niej chłostą i nie wypalą ogniem.

Rzeczywiście, przez drzwi, które musiały prowadzić do przyjemniejszych części Wielkiego Kopca, weszli Triel i jej syn draegloth. Opiekunka Baenre uśmiechała się. Obok niej, z kłami obnażonymi w szerokim uśmiechu, biegł na swych kozich nogach Jeggred.

Niziutki mężczyzna wstał i uklonił się.

- Valas - odezwała się Triel. - Dobra robota. Czy Zuavirrowie sprawili jakieś kłopoty?
- Próbowali wymknąć się w przebraniu - odparł mężczyzna. - Prawie udało im się zmylić obserwatora, ale gdy ten zorientował się, co jest czym, wszystko poszło zgodnie z planem.

Baenre podała mu opasłą sakiewkę, która w jej małej dłoni wydawała się za duża i za ciężka.

- Dam znać, kiedy znów będę potrzebowała Bregan D'aerthe - oznajmiła.

Mężczyzna odebrał od niej sakiewkę i uklonił się nisko. Oddalił się, a Triel i jej potworny syn odwrócili się w stronę więźniarki.

- Dobry wieczór, opiekunko - odezwała się Faeryl. - Czy może raczej dzień dobry?

Z rozpostartymi łapami, szponami w pogotowiu i rozwartą paszczą, Jeggred skoczył na więźniarkę. Wbrew sobie Faeryl drgnęła. Zarówno pazury jak i ostre zęby zatrzymały się o mniej niż cal od jej twarzy. Draegloth zawisł nad nią, napierając na nią, niemal obejmując ją jak kochanek. Stwór przejechał jej przez policzek ostrym paznokciem, który podniósł do zwierzęcego pyska. Obliznął go i odrobina cieplej, lepkiej śliny, zmieszana może z ociupiną jej krwi, skapnęła jej na czoło.

- Ostrożnie - powiedziała ambasador z taką nonszalancją, na jaką była w stanie się zdobyć. - Jeśli twój syn zabije mnie szybko, czy nie zepsuje całej zabawy?

Jeggred wydał z siebie niski, zgrzytliwy dźwięk. Faeryl nie potrafiła powiedzieć, czy był to pomruk, czy śmiech.

- Nie doceniasz go - rzekła Triel. - To prawda, widziałam, jak zaszlachtował ośmiu więźniów w osiem sekund, ale widziałam też, jak przez wiele dni pożerał małe dziecko faerie, odgryzając kawałek po

kawałeczku. Zależy to od jego humoru i, rzecz jasna, moich instrukcji.

- Oczywiście - powiedziała Faeryl. Płytkie rozcięcie policzka zaczynało piec. Jeggregd obwiodł kontur jej ust pazurem, nie przecinając skóry, jeszcze nie. - Mam nadzieję, że zdradziecki szczeniak docenił ten zaszczyt.

- Trudno orzec - odparła Triel. - A ty? Czy będziesz się nim rozkoszować?

- Niestety, czcigodna matko - odrzekła Faeryl. - Twoja córka nie może czerpać przyjemności z zaszczytu, na który nie zasłużyła.

Wciąż gładząc twarz więźniarki pazurami, Jeggregd uniósł jedną z mniejszych rąk, które, jeśli nie liczyć bujnego owłosienia, nie różniły się niczym od rąk zwykłego mrocznego elfa. Stwór chwycił Faeryl za ucho i skręcił je w brutalny sposób. Wrzasnęła z bólu. Kiedy wreszcie puścił, wciąż czuła w uchu pulsowanie i dzwonienie. Zastanawiała się, czy draegloth uszkodził je trwale, choć to naprawdę nie miało znaczenia. W nadchodzących godzinach głuchota była najmniejszym z jej problemów.

- Szkoda, że nie chcesz się przyznać do winy - westchnęła filigranowa matka opiekunka. - To takie nudne.

- Nawet jeśli to prawda? - Faeryl poczuła, że ma pod okiem świeże, krwawiące nacięcie. Najwidoczniej kiedy Jeggregd maltretował jej ucho, szarpnęła się i otarła o jego pazury.

- Nie bądź nudna - powiedziała Triel. - Uciekałaś, a to potwierdza twoją winę.

- Potwierdza to wyłącznie moje przekonanie, że ktoś zatrul twój umysł kłamstwami na mój temat - odparła Faeryl. Jeggregd złapał ją za pasmo włosów i pociągnął wściekle. - Moją awersję do zostania niesprawiedliwie skazaną.

- Chciałaś uciec i wrócić do Ched Nasad? - zapytała Triel. - Tam również moje słowo jest prawem.

- Skąd wiesz? - zapytała Faeryl.

Jeggregd wymierzył jej policzek jedną ze swoich wielkich łap, aż głowa odskoczyła jej w bok. Szok na chwilę zmroził jej umysł. Kiedy zmysły wróciły, poczuła w ustach smak krwi.

Draegloth pochylił się tak, że jego zwierzęcy pysk znalazł się dokładnie na wysokości jej twarzy, i warknął

- Zwracaj się z szacunkiem do wybranki Lolth.

- Nie chciałam urazić - zapewniła Faeryl. - Chciałam tylko powiedzieć, że z tego, co wiemy, w Ched Nasad może się dziać wszystko. Miasto mogły opanować płaszczowce, mogło utonąć w falach lawy. Wątpię, by tak rzeczywiście było, modlę się, żeby to była nieprawda, ale tego nie wiemy. Musimy się dowiedzieć, i właśnie dlatego starałam się wymknąć. Nie po to, żeby zdradzić tajemnicę niemocy menzoberranzańskich kapłanek jakiemuś wrogowi. Matko Żądz, to także moja niemoc! Uciekałam, aby zebrać informacje, znów nawiązać kontakty...

- Mówiłam ci, że mam kontakty z Ched Nasad - powiedziała Triel.

- Nawiązać kontakty godne zaufania... - nalegała Faeryl. - Przydać się na coś i w ten sposób udowodnić, że jestem twoją wierną wasalką, nigdy zdrajczynią.

Triel wydała z siebie taki odgłos, jakby miała splunąć.

- Moje wierne sługi wykonują moje rozkazy.

Faeryl chciało się płakać, nie ze strachu, choć bała się, i to bardzo, ale z frustracji. Jeggregd powiódł pazurem wzdłuż jej arterii szyjnej.

- Matko opiekunko - powiedziała Zuavirr. - Błagam cię. Pozwól mi stanąć twarzą w twarz z osobą, która mnie zniesławiła. Daj mi tę jedną jedyną szansę udowodnienia mojej wierności. Czy tak trudno wyobrazić sobie, że ktoś cię okłamał? Czy twoi dworacy nie obmawiają się cały czas za swoimi plecami, aby tym sposobem zdobyć twoją przychyłność? Czy to takie niemożliwe, że ktoś lub coś w Ched Nasad cię okłamuje - zapewniając cię, że wszystko jest w porządku, podczas gdy mijają dni, dziesięcio dni i miesiące bez jednej karawany?

Triel zawahała się, a Faeryl zaświtała iskierka nadziei. Potem władczyni Menzoberranzan powiedziała

- To ty jesteś tym kłamcą i na dobre ci to nie wyjdzie. Jeśli chcesz, żebym okazała litość, powiedz mi, komu służysz? Svirfneblinom? Abolethom? innemu miastu drowów?

- Służę wyłącznie tobie, świętobliwa matko.

Faeryl wypowiedziała te słowa już bez żadnej nadziei na to, że uda jej się przekonać Baenre o swojej niewinności. Triel zbyt trudno było dorównać swej poprzedniczce, zbyt trudno rządzić w tych ciężkich czasach, zbyt trudno podejmować decyzje. Nie miała zamiaru przemyśleć jednej z nielicznych,

które udało jej się podjąć, bez względu na to, jak była głupia.

Jeggred uderzył ją w twarz i nie przestawał bić, aż straciła rachubę razów. W końcu czas jakby przestał istnieć i draegloth już jej nie bił. Po co zadawał sobie tyle trudu? I tak pozbawił ją już resztek sił. Upadłaby, gdyby nie liny, którymi była przywiązana do słupa. Złamany ząb utknął jej pod językiem i wszystko, co mogła zrobić, to go wypluć.

- Mówiłem ci - warknął draegloth. - Z szacunkiem!

- Okazuję szacunek - wydyszała Faeryl. - Właśnie dlatego mówię prawdę, choć łatwiej byłoby skłamać.

Triel podniosła spojrzenie na syna.

- Księżniczka Zuavirr nie będzie odciągając cię od twoich obowiązków.

Jeggred przekrzywił głowę.

- Nie, matko.

- Ale kiedy nie będziesz mi potrzebny - ciągnęła opiekunka - możesz używać szpiega w sposób, jaki uznasz za stosowny. Jeśli powie ci coś interesującego, przekaz mi to, ale twoim celem jest wymierzenie kary, nie przesłuchanie. Już wiemy, kim są nasi wrogowie.

- Tak, matko. - Póldemon pochylił się, spojrzał poządlawie w twarz Faeryl i powiedział. - Potrafię sprawić, że zabawa trwa. Zobaczysz.

Wystawił długi, ostro zakończony język i zlizął krew z jej twarzy. Był szorstki jak u zwierzęcia.

* * *

Postać stojąca w drzwiach miała bulwiastą głowę o wielkich, wybałuszonych oczach, szarej, pomarszczonej skórze i czterech wijących się mackach otaczających i zasłaniających usta. Miała również sękaty dłonie o trzech palcach, ciało różniące się zarysem i proporcjami od ciała drowa i cała obwieszona była talizmanami i amuletami, które płonęły dziwnymi zaklęciami.

Pharaun nie miał żadnych wątpliwości, że Syrzan jest przedstawicielem psionicznie utalentowanej rasy illithidów. Dokładniej rzecz biorąc, był jednym z niewielu takich stworów, które podążyły drogą czarodziejstwa, by w końcu zmienić się w nieumarłą istotę zwaną alhoonem. Stwór był z pewnością niezwykle potężny, odporny na niszczące działanie czasu i wciąż był w stanie czytać mistrzom w myślach i dostrzec kryjącą się w nich zdradę.

Ryld, podobnie jak Pharaun, zerwał się z ławki. Potężny wojownik rzucił się na Houndaera, bez wątpienia próbując odebrać mu swoją broń. Pharaun, który uznał, że komponenty do zaklęć są mu nie mniej potrzebne, poszedł w ślady przyjaciela.

Fechmistrz uderzył łokciem, przewrócił Houndaera na ławkę i złapał za miecz. Obrócił się, szukając następnego zagrożenia, i niemal huknął przyjaciela klingą.

Pharaun sięgnął po płaszcz i uświadomił sobie, że skromny przyjaciel Houndaera śpiewa pozbawione słów arpeggio.

Gdyby Pharaun miał już na sobie piwafwi wraz z wszystkimi wplecionymi w nie ochronnymi zaklęciami, może mógłby oprzeć się pieśni, ale teraz jej siła przeniknęła do jego umysłu. Męczyzna wybuchnął konwulsyjnym, niepohamowanym śmiechem i zatoczył się do tyłu. W końcu osunął się na kolana, czując ból w napinających się mięśniach brzucha.

Domyślał się, że niepozorny męczyzna był kimś więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka - że był potężnym rywalem korzystającym z pospolitego wyglądu, by uspić czujność przeciwników, i miał rację. Rzemieślnik był w rzeczywistości bardem, czarodziejem, który czynił cuda poprzez medium muzyki.

Zgrzytając zębami, Pharaun przemógł nieodpartą chęć śmiania się. Dysząc, podniósł głowę i rozejrzał się. Bard dobywał właśnie zaklętego sztyletu i jednocześnie zaczynał śpiewać następną pieśń, tym razem falsetem. Houndaer był już na nogach i walczył z Ryldem, aż miecze dzwoniły. Stojący na końcu pomieszczenia Tsabrak, przebijając odnóżami w podnieceniu, wycelował z łuku w Pharauna, podczas gdy alhoon po prostu stał nieruchomo w drzwiach - poruszały się tylko jego macki. Stwór był najwyraźniej zadowolony, że może pozostawić walkę towarzyszom.

Pharaun rzucił się w bok. Strzała chybiła i przejechała ze stukotem po podłodze. Mag klapnął na kamienną posadzkę i pomiędzy nim a jego przeciwnikiem pojawiła się ściana osłaniającej ciemności. Poruszając się z wypraktykowanym, cichym wdziękiem, ruszył dalej.

Coś spadło na umysł Pharauna, dławiąc jego wolę i ograbiając go z umiejętności poruszania się. Nieumarły łupieżca umysłów nie pozostał bezczynny. Syrzan zamiast z czarów skorzystał po prostu ze swej psionicznej siły i dlatego nie musiał wykonywać trzypalczystymi dłońmi tajemnych gestów. Prorok, dla którego ściana cienia nie stanowiła żadnej przeszkody, sięgnął na drugą stronę, znalazł intelekt Pharauna i zadał druzgocący cios.

Bariera ciemności znikła. Syrzan musiał użyć odrobiny kontrmagii, aby ją rozproszyć, i tym samym pozwolił Pharaunowi rzucić okiem na przebieg walki. Houndaer, ku jego zdziwieniu, wciąż żył, może dlatego, że Tsabrak porzucił łuk i dobył miecza, aby walczyć u jego boku. Dwaj konspiratorzy starali się zająć Rylda z dwóch stron, co zazwyczaj było skuteczną taktyką, ale jak na razie piwafwi, krasnoludzka zbroja i męstwo nauczyciela uchroniły go przed odniesieniem jakichkolwiek obrażeń.

Tuin'Tarl ciął od niechcenia, a Ryld, rozpoznając fintę, nie zareagował. Tsabrak, którego nagie członki połyskiwały w bladej poświacie, splunął jadem na swoją klingę. Przenikliwy śpiew barda osiągnął crescendo, mężczyzna skrzyżował nogi i ciasno założył ręce na piersi, niemal zawiązując się w supeł.

Za pomocą pierścienia Pharaun dostrzegł mieniący się impuls magii lecący od pieśniarza w stronę Rylda. Wiedział nawet, w jakim celu. Jego przyjaciel miał się wygiąć, naśladowując krępującą ruchy pozycję barda. Jednak Ryld, silny duchem, oparł się temu przymusowi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Fechmistrz zamarkował cios w głowę Houndaera, obrócił się i zanurkował. Prześliznął się między odnóżami Tsabraka i oderwawszy się od dridera i Houndaera, wyprostował się i rzucił w stronę Syrzana. Uznał alhoona za najbardziej niebezpiecznego z przeciwników, choć illithilicz jeszcze go nie zaatakował. Syrzan wyciągnął z kieszeni gliniany flakonik. Kiedy machnął buteleczką od prawej do lewej, w powietrzu zmaterializowało się kilkanaście kul jasnego płomienia. Pomknęły one w stronę Rylda w linii prostej i eksplodowały jedna za drugą z hukiem piekielnego werbla.

Blask był oślepiający. Przez chwilę Pharaun nic nie widział, a kiedy w końcu dostrzegł Rylda, przed oczami wciąż miał jasne plamy powidoku. Przyjaciel wydawał się cały i zdrowy. Wciąż biegł na alhoona, który znalazł się już niemal w zasięgu jego miecza.

Syrzan wykorzystał swój talent łupieżcy umysłów. Chociaż liczył nie wymierzył ataku przeciwko niemu, Pharaun znalazł się na jego obrzeżu. Czuł się tak, jak gdyby gorący proch wypalał mu mózg. Ryld upadł jak podcięty.

Syrzan przyglądał się chwilę leżącemu na ziemi wojownikowi, wyraźnie chcąc się upewnić, że naprawdę go unieszkodliwił, po czym podszedł do Pharauna. Pomimo długiej szaty w jego chodzie było coś zauważalnie dziwnego, jak gdyby nogi zginały mu się w zbyt wielu miejscach. Z bliska wydzielał lekki odór, przypominający nieco smród zgniłej ryby. Jego szaty, niegdyś książęcej jakości, były wystrzępione i poplamione.

Dotknął palcem czoła Pharauna i obaj znaleźli się w innym miejscu.

ROZDZIAŁ 19

Podmrok był bezkresny, jego tajemnice nieskończone, a choć Pharaun od wieków podążał wszędzie tam, gdzie zaprowadziła go ciekawość, jeszcze nigdy dotąd nie widział miasta illithidów. Gdyby nie brak mieszkańców, pomyślałby, że właśnie znalazł się w jednym z nich.

Rzemieślnicy pokryli ściany i kolumny podziemnej komnaty gąbczastymi naroślami przypominającymi tkankę mózgu, po czym wyryli na zwojach runy. Dno jaskini upstrzone było kałużami ciepłej cieczy. Pachnące solą sadzawki pulsowały i tętniły mentalną siłą, którą nawet niepsioniczna forma inteligencji niejasno odbierała jako szept obcej, niezrozumiałej myśli w zakamarkach umysłu.

Pharaun poznał, że kawerna była w pewnym sensie iluzją, ale to nie czyniło jej ani trochę mniej interesującą. Niczego nie pragnął bardziej, niż zbadać każdy jej zakątek. Była to skłonność głęboko zakorzeniona w dobrym samopoczuciu, beztroskiej niefrasobliwości, nie bardziej prawdziwej niż otaczający go krajobraz, niemniej jednak kuszącej. Musiał ją zwalczyć.

Odwrócił się, zobaczył w odległości kilku stóp Syrzana i rzucił strzały siły - zakłęcie wymagające wyłącznie wypowiedzenia słów mocy i machnięcia dłońmi. W połowie drogi do celu groty lazuruowego blasku zatrzymały się jak wryte, spadły na ziemię i zmieniły się w pozbawione kończyn stworzenia przypominające wyglądem pijawki albo kijanki, które, piszcząc telepatycznie, zaczęły się ślizgać w kierunku najbliższej sadzawki.

- Twoje czary nie będą tu działać - rzekł Syrzan głębokim, frapującym głosem proroka.
- Spodziewałem się tego, ale musiałem spróbować. Czy znajdujemy się wewnątrz twojego umysłu?
- Mniej więcej.
- Syrzan podszedł bliżej. Z boku dał się słyszeć Chlupot i plusk zanurzających się w cieczy kijanek.
- Rozmawiamy w mojej specjalnej kryjówce - powiedział nieumarły łupieżca umysłów - ale znajdujemy się też nadal w kaplicy heretyków. W tamtej rzeczywistości rugam Houndaera za to, że zabrał was ze sobą, choć mówiłem mu, że to niebezpieczne, a ty jesteś nieprzytomny.
- Fascynujące - powiedział Pharaun. - Przypuszczam, że przeniosłeś mnie do tego snu, aby odbyć ze mną intymne tête-à-tête.
- W zasadzie tak - rzekł alhoon. Nawet w tej krainie fantazmatów załatywał lekko rozkładającą się rybą. - To tak naprawdę rodzaj czytania w myślach. Nie będziesz w stanie kłamać.
- Mistrz Sorcere zachichotał.
- Niektórzy powiedzieliby, że takie upośledzenie w ogóle uniemożliwi mi mówienie.
- Magowie szli wolnym krokiem obok siebie. Atmosfera, która zapanowała, wydawała się całkiem przyjemna.
- Dlaczego szukałeś mnie i moich sojuszników? - zapytał Syrzan.
- Pharaun wyjaśnił. Nie wiedział w tym nic szkodliwego. Kiedy skończył, illithilicz oznajmił
- Nie mógłbyś osiągnąć tego rodzaju mocy, którą władam.
- Teraz to rozumiem. Zniewalasz podistoty zręczną kombinacją czarów i umiejętności łupieżcy umysłów, a mnie brak wrodzonej zdolności do opanowania tych ostatnich. Co więcej, twoi konspiratorzy nie wiedzą nic o kłopotach kapłanek. - Pharaun przekrzywił głowę. - A może ty coś wiesz na ten temat, panie liczu.
- Nie - odpowiedział Syrzan. Macki wokół jego ust wiły się i skręcały. - Podobnie jak pozostali wiem, co się stało, ale nie wiem dlaczego.
- Więc na próżno szukałem tu odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. - Pharaun roześmiał się. - Moja siostra Sabal powiedziała mi kiedyś, że rozum sprytnego drowa może go sprowadzić na manowce, na które nigdy nie zapuściłby się żaden półgłówek... ale w tej chwili to nieistotne. A ty? Co takiego skłoniło istotę taką jak ty do przyłączenia się do bandy malkontentów z Menzoberranzan?
- Prosisz o informacje, które możesz wykorzystać przeciwko mnie.
- Hm, częściowo... - Pharaun musiał przerwać na chwilę, gdyż fala psionicznej mocy pochodząca z jednej z większych sadzawek zamroczyła go, grożąc mu rozmyciem myśli. - Ale to mało prawdopodobne, żebym kiedykolwiek miał do tego okazję. Jestem po prostu ciekawy. Jesteś magiem. Tę cechę mamy wspólną, nawet jeśli łączy nas niewiele więcej.
- Syrzan wzruszył wąskimi ramionami, które uniosły się pod spłowiałą szatą o wiele wyżej, niż uniosłyby się ramiona drowa.
- Cóż - powiedział alhoon - myślę, że oświecenie cię w żaden sposób mi nie zaszkodzi, a już od

dłuższego czasu nie miałem okazji rozmawiać z prawdziwie uzdolnionym kolegą po fachu. Nie żebyś mi dorównywał - żaden elf ani krasnolud nie jest w stanie - ale jesteś o niebo lepszy od któregośkolwiek z sojuszników Houndaera.

- Czuję się głęboko poruszony twoimi uprzejmymi słowami.

Dwaj czarodzieje weszli na mostek - krzywy wapienny łuk nad jedną z brejowatych sadzawek.

- Mroczne elfy tolerują liczów - powiedział alhoon, a w jego muzykalny i niemal na pewno sztuczny głos wkradła się nuta melancholii. - Illithidowie nie. Ogólnie rzecz biorąc, nienawidzą magii, obcej im dyscypliny równie potężnej jak psioniczne zdolności, które posiadamy od urodzenia. Tolerują jednak ograniczoną liczbę śmiertelnych magów, tych z nas, których pomimo ciężącego na nich stygmatu pociągało czarodziejstwo, ponieważ przynosimy im pewne korzyści. Ale myśl o nieśmiertelnym czarodzieju trwającym przez milenia, cały czas gromadzącym tajemną moc, przeraża ich.

- Więc w dniu, w którym osiągnąłeś nieśmiertelność - powiedział Pharaun - opuściłeś ojczyznę na zawsze, a przynajmniej do dnia, w którym mógłbyś ją podbić.

Dwaj magowie stanęli w najwyższym punkcie mostu i spojrzeli na rozciągający się przed nimi przestwór ciepłej, brejowatej cieczy. Pharaun zauważył, że falowała ona ospale, jak gdyby była gęściejsza od wody.

- Rzeczywiście - potwierdził Syrzan. - Miałem nadzieję, że uda mi się opuścić ich niepostrzeżenie, ale jakimś sposobem mieszkańcy Oryndollu wyczuli moją metamorfozę. Przez dziesięciolecia polowali na mnie jak na jakiegoś zwierza, a ja żyłem jak zwierzę na pustkowiach Podmroku. To były ciężkie czasy. Nawet nieumarli łakną wygod cywilizacji. Wreszcie w Oryndollu zapomniano o mnie albo po prostu dano sobie spokój. To już było coś, ale wciąż nie miałem gdzie mieszkać.

- Słyszałem - rzekł Pharaun - o istnieniu jednej czy dwóch enklaw illithiliczów. Nie szukałeś ich?

- Szukałem przez dziewięćdziesiąt lat i znalazłem jedną - odparł Syrzan, który wydawał się nieco urażony tym, że jego więzień przeskoczył część opowieści. - Przez jakiś czas mieszkałem tam, ale poróżniłem się ze starszymi alhoonami, którzy uważali się za przywódców pozostałych. Prowadziłem pewne badania, których w swej ignorancji i bojaźliwości zabronili.

Mistrz Sorcere wybuchnął śmiechem.

- Jeśli serce nie podpowiada ci - zakładając, że illithilicz zachowuje ten organ - że jesteśmy równi, musisz przynajmniej przyznać, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Nie starałeś się złowić demona Sarthosa?

- Nie - odparł krótko Syrzan. - Dość powiedzieć, że gdyby nie pech, zająłbym miejsce najstarszego licza, ale sprawy przybrały taki obrót, że musiałem znów uciekać i błąkać się samotnie po Podmroku.

- Z pewnością znalazłeś kogoś, kogo mogłeś zniewolić.

Pharaun zauważył, że powietrze w jaskini ochłodziło się, być może w odpowiedzi na posępne myśli swego stwórcy.

- Znajdywałem niewielkie obozowiska - powiedział Syrzan. - Rodzina goblinów tu, kilkunastu troglodytów tam. Używałem ich, zużywałem ich, każdego po kolei, ale żadna zawieszona nora zamieszkała przez garstkę bydła nie mogła dać mi tego, czego naprawdę pragnąłem. Pożądałem tętniącego życiem miasta, pełnego przepychu i luksusów, którym mógłbym rządzić i które posłużyłoby mi jako baza do podbicia terenów, które złożyłyby się na całe imperium. Ale zdobycie takiego miasta przewyższało nawet moją moc.

- I moją - rzekł Pharaun. - Choć trudno w to uwierzyć. A więc, pożądając czegoś, czego nie mogłeś mieć, obserwowałeś miasta Podmroku, a w każdym razie jedno z nich. Miałeś na oku Menzoberranzan.

- Tak - potwierdził Syrzan. - Obserwowałem wasz lud już od dawna. Odkryłem stowarzyszenie renegatów jakieś czterdzieści lat temu. Niedawno zauważyłem ułomność kapłanek - żadne mroczne elfy nie byłyby w stanie ukryć tak ogromnej zmiany przed tak utalentowanym obserwatorem jak ja. Pamiętałem o niedoszłych rebeliantach i tak zaaranżowałem sytuację, że dokonali tego samego odkrycia, a potem wyszedłem z cienia i zaproponowałem im moje usługi.

- Po co? - zapytał Pharaun. - Twoi wspólnicy to drowy, a ty, wybacz mi obcesowość, jesteś przedstawicielem niższej rasy. Wyrośniętym robakiem. Nie sądzisz chyba, że Houndaer i jego chłopcy dotrzymają zawartej umowy, kiedy zdobędą już nagrodę? Mroczne elfy nie dotrzymują nawet słowa danego sobie nawzajem.

- Na szczęście od zdobycia nagrody dzielą ich jeszcze dziesięciolecia, a przez te lata będę pracował nad narzuceniem moim współnikom mojej woli. Na długo przed przejęciem przez nich władzy nad

miastem, ja będę rządził nimi.

- Rozumiem. Głupcy otworzyli się przed tobą i teraz to, czego nie mogłeś podbić z zewnątrz, podporządkujesz sobie od wewnątrz, rozbudowując coraz bardziej sieć przymusu, aż wszyscy mieszkańcy Menzoberranzan staną się niewolnikami twojego umysłu, tańczącymi jak im zagrasz.

- Bez wątplenia rozumiesz, na czym opiera się społeczeństwo illithidów - powiedział Syrzan. - Wiesz też pewnie, że lubimy posilać się mózгами niższych istot i że podzielamy zamiłowanie waszej rasy do tortur. Ale niektórym przedstawicielom twego ludu będzie się dobrze powodziło. Nie mogę pożreć ani złupić wszystkich umysłów, prawda?

- Chyba że chcesz skończyć jako król duchów i ciszy. A skąd, jeśli mogę spytać, pochodzą bomby spalające kamień?

- Menzoberranzan nie jest jedynym miastem drowów mogącym się pochwalić ambitnymi mężczyznami.

Pharaunowi na chwilę odebrało mowę. Inne miasto drowów...

- Teraz twoja kolej zaspokoić moją ciekawość - rzekł Syrzan, wrywając drowa z zadumy.

- Nie mogę się już doczekać.

- Kiedy Houndaer i pozostali wyjaśnili wam nasz plan, czy naprawdę braliście pod uwagę przyłączenie się do nas?

Pharaun uśmiechnął się szeroko.

- Przez jakies ćwierć sekundy.

- Dlaczego odrzuciłeś ten pomysł? Nie jesteś bardziej wierny ani mniej ambitny niż jakikolwiek inny drow.

- Albo illithid, że zaryzykuję podobne porównanie. Dlaczego więc pozostałem niezłomny w moim postanowieniu zdradzenia cię? - Smukły mroczny elf rozłożył ramiona. - Z wielu powodów. Po pierwsze jestem wybitnym czarodziejem, a w Menzoberranzan my magowie mamy własną tajną hierarchię. Ostatnimi laty poświęciłem temu całą moją energię. Jeśli znajdę się na szczycie, stanę się osobistością równą wysokiej kapłance.

Gestem wyrażającym zniecierpliwienie Syrzan strzepnął mackami, z których odpadł płat skóry. W odróżnieniu od śluzowatej skóry żywych łupieżców umysłów skóra licza była popękana i sucha.

- Renegaci próbują podporządkować sobie kobiety - zauważył nieumarły stwór.

- Rozumiem, ale wątpię, czy wszystko pójdzie zgodnie z ich planem, czy nawet zgodnie z twoim planem.

- Uważasz, że kapłanki są zbyt potężne, nawet pozbawione swoich czarów?

- Kapłanki są rzeczywiście bardzo potężne. Mogą z powodzeniem zlikwidować to śmieszne stowarzyszenie. Ale w tej chwili bardziej niepokoją mnie podistoty. Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest goblinów, jak zażarcie nas nienawidziły, jeszcze zanim je rozjuszyłeś, albo jak bardzo niebezpieczny jest twój ogień trawiący kamienie? Może się zdarzyć, że po twojej rebelii nie będzie już Menzoberranzan, którym ktokolwiek mógłby rządzić.

- Bzdura. Orki będą miały swoją godzinę, a potem twój lud je wyrznie.

Pharaun westchnął.

- Bez przerwy słyszę to od twoich ludzi. Chciałbym, żeby wasza zgodność mogła mnie uspokoić, ale niestety. To jedna z wad uważania się za sprytniejszego od wszystkich wokół.

- Zapewniam cię, że orki nie mogą zwyciężyć.

- W najlepszym wypadku zniszczą część tych pięknych budowli, które założyciele miasta wyrzeźbili z żywej skały i dadzą przykład nieposłuszeństwa przyszłym pokoleniom niewolników. Twój plan zaszkodzi nie tylko kapłankom, ale samemu Menzoberranzan, a tego nie pochwalam. Tylko głupiec oszpeca skarb, który stara się zdobyć.

- Nie posądzałem cię o patriotyzm - powiedział Syrzan z drwiną w głosie.

- Dziwne, prawda? Powiem ci coś jeszcze dziwniejszego. Na swój sposób jestem też oddanym dzieckiem Lolth. Nigdy nie powstrzymywało mnie to przed dążeniem do własnych celów nawet przed zamordowaniem kapłanki czy dwóch - lecz choć dążę do uzyskania wysokiej pozycji, nigdy nie próbowałbym obalić całego porządku społecznego, który ustanowiła bogini. Z pewnością nie przyłączyłbym się do spisku, który ma na celu umieszczenie jej wybranego ludu i miasta pod rządami niższej istoty.

- Nawet bogowie umierają, drowie. Być może nie ma już Lolth. Jeśli Menzoberranzan jest

rzeczywiście śmiertelną krainą, którą ukochała, dlaczego miałyby was opuszczać?

- Próba? Kara? Kaprys? Któż to może wiedzieć? Ale wątpię, by Pajęcza Królowa była martwa. Widziałem ją raz i nie mam wcale na myśli jej manifestacji, która odwiedziła Menzoberranzan podczas Czasu Kłopotów. Spojrzałem na Mroczną Matkę w pełnym majestacie jej boskości i nie potrafię sobie wyobrazić, że coś mogłoby ją kiedykolwiek zrzucić z tego piedestału.

- Patrzyłeś na Pajęczą Królową?

- Myślałem, że może cię to zainteresować - rzekł mag. - Miało to miejsce wkrótce po tym, jak ukończyłem Sorcere, wróciłem do domu, żeby służyć matce, i sprzymierzyłem się z moją siostrą Sabal przeciwko jej bliźniaczce Greyannie. Pewnej nocy do naszego stalaktytowego pałacu przybyła delegacja kapłanek. Prowadziła je sama Triel Baenre - była wówczas mistrzynią Arach-Tinilith - i przyprowadziła ze sobą dostojne damy z domów Xorlarrin, Agrach Dyrr, Barrison Del'Armgo i innych znaczących rodów. Było to doniosłe wydarzenie, ponieważ wszystkie te wielkie panie przybyły, aby mnie aresztować. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czy to Greyanna je do tego namówiła. Byłoby to bardzo w jej stylu, ale to nie musiała być ona. Trudno ci będzie w to uwierzyć, ale w tamtych czasach byłem uważany za bezczelnego, zadzierającego nosa nicponia, w niczym nie przypominającego łagodnego i skromnego jegomościa, którego widzisz dziś przed sobą. Wiele kleryczek mogło podejrzewać mnie o bezbożność.

- To samo przydarzyło się Tsabarakowi - powiedział Syrzan. - Kapłanki aresztowały go, zamieniły w dridera i wyгнаły.

- Czasami wymierzają jeszcze ohydniejsze kary - rzekł Pharaun - ale najpierw cię przesłuchują, aby ustalić, jakie są twoje prawdziwe przekonania. Miałem nadzieję, że moja matka zainteresuje. Była jedną z wielkich opiekunek Menzoberranzan, a mi udało się przeprowadzić kilka udanych zamachów na rywali domu Mizzrym, ale nie wstawiła się za mną nawet słowem. Może uważała mnie za zdrajcę, a może nie chciała sprzeciwić się Baenre. Może po prostu uznała moje położenie za zabawne. To podobne do Miz'ri. Jak by nie było, kapłanki wtrąciły mnie do lochu i poddały przesłuchaniu z użyciem bicia i innych zabawek. Jakimś cudem udało mi się oprzeć pokusie złożenia fałszywych zeznań tylko po to, żeby powstrzymać ból. Jakiś czarodziej rzucił na mnie czar umożliwiający czytanie w myślach, ale napotkał barierę, jaką wznosi większość magów, aby ochronić swoje myśli. Przypuszczam, że illithid od razu by się przez nią przedarł, ale tamten czarodziej nie sprostał zadaniu.

- Więc przeszedłeś próbę? - spytał Syrzan.

- Niestety nie - roześmiał się Pharaun. - Przesłuchujące mnie kapłanki uznały sprawę za nie rozstrzygniętą i poprosiły o podjęcie decyzji siłą wyższą. Położyły mnie na obsydianowym ołtarzu, razem odprawiły rytuał, tańcząc, lamentując i dokonując samookaleczeń, aż sala tortur odpłynęła. Mógłbyś pomyśleć, że byłem z tego zadowolony, ale moje nowe otoczenie było nie mniej złowieszcze.

Elfy wiążące Pharauna zlekceważyły jego srebrny pierścień, najwidoczniej uznawszy go za zwykłą biżuterię, o ile w ogóle go zauważyły. Gdy tylko Mizzrym spojrzał na Syrzana, odkrył, że pierścień nie stracił swej mocy nawet w granicach urojonej przez licza krainy. Drow wbił sobie pewien pomysł w podświadomość i trajkotał dalej.

- Kapłanki napoiły mnie narkotykiem, żebym nie sprzeciwiał się okazywanym mi względom, po czym wykorzystały mnie w dość brutalny sposób. Minęło więc trochę czasu, zanim byłem w stanie unieść obolałą głowę i rozejrzeć się dookoła. Kiedy to zrobiłem, okazało się, że leżę na jakimś ogromnym przedmiocie w kształcie laski albo kawałka sznura, wykonanym z substancji, która lekko się ugiwała, ale mimo to była wytrzymała jak adamantyt. W przeciwnym wypadku rozpadłaby się pod własnym ciężarem. W oddali przedmiot łączył się pod kątem prostym z następnym takim przedmiotem, który łączył się z kolejnymi, a wzór ten, co sobie nagle uzmysłowiłem, tworzył pajęczynę o niesamowitym stopniu skomplikowania, wystarczająco wielką, by stanowić cały świat. Jeśli pajęczyna była do czegoś umocowana, to punkty zaczepienia znajdowały się zbyt daleko, bym mógł je dostrzec. Być może ciągnęła się aż w nieskończoność.

- Pajęczyna demonów - powiedział Syrzan.

Przy pomocy magicznego srebrnego pierścienia Pharaun zbadał ukradkiem talizmany licza, usiłując dojść do tego, który z nich umożliwiał illithidowi wysłanie psionicznego wezwania każdemu orkowi i goblinowi w Menzoberranzan.

- Bardzo dobrze - rzekł mag. - Widzę, że słuchałeś uważnie, kiedy nauczyciele opowiadali ci o rozmaitych planach egzystencji. Rzeczywiście, zostałem wygnany na ten poziom Otchłani, gdzie

sprawuje rządy Lolth. Słyszałem kiedyś, że nici pajęczyny są puste w środku i to wewnątrz nich toczy się życie tego planu. W każdym razie na zewnątrz nie widziałem żadnego źródła pożywienia ani wody, nie mówiąc już o portalu, którym mógłbym wrócić do domu, więc, wciąż oszołomiony i obolały po zabiegach kleryczek, zacząłem się czołgać, szukając jakiegoś sposobu wydostania się stamtąd. Może w końcu udałoby mi się go znaleźć, ale zabrakło mi na to czasu. Nić, po której szedłem, zaczęła drgać. Rozejrzałem się i zobaczyłem ją, jak biegnie w moją stronę.

- Lolth? - spytał Syrzan.

- A kogóż by innego? Jej kapłanki twierdzą, że podróżuje po swej dziedzinie w ruchomej żelaznej fortecy, ale tego dnia musiała ją gdzieś zostawić. Widziałem samą boginię w postaci pająka ogromnego jak Wielki Kopiec Baenre. Innym ukazywała się w tej samej postaci, tyle że mniejszej, ale kiedy przyszła po mnie, była gigantyczna. Byłem przerażony, ale co mogłem zrobić? Uciekać? Walczyć? Każda z tych możliwości była równie absurdalna. Postąpiłem w jedyny sensowny sposób. Skuliłem się i zasłoniłem oczy. Niestety, odmówiła mi łaski ślepoty. Jej wola zawładnęła mną i zmusiła do podniesienia oczu. Pochyliła się nade mną, spoglądając w dół kręgiem świecących, rubinowych oczu. Czułem się tak, jak gdyby jej wzrok nie tyle przeszywał mnie na wylot, co rozpuszczał. Uczucie to było nie do zniesienia, chciałem umrzeć i, w pewnym sensie, Lolth spełniła moje życzenie. Jej odnóża były ogromne, ale zwięzały się ku dołowi, tak że końcówki były ostro zakończone. Poruszając z chirurgiczną precyzją dwiema przednimi kończynami, przeprowadziła na mnie sekcję. Czy to mnie zabiło? Nie wiem. Powinno było, ale jeśli straciłem życie, mój duch pozostał w pociętym ciele, wciąż cierpiąc ból i strach. Moja dusza była również świadoma swego unicestwienia. W jakiś sposób Pajęcza Królowa, oddzielając moje ciało od kości, filetowała również mój umysł i ducha. Drażni mnie to, że nie potrafię tego opisać. Pochodzę z rasy oprawców i czarodziejów, a jednak wciąż brakuje mi słów. Dość powiedzieć, że nie było to przyjemne. Pod koniec operacji każdy aspekt mojego jestestwa leżał przed nią w kawałkach - do wglądu. Uświadomiłem to sobie teraz, bo wówczas byłem zbyt zbolaty i przerażony, żeby do tego dojść. Kiedy już się napatrzyła, złożyła mnie z powrotem.

Wciąż, starając się nie zdradzić, skupiając myśli na opowiadaniu, Pharaun ustalił, że to trójkąt miał zasilić wezwanie alhoona. Pytanie brzmiało, co z tym zrobić. Prawdziwa brosza wisiała na piersi fizycznego ciała Syrzana, w materialnym świecie. Ta wewnątrz jego umysłu była swego rodzaju echem. Odpowiednikiem. Czy pozbawiając jej Syrzana, mógł cokolwiek osiągnąć?

- Myślisz - ciągnął Pharaun - że złożyła każdą najmniejszą cząstką mojego intelektu i ducha dokładnie tak, jak były połączone wcześniej? Przez kilka następnych lat poświęciłem wiele czasu znalezieniu odpowiedzi na to pytanie, ale ponieważ jest to niemożliwe, nie zastanawiamy się nad tym dłużej. Kiedy Matka Żądź skleciła mnie z kawałków, cisnęła mnie z powrotem w moją własną rzeczywistość, na ołtarz, dając znak, że jestem jej miły. Przypuszczam, że kapłanki były rozczarowane. Nigdy nie znałem inkwizytora, który cieszyłby się z uniewinnienia podejrzanego. Być może znalazły odrobinę pocieszenia w fakcie, że zupełnie oszalałem. Odwiozły mnie mojej rodzinie, która przywiązała mnie do łóżka i zaczęła debatować nad tym, czy nie byłoby wygodniej dla wszystkich udusić mnie poduszką. Sabal była moim adwokatem i strażniczką. Nie mogła pozwolić sobie na utratę najwierniejszego sojusznika. Pomińmy wszystkie moje majaki i halucynacje, dobrze? W końcu odzyskałem zmysły i kiedy zastanowiłem się nad moimi przejściami w Otchłani, uświadomiłem sobie, że choć Lolth była nieskończenie straszna i zła, była również transcendentnie piękna. Po prostu byłem wtedy zbyt oszalały z bólu, by to dostrzec.

Magia zarówno pierścienia, jak i broszy towarzyszyła śniącym w ich śnie. W przeciwnym wypadku Pharaun nie byłby w stanie zauważyć, że brosza się żarzy. Więc może jeśli udałoby mu się unieszkodliwić talizman w tym miejscu, również jego odpowiednik w zwykłej rzeczywistości straciłby moc.

Prawdopodobnie nie, ale mistrz Sorcere czuł, że musi wykorzystać tę szansę. Wątpił, by nadarzyła się kolejna.

- Z pewnością uosabiała najwyższą potęgę, do której dążą wszystkie mroczne elfy, a zwłaszcza my czarodzieje - ciągnął Pharaun. - Czułem się natchniony tym, że jest naszą patronką. Jest nas godna, tak jak my jesteśmy godni jej.

- Wzbudziła w tobie podziw - stwierdził Syrzan, a macki wokół jego ust zwinęły się - tak jak każde pomniejsze bóstwo potrafi oszołomić śmiertelnika. Jesteś jednak uczony w tajemnicach. Powinieneś wiedzieć, że istnieją potęgi większe od Lolth. Istoty, które, gdyby uznały...

Pharaun zerwał trójkątną broszę z kości słoniowej z poplamionej i wytartej szaty nieumarłego łupieżcy umysłów i wyrzucił ją w pokrytą esami floresami barierkę mostu. Ozdoba nie stłukła się. Zdesperowany, odwiódł ramię w tył, żeby ją rzucić. Może illithilicz będzie miał trudności z wyłowieniem jej z mętnego stawu.

Zimna, szorstka dłoń chwyciła go za kołnierz i powaliła na ziemię. Nie był w stanie stawiać oporu. W stworzonej przez siebie rzeczywistości Syrzan był silny jak tytan.

Licz wyrwał Pharaunowi broszę i wrzucił ją do kieszeni. Chwycił mrocznego elfa obiema rękami, pochylił ku niemu głowę i owinał wysuszone, łuszczące się macki wokół czaszki maga. Pharaun wiedział, że łupieżcy umysłów odżywiali się w ten sposób. Wsuwali swoje członki w otwory w ciele ofiary i wydzielali z niej mózg.

Zastanawiał się, co się stanie, jeśli Syrzan potraktuje w ten sposób jego senne ja. Czy jego fizyczne ciało zginie, czy też stanie się żywą, lecz bezrozumną powłoką?

- Nie podobała ci się moja opowieść? - wydyszał Pharaun. Uścisk licza był tak silny, że brakowało mu tchu. - Wydawało mi się, że cię wciągnęła. Dlatego ośmieliłem się mieć nadzieję, że zdołam cię zaskoczyć.

- Dobierałeś się do mnie swoimi łapskami! Nie pozwalałam na to!

Melodyjny głos proroka przeszedł w ciąg paskudnych bzyczących posykiwań. Macki zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Formalnie rzecz biorąc, to nie są moje ręce - zauważył Pharaun. Bogini, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu czaszka. - Skoro to wszystko jest wytworem wyobraźni.

- Powiesz mi, skąd wiedziałeś, który talizman chwycić.

- Mój pierścień. Pozwala mi widzieć i interpretować wzory siły magicznej. Żaden czarodziej nie powinien się z nim rozstawać.

- Byłeś głupcem, chcąc pokrzyżować mi plany w moim prywatnym świecie. Nie rozumiesz, że wewnątrz tego konstruktu jestem bogiem?

- I tak jesteś martwy - odparł Pharaun - a kiedy drow wie, że musi zginąć, obmyśla zemstę.

- Ależ mylisz się - Syrzan rozluźnił chwyt macek. - Nie zamierzam cię zabić. To byłoby marnotrawstwo. Jak zauważyłeś moim celem jest zniewolenie całego Menzoberranzan. Ty, z twoimi talentami, z pewnością będziesz użytecznym niewolnikiem. Gdybyś na mnie nie napadł, twoja niewola mogłaby być stosunkowo lekka, bo cenę sobie towarzystwo innych magów. Obawiam się że teraz nic z tego nie będzie.

Czaszkę Pharauna przeszył nieznośny ból. Drow wrzasnął.

ROZDZIAŁ 20

- Ja to zrobię - warknął Houndaer.
Z sejmitem w dłoni ruszył w stronę Rylda.
Mistrz Melee-Magthere spróbował się podnieść, ale upadł z powrotem na ziemię. Jako student Akademii i przez wszystkie późniejsze lata poznawał techniki panowania nad bólem, ale nigdy nie doznał niczego, co dałoby się porównać z niewidzialnym ciosem zadany przez illithida czuł się tak, jak gdyby umysł przeszła mu włócznia.
- Nie! - powiedział Syrzan, który wypadł właśnie z chwilowego transu.
Houndaer odwrócił się.
- Nie? - zapytał. - Miałeś co do nich rację. Oczywiście.
- I mam nadzieję - powiedział licz, a macki wokół jego ust zafalowały - że zapamiętasz, czyj osąd jest trafniejszy. Jednak skoro już tu są, mogą przysłużyć się naszej sprawie, na co miałeś nadzieję. To tylko kwestia pogrzebania im w umysłach.
Bard uniósł brew.
- Potrafisz to zrobić?
- Tak - potwierdził Syrzan - ale nie w jednej chwili i nie teraz. Potrzebuję sił do wezwania.
Stwórz zdjął srebrny pierścień z palca nieprzytomnego drowa.
- Na razie zamknijcie ich - rozkazał alhoon.
- Dobrze - powiedział Tsabrak. - Mam nadzieję, że zrobisz to tak, żebyśmy wszyscy mogli ich kontrolować.
On też zbliżył się do Rylda.
Fechmistrz jeszcze raz spróbował wstać. Ktoś smagnął go przez głowę płazem klingi i wszystkie siły uszły z niego jak wino z przewróconego kielicha.
Następnych kilka minut pamiętał jak przez mgłę. Houndaer, Tsabrak, bard i jeszcze jeden renegat zanieśli jeńców do celi. Była tak samo brudna i panowała w niej taka sama atmosfera spustoszenia jak w pozostałych częściach zamku, ale ktoś wykazał się godną mrocznego elfa umiejętnością odróżnienia rzeczy istotnych od nieistotnych i zadał sobie trud wymiany zamków i innych zabezpieczeń.
- Zbiegowie pozbawili Rylda płaszcza i pancerza, po czym przykuli go łańcuchem do ściany. Tak jak podejrzewał, spiskowcy zastosowali o wiele ostrzejsze środki ostrożności w stosunku do czarodzieja, chociaż Pharaun dostał gwałtownego ataku zaraz po tym, jak Syrzan go ogłuszył, po czym najwyraźniej całkowicie stracił przytomność i nic nie wskazywało na to, że oprzytomnieje w najbliższym czasie. Oprócz skucia go kajdanami zbiegowie założyli mu na głowę stalową uzdę i wepchnęli do ust wędzidło, aby uniemożliwić mu wypowiedanie słów mocy. Przedramiona wetknęli mu w dwa końce metalowej tuby na zawiasach, rodzaju mufki, która miała zapobiec gestykulowaniu lub wykonywaniu palcami kabalistycznych znaków.
Zanim skończyli, Ryld zdążył już odzyskać dość sił, by przemówić.
- Was też dopadnie.
Houndaer odwrócił się z wściekłym grymasem na ustach.
- Co?
- Licz. Nie chce dzielić się władzą. Chce uczynić ze wszystkich mieszkańców Menzoberranzan, włączając w to ciebie, swoich niewolników. Tak postępują illithidowie.
- Myślisz, że ufamy tej bestii? - zaszydził Tuin'Tarl. - Nie jesteśmy idiotami. Spełni swoje zadanie i pozbedziemy się go.
- Macie taki zamiar, ale co, jeśli Syrzan już pracuje nad podporządkowaniem was sobie, tak nieznacznie, że nawet o tym nie wiecie? Co, jeśli, gdy nadejdzie czas...
Houndaer wałnął swojego byłego nauczyciela w usta, tak że ten wyrzwał głową w ścianę z kalcytu.
- Zamknij się - powiedział szlachcic. - Już raz mnie nabrałeś i przez ciebie wyszedłem na durnia. Drugi raz to się nie powtórzy.
Uciekinierzy zaczęły wychodzić. Tsabrak, od pasa w dół przypominający pajaka, musiał się przeciskać przez drzwi. Jako ostatni opuścił celę bard, który wychodząc, obdarzył Rylda kwaśnym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Drzwi zatrasnęły się z łoskotem.
Ryld zlizwał słony posmak krwi z rozciętej dolnej wargi.
- Pharaun - powiedział niskim głosem. - Naprawdę jesteś nieprzytomny, czy to tylko jakaś

sztuczka?

Mistrz Sorcere, oparty bezwładnie o ścianę, z głową ściśniętą stalową uprzężą, nie odpowiadał. Gdyby nie to, że jego pierś unosiła się i opadała, Ryld obawiałby się, że jest martwy.

Fechmistrz spróbował dostać się do niego, ale łańcuchy były za krótkie. Zbadał kajdany. Ciasno opinały nadgarstki, a zamki miały mocne. Ogniwa łańcucha były ciężkie, dobrze wykute i przymocowane pewnie do ściany. W burzliwych latach młodości Ryld raz czy dwa uwolnił się z kajdan, ale tych nie był w stanie rozerwać bez pomocy narzędzi albo jakiegoś cudu.

Pharaun, pozbawiony możliwości używania rąk i głosu, też nie miał większych szans. A jednak Ryld przypuszczał, że mag jest jego jedyną nadzieją. Pharaun był sprytny. Może byłby w stanie wymyślić jakiś fortel, gdyby tylko był przytomny.

- Obudź się! - ryknął fehmistrz. - Obudź się, do cholery. Musisz nas stąd wydostać! Aby hałas był jeszcze większy, zaczął walić kawałkiem łańcucha w ścianę. Na próżno. Wrzeszczał, dopóki nie zdarł sobie gardła, ale Pharaun nawet nie drgnął.
- Niech to szlag! - zaklął fehmistrz, po czym usiadł w kucki na podłodze i spróbował zebrać trochę śliny, żeby pozbyć się suchości w ustach. Ponieważ renegaci nie zadali sobie trudu zostawienia im dzbanka z wodą, ślina musiała wystarczyć.
- Musisz się obudzić - powiedział ciszej. - Dali nam łupnia, a jeszcze nigdy nikomu na to nie pozwoliliśmy. Pamiętasz, jak polowaliśmy na władcę płaszczowców? Zbyt późno dowiedzieliśmy się, że miał w drużynie sześćdziesięciu siedmiu podkomendnych. Nasza grupka studentów trzeciego roku nie była gotowa stawić czoła tak licznemu przeciwnikowi. Ale powiedziałaś: „To nic takiego, wystarczy kilka odpowiednich czarów, żeby wyrównać szanse”. Najpierw wyczarowałaś ścianę ognia...

Ryld rozprawiał tak przez wiele godzin, aż do zdarcia gardła, wspominając ich wspólne przygody tak, jak je zapamiętał. Miał nadzieję, że opowieści te sprawią, iż w nieprzytomnym umyśle Pharauna błysnie jakaś iskierka, a w każdym razie było to lepsze niż siedzenie i zastanawianie się, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy Syrzan uszkodzi mu umysł.

Wreszcie podbródek czarodzieja poderwał się z piersi. Mag wybałuszył oczy i spróbował wrzasnąć. Wędzidło stłumiło okrzyk, zmieniając go w zduszony bulgot i wbiło mu się w kąciaki ust, w których wykwitły koraliki krwi.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Ryld. - Cokolwiek liczy ci zrobił, już po wszystkim.
- Pharaun wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc. W jego oczach znów pojawił się rozsądek. Ryld odniósł wrażenie, że gdyby nie uprzęż, na ustach czarodzieja zagościłby jego zwykły radosny uśmiech. Pharaun skinął głową fehmistrzowi, dziękując za słowa otuchy, po czym przyjrzał się uważnie pochwie krepującej mu rękę. Kilka razy rąbnął nią o ziemię, żeby sprawdzić, czy nie uda mu się rozwalić zawiasów. Trzymały, nie wydając z siebie nawet grzechotu. Potrząsnął głową. Siedział nieruchomo przez kilka sekund, a potem zamknął oczy i oparł się plecami o ścianę, z pewnością zastanawiając się nad położeniem.

Po kilku minutach czarodziej wyprostował się. Zaczął pocierać obcasem jednego buta o bok drugiego.

Ryld poczuł przyływ podniecenia. Musiał zakładać, że mistrz Sorcere ukrył w bucie talizman. Dziwne, że czarodziej od razu sobie o tym nie przypomniał, ale może było to rezultatem ataku.

Buty Pharauna, jak wszystkie buty drowów, były wysokie i ciasno dopasowane. Kiedy wreszcie udało mu się jeden zsunąć, Ryld nie mógł się już doczekać, żeby zobaczyć... nic tam nie było. Nic oprócz wąskich spodni i pończoch.

Pharaun zabrał się za ściąganie drugiego buta. Ryld żałował, że nie wie, co zamierza jego przyjaciel, ale wiedział, że zadawanie pytań nie ma sensu. Z powodu tulei zakrywającej mu dłonie czarodziej nie mógł nawet odpowiedzieć w niemym języku gestów.

Kiedy w końcu drugi but zsunął się z nogi, Pharaun ściągnął skarpetki. Jego bosc stopy, podobnie jak dłonie, były smukłe i długie, łącznie z palcami.

Czarodziej uniósł prawą stopę, wbił w nią wzrok i zaczął zwijać i krzyżować palce. Niezgrabnie wykonał sekwencję ruchów, a potem powtórzył ją. Ryld dopiero po chwili zrozumiał, co robi, i nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

Faktem było, że Podmrok obfitował w stwory, w tym Syrzana, których kończyny różniły się znacznie od kończyn mrocznych elfów, co nie przeszkadzało im wcale w paraniu się magią. Pharaun miał więc może szansę. Może mógł rzucić jedno z tych zaklęć, które wymagało jedynie gestów, a nie

inkantacji czy materialnych komponentów.

Ale tylko pod warunkiem, że uda mu się wykonać stopami i palcami odpowiednie ruchy, precyzyjne i zawile sekwencje gestów, które latami uczył się wykonywać dłońmi.

Kiedy zmęczyły się palce prawej stopy, zaczął poruszać palcami lewej. Potem przeniósł ciężar ciała do tyłu, uniósł nogi i ćwiczył poruszanie obiema naraz. Ryld mógłby to uznać za dość komiczne przedstawienie, gdyby od powodzenia maga nie zależało jego życie.

Wkrótce Pharaun zaczął się pocić, a od czasu do czasu drżał, co zawsze zmuszało go do przerwy i chwilowego odpoczynku. Po godzinie przeszedł do następnego etapu eksperymentu - składania elementów zaklęcia w całość, poruszając wszystkim naraz w odpowiedniej kolejności i tempie.

Ryld przyglądał mu się uważnie. Czarodziej był z niego żaden, ale jego niewyszkolonemu oku wydawało się, że po jakimś czasie Pharaun wykonywał poprawnie tę samą sekwencję dwa razy z trzech. Resztę zawsze w jakiś sposób psuł.

W końcu Pharaun, oddychając ciężko, spojrzał na fehmistrza i wzruszył ramionami.

- W porządku - odparł Ryld. - Dwa razy z trzech to dobry wynik.

Pharaun osunął się z powrotem na podłogę i odpoczywał przez kilka minut. Kiedy znów usiadł, warknął przez maskę, nie zważając na świeżą krew, która zaczęła mu płynąć z kącików ust. Huknął dwa razy o podłogę pudłem, w które miał zakute ręce, po czym spojrzał na Rylda.

- Rozumiem - powiedział wojownik. - Hałasuj. Sprowadź kogoś.

Pharaun kiwnął głową. Klatka otaczająca jego głowę brzęknęła.

- Hej! - wrzasnął Ryld. - Niech ktoś tu przyjdzie! Jestem mistrzem Melee-Magthere. Znam tajemnice obrony wielkich domów, tajemnice, które musicie poznać, jeśli wasz plan ma się powieść. Wymienię je za moją wolność!

Darł się tak przez kilka minut, dla podkreślenia słów waląc łańcuchem w ścianę. Pharaun leżał nieruchomo, jak gdyby był wciąż nieprzytomny.

W końcu w małym zakratowanym okienku w drzwiach pokazały się czyjeś oczy.

- Czego? - warknął przybysz. Ryld nie słyszał wcześniej jego głosu.

- Muszę z tobą porozmawiać - odparł fehmistrz.

- Słyszałem - powiedział drow. - Znasz tajemnice. Alhoon wydrze je z ciebie, żadne targi nie będą potrzebne.

- Syrzan mówił, że zawładnięcie naszymi umysłami zajmie mu trochę czasu - odrzekł Ryld. - Mam informacje, które będą wam potrzebne, zanim wywołacie powstanie podistot. Ich rebelia na nic wam się nie zda, jeśli fehmistrze zabiją je wszystkie, jeszcze zanim powstaną.

- Jak mistrzowie oręza mogliby to zrobić? - zapytał zbieg.

- To tajemnica - oparł Ryld - którą my, bracia piramidy, przekazujemy tylko nielicznym wybrańcom.

- Nie wierzę ci.

- Studiujemy wojnę od tysiącleci. Myślisz, że przekazujemy wszystko, co wiemy, każdemu młodemu cymbałowi, który zapisze się do Akademii, czy też raczej zachowujemy ważniejsze, bardziej zabójcze tajemnice do własnej wiadomości?

Uciekinier zawahał się.

- No dobrze, powiedz mi. Jeśli coś w tym będzie, uwolnię cię.

Ryld wzruszył ramionami, pobrzękując kajdanami. Zdążyły już otrzeć mu skórę do krwi.

- Mam to wykrzyzczyć przez zamknięte drzwi? - zapytał fehmistrz. - Naprawdę tego chcesz?

- Zaczekaj.

Pogarda w głosie więźnia przypominała renegatowi o podstawowej zasadzie. Informacje najlepiej było zatrzymać dla siebie, przynajmniej do czasu, gdy znalazło się sposob wyciągnięcia z nich jakichś korzyści. Zbieg nie chciał, żeby ktokolwiek usłyszał, co wykrzykuje Ryld.

Drzwi zaklekotały, gdy klucz przekręcił się w zamku. Otworzyły się ze skrzypieniem i drow wszedł do środka. Był krępy i miał złamany nos rozplaszczony w poprzek kanciastej twarzy. Nijaki strój przystroił krzykliwymi ozdobami, w tym srebrną wstążką wysadzaną granatami. Nosił rapier zawieszony na pendencie, z cholew obu butów wystawały mu rękojeści sztyletów, a przy pasie wisiała ręczna kusza.

Stał w drzwiach, gdzie miał wszelkie powody czuć się bezpiecznie. Cela była na tyle duża, a łańcuchy więźniów na tyle krótkie, żeby znajdował się poza ich zasięgiem. Przymknął za sobą drzwi, ale nie zasunął zasuw.

- W porządku - odezwał się - teraz możesz mi już powiedzieć.
- Najpierw mnie rozkuj - powiedział Ryld.
Wiedział, że musi zająć renegata jeszcze przez kilka sekund, żeby Pharaun miał czas rzucić swoje zaklęcie.

Strażnik roześmiał się tylko.

- Nie opowiadaj bzdur.
- Nie rozumiem?
- Już ty dobrze rozumiesz.
- Równie dobrze możesz wysłuchać tajemnicy i zostawić mnie w tym więzieniu - rzekł Ryld, spoglądając na Pharauna kątem oka.

Ku jego przerażeniu czarodziej nie czarował. W ogóle się nie poruszał. Czyżby znowu stracił przytomność?

- Ty tkwisz w celi - powiedział renegat - a ja nie. Dlatego ty będziesz musiał zaufać mnie, a nie na odwrót.

Ryld skrzywił się, jednocześnie zachodząc w głowę, co robić. Skoro Pharaun leżał nieruchomo, musiał wymyślić na poczekaniu jakąś bajeczkę, żeby zatrzymać zbiega i modlić się, żeby czarodziej się zaraz poruszył.

- Dobrze, chyba nie mam wyboru. W niewielkiej odległości poza Bauthwafem znajduje się wejście do tunelu prowadzącego do najgłębszych czeluści Podmroku, dokąd nawet nasz lud nie...

- Co to ma wspólnego z zabiciem niewolników przez fehmistrzów?

- Posłuchaj, a dowiesz się. U dolnego wylotu korytarza znajdują się złoża minerału, którego nigdzie indziej nie widziałem...

Pharaun wreszcie poruszył stopą. Żeby tylko renegat tego nie dostrzegł.

- Kiedy skruszysz minerał na proszek...

- Hej!

Najwyraźniej strażnik widział kątem oka równie dobrze jak Ryld, bo odwrócił się w stronę Pharauna, ale nie zdążył. Bezcielesna dłoń z bladego żółtego światła ukazała się obok jego ramienia i pchnęła go.

Impet ciosu sprawił, że drow zatoczył się w stronę Rylda. Fehmistrz chwycił go i walił jego głową w ścianę tak długo, aż zostawiła na kamieniach klejącą się masę, a potem przeszukał trupa i znalazł przy jego pasie kółko z kluczami.

Odkrył, że jeden z nich otwiera jego własne kajdany, a także okowy Pharauna. Czarodziej rozprostował palce, aby wróciło mu krążenie, wyciągnął z rękawa jedwabną chusteczkę i otarł nią krew rozmazaną wokół ust.

- Chyba założę nową szkołę magii - powiedział czarodziej. - Pedomancja - czarowanie za pomocą stóp.

- Dlaczego czekałeś tak długo z rzuceniem czaru? - spytał Ryld.

- Szukałem kluczy naszego przyjaciela. Atakowanie go nie miałooby sensu, gdyby nie miał przy sobie środków, które pozwoliłyby nam uwolnić się z kajdan. Były przykryte peleryną i dostrzeżenie ich zajęło mi chwilę.

- Byłem pewien, że stało się coś złego. Jesteś gotowy wydostać nas stąd?

- Za chwilę - odpowiedział czarodziej, naciągając na nogi skarpety i buty. - Uważam, że wszystko poszło nam jak z płatka, nie sądzisz? Zdobyliśmy informacje, po które tu przyszliśmy, a teraz uciekniemy, tak jak planowaliśmy.

- Nie planowaliśmy, że będziemy musieli sobie radzić bez naszego ekwipunku.

- Proszę, nie zanudzaj mnie rzeczami oczywistymi. Konwersacja robi się przez to strasznie drętwa. A tak przy okazji, gdzie właściwie jesteście? Gdzie jest najbliższe wyjście?

- Nie wiem. Zdzielili mnie czymś w głowę, zanim nas tu przynieśli. Myślę, że jesteśmy wewnątrz sklepienia kawerny.

- A więc nie natrafimy na okno ani balkon, jeśli nie zejdziemy w dół, ale może uda nam się znaleźć drzwi prowadzące do tunelu.

Ryld zabrał martwemu zbiegowi broń i piwafwi. Płaszcz był na niego dużo za mały, ale i tak dawał jakąś osłonę. Koszulki kolczej nie był, niestety, w stanie założyć.

- Ja nic nie dostanę? - spytał Pharaun.

- Ja walczą i ja będę stał z przodu.
- Skoro tak to ująłeś...
- Chodźmy.

Mistrzowie wstali. Ryldowi zakręciło się w głowie, zachwiał się, ale odzyskał równowagę. Kiedy ruszyli w stronę drzwi, coś się wydarzyło. Przypominało to granie trąbki i rozbłysk białego światła, ale nie było ani jednym, ani drugim. Fehmistrz nie wiedział co to, ale zastygł w bezruchu, dopóki nie minęło.

- Co się stało? - zapytał.
- Wezwanie - odparł Pharaun. - Tak blisko źródła można je wyczuć nawet jeśli nie jest się goblinem. Niewolnicy powstają.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy nauczyciele wyszli zza rogu, Pharaun dostrzegł w odległości pięciu jardów jednego z uciekinierów. Dobrze uzbrojony konspirator szedł przed siebie szybkim krokiem, być może aby dołączyć do jednego z oddziałów, które miały spaść na miasto, kiedy rebelia goblinów pogrąży je w chaosie.

Miał szybki refleks. Gdy tylko dostrzegł zbiegłych więźniów, przypadł do ściany, z pewnością po to, by skryć się za zasłoną ciemności.

Pharaun uniósł dłonie, żeby rzucić strzały mocy - pozostały mu jeszcze dwa takie czary nie wymagające użycia wyzwalacza - ale Ryld był szybszy. Wystrzelił z kuszy ręcznej. Bełt utkwił renegatowi w oku, drow padł na ziemię.

Mistrzowie podkradli się do ciała i pochylili się, żeby je zbadać. Pharauna bynajmniej nie zdziwił, choć rozczarował fakt, że martwy wojownik nie miał przy sobie żadnych komponentów do zaklęć.

Mistrz Sorcere nie stracił wiary w siebie, ale dotarło do niego, że przez nadmierną pewność siebie w połączeniu z ambicją on i Ryld znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Utknęli pośród wrogów. Bez odpowiednich wyzwalaczy większość czarów była dla niego nieosiągalna, a fehmistrz odczuwał efekty ciosu w głowę i psionicznego ataku Syrzana. Większość obserwatorów nie zauważyłaby tego, ale Pharaun, który dobrze go znał, widział pewne drobne oznaki, które o tym świadczyły.

Cóż, przynajmniej Ryld się nie nudził.

Pharaun zabrał martwemu mężczyźnie ręczną kuszę, sztylet i piwafwi - łącznie z insygniami jakiegoś pomniejszego domu, które, jak zakładał Pharaun, posiadały takie same magiczne właściwości jak wszystkie inne. Płaszcz pasował całkiem nieźle, ale czuł się w nim dziwnie, bo brakowało mu obciążonych ukrytych kieszeni, do których był przyzwyczajony. Miał przynajmniej nadzieję, że będzie w stanie lewitować. Ryld wymienił noszony rapier na miecz poległego drowa.

Mistrz Melee-Magthere naciągnął kuszę i nałożył nowy bełt. Kiedy zbiegli więźniowie ruszyli dalej korytarzem, ściany wrzasnęły. Pharaun i Ryld skrzywili się, tak bolesny był to dźwięk. Ze ścian i sufitu spadł deszcz błękitnych iskier magii, a powietrze wypełniło się gorącym, surowym smrodem mocy. Pisk umilkł równie gwałtownie, jak się zaczął, choć nadal niósł się echem po cytadeli.

- Zakłęcie alarmujące? - spytał Ryld, biegnąc truchtem.

- Tak - potwierdził Pharaun, przyspieszając kroku, aby go dogonić. Dzwoniło mu w uszach. - Gdybym je wcześniej zobaczył, rozproszyłbym je, ale... Ale w obecnej sytuacji renegaci zaraz złączą nas ścigać. - Pharaun zmarszczył brwi. - Chyba że są zbyt zajęci przygotowywaniem się do mordowania kapłanek.

- Nie, uświadomią sobie, że muszą nas złapać za wszelką cenę. Gdyby wymknął się stąd jakiś szpieg i powiadomił o ich planach Radę, całkowicie pokrzyżowałyby im plany.

- A niech to, masz rację.

Od momentu opuszczenia celi mistrzowie poruszali się chyłkiem i przez to powoli, a teraz musieli przemykać się jeszcze ostrożniej, cofając się i chodząc okrężną drogą, kiedy tylko wyczuli, że wrogowie są gdzieś w pobliżu. W ten sposób łatwiej było się zgubić. Nieżyjący już od dawna szlachcice zbudowali swoją fortecę zgodnie ze strategią obronną wciąż jeszcze stosowaną od czasu do czasu w Menzoberranzan. Cytadela przypominała nieco labirynt. Jeśli ktoś się w niej wychował, nie stanowiło to żadnego problemu. Znał każdy zakręt i ślepy korytarz, ale osoby z zewnątrz miały trudności z poruszaniem się po niej. Osoby z zewnątrz takie jak Pharaun i Ryld, które musiały jeszcze znaleźć wyjście.

Może, pomyślał czarodziej, renegaci też będą mieli kłopoty z orientacją. Choć zajęli zamek, mogli nie znać go równie dobrze jak pierwotni lokatorzy. Istniała możliwość, że po prostu zaznajomili się z kilkoma kluczowymi częściami i głównymi korytarzami, zostawiając w spokoju resztę rzekomo przeklętej i nawiedzonej twierdzy.

Pharaun wiedział jednak, że chwila, w której myśliwi natkną się na zwierzyńcę, jest tylko kwestią czasu, i miał rację. Przechodzili właśnie z Ryldem przez jakąś galerię, w której wisiały zatęchłe, fosforyzujące arrasy, kiedy coś zaszeleściło za ich plecami. Mistrzowie obrócili się. Za nimi pojawiło się pół tuzina wojowników poruszających się bezszelestnie dzięki drowim butom. Nieprzyjacielem mierzyli do nich z kusz.

Ryld przypadł do ziemi i zasłonił twarz połą płaszczem. Pharaun zrobił to samo. Dwa groty przebiły prowizoryczną tarczę maga, która, jak widać, nie działała równie skutecznie jak piwafwi odebrane mu

przez Houndaera. Jeden belt zaplątał się w materiał. Drugi przeszedł na wylot i skaleczył mężczyznę w ramię, kłując i pozostawiając płytkie nacięcie. Drow modlił się, by nie był zatruty.

Słyszając nierówny stukot, Pharaun odsonił oczy. Uciekinierzy odrzucili kusze i popędzili w ich stronę. I tak byli już zbyt blisko, by mógł wykorzystać planowaną inkantację. Zamiast tego rzucił strzały światła, powalając dwóch renegatów. Strzelił z kuszy i nie trafił trzeciego.

Ryld wznosił okrzyk bojowy i rzucił się do przodu na spotkanie wrogów. Jego miecz wznosił się i opadał, pchając, tnąc i parując małymi, precyzyjnymi ruchami świadczącymi o prawdziwym mistrzostwie szermierza. Pharaun zaczął się posuwać do przodu ze sztyletem w ręku, ale nie miał okazji go użyć. Zanim znalazł się w odpowiedniej odległości, ścigający już nie żyli.

Pharaun ocenił własne obrażenia i zdecydował, że nie ma żadnego jadu w krwioobiegu, ale Ryld nagle jęknął, wykrzywił się i chwycił za skroń.

- Co ci jest? - spytał czarodziej.

Prawdopodobnie zranił go jeden z napastników, ale mag nie widział krwi sączącej się pomiędzy palców przyjaciela, a rany głowy zazwyczaj obficie krwawiły.

- Potworny ból głowy - wyjaśnił szermierz. - Pamiątka od Houndaera i Syrzana. Pogorszył się, kiedy serce zaczęło mi bić szybciej. Już mi przeszło.

- Nie posiadam się z radości. - Pharaun odwrócił się, trafiając prosto pod kolejną salwę beltów.

Nie miał już czasu zasłonić się płaszczem, uchylić się, czy zrobić cokolwiek innego, niż gapić się na następną grupę renegatów, która podkraśla się z przeciwnej strony. Jednak żaden z beltów, cudem chyba, nie trafił.

- Są tutaj! - wrzasnął jeden z nowo przybyłych.

Strażnicy ruszyli do ataku, zaś Pharaun podniósł do góry kawałek pajęczyny - jedyny wyzwalacz, który bez problemu udało mu się znaleźć. Wokół pędzących przed siebie renegatów pojawiła się siatka naprężonych, świecących nici. Przymocowane do ściany były równie mocne jak sznury i lepkie jak klej. Pochwyciły i trzymały renegatów.

Oprócz dwóch, którzy wysforowali się do przodu. Albo byli na tyle zwinni, żeby uskoczyć, zanim zakłęcie zmaterializowało się w pełni, albo ochroniła ich wrodzona odporność mrocznych elfów na magię.

Niezrażeni utratą towarzyszy, wojownicy znaleźli się w zasięgu miecza. Ten, który skupił się na Pharaunie, miał lewy profil oszpecony znamieniem.

Pharaun strzelił. Grot trafił elfa prosto w pierś, ale odbił się od kolczugi. Oszpecony drow ciął z boku. Pharaun wywinął się spod ciosu i rozpoczął inkantację.

Musiał uchylić się jeszcze przed dwoma atakami, zanim skończył. Z koniuszków jego palców wystrzeliły snopy światła.

Został jeszcze tylko jeden taki czar, pomyślał, i jeszcze jedna szansa wyczarowania pajęczej pułapki.

Pociski przebiły kolczugę renegata i obaliły go na ziemię. Ranny, ale wciąż żywy rebeliant potrząsnął głową. Pharaun wyciągnął zza pasa swój nowy sztylet i rzucił się na strażnika. Zanim oszpecony mężczyzna zdołał dojsć do siebie, czarodziej wbił mu sztylet pod podbródek.

Pharaun odwrócił się. Markując wysoki cios i tnąc z dołu, Ryld ciął przeciwnika w szyję. Renegat padł, odrąbana głowa potoczyła się po ziemi. Pharauna ogarnęło na chwilę uczucie ulgi, ale zaraz zauważył grymas przyjaciela i krew na jego udzie, a także usłyszał zbliżające się okrzyki pogoni.

- Brzmi to tak, jakby gonili nas wszyscy mieszkańcy zamku - zauważył czarodziej. - Co za uroczy dowód uznania.

- Usłyszeli odgłosy walki - odparł Ryld. - Domyślają się, gdzie jesteśmy. Ten korytarz stał się ślepym zaułkiem. Musimy uciekać i to już.

- Może wolałbyś, żebym pozwolił reszcie naszych wrogów nas otoczyć.

- Ruszaj się.

Tak też zrobili, ścigani obelgami wykrzykiwanymi przez uwięzione w pajęczynie drowy. Pharaun wkrótce zauważył, że Ryld stara się nie utykać ani nie okazywać niepokoju, ale nie był w stanie całkowicie ukryć odczuwanego bólu.

Czarodziej rozważał zostawianie za sobą plam mroku, aby utrudnić pogoń, ale w ten sposób znaczyłby trasę ucieczki. Do głowy przychodziła mu tylko jedna sztuczka pozwalająca wymknąć się renegatom, ale miał nadzieję, że jej zastosowanie nie okaże się konieczne.

Mistrzowie dwa razy wyczuli zbliżającą się grupą renegatów i ukryli się w jakimś pomieszczeniu, dopóki tamci ich nie minęli. W końcu znaleźli schody prowadzące w dół. Pharaun miał nadzieję, że schodząc na niższy poziom, uda im się zgubić pogoń, ale wnet okazało się, że nie. Może dlatego, że zostawiali za sobą ślady krwi. Drobną ranka Pharauna przestała krwawić, ale rozcięta noga Rylda wciąż broczyła krwią.

Potężny wojownik zaczął wbrew sobie utykać, stawiając jeden krok dłuższy od drugiego. Pharaun usłyszał szmer głosów dochodzący zza ich pleców a także z bocznego korytarza.

- Zostań tam, gdzie jesteś - polecił. - Mam pomysł.

Ryld wzruszył ramionami.

Czarodziej odszedł kilka kroków. Uniósł w górę strzępek pajęczyny i zaintonował zaklęcie. W powietrzu rozległ się pomruk mocy i krzyżujące się nici zapieczętowały korytarz. Renegaci, których słyszał, byli po drugiej stronie. Podobnie jak Ryld.

Fechmistrz spojrział na przyjaciela przez szczelinę w sieci.

- Nie rozumiem.

- I ty jesteś wyśmienitym strategiem. Naprawdę bardzo mi przykro, ale mogłem albo trzymać się ciebie i pozwolić, żeby twoje obrażenia opóźniały moją ucieczkę, albo zostawić cię z tyłu jako straż tylną, aby zatrzymać pogoń. Zważywszy na to, jak bezbronny jestem w tej chwili, wybór był dość oczywisty.

- Bądź przeklęty! Ile razy uratowałem ci życie?

- Straciłem już rachubę. W każdym razie teraz ocalisz mi je po raz kolejny, dzięki czemu wyzbędziesz się wreszcie melancholii. Żegnaj, stary przyjacielu!

Pharaun odwrócił się i ruszył przed siebie.

Usłyszał stuk kuszy i rzucił się w bok. Bełt przeleciał obok. Ryld wykazał się godną pochwały celnością, unikając zaplątania się pocisku w lepką sieć.

Pharaun spojrział w tył.

- Niezły strzał, ale lepiej zostaw bełty dla renegatów.

Ruszył dalej i przyspieszył kroku, gdy za jego plecami ktoś krzyknął i metal ze szczękiem uderzył o metal.

* * *

Ryld szybko przekonał się, że jeden ze zbiegów jest czarodziejem, i to na dodatek biegłym w swej sztuce. Mag bez żadnych problemów rzucał zaklęcia poprzez szereg utworzony przez jego towarzyszy w poprzek korytarza, nie czyniąc im żadnej krzywdy, za to raz po raz bombardując fehmistrza czarami.

Jak do tej pory rozbłyski mocy przypalały i chłodziły na zmianę mistrza Melee-Magthere, ale nie odniósł on poważniejszych obrażeń. Wątpił, by mogło to potrwać. Musiał powstrzymać jakoś maga, zanim ten przedrze się przez jego naturalne bariery ochronne, a to oznaczało przebicie się przez szereg.

Udał, że robi krok w lewo, po czym uchylił się w prawo. Zraniona noga pulsowała, a umysł przeszył mu ból, co było pamiątką po ataku Syrzana. To wystarczyło, by zwód okazał się nieskuteczny. Urlryn, długoręki, szczerbaty renegat z prawej, jeden z byłych uczniów Rylda, i to dobry, odpowiedział paskudnym pchnięciem w brzuch.

Każdy wojownik wie, że nie można cofnąć się w tej samej chwili, w której się atakuje. Ryld nie miał wyboru, musiał zasłonić się klingą. Sparował bocznym cięciem. Urlryn spróbował wepchnąć sztych poniżej bloku, ale zrobił to odrobinę za wolno. Ryld odepchnął klingę przeciwnika w bok, rozluźniając przez to chwyt.

Fechmistrz zaczął ripostować cięciem w pierś, ale wyczuł z boku jakiś ruch. Obrócił się. Chcąc wziąć go z zaskoczenia, renegat stojący obok Urlryna zamachnął się toporem, mierząc w kolano Rylda. Tak walczyli wojownicy ustawieni w szeregu. Zabijali przeciwnika, który walczył z ich sąsiadem.

Ryld przeskoczył nad cięciem. Przy lądowaniu jego nogę przeszył paraliżujący ból, niewiele brakowało, by kończyna się pod nim załamała. Wrzeszcząc, zdołał jakoś ustać i ciął topornika w brzuch. Miecz przegryzł się przez kolczugę i renegat zwałił się na ziemię.

Klinga Rylda wciąż tkwiła w trzewiach topornika, gdy natarli na niego Urlryn i drugi pozostały przy życiu wojownik. Mistrz zatoczył się do tyłu, uwalniając miecz. Zobaczył błysk kling i jakimś cudem, choć stracił równowagę, uchylił się przed ciosem. W rezultacie jednak usiadł na ziemi.

Napastnicy rzucili się do przodu, żeby z nim skończyć. Ryld zaskoczył nieznanego elfa

gruchoczącym kości kopniakiem w kostkę, czym obalił go na plecy, po czym uniósł się na jedno kolano, unosząc wysoko miecz, aby zasłonić się przed atakiem, który musiał zaraz nastąpić.

Ostrze Urlryna zderzyło się ze szczęką z jego klingą, tak że poczuł uderzenie w całym ramieniu. Renegat, mocno wparty obiema stopami w ziemię, mógł uderzyć z całej siły. Ryld nie.

Ale był większy i silniejszy niż przeciwnik i w dodatku znalazł się w dobrej pozycji, aby ciąć go w ścięgno podkolanowe. Zaciskając zęby, odbijał ciosy, dopóki napastnik się nie zmęczył, a wtedy ciął od tyłu i rozplątał wrogowi nogę.

Urlryn wrzasnął przeraźliwie i zatoczył się w bok. Ryld dźwignął się z ziemi i zwrócił w stronę czarodzieja, ale nie było go nigdzie widać. Pozbawiony muru wojowników mag wyczarował kolejnego obrońcę przypominającą nieco niedźwiedzia istotę o zwiniętych skrzydłach nietoperza i świecących szkarłatnych oczach. Istotę tak wielką, że wypełniała sobą niemal cały korytarz.

Ryld widział wiele razy, jak Pharaun korzysta ze słynnego talentu Mizzrymów do tworzenia iluzji i doświadczenia te bardzo mu się teraz przydały. Wyczuł, choć nie potrafił powiedzieć jak, że demoniczny niedźwiedź to tylko zjawą. Pokuśtykał do przodu, szturchnął go mieczem, a ten rozprysnął się w powietrzu jak grzyb rozsiewający zarodniki. Pomyślał, że to takie dziwne, że gdyby w niego uwierzył, stworzyłby go rozszarpać na strzępy.

Mag wziął nogi za pas. Ryld nie życzył sobie, żeby znów się pojawił, próbując go zabić, więc puścił się za nim w pogoń.

Głowa i zraniona noga odezwały się unisono bólem, musiał się więc zatrzymać. Czarodziej zniknął za zakrętem.

Czekając, aż ból minie, Ryld uświadomił sobie, że w obecnym stanie nie przeżyje kolejnych pojedynków. Miał do wyboru albo jak najszybciej uciec nieprzyjaciołom, albo zregenerować siły.

Niestety właśnie doszedł do wniosku, że jest skazany na tułaczkę po zamku i umykanie przed wrogami, dopóki przypadkiem nie trafi na wyjście. To mogło trwać godzinami.

Miał powody sądzić, że odzyskanie sił nie zajmie aż tyle czasu, ale przez pewien czas byłby całkowicie bezbronny. Nie mógłby wymknąć się w przeciwną stronę za każdym razem, jak wykryje grupę myśliwych. Musiałby pozostać w jednym miejscu. To rozwiązanie wydawało się jednak rozsądniejsze.

Ruszył korytarzem, zaglądając przez drzwi. Jedne z nich prowadziły do opuszczonej sali ćwiczeń. Spowite pajęczynami manekiny ćwiczebne wyglądały jak duchy.

Po prawej stronie, przy ścianie, wznosiły się rzędy siedzeń, z których widzowie mogli oglądać trenujących wojowników. Gdyby Ryld skrył się za tą konstrukcją, nikt by go nie zauważył, chyba że przeszukałby dokładnie całe pomieszczenie.

Poza tym, pomyślał mistrz, chowanie się w sali treningowej mogło mu przynieść szczęście. Moce ciemności wiedziały, jak bardzo było mu ono potrzebne.

Mężczyzna dokuśtykał za siedzenia i usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Oparł dłonie na udach, zamknął oczy i rozpoczął ćwiczenie oddechowe.

Zadufani w sobie czarodzieje wyobrażali sobie, że tylko oni potrafią medytować. Byli w błędzie. Bracia z Melee-Magthere również opanowali tę sztukę. Pomagała im osiągnąć najwyższy poziom bojowej doskonałości.

Czarodzieje. Ta myśl przypominała mu o Pharaunie. Szok i wściekłość znów powróciły falą.

Ale w tej chwili uczucia te były tylko przeszkodą. Musiał się rozluźnić i oczyścić umysł.

Mógł wyleczyć ranę, którą Syrzan zostawił w jego głowie. Mógł powstrzymać krwawienie z nogi. Mógł zabronić przystępu bólowi i zmęczeniu, zaczerpnąć z najgłębszych rezerw siły.

Jeśli tylko wrogowie dadzą mu na to czas.

* * *

Pharaun błąkał się korytarzami przez kilka następnych minut, a potem znalazł kolejne schody, tym razem zstępujące w dół wąską spiralą. Zupełnie tak, jak gdyby tajemniczo milcząca Lolth powróciła, aby wynagrodzić go za zdradę.

Jeśli nawet, wkrótce miał powód, żeby przypomnieć sobie, iż sama była równie kapryśną i zdradziecką istotą. Zszedł po schodach, ruszył korytarzem o wysokim, sklepionym suficie i usłyszał kolejną grupę myśliwych. Ich głosy brzmiały tak, jakby mieli zaraz wyjść zza zakrętu tuż przed nim.

Pharaun rozejrzał się wokół po pustych ścianach. W korytarzu nie było żadnych drzwi, za którymi mógłby się ukryć.

Czarodziej mógł uciec, ale nie chciał wracać tą samą drogą, którą przyszedł. Mógł wyczarować zasłonę ciemności, ale w ten sposób ostrzegłby zbiegów, że ktoś się za nią kryje. Mógł wystrzelić strzały mocy, ale w ten sposób straciłby ostatni czar ofensywny. Postanowił zaryzykować.

Koncentrując się na skradzionych insygniach, pozbył się ciężaru i wzniosł w górę, aby rozciągnąć się w poziomie, przyciskając kręgosłup do zaokrąglonego sufitu.

Myśliwi przeszli pod nim, nieświadomi jego obecności. Spoglądał w dół, wypatrując wśród nich jakiegoś maga. Gdyby istniała szansa zdobycia nowego wyzwalacza, mógłby zaatakować, nie zważając na przewagę liczebną wroga, ale wszystkie drowy były wojownikami.

Gdy oddaliły się, sfrunął z powrotem na ziemię i ruszył dalej. Musiał jeszcze raz zawrócić, a potem niespodziewanie znalazł się przed małym wejściem dla służby prowadzącym do stajni bardzo przypominającej tę w jego rodzinnym pałacu. Pokryte pleśnią kamienne koryta, beczki, podstawki do wsiadania na wierzchowce i zardzewiałe żelazne pierścienie do uwiązywania ich tworzyły na podłodze regularne wzory, podczas gdy wzdłuż ścian wisiały stęchłe, gnijące rzędy. Latające rumaki znikły już dawno temu, najwyraźniej skradzione przez zdobywców zamku, bo na ziemi nie było żadnych kości. Na straży przy ogromnych przesuwanych drzwiach stali dwaj renegaci.

Pharaun uśmiechnął się, rzucił swoje ostatnie strzały światła i nie czekając na efekt, puścił się biegiem w stronę wartowników.

Jeden z renegatów zakrzuszył się krwią i upadł. Drugiemu, jak się wydawało, nic się nie stało. Przystojny młodzieniec, z pojedynczymi pasmami włosów wypuszczonymi w elegancki sposób na policzki, odwrócił się, dostrzegł Pharauna i spokojnie uniósł kuszę.

Czarodziej padł plackiem na ziemię i bełt przeleciał mu ze świstem nad głową. Wciąż leżąc, Pharaun strzelił z własnej kuszy. Grot wbił się renegatowi w pierś.

Młodzieniec warknął wściekle, dobył sejmityra i ruszył na maga, ale zrobił tylko trzy kroki. Zatrzymał się, opuścił ramię, miecz z brzękiem upadł na ziemię. Ze zdziwionym wyrazem twarzy osunął się na kolana.

Wstając, Pharaun zauważył, że strój umierającego drowa był równie gustowny jak jego fryzura.

- Kto jest twoim krawcem? - zapytał Pharaun, ale renegat upadł na twarz. - Cóż.

Czarodziej podszedł do prowadzących na zewnątrz drzwi, odryglował je i pchnął. Kółka były chyba magiczne, bo zadziałały bez zarzutu. Płyta lekko i cicho odsunęła się na bok.

Po drugiej stronie, tysiąc stóp niżej, żarzyły się pałace Menzoberranzan. Dziękując w myślach domowi martwego strażnika, mag dotknął skradzionej broszy i wyskoczył.

ROZDZIAŁ 22

Pharaun mógł powoli opaść tysiąc stóp w dół albo spaść jak kamień, licząc na to, że dzięki zdolności lewitacji spowolni upadek na samym końcu. Druga opcja była niebezpieczna. Gdyby zaczął zbyt długo z przeciwdziałaniem przyciąganiu, mógłby przy lądowaniu połamać kości, a nawet rozbić się na miazgę.

Mimo to zdecydował się na drugie rozwiązanie, a to z powodu tego, co zobaczył pod sobą.

W cytadeli zbiegów stracił poczucie czasu, ale było rzeczą jasną, że wezwanie rozległo się około czarnej śmierci Narbondelu, kiedy większość mrocznych elfów udała się już do domów na spoczynek. Ponieważ w okolicy nie było drowów, które mogłyby rywalizować z nimi o panowanie nad ulicami, podistoty wyroiły się ze swoich nor, aby zabijać, plądrować i niszczyć. Pharaun nie był w stanie dostrzec pojedynczych istot, ale widział motłoch jako wielką, rozlewającą się, bezkształtną masę, przypominającą żywe galarety zasiedlające niektóre jaskinie. Trudno też było nie dostrzec wzniecanych przez podistoty pożarów. Czuł dziwny, wstrętny zapach palących się skał i słyszał krzyki goblinów.

Być może oblężony plebs liczył na pomoc szlacheckich domów. Jeśli tak, czekał na próżno. Czarodziejska moc rozblęskiwała bielą i czerwienią z okien i dziedzińców stalaktytowych pałaców, gdzie szlachta walczyła z własnymi zbuntowanymi niewolnymi żołnierzami. Przynajmniej na razie drowy miały związane ręce i nie były w stanie powstrzymać maruderów poza własnymi murami.

Jeden z domów pod stopami Pharauna zaczął się robić coraz większy. Mag uczynił się lżejszym od powietrza, ale i tak grzmotnął w dach z ogromnym impetem. Uderzenie pozbawiło go tchu i zmysłów, a kiedy przyszedł do siebie, znów unosił się w górę.

Powróciwszy do części swojej normalnej wagi, wylądował w bardziej wdzięczny sposób, rozpląszczył się na dachu i rozejrzał dookoła. W pobliżu nie było biegających w amoku goblinów - jeszcze nie - więc zeskoczył na ulicę. Zadowolony, że od bazaru dzielą go tylko trzy przecznice, popędził w tamtą stronę.

Dotarł już prawie na miejsce, gdy z bocznej uliczki wypadła zbieranina pokrytych łuską koboldów, orków o świńskich ryjach i kudłatych, potężnych niedźwieżuków. Jak na razie rewolta przebiegała po ich myśli. Udało im się zdobyć włócznie, miecze i topory, a także je okrwawić.

Pharaun przyspieszył. Obok niego przeleciał oszczep, ale niewolnicy nie ścigali go. Widocznie byli bardziej zainteresowani inną zwierzyną.

Kiedy czarodziej dobiegł wreszcie na targ, zaklął, bowiem rozruchy dotarły tu przed nim. Podistoty plądrowały i paliły kramy, które tworzyły wysepki oślepiającego blasku. Niektórzy kupcy uciekli. Inni starali się bronić swoich towarów - bezskutecznie, jeśli polegali na pomocy goblinich pomocników.

Okrażając skraj bazaru, Pharaun był świadkiem makabrycznych scen. Śmiejąc się, jakiś goblin chłostał biczem trupa swojego pana. Samica niedźwieżuka użyła swoich kajdan, żeby zadusić kupca. Wierzchowe jaszczury uwięzione w płonącej kamiennej zagrodzie syczały i miały się przerażone.

Pierwszy stragan, który Pharaun miał nadzieję zastać w nienaruszonym stanie, płonął wesoło, a w drugim roilo się od gnolli, które warcząc, skamląc i szczekając, grzebały w towarach kramarza. Mistrz Sorcere znał jeszcze tylko jedno miejsce na obrzeżach bazaru. Gdyby to też okazało się niedostępne, musiałby zapuścić się głębiej w płonący, rojący się od orków labirynt straganów, albo obmyślić inny plan.

Pokryty brodawkami brodaty ogr przewrócił dwunastokołowy wóz, wyrzucając z niego mroczne elfy, które próbowały stawiać opór. Chodzący grzyb, wyższy niż którykolwiek z bydlaków i dzięki smukłej, żłobionej nodze poruszający się ze znacznie większą gracją, ominął szerokim łukiem tę małą masakrę.

Pharaun również prześliznął się bokiem. Po kilku krokach jego oczom ukazała się scena, która po rzezi, jakiej był świadkiem, wydała mu się niemal nierzeczywista. W najbardziej wysuniętej na zachód części targowiska panował spokój. Niektórzy kupcy uzbroili się i zajęli pozycje przed swoimi namiotami i kioskami, ale sprawiali wrażenie spokojnych i opanowanych.

W swoim obfitującym w przygody życiu Pharaun był już świadkiem podobnych fenomenów. W odpowiednich okolicznościach ludzie byli w stanie pozostać ślepi i głusi na zacięte walki toczące się zaledwie kilka jardów dalej.

Czarodziej biegł dalej. Przed nim nakreślony na ziemi świetlisty zielony krąg otaczał przestronny

kram zbudowany ze stwardniałego grzyba. W drzwiach stał mocno zbudowany drow z arbaletą w ręku i ropuchą, swoim chowańcem, na ramieniu. Ubrany był w nocną koszulę, stopy miał bosc. Kupiec skrzywił się na widok Pharauna.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedział gardłowym głosem, jeszcze głębszym niż głos Rylda.
Pharaun zatrzymał się, wziął głęboki oddech i rozkaszał się, nabrawszy w płuca dymu kłębiącego się w powietrzu.

- Drogi mistrzu Blundyth, czy tak wita się wiernego klienta?

- Tak wita się szaleńca, który zaledwie wczoraj zaatakował patrol.

Racja, pomyślał Pharaun, to było zaledwie wczoraj. Od tego czasu tyle się wydarzyło, że miał wrażenie, jakby minął cały rok.

- Moje dawne grzeszki nie mają już większego znaczenia - powiedział Mizzrym. - Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co tu się dzieje?

- Masz na myśli dym i tamto zamieszanie? - Blundyth wskazał głową wschód. - Pewnie jakiś kupiec eliminuje konkurencję. To nie moja sprawa, ale jestem przygotowany na wypadek, gdyby kłopoty przeniosły się w tę stronę.

- Chciałbym, żeby to była prawda - rzekł Pharaun. - Niestety, nikt z nas nie jest tak naprawdę przygotowany na dzisiejszą noc. Czy wyglądałeś ze swojego sklepu?

Wskazał pomarańczowe światło migające na wschodnie.

- Szlachta znów coś kombinuje - odrzekł Blundyth. - Może któreś z domów połączyły siły, żeby zlikwidować wspólnego rywala. To też nie moja sprawa.

- Mylisz się. W całym mieście podistoty podniosły bunt.

Blundyth prychnął.

- A jednak jesteś szalony.

- Czy ty i twoi sąsiedzi nie macie niewolników?

- Oczywiście, że mamy. Gdzieś sobie poszli.

- W rzeczy samej. Poszli przygotować się do poderżnięcia wam gardeł.

- Po prostu odejź, mistrzu Mizzrym. - Blundyth zmienił sposób, w jaki trzymał kuszę, i dodał - Zawsze się dogadywaliśmy. Nie zmuszaj mnie, żebym cię skrzywdził.

- Orki stanowią poważne zagrożenie. Wiem, jak mu zapobiec, ale potrzebna mi twoja pomoc. Wciąż mam tu kredyt, nieprawdaż?

Pharaun spojrzał kupcowi w oczy i stwierdził, że nigdy nie uda mu się go przekonać.

- Szkoda. Będziesz żałował tej decyzji. Najprawdopodobniej za kilka minut, ale wtedy będzie już za późno.

Mistrz odwrócił się i odszedł, ale gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Blundytha, zawrócił okrężną drogą. Przemykając pomiędzy stłoczonymi budami, zaszedł kram zwalistego drowa od tyłu. Skradając się, nasłuchiwał, czy przypadkiem nie zbliżają się podistoty, ale nie był w stanie tego stwierdzić. Przypuszczał, że jeden z przeklętych buforów tłumiał czyniony przez nie zgiełk.

W każdym razie dotarł do pomarszczonej grzybowatej konstrukcji nie niepokoiony przez orków. Wykonał dłońmi sekwencję magicznych gestów i wyszeptał inkantację. Ochronny krąg światła zniknął. Pharaun podbiegł do budy, poszybował w górę i wciągnął się na dach. Skamieniały grzyb utrzymał jego ciężar. Blundyth zaklął i zaczął okrążyć stragan z kuszą w pogotowiu. Pharaun wołał mieć pewność, że kupiec nie będzie miał szansy jej użyć.

Czarodziej zeskoczył z dachu, lądując Blundythowi na plecach. Wiedział, że nie wykonał tego manewru tak zwinnie, jak zrobiłby to nieszczęsny Ryld, ale osiągnął zamierzony efekt. Kupiec runął na kolana. Ropucha uciekła.

Przywierając całym ciałem do ciała ofiary, Pharaun dźgnął ją kilka razy sztyletem w bok. Czasem ostrze wchodziło głęboko, czasem trafiało w żebro. Blundyth przez chwilę rzucał się i miotał, a potem spróbował strzelić z arbalety znad ramienia. Pharaun uchylił się. W końcu kupiec upadł na bok, przygważdżając własnym ciężarem nóż napastnika i jego rękę.

Pharaun uwolnił dłoń, ale nie zadał sobie trudu wyciągnięcia sztyletu. Miał właśnie zamiar postarać się o nieporównywalnie lepszy oręż. Wytarł zakrwawione palce w odzienie Blundytha, a potem wstał i skierował się w stronę wejścia do kramu.

Sąsiedzi Blundytha przyglądali mu się, ale się nie wtrącali. Jak mógłby zauważyć martwy elf, jego morderstwo nie było ich sprawą.

Sklep z magicznymi artykułami był zaopatrzony równie dobrze jak zwykle. Na wapiennych półkach stały słoje, butelki i pudełka, a w rogu żarzyło się zielonkawe lustro na drewnianym stojaku. Powietrze pachniało przyprawami, ziołami, gorzkim kadzidłem i rozkładem.

Piwafwi Blundytha zwiślało niechlujnie z jednej ze skrzyń i była to pierwsza rzecz, jaką Pharaun sobie przywłaszczył. Czuł się w nim jak w namiocie, ale płaszcz był tradycyjnie wyposażony w kilka rzędów ukrytych kieszeni. Potem mag zbadał fiołki i szuflady, znajdując magiczne komponenty odpowiadające czarom, które przygotował. Z każdym skradzionym przedmiotem czuł się coraz lepiej, prawie jak kaleka odzyskujący władzę w nogach.

Chodząc po pomieszczeniu, spostrzegł parę butów ustawionych na małej szafce. Musiały mieć jakieś specjalne właściwości, bowiem ich twórca wytłoczył na skórze runy. Bez swojego srebrnego pierścienia Pharaun nie potrafił natychmiast stwierdzić, jakie zalety posiadały, ale wiedziony przeczuciem postanowił je przymierzyć.

Buty skurczyły się, dopasowując się do kształtu jego stóp, po czym zadrzały niczym zwierzę gotowe do biegu. Zrobił na próbę krok, a magiczne buty same odepchnęły się od ziemi, potęgując siłę jego nóg, tak że jednym susem znalazł się po drugiej stronie sklepu.

Nieźle, pomyślał. Nie tak użyteczne jak latający dywan, ale i tak przydatne.

Zrobił jeszcze kilka kroków, żeby się do nich przyzwyczaić, a potem wyszedł na zewnątrz. W momencie, w którym opuścił sklep, powietrze eksplodowało wyjąca, przeraźliwą kakofonią. Chwilę później horda podistot - głównie orków, choć było wśród nich kilka goblinów - wypadła spomiędzy kramów i straganów od wschodu.

Sąsiedzi Blundytha wpatrywali się w napastników kompletnie zaskoczeni. Dla niektórych ten moment konsternacji okazał się fatalny. Podistoty opadły ich jak mrówki objadające truchło myszy.

Część pozostałych kupców czmychnęła. Pozostali strzelali z ręcznych kusz albo wyczarowywali magiczne rozbłyski. Jeden optymista próbował zastraszyć rebeliantów groźbami, inwektywami i rozkazami, dopóki skrofuliczny ork nie oblał go płynnym ogniem Syrzana, wychlustując ciecz z blaszanego wiaderka. Środek zapalający podpalił ciało z taką samą łatwością, jak gdyby był to kamień. Pharaun puścił się biegiem z łopotem obszernego piwafwi. Z każdym wzmocnionym krokiem odbijał się od ziemi, ale magiczne buty zawsze łagodziły lądowanie.

Para orków spojrzała na niego spode łba i uniosła włócznie. Wyszeptał inkantację i poszarpana czerń, istota samej śmierci, zatańczyła wśród podistot. Zwały się na ziemię, już gnijąc.

Przynajmniej chwilowo Pharaun był bezpieczny. Pędził dalej, a wszędzie wokół niego jego miasto tonęło w morzu krwi i ognia.

* * *

- Musisz znać jakąś pieśń, jakiś czar, który pozwala wysledzić wroga - upierał się Houndaer.
- Gdybym znał, już bym ją śpiewał - uciał Omraeth. - A teraz bądź cicho. Jeśli mistrzowie usłyszą, że się zbliżamy, postarają się nam wymknąć.
- Ma rację - poparł go Tsabrak biegnący obok na swych ośmiu członowanych odnóżach. - Zamknij się albo nigdy ich nie znajdziemy.

Houndaer przewiesił sobie przez plecy wielki miecz Rylda Argitha i przez chwilę aż zatrząsł się od chęci wypróbowania go na towarzyszach. Nie był przyzwyczajony do takiej bezczelności, nie ze strony innych mężczyzn, a już na pewno nie tak nikczemnego stwora jak drider.

Powstrzymał się jednak, ponieważ ich potrzebował. Modlił się, by to jemu udało się dogonić zbiegłych więźniów, przez których wyszedł w oczach pozostałych renegatów na głupca, ale wiedział, że sam nie da rady zabić ich obu.

Tsabrak uniół rękę.

- Zaczekajcie! - wyszeptał.
- Co się dzieje? - spytał Houndaer.

Zamiast odpowiedzieć, półpająk zaczął głęboko oddychać. Rozdęły mu się nozdrza. Odwrócił się w jedną stronę, potem w drugą, wreszcie pochylił się, żeby powąchać podłogę. Jego przednie odnóża wygięły się, a pająkowaty odwłok przekrzywił, aby mógł przytknąć drowią głowę do ziemi.

- Zwęszyłeś ich? - spytał Houndaer.

Elf poczuł przypływ podniecenia i uczynił świadomy wysiłek, by je stłumić. Nie wątpił, że

Tsabrak wyczuł coś istotnego, ale w ciągu ostatniej godziny bydlak, któremu metamorfoza najwidoczniej zmieniła percepcją, znajdował trop kilka razy tylko po to, żeby znów go zgubić.

- Za mną - polecił Tsabrak, nakładając strzałę na cięciwę.

Drider zaprowadził towarzyszy do zwieńczonego łukiem wejścia do sali treningowej, gdzie stały pokryte pajęczynami manekiny ćwiczebne. Na jednej ze ścian pomieszczenia wisiała tablica wyników. Z upływem lat kreda przestała prawie fosforyzować, ale Houndaer wciąż mógł odczytać wynik pojedynku zapisany lśnjącymi słabo cyframi.

Ale choć wyteżał wzrok, nigdzie nie widział ani śladu mistrzów Argitha i Mizzryma. Mężczyzna rzucił Tsabrakowi pytające i nieco zniecierpliwione spojrzenie. Zamiast odpowiedzieć, drider wskazał na podłogę.

Kiedy na zamku panowała dumna szlachecka rodzina, zatrudniony przez nią rzemieślnik wymalował na posadzce plansze szermiercze. Magiczna emalia, podobnie jak kreda, wciąż lekko promieniowała. W jednym miejscu jej blask przyćmiewała plama krwi.

Houndaerowi serce zabiło szybciej. Spojrzał na dridera i wymówił bezgłośnie

- Gdzie?

Tsabrak zaprowadził ich w stronę rzędów siedzeń po prawej. Szlachcic dopiero teraz zauważył, że podwyższenie stoi w pewnej odległości od ściany.

Gdzieś w zamku jeden myśliwy krzyknął do drugiego.

Spokojnie, pomyślał Houndaer. To moja zdobycz.

Wstrzymał oddech, gdy on i jego podwładni - bo byli nimi, nawet jeśli z powodu przynależności do spisku wyobrażali sobie, że jest inaczej - wyrzeli z za krawędzi stopni. Kilka jardów dalej siedział ze skrzyżowanymi nogami mistrz Argith.

Tuin'Tarl natychmiast wycelował z kuszy. Mało brakowało, a nacisnąłby spust, nawet nie zorientowawszy się w sytuacji. Jego dawny nauczyciel siedział nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Z pozoru był nieprzytomny, a przynajmniej nieświadomy nadejścia wrogów. Mistrza Mizzryma nigdzie nie było widać.

Bierność Rylda sprawiła, że Houndaer nie był pewny, jak najlepiej postąpić. Czy on i jego podwładni powinni zlikwidować szpiega, czy też skorzystać z okazji i wziąć go w niewolę? Gdyby fehmistrz zginął, nie mógłby im powiedzieć, co się stało z jego partnerem.

Szlachcic uświadomił sobie nagle, że kiedy zastanawiał się nad sytuacją, Tsabrak nałożył na cięciwę strzałę. Houndaer uniósł rękę, by go powstrzymać, ale zaraz zmienił zdanie. Mistrz Argith był znakomitym wojownikiem nawet według standardów Melee-Magthere. Dlatego będąc studentem, Tuin'Tarl tak go podziwiał i tak zależało mu na jego rekrutacji. Może rozsądniej jest go zabić, skoro nadarza się ku temu sposobność?

Poza tym Houndaer nie chciał ryzykować rozdrażnieniem, w jakie wprawiłby go Tsabrak, gdyby zignorował jego rozkaz.

Uniósł ręką kuszę. Ani on, ani drider nie spieszyli się z mierzeniem, ale dlaczego by nie? Ryld był wciąż nieświadomy ich obecności.

Tsabrak puścił cięciwę, a Houndaer nacisnął spust. Strzały pomknęły w stronę wciąż nieruchomego fehmistrza. Szlachcic nie miał żadnych wątpliwości, że dwa pociski wystarczą. Leciały prosto do celu i miały zatrute groty. Zlikwidowanie mistrza sztuki wojennej w tak prosty sposób wydało mu się dziwne i w niejasny sposób niezadowolające, jak gdyby zemścił się tanim kosztem.

I wtedy, kiedy było już zbyt późno na reakcję, Ryld poruszył się. Uchylił się przed bełtem z kuszy i złapał rozpadzoną strzałę w dłoń.

Szybko, a jednak nie zdradzając żadnych oznak pośpiechu, fehmistrz wstał płynnym ruchem i ruszył w ich stronę. Zakrwawione udo w niczym mu nie przeszkadzało. Jego twarz i oczy były puste, niczym oczy medium czekającego na komunię z umarłymi.

Omraeth wyśpiewał głębokim głosem krótki rymowany kuplet. Powietrze zamigotało od mocy. Zakłęcie miało wyraźnie zaszkodzić Ryldowi, ale z tego, co widział Houndaer, nie odniosło spodziewanego efektu. Ogromny mężczyzna wciąż szedł w ich stronę. Tsabrak wypuścił kolejną strzałę, a nauczyciel odbił ją w powietrzu mieczem.

Tsabrak i Houndaer dobyli mieczy. Drider splunął trucizną na swoje ostrze. Musieli natrzeć na Rylda, dopóki ten wciąż znajdował się w ciasnym przejściu pomiędzy siedzeniami a ścianą, gdzie miał ograniczoną swobodę ruchów. Omraeth zajął pozycję za placami towarzyszy, skąd mógł wspierać ich

wysiłki swą magią barda.

Houndaer poczuł ukłucie strachu i siłą woli stłumił to uczucie. Nie miał się czego obawiać. Było ich trzech na jednego, a ten jeden nie miał kolczugi. Sądząc z jego wyglądu, mógł też być niespełna rozumu.

Tyle że zaraz udowodnił, że jest inaczej. Ryld dotknął pionowej powierzchni stanowiącej tył stopni, wzywając ciemność, która oślepi jego wrogów.

Houndaer ciął na oślep i wyczuł, że Tsabrak robi to samo. Ciemność ciemnością, ale gdyby szpieg skoczył do przodu, mógłby ich porąbać na kawałki. Ich miecze przecinały wyłącznie powietrze.

Po kilku sekundach Omraeth krzyknął

- Wracajcie! Natychmiast!

Houndaer i Tsabrak odwrócili się i zaczęli wycofywać się po omacku w stronę, z której dobiegł głos ich przyjaciela. Zatruta klinga dridera uderzyła Tuin`Tarla w ramię, ale na szczęście zbyt lekko, by przebić jego zbroję lub piwafwi.

Kiedy potykający się Houndaer wydostał się wreszcie z mroku, mistrz Argith stał na środku sali. Pod osłoną ciemności wdrapał się na szczyt schodów i zeskoczył w dół z drugiej strony. Mógł z powodzeniem dopaść wyjścia nie zatrzymany przez nikogo, ale nie skorzystał z tej szansy. Stojąc w środku jednego ze świecących słabo kręgów, przyjął postawę. Nie pokonał schodów, aby uciec, tylko żeby znaleźć się na polu walki, które bardziej mu odpowiadało.

Houndaer przełknął ślinę. Ryld nie miał dość rozumu, żeby uciec? Świetnie. W takim razie go zabijają.

Szlachcic i drider rozdzielili się, żeby zająć mistrza Melee-Magthere z przeciwnych stron. Omraeth pozostał z tyłu i rozpoczął kolejną pieśń.

Zbliżając się do przeciwników, mistrz Argith wykonał płynnie pierwszy element układu kata - parady, wysokiej finty, niskiego cięcia - którego uczył Houndaera w Tier Breche. Kiedy szlachcic zorientował się, że fehmistrz chciał w ten sposób odwrócić uwagę od trzymanej w drugiej ręce kuszy, było już za późno. Bełt wbił się Omraethowi w gardło, rozpraszając ładunek tajemnej mocy gromadzący się w powietrzu. Bard przewrócił się na wznak z ohydny rzęzeniem i zostało dwóch na jednego.

Houndaer przekonywał sam siebie, że nie ma to znaczenia. Nie w sytuacji, gdy dzierżył w dłoni wielki miecz Rylda, oręż, który był ponoć w stanie przeciąć wszystko, a ostrze Tsabraka ociekało trucizną. Wystarczyło lekko ranić wroga, aby go unieszkodliwić.

Ryld cofał się. Houndaer zakładał, że przeciwnik chce mieć za plecami ścianę, żeby żaden z napastników nie mógł go zająć od tyłu, ale ze zrećznością zadziwiającą u tak potężnego wojownika Ryld zmienił kierunek. W mgnieniu oka przeszedł do natarcia, atakując półpająka po swojej lewej ręce.

Oszołomiony Houndaer zawahał się, a potem rzucił się w stronę Rylda i dridera. Przebycie dzielącego go od nich dystansu mogło mu zająć najwyżej kilka uderzeń serca.

W tym czasie Ryld zaatakował Tsabraka z jego prawej, a więc z przeciwnej strony niż ręka, w której stwór trzymał miecz. Pajęczy odwłok dridera był na tyle masywny, by podobnie jak walczący z siodła wojownik Tsabrak miał trudności z zadawaniem i parowaniem ciosów w poprzek klatki piersiowej. Drider ciął, celując w głowę mistrza. Cios był źle wymierzony i Ryld nawet nie zadał sobie trudu, żeby go sparować albo się przed nim uchylić - po prostu skoncentrował się na własnym ataku.

Tsabrak uczynił rozpaczliwy wysiłek, by usunąć się w bok, jednak miecz Rylda przebił się przez górną część jednego z jego chitynowych odnóży. Drider wrzasnął i zachwiał się.

Podchodząc, Ryld zawiązał mieczem w ciosie, który musiał się okazać zabójczy. Houndaer wzniósł okrzyk bojowy i ciął wielkim mieczem z półobrotu. Nie przybrał odpowiedniej pozycji i cios był niezdamny, ale to wystarczyło, żeby zmusić fehmistrza do odwrotu. Ryld wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak śmiertcionośne było ogromne ostrze.

Gdy tylko miecz przeleciał obok niego ze świstem, mistrz zaatakował pchnięciem w pierś. Houndaer złożył się do parady. Tak szybkie wykonanie tego manewru tym wielkim mieczem powinno być niemożliwe, ale broń wydała mu się lekka jak zwój pergaminu. Miecz Rylda zaczępił się o jeden z wąsów poniżej oplecionego skórą ricassa.

Ryld cofnął się, uwalniając klingę. Houndaer przyjął środkową zasłonę, a do jego boku przykuśtykał Tsabrak. Twarz dridera była wykrzywiona bólem, z jego rany tryskała rytmicznie ciecz o gryzącym zapachu.

Ryld wciąż się cofał. Renegaci znów się rozdzielili, choć nie tak szeroko jak poprzednim razem.

Tsabrak zaczął wydawać z siebie ciche skomlenie, wzbierające gdzieś w głębi gardła.

I wtedy, pozornie bez żadnego zamachu, jedynie gwałtownie prostując ramię, Ryld cisnął swoim mieczem. Choć broń nie była przeznaczona do tego typu manewrów, pomknęła przez powietrze prosto i pewnie jak strzała. Sztych wbił się w pierś Tsabraka.

Drider wybałuszył oczy. Plunął krwią, a potem górna połowa jego ciała zwiotczała, a ręka upuściła miecz. Pajęczy odwłok, umierający wolniej niż góra, nadal kuśtykał do przodu.

Ryldowi został już tylko sztylet, który nie mógł być przydatny w starciu z klingą tak długą jak ostrze wielkiego miecza. Houndaer rzucił się do przodu, żeby zadać ostateczny cios.

- Tuin'Tarl! - wrzasnął.

Z twarzą wciąż pozbawioną wyrazu jak u zombi, fehmistrz uskoczył w bok.

Houndaer obrócił się w ślad za ofiarą i spostrzegł, że Ryld schował się za jednym z ustawionych w rzędzie drewnianych manekinów. Z bliska, wyciosane prymitywnie figury wydawały się dziwnie niepokojące - pomimo niezliczonych wgnieceń i rozcięć wszystkie uśmiechały się w ten sam szyderczy sposób.

Ryld stał nieruchomo, czekając, i Houndaer przejrzał jego zamiary. Gdyby jego przeciwnik skoczył ku niemu z jednej strony manekina, mistrz okrążyłby go z przeciwnej strony, żeby lalka wciąż ich od siebie odgradzała.

Houndaer nie widział powodu, by grać w tę grę, nie jeśli jego nowy miecz był tak ostry jak powinien. Mężczyzna zatoczył klingą niski łuk, przepoławiając manekina bez najmniejszego trudu i pozbawiając Rylda jego żalosnej osłony.

Niestety w tej samej chwili, zanim Houndaer zdołał złożyć się do kolejnego ciosu, fehmistrz skoczył do przodu. Ryld ciął sztyletem, mierząc w gardło szlachcica.

Houndaer targnął się rozpaczliwie do tyłu, zasłaniając się bronią przed szpiegiem, zanim uświadomił sobie, że cios był tylko fantą. Ryld zmusił go do przyjęcia całkowicie defensywnej postawy i skorzystał z okazji, żeby przemknąć obok niego. Houndaer chlasnął mistrza przez plecy, ale zdołał jedynie rozedrzeć jego wydęty płaszcz.

Tuin'Tarl rzucił się za nim, ale drogę przeciął mu Tsabrak, umierający lub martwy, ale wciąż poruszający się bezmyślnie po sali. Houndaer wrzasnął z frustracji i ciosem miecza obalił dridera na ziemię.

Gdy hybryda upadła, szlachcic zobaczył, co się dzieje za nią. Ryld dopadł miecza upuszczonego przez Tsabraka. Nie zważając na truciznę zasychającą na klindze, nauczyciel wsunął pod nią stopę, wyrzucił ją w powietrze i schwycił ją zgrabnie za rękojeść. Z wciąż nieprzeniknionym wyrazem twarzy przyjął postawę i zaczął się zbliżać.

Wciąż mogę go zabić, pomyślał Houndaer, wciąż mam większy zasięg. A na głos krzyknął

- Tutaj! Mam tu jednego z mistrzów!

Ryld zbliżył się na odpowiednią odległość i zaczął go okrążyć. Pewny, że zdoła się obronić, chciał, żeby Houndaer go zaatakował. Szermierz nie mógł zaatakować, jednocześnie się nie odsłaniając.

Z początku szlachcic nie chciał wyświadczyć mu tej przysługi. Chciał dać przeciwnikowi na przeczekanie. Ryld uderzył.

Impet ciosu zmusił zaskoczonego renegata do odpowiedzi, ale był to przynajmniej przemyślany atak. Finta w pierś, finta w bok, niski cios i podcięcie przeciwnikowi nóg.

W chwili, w której zadawał ostatni cios, przypomniało mu się, że to Ryld nauczył go tej sekwencji i z pewnością nie da się na nią nabrać. Mistrz sparował niezamarkowany cios w nogi i zripostował sztychem w nadgarstek Houndaera. Miecz wgryzł się w rękawicę i ukryte pod nią ciało.

Ryld uwolnił miecz, trysnęła krew. Znów natarł, chcąc ciąć Houndaera w tors. Tuin'Tarl odskoczył poza jego zasięg, jednocześnie przyjmując ofensywną postawę.

Zakrwawiony nadgarstek pulsował bólem, wielka klinga drżała. Strasznie ciężko było mu ją utrzymać, nawet pomimo tkwiących w niej zakłęb. Chwycił ją oburącz, ściskając osłabioną ręką ricasso, ale niewiele mu z tego przyszło. Nadstawił uszu, licząc, że usłyszy towarzyszy biegnących mu na pomoc.

Nic nie usłyszał.

- Dobra robota, mistrzu Argith! - oświadczył Houndaer. - Uznaję się za pokonanego. Poddaję się.

Ryld postąpił do przodu, z mieczem gotowym do zadania ciosu.

- Błagam! - powiedział Tuin'Tarl. - Zawsze się jakoś dogadywaliśmy, prawda? Byłem jednym z twoich najbardziej sumiennych studentów i mogę pomóc ci się stąd wydostać.

Nauczyciel wciąż się zbliżał i Houndaer zauważył, że jego twarz wcale nie była obojętna ani pozbawiona wyrazu. Może była pozbawiona emocji, ale zdradzała nadnaturalne, niemal demoniczne skupienie, całkowite skoncentrowanie na walce.

Houndaer zobaczył w niej własną nieuniknioną śmierć i przepełniony jakimś dziwnym spokojem opuścił wielki miecz. Sekundę później klinga Ryllda rozplatała mu pierś.

* * *

Rozbrzmiewający echem metaliczny łoskot zaskoczył Quenthel. Dobrze, że przez całe życie uczyła się panować nad sobą, bo inaczej mogłaby krzyknąć ze strachu.

Wraz ze swoim oddziałem patrolowała świątynię. Po wydarzeniach ostatnich czterech nocy obniżenie czujności byłoby szaleństwem, ale w miarę jak mijały dłużeńce się godziny i nic się nie działo, jej podwładne zaczęły szemrać, że oblężenie się skończyło. Bo przecież powinno. Kościana różdżka miała ponoć wysłać wczorajszego demona przeciwko osobie, która rzuciła klątwę.

Ale Quenthel nie podzielała ogólnego optymizmu. Rzeczywiście, zwróciła atak przeciwko jego źródłu, ale nie oznaczało to wcale, że jej bezimienny wróg uległ mocy demona. Czarodziejka mogła przeżyć, a jeśli ocalała, mogła nadal wysłać swych nieziemskich skrytobójców.

Sądząc po odgłosach, kolejny właśnie wdarł się do środka, a Quenthel nie miała drugiej kościanej różdżki.

Baenre poczuła przyływ lęku, może nawet rozpacz, ale zaraz stłumiła go w sobie.

- Za mną! - warknęła.

Być może jej podwładne przydadzą się wreszcie na coś.

Stąpając bezszelestnie w magicznych butach, kapłanki ruszyły w kierunku źródła hałasu. W zielonkawym świetle pochodni ich cienie kładły się na ścianach bezkształtnymi plamami. Zaszleścił pergamin, gdy jedna z nowicjuszek niezdarne otworzyła zwój. Rozległy się kobiece krzyki. Moc sprawiła, że powietrze nabrało na chwilę czerwonego zabarwienia i po skórze kapłanek przesunęło się nieprzyjemne mrowienie.

- To nie demon - powiedział Yngoth, unosząc się z rękojeści bicia, aby znaleźć się na poziomie oczu Quenthel. Klinowata, pokryta łuską głowa podskakiwała mu w górę i w dół w rytm jej kroków.

- Nie? - zapytała. - Czyżby mój wróg przybył we własnej osobie, aby kontynuować nasz pojedynek?

Miała taką nadzieję. Teraz, dysponując odpowiednim wsparciem, miała spore szanse pokonania tej aroganckiej idiotki.

Niestety, okazało się, że jest inaczej. Gdy dotarła do sali z posągami pajaków, sponiewierane odrzwia po raz kolejny zostały wyłamane. Teraz pogieęte zwisały z zawiasów. Tym razem winowajcą okazała się olbrzymia, bezcielesna, świetlista dłoń, unosząca się w powietrzu z palcami skierowanymi ku górze, jak gdyby dając znak, żeby się zatrzymać. Tyczkowaty mężczyzna w workowatej pelerynie skrył się za półprzezroczystym tworem przed włóczykami i strzałami posyłanymi w jego kierunku przez niektóre kapłanki.

Quenthel westchnęła, ponieważ знаła tego szaleńca, a nie mógł on być jej nieznanym wrogiem. Z tego, co wiedziała, przez kilka ostatnich dni był zbyt zajęty w mieście.

Machnięciem bicia dała znak, żeby wstrzymać ostrzał.

- Mistrzu Mizzrym! - zawołała. - Do listy twoich wykroczeń trzeba będzie dopisać włamanie się do miejsca, gdzie żaden mężczyzna nie ma prawa przybyć nieproszony.

Pharaun skłonił się nisko, z szacunkiem. Wyglądał na wykończony i, co niezwykle w przypadku tak sławnego dandysa, niechlujnie.

- Mistrzynie, proszę o wybaczenie, ale muszę się z tobą rozmówić. I to jak najszybciej.

- Mam ci niewiele do powiedzenia, poza potępieniem cię, tak jak powinien to być uczynić arcymag.

- Zabij mnie, jeśli musisz. - Olbrzymia dłoń znikła, a on ciągnął dalej - Zważywszy na moje ostatnie grzeszki, nawet się tego spodziewałem. Ale najpierw mnie wysłuchaj. Podistoty buntują się.

Quenthel zmrużyła oczy i zapytała

- Czy to arcymag przysłał cię tu z tymi wieściami?

- Niestety - odparł mag - nie udało mi się go odnaleźć, ale wiedziałem, że muszę o tym poinformować najwyższych rangą członków Akademii. Zdaję sobie sprawę, że nikomu nawet się nie

śniło, że to możliwe, a jednak stało się. Pójdź ze mną na skraj urwiska i zobacz sama.

Baenre zmarszczyła brwi. Zachowanie Pharauna było nieco zbyt aroganckie, ale było w nim coś przykuwającego uwagę.

- Dobrze więc - powiedziała. - Ale jeśli to jakiś głupi żart, gorzko tego pożałujesz.

- Pani - powiedziała Minolin. - On może zaprowadzić cię prosto...

Quenthel uciszyła idiotkę lodowatym spojrzeniem i znów zwróciła się do Pharauna

- Prowadź, mistrzu Sorcere.

Prawdę mówiąc, wysoka kapłanka nie musiała iść aż nad samo urwisko, żeby stwierdzić, że w mieście dzieje się coś bardzo niedobrego. Drgająca żółta luna pożarów i cuchnący, ostry zapach dymu unoszący się w powietrzu uderzyły ją zaraz po wyjściu ze świątyni w kształcie pająka. Nie bacząc na swoją wysoką pozycję, pobiegła w kierunku urwiska, a za nią starający się dotrzymać jej kroku Pharaun. W dole całe fragmenty Menzoberranzan - fragmenty skał, jak to możliwe? - stały w płomieniach. Niemożliwe, nawet na czubku Wielkiego Kopca Baenre zakwitł pióropusz płomieni, niczym chwost przy kapeluszu. Gdy oczy Quenthel przyzwyczyły się już do osłepiającej jasności, drowka dostrzegła niewyraźnie motłoch siejący zniszczenie na ulicach i placach.

- Widzisz - powiedział Pharaun - to właśnie dlatego przebiegłem pół miasta, wymykając się maruderom na każdym zakręcie - aby dotrzeć do ciebie, pani. Jeśli mógłbym coś dodać, to jest gorzej, niż mogłoby się wydawać. Szlachta w zasadzie nie zaczęła nawet odzyskiwać ulic. Ugrzęźli w swoich posiadłościach, walcząc z własnymi domowymi goblinami. Sugerowałbym więc, żebyś...

Mag był na tyle sprytny, że urwał na widok wściekłej miny Quenthel.

- Zmobilizujemy Tier Breche - powiedziała drowka. - Melee-Magthere i Arach-Tinilith mogą walczyć. Sorcere podzieli się, część magów wesprze nas, a część zajmie się gaszeniem pożarów. A ty znajdziesz mojego brata Grompha albo go zastąpisz.

Pharaun ukłonił się nisko.

Quenthel odwróciła się i zobaczyła, że kapłanki i nowicjuszek wyszły za nią na płaskowyż. Coś w ich zachowaniu spowodowało, że stanęła jak wryta.

- Pani - powiedziała nieśmiało długoucha Viconia Agrach Dyr, jedna ze starszych nauczycielek - wysyłanie Melee-Magthere i Sorcere na dół jest jak najbardziej sensowne, ale...

- Ale wy utraciliście swoją magię - dokończył za nią Pharaun.

Siostry świątyni otworzyły usta ze zdumienia.

- Wiesz o tym? - zapytała Quenthel.

- Wie o tym wielu mężczyzn - odpowiedział mag z lekkim zniecierpliwieniem w głosie - więc nie widzę powodu, żeby mnie za to zabijać. Wyjaśnię wszystko później. - Odwrócił się do pozostałych kleryczek. - Święte matki i siostry, choć straciłyście swe zaklęcia, nadal dysponujecie zwojami, talizmanami i innymi boskimi narzędziami zgromadzonymi przez wasz zakon. Możecie użyć buzdyganów, jeśli okaże się to konieczne. Możecie walczyć.

- Straciłyśmy już zbyt wiele sióstr - powiedziała Viconia do Quenthel. - Demony zabiły kilka z nich, a ty, mistrzyni, przywołując pająki, uśmierciłaś kolejne. Nie śmiemy ryzykować życia pozostałych. Ktoś musi przetrwać, aby ocalić wiedzę i odprawiać rytuały.

- To zbyt optymistyczne - powiedział Pharaun.

Viconia skrzywiła się.

- Co takiego, chłopcze?

- Założenie, że jeśli zostanieie tu na górze, unikniecie zagłady - odparł czarodziej. - Bardziej prawdopodobne jest to, że jeśli orki zwyciężą na dole, wespną się po schodach na górę, aby dokończyć dzieła zniszczenia. Utrzymujecie, że jesteście oddane Arach-Tinilith. Wykazałybyście się o wiele większą pobożnością, ścierając się z podistotami w jaskini poniżej, tym samym nie dając im najmniejszej możliwości sprofanowania waszych kaplic i ołtarzy. Lepszą strategią będzie też podjęcie walki ramię w ramię ze sprzymierzeńcami, niż czekanie aż oni zginą, skazując was na samotną walkę.

- Wygadany jesteś, czarowniku - zadrwiła kapłanka Agrach Dyr. - Ale nie wiesz, czy nasza pomoc jest w ogóle potrzebna. Na ogień i pożogę, to tylko gobliny! Myślę, że jesteś po prostu tchórzem.

- Być może - odrzekła Quenthel - ale jak mogłybyśmy prosić o przychylność Mroczną Matkę, jeśli wcześniej odmówiłybyśmy obrony jej wybranego miasta w godzinie próby? Z pewnością nie usłyszałybyśmy już nigdy jej głosu.

- Pani - powiedziała Viconia, rozkładając ręce. - Na pewno można znaleźć lepszy sposób

udobruchania jej niż wdawanie się w uliczne burdy z robactwem.

Quenthel uniosła ręczną kuszę i strzeliła swojej podkomendnej prosto w twarz. Viconia wydała z siebie zdławiony okrzyk i potykając się, upadła na wznak. Już w momencie upadku jej twarz zaczęła czernieć od trucizny.

- Myślałam, że już udowodniłam, że to ja tu rządzę - powiedziała Baenre. - Czy któraś jeszcze chce zakwestionować moje rozkazy?

- Jeśli tak - powiedział Pharaun - powinna wiedzieć, że ja stoję po stronie mistrzyni i władam mocą mogącą zmieść was ze skraju urwiska.

Ignorując przechwałki czarodzieja, Quenthel przyjrzała się swoim podwładnym. Najwyraźniej żadna nie miała już nic do powiedzenia.

- Dobrze - powiedziała Baenre. - Postawmy na nogi wieżę i piramidę.

ROZDZIAŁ 23

Z Quenthel na czele, członkowie Akademii zstąpili z Tier Breche niczym wielki wodospad. Niektórzy uczeni zeszli za mistrzynią schodami, inni sfrunęli z urwiska. Kilku, znających czary umożliwiające latanie, śmigało w powietrzu jak nietoperze.

- Może mistrzyni zechciałaby poczekać chwilę - odezwał się Pharaun. Mag w którymś momencie wymknął się do swojej prywatnej kwatery, aby umyć twarz, przeczesać włosy i narzucić na siebie nowe, eleganckie odzienie. Wrócił sam, wciąż twierdząc, że nie wie, gdzie podział się Gromph. - To dobry punkt do wybadania ukształtowania terenu. Część dymu unosi się nad nami, ale wciąż jesteśmy wystarczająco wysoko na powietrzny zwiad.

Ponieważ Gromph był wciąż nieosiągalny, Mizzrym zajął - z wyraźną przyjemnością - jego miejsce. Możliwe, że był to afront dla domu Baenre, jak również arcymaga, ale Quenthel i tak wydała odpowiednie rozkazy. Dopóki jej nie brat nie powróci albo kryzys nie zostanie zażegnany, potrzebowała kogoś, kto reprezentowałby Sorcere, a była pewna, że Gromph będzie w zabawny sposób poirytowany faktem, iż ten dandys zajął jego miejsce przy wykonaniu tak ważnego zadania.

Quenthel stanęła raptownie, a za nią, wpadając na siebie, zatrzymali się jej podwładni. Żmije uniosły się, aby zlustrować miasto. Kątem oka drowka dostrzegła, że Pharaun uśmiechnął się lekko, jak gdyby uważał zachowanie węży za komiczne.

- Tam - powiedziała Quenthel, wskazując palcem. - W Manyfolk. Wygląda na to, że dom Auvryndar skończył likwidować własnych niewolników, ale tłuszcza uwięziła drowy w murach twierdzy.

- Widzę, błogosławiona matko - powiedział Malaggar Faen Tlabbar, stojący stopień za nią. Pierwszy Miecz Melee-Magthere był wesołym młodzieńcem o okrągłej twarzy i upodobaniu do zielonych strojów i szmaragdów. - Jeśli pozwolisz, dobrze będzie tam zacząć. Odeprzemy oblężenie, a Auvryndarowie zasilą nasze szeregi.

- Niech tak będzie - rzekła Quenthel.

Mieszkańcy Akademii dotarli na dno niższej jaskini, gdzie nauczyciele, przede wszystkim wojownicy piramidy, zajęli się formowaniem oddziałów, w których szermierze i włócznie osłaniali czarodziejów. Potem musieli ustawić je jako takim szyku marszowym.

Jak każda księżniczka wielkiego domu, Quenthel posiadała wiedzę praktyczną z zakresu wojskowości i przyglądała się próbom zaprowadzenia porządku z wściekłą miną.

- Przydałaby mi się armia z prawdziwego zdarzenia - wymruczała pod nosem.

Nie chciała, by ktokolwiek ją usłyszał, ale Pharaun kiwnął głową.

- Rozumiem, jak się czujesz, mistrzyni, ale są wszystkim, co mamy, i jestem pewny, że jeśli wyszkoliliśmy ich, jak należy, mamy szansę. - Odkasznął. - W każdym razie w starciu z niewolnikami.

- Co masz na myśli?

- Największe niebezpieczeństwo stanowi ten obłok dymu. Myślę, że pomimo całego swojego sprytu Syrzan przeliczył się. Jeśli magowie, którzy zostali na górze, nie ugaszą ognia, wszyscy się udusimy - kobiety i mężczyźni, elfy i orki - a alhoon będzie mógł rządzić nekropolią. Uważam jednak, że musimy się skoncentrować na naszym zadaniu i nie przejmować się resztą.

- Jaki znowu alhoon? - zapytała Quenthel głosem nie znośnym sprzeciwu.

Drow zawahał się.

- To naprawdę długa historia, mistrzyni, i w tej chwili nie ona jest najważniejsza.

- Ja o tym zadecyduję, magu - powiedziała. - Mów.

Zanim Pharaun zaczął opowiadać, Quenthel dojrzała zbliżającego się swego pierwszego miecza, który prawdopodobnie chciał ją powiadomić, że kompania jest gotowa do wymarszu.

Gdy wyruszyli, wysłuchiwała opowieści maga o nieumarłym łupieżcy umysłów i jego planach wobec Menzoberranzan. Kryło się za tym coś jeszcze. Była pewna, że czarodziej nie mówi jej wszystkiego, ale zawsze mogła wydobyć to z niego później, na torturach.

Nauczyciele i uczniowie odkryli, że ich droga usłana jest okaleczonymi trupami elfów - niektóre były bezgłowe, inne częściowo pożarte. W ich niewidzących oczach odbijał się ogień. Intensywny zapach krwi walczył o lepsze z gryzącym, smrodliwym dymem.

Oczywiście żaden drow nie miał nic przeciwko oglądaniu widowiskowej, nagłej śmierci, ale wszechobecność zmasakrowanych zwłok w połączeniu z blaskiem płomieni i niesamowitym widokiem płonących skał sprawiała, że Menzoberranzan jawiło się jakimś piekłem, a to było, przynajmniej dla

Quenthel, niepokojące.

Mistrzynie Arach-Tinilith pomyślała, że gdyby była słabszą osobą, mogłaby się poczuć jak w jakimś koszmarze, albo zinterpretować rzeź jako ostateczny dowód na to, że Lolth już na dobre odwróciła się od Menzoberranzan. Pocieszyła się myślą, że tym razem przynajmniej maszerowała przeciwko wrogowi, którego widziała i mogła osiągnąć.

Od czasu do czasu widzieli niewielkie grupki podistot zajętych szabrem, mordujących bezradnych plebejuszy, czy nawet ciskających kamieniami i strzałami w kolumnę. Młodszy studenci rwali się do ataku na niewolników, ale nauczyciele krzykami zmusili ich do porzucenia tego zamiaru. Akademia musiała działać jako całość i trzymać się planu, jeśli chciała odnieść zwycięstwo.

Malaggar podniósł rękę, dając znak do zatrzymania się.

- *Chyba jesteśmy już blisko*, - przekazał w niemym języku znaków.

Stali w miejscu, dopóki latający zwiadowca, brat piramidy posiadający płaszcz, który zmieniał się w nietoperze skrzydła, nie zleciał w dół i nie zdał raportu.

- *Mistrzynie*, - przekazał Malaggar, - *proponuję, żeby dziesięć drużyn szło dalej prosto, a reszta okrążyła tamten kwartał. Weźmiemy orków w dwa ognie.*

- *Bardzo dobrze*, - odparła Quenthel, lustrując swoją armię. - *Wszyscy od czoła kolumny do wylotu tamtej uliczki, za mną. Reszta niech idzie za mistrzem Faen Tlabbarem. Wszyscy mają zachowywać się jak najciszej.*

W dalszej części kolumny w pewnych odstępach od siebie uniosły się dłonie, żeby przekazać rozkazy tym, którzy ich wcześniej nie widzieli.

Gdy kompania rozdzieliła się, oddziały Quenthel ruszyły dalej, w kierunku jazgoczącej tłuszczy, która prawdopodobnie miała nad nimi przewagę liczebną. Na szczęście niewolnicy nie zauważyli pojawienia się członków Akademii, a Quenthel miała zamiar w pełni wykorzystać ich nieświadomość. Drowka szybko ustawiła swoje oddziały w nierównym, acz funkcjonalnym szyku, po czym dała znak do zmasowanego ataku.

Moc zawyła i błysnęła, paląc, powalając i pochłaniając całe masy goblinów. W powietrzu świsnęły strzały, przeszywając orki i niedźwiedzi. Podistoty padały jak muchy.

Jednak wiele z nich przeżyło pierwszą salwę i te rzuciły się na uczonych, wrzeszcząc jak opętane. Drowy pospiesznie wymieniły kusze na miecze i włócznie. Schowani za szeregiem wojowników magowie i kapłanki wyglądali na zewnątrz, starając się dostrzec, co się dzieje w ogniu zaartej walki, aby móc rzucać zaklęcia, nie czyniąc przy tym krzywdy swoim towarzyszom.

Quenthel mogła się ukryć za plecami własnych ochroniarzy i może jako wysoka kapłanka i dowódca powinna była to zrobić - ale miała nadzieję, że jeśli będzie dowodzić, stojąc na czele kolumny, uda jej się dodać odwagi uczniom pierwszego i drugiego roku, a tak czy owak chciała zabijać z bliska i widzieć ból i strach w oczach ofiar. Przepchnęła się do przodu wśród syku stających dęba zmię.

Zabiła właśnie kilka goblinoidów, gdy nagle rozbłysło i zatrzeszczało wokół niej oślepiające, żółte światło. Ognista magia nie wyrządziła jej krzywdy - magiczne osłony wytrzymały ale kilka walczących wokół niej drowów i orków wrzasnęło i padło na ziemię.

Wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu i przeżyli, byli przez chwilę ogłuszeni. Orki rzuciły się w wyrwy, które powstały wskutek wybuchu w szeregu drowów i które członkowie Akademii starali się zapęłnić. Nikt nie zwracał uwagi na spalonych towarzyszy pod stopami, chyba że po to, by ich przekląć, jeśli przypadkiem się o nich potknął.

Quenthel cofnęła się, pozwalając wojownicze z domu Despana zająć swoje miejsce, i rozejrzała się, szukając źródła nagłej pożogi. Miała niejasne wrażenie, że zaklęcie spadło z góry, więc najpierw spojrzała na górne piętra budynków po obu stronach ulicy.

Zamrugła ze zdziwienia. Po murach i dachach, niczym prawdziwe pajęczaki, biegały dridery. Wiele tych nikczemnych stworów zachowało umiejętność rzucania zaklęć i to jeden z nich musiał wyczarować ogień.

Quenthel nie miała pojęcia, jak niewolnicy i wyrzutkowie mogli się skumać, nie miała też czasu na zastanawianie się nad tym pytaniem. Musiała powstrzymać dridery, zanim uda im się zniszczyć jej kompanię. Lewitując w zadymionym powietrzu, uniosła się w górę, jednocześnie rozglądając się za magiem, który wyczarował ogień.

Ze wszystkich stron posypały się na nią kolczaste strzały i gromy. Osłoniła twarz połą piwafwi, a pociski odbiły się lub rozpuściły w kontakcie z warstwami jej magicznych osłon. Uderzenia zakłuły, ale

nie wyrządziły jej większej krzywdy.

Kiedy wzniosła się na ich poziom, rozpoznała pomimo klów niektóre rozwścieczone twarze driderów, których sama pomogła stworzyć. Być może to tłumaczyło fakt, że ciskały w nią czarami, choć oznaczało to nieuniknione straty wśród orków.

Szybko rozwinęła kolejny zwój i odczytała frazę-wyzwalacz. W powietrzu przed nią, między driderami, pojawiły się ostrza, które zaczęły się obracać wokół centralnego punktu. Ostre jak brzytwy skrawki metalu pędziły tak szybko, że aż rozmazywały się w oczach, a ich orbity przebiegały przez ciała jej wrogów. Ostrza cięły i przeszywały półpajaki, nawet na chwilę nie zwalniając, zmieniając bydlaki w strzępy mięsa i rozbryzgi krwi.

Quenthel roześmiała się i zaczęła obracać, żeby zmierzyć się z driderami na czubku stalagmitowego budynku po drugiej stronie ulicy. Nagle kawałek czegoś lepkiego uderzył ją i owinał się ciasno wokół jej tułowia, przyciskając jej wolną rękę do piersi.

Była to pajęcza nić. Wiedziała, że niektóre dridery potrafią ją prząść. Kiedy spróbowały ją do siebie przyciągnąć, jeszcze raz wzniosła się w górę, opierając się im jak ryba złowiona na wędkę. Jednocześnie, choć ramię miała unieruchomione, usiłowała sięgnąć po następny zwój. Żmije gryzły i przeżuwały sznur.

W zasięgu jej wzroku znalazł się lewitujący Pharaun, z którego palców wyprysła skwiercząca biała błyskawica. Grom dosięgnął jednego dridera, przeskoczył do następnego, potem kolejnego, aż w końcu, skręcając się, oślepiająca moc połączyła wszystkie dridery niczym paciorki nanizane na nitkę. Stwory drgały spazmatycznie, dopóki czar nie przestał działać, a potem natychmiast padły trupem. Znad ich szczątków uniół się gryzący dym.

Pharaun uśmiechnął się do Quenthel.

- Często zastanawiałem się, dlaczego bogini nie zmienia naszych odmieńców w coś nieszkodliwego - powiedział. - Podejrzewam, że dridery to jedno z jej narzędzi służące do odstrzału słabych sztuk.

Ignorując jego paplaninę, Quenthel spojrzała w dół, żeby zorientować się w sytuacji na polu bitwy.

Kontyngent Malaggara dotarł na miejsce i rozrywał wroga z flanki. Prawie w tej samej chwili Auvryndarowie otworzyli na oścież bramy i ruszyli do ataku na grzbietach jaszczurów.

Zgrzytając zębami, Quenthel zerwała z siebie lepka nić i sfrunęła w dół, aby dołączyć do pozostawionych na ziemi oddziałów. Gardząc strzałami nieprzyjaciela, Pharaun wciąż wisiał nad głowami wojowników, skąd bez wątplenia łatwiej mu było ciskać magiczne pociski.

Akademicy musieli walczyć jeszcze tylko przez kilka minut - potem naciskany z trzech stron tłum goblinów implodował, zaścielając ziemię trupami.

Quenthel dała swoim oddziałom tylko kilka minut na doprowadzenie się do porządku, potem sformowała je i wymaszerowała w kierunku następnej - z bogini jedna wiedziała ilu - bitew.

* * *

- Wyłaź! - wrzasnęła Greyanna. - No już!

Wytwórca kajaków wlepił w nią wzrok i wybełkotał

- A c... co z m... m... moimi towarami?

Wspomniane towary leżały na podłodze pracowni lub wisiały pod sufitem przymocowane specjalnymi pasami.

- Zostaną zniszczone przez gobliny - odpowiedziała kapłanka o zeszpeconej blizną twarzy. - O tak.

- Ciosem buzdyganu zmiażdżyła na wpół dokończoną konstrukcję z wygiętych kościanych żeber obciążonych zwierzęcą skórą. - Potem zrobisz ich więcej, ale pod warunkiem, że przeżyjesz. A teraz ruszaj się albo sama cię zabiję.

Rzemieślnik zwlókł się z taboretu, a ona wypchnęła go za drzwi. Na całej długości ulicy sześciu jej podkomendnych wyrzucało na dwór mieszkańców innych manufaktur i sklepów.

Zza rogu na główną ulicę wyszedł wolnym krokiem tłum włochatych hobgoblinów. Wszystkie osobniki były dobrze uzbrojone i o kilka głów wyższe niż przeciętny mroczny elf. Stwory dostrzegły drowów, wzniosły okrzyki bojowe i zaatakowały.

W katastrofalnym starciu z Ryldem Argithem zginął jeden z bliźniaków. Jego brat oraz Relonor odnieśli ciężkie obrażenia i pewnie wciąż kurowali się w domu Mizzrym. Mogli przeżyć lub umrzeć,

pozbawieni kolejnych dawek leczącej magii, ponieważ Miz'ri odmówiła marnowania ograniczonych zasobów domu na takich nieudaczników. Greyanna zgadzała się z nią w całej rozciągłości.

Po przetransportowaniu rannych do domu Greyanna przy wątpliwej pomocy Aunrae wybrała pięciu kolejnych mężczyzn, którzy mieli przyłączyć się do łowów. Tym razem mieli wytropić Pharauna pieszo, gdyż Greyanna poniewczasie uświadomiła sobie, że skrzydłonie nie przynoszą jej szczęścia.

Gdy wybuchła rebelia, ona i jej drużyna właśnie przemierzali ulice, starając się zdobyć jakieś informacje na temat tropionej zwierzyny. Kiedy dotarł do niej ogrom powstania, przyszło jej do głowy, że to sprowokowany przez nią najazd na Braeryn, brutalna próba wykurzenia brata z kryjówek, zachęcił niewolników do buntu. W szalony, mroczny sposób, możliwość ta cieszyła ją, ale postanowiła nie dzielić się z nikim tą hipotezą. Niewielu uznałoby ją za zabawną.

Jednak myśli kapłanki zaprzętały głównie kwestie natury praktycznej. Drowka była zdania, że jej grupa myśliwych mogłaby pomóc w tłumieniu rebelii, ale tylko wtedy, gdyby połączyła siły z jakąś prawdziwą armią. Inaczej większe grupy powstańców mogłyby ją zmiażdżyć.

W pierwszych minutach masakry wyglądała jakiegoś szlacheckiego klanu, który wyjechałby z zamku i rozniósł gobliny. Ku jej konsternacji nic takiego się nie stało, a przynajmniej nie w najbliższej okolicy. Jej mały oddział był zdany sam na siebie.

Polowanie przerodziło się w irytującą bieżączkę i chowanie się przed orkami, przyglądanie się bestiom nie lepszym od rothe, niszczącym piękno, którego nie były nawet w stanie dostrzec. Od czasu do czasu jej kompania wybijała włócząc się samotnie grupkę goblinoidów, ale znaczyło to tyle, co nic, i nie mogło powstrzymać upadku wszystkiego, co najpiękniejsze na tym świecie.

Gdzie była Pajęcza Królowa? Może znudziło ją Menzoberranzan? Może chciała zniszczyć miasto?

Po jakimś czasie spędzonym na uciekaniu i wycofywaniu się Greyanna trafiła na uliczkę, którą rozpoznała - podwójny rząd prosperujących sklepów, a dokładniej placówek należących do kupców, nad którymi sprawował patronat dom Mizzrymów. Ona sama zjawiała się tu co jakiś czas, pobierając czynsz i opłaty, a od czasu do czasu karząc głupca, który spóźniał się ze spłatą pożyczki albo w jakiś inny sposób rozgniewał matkę opiekunkę Miz'ri.

Greyannie przyszło do głowy, że jeśli kupcy zginą, przestaną dostarczać złoto do szkatuły Mizzrymów. Ale gdyby odprowadziła ich w bezpieczne miejsce, mogłaby przypochlebić się matce. Miz'ri była już zniecierpliwiona jej nieudanymi próbami uśmiercenia Pharauna i napomknęła nawet, że ktoś inny mógłby nosić płaszcz pierwszej córki z większym wdziękiem.

W najgorszym wypadku ocalenie siły roboczej Mizzrymów wydawało się Greyannie bardziej konstruktywne od chowania się po kątach, więc poleciła swoim podwładnym wygonić z domów przerażonych kupców i rzemieślników.

Drowka strzeliła do hobgoblinów z kuszy, a jej żołnierze poszli za jej przykładem. Jej mag wyczarował wielki zimny cień przypominający kształtem modliszkę, który okaleczył kilku niewolników ogromnymi szczypcami, zanim rozplątał się w powietrzu i zniknął. W sumie poległo przynajmniej kilkunastu bydlaków, ale pozostałe wydostały się z dymu i płomiennego żaru, zajmując ich miejsce.

Na odgłosy tortur, pomyślała, ile podistot żyje w Menzoberranzan?

Aż po dziś dzień Greyanna nigdy nie zwracała na to uwagi. Zgadywała, że inni również.

Hobgobliny zaatakowały.

- Ciemny mur! - wrzasnęła księżniczka.

Trójka jej podwładnych, tych stojących najbliżej biegnących na nich niewolników, pochyliła się i dotknęła ziemi, wyczarowując pomiędzy sobą a podistotami zasłonę ciemności, po czym wycofała się.

Jeden z wojowników Mizzrymów spędził sklepikarzy w jedno miejsce w pewnej odległości od zagrożenia. Pozostali, łącznie z Greyanną, uformowali szereg w przewężeniu ulicy, trzy jardy za nieuchwytną barierą. Księżniczka wyciągnęła z sakiewki przy pasie srebrną fiolkę i wlała w siebie jej gorzką zawartość. Wzdrygnęła się i zgięła w pół pod wpływem skurczu mięśni, ale zamiast dyskomfortu poczuła rozchodzące się po całym ciele ciepło.

Z ciemności wyłoniły się hobgobliny. Zbyt długo mieszkały wśród mrocznych elfów, by ta sztuczka mogła je powstrzymać dłużej niż kilka sekund.

Oślepiająca zasłona uniemożliwiła im przynajmniej utworzenie czegoś, co przypominałoby zwarty szyk. Wrzasnęły i runęły do ataku nierówną, bezkształtną falą, która mimo to wyglądała morderczo.

Pierwszy hobgoblin, który rzucił się na Greyannę, był wyjątkowo wielki i w odróżnieniu od

swoich towarzyszy pozbawiony owłosienia od ramion w górę. Pani wydepilowała niewolnika, aby przygotować podkład pod dzieło sztuki - setki maleńkich okrągłych blizn po oparzeniach tworzyły zawile wzory.

Niewolnik ciął Greyannę, mierząc w głowę. W innych okolicznościach kapłanka odskoczyłaby w tył, poza jego zasięg, ale nie chciała przerwać szeregu. Żałując, że nie wzięła tarczy, uniosła buzdygan w wysokiej paradzie. Miecz hobgoblina zadzwonił o kamienny trzonek pałki i odskoczył.

Natychmiast zripostowała ciosem w bok, ale podistota zablokowała uderzenie okrągłą, stalową tarczą. Uderzenie zostawiło w niej wgniecenie i odrzuciło hobgoblina daleko w tył. Osobnik miał oczy wytrzeszczone szeroko ze zdziwienia - nie mógł wiedzieć, że drowka zażyła eliksir, który obdarzył ją siłą ogra.

Greyanna uderzyła w bok, zabijając niewolnika, który był bliski uśmiercenia jej sąsiada, ale jej łysy przeciwnik już wracał. Przez chwilę wahał się, potem zamarkował cios w bok i zakończył cięciem w klatkę piersiową. Dostrzegając zagrożenie, zrobiła pół kroku w przód i z zamachu wyrznęła go w szczękę. Uderzenie było celne, stwór przewrócił się do tyłu ze zgruchotaną, zakrwawioną brodą i złamanym karkiem.

Zabiła jeszcze dwa hobgobliny i nagle poczuła, że coś dźgnęło ją w goleń, choć pchnięcie nie przebiło buta. Spojrzała w dół i zobaczyła uzbrojonego w pogrzebacz kobolda, który najwyraźniej pałętał się między nogami większych niewolników. Greyanna zabiła gadziego impa zamasztyłym kopniakiem.

Rozejrzała się w poszukiwaniu kolejnych przeciwników. Wyglądało na to, że jest już po wszystkim. Było po walce, a tych kilka hobgoblinów, które przeżyły, uciekało.

- Formować szyk! - zawołała. - Chcę tu zaraz widzieć kolumnę z kupcami w środku. Migiem!
- Kiedy pochód ruszył w drogę, idąca obok Greyanny Aunrae zapytała
- Czy mogę wiedzieć, dokąd idziemy? Do pałacu sojusznika?
- Nie - odparła Greyanna. - Podejrzewam, że nie dalibyśmy rady dostać się do środka. Ukryjemy naszych podopiecznych w Bauthwafie.

Kolumna przechodziła obok trupów i płonących skał, a z mijanych domów wybiegali następni plebejusze, aby przyłączyć się do pochodu. Pierwszym odruchem Greyanny było zawrócenie tych, którzy nie mieli powiązań z domem Mizzrym, ale zmieniła zdanie. Wielu nowo przybyłych nosiło miecze i w razie potrzeby mogła wcielić tych głupków w swoje szeregi.

Co jakiś czas ktoś przewracał się, kaszląc słabo, zatruty gryzącym dymem. Pozostali przechodzili nad nim i szli dalej.

Ktoś wydał z siebie cienki, wysoki okrzyk, jak gdyby niespodziewanie poraził go silny ból. Greyanna odwróciła się na pięcie. To nie był atak goblinów. Jej klient, wytwórca kajaków, skorzystał po prostu z okazji, żeby wbić innemu mężczyźnie nóż w plecy.

- Konkurencja - wyjaśnił rzemieślnik.

* * *

W przypominającej labirynt fortecy znanej jako Wielki Kopiec było kilka magicznie zapieczętowanych obszarów. Choć wydawało się to niewiarygodne, oddziałom zbuntowanych niewolników udało się przeniknąć wszędzie indziej. Baenre walczyli z goblinoidami w stalagmitowych wieżach, na łączących je powietrznych mostach i w tunelach pod nimi, nawet na balkonach i krytych pasażach stalaktytowych bastionów, odzyskując swoje królestwo cal po calu.

Niewolnicy stoczyli ostatni bój na dziedzińcu - przestronnym placu otoczonym żelaznym ogrodzeniem przypominającym pajęczynę. Bariera stanowiła potężną magiczną osłonę, ale, o czym Baenre właśnie się przekonali, była całkowicie bezużyteczna, kiedy wróg znalazł się już w jej obrębie.

Triel sfrunęła z blanków, aby wziąć udział w ostatniej bitwie. Jeggred, który towarzyszył jej od samego początku, również poszybował w dół. Zarówno matka, jaki i syn byli cali umazani krwią, ale nawet jedna jej kropla nie należała do nich.

Prawdę mówiąc, Triel mogła z powodzeniem pozostawić zadanie oczyszczenia dziedzińca swoim wojownikom, ale dobrze się bawiła. Częściowo odpowiadała za to typowa dla drowów żądza mordy, ale Triel odnalazła też w mordowaniu goblinów pewną prostotę i bezpośredniość, których brakowało jej niestety w skomplikowanym zadaniu rządzenia miastem. Po raz pierwszy od objęcia tronu matki czuła, że wie, co robi.

Pół tuzina minotaurów - ogromnych bydląt, które często służyły jej w charakterze osobistych ochroniarzy - skandowało

- Wolność! Wolność! - wymachując toporami, a rogami rozgniatając przeciwników na krwawą miazgę. Triel odczytała ostatnią linijkę runów ze zwoju, na którym, gdy rebelia się rozpoczęła, widniało siedem zaklęć.

Z ziemi pod stopami minotaurów buchnęły oślepiające płomienie. Cztery wielkie bestie zwały się na ziemię, miotając się i wrzeszcząc. Dwóm pozostałym udało się uskoczyć, ale i one odniosły obrażenia. Ogień spalił ich zmierzwiłe kudły i przypalił skórę pod spodem, jednak poparzenia nie powstrzymały ich. Ryknęły i zaatakowały.

Minotaur był wyższy nawet od drowa średniego wzrostu, zaś Triel wyglądała przy nim jak maleńki chochlik. Mimo to uśmiechnęła się, wychodząc na spotkanie wroga. Jeden z niewolników skoncentrował się na niej, drugi na Jeggredzie.

Matka opiekunka wiedziała, że minotaury lubią obezwładniać przeciwnika, wpadając na niego z całym impetem. Poczekała, aż stwór był już prawie przy niej i zrobiła krok w bok. Biegł zbyt szybko, by się zatrzymać, więc gdy ją mijał, rozwaliła mu kolano buzdyanem.

Niewolnik padł na twarz, a ona pozbawiła go czucia w kończynach druzgocącym kości uderzeniem w kręgosłup. Tymczasem Jeggred wgryzał się w gardło swojemu przeciwnikowi i jednocześnie rozrywał mu pierś, wywlekając na zewnątrz wnętrzności.

Po tej potyczce Triel i draegloth zabili jeszcze kilka gnolli, zanim zabrakło im przeciwników. Oddychając ciężko, Baenre podeszła do stóp muru i znów wzniosła się na tyle wysoko, żeby móc wyrzeć poza wzniesienie Qu'ellarz'orlu na płonące w dole miasto. Jeggred poszedł w jej ślady.

Wcześniej, gdy dotarło do niej, że w całym Menzoberranzan buntują się niewolnicy, użyła pewnego magicznego diamentu, aby przywołać mężczyzn z Bregan D'aerthe z ich sekretnej kryjówki. Najemnicy właśnie wywiązywali się z zadania.

W jednej z dzielnic na południu miasta było aż gęsto od goblinów. Nawet z Wielkiego Kopca widziała rechwach na ulicach.

A potem, w zaledwie kilka sekund, bieganina ustała, jak gdyby wszystkie stwory padły naraz trupem.

Był to niezwykle przykły przykład masowej eksterminacji, ale najemnicy oczyścili zaledwie niewielką część Menzoberranzan. Sami nie byli w stanie odbić całego miasta, o ile w ogóle było to możliwe.

- Zebrać moje oddziały! - wrzasnęła Triel tak, by usłyszał ją każdy oficer znajdujący się w zasięgu głosu. - Zarządzam wymarsz!

* * *

Jeggred nie posiadał się z radości. To była najpiękniejsza noc w jego bezsprzecznie krótkim życiu, był już pijany mordem. Zabijał, zabijał, zabijał i zabijał, cały w ekstazie, z którą nie mogły się równać igraszki z Faeryl Zuavirr.

A matka powiedziała, że to jeszcze nie koniec! Mieli zejść do miasta, aby upajać się rzezią i Jeggred miał zaznać transcendentnej rozkoszy bycia demonem. Musiał tylko zapamiętać, że nie wolno mu zabijać mrocznych elfów.

Uścisnął ramię Triel drżącą dłonią należąca do mniejszej pary rąk.

* * *

Valas Hune przyczał się za rogiem, a potem zamrugał. W miejscu, w którym nie powinno być żadnych bastionów, ulicę blokował stołp.

Nagle ogromny budynek poruszył się. Nie, to jednak nie był stołp, ale największy kamienny olbrzym, jakiego kiedykolwiek widział. Zwiadowca wiedział, że niektóre domy oprócz bardziej pospolitych goblinoidów i ogrów trzymają również niewolne giganty, a ten okaz, szary w blasku ognia, o długiej głowie i czarnych, zapadniętych oczach, wciąż nosił żelazne bransolety, z których zwisały zerwane łańcuchy. Gdzieś zdobył wielki topór odpowiadający mu rozmiarami i rozgniatał nim na miazgę każdego drowa, którego wypatrzył w pobliżu.

Valas i jego towarzysze zostali rozdzieleni jakiś czas temu. Nie miał nic przeciwko temu. Był

przyzwyczajony do samotnego przemierzania dzikich miejsc, choć, prawdę powiedziawszy, jeszcze nigdy nie badał tunelu równie niebezpiecznego i nieprzewidywalnego jak Menzoberranzan dzisiejszej nocy.

Do tej pory zabijał orki i gnolle z krótkiego łuku, a kiedy skończyły mu się strzały, z bliska za pomocą kukri. Wydawało mu się, że czyni jakieś postępy, dopóki nie natknął się na to.

Był to naprawdę przytłaczający widok, ale jeśli Menzoberranzan miało przetrwać, a Bregan D'aerthe otrzymać zapłatę za swoje usługi, oprócz mniejszych podistów trzeba było też zabić te duże.

Valas dotknął opuszką palca wpiętej w koszulę blaszanej dziewięcioramiennej gwiazdki i wymamrotał słowo w języku rasy, o której słyszało niewielu mieszkańców Menzoberranzan. W mgnieniu oka znalazł się na ramieniu kamiennego olbrzyma.

Powierzchnia stwora była gładka i zaokrąglona. Drow zaczął się ześlizgiwać, ale zareagował, jak przystało na znakomitego wspinacza i zdołał się przytrzymać. Wdrapał się wyżej, tak by móc dosięgnąć szyi olbrzyma i zaczął dźgać arterie kukri.

Na próżno. W każdej chwili mógł spaść, co nie pozwalało mu wykorzystać w pełni swojej siły i wagi, a pierwszy cios odbił się od przypominającej kamień skóry niewolnika, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Jednak behemot poczuł uderzenie. Odwrócił gwałtownie głowę, niemal zrzucając Valasa na ziemię. Olbrzym spojrzał na niego wściekle, a wtedy mężczyzna ciął, tym razem z większym powodzeniem. Błysnęło i magiczna broń rozplątała dolną wargę niewolnika.

Z okrzykiem wściekłości i bólu, który Valas poczuł aż w kościach, kamienny olbrzym targnął głową do tyłu. Ogromna szara ręka uniosła się, aby złapać drowa, który wdrapał się wyżej i ciął kolosa przez szyję. Z rany bluznęła fontanna ciemnej, gęstej posoki, zmywając Valasa z ciała olbrzyma. Drow wylądował ciężko na dachu i patrzył, jak gigant zatacza się, przyciskając rękę do gardła. Po kilku krokach ogromny niewolnik zwałił się na ziemię, przyciśnięty swoim ciężarem jakieś pechowe gobliny, które akurat tamtędy przechodziły.

* * *

Gromph był w podłym nastroju, gdy wlatywał w górę klifu. Tak jak zwykle rzucił światło na podnóże Narbondelu i świat ogarnęło szaleństwo. Nie wiadomo skąd wyskoczyły jakieś orki i zaatakowały jego straż. Jego własne ogry noszące lektykę natychmiast cisnęły precz luksusowy środek transportu i przyłączyły się do powstania.

Arcymag próbował uśmiercić podistoty jakimś czarem, ale nic się nie wydarzyło. Ktoś wyczarował wokół niego magiczną martwą strefę. Albo jeden z orków był na tyle potężnym szamanem, żeby wywołać taki efekt, albo, co było bardziej prawdopodobne, jeden z bydlaków ukradł swojemu właścicielowi talizman.

Bez względu na to, jak im się to udało, bestie właśnie go atakowały, a zaklęcia w jego pamięci stały się dziwnymi rymowankami, szata i płaszcz lichymi szmatami, a broń bezkształtnymi patykami i ozdobami. No, może nie do końca, ale nie był na tyle nierozważny, żeby stać w miejscu i eksperymentować, podczas gdy osaczały go orki uzbrojone w zrabowane ostrza. Zapominając o własnej godności, odwrócił się i puścił pędem. Wysilek sprawił, że rana zadana mu przez K'rarza'qa zaczęła pulsować bólem.

Kiedy dobiegł na skraj placu, uznał, że musiał się już wydostać z martwej strefy. Lepiej żeby tak było, bo słyszał już za sobą stękanie doganiających go ogrow. Odwrócił się, wycelował z różdżki i rzucił słowo-wyzwalacz.

Z koniuszka pręta wystrzeliła kropla cieczy. Uderzyła biegnącego na czele grupy orka w brzuch i zmieniła się w obfity rozbryzg kwasu.

Odzyskawszy swoją magię, Gromph unicestwił wszystkich napastników, którzy byli na tyle głupi, żeby nie wziąć nóg za pas. Drowy będące jego pomocnikami już nie żyły, zmuszony był więc wrócić do Tier Breche samemu.

Jak się okazało, niewolnicza rewolta ogarnęła całe miasto i powrót do Akademii wcale nie należał do najłatwiejszych. Rozważał ukrycie się w jakimś zamku albo domu, ale kiedy zobaczył płomień trawiące skały, zrozumiał, że musi wracać.

Brudny, obolały i kaszlący, dotarł wreszcie do domu, a kiedy wzniósł się na szczyt wapiennej ściany, zobaczył coś, co podniosło go nieco na duchu.

Ośmiu mistrzów Sorcere stało na otwartej przestrzeni, skandując, gestykulując, odprawiając

rytuał, a taka sama liczba uczniów przyglądała się im. Czarodzieje przynieśli z wieży większość odpowiednich komponentów. To już było coś, pomyślał Gromph, ale inkantacja stanowiła jakiś beznadziejny bełkot.

Baenre wyprostował rękę i podciągnął się, lądując na stałym gruncie na kolanach w sposób zupełnie nie licujący z jego godnością.

Wstał i krzyknął

- Dość tego!

Nauczyciele i uczniowie odwrócili się, wlepiając w niego zdziwione spojrzenia.

- Arcymagu! - zawołał Guldor Melarn. Podobno w dziedzinie magii żywiołów nie miał sobie równych, ale jak na razie jego dzisiejsze poczynania raczej na to nie wskazywały. - Martwiliśmy się o ciebie!

- Pewien jestem - powiedział Gromph, podchodząc bliżej. - Zauważyłem wszystkie te grupy poszukiwawcze, które po mnie wysłaliście.

Guldor zawahał się.

- Panie, mistrzyni Akademii rozkazała...

- Zamknij się - powiedział Gromph. Podszedł wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, iż nauczyciele stali wewnątrz skomplikowanego pentagramu wyrysowanego na ziemi czerwoną poświatą. - Żalotne.

Wyciągnął palec wskazujący i napisał nim coś w powietrzu. Magiczne słowa i pieczęcie zmieniły kształt.

- Lordzie arcymagu - odezwał się mistrz Godeep. - Narysowaliśmy ten krąg, aby ugasić ogień w dole. Jeśli go przerwiesz...

- Nie przerywam go - powiedział Gromph. - Naprawiam.

Popatrzył na jednego z uczniów, jakiegoś młodzika z gminu, który wzdrygnął się pod jego spojrzeniem.

- Przynieś mi trochę futra, laskę z bursztynu i jeden z tych małych brązowych gongów, za pomocą których kucharze wzywają nas na kolację. Biegiem!

- Arcymagu - rzekł Guldor. - Widzisz, że mamy już wszystkie kondensatory potrzebne do magii ognia. - Wskazał gestem kosz z rozgrzanyymi do czerwoności węglami. - Szepczę do płomieni w dole, rozkazując im przygasnąć.

- Przez co dymi się jeszcze bardziej. Tylko tego nam teraz trzeba. - Gromph przewrócił kosz kopniakiem, węgle rozsypały się po skale. - Ten sposób nie zadziała, magu żywiołów. Powiniennem wygnąć cię na kilka dekad do krain oglądających słońce, może wtedy zrozumiałbyś, czego wymaga ugaszenie pożaru tej wielkości.

Młodzik wrócił pędem, niosąc przedmioty, o które prosił Gromph. Baenre wyszeptał słowo mocy i pentagram zmienił kolor z czerwonego na błękitny.

- No dobrze - zwrócił się do czarodziejów. - Zakładam, że wiecie, gdzie macie stanąć, więc zróbcie to, i zaczynamy. Wypowiem jedną linijkę, a wy ją powtórzycie. Naśladujcie moje gesty, jeśli dacie radę.

Dla dobrze wyszkolonego maga czarowanie było w gruncie rzeczy całkiem proste. Czarował w oparciu o baterię zaklęć, z których wiele wynalezionych zostało przez jego poprzedników, a kilka przez niego samego. Wiedział, że potrafi rzucić je we właściwy sposób, i jaki efekt osiągnie.

Zaimprovizowany rytuał to była zupełnie inna sprawa. Polegając na swojej wiedzy tajemnej i naturalnych zdolnościach, krąg magów usiłował wytworzyć na poczekaniu nowy efekt. Często nic się nie działo. Jeśli się działo, moc często zwracała się przeciwko tym, którzy ją wyzwolili, albo wyładowywała się w sposób odwrotny do zamierzonego. Jednak od czasu do czasu udawało się podczas takiej ceremonii osiągnąć pożądaną moc, a w sytuacji, gdy zagrożone były jego pozycja, bogactwo i ojczyzna, Gromph miał niezłomne postanowienie uczynić ten rytuał jedną z tych nielicznych okazji.

Po piętnastu minutach recytowania zaklęć powietrze zaczęło szumieć i kłuć od nagromadzonej w nim mocy. Arcymag uderzył pałeczką w gong, wydobywając zeń brzęczący dźwięk, od którego ciarki przeszły wszystkim po plecach. Od razu odpowiedział mu inny odgłos dudniący, zgrzytliwy, ogłuszający. Podwładni Grompha zadrżeli, ale Baenre uśmiechnął się z zadowoleniem, ponieważ dźwiękiem tym był odgłos walącego gromu.

Z wysokości bocznej jaskini mieszkańcy Sorcere mieli doskonały widok na to, co się działo. Powietrze pod sklepieniem wielkiej kawerny, już i tak gęste od dymu, zgęstniało jeszcze bardziej od pary wodnej, która właśnie się zmaterializowała. Bezkształtne cienie migotały niczym wielkie przezroczyście

smoki, którym w brzuchach buzują płomienie. Po każdym błysku wydawały z siebie grzmiący ryk, jak gdyby płomienie je parzyły.

Gromph wiedział, że wielu mieszkańców miasta nie ma pojęcia, co się dzieje - możliwe, że nie wiedziała tego nawet część jego kolegów erudyków - ale bez względu na to, czy to rozumieli, chmury i błyskawice składały wizytę niezmiennym dotychczas otchłaniom Podmroku.

Ze wszystkich chmur naraz spadły lodowatymi kurtynami strumienie wody. Baenre słyszał skwierczenie, z jakim uderzały o ściany jaskini.

- Robi wrażenie - odezwał się Guldor - ale czy jesteś pewny, że ugasi płomienie? Koniec końców, to magiczny ogień.

Gromph poczuł ukłucie bólu.

- Tak, nauczycielu - warknął - ponieważ nie jestem nieudacznikiem z nie liczącego się domu. Jestem Baenre, jestem arcymagiem Menzoberranzan... i jestem pewny swego.

* * *

Pharaun stracił rachubę walk, które stoczył wraz z towarzyszami. Wiedział tylko, że wciąż je wygrywali, przede wszystkim dzięki wyższości stosowanej przez nich taktyki, i że pomimo strat ich liczba wciąż rosła, zasilana przez garnizony, którym udało się przebić z zamków.

Od czasu do czasu armia docierała do części miasta, która została już spacyfikowana, a choć nigdzie nie udało mu się dostrzec nawet śladu Bregan D'aerthe, Pharaun wiedział, że najemnicy walczą po tej samej stronie co on. Tej szalonej i rozpaczliwej nocy nie mógł liczyć na nic bardziej pocieszającego. W końcu armia Tier Breche napotkała równie imponujące siły pod wodzą opiekunki Baenre. Kompanie połączyły się i ruszyły w stronę Narbondellynu, gdzie kilka niedźwiedzków z pewnym doświadczeniem wojskowym usiłowało zorganizować tysiące podistów w armię zdolną stawić opór gniewowi ich panów.

Wielki kamienny filar Narbondelu jaśniał ponad zaciętą i chaotyczną walką. Cudownym zrządzeniem losu w połowie starcia górne partie jaskini zaciągnęły się chmurami, uśmierzając największe obawy Pharauna. Godzinę później drowy ogarnęły i unicestwiły siły przeciwnika, odbijając swoją ojczyznę.

Po bitwie czarodziej zaczął przechadzać się w strumieniach deszczu, rozglądając się dookoła. Pasma mokrych włosów przykleiły mu się do czoła, a w butach chlupotało. Jako mag musiał przyznać, że burza była niezwykłym osiągnięciem, nie wspominając już o ocaleniu Menzoberranzan, ale szkoda, że jego kolegom nie udało się dokonać tego samego, nie rujnując przy tym wszystkim wyglądu i nie wyziewając ich do kości.

Mizzrym wyszczerzył zęby. Ani Quenthel, ani Triel nie było widać nigdzie w pobliżu. Wykonywał ich rozkazy przez całą noc, ale sam chciał zakończyć tę niezwykłą przygodę, a ich nieobecność dawała mu pretekst do podjęcia działań bez konsultacji z nimi.

Rozejrzał się jeszcze raz i zauważył Welverina Fretha. Welverin, zdolny fehmistrz dziewiętnastego domu, wstąpił się w walce pomimo pozornego utrudnienia, jakim była sztuczna srebrna noga, i tej nocy kilka razy walczył ramieniem z Pharaunem. W tej chwili skrył się w przejściu, rozmawiając z dwójką swoich poruczników.

- Fehmistrz! - zawołał Pharaun.

Welverin podniósł wzrok i kiwnął głową.

- Jak mogę pomóc, mistrzu Mizzrym?

- Może chciałbyś pomóc mi w zabiciu stworza, który jest odpowiedzialny za tę insurekcję?

Wojownik zmrużył oczy.

- Czy to kolejny z twoich żartów?

- W żadnym wypadku. Ale jeśli mamy to zrobić, lepiej będzie się pospieszyć, zanim nasza ofiara rozplynie się gdzieś w Podmroku. Zakładam, że ty i twoi żołnierze potraficie dosiadać powietrznych wierzchowców?

Pharaun wskazał gestem stworzone przez jakiegoś czarodzieja gigantyczne nietoperze, umieszczone w pobliskiej wolierze. Cudem chyba udało im się przetrwać rebelię, nie udusić się ani nie ulec poparzeniom.

- Gdzie trzymają uprząż? - zapytał Welverin, wskazując klatkę.

ROZDZIAŁ 24

Pharaun, ubrany w płaszcz ociekający wodą, odkrył, że rozkład fortecy renegatów wcale nie wydawał mu się aż tak zagmatwany, kiedy nikt go nie ścigał i kiedy nie cierpiał z powodu rozsadzających głowę efektów psionicznego ataku. Jednak puste, rozbrzmiewające echem pomieszczenia i korytarze wciąż robiły złowieszcze wrażenie i z powodzeniem mogły służyć za siedzibę widm i zjaw.

Mizzrym obserwował Welperina i pozostałych wojowników z domu Freth, aby przekonać się, czy nie odczuwają niepokoju. Nie odniósł takiego wrażenia. Może byli zbyt odważni. A może świeże, zmasakrowane trupy, którymi zaścielone były posadzki, odwracały ich myśli od bezcielesnych strachów ku zwykłej przemocy, którą parali się zawodowo.

W całym zamku natykali się na ciała, często pocięte na dwa albo więcej kawałków. Pharaun był zaskoczony ich ilością. Najwyraźniej biedny, ranny Ryld w trakcie ucieczki położył trupem wielu konspiratorów, zanim w końcu udało im się go zabić. Może nawet konieczna była pomoc Syrzana.

Z perspektywy czasu Pharaun zastanawiał się, dlaczego alhoon od samego początku nie przyłączył się do poszukiwań zbiegłych więźniów. Może wezwanie chwilowo pozbawiło go sił.

Mistrz Sorcere wprowadził żołnierzy do długiej, przestronnej sali, na końcu której znajdowało się podwyższenie, gdzie matka opiekunka bez wątpienia udzielała audiencji, a także, sądząc po ławach i stołach upchniętych w alkowie, spożywała posiłki. Wszędzie pełno było wyrzeźbionych i malowanych pajaków, co, jak przypuszczał Pharaun, stanowiło swego rodzaju kamuflaż, jako że dawni mieszkańcy twierdzy prywatnie oddawali cześć innym bóstwom. Malowidła pokryte były prawdziwymi pajęczynami.

- Spójrz - powiedział Welperin.

Pharaun odwrócił się i zaparło mu dech w piersi. Z przejścia dla służby w połowie ściany po lewej stronie wyszedł właśnie Ryld Argith.

Kroki fehmistrza, pomimo rannej nogi, były równe i pewne. Mężczyzna był zauważalnie chudszy, jak gdyby jego ciało spalało energię w niewiarygodnym tempie. Jakimś cudem fehmistrzowi udało się odzyskać Rozpruwacz.

Żołnierze wycelowali kusze.

- Nie! - powstrzymał ich Pharaun. - W każdym razie jeszcze nie.

Ryld odwrócił się w kierunku przybyłych i ruszył w ich stronę. Spojrzenie miał skupione, a jednak puste, twarz pozbawioną wyrazu. Wydawał się też nie zwracać uwagi na broń wymierzoną w jego zwalistą postać. Jeden z wojowników wymamrotał coś z niepokojem, jak gdyby pomylił mistrza Melee-Magthere z duchem. Pharaun nie miał żadnych wątpliwości widywał już ludzi pogrążonych w głębokim transie. Najwyraźniej jego przyjaciel wykorzystał jakieś ezoteryczne wojskowe ćwiczenie, aby utrzymać się przy życiu.

- Ryldzie! - odezwał się Pharaun. - Co za spotkanie! Wiedziałem, że dasz radę pokonać Houndaera i resztę tych błaznów. W przeciwnym wypadku nigdy bym cię nie zostawił.

Kłamstwo to wydało się naciągane nawet samemu kłamcy.

Z pewnością nie zrobiło żadnego wrażenia na Ryldzie. Być może w odmiennym stanie świadomości nawet tego nie usłyszał, albo nie rozpoznał maga. Po prostu nadal szedł przed siebie.

- Obudź się! - powiedział czarodziej. - To ja, Pharaun, twój przyjaciel. Przybyłem, aby cię uratować. Ci chłopcy pochodzą z domu Freth i są naszymi sojusznikami.

Ryld wykonał kolejny płynny krok szermierza, wciąż idąc prosto na mistrza Sorcere.

Przykro mi, pomyślał Pharaun, ale tym razem sam się o to prosisz. Wziął głęboki oddech, aby dać rozkaz do strzału i w tej samej chwili z trzech wysokich łuków drzwiowych znajdujących się za podwyższeniem wypadły jakieś postacie.

Na ich czele sunęło kilka stworów wielkości człowieka, owiniętych pobrząkującymi łańcuchami. Były to kytony, złośliwe duchy, które magowie potrafili wzywać i kontrolować. Za demonami szli konspiratorzy i Syrzan w swoich rozkładających się szatach.

Ryld okręcił się i skoncentrował na konspiratorach. Zbiegowie wypuścili ze świstem bełty z kusz, a wojownicy domu Freth odpowiedzieli tym samym. Renegaci mieli tę przewagę, że znajdowali się na podwyższeniu, zaś żołnierze mieli przewagę liczebną, ale żadna z salw nie powaliła więcej niż kilka osób. Obie strony były zbyt dobrze opancerzone.

Chcąc sprawdzić, czy miecze przydadzą się na coś tam, gdzie zawiodły strzały, wojownicy domu Freth wzniesli okrzyk bojowy i rzucili się do ataku. A przynajmniej większość z nich. Swym głębokim,

tubalnym głosem Welverin rozkazał kilku żołnierzom wycofać się i znaleźć określoną drogę do wejścia, z którego skorzystali zdrajcy, aby zaatakować ich od tyłu. Był to niezły pomysł, ale Pharaun uważał, że wojownicy mają spore szanse się zgubić.

Wywijając końcami łańcuchów, osiem kytonów, z których każdy mógł się śmiało zmierzyć z tuzinem zwykłych zbrojnych, zeskoczyło z podium na spotkanie zbliżającym się wrogom. Renegaci zostali na podeście wraz z Syrzanem i zaczęli ładować kusze z wyraźnym zamiarem posłania ich w ogień walki.

Pharaun zdecydował, że nie dopuści do tego. Lewitując, wznosił się ponad towarzyszy, aby mieć dobry widok na podwyższenie.

Coś ukłuło go w środek czoła, ale trwało to tylko sekundę. Zgodnie z jego oczekiwaniami Syrzan najpierw zaatakował go psionicznym pchnięciem, nie zdając sobie sprawy, że mag zabezpieczył się przed podobnymi efektami za pomocą odpowiednich talizmanów i zaklęć.

Tym razem, pomyślał Mizzrym, będziesz musiał walczyć ze mną urok przeciwko urokowi, zaklęcie przeciw zaklęciu.

Ku swemu zaskoczeniu otrzymał odpowiedź - usłyszał telepatyczny głos zgrzytający i bzycający mu w głowie.

- *Niech tak będzie, ssaku, - powiedział alhoon. - Tak czy owak, zemszczę się na nikczemniku, który ponownie skazał mnie na wygnanie.*

Słuchając gróźb Syrzana, Pharaun jednocześnie mamrotał inkantację i manipulował przy małej stalowej tubce. Jaskrawa kulka płomieni wystrzeliła z jej otwartego końca, zmieniając się w locie w kulę wielkości czaszki. Pocisk wyrzynał w jednego z renegatów stojących na podeście, odskoczył i uderzył następnego. Odbijał się i ciskał w tę i z powrotem po podwyższeniu, zostawiając za sobą roziskrzony zygzak i nie oszczędzając nikogo. Zanim znikł, uśmiercił wielu renegatów lub zmienił ich w żywe pochodnie, które towarzysze musieli zabić, żeby ich nie podpaliły. Syrzanowi nic się nie jednak nie stało. Pharaun słyszał szcęk dżgających, tnących kling i wirujących łańcuchów. Smagające nimi przeciwników kytony, które przypominały gnijące trupy w pancerzach z łańcuchów, zmieniały rysy twarzy. Demony potrafiły przybierać wygląd zmarłej osoby w przeszłości bliskiej przeciwnikowi. Coś takiego mogło zapewne wytrącić z równowagi svirfnebliny i istoty ich pokroju, ale dla przedstawicieli rasy, która nie wiedziała, co to miłość, było to co najwyżej lekko niepokojące.

Ryld, który znalazł się w pierwszej linii, wymachiwał Rozpruwaczem z całą swoją zwykłą siłą i zręcznością. Pharaun był zadowolony, że przyjaciel mierzy tylko w demony.

Syrzan, z wijącymi się mackami i wściekłością w wybałuszonych oczach, uniósł trzypalczaste dłonie, żeby zacząć czarować. Wielu stojących wokół niego renegatów, którzy wciąż żyli, zeskoczyło z podestu. Najwyraźniej woleli walczyć z wojownikami domu Freth, niż stać w pobliżu alhoona, gdy Pharaun ciska w niego zaklęciami.

Mistrz Sorcere był zaskoczony tym, że tak niewielu zdrajców zdecydowało się na ucieczkę. Z pewnością nie powstrzymała ich przed tym wierność, koncept całkowicie im obcy. Musieli zdawać sobie sprawę, że gdy ich plany zostały udaremnione, a spisek ujawniony, stali się banitami pozbawionymi tego wszystkiego, czego zawsze pragnęli i co cenili. Być może to tragiczne położenie napępiało ich taką wściekłością, że przedkładali zemstę nad przeżycie.

Podczas gdy Syrzan tkął zaklęcie, jego przeciwnik pospiesznie robił to samo. Licz skończył jako pierwszy. Błyskawica, podobna do tych, które wciąż przecinały zygzakami powietrze na zewnątrz, wyskoczyła z jego wysuszonej, łuszczącej się dłoni, przebiła na wylot pierś Pharauna i wypaliła w suficie czarna plamę.

Mięśnie Pharauna napięły się, a włosy stanęły mu dęba na głowie, ale posiadane osłony uchroniły go przed poważniejszymi obrażeniami. Prawdę mówiąc, atak nie przeszkodził mu nawet w rzuceniu zaklęcia. Wymawiając ostatnie słowo, mag wyrzucił przed siebie rękę, uwalniając falę zimnych, trzepocących cieni przypominających widmowe nietoperze.

Piszcząc i skrzecząc, fantomy śmigwały i wirowały nad alhoonem, usiłując rozorać mu twarz pazurami. Łupieżca umysłów warknął pojedyncze słowo w jakimś piekielnym języku i po jednej ze ścian popęzła w górę poszarpana szczelina. Iluzoryczni słudzy Pharauna znikli.

Mizzrym wyjął z jednej z kieszeni pięć szklanych kulek, przeturlał je zręcznie w dłoni i wypowiedział krótki trójwiersz. W powietrzu pojawiło się pięć świetlistych sfer i pomknęło w stronę Syrzana, atakując go jednocześnie ogniem, dźwiękiem, zimnem, kwasem i błyskawicą. Przynajmniej

jedna z tych sił musiała przeniknąć przez jego osłony.

Syrzan wydał z siebie świszczący wrzask i machnął ręką w powietrzu. W jednej chwili kule zmieniły kurs, mknąc z powrotem w kierunku swego źródła z taką samą prędkością, z jaką się od niego oddaliły.

Zaskoczony Pharaun spróbował umknąć im w jedyny możliwy sposób. Powrócił do normalnej wagi i runął w dół jak kamień. Dwa świetliste pociski przemknęły obok niego i rozbiły się na suficie. Dwa kolejne po prostu znikły, wchodząc w kontakt z jego piwafwi. Piąty uderzył go w pierś.

Najgłośniejszy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszał, wstrząsnął całym jego ciałem, przewiercił mu uszy i roztrzaskał jego myśli na kawałki. Oszołomiony spadał w dół, dopóki nie wyrznął w podłogę w samym środku walczących.

Przez chwilę po prostu leżał wśród dziesiątek przesuwających się, tupiących stóp, a kiedy wreszcie udało mu się zebrać myśli, uświadomił sobie, że musi wstać, zanim ktoś go strati. Zaczynał się już niezdarne gramolić z podłogi, kiedy w skroń uderzył go koniec łańcucha.

Cios przeszedł bokiem, ale i tak obalił go z powrotem na ziemię. Pochylający się nad nim kyton wywijał swym giętkim orężem, zamierzając się po raz kolejny. Duch miał twarz Sabal.

Pharaun wycelował w niego palcem i wypowiedział szybko zaklęcie, w połowie inkantacji uświadamiając sobie, że nie słyszy samego siebie - ani niczego innego. Jeszcze kilka sekund temu walka była ogłuszającą kakofonią, ale teraz zupełnie ucichła.

Na szczęście nie musiał słyszeć własnego głosu, żeby wyrecytować zaklęcie. Z koniuszka jego palca buchnęła moc, ogarniając demona. W ułamku sekundy ukryte w zwojach łańcucha ciało kytona uszło, ogniwa zsunęły się i opadły, a demon runął na ziemię.

Czyjaś ręka chwyciła Pharauna za ramię i podźwignęła go w górę. Mag odwrócił się i zobaczył Welterina. Usta oficera poruszały się, ale czarodziej nie miał pojęcia, co mężczyzna mówi. Potrząsnął głową i wskazał uszy, które, choć bezużyteczne, nie były bynajmniej pozbawione czucia - pulsowały i krwawiły. Bolały go również wnętrzości, a ból sprawiał, że jeszcze bardziej pragnął zniszczyć Syrzana. Pharaun uniósł się w górę tylko po to, by znaleźć się zaledwie kilka stóp od czegoś, co illithiczy musiał wyczarować, podczas gdy on gramolił się z podłogi. Była to wielka, fosforyzująca, bezcielesna głowa illithida, której macki były dłuższe niż ciało drowa. Wywijając nimi, przypominający mątwę stwor podleciał do przodu. Z bliska załatywał rybą.

Pharaun wyciągnął białą skórzaną rękawiczkę oraz odłamek czystego kryształu i rozpoczął zaklęcie. Koniuszek zwężającej się macki chwycił go za przedramię, niemal psując ostatni gest, ale mag uwolnił rękę i dokończył sekwencję.

Przed głową illithida pojawiła się ogromna dłoń z lodu. Dłoń owinęła wokół głowy stworza palce, wbiła w nią szpony i unieruchomiła.

Jedyny problem polegał na tym, że głowa fantomowego illithida wciąż zasłaniała Pharaunowi widok. Tkając zaklęcie, mag zaczął opuszczać się niżej. W końcu zobaczył Syrzana.

Gdy wymówił ostatnie słowo inkantacji, wysuszone ciało alhoona stanęło w białych płomieniach... płomieniach, które zgasty chwilę później. Czar powinien był zmienić nieumarłego czarodzieja w nieożywionego trupa, ale tylko przypalił lekko jego wyświechtaną szatę. Pharaun pomyślał, że do tej pory nie udało mu się zranić przeciwnika, czy choćby nawet wstrząsnąć nim. Gdyby nie to, że mroczny elf wiedział swoje, mógłby zastanowić się, czy przypadkiem Syrzan nie jest lepszym czarodziejem od niego.

Choć Mizzrym nie przepadał za walką wręcz, uznał, że może przydałaby się zmiana taktyki. Chwycił delikatną kostkę wyjętą z jakiegoś pomniejszego demona, którego zabił podczas lekcyjnego pokazu, i rozpoczął zaklęcie.

Syrzan machnął ręką, posyłając w jego stronę kilkanaście płonących strzał. Wszystkie chybiły, odbite przez ochronne zaklęcia niedoszłej ofiary. Pharaun dokończył inkantację, narażając się na sto bolesnych ukłuć.

Jego ciało przybrało rozmiary ogra. Skóra pogrubiała się, tworząc łuskowaty pancerz. Zęby przekształciły się w długie kły, a paznokcie w szpony, zaś z czoła wyrosły długie, zakrzywione rogi. Z podstawy kręgosłupa wyrósł nieowłosiony ogon, a w ręku pojawił się bat.

Transformacja trwała tylko chwilę, ból minął. Z łopotem nowo nabytych skórzastych skrzydeł Pharaun rzucił się na wroga.

Czarodziej uniósł wysoko swe potworne ramiona i wykrzyczał inkantację. Pharaun poczuł

przyływ zawrotów głowy. To, co widział przed sobą, zaczęło się kręcić i wirować, zmuszając go wbrew woli do zboczenia z kursu. Mag grzmotnął z całym impetem w podest, tracąc poczucie czasu. Kiedy doszedł do siebie, zdążył już powrócić do swojej normalnej postaci. Czuł się tak słaby i chory jak Smylla Nathos.

Licz wpatrywał się w niego.

- Byłeś głupcem, decydując się na powrót - powiedział Syrzan. - Wiedziałeś, że nie możesz się ze mną równać.

Pharaun uświadomił sobie, że znów słyszy, choć dzwoniło mu w uszach. Przynajmniej nie umrze głuchy, o ile mogło to stanowić jakieś pocieszenie.

- Przestań się nadymać - powiedział mistrz Sorcere. - Jesteś śmieszny. To nie jest żaloszny świat twoich marzeń. To rzeczywistość, w której ja jestem księciem wspaniałego miasta, a ty tylko rodzajem mięczaka, na dodatek martwym i gnijącym.

Drażniąc stwora, zbierał siły potrzebne do rzucenia ostatniego zaklęcia. Ale atak miał się prawdopodobnie zakończyć fiaskiem, tak jak poprzednie.

Po co więc zawracać sobie tym głowę, pomyślał. Lepiej spróbować zrobić coś innego. Trzęsąc się z wysiłku, rzucił czar w przestrzeń obok podestu. Przez chwilę powietrze roziskrzyło się błękitem od uwolnionej mocy.

- Ty nazywasz mnie żaloszny? - zaszydził Syrzan. - A co to miało być?

Gdybyś nosił ukradziony mi pierścień, pomyślał Pharaun, wiedziałbyś, ale wątpię, czy pasowałby na twoje opuchnięte palce.

Alhoon podniósł go z ziemi, a potem owinął suche, łuszczące się macki wokół jego głowy.

- *Będiesz mi jeszcze służył*, - zwrócił się Syrzan bezpośrednio do umysłu maga, unosząc sękaty palec, żeby pokazać mu srebrny pierścień. - *Kiedy pojrzę twój mózg, poznam wszystkie twoje tajemnice.*

- Może nawet wyleczyłbyś się w ten sposób ze swojej głupoty - wydyszał Pharaun - ale obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy. Odwróć się.

Licz obrócił się, a chwilę potem mag poczuł, jak stwór wzdrygnął się z zaskoczenia.

Soczewka iluzji, którą utworzył przed podestem, sprawiła, że Syrzan wyglądał jak pewien sprytny mistrz Sorcere, a sam Pharaun znów przypominał skromnego orka. Kiedy tylko mag ją stworzył, siłą woli rozkazał lodowej dłoni wypuścić głowę illithida - twór właśnie nadlatywał, kierując się prosto ku swojemu twórcy.

Syrzan cisnął Pharauna na ziemię i stanął twarzą w twarz ze swoim tworem. Gdyby mu nie przeszkadzono, bez wątpienia potrafiłby się jakoś przed nim obronić, ale Pharaun znalazł w sobie dość sił, aby rzucić jeszcze jeden czar. Wyrecytowana z mozołem inkantacja strzaskała podłogę podestu, wytrącając alhoona z równowagi i rozpraszając go.

Ogromne macki pochwyciły Syrzana i uniosły w górę, wpychając go do ziejącej za nimi paszczy. Dziwnie ukształtowany otwór gębowy zaczął natychmiast przeżuwać licza. Własna magia alhoona okaleczyła go w sposób, w jaki nie potrafił Pharaun. Licz zbladł na chwilę, a potem znów stał się nieprzezroczysty i zestalił się. Usiłował przenieść się do innego planu egzystencji, ale targany bólem nie był w stanie się skupić.

Po jakimś czasie ogromna głowa znikła, upuszczając na posadzkę nieruchome kawałki zmumifikowanego łupieżcy umysłów.

Pharaunowi powoli zaczynały wracać siły. Drow pogrzebał w śmierdzących szczątkach alhoona, a gdy znalazł srebrny pierścień, zwrócił swą magią przeciwko renegatom, choć tak naprawdę nie było to konieczne. Ryld, Welperin i żołnierze zdobyli już przewagę.

Kiedy ostatni rebeliant padł trupem, znajdujący się w transie mistrz Melee-Magthere usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Podbródek opadł mu na pierś i wojownik zaczął chrapać. Grzechocząc srebrną nogą, która musiała się obluzować pod czymś ciosem, Welperin pokuśtykał do niego, aby sprawdzić, czy nic mu nie jest i, jak przypuszczał Pharaun, zająć się nim w razie potrzeby.

Mizzrym pomyślał, że i on powinien przyjrzeć się przyjacielowi, ale kiedy spróbował wstać, zakręciło mu się w głowie i z powrotem klapnął na podłogę.

* * *

Triel stała na balkonie, spoglądając na rozpościerające się w dole miasto. Przed oczami jeszcze

miała widok, który ukazał się jej oczom w noc powstania niewolników - płonący spektakl, który uświadomił jej, że całe Menzoberranzan znalazło się w stanie wrzenia.

Pożary znikły. Zamiast nich na ulicach pojawiły się zimne kałuże stojącej wody utrudniające ruch. Deszcz zalał piwnice i lochy, których osuszenie musiało potrwać. Nikt nie przewidział tak obfitej ulewy, nie w sytuacji, gdy Miasto Pająków dzieliło od odkrytego nieba wiele mil skał. Żaden budowniczy nie przygotował miasta na taką ewentualność.

Ktoś kaszlnął dyskretnie. Triel odwróciła się. Stojący w drzwiach Gromph przekrzywił głowę.

- Opiekunko.

Poczuła dreszczyk rozkoszy - a właściwie ulgi - na widok brata, który przyszedł do niej, gdy tylko mu na to pozwoliła. Postarała się ukryć to uczucie.

- Arcymagu - powiedziała. - Przyłącz się do mnie.

- Oczywiście.

Gromph podszedł nieco sztywnym krokiem do balustrady.

W jednym z rogów tarasu, na zbyt małym dla niego krześle, siedział przygarbiony Jeggred, ogryzając surowy udziec rothe. Stwór wydawał się całkowicie pochłonięty tą przekąską, ale Triel była przekonana, że obserwował jej brata. Bądź co bądź, takie miał zadanie - chronić ją przed wszystkimi potencjalnymi wrogami, włączając w to jej krewnych. Zwłaszcza jej krewnych.

Gromph zapatrzył się na kopuły i wieżycy miasta. Niektóre straciły otaczającą je poświatę, jak gdyby zmył ją deszcz, a inne rozplynęły się i poskręcały w objęciach płomieni, zniekształcając i wykoślawiając płaskorzeźby pajaków lub całkowicie je zacierając. Usta czarodzieja wykrzywił grymas.

- Mogło być gorzej - powiedziała Triel. - Kamieniarze są w stanie naprawić szkody.

- Już i tak mają pełne ręce roboty, zwłaszcza że nie mogą liczyć na pomoc niewolników.

- Zostało ich jeszcze trochę. Nieliczne podistoty nie chciały się buntować albo zostały wzięte w niewolę. Zagonimy je do roboty, a także kupimy i złapiemy nowe.

- Ale czy ktokolwiek pamięta, jak wyglądał każdy mur i każda rzeźba? Czy ktokolwiek potrafi odbudować Menzoberranzan dokładnie takim, jakim było? Nie. Jesteśmy inni, oszpezeni i...

Wzdrygnął się i potarł pierś.

- Wybacz mi - podjął arcymag. - Nie przyszedłem lamentować, tylko pełnić funkcję twojego doradcy, podzielić się z tobą moimi przemyśleniami na temat czekających nas wyzwań.

Triel oparła rękę na zimnym, wypolerowanym kamieniu poręczy i zapytała

- Co rozumiesz przez wyzwania?

- To chyba oczywiste? Właśnie doświadczyliśmy katastrofy, która zapowiada się na pierwszą z serii. Każdy mieszkaniec Menzoberranzan, który widział was w walce i ma choć odrobinę oleju w głowie, wie już, że wy, kapłanki, straciłyście swoją moc. Możesz być pewna, że bez względu na środki przedsięwzięte przez Radę wieść o tym rozniesie się poza nasze granice. Możliwe, że jakiś zbiegły niewolnik już o tym opowiada. Wkrótce ten czy tamten nieprzyjaciel wyruszy na nas albo, jeśli będziemy mieć wyjątkowego pecha, mogą się wszyscy sprzymierzyć przeciwko nam.

Triel przełknęła ślinę.

- Żaden z naszych wrogów nie ma nawet co marzyć o zdobyciu Menzoberranzan.

- Syrzan zamarzył. Kiedy jego krewniacy i inni dowiedzą się, że straciliśmy naszą magię objawień, sporą część wojowników i niemal wszystkie oddziały niewolników, mogą to uznać za powód do optymizmu. A nie są oni nawet największym zagrożeniem.

- Sami nim jesteśmy - westchnęła Triel.

- Otóż to. Zawsze byliśmy skłonni do konfliktów i skrytobójstw. Od czasu do czasu jakiś dom eliminuje inny, i tak powinno być. Tacy już jesteśmy, to czyni nas silnymi. Ale nie przetrwamy nieustających działań wojennych. Doprowadziłyby do zbyt wielkiego... chaosu. Rozszarpałyby Menzoberranzan na strzępy. Do tej pory strach przed Pajęczą Królową i jej kapłankami utrzymywał wszystkich w ryzach, ale teraz przestanie. - Splunął. - Szkoda, że nasi nowi bohaterowie nie zginęli bohaterską śmiercią w obronie ojczyzny.

- Masz na myśli Quenthel i tego wypędka Mizzryma?

- A kogóż by innego? Myślisz, że są mniej ambitni niż my wszyscy? Wczoraj bronili ustalonego porządku, ale mając świadomość, że wielu mogłoby zechcieć skupić się pod ich sztandarami, jutro sami mogą spróbować go obalić. Quenthel może spróbować objąć twój tron, nie za sto lat, ale teraz. Pharaun może zapragnąć odebrać mi szaty arcymaga - na sześćset sześćdziesiąt sześć poziomów, niemal mu się to

udało, nawet nie zadał sobie trudu odnalezienia mnie, zanim przybiegł do was. Cóż to by była za katastrofa! Nie wspominając o niedogodnościach, jakich przysporzyliby tobie i mnie, miasto jest tak osłabione, że nie wytrzymałoby podobnego wstrząsu.

- Przypuszczam, że mogą mieć taki plan - powiedziała Triel, posępniejąc. - Może powinniśmy byli doprowadzić sprawę do końca i zabić przynajmniej mistrza Mizzryma.

- Gdybyśmy stracili jednego ze zbawców Menzoberranzan - niech będzie, łajdak, przeklęty! - wyglądałoby na to, że dom Baenre jest przestraszony i słaby. - Na ustach czarodzieja pojawił się złośliwy uśmiešek. - Co jest w tej chwili prawdą, ale nie wolno nam tego po sobie pokazać.

- Co w takim razie radzisz?

Pod balkonem syknął jaszczur i zaskrzypiały koła przejeżdżającego dołem wózka.

- Wykorzystaj ich w sposób, który jednocześnie przyniesie nam korzyści i zneutralizuje zagrożenie, które dla nas stanowią - rzekł Gromph. - Na pewno zgadzamy się, że obecny stan rzeczy nie może dalej trwać. Musimy znaleźć sposób zwrócenia kapłankom ich magii.

Triel skinęła głową, odwracając wzrok od zniszczonego miasta.

- Proponuję - ciągnął mag - wysłać najpierw agentów do innego miasta - prawdopodobnie Ched Nasad aby dowiedzieli się, czy tamtejsze kapłanki dotknęło podobne nieszczęście, a jeśli tak, czy wiedzą dlaczego. Możesz wyznaczyć Quenthel do poprowadzenia wyprawy. Bądź co bądź, najbardziej dotyczy to Arach-Tinilith. Będę zachwycony, mogąc wypożyczyć ci mistrza Pharauna. Jeśli historia, którą słyszałem, jest prawdziwa, jego przyjaciel fehmistrz powinien do nich dołączyć, choćby tylko po to, żeby dokuczyć Pharaunowi.

- Ched Nasad... - wyszeptła Triel.

- Ich trójka powinna z łatwością przeżyć podróż do Ched Nasad - ciągnął Gromph - a nie będą mogli próbować nas obalić, skoro znajdą się setki lig od miasta, nieprawdaż? Kto wie, może Lolth powróci przed nimi? W każdym razie z upływem czasu ich sława przemienie.

Jego propozycja nieco ją zmieszała. Ukryła to najlepiej, jak potrafiła, udając, że rozważa jego plan.

- Faeryl Zuavirr zaproponowała wyprawę do Ched Nasad. Twierdziła, że niepokoi ją nieobecność karawan.

Gromph przekrzywił głowę.

- Naprawdę? Nasi przedstawiciele mogą się zająć również tą sprawą. To dobrze, że ambasador ma ochotę sama wyruszyć w drogę. Będzie cennym członkiem wyprawy i bardziej niż odpowiednią przykrywką dla całego przedsięwzięcia.

- Waerva powiedziała mi, że Faeryl jest szpiegiem - rzekła Triel - i że chce opuścić miasto, aby powiadomić swoich współników o naszych słabościach. Zakazałam jej więc wyjeżdżać.

- Jakie dowody przedstawiła Waerva?

- Powiedziała mi, że dowiedziała się o zdradzie Faeryl od jednej ze swoich informaterek.

Gromph odczekał chwilę, jak gdyby spodziewał się, że usłyszy coś więcej.

- I to już wszystko? - zapytał w końcu. - Z całym szacunkiem, opiekunko, chciałbym zauważyć, że jeśli nie rozmawiałaś osobiście z informatorką, jeśli nie zbadałaś sprawy dogłębnie, masz tylko słowo Waervy na to, że emisariuszka jest szpiegiem.

- Nie mogę zajmować się wszystkim osobiście - burknęła Triel. - Właśnie po to mamy podwładnych. Nie straciłam zupełnie kontaktu z moimi... z naszymi ludźmi w Ched Nasad, choć ich tłumaczenia i wymówki wydają się cokolwiek naciągane.

- Oczywiście, opiekunko - odpowiedział szybko Gromph. - Rozumiem. Mam ten sam problem z własnymi podwładnymi, a odpowiadam tylko za magów Menzoberranzan, a nie za całe miasto.

- Dlaczego Waerva miałaby kłamać?

- Nie wiem, ale miałem kilka razy do czynienia z Faeryl Zuavirr. Nigdy nie wydała mi się na tyle głupia, żeby sprzeciwić się Baenre. Waerva natomiast jest lekkomyślna i na tyle niezadowolona, żeby zdecydować się na wszystko. Dlatego jestem zdania, że warto by było samemu zbadać tę sprawę.

Triel zawahała się, zanim powiedziała

- To może być trudne. Nie zważając na moje rozkazy, Zuavirr usiłowała uciec z Menzoberranzan. Wynajęłam kilku Bregan D'aerthe. Dowodził nimi Valas Hune. Słyszałeś to imię?

- Obiło mi się o uszy - odparł Gromph.

- Byłby przydatnym członkiem naszej drużyny - powiedziała Triel. - Słynie ze świetnej znajomości

dzikich terenów Podmroku, jest znanym przewodnikiem.

Gromph kiwnął głową ma znak zgody.

- Tak czy owak, to Valas Hune przyprowadził Faeryl z powrotem. Dobrze wywiązał się ze swojego zadania, a ja oddałam ambasador Jeggredowi.

Czarodziej podszedł do dreaglotha.

- Jaki jest stan więźniarki? - zapytał stwora. - Czy jeszcze żyje?

- Tak - odparł Jeggred z pyskiem pełnym krwistego mięsa. - Nie spieszyłem się, żeby udowodnić, że to potrafię. Ale nie dostaniesz jej. Matka dała ją mnie. Właśnie ci to powiedziała.

Gromph spojrział półdemonowi prosto w oczy.

- Siostrzeńcze - powiedział. - Jestem obolały, sfrustrowany i ogólnie rzecz biorąc w podłym humorze. W tej chwili mam w głębokim poważaniu to, czy jesteś świętą istotą, czy nie. Okaż mi trochę szacunku i zaprowadź mnie natychmiast do więźniarki, albo unicestwię cię tak, jak siedzisz.

Chwyciwszy kość rothe jak pałkę, Jeggred poderwał się z siedzenia.

- Zrób to, o co prosi cię arcymag - powiedziała Triel. - Ja również sobie tego życzę.

Draegloth opuścił prowizoryczną broń.

- Dobrze, matko - westchnął.

ROZDZIAŁ 25

Z ciężkim plecakiem na ramionach i bijącym sercem Waerva odwróciła się i rozejrzała dookoła. Jaskinia ciągnęła się przed nią i za nią, z jej sklepienia wystawały stalaktyty, a z nierównego dna stalagmity. Nic się nie poruszało.

Co w takim razie usłyszała? Jak gdyby w odpowiedzi na jej nieme pytanie w którymś z korytarzy przed nią spadła z pluskiem kropla wody. Był to jeden z najpowszedniejszych dźwięków w Podmroku i z pewnością nie zwiastował niebezpieczeństwa.

Waerva otarła pot z czoła i zbesztła się w duchu za nerwowość. Miała jednak powody do niepokoju. Wszyscy mówili, że samotna wędrowniczka po podziemnych tunelach jest równoznaczna z samobójstwem.

Niestety przekłete powstanie goblinów nie pozostawiło jej wielkiego wyboru. Z powodu rozpaczliwych walk toczących się w całym mieście ułomność kapłanek przestała być wielką tajemnicą. Gromph z pewnością ją dostrzegł, co oznaczało, że Triel nie miała już przed nim nic do ukrycia. Było rzeczą pewną, że znów zechce wysłuchać jego rad.

Waerva była przekonana, że zdoła manipulować wykończoną matką opiekunką, ale szczerze wątpiła, czy uda jej się oszukać sprytnego arcymaga. Dlatego też wyniosła się z Wielkiego Kopca i samego Menzoberranzan, zanim jej krewniak zaczął zadawać pytania, i tym sposobem znalazła się tutaj, jako samotna wędrowniczka przemierzając niebezpieczną dzicz.

Była jednak silna i przebiegła, musiała przetrwać. Dotrze do swoich tajnych sprzymierzeńców i wszystko będzie w porządku.

Zrobiła cztery kolejne kroki i znów usłyszała jakiś dźwięk, ale tym razem nie była to kapiąca woda. Brzmiało to bardziej jak czyjaś stopa ocierająca się o kamień, i dobiegło z tyłu.

Okręciła się i niczego nie zobaczyła, a potem coś ukuło ją w ramię. Obróciła się. Pod jej stopami leżał rzucony przez kogoś kamień. W powietrzu rozległ się dźwięczny, perlisty śmiech. Zabrzmiało to tak, jak gdyby żartownisie otaczali ją ze wszystkich stron.

Dlaczego więc ich nie widziała?

Z adamantytowym buzdyganem w dłoni i jedną połą piwafwi odrzuconą do tyłu, by ułatwić sobie manewrowanie orężem, Waerva ruszyła w stronę, z której rzucono kamykiem. Lawirując między stalagmitami, doszła do ściany jaskini, ale napastnika nie udało jej się dostrzec nawet w przelocie. W nozdrza uderzyła ją jednak znajoma woń gadziego piżma i wtedy zrozumiała.

Koboldy. Rogate, pokryte łuskami podistoty były na tyle małe, że było im stosunkowo łatwo chować się wśród kalcytowych guzów i kolców.

Odwróciła się jeszcze raz i wbrew sobie wzdrygnęła. Najwyraźniej koboldom brakowało cierpliwości, żeby przedłużyć zabawę w chowanego, bo wyszły z ukrycia. Kiedy była odwrócona plecami, wyszły cichaczem na otwartą przestrzeń, tworząc nierówny szereg w kształcie litery C, aby przyprzeć ją do ściany.

Stwory były menzoberranzańskimi niewolnikami. Zdradzały to wypalone piętna domów i ślady po bacie. Niektóre wciąż nosiły zerwane okowy. Waerva wyraźnie nie była jedyną osobą, która uciekła z miasta.

Spojrzała gniewnie na koboldy i powiedziała

- Jestem Baenre. Wiecie, co to oznacza. Dajcie mi przejść albo położę was trupem.

Podistoty przez chwilę wpatrywały się w nią, a potem spuściły wzrok. Szereg rozstąpił się, robiąc jej przejście.

Z drwiącą miną, trzymając wysoko głowę, Waerva ruszyła w stronę przerwy. Przez chwilę było zupełnie cicho, a potem gady wybuchły śmiechem, zaskrzeczały i rzuciły się na nią.

Wzniosłszy okrzyk wojenny, zaczęła machać buzdyganem, a każdy cios odbierał życie któremuś z niewolników. Ale w miejscu każdego, którego zabiła, pojawiały się tuziny następnych, rąbiąc i chłoscząc ją po nogach.

Kolano przeszył jej ostry ból, upadła. Nad nią zaroilo się od koboldów, które okładały ją, dopóki nie była już w stanie się bronić.

Z pewnymi trudnościami zdjęły z niej zbroję i ubranie, po czym zajęły się nią. Wydawały się znać na anatomii równie dobrze jak jej drogi Tluth - rzecz zaskakująca u tak bestialskiej rasy - ale ich zabiegi w niczym nie przypominały masażu.

Faeryl nauczyła się wabić utratę przytomności, która przynosiła ulgę, uśmierzając uporczywy ból spowodowany torturami. Niestety nie mogła w ten sposób uniknąć nowych cierpień. Kiedy Jeggred znajdował ją w tym stanie, po prostu przesuwał jej pod nosem buteleczką z solami trzeźwiącymi, dopóki się nie obudziła.

Drowka usłyszała, że jej oprawca nadchodzi. Strażnicy również to usłyszeli i pospiesznie udali się na tyły lochu, aby dać Jeggredowi trochę prywatności. Drżąc, drowka usiłowała zapanować nad sobą. Może uda jej się odmówić mu przyjemności wydarca z niej krzyku - przynajmniej przez jakiś czas - a nawet sprowokować go do zabicia jej. To byłoby wspaniałe.

W drzwiach ukazał się draegloth garbiący się, aby zmieścić się w przejściu. Wbrew sobie Faeryl drgnęła, a potem zauważyła, że nie jest sam. Towarzyszyła mu małeńka Triel. A także jej brat o surowych rysach, jak zwykle odziany w szaty arcymaga.

- Witaj, opiekunko - wychrypiąła Zuavirr.

- Cicho - polecił Gromph - a wszystko będzie dobrze. - Podniósł oczy na mierzącego go wściekłym spojrzeniem półdemon. - Uwolnij ją i zrób to delikatnie.

Jeggred podszedł do Faeryl. Tym razem udało jej się nie skulić ze strachu. Draegloth podtrzymał ją mniejszymi rękami, jednocześnie przecinając więzy szponami tych większych, a potem wziął ją w ramiona. Zemdląła.

Potem nastąpiły zlewające się z sobą godziny i dni, podczas których budziła się na kilka mętnych sekund, a potem znów traciła przytomność. Leżała na miękkiej sofie, służba przemywała i bandażowała jej rany, a czasem karmiła ją rosółem. Kapłanki odczytywały ze zwojów zaklęcia uzdrawiające, a od czasu do czasu pojawiał się Gromph, aby rzucić na nią jakieś własne czary. Zauważyła, że na stoliczku obok sofy leży Pocałunek Matki, a gdy poczuła się wystarczająco silna, wyciągnęła rękę i dotknęła go.

W końcu otworzyła oczy, odkrywając, że umysł ma jasny, a w jej członki znów wstąpiło życie. Służba pomogła jej przywdziać nowy strój. Powiedziano jej, że to na spotkanie z Triel.

Faeryl rozważała zabranie ze sobą młota bojowego, ale rozmyśliła się. Jeśli uleczenie jej było jakimś wyrafinowanym żartem, jeśli Baenre wzywała ją do siebie na dalsze tortury, broń nie mogła jej uratować.

Wciąż chwiejąc się lekko, podążyła za jakimś mężczyzną nie kończącymi się korytarzami Wielkiego Kopca. W końcu elf otworzył przed nią drzwi prowadzące do niewielkiej, ale bogato urządzonej komnaty.

Triel siedziała przy stole na środku pomieszczenia, dwaj ochroniarze stali pod ścianą za jej plecami.

Baenre wstała i ujęła więźniarkę za rękę.

- Moje dziecko - powiedziała Triel. - Raduję się, widząc cię zdrową. Niektórzy twierdzili, że nie dojdiesz do siebie, ale ja nigdy nie miałam żadnych wątpliwości. Wiedziałam, że jesteś silna, prawdziwa drowia księżniczka ciesząca się łaską Lolth.

- Dziękuję, opiekunko - oparła Faeryl, całkowicie skonsternowana.

Triel posadziła ją na krześle.

- Ucieszysz się na wieść, że ich schwytaliśmy - rzekła opiekunka.

- Ich?

- Zbójów, którzy zasadzili się na ciebie i zamordowali twoją świtę, którzy zostawili cię na pewną śmierć w miejscu, w którym znalazł cię mój sługa Valas. Sama nadzorowałam egzekucję.

Faeryl zaczynała rozumieć swoje położenie. Z jakiegoś powodu Triel wybaczyła jej nieposłuszeństwo. Zuavirr mogła odejść wolna, zwracano jej honor i pozycję, ale było pewne ale. Od tej pory musiała aprobować bajeczkę, że Triel nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jej nieszczęścia. Władczyni Menzoberranzan była przecież istotą doskonałą, którą sama Pajęczka Królowa wyniosła ponad wszystkie inne. Jak więc mogła popełnić błąd?

Było to nieco bolesne, ale Faeryl bardziej niż chętnie godziła się na to kłamstwo, aby uniknąć powrotu do lochu.

- Dziękuję ci, opiekunko - odrzekła. - Dziękuję ci z całego serca.

Triel skinęła dłonią i służący przyniósł im wino.

- Czy wciąż pragniesz wrócić do domu? - zapytała Baenre.

W trakcie swojej burzliwej kariery Pharaun był wzywany na wiele audiencji i z doświadczenia wiedział, że bez względu na to, jak pilne było wezwanie, zawsze lądowało się na jakiś czas w przedpokoju. Poczekałnia opiekunki Baenre była urządzona ze znacznie większym przepychem, niż miało to na ogół miejsce, i w normalnych okolicznościach zająłby się oceną estetycznych walorów jej wystroju. Zamiast tego musiał się zająć inną sprawą, bo kiedy przybył, w kącie, na wpół ukryty za marmurowym posagiem, siedział na krześle Ryld.

Rzeźba przedstawiała piękną elfkę robiącą coś nieprzyjemnego podziemnemu gnomowi, zapewne dla większej chwały straszliwej Królowej Pająków.

Mizzrym nie rozmawiał z przyjacielem od czasu rzezi renegatów. Pomyślał, że teraz nadszedł właściwy czas. Ale najpierw złożył wyrazy szacunku Quenthel, której, ku jej rozdrażnieniu, również kazano zaczekać. Potem mag uklonił się drowowi o surowej twarzy, który wydawał się skrępowany i wyraźnie źle się tu czuł w swoim znoszonym ubraniu zwiadowcy i paskudnych ozdobach. Pharaun nie znał go.

- Valas Hune - przedstawił się wojownik. - Z Bregan D'aerthe.
Pharaun przedstawił się, a potem podszedł wolnym krokiem do mistrza Melee-Magthere.
- Ryld! - odezwał się czarodziej. - Dzień dobry! Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, dlaczego Rada nas wezwała?

Krzepki szermierz wstał.

- Nie - odpowiedział.
- Zapewne chce obsypać nas zaszczytami. Jak się masz?
- Żyję.
- Miło mi to słyszeć. Martwiłem się, bo widziałem, że ten trans nadwerężył twój organizm. Przez chwilę dwaj mistrzowie przyglądali się sobie w milczeniu.
- Przyjacielu - odezwał się Pharaun, zniżając głos. - Naprawdę żałuję tego, co się stało.
- To, co zrobiłeś, było rozsądne z taktycznego punktu widzenia - odparł Ryld. - Każdy rozsądny drow postąpiłby tak samo. Nie chowam urazy.

Czarodziej spojrział fechmistrzowi w oczy i uświadomił sobie, że po raz pierwszy nie jest w stanie go przejrzeć.

Być może Ryld wierzył w to, co mówi, ale równie dobrze mógł kłamać, aby uspić podejrzenia zdrajcy i ułatwić sobie ewentualną zemstę. Tak więc, choć Pharaun mógł wciąż udawać przyjaźń, już nigdy nie będzie mógł zaufać fechmistrzowi.

Przez chwilę poczuł w sercu pustkę, ale stłumił to uczucie. Przyjaźń i zaufanie były dobre dla niższych ras. Osłabiały mrocznego elfa i lepiej mu było bez nich.

Pharaun serdecznie klepnął Rylda w ramię, tak jak tysiące razy wcześniej.

Wysokie drzwi otwarły się. Wszystkie osiem matek opiekunek tworzących Radę siedziało na oświetlonych tronach ustawionych na ośmiostopniowym podwyższeniu w kształcie piramidy. Triel siedziała oczywiście wyżej niż pozostałe elfki, mając nad głową promienny marmurowy łuk stylizowany na pajęczynę. Quenthel wkroczyła dumnie do środka, wyprzedzając Pharauna i pozostałych mężczyzn, ale dlaczego nie? Była mistrzynią Arach-Tinilith i Baenre.

Prawdę mówiąc, jakaś część jej osoby, część, której zawsze nienawidziła i którą odrzucała, nie chciała wejść, ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że w tym pomieszczeniu znajduje się jej nieznaną wróg.

Matriarchinie nie były jedynymi osobami na podeście. Jeggred, symbol łaski bogini i źródło praktycznej ochrony, pochylał się nad tronem Triel. Na schodach krzątała się służba spełniająca rozkazy wielkich pań. Gromph stał na najwyższym stopniu, najbardziej zaszczytnym miejscu, jakie mogło przyspaść w udziale mężczyźnie.

Gdy ona, mag, fechmistrz i najemnik dotarli do stóp podwyższenia, Triel zaczęła chwalać ich za wysiłek włożony w walkę z illithiliczem i jego pionkami. Z początku oracja przebiegała mniej więcej tak, jak przewidywała Quenthel, ale wkrótce przybrała nieoczekiwany obrót.

Ona sama miała poprowadzić wyprawę do Ched Nasad, aby dowiedzieć się, dlaczego nie przybywają stamtąd żadni podróżnicy i czy kapłanki podległego miasta wiedzą coś na temat milczenia Lolth. Ryld Argith, Pharaun Mizzrym i Valas Hune mieli jej pomagać, a także towarzyszyć ambasador Faeryl Zuavirr.

Słyszając te wieści, potężny wojownik w krasnoludzkiem napierśniku po prostu skinął głową na znak zgody. Czarodziej wyszczerzył zęby, a zwiadowca uśmiechnął się. Ambasador, która stała w pobliżu, wyglądała na równie zadowoloną.

Potem Triel powiedziała Wreszcie, droga sestro, wysyłam z tobą w podróż mojego syna, Jeggreda. Draegloth nosi błogosławieństwo Mrocznej Matki, a jego siła może się wam okazać potrzebna. Przez chwilę Faeryl wyglądała tak, jakby miała zaprotestować. Jeggred spoglądał na nią pożądliwie. Coś wyraźnie między nimi zaszło, coś bardzo nieprzyjemnego, co sprawiało, że ambasador nienawidziła go i nie ufała mu.

Gromph również się poruszył i Quenthel pomyślała, że wygląda na zaskoczonego, a nawet zaniepokojonego. Być może nie spodziewał się, że Triel ma tyle zdrowego rozsądku, żeby wysłać własnego agenta - służę oddanego wyłącznie jej interesom.

Quenthel przemknęły przez myśl tysiące powodów, dla których nie powinna nigdzie wyjeżdżać w tak niepewnych dla Menzoberranzan, wiary i domu Baenre czasach. W końcu jednak niczego nie powiedziała.

Zgromadzeni dyskutowali nad praktycznymi stronami przedsięwzięcia przez jakąś godzinę, a potem Triel odprawiła swoich nowo wybranych wysłanników. Pharaun dogonił Quenthel w holu. Ukłonił się jej, a ona machnięciem ręki pozwoliła mu mówić.

- Zakładam, pani, że wiesz, dlaczego wybrano akurat nas? - wyszeptał.

- Rozumiem to lepiej od ciebie - odpowiedziała.

Pharaun uniósł brew.

- Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej?

Zawahała się, ale dlaczego nie miałyby stwierdzić oczywistego faktu? Bądź co bądź, przyszedł do niej, kiedy zaczęło się powstanie niewolników. Był prawdziwym drowem - na tyle ambitnym i bezlitosnym, że zawsze mogła mieć pewność, iż będzie postępował, mając na względzie własną korzyść. Gromph zrobił z niego przynętę i cel ataku, może ona uczyni go któregoś dnia arcymagiem Menzoberranzan.

- Mój brat i siostra odesłali nas, ponieważ obawiają się naszych ambicji.

- Śmiem twierdzić, że to bardzo rozsądne z ich strony - zauważył Pharaun. - Czy to oznacza, że niechętnie bierzesz udział w naszej wyprawie?

- W żadnym wypadku. Bez względu na motywy powodujące moim rodzeństwem, ich plan ma pewne zalety, a ja udałabym się wszędzie i zrobiłabym wszystko, aby odnowić więź łączącą mnie z Lolth i ocalić Menzoberranzan. To oczywiście jedno i to samo.

Prawdę powiedziawszy, chciała oddalić się od nich na czas potrzebny, by odzyskała swoją magię. Pod warunkiem jednak, że mogłaby to zrobić, nie tracąc swojej pozycji i, o dziwo, okazało się, że to możliwe. Kwestia demonów-skrytobójców nie została jeszcze rozwiązana i zastanawiała się, czy po opuszczeniu miasta jej nieznany napastnik znów zaatakuje.

Zmierzyła wzrokiem swojego fircykowatego towarzysza.

- A ty? - zapytała czarodzieja. - Jesteś wystarczająco odważny - widziałam dowody - ale czy masz ochotę wędrować po Podmroku?

- Chcesz zapytać, czy tak wytworny osobnik jak ja zniesie rozłąkę z ciepłymi, pachnącymi kąpielami, obfitymi posiłkami i delikatnym, świeżo upranym odzieniem? - zapytał Pharaun, szczerząc zęby. - Będzie to niezwykle bolesne, ale w tych okolicznościach dam jakoś radę. Lubię odkrywać tajemnice, zwłaszcza jeśli w ten sposób mogę wzmocnić moją własną pozycję.

- Może ci się to uda - powiedziała Quenthel - ale radzę, żebyś trzymał ręce z daleka od wszelkich zdobyczy, których przywódczyni wyprawy zapagnie dla siebie.

- Oczywiście, pani, oczywiście.

Mistrz Sorcere ukłonił się nisko.

* * *

Pharaun rzucił zaklęcie, a potem przeniknął jak duch przez zamknięte drzwi. Po drugiej stronie

znajdował się ponury, pachnący stęchlizną pokój. Na jedynym krześle, owinięta kocem jak inwalidka, z oszpeconą twarzą ściągniętą w maskę zgorzknienia, siedziała Greyanna.

Przez chwilę wpatrywała się w niego głupio, a potem zaczęła odrzucać przykrycie, prawdopodobnie z zamiarem poderwania się z miejsca. Uniósł dłonie jak do zaklęcia i groźba ta przygwoździła ją do krzesła.

- Cóż za przygnębiające miejsce - rzekł. - Ten pokój należał do Sabal, nieprawdaż, kiedy znalazła się na dnie. Matka ma dobrą pamięć, a także czarujące poczucie ironii.

- I zabije cię, wypędki, za wtargnięcie do zamku.

- Zawsze brałem to pod uwagę. To jeden z powodów, dla których nie złożyłem ci dotąd wizyty. Ale okoliczności uległy zmianie. Rada potrzebuje mnie, żeby ustalić, co się stało z Pajęczą Królową, a ty, droga siostrzyczko, nie jesteś już ważną osobą. Skoro Miz'ri zdegradowała cię za nieudane próby zabicia mnie, wątpię, czy będzie robić problem z twojej śmierci, nawet jeśli będzie pewna, że to ja jestem za nią odpowiedzialny. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy dzisiejszego popołudnia widziałem ją w domu Baenre, czy możesz w to uwierzyć? Musiała zdecydować, że chce, abym wystąpił z Sorcere i połączył się z rodziną. Najwyraźniej uświadomiła sobie, jak potężny się stałem podczas tych dziesięcioleci, które upłynęły od chwili, gdy uciekłem przed tobą z domu.

- Dziwię się, że wciąż chcesz mnie zabić - powiedziała Greyanna. - Przecież już mnie pokonałeś i zrujnowałeś. Śmierć może okazać się łaską.

- Wziąłem to pod uwagę, ale wybieram się w podróż w nieznane, wyprawę najeżoną niebezpieczeństwami i trudnościami i potrzebuję czegoś specjalnego, co pokrzepi mnie na duchu, wspomnienia pełnego widowiskowości i dramatyzmu, które doda mi otuchy na szlaku.

- Chyba rozumiem - powiedziała kapłanka - ale zastanawiam się, dlaczego do tego doszło. Przez te wszystkie lata nigdy tak naprawdę nie rozumiałam powodu naszej waśni. Skoro mam umrzeć, może przynajmniej wyjaśnisz mi, dlaczego wybrałeś Sabal a nie mnie. Sympatia? Żądza?

- Ani jedno, ani drugie - zachichotał Pharaun. - Mój wybór nie miał zupełnie nic wspólnego z waszym charakterem. Jak mógłby mieć, skoro jako bliźniaczki byłyście do siebie tak podobne? Sprzymierzyłem się z Sabal, ponieważ zwiślała z najniższego stopnia drabiny Mizzrymów. Uznałem, że wyniesienie jej na sam szczyt będzie wyzwaniem, które dostarczy mi sporo rozrywki.

- Dziękuję za wyjaśnienie - powiedziała Greyanna. - A teraz zdychaj.

Spod koca wyskoczył własny ożywiony rapier Pharauna. Widocznie Greyanna nie tylko przywłaszczyła sobie upuszczoną broń, ale i doszła do tego, jak jej używać. Bez wątpienia miała ją na palcu w postaci stalowego pierścienia, kiedy mag wszedł do pokoju. Wiedząc, jak Pharaun lubi mówić, drowka uspiła jego czujność rozmową i zaatakowała z zaskoczenia.

Długi miecz o smukłej klindze śmignął przez pokój w stronę piersi Pharauna. Mag rozpaczliwie uchylił się w bok i sztych wbił mu się w lewe przedramię. Przez sekundę mężczyzna nie czuł ukłucia, ale zaraz rękę przeszył mu ból.

Musiał unieruchomić broń, zanim uwolni się i zaatakuje ponownie. Chwycił klingę prawą ręką, ale rozplątała mu dłoń. Rapier był przeznaczony do zadawania ran kłutych, ale miał mimo to ostre krawędzie. W każdym razie wystarczająco ostre.

W tej samej chwili Greyanna odrzuciła koc i chwyciła buzdygan leżący za krzesłem. Zerwała się na równe nogi i zaatakowała.

Pharaun ledwo uchylił się przed pierwszym ciosem, po czym wpadł na nią całym ciałem, uderzając ją ramieniem. Impet uderzenia odrzucił ją w tył.

Nie zranił jej jednak. Roześmiała się i znów zaczęła podchodzić.

Wiedział, dlaczego była taka rozradowana. Uważała, że z lewą ręką zwisającą bezwładnie ze sparaliżowanego ramienia i prawą zajęętą chwytaniem rapiera, nie będzie w stanie rzucić żadnych zaklęć, którymi mógłby się przed nią obronić.

I miała rację.

Odsuwając się od Greyanny, z ręką ociekającą krwią, puścił ożywiony miecz i zaczął czarować tak szybko, jak tylko mistrz potrafi.

Siostra zaatakowała. Rapier wyrwał się z rany, znów sprawiając mu ból. Obrócił się w powietrzu i wymierzył prosto w serce maga.

Pięć strzał lazuruwej mocy wystrzeliło z jego prawej dłoni prosto w Greyannę. Kobieta wydała z siebie odgłos przypominający westchnienie i zwała się na ziemię. Buzdygan z brzękiem potoczył się po

podłódze.

Rapier natychmiast znieruchomiał i upadł z brzdękiem na posadzkę.

Pharaun przyjrzał się Greyannie, upewniając się, że jest martwa, potem obejrzał własne rany. Wyglądały brzydko, ale eliksir uzdrawiający albo dwa mogą je bez trudu wyleczyć.

- Dziękuję, siostrzyczko - powiedział - za to jakże porywające interludium. Gdy wyruszę, by ocalić nasze ukochane Menzoberranzan, uczynię to z sercem przepelnionym radością.